

● NARODY ● KULTURY ● MAŁE OJCZYZNY EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ ●



KRASNOGRUDA

● SEJNY 1998 ● No. 9 ●

Fuga śmierci

Pamiętniki antysemity

Celan Heidegger

Czerniowce - ostatnia Aleksandria Europy

AUSLÄNDER

BRIX

CELAN

JEDLIŃSKI

MACHEJ

MEERBAUM-EISINGER

VON REZZORI

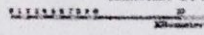
RYCHLY

CARNECI

Politische Eintheilung des Herzogthumes BUKOWINA.

Öffentliche Behörden und Anstalten

Maßstab: 1 : 600 000.



Zeichen-Erklärung.

- ⊙ Bezirkshauptmannschaft
- ⊙ Gerichtshof I. Instanz
- ⊙ Bezirksgericht
- ⊙ Steueramt
- ⊙ Einbruchstation
- ⊙ Finanzwach-Bez.-Controllstation
- ⊙ K. k. Forstrevierleiter
- ⊙ Gemeindefeuerwehr
- ⊙ Öffentliches Krankenhaus
- ⊙ Apotheke



- Bezirksgrenzen
 - Bezirksgrenzen (Land-Gr. Csernowitz)
 - " (Kreis-Gr. Suceava)
 - ▨ Gemeinde-Sanitäts-Sprengel
 - ▨ Revisionsbezirk (Hornisch-Cataster).
- Die Reichrathswahlorte sind roth, die Landtagswahlorte blau unterstrichen.

KRASNOGRUDA

Nr 9 • 1998 rok

● NARODY ● KULTURY ● MAŁE OJCZYZNY EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ ●

KRASNOGRUDA

● SEJNY ● ROK 1998 ● NR 9 ●



POGRANICZE ● SEJNY

Redaktor naczelny
Krzysztof Czyżewski

Redaktor
Zbigniew Fałtynowicz

Sekretarz redakcji
Agnieszka Szyszko

Koncepcja graficzna
Krzysztof Czyżewski

Zespół
Marzanna Bogumiła Kielar
Zbigniew Machej
Marcin Niemojewski

Łamanie komputerowe
Dariusz Sznejder

Druk
INTERDRUK Białystok

Wydawca
Ośrodek „Pogranicze – sztuk,
kultur, narodów” w Sejnach

Adres redakcji
KRASNOGRUDA
16-500 Sejny
ul. J. Piłsudskiego 37
skrytka pocztowa 15
tel./fax (0-87) 566-65-87
(0-87) 516-27-65
e-mail: pogranic@free.ngo.pl
http://free.ngo.pl/pogranic

SPIS TREŚCI

FORUM

- EMIL BRIX: *Apologia miast Europy Środkowej.*
Przeł. Antoni Baniukiewicz 11
- KRZYSZTOF CZYŻEWSKI: *Czerniowce –
zapomniana metropolia na rubieżach
monarchii habsburskiej* 20
- MOJSEJ FISZBEJN: *Powrót do Południka.*
Przeł. Ola Hnatiuk, Katarzyna Kotyńska 32

PRACOWNIA ARTYSTYCZNA JAROMIRA JEDLIŃSKIEGO

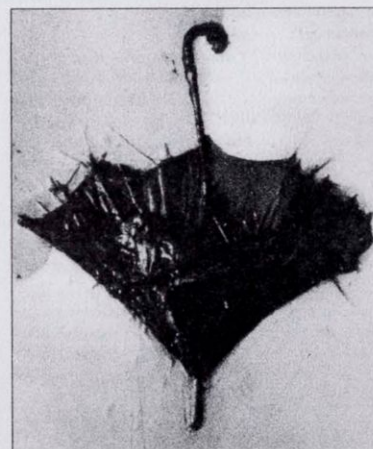
- JAROMIR JEDLIŃSKI: *Odysea Kantora* 47
- JAROMIR JEDLIŃSKI: *Światło popiołom* 54

ZAULEK LITERACKI

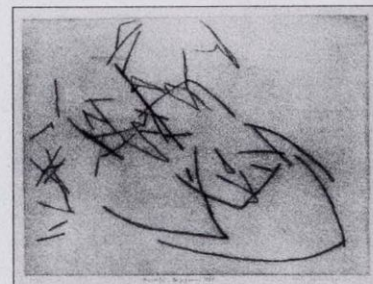
- SELMA MEERBAUM-EISINGER: *Wiersze.*
Przeł. Martin Rzyziński 59
- ROSE AUSLÄNDER: *Wiersze.*
Przeł. Andrzej Pańta 64
- PAUL CELAN: *Wiersze.* Przeł. Jacek Buras,
Jakub Ekier, Feliks Przybylak 67
- PAUL CELAN: *Fuga śmierci.*
Przeł. Ovid C. Jacob, Petre Solomon,
Petro Rychko, Piotr Lachmann 75
- ERNEST WICHNER, HERBERT WIESNER:
*Zaplot metafor: od „Tęcza” Rose Ausländer
do „Fugi śmierci” Paula Celana.*
Przeł. Leszek Szaruga 80
- PAUL CELAN: *Todtnauberg.* Przeł. Ewa Stapór 87
- PIERRE JORIS: *Celan/Heidegger. Tłumaczenie
u stóp Góry Śmierci.* Przeł. Ewa Stapór 88
- FELIKS PRZYBYLAK: *Kręgi Celanowskiego
świata (Lebensweltu)* 98
- HELMUT BÖTTIGER: *Miejsca Paula Celana.*
Przeł. Jakub Ekier 109
- ISRAEL CHALFEN: *Obca Ojczyzna. Paul Celan
w Bukareszcie* 119
- Przeł. Tomasz Wyszkowski 119
- PETRE SOLOMON: *Paul Celan i surrealizm.*
Przeł. Halina Mirska-Lasota 126
- FLORIN FAIFER: *Celan/Solomon.*
Przeł. Halina Mirska-Lasota 127
- MAGDA CARNECI: *Paul Celan i poezja lat 80.*
Przeł. Krzysztof Czyżewski, Tomasz
Wyszkowski 135
- GREGOR VON REZZORI: *Wierność.*
Przeł. Katarzyna Jaśtał 140
- KATARZYNA JAŚTAŁ: *„Pamiętniki antysemity”
Gregora von Rezzorio.* 142



Stare pocztówki z Czerniowiec i Bukowiny



Tadeusz Kantor



Giséle Celan-Lestrangé



Jadwiga Smykowska



Kirkut w Bobowej



Maciej Rychły

KAWIARNIA LITERACKA

Machejowie Pale

JERZY KRONHOLD: <i>Wiersze</i>	169
JOANNA JĘDRUSIK: <i>Po tej samej stronie lustra (o grafice Jadwigi Smykowskiej)</i>	173
ZBIGNIEW MACHEJ: „Elsa-Fluid”	175
ZBIGNIEW MACHEJ: <i>Sztandar przekiętej chwały (fragment porzuconej powieści)</i>	179
ZBIGNIEW MACHEJ: <i>Wiersze</i>	187

BRACTWA NARODOWE I RELIGIJNE

ADAM BARTOSZ: <i>Bobowski szteti na Brooklynie</i>	193
ADAM BARTOSZ: <i>Opowieść starego rabina Halbersztama</i>	209

PRACOWNIA MUZYCZNA MACIEJA RYCHLEGO

MACIEJ RYCHŁY: <i>Gardzienickie metamorfozy</i>	213
---	-----

WITRYNA - PUBLIKACJE

„In der Sprache der Mörder”. <i>Eine Literatur aus Czernowitz, Bukowina</i> ; JAN PATOČKA: <i>Kim są Cześci?</i> ; JAN PATOČKA: <i>Eseje heretyckie z filozofii dziejów</i> ; RYSZARD RÓŻANOWSKI: <i>Pasaże Waltera Benjamina</i> ; CONSTANTIN NOICA: <i>Sześć chorób ducha współczesnego</i> ; DANIEL LIFSCHITZ: <i>Z mądrości chasydów; Węgry - Polska w Europie Środkowej</i> ; STANISŁAW GRODZIŃSKI: <i>Habsburgowie; „Wien als Magnet?”</i> . <i>Schriftsteller aus Ost- Ostmittel und Südoesteuropa über die Stadt</i> ; ANTONINA KŁOSKOWSKA: <i>Kultury narodowe u korzeni</i> ; JULIUSZ MIEROSZEWSKI: <i>Final klasycznej Europy</i> ; ANDRZEJ MENCWEL: <i>Przedwiośnie czy potop. Studium postaw polskich w XX wieku; U progu wilokulturowości; O dialogu kultur wspólnot kresowych</i> ; LESZEK ZASZTOWT: <i>Kresy 1832-1864. Szkolnictwo na ziemiach litewskich i ruskich dawnej Rzeczypospolitej; Kresy - pojęcie i rzeczywistość</i> ; GRZEGORZ RAKOWSKI: <i>Polska egzotyczna</i> ; ZBIGNIEW FAŁTYNOWICZ: <i>„Gdzie jeziora syte przestrzenią obłoków”. Suwalszczyzna w poezji. Antologia; Miasto i kultura ludowa w dziejach Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy</i> ; GRZEGORZ MOTYKA, RAFAŁ WNUK: <i>Pany i rezuny. Współpraca AK-WiN i UPA 1945-1947; „Musica Galiciana”. Kultura muzyczna Galicji w kontekście stosunków polsko-ukraińskich</i> . Płyty: <i>Carpati: 50 Miles, 50 Years; The Chicago Klezmer Ensemble: Sweet Home Bukovina</i> .	227
---	-----

CONTENTS	241
----------	-----

Prenumerata

Przyjmujemy prenumeratę (od numeru 9) na cztery kolejne numery w cenie 60 zł na konto: KRASNOGRUDA (Ośrodek „Pogranicze – sztuki, kultur, narodów”) Bank Spółdzielczy Sejny 93540007-622-27016-11/0 Prenumerata zagraniczna 80\$ USA Koszty przesyłki wliczone w cenę prenumeraty

Dział handlowy

Urszula Wasilewska
16-500 Sejny
ul. J. Piłsudskiego 37
tel./fax (0-87) 516-27-65

Centrum Dokumentacji Kultur Pogranicza
OSRODEK
POGRANICZE, ZIUK KULTUR NARODÓW
ul. Piłsudskiego 37, tel. 189
16-500 SEJNY
skr. poczt. 15
nr. 3940 Ver

Na pierwszej stronie okładki
JOSHUA NEUSTEIN, z cyklu
Light on the Ashes

Numer został wydany przy pomocy finansowej Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Instytutu Kultury Austriackiej



Joris
Neustein

Böttiger

Leidegger
ODTNAUBERG

MONACHIUM
Fiszbejn

SALZBURG
Woldan

WIEN
Brix
Klimt
Shiele

BERLIN
Wichner
Wiesner

Jedliński
Rychly
POZNAŃ

WROCLAW
Przybylak

Kantor
KRAKÓW

CIESZYN
Jędrusik
Smykowska
Machej
Kronhold

GARDZHENICE

Bartosz
TARNÓW

Ausländer
Meerbaum-Eisinger
Chalfen
Celan
Rezzori

CZERNIOWCE

SEJNY
Czyżewski

BUKARESZT
Carneci
Solomon

BUKOWINA

1. Schwarzwald w początku lat 80. Podróżuję tropem Hermanna Hessego. Po Maulbronn, Tybindze, włóczędźce doliną Neckaru, docieram przez góry do Calw. Ociężałe mieszczarskie muzeum „wilka stepowego“, w którym odnajduję żarliwe listy Ninon Ausländer, późniejszej pani domu w Montagnoli. Powtarzało się w nich to magiczne słowo, które zawsze wymawiali znawcy Hessego opowiadając mi o jego żonie: *Ona pochodziła z Czernowitza*. Ta informacja zdawała się mówić wszystko co najważniejsze o niej, resztę już sam miałem sobie dopowiedzieć. Tymczasem ja tego Czernowitza nawet na mapie nie potrafiłem odnaleźć.

2. Skąd mogłem wiedzieć, że już wtedy dotarłem do *meridianu*, poetyckiego południka duszy, który wiąże mnie tak silnie z pewnym tajemniczym miejscem na ziemi? Skąd mogłem wiedzieć, że blisko 20 lat wcześniej dotarł tu, do Schwarzwald, sam *stalker* tego południka, Paul Celan? Wydarzyło się wtedy, u stóp Góry Śmierci, w Todtnauberg, niezwykle spotkanie, jedno z najistotniejszych dla dociekania prawdy o naszym stuleciu. Martin Heidegger, filozof o koneksjach faszystowskich, przyjmował w swojej schwarzwaldzkiej *hütte* poetę piszącego w „mowie morderców“, Żyda ocalałego z Zagłady, który pierwszy przekonał Teodora Adorno, że jest możliwa poezja po Holocaustie. Filozof, a z nim inne wybitne postaci humanistyki, zdawali się być tym spotkaniem ukontentowani. W tym duchu także próbowano interpretować tajemniczy wiersz Celana *Todtnauberg*. Jednak oczekiwania samego Bukowińczyka, wychowanego w kulturze dialogu, były daleko większe. Po raz kolejny wygnaniec z „kraju ludzi i książek“ dramatycznie doświadczył niemożliwości spotkania.

3. Czytając pierwsze wiersze Celana obliczałem dystans do miejsca poety i szycowałem się w podróż. Uczucie, a właściwie nagła potrzeba towarzysząca mi także przy lekturze Hölderlina, Rilkego, Hessego, Schulza, Miłosza... Musiałem tam być. Celanowskie „Mach den Ort aus, mach Wort aus“ (ustal miejsce, ustal słowo) było organiczne dla wędrowca, który trafiając na słowo poszukiwał miejsca, trafiając na miejsce docierał do słowa.

4. ...*leży gdzieś w zapadłym kącie świata w głębokiej samotności, a mimo to nie jest zapomniana; szczyty się większą kulturą, niż wskazywałaby na to jej nędzna kanalizacja; sporo bałaganu, jeszcze więcej niesamowitości.*

Joseph Roth: Reise durch Galizien

5. Pierwszy smak Czerniowiec? Farsa na poziomie gminnego amatorskiego teatryku w okazałym budynku autorstwa słynnej wiedeńskiej spółki Hellmer&Fellner, w którym zachowały się złocenia, kandelabry, kryształowe lustro i widownia w purpurze, i w którym z lubością wskazuje się przybyszom miejsce, gdzie zasiadał cesarz Franciszek Józef.

6. Pierwszy *Czernowitzer*? Miał budkę pośrodku *uniwermagu*, w którym handlowano artykułami spożywczymi, sprzętem elektrycznym i butami. Na pokaz miał trochę staroci, militariów, banknotów i odznak. Po stare pocztówki chodził do domu i przynosił je na umówioną godzinę. Wiedziałem już jak nie zabłądzić w drodze do Wassilkogasse i pod jakim adresem odnaleźć Josifa Burga czy Lydię Harnik.

7. Powoli przekraczałem próg tej niezwyklej i ekskluzywnej rodziny. Bukowińczycy są jak uczestnicy opisanej przez Hessego podróży na Wschód. Świat dowiedział się, że to wspaniałe przedsięwzięcie dobiegło kresu, zakończone katastrofą. Tymczasem spotykam ich w Czernowicach, Wiedniu, Bukareszcie, Paryżu, Warszawie, Monachium, Nowym Jorku... i wiem, że podróż trwa nadal.

8. Dlaczego Zbigniew Herbert nazwał Czerniowce „ostatnią Aleksandrią Europy“ i czuł się duchowo obywatelem tej krainy? Dlaczego Jan Nowak-Jeziorański opisując sylwetkę kongresmena Steva Solorza, wielkiego sprzymierzeńca sprawy polskiej, z naciskiem zaznacza, że jego rodzice wyemigrowali do Stanów z Czerniowiec? Dlaczego o tylu wybitnych postaciach ma mówić tak dużo to jedno enigmatyczne stwierdzenie: *Pochodzi z Bukowiny?*

9. Bukowina ma swój odcień, niepowtarzalny. Jest trwały, dobrze zagruntowany, z wiedzą o starożytnej technice enkaustyki, którą tu praktykowano jeszcze w późnym średniowieczu. Tak trwały jak synagoga Tempel w centrum Czerniowiec. Niemcy usiłowali ją spalić w 1944 roku, Sowieci po wojnie wysadzić w powietrze, jej gwiazdy Dawida zastąpiono sierpem i młotem, marmurowe tablice ku czci cesarza filmowymi plakatami „Kina Październik“. Tempel stoi pozbawiona bizantyjskiej kopuły, mauretańskich wieżyczek i wykuszy okiennych, stoi i ciągle skrywa głos kantora Josepha Smidta.

Ten odcień jest nie do starcia, bo warstwy, które się tu na siebie nakładały nie niszczyły poprzednich. Technika polegająca na stworzeniu pasma izolacji, aby następnie pokryć wszystko monolitycznym nowym gruntem, nigdy się tu nie zadomowiła. Nową warstwę kładziono *al fresco* – na wilgotnej jeszcze zaprawie, tak, że nowe farby stapiały się z gruntem i razem z nim zasychały w nową formę. Warstwy nałożone metodą *secco*, na suchej zaprawie, okazywały się w bukowińskim klimacie krótkotrwałe.

Odcień bukowiński niewątpliwie powstał ze stopu różnych elementów. Niewątpliwie szlachetnych, z kunsztem przez mistrzów różnych narodów i religii oszlifowanych. Nieprzetłumaczalny. Ten sam we wszystkich językach. W dobie panowania Austrii podjęto próbę przekładu na „Buchenland“, ale bezskutecznie.

10.

*W czterech językach zbratane
pieśni
w poróżnionym czasie.*

Rose Ausländer: Bukowina.

Krzysztof Czyżewski

FORUM



Egon Schiele, *Stein nad Dunajem z winnicami*, 1913.

BRIX
CZYŻEWSKI
FISZBEJN
SCHIELE

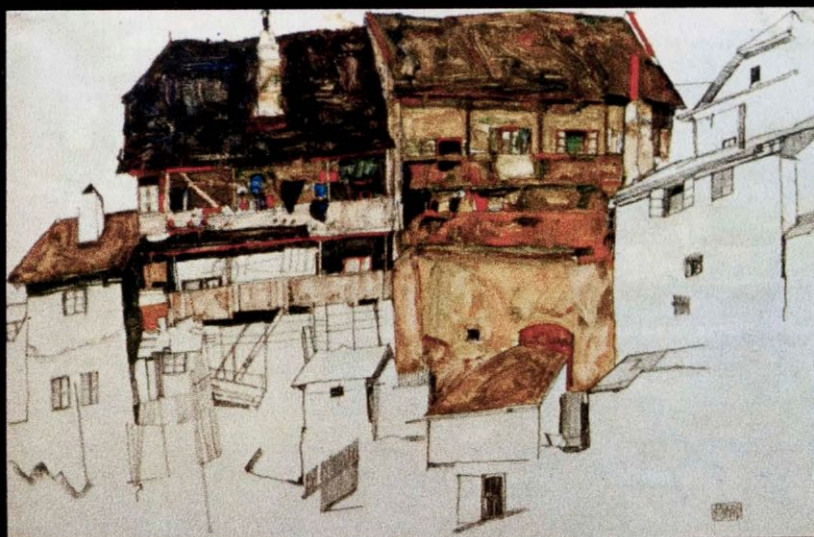


Egon Schiele urodził się 12 lipca 1890 roku w Tulln nad Dunajem, 40 kilometrów od Wiednia. Studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, gdzie poznał m.in. Gustava Klimta, swego ojca duchowego w młodzieńczym rozwoju. Około 1910 roku uzyskał samodzielność artystyczną i stał się jednym z najważniejszych artystów wiedeńskich tego okresu, zdominowanego przez secesję i ekspresjonizm.

Brał udział w wystawach w Budapeszcie, Kolonii, Dreźnie, Monachium, Paryżu i Rzymie. W 1915 roku powołany został do wojska, gdzie dostał do swej dyspozycji pracownię.

Wytawa *Wiener Secession* w 1918 roku, do której sam zaprojektował plakat, przyniosła mu sławę i uznanie. Potwierdzają to wystawy w Zurychu, Pradze i Dreźnie w tym samym roku.

Szalejąca wówczas w Wiedniu epidemia grypy, tzw. hiszpanki, zabiera najpierw jego żonę Edith, oczekującą dziecka, a potem – 31 października 1918 roku – jego samego.



Stare domy w Krumlovie, 1914
(u góry)

Miasto o zmieszchu (Graz), 1913

EMIL BRIX

Pochwała miast Europy Środkowej



Po przewrotach politycznych lat 1989-1990 przyszłość Europy należy do jej miast. Czerniowce, Lwów, Kraków, Bratysława i Triest to tylko kilka przykładów miast, które muszą jeśli pragną wykorzystać swą szansę, promieniować swymi wpływami poza granice państw, w jakich się znajdują. Spróbuję przedstawić tę myśl, ograniczając się do interpretacji zdania, wyrażonego w roku 1986 przez węgierskiego pisarza Gyorgy Konrada: „Jeśli Budapeszt zechce być miastem tylko węgierskim, a Wiedeń tylko austriackim, wówczas obu im uda się zostać jedynie miastami prowincjonalnymi”.

Ten, kto odwiedzi dziś Pragę i Temesvar czy też Kraków i Triest, stwierdzi, że wszystkie te miasta wyglądają mniej więcej podobnie. Podobieństwa owe, będące wynikiem procesu historycznego liczącego ponad tysiąc lat, są do dziś widowym świadectwem wspólnoty kultury środkowoeuropejskiej. Wkrótce po okresie wędrówki ludów powstały w Europie „państwa środka”, które utworzyły między Zachodem a Wschodem przestrzeń geograficzną posiadającą swój własny profil kulturowy i polityczny, ukształtowany w wyniku konfrontacji z kulturową tradycją zachodnio- i wschodnioeuropejskich systemów władzy oraz religijnymi napięciami pomiędzy Rzymem a Bizancjum. Środek Europy aż do czasu powstania w nim wielkich mocarstw, rządzonych przez Habsburgów i Jagiellonów, był w dużej mierze terenem granicznym i przejściowym, na którym przynajmniej polityczne stosunki określane były przez czynniki zewnętrzne. Wraz z ustanowieniem w XIV wieku politycznej potęgi Habsburgów i Jagiellonów, ponadregionalne znaczenie otrzymały także centra miejskie ich państw; szczególnie dla Pragi, Wiednia i Krakowa stanowiło to początek kulturowej samodzielności. Miasta Europy Środkowej stały się ważnymi ośrodkami politycznymi i gospodarczymi, a także ogniskami nauki i edukacji (założenie uniwersytetu w Pradze w roku 1348, w Krakowie w 1364, w Wiedniu w 1365 i w Pecs w 1367).

Do rozwoju europejskich państw terytorialnych w dużej mierze przyczyniły się francuskie i angielskie wzory integracji państwowej, która w Europie Środkowej ze względu na różnorodność tradycji kulturowych oraz nierówność poziomów cywilizacyjnych osiągnięta została dopiero wraz z ukształtowaniem nowego porządku politycznego po pierwszej wojnie światowej. A przecież także w Europie Środkowej już pod koniec średniowie-

EMIL BRIX (ur. 1956) – historyk, dyplomata austriacki, konsul generalny w Krakowie w latach 1990–1993, honorowy obywatel Krakowa, autor licznych publikacji o Europie Środkowej



Trst (Triest). Veliki kanal in pravoslavna cerkev. Poczłtówka z 1902 roku wydana przez Janko Trošta w Trieście, wysłana na adres: Pan Franc Kukava, K. u. K. Infanterij Reg N. 81, 3 Komp. Iglau, Morava.

czna zarysowały się przesłanki do powstania jednolitej przestrzeni kulturowej. W wyniku dynastycznego połączenia, zarządzanych przez Habsburgów Austrii, Czech i Węgier, powstały w XVI wieku polityczne i kulturowe warunki, które przez blisko 400 lat określały rozwój tego regionu. W XVI wieku, w okresie renesansu, wielkiego i płodnego ideowego prądu zapoczątkowanego w krajach śródziemnomorskich, w miastach cesarstwa Habsburgów zaczęły rysować się horyzonty odrębnej przestrzeni kulturowej, właściwej dla Europy Środkowej. Zagrożenie europejskiego systemu wartości humanistycznych ze strony potęgi otomańskiej i islamu spowodowało intensyfikację refleksji nad ludzką indywidualnością. Reformacja, a jeszcze bardziej koncepcja kontrreformacji przyjęta przez Habsburgów, w której idea misji katolicyzmu i walki z wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi ukształtowały specyficzny dla baroku sposób odczuwania życia, wytyczyły granice pomiędzy przestrzenią kulturową Europy Środkowej a innymi przestrzeniami europejskimi. Historyk literatury Zoran Konstantinovic pisze o tym następująco: „W Europie Zachodniej świadomość barokowa objawia się w kartezjańskim, racjonalistycznym sposobie myślenia i znajduje swój wyraz przede wszystkim w filozofii i literaturze; w Europie Środkowej wyraża się ona grą form w muzyce i architekturze. Także oświecenie na terenach środkowoeuropejskich nie zdaje się tak konsekwentnie na kierownictwo rozumu i Kantowski imperatyw kategoryczny, lecz realizuje się bezpośrednio w procesie wychowania szerokich warstw ludowych”. W wieku XIX cesarstwo Habsburgów, mimo trwających w nim szeroko zakrojonych procesów modernizacyjnych, w porównaniu z krajami Zachodu prezentuje się jako monarchia sprzeczności. Wielość języków, a wraz z nimi tradycji kulturowych, stała się elementem systemu politycznego, w którym wprawdzie istniała daleko idąca zgoda dotycząca hierarchii wartości, który jednak wobec problemów stwarzanych przez dążenia narodowościowe poszczególnych grup etnicznych nie mógł pełnić roli czynnika państwowotwórczego. Po okresie ruchów rewolucyjnych 1848 roku w dyskusjach na temat Europy Środkowej, w których zastanawiano się również nad pojęciem tego obszaru jako wspólnej przestrzeni ekonomicznej, na plan pierwszy wysunęła się sprawa reformy monarchii habsburskiej w duchu federacyjnym. Wielkie miasta stały się ośrodkami nowoczesności i wymiany kulturalnej, ale w nich także ujawniły się silniej niż na płaszczyźnie regionalnej czy ogólnopanaństwowej dążenia niepodległościowe poszczególnych narodowości. Właśnie w tym stałym napięciu pomiędzy pojęciem miasta jako nowoczesnej przestrzeni życiowej a pojmowaniem go jako miejsca konfrontacji tradycji lokalnej z obcymi tradycjami etnicznymi oraz z całością państwa, miasta środkowoeuropejskie stały się skupiskami ludności o dużej sile przyciągania, które ze względu na wielość swych funkcji przekształcały się w prawdziwe ośrodki życia kulturalnego. A przy tym miasta monarchii habsburskiej otrzymały w drugiej połowie XIX wieku nie tylko porównywalny wzajemnie wygląd zewnętrzny, lecz także stały się miejscami porównywalnych twórczych napięć – pomiędzy Czechami a niemieckojęzy-

cznymi Austriakami w Pradze i Brunnie, pomiędzy Polakami a Ukraińcami we Lwowie, pomiędzy Włochami a Słoweniami w Trieście czy też Słoweniami a niemieckojęzycznymi Austriakami w Laibach. W porządku tego środkowoeuropejskiego świata mieściła się możliwość, a niekiedy i konieczność podróżowania z miasta do miasta. Biografowie wszystkich wybitnych postaci, które żyjąc na przełomie wieków wywarły istotny wpływ na życie duchowe XX stulecia, zwracają uwagę na częste zmiany miejsc przebywania swych bohaterów, dokonywane na terytorium późnej monarchii habsburskiej (Musil, Freud, Canetti, Buber, Herzl, Kokoschka). Tego rodzaju „zmiana horyzontów” pozwalała im doświadczać życia wygnańców bez opuszczania granic własnego państwa.

Także po upadku wielonarodowościowej monarchii Habsburgów Europa Środkowa mimo nowych, wywoływanych przez nacjonalizmy konfliktów granicznych, pozostała wspólną przestrzenią kulturową – z jednej strony dlatego, że w nowo powstałych państwach żyły mniejszości etniczne, z drugiej – bo utrzymujące się, przynajmniej na płaszczyźnie gospodarczej i kulturalnej, ścisłe więzi pomiędzy tymi państwami pozrywane zostały dopiero w wyniku imperialistycznych zakusów Trzeciej Rzeszy i ich zbrodniczej realizacji podczas drugiej wojny światowej. Dokonany po roku 1945 podział Europy na dwa wrogie obozy był jeszcze jedną konsekwencją pozrywania owych więzi. Europa Środkowa przestała być odrębną przestrzenią i tylko w prognozach pogody pojawiała się jeszcze niekiedy jej nazwa, która, jak się wydawało, utraciła nawet swój sens geograficzny. Przetrwiała jedynie środkowoeuropejska strefa czasu, ona jednak ustanowiona została pod koniec XIX wieku nie ze względów kulturowych, lecz gospodarczych na obszarze od Madrytu aż po Warszawę.

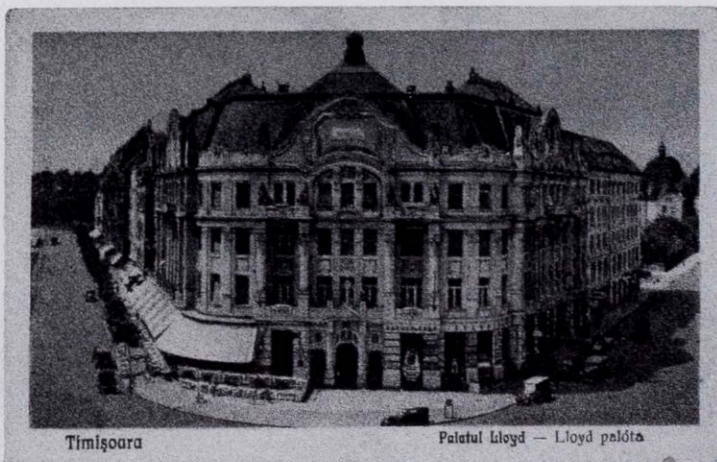
Do ponownego odkrycia Europy Środkowej (nie w Wiedniu, lecz w pozornie tak peryferyjnych miejscowościach jak Triest i Kraków, w stolicach państw wschodnioeuropejskich, takich jak Praga czy Budapeszt) doszło wówczas, kiedy dały się słyszeć głosy młodych intelektualistów, którzy mówili o utracie przez ich kraje centrowych pozycji i szukali formy do wyrażenia swego protestu przeciwko zewschodnieniu tych krajów w komunistycznej rzeczywistości. Czeski pisarz Milan Kundera w początku lat osiemdziesiątych napisał w Paryżu artykuł zatytułowany „Tragedia Europy Środkowej”, po opublikowaniu którego mogło się wydawać, że na sygnał taki czekało całe pokolenie intelektualistów. Europę Środkową określono jako przestrzeń pomiędzy Niemcami a Rosją oraz – w ślad za węgierskim pisarzem Gyorgy Konradem – zwracano uwagę, że to właśnie miasta tego regionu (dzięki powszechnie uznanym w nich poglądom, normom i tradycjom) wytworzyły pewną formę solidarności, pozwalającej przekraczać granice państwowe i ideologiczne. W dyskusji prasowej podkreślano, że na obszarze panowania Habsburgów żywe były tradycje łacińskie i katolickie oraz wpływy kultury niemieckojęzycznej, którą w znaczący sposób, zwłaszcza w XIX wieku, współtworzyli Żydzi. Poruszano także problemy natury



Emil Brix

FORUM

Timișoara. Palatul Lloyd.
Pocztówka z roku 1930 wysłana na
adres: *Emina Patrelt,*
str. Spiru Haret 9, Bucurest.



Timișoara

Palatul Lloyd – Lloyd paláta

etycznej (Vaclav Havel zgłosił postulat życia w prawdzie). Upadek reżimów komunistycznych potwierdził żywotność tradycji kulturalnych Europy Środkowej. Geografia tego regionu, dostrzegalna najlepiej w jego miastach, pozostaje wieloznaczna i wielobarwna.

W żadnej dyskusji intelektualnej na tematy europejskie nie można było pominąć sprawy Europy Środkowej ani zaprzeczyć istnieniu odrębnej przestrzeni kulturowej tej części kontynentu, nie narażając się przy tym na zarzut zdrady wobec jej mieszkańców, którzy w swych protestach przeciwko realnemu socjalizmowi odwoływali się do legendarnej idei Europy Środkowej. Przed rokiem 1989 dla opozycji ścierającej się z rzeczywistością wschodniej części podzielonej Europy odwołanie się do poczucia wspólnoty kulturowej, wykraczającej daleko poza granice bloków politycznych, ważne było nie tylko jako potwierdzenie kulturalnej samodzielności tego obszaru i jego elity intelektualnej, lecz także jako forma protestu przeciwko rozpołowieniu kontynentu i usiłowaniom narzucenia jego wschodniej części komunistycznego widzenia człowieka i świata.

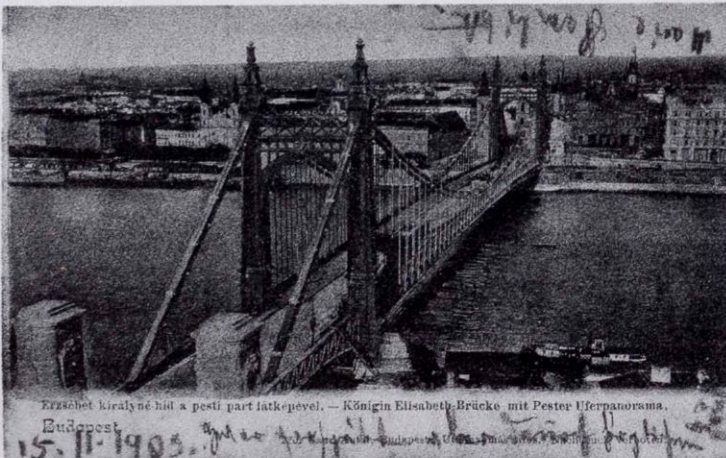
Ten protest intelektualistów przeciwko pozornej rzeczywistości naznaczonej wschodnim stemplem przestrzeni ich życia przyczynił się w rozstrzygający sposób do upadku realnego socjalizmu. Dzisiaj wszakże nasuwa się pytanie, czy w nowym porządku europejskim, tworzonym według zasad demokracji, państwowości opartej na prawie i gospodarki rynkowej, myślenie o kulturze Środkowej Europy może w dalszym ciągu odgrywać pozytywną rolę.

Wydaje się, że zbyt różnorodne są ujawniające się ponownie narodowe interesy poszczególnych krajów, które ciążyą ku Zachodowi, a zarazem myślą o Europie Środkowej co najwyżej jako trampolinie lub miejscu, z którego można się dostać do Unii Europejskiej i NATO. Zapewne niedługo stanie się jasne, czy wobec nowej sytuacji, stwarzającej konkurencję pomiędzy państwami takimi jak Czechy, Słowacja, Polska, Ukraina, Węgry, Słowenia i Chorwacja, wielowiekowe tradycje kulturalne mogą pozytywnie oddziaływać także w czasach radykalnych zmian politycznych. Wartości kultury środkowoeuropejskiej nie da się ani łatwo ocenić, ani też dokładnie zdefiniować. Wartości tych dopatrywać się należy w sferze kolektywnych doświadczeń, w podyktowanej koniecznościami życiowymi praktyce nieustannego pokonywania przeciwności oraz akceptowania i przyjmowania za swoje tego, co obce i odmienne, po to, by możliwie bezkonfliktowo kształtować własne życie. Jeśli tego rodzaju wyzwania historii owego

obszaru zrodziły wśród jego mieszkańców szczególną umiejętność syntetyzowania lub przynajmniej – użyjmy terminu Roberta Musila – „myślenia możliwościowego”, to umiejętność ta musiała ujawnić się właśnie w obecnej sytuacji, w której ponownie odżywają stare, uważane dotychczas za przebrzmiałe, konflikty. Europa Środkowa jest wzorcem „kultury konsensusu”, a historia jej wykazała zarówno zalety (duża zdolność integracyjna), jak też i wady (skłonność do ideologizowania, unikanie sytuacji konfliktowych) tego wzorca.

Poszczególne elementy wspólnoty kulturowej, a także konflikty drą-

Budapeszt. Most Królowej Elżbiety z panoramą Pesztu. Poczłtówka wydana przez Ganz Antala w Budapeszcie (nr 220) wysłana 15 listopada 1903 na adres: *Nemétz Josef, Pusztá Kalán, Hunyad.*



zące śródek Europy są produktem historycznego rozwoju tego regionu. Zrodziły się one w wyniku dążeń do zachowania własnej tożsamości narodowej poszczególnych ludów oraz dążeń do osiągnięcia przez nie innych form integracji (np. religijnej czy dynastycznej). Ukształtowały się one w trakcie sporów o zachowanie językowej i etnicznej różnorodności, a zarazem nabrały charakteru brzemiennej historycznie osobliwości, ujawniających się w wyraźnie dostrzegalnym, a przez to tak dziwnym pragnieniu asymilacji. Wspomnijmy tu o tęsknotach asymilacyjnych środkowoeuropejskiego żydostwa, a także o tęsknotach wielu ludzi z państw określanych dotychczas jako wschodnioeuropejskie za nowym zadomowieniem się w Europie, które nie opierałoby się tylko na zasadzie narodowościowej. Manifestuje się to wyraźnie w nostalgii, jaką pamięć o dawnej Galicji wzbudza na terenach Polski południowej. Kulturalne tradycje tego regionu przejawiają się tam także w gorących sporach na temat tego, co na Zachodzie nazywa się kulturą polityczną, a co węgierski pisarz Gyorgy Konrad nazywa antypolityką. Sposób wyrażania swych racji bywa tam bardzo często romantyczny, ale celem jego jest zawsze racjonalne rozwiązywanie konfliktów oraz prowadzenie na jednej płaszczyźnie – tej, która dostępna jest ludzkim emocjom – dyskusji o demokracji i kulturze.

Wszystko to podkreśla nieprzerwaną obecność historii jako kategorii moralnej lub też przynajmniej jako pozytywnie odbieranej formy nostalgii. A przy tym mit Habsburgów staje się tu tak samo przedmiotem refleksji jak, z konieczności, te wspólne historyczne problemy, które w czasach realnego socjalizmu uchodziły za tabu. Dla wielu ludzi z tego obszaru kulturowego, współczesność tego, co niewspółczesne, jest codziennym doświadczeniem życiowym.

Aby mieć jasność pojęć, należy najpierw postawić pytanie o granice Europy Środkowej, gdyż przeciwnicy wszelkich form polityki środkowoeuropejskiej argumentując przeciwko niej, w pierwszym rzędzie wskazują na nieokreśloność geograficzną tego regionu, podczas gdy jej zwolennicy czynnik ten uważają za swoiste *fascinosum*, a nawet za samą istotę europejskości.

Losy Europy po drugiej wojnie światowej do całkiem jeszcze niedawnych lat uzależnione były od tego, iż istniał w niej rzekomo jednoznaczny Zachód i równie jednoznaczny Wschód. Nawet dla Austrii, której historia nie odpowiada temu schematowi, przyporządkowanie do świata zachodniego stało się przesłanką do uznania, iż zarówno polityczna integracja europejska, jak też współpraca kulturalna powinny w dużej mierze uwzględniać podział kontynentu na dwie części.

Gdy w roku 1989 opadła żelazna kurtyna, a wraz z tym faktem wprowadzone po drugiej wojnie światowej rozróżnienie na Europę Zachodnią i Wschodnią utraciło swą ideologiczną podstawę, okazało się, że dla rozległych obszarów Europy wcale nie oznaczało to końca historii, lecz rozpoczęło proces przywracania politycznemu i kulturalnemu życiu środka kontynentu wielu odrzuczanych dotychczas doświadczeń historycznych. Pojęcie „Europa Środkowa” stało się politycznym hasłem, służącym zbliżeniu dotychczas odmiennych ideologicznie rajów, od Ukrainy po Austrię i od Polski po Chorwację. Z myślą o tym pojęciu opozycyjni intelektualni Węgrzy, Polacy oraz Czech, wspierani głosami Austriaków, mieszkańców północnych Włoch oraz Niemców prowadzili dyskusję już w latach siedemdziesiątych. Brali w niej także udział twórcy, którzy ze względu na swe pochodzenie (Eugene Ionesco) lub swe przekonania (Andre Glucksmann) poczuli się do tradycji środkowoeuropejskiej. Do dziś toczą się spory o granice owej pojęciowo traktowanej Europy Środkowej. W dialogu o niej nie można pominąć Niemiec, choć nie uważa się ich raczej za jej część



Emil Brix

FORUM

składową. Podobnie rzecz przedstawia się z terenami serbskimi oraz z Rumunią i Bułgarią. Dla Niemiec Europa Środkowa stanowi tradycyjnie ważne ze względów politycznych i gospodarczych zaplecze, sięgające aż do historycznie zmieniającej swą wielkość rosyjskiej sfery wpływów. Dla Austrii Europa Środkowa jest przede wszystkim przestrzenią pomiędzy strefami wpływów wielkich mocarstw, której geografii można określać jedynie wedle kryteriów kulturowych.

Wspólnej przestrzeni kulturowej nie można zdefiniować, przyjmując jako kryterium jedynie granice pomiędzy państwami. Stwierdzenie to, mające znaczenie uniwersalne, w szczególnie widoczny sposób odnosi się do Europy Środkowej, bowiem żadne z leżących w niej państw nie ma pod koniec XX wieku takich samych granic, jakie miało u jego początków (o ile wówczas w ogóle istniało). Wspólnoty środkowoeuropejskiej szukać zatem należy w innego rodzaju strukturach. Przede wszystkim w miastach, w których pamięć o wspólnocie poprzedniej jest zarazem wyzwaniem rzuconym przyszłości.

Właśnie miasta zachodnioeuropejskie były miejscami przenikania się różnorodnych tradycji i mogą nimi nadal pozostawać niezależnie od istnienia sztucznego podziału na tak zwany „blok wschodni” i „wolny Zachód”. Pomiedzy obydwojma blokami nie należy już tworzyć żadnych specjalnych połączeń, należy jedynie rozwiązywać codzienne problemy ich wzajemnej gospodarczej i kulturalnej współpracy. Im większy jest obszar, na jaki jedne miasta oddziałują i z jakim utrzymują związki, tym bardziej interesującymi partnerami stają się one dla innych miast. Nadszedł czas, w którym burmistrzowie powinni wykazać się inicjatywą, w którym należy poprawiać infrastrukturę miejską i odnawiać poprzednie kontakty. Stabilność i bezpieczeństwo Europy Środkowej nie są już powiązane z istnieniem żelaznej kurtyny, która miała służyć podporządkowaniu przeważającej części Europy Środkowej mocarstwu wschodniemu, lecz zależą od umiejętności przekraczania granic, wyzwalającej nową dynamikę i twórczą destabilizację. Karl Schlogel tak oto opisuje zakres zachodzących tu zmian: „Nie jest to tylko polityczne czy geopolityczne przegrupowanie mapy strategicznej, lecz rzeczywista przemiana dokonująca się na terenach, na których żyją miejscowe społeczeństwa. Wszystko przy tym staje się inne niż poprzednio: przeżycia wczesnego dzieciństwa i dalsza droga życiowa człowieka, sposób widzenia innych i widzenia samego siebie, kierunki rozwoju całych regionów i losy zamieszkujących je ludzi, perspektywy miast leżących

dotychczas na końcu świata i stających się nagle ruchliwymi miejscami tranzytu... Wszędzie odnawiana sieć połączeń zaczyna ponownie spajać zasypane i pozacierane od dawna linie i punkty”. Są to słowa niemieckiego obserwatora, który dostrzega zadania, jakie jego kraj ma do spełnienia w Europie Środkowej. Mówi on o „zatopionych miastach”, odzyskujących swe miejsca na mapach i w naszej pamięci. Protekcyjna dobroduszość owych słów wyraża w istocie znowu stanowisko Zachodu, powszechnie akceptowane także w Niemczech. Tego rodzaju analiza procesów zachodzących w Europie Środkowej

Praga. Václavské Náměstí.
Pocztówka z roku 1907 wydana przez
Tisk RETIP Červený Kostelec.



nie uwzględnia faktu, iż doświadczenia historyczne nagromadzone w tym regionie budzą wśród jego mieszkańców nieufność wobec wielkich i wyrazistych idei. Istnienie żelaznej kurtyny sprzyjało myśleniu utopijnemu (to znaczy nie związanemu z konkretnym miejscem). Tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie krytyka systemu władzy oraz teoria rozwoju społecznego nie miały wymiaru terytorialnego, lecz czasowy: były zorientowane na przyszłość i postęp. Ale wobec ogromnych różnic występujących na terenach Europy Środkowej pojęcie postępu nie jest tu ani jednoznaczne, ani bezdyskusyjne. Johann Nestroy sformułował tę myśl następująco: postęp odbywa się dopóty, dopóki się nie skończy. Europa Środkowa jest poprzeczanym wieloma granicami obszarem niełatwego współżycia wielu ludzi, rozciągającym się pomiędzy Niemcami a Rosją. Tak można by zdefiniować przestrzeń, w której wytworzyła się wspólnota środkowoeuropejska.

W przestrzeni tej rodziły się i rodzą konflikty pomiędzy odmiennymi systemami, żyjące w niej ludy muszą znosić nieznośną dla siebie bliskość obcych, idea państwa narodowego jest wciąż niewystarczająca, a sprawa ograniczeń suwerenności wciąż aktualna.

W przestrzeni takiej nieustannie zabiegać należy o wzajemne rozumienie się, jak poucza dramatyczny koniec państwa jugosłowiańskiego. I dopóki istnieje stwarzająca konkurencję różnorodność, twórcze napięcie ożywiająca przestrzeń kulturową Europy Środkowej jest zarazem wyzwaniem do rozwijania demokratycznymi metodami politycznych struktur, które konfrontowałyby istniejące konflikty z sytuacją takiej właśnie różnorodności i przyczyniały się do ich codziennego rozwiązywania. Kalifornijski urbanista Edward W. Soja, odwołując się do multikulturalnej sytuacji Los Angeles, ubolewał nad lekceważeniem przez współczesne teorie rozwoju społecznego pojęcia przestrzeni na rzecz pojęcia czasu: „Przestrzeń traktowana jest zwykle jako coś stałego, martwego, niedialektycznego...” Przestrzeń pozostawiana zwykle bywa geografii, traktowanej jako nauka pomocnicza, i także w zakresie teorii politycznych zajmują się nią skompromitowani politycznie geopolitycy. W toczonej w latach osiemdziesiątych dyskusji na temat Europy Środkowej przyjmowano jako założenie wymaganą inwersję przestrzeni i czasu. Przewroty lat 1989-1990 spowodowały, że modne stało się dyskutowanie oraz pisanie o końcu historii. Inwersją już dokonała się, przestrzeń uchodzi za atrakcyjną, a czas za wielkość całkiem dowolną.

A przecież rozważania nad przestrzenią kulturową Europy Środkowej są czymś więcej niż przejawem mody, ponieważ prowadzą je nie tylko pogrążeni w nostalgii emigranci i rozczarowani utopijni intelektualiści. Pragnienie odtworzenia więzi historycznych, a przede wszystkim doszukiwanie się początków współczesności we wzajemnym oddziaływaniu różnych czynników, właściwych dla drugiej połowy XIX wieku i późnej monarchii habsburskiej, łączy dziś ludzi żyjących na terenach, które po zakończeniu pozornej stabilizacji na Wschodzie i Zachodzie muszą kształtować swą przyszłość w nowej Europie.

Gdyby nie zabrzmiało to zbyt patetycznie, moglibyśmy miasta Europy Środkowej porównać do sznura pereł; porównanie to jednak wywołuje od razu wcale nie tak bagatelne pytanie, czyją szyję łańcuch ten będzie zdobił.

Przełożył **Antoni Baniukiewicz**



Emil Brix

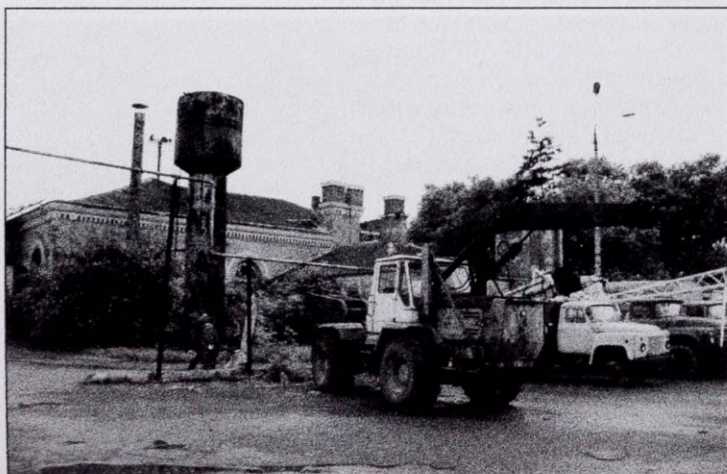
FORUM

Czerniowce – zapomniana metropolia na rubieżach monarchii habsburskiej*

* Pierwotna wersja tego tekstu w języku angielskim ukazała się w książce „The Historical Metropolis. A Hidden Potential”. Cracow 1996.

Fragmety w języku polskim opublikował „Midrasz” nr 3-4, 1997.

Sadagóra 1998 rok. Za Związku Radzieckiego w dawnym dworze cadyka mieścił się zakład naprawy traktorów i samochodów ciężarowych.



1 Aby tam dotrzeć, Europejczyk musi udać się na Wschód. Może przybyć do Lwowa, a stamtąd już tylko około 300 kilometrów najkrótszą dla samochodu drogą przez Iwano-Frankiwnsk (jeszcze nie tak dawny Stanisławów) i Kołomyję. Chyba, że zwabią go góry i Huculszczyzna – wtedy przez Wierchowinę (dawne Żabie), Kosów i Wyżnicę. Ale i tak dotrzeć trzeba do Prutu i go przekroczyć. Wiodą tutaj także drogi z południowego Zachodu, przez Siedmiogród do Suczawy – stolicy rumuńskiej Bukowiny, skąd już tylko 90 kilometrów, ale do przebycia pozostaje młoda, bo dopiero po 1945 roku przeprowadzona, silnie strzeżona (z tych tzw. granic przyjaźni) granica rumuńsko-ukraińska (początkowo między ZSRR a Rumunią).

Pozostaje wreszcie prastary szlak czarnomorski, wiodący z północy Europy do Konstantynopola, który na początku naszego tysiąclecia przecierali kupcy ormiańscy, żydowscy, niemieccy, polscy..., a także rozmaici emisariusze i szpiedzy cesarzy bizantyjskich i sultanów tureckich, misjonarze zwaśnionych i rywalizujących ze sobą kościołów, dzieci rodów szlacheckich i mieszczańskich wysyłane po naukę w stronę Krakowa i dalej... Dzisiaj szlak ten zdominowały nieprzeliczone rzesze handlarzy

z byłych krajów obozu socjalistycznego, którzy dzięki swemu nieprawdopodobnemu samozaparciu, przebiegłości w forsowaniu niezycliwych im granic i do perfekcji dopracowanej sztuce upychania wielkiej ilości większych i mniejszych towarów do małych samochodów, do wielkich tobołków dźwiganych na własnym grzbiecie, wreszcie do bezkresnych, jeśli chodzi o pojemność, własnych ubrań – dzięki temu wszystkiemu niezamordowane wypełniają powstające jak grzyby po deszczu wzdłuż tego szlaku ciągle nowe bazy i targowiska. Wieść niesie, że w miejscu, do którego się uda-

jemy, jest drugi co do wielkości – po gigantycznym warszawskim „Stadionie” – bazar w tej części Europy.

Z której strony byśmy nie zdążyli, docieramy do samej północno-wschodniej rubieży Karpat. Góry, do których ostatnich stoków miasto jest przytulone, stanowią dla niego mocne oparcie; oparcie o Europę, z którą wciąż utrzymywana była właśnie poprzez przełęcz karpackie. Mimo że łagodne pagórki, które tutaj sięgają zaledwie 220 m.n.p.m., w głębi zmieniają się w trudno dostępne pasma górskie, a potoki stają się rwące, to jednak z tego kierunku ku miastu napływają bezpieczne prądy i wyczuwalny jest spokój pewnej wspólnoty historycznej i kulturowej, której spoiwem są Karpaty.

Pрут, który początkowo splywa z gór w kierunku północnym, a potem płynie na wschód przez Czerniowce, dosięgnąwszy styku granic ukraińskiej, rumuńskiej i mołdawskiej nagłym łukiem opada hen na południe aż do Dunaju, ulegając ojcowskiej sile przyciągania, i już wspólnie z nim oddaje swe wody i swych podróźnych Morzu Czarnemu. Natomiast rzeka Cisa, której źródła znajdują się nieopodal źródeł Prutu w pasmie Czarnohory, płynąc wzdłuż dzisiejszych granic ukraińsko-rumuńskiej i ukraińsko-węgierskiej, zatacza z kolei łuk w kierunku południowo-zachodnim i wpada do Dunaju gdzieś między Nowym Sadem a Belgradem. Wraz z Dunajem, płynącym na południe wzdłuż granic jugosłowiańsko-rumuńskiej i rumuńsko-bułgarskiej, rzeki te tworzą wyjątkowo harmonijny krąg, w sercu którego znajdują się miasta Siedmiogrodu, a na obejmujących je łukach, oprócz Czerniowiec, gnieźdzą się również Jassy, Bukareszt, Belgrad, Nowy Sad, Subotica, Seged, Debreczyn i Užhorod.

Inaczej gdy spojrzymy w przeciwnym kierunku, na północ i wschód. Jakbyśmy nagle znaleźli się na urwisku, na samej krawędzi innego żywiołu – wielkiej, bezbrzeżnej przestrzeni, która jest nie do ogarnięcia. Rozpoczynają się równiny Podola i Wołynia, rozciągają się stepy, a rzeki – najpierw Dniestr a potem Dniepr – nie spotykają się, płyną coraz mozolniej i jednostajniej. Nic nie zawężła się, nie zacieśnia, nie zabliznia w zaulek; wszystko jest otwarte, dalekie, niepojęte, zagubione; człowiek jest tam małej i zagubiony. Czuć już powiew Azji. W tym bezkresie ostać się mogą jedynie twierdze warowne, jak choćby te w pobliskim Chocimiu czy Kamieńcu Podolskim, albo też jakieś wspólczesne giganty typu kombinat czy osiedle z betonu. Oto drugi świat, do którego przylega to miasto, z którego zawiewają tu wiatry i przenikają do choćby najtroskliwiej strzeżonych zakamarków.

Oto Czerniowce, miasto spotkania żywiołów, które pewien dziewiętnastowieczny pisarz bukowiński nazwał „pół-Azją”.

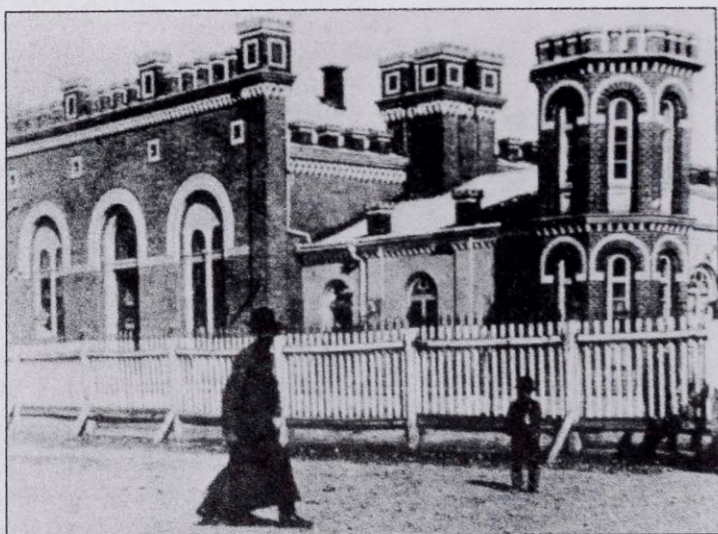
2 Wydawałoby się, że dogodnie miejsce dla rozwijającego się miasta powinien stanowić lewy brzeg Prutu, równiny, rozległy, pozwalający na swobodną rozbudowę. Na przeciwnym brzegu pływającym się stromo w górę mogłoby wznosić się trudno dostępne zamek obronny. Choćby tak, jak to ma miejsce w Budapeszcie, gdzie na wzgórzach Budy usytuowany jest stary gród wraz z zamkiem, a całe nowoczesne miasto rozwinęło się na drugim,



Krzysztof Czyżewski

FORUM

Dworek cadyka w Sadagorze na przełomie stuleci.





Dworzec kolejowy w Czerniowcach,
195.

plaskim brzegu Dunaju, w Peszcie. Wprawdzie w granicach dzisiejszych Czerniowiec znajduje się odległa o kilka kilometrów od centrum Cecyna, wzgórze, na którym jeszcze król Kazimierz Wielki wybudował twierdzę obronna, wprawdzie archeolodzy odnaleźli ślady istnienia pierwszej tutejszej osady na lewym brzegu Prutu, to jednak miasto rozwinęło się na prawym, pokrytym wzgórzami brzegu rzeki. Na przekór tym, dla których tutejsze warunki życia mogłyby wydawać się uciążliwe, nielogiczne, niepraktyczne, prowincjonalne – stolica Bukowiny jest miastem „tańczącym na wzgórzach”.

Stary gród na lewym brzegu rzeki, który zniosła z powierzchni ziemi pierwsza nawałnica mongolska, zwał się zapewne Czernem, a tych, którzy z niego się ostali, zwano prawdopodobnie Czerniowcami. Nie wszyscy uciekli. Byli tacy, co uwili swe gniazda po drugiej stronie rzeki. Zanim jednak pójdziemy ich tropem pozostańmy jeszcze chwilę tutaj, gdzie przez następne stulecia rozwinęła się i zyskała niemalą sławę osada zwana Sadagóra. Dzisiaj jest to dzielnica Czerniowiec pełna bazarów, co jest pewną kontynuacją wielkich targów bydła, które kiedyś przyciągały tutaj liczne rzesze kupców. Wcześniej jeszcze, w drugiej połowie XVIII wieku, baron saski i szlachcic polski na służbie rosyjskiej, Gartenberg-Sadagórski, założył tutaj mennicę, która przyciągnęła w te strony niemieckich rzemieślników wyznania protestanckiego. Nas przyciąga tutaj jednak co innego – wszak wskazując to miejsce na mapie mówiono „mała Jerozolima nad Prutem”. W jednym ze swych wierszy Rose Ausländer pisała „Jordan wpadał wtedy do Prutu”, a gdzieś w Sadagórze znajdowało się miejsce, w którym przystawiona została do nieba drabina Jakubowa. Aby je dzisiaj odnaleźć, trzeba by się udać do... opuszczonych zakładów naprawy traktorów.

„Człowieku – mówi rozgorączkowany stróż tego opuszczonego i całkowicie zdewastowanego przybytku – oni, a było ich setki w chałatach i z pejsami – nie przywieźli GO tu, oni GO na rękach przynieśli. – Kogo? – Cadyka sadagórskiego! Co roku tu przyjeżdżają. Najpierw wykupili wszystko od władz sowieckich, a teraz jeszcze raz muszą wykupować, bo przyszły władze ukraińskie”.

Tak przedstawia się obecna sytuacja słynnego dworu chasydzkiej dynastii sadagórskiej, założonej przez Israela z Różyna, potomka Wielkiego Magida z Międzyrzecza, który w 1841 roku przeniósł się tutaj z Galicji. W równo sto lat później rozpoczynał się Holocaust – jego praprawnuki, rabin Aron i rabin Mordechaj Friedman, prowadzili swoich ostatnich wiernych, niosąc zwoje Tory, na Wschód, do obozów w Transnistrii, skąd nie mieli powrócić już nigdy. A jednak...

Wielu chasydów nie lubiło dynastii sadagórskiej za ich umiłowanie dóbr doczesnych i wręcz manifestacyjne gustowanie w zbytkach i materialnym przepychu. Tym niemniej do cadyka Abrahama Jakuba ciągnęły tysiące pielgrzymów. Był wśród nich Leopold von Sacher-Masoch, który pozostawił taki oto opis po swej wizycie w 1857 roku: *Przed domem stało mnóstwo ludzi zachowujących się cicho lub rozmawiających szeptem ze sobą oraz mnóstwo pojazdów różnego typu: sanie przykryte drogocennymi pledami ze skór,*

„budki”, jak nazywają żydowskie furmanki pokryte lnem oraz wymoszczone słomą chłopskie wozy zaprzężone w chude szkapiny. (...) Przed bramą świętości młodzi ludzie trzymali wartę, w długich kaftanach z czarnego atlasu, o twarzach bez zarostu, pejsach, w futrzanych czapach na głowach, trzymali wartę. Młody chasyd poprowadził gości schodami na górę, poprzez przedpokój, w którym zebrały się panie domu, żona, synowa, córki i bratanice, ubrane w jedwabne szlafroki i kaftany ozdabiane futrem, uszyte z jedwabiu lub aksamitu, kobiety w kosztownych przepaskach na czole, dziewczęta z warkoczami, w które upleciono perły. Za pierwszym przedpokojem następował drugi, znowu strażę, tym razem jednak starsi mężczyźni o siwych brodach. I wreszcie podniesiona została wielka i ciężka kurtyna...

Pielgrzymował tam jako dziecko również Martin Buber, który napisał później, że w zapadłej i biednej Sadagórze poznał kiedyś prawdziwego cadyka.

Przepychi i wystawność sadagórskich cadyków drażniła nie tylko chasydów, również urzędników carskiej Rosji, którzy zamykali ich w więzieniu, straszili konfiskatą dóbr, a w 1914 roku wojska rosyjskie zniszczyły słynny z formy i kunsztowności dwór w Sadagórze. Zbudowano go w końcu XIX wieku. Patrząc jeszcze dzisiaj na to, co z niego zostało, zadziwić się można nad symbiozą stylów neo-gotyckiego i pseudo-mauretańskiego z elementami romantycznymi na dodatek. Nie jest to jednak jakiś dziwoląg uniikatowy na tym obszarze. Podobny można znaleźć w pobliskim Czortkowie, chociaż tam rozciąga się ta sama dynastia sadagórska. Ważniejsze, że tacy architekci jak Josef Hlavka z Pragi, projektujący siedzibę metropolity w Czerniowcach (późniejszy uniwersytet), czy Julian Zachariewicz z Lwowa, projektujący wielką synagogę Tempel w Czerniowcach, w swoich pracach szli w podobnym kierunku, dobierali podobne elementy. A byli to twórcy znakomici, do swego tworzywa dobierający starannie lokalne, organiczne barwniki, dzięki czemu forma architektoniczna pozwalała mówić duchowi tego miejsca. Tak więc Sadagóra ze swym dziwnym orientalno-zachodnioeuropejskim dworem organicznie przylegała do Czerniowiec. Gdybyż to była jedyna dziwna „zlepkiwość”, którą napotkamy w Czerniowcach. Przejdźmy przez most w głąb samego miasta...

3 Pierwszą okazała budowla, którą napotykamy na prawym brzegu rzeki, jest dworzec kolejowy. Jeśli rację miał Bohumil Hrabal pisząc, że Europa Środkowa sięga wszędzie tam, gdzie odnaleźć można bliźniaczo do siebie podobne, charakterystyczne, w wiedeńskim stylu budowane dworce kolejowe, to ten dworzec stanowi jawny dowód na to, że Europa Środkowa sięga aż tutaj. Być może jest to jej ostatnia, najdalej na Wschód wysunięta stacja. Za monarchii habsburskiej kolej lwowsko-czerniowiecko-jasyrska okrążając stację Łużany nad Seretem nadjeżdżała z Południa. Podróżni od 1905 roku wysiadający na tym dworcu, jednopiętrowym, z okazałą, przykrytą szkłem halą i imponującą kopułą na zewnątrz, wcale nie musieli mieć poczucia, że oto znaleźli się na prowincji, raczej w stolicy małego acz dobrze gospodarzonego i bardzo ambitnego Księstwa Bukowińskiego.



Krzysztof Czyżewski

FORUM

Czerniowce, fragment dzielnicy żydowskiej, 1995 rok.





Krzysztof Czyżewski

FORUM

cy tu na Bukowinie srogie klęski, pustoszył hetman Kamieniecki, z rozkazu króla Zygmunta I mszcząc swoich rycerzy pojmanych w Trembowli i ściętych przez hospodara wołoskiego, pustoszyły wojska tureckie i tatarskie (aż sześciokrotnie), wreszcie wojska rosyjskie, które aż tutaj przeciwko Turkom się zapuściły. Różni panowali tu władcy: gospodarowie mołdawscy, sultan turecki; król Sobieski przyłączył Czerniowce do Rzeczypospolitej w 1687 roku, ale już w 1699 roku na mocy postanowień pokoju karłowickiego miasto i powiat przyłączono z powrotem do Turcji; w 1796 roku na krótko zapanowali tu Rosjanie.

4 Mocarstwa rozgrywały tu swoje partie sprzecznych interesów a ludzie musieli jakoś żyć. Budowali drewniane chaty, małe, za to otoczone dużym ogrodem. Podobnie wznosili cerkwie, tak jak chaty kryte strzechą, odróżniające się od nich jedynie zamocowanymi krzyżami prawosławnymi ustawionymi na półkksiężych. Tak budowano za czasów tureckiego panowania na Bukowinie, kiedy cerkwie nie mogły być zbyt wysokie.

Z tamtych czasów, gdzieś z początku XVII wieku, pochodzi cerkiew św. Mikołaja, która jak poczerniała synogarlica przycupnęła blisko ludzkich sadyb i trwała niewzruszenie przez stulecia. Nie zmożyły ją wojny ani żywioły natury, zmożyły ją dopiero „nasze czasy”. W latach osiemdziesiątych opuszczoną cerkiew przeznaczono na halę treningową dla ciężarowców. W 1990 roku przywrócono tutaj służbę bożą, ale jesienią 1992 roku, czy to na skutek zaniedbania, czy też świadomego zamysłu, cerkiew spłonęła.

Dzisiaj, mimo że świeżo odbudowana świątynia – rzeńska, jasna i ostra w zapachu – z trudem wpisuje się w okoliczny pejzaż, ciągle ma się jednak wrażenie, że czas się tutaj zatrzymał. Dookoła nadal odnaleźć można wiejskie chaty, czasem długi cień rzuca studzienny żuraw, ciągną się drewniane płoty z zatkniętymi saganami, gospodynie zaganiają na noc gęsi, kaczki, kury, bo zakraść się może kuna albo popielica, słychać gdzieniegdzie odgłosy bydła, świń, kóz... Dziwnie w tym otoczeniu wygląda nasz Czernowitser w płaszczu skrojonym na modłę wiedeńską, szykownym kapeluszu i w lakierkach umorusanych w glinie.

Czerniowce przez całe stulecia były wsią, może dużą, może uprzywilejowaną jako siedziba władz powiatowych i punktu celnego, może czerpiącą

wać co i większa przeto proszę dodać 2 kaftaniki po 1/20 pieniądze wrócić - tylko proszę o pośpiech bo kaftan bardzo brudny. Dzisiaj był tu pierwszy przymrozek a nocami są gęste mgły, nieprzyjemne zimno. Proszę zatem o pośpiech. Wafenroki dobrze się doniosły."

Oczom dzisiejszego podróżnego obraz przedstawia się zgoła inny... Ale chwileczkę, może nie od razu dajmy się ponieść emocjom i narzekaniom na zapuszczenie, nieład, brud, smród, chamstwo itd. Wyrwijmy się z tego prądu konieczności i uwarunkowań życiowych obecnej doby, pełnego Ukraińców, Tadżyków, Ormian, Rosjan, Cyganów, Polaków, Rumunów, Turków i kogo tam jeszcze, przepelniającego trolejbusy, które ledwie mogą wspiąć się pod górę, trzaskającego drzwiami taksówek i rozkładającego się z dziećmi i dobytkiem na przeciwległej skarpie.

Gdzieś w pobliżu czeka na nas sam Czernowitser, stary mieszkaniec Czerniowiec i wytrawny przewodnik. Ponoć zna jeszcze tajemniczy język tego miasta, który zanika podobnie jak kiedyś język pruski, chociaż trudno powiedzieć, jaki to jest konkretnie język – nagabywany odpowiada to po niemiecku, wtrącając często słowa w jidisz, to po ukraińsku albo rumuńsku, a czasem także po polsku. Wszystko to brzmi w jego ustach jakoś swojsko, a jego słowa różnią się od tych wypowiedzianych w Berlinie, Kijowie, Bukareszcie czy Warszawie. Nauczył się również rosyjskiego, co nie było trudne w głębi Rosji, podczas któregoś z przymusowych wysiedleń. Później przydał mu się bardzo ten język również tutaj na miejscu.

Otóż Czernowitser radzi nam poczekać do zmierzchu, aż zapalą się latarnie, które – mimo że elektryczne – mają ciągle tutaj ów żółtawy, zbliżony do sepii, tajemniczy poblask jaki ongiś dawały latarnie gazowe. Powoli wspinamy się w górę, ale nasz przewodnik wcale nie jest skłonny prowadzić nas dosyć stromą i najkrótszą drogą do centrum. Wkrótce zbaczamy w uliczki ciągnące się horyzontalnie wzdłuż zbocza, czasem urywające się na spadzistej skarpie, czasem zamieniające się w niebrukowane, błotniste drogi. Zaczynamy błądzić po przedmieściach Kaliszanka i Klokuczka, po zakamarkach żydowskiego getta.

Łatwo tu stracić orientację i zapomnieć, że to nie jest jakaś ukraińska wioska albo mały żydowski sztetl, albo polska dzielnica robotnicza gdzieś na Śląsku, lecz że są to Czerniowce właśnie. To na tych zboczach schronili się uciekinierzy z Czarna i w złudnej nadziei, że tutaj nie dosięgnie ich kolejna dziejowa nawałnica, zaczęli budować nową osadę. Nadzieje były złudne, a ich miasto jeszcze wielokrotnie musiało się odradzać

z popiołów i zgłiszcz pozostawianych przez kolejnych najeźdźców, lupieżców i mścicieli. Pustoszył Czerniowce nieszczęsny król Olbracht, ponoszą-

Panorama der Landeshauptstadt Czernowitz (60.000 Einwohner [mieszkańców]). Poczłtówka wydana przez Sigmund Jäger w Czerniowcach.

Adresat: Hochrohlgeborener Frau Leonore Ellinger in Krakau (Galizien).

Czerniowce 14/XI/1898

Droga mamol zajechałem szczęśliwie. Dzisiaj właśnie przedstawiłem się u jenerała, obersta, lekarzy etc. i dzisiaj jadłem pierwszy obiad w menaży, który mi smakował: był barszcz nasz polski z mamiągą, mięso z rosółu i bardzo dobre jabłka we francuskim cieście. Mieszkania mają być drogie, na razie mieszkam w hotelu. Wszyscy uprzedzająco grzecznie mnie przyjęli, o tem później w liście, który niebawem wysłę. Na razie poselam widok ogólny Czerniowiec. Jeszcze miasta nie znam, gdyż jestem zajęty tymi przedstawieniami. Mój kolega [?] bardzo uprzejmy. Jutro ja będę [?].

Stanisław.

Adres: KuK oberarzt beim Infanterie Regiment No 41.

P.S. Wyjeżdżając gdysmy byli przy kolacji, zdaje się na stole zostawiłem moją bursztynową cygarniczkę do papierosów, którą dopiero nie dawno w Peszcie dałem do naprawy. Proszę bardzo mamę mi ją odesłać – a ponieważ przesyłka będzie to samo kosztować



Panorama der Landeshauptstadt Czernowitz (60.000 Einwohner).

Czerniowce 14/XI 898

wyjeżdżając gdysmy byli przy kolacji, zdaje się na stole zostawiłem moją bursztynową cygarniczkę do papierosów, którą dopiero nie dawno w Peszcie dałem do naprawy. Proszę bardzo mamę mi ją odesłać – a ponieważ przesyłka będzie to samo kosztować



korzyści z handlu granicznego, ale jednak wciąż. Prawdopodobnie dopiero w 1765 roku powstała tu pierwsza budowla kamienna – cerkiew św. Jerzego, do której docieramy przedostając się do Horeczy, przedmieścia rozciągającego się od strony wschodniej. Cerkiew zbudowana przy klasztorze przypomina małą twierdzę obronną ze strzelnicami i murem grubości dwóch metrów.

Horecza jeszcze bardziej potęguje wrażenie wiejskości, która tutaj wcale nie uległa miastu, lecz stała się jego immanentną częścią. Może to właśnie chce nam powiedzieć Czernowitzer oprowadzający nas wytrwale po najniższych kregach miasta zamieszkiwanych przez biedotę.

Czerniowce, kościół Św. Krzyża w którym odbywają się msze w języku polskim i ukraińskim, 1996 rok.

Może chce przypomnieć Polaków, którzy w XVIII wieku opuścili Beskid Śląski i Żywiecki, wędrowali przez Słowację i Góry Czadeckie, a na początku XIX wieku osiedlali się również tu, na przedmieściach Czerniowiec, zwłaszcza w Kaliszance. Ich rodacy, kupcy i urzędnicy miejscy przybyli głównie z Galicji, byli już wówczas częścią patrycjatu miejskiego.

5 W dalszym ciągu jednak nie wspinamy się w górę, tam, gdzie więcej światła i wysokie kamienice. Po tym tropie zanurzonym w dalekiej przeszłości, prawosławnym i rusińsko-wołoskim, a także polskim, po tropie wiejskim, natrafiamy na trop żydowski. W najstarszej dzielnicy miasta, nieopodal miejsca, gdzie Prut spotyka się z Cecyną, latem 1941 roku Niemcy utworzyli getto okolonie trzymetrowej wysokości ogrodzeniem z drutu kolczastego i desek, zamykając w nim około 50 tysięcy ludzi. Innych, którzy nie uciekli z Sowietami w głąb Rosji, deportowano do obozów pracy w Transsinnistrii (tereny oddalone setki kilometrów na Wschód pomiędzy Dniestrem a południowym Bugiem), skąd niewielu powróciło. Czy żyją do dziś w Czerniowcach?

Czerniowce, 1996 rok.

Czernowitzer prowadzi nas do jedynej czynnej w mieście synagogi, malarzkiej, zagubionej na jednej z tych peryferyjnych, brukowanych uliczek. Modlitwa wieczorna jeszcze się nie rozpoczęła. Garstka w większości starszych mężczyzn czeka z niepokojem na tego ostatniego, bez którego nie można rozpocząć modlitwy. Na ścianach we wnętrzu portrety wielkich rabinów, wśród nich Baal Szem Towa, twórcy chasydyzmu. Rabin mówi o najważniejszej dla ich gminy tradycji duchowej chasydów z Wyżnicy (miasteczko w Karpatach odległe o kilkadziesiąt kilometrów od Czerniowiec) słynących ze wspaniałych pieśni i muzyki, z franciszkańskiej postawy wobec świata oraz lekceważenia okazywanego dobrom doczesnym. Ta synagoga jest jedną z blisko stu, które istniały tu do wybuchu drugiej wojny światowej. O pierwszej, drewnianej, spalonej przez Rosjan w 1769 roku, kroniki wspominają już na początku XVIII wieku.

Tak, kiedyś te ubogie dzielnice musiały rozbrzmiewać językiem jidisz. Jak podają źródła austriackie, w 1775 roku na 290 zamieszkujących Czerniowce rodzin aż 112 było żydowskich. Ci Żydzi, którzy awansowali społecznie i przenosili się do wyższych partii miasta, rozstawali się zazwyczaj z językiem przypominającym



o ich pochodzeniu, mówili prawie wyłącznie po niemiecku, emancypowali się, asymilowali, tworząc z Niemcami wspólne lobby kulturowo-polityczne (podobnie jak w Galicji tworzyli je z Polakami). A jednak to Czerniowce właśnie na początku naszego stulecia stały się areną walki o język jidisz i o przyznanie Żydom statusu osobnej narodowości.

Jednym z wiodących promotorów tych działań był pochodzący z Wiednia Natan Birnbaum, pisarz i towarzysz Teodora Herzla, twórcy ruchu syjonistycznego. Wkrótce jednak zerwał z syjonizmem i zaangażował się w kampanię na rzecz przyznania Żydom autonomii i obrony języka jidisz. W latach 1908-1911 mieszkał w Czerniowcach i był jednym z inicjatorów zorganizowania tutaj słynnej konferencji poświęconej językowi jidisz, w której wzięli udział tak znakomici pisarze, jak Icchok Lejb Perec i Szalom Asz. Podniesiono wówczas jidisz do rangi języka ojczystego Żydów, na równi z hebrajskim, a więc dokonano aktu, który dopiero kilka lat temu, o wiele za późno by ratować ten język, dokonany został również w państwie Izrael. Wówczas jednak nie brakowało powodów do optymizmu, gdyż literatura tworzona w tym języku przeżywała prawdziwy rozkwit. Choć z drugiej strony, już wtedy w samych Czerniowcach było wielu przeciwników konferencji, czego dowodem jest choćby fakt, że nie zgodzono się, aby odbywała się ona w okazałym pseudo-barokowym Domu Żydowskim przy Placu Elżbiety (dzisiejszy Plac Teatralny), więc gościny użyczyl jej Dom Ukraiński. Podobnie było, gdy do Czerniowec przyjeżdżał słynny wileński zespół teatralny grający w jidisz „Wilnaer Truppe” – swe przedstawienia pokazywali w Domu Niemieckim przy Herrengasse (obecnie ulica Olgi Kobyłańskiej).

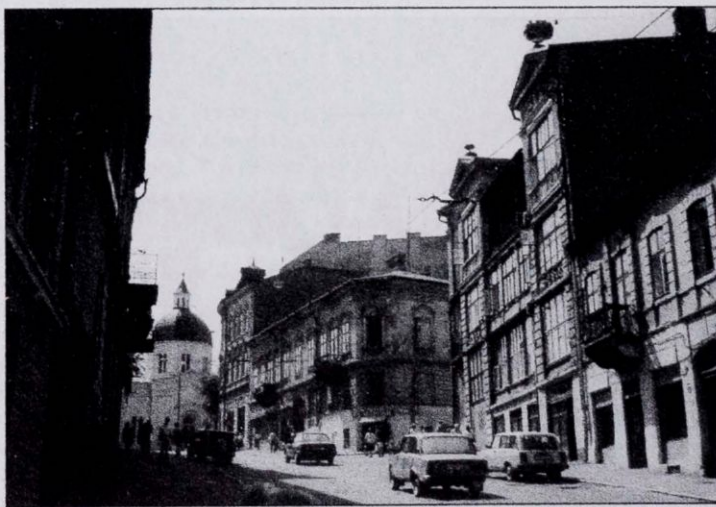
Zachęcenii postulatami konferencji, Żydzi czerniowieccy w roku 1909 zainicjowali powstanie Związku Teatru Żydowskiego, którego statut napisany „językiem i pismem żydowskim” wysłano do Wiednia do akceptacji. W odpowiedzi uzyskano stwierdzenie, że podanie nie może być rozpatrzone, gdyż nie zostało sporządzone w żadnym z tradycyjnych języków królestwa. Wówczas do akcji przystąpił znany prawnik czerniowiecki Max Diamant, składając skargę do Trybunału Państwowego, którą uzasadniał naruszeniem jego prawa, gwarantowanego przez Konstytucję, do zachowania i pielęgnowania żydowskiej narodowości. Wywołało to ożywione dyskusje i polemiki. Ostatecznie Trybunał odrzucił skargę Diamanta uznając, że Żydzi nie są osobnym narodem a tylko wspólnotą wyznaniową, a jidisz jest tylko dialektem nie uznawanym przez wszystkich Żydów. Tym niemniej Teatr Żydowski w Czerniowcach powstał. Rozwijało się także życie literackie w języku jidisz, a to głównie dzięki przybyciu do stolicy Bukowiny w roku 1919 z Lipkan w Besarabii Eliasza Steinbarga, światowej sławy bajkopisarza. Dla dzieci mówiących w jidisz, wywodzących się z tych niższych i ubogich kręgów miasta, zorganizował Steinbarg „Szkolny Związek Jidisz”, organizował letnie obozy edukacyjne, wylawiał i kształcił talenty literackie, był wychowawcą i mistrzem. Jednym z jego wychowanków był Icyk Manger urodzony w 1901 roku na jednej z tych krętych i wyboistych uliczek starych Czerniowec, po których uparcie oprowadza nas Czernowitzer.



Krzysztof Czyżewski

FORUM

Czerniowce, ulica Szolem Alejchema (w tle cerkiew św. Paraskewy), 1995 rok



W Warszawie, do której przybył w 1928 roku, zdobywa Manger prawdziwą sławę jako poeta i powieściopisarz. Wśród wychowanków Steinbarga znalazł się również Josif Burg, do dziś żyjący w Czerniowcach, ale już wyżej, na ulicy Szeptyckiego, nieopodal samego ratusza, pisząc opowiadania w jidysz, redagujący pismo, które jest kontynuacją tradycji gazety „Czernowitzer Bletter” założonej przed wojną przez jego mistrza, stojący na czele Żydowskiego Towarzystwa im. Eliasza Steinbarga. Wszystko to pozwala snuć przypuszczenia, że tradycje jidysz są w tym mieście kontynuowane, że zachowana została pewna ich ciągłość, która wszędzie indziej została już bezpowrotnie zerwana. Nie zapominajmy jednak, że refleksje te gromadzimy podczas wieczornego spaceru z przewodnikiem, który nosi w sobie cały dawny świat Czerniowiec, i że nazajutrz czeka nas konfrontacja z miastem w jego dniu powszednim, w całej nagości światła dziennego.

6 Tymczasem błądząc po słabo oświetlonych uliczkach getta żydowskiego, zaczynamy powoli piąć się pod górę i natrafiamy na Studnię Turecką, z której ktoś nawet o tej porze czerpie wodę. Chroniczny brak wody, albo jej zanieczyszczenie, to wieczny problem mieszkańców Czerniowiec, nic więc dziwnego, że wielkim sentymentem darzą swoją najstarszą studnię, w której woda zawsze jest czysta i zdatna do picia. Od niepamiętnych czasów prawosławni świętowali tu Jordan, ale nazwę studni dał otaczający ją niewielki kwartał turecki, po którym pozostały również nazwy: Most Turecki, Łaźnia Turecka, ulica Turecka – wszystko to w najbliższym sąsiedztwie studni.

Czerniowce były zbyt odległą rubieżą imperium otomańskiego, aby Turcy zdołali tu odcisnąć jakieś swoje wyraźne piętno. Niemniej jednak, gdy car Piotr I na początku XVIII wieku zaczął przedsięwierać wyprawy aż nad Prut, zmusił tym sultana do zwrócenia pilniejszej uwagi na to pogranicze. W efekcie do Chocimia i Czerniowiec zaczęły przybywać oddziały wojskowe a za nimi również kupcy tureccy. Niektórzy osiedlili się tu na stałe. Wielu z nich musiało pochodzić z Bośni, bo jeszcze przez długie lata Czerniowczanie na Turków mówili Bośniacy.

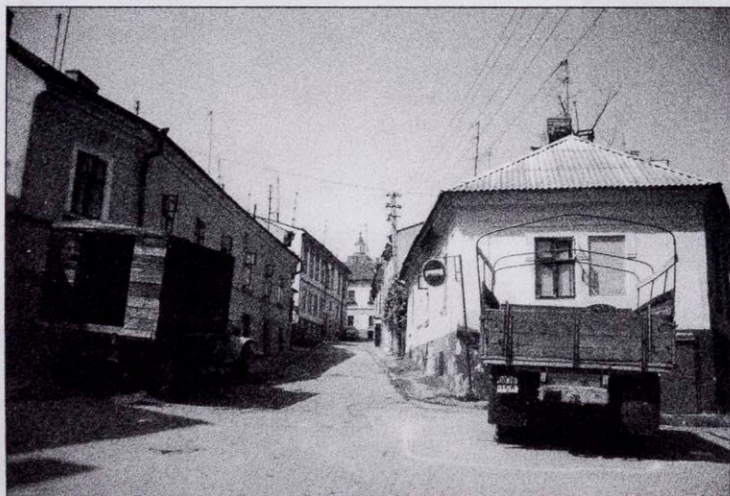
Obok tego kwartału jeszcze w XIX wieku istniała inna dzielnica zwana „Mahala”. Gdy po kongresie berlińskim w 1878 roku Bośnia dostała się pod panowanie Austro-Węgier, ożyły ponownie związki pomiędzy tymi wielokulturowymi regionami. Przede wszystkim ruszyła emigracja zarobkowa z Bu-

kowiny do Bośni, wśród której było wiele rodzin polskich. Ruszyły także oddziały wojskowe, tym razem jednak to Pułk Bukowiński udał się w roli okupanta do Bośni, gdzie wielu obywateli Czerniowiec zmarło, choć powodem tego była raczej panosząca się wówczas zaraza niż toczzone walki.

7 Czernowitzer prowadzi nas dalej pod Mostem Tureckim w górę. Domy przemieniają się w szycowne, kilkupiętrowe kamienice. Powoli wkraczamy w inną epokę, w krąg monarchii habsburskiej.

Dzięki sprytniej i dyplomatycznej akcji mediacyjnej w konflikcie

Czerniowce. Najbliższa okolica Studni Tureckiej.



rosyjsko-tureckim Austria otrzymała Bukowinę praktycznie bez jednego wystrzału. 1 września 1774 roku wojska cesarsko-królewskie uroczyście wkroczyły do Czerniowiec. Cóż tam zastały? Ich przywódca, generał von Splény opisał to tak: „beładne zbiorowisko drewnianych chałup lub lepianek plecionych z prętów, oblepionych gliną, słomą krytych kurnych chat, między którymi spacerowały świny, konie, bydło rogate, psy...”

W roku 1787 naliczono tam 2 686 mieszkańców. Z zachowanych opisów jakże marnie się wszystko tam przedstawiało. A z drugiej strony, jakże fascynujący musiał to być okres. Nie ma prawie nic, ale potencjalnie wszystko jest możliwe, wszystko jest do stworzenia, otwiera się nowa epoka. Nowi gospodarze, którzy przybywali tu z zewnątrz, mieli wycucie tego potencjału twórczego i potrafili to wykorzystać. Zwłaszcza generał Karol baron von Enzenberg, naczelny administrator wojskowy Bukowiny, który sprzyjał wielonarodowemu osadnictwu, przyciągał kolonistów niemieckich, polskich, ormiańskich, rumuńskich, węgierskich, czeskich, oferując im bezpłatne parcele miejskie.

Wszystko było nowe, wszystko było pierwsze – pierwsza kawiarnia (1788), pierwsza poczta (1780), pierwszy telegraf (1785), pierwsze murowane domy (1786), pierwsze gimnazjum (1813-1817), a potem już tylko ratusz (1843-1847), krajowa izba handlowo-przemysłowa (1850), kolej lwowsko-czerniowiecka (1866), rezydencja metropolity (1866-1878), uniwersytet (1875), europejski dworzec kolejowy (1905), Café Europa i... mamy małą metropolię. Zaczęło się od 290 rodzin, w roku 1830 było już 6 800 mieszkańców, w 1880 – 34 000, w 1910 – 85 490. Dynamika była ogromna, le-dwie stulecie z niewielkim okładem upłynęło.

Stoimy właśnie przy „Domu generalskim” zbudowanym dla generała Enzenberga w 1780 roku, który też był pierwszy – pierwszy budynek z cegły i pierwszy piętrowy w Czerniowcach. Jesteśmy na rogu obecnych ulic Szkolnej i Szolem Alejchema, naprzeciwko kościoła polski i żebrząca Cygan-ka z dzieckiem. Czujemy, że jesteśmy już blisko centrum, ale Czernowitzer nie prowadzi nas najkrótszą drogą pod górę wzdłuż ulicy Głównej, lecz po-nownie zbacza w stronę z bocznych uliczek.

Wszędzie jest tu blisko. Od kościoła św. Krzyża, w którym modlili się i Po-lacy, i Niemcy, a dzisiaj nabożeństwa odbywają się po polsku i ukraińsku, oraz od sąsiedniej cerkwi prawosławnej św. Paraskiewy, w której tutejsi Ru-sini uroczystą panichidą w dniu 29 lutego 1864 roku pożegnali swego wie-szcza Tarasa Szewczenkę, przechodzimy do grekokatolickiej cerkwi uspiern-skiej, a potem do cerkwi obrządku ormiańsko-katolickiego pod wezwaniem apostołów Piotra i Pawła, którą Josef Hlavka zaprojektował na planie gre-ckiego krzyża w stylu romańsko-gotyckim. Nieco wyżej mieści się tzw. cer-kiew rumuńska, wielka, przypominająca te cerkwie w Siedmiogrodzie budo-wane w XIX i XX wieku, które koniecznie chciały być okazańsze od ka-te-dr rzymskokatolickich czy ewangelickich, dzisiaj natomiast o tę cerkiew to-czy bój patriarchat kijowski, starający się przełamać dominację patriarchatu moskiewskiego na tych ziemiach. Kilkaset metrów dalej stoi skromna kircha luterkańska... Tropem świętyń można by tu iść bez końca.

O Gdy na początku Czernowitzer powiedział „nasza synagoga”, pomysle-liśmy, że jest Żydem. Ale potem w ten sam sposób mówił o innych świątyniach: „nasza cerkiew”, „nasz kościół”, „nasza kircha”... Gdy zatrzyma-liśmy się przy pięknej piętrowej kamienicy naprzeciwko cerkwi ormiańskiej również powiedział „nasz Ukrajniskij Narodnij Dim”. Po prze-jściu może trzystu metrów usłyszeliśmy: „oto nasz Dom Polski, a oto nasz Deutsche Hause”. Powoli zaczęliśmy rozpoznawać ów język, którym szczy-cił się władca, rzeczywiście znacznie różniący się od tego, który znaliśmy.



Krzysztof Czyżewski

FORUM



Dom żydowski w Czerniowcach,
1996 rok.

Wspomniane domy narodowe stoją na jednej ulicy, prawie naprzeciwko siebie. O żydowskim *Nationalhaus* już słyszeliśmy, a ponoć przy Placu Centralnym stoi jeszcze Dom Rumuński.

Oto Czerniowce wielu narodów. Pięć domów narodowych, okazałych, zajmujących się różną działalnością kulturalną, edukacyjną, polityczną, służących za siedziby redakcyjnym gazet i wydawnictw, zespołom teatralnym i muzycznym, stowarzyszeniom (było ich aż 164, z czego najlepiej ponoć działały sportowe), czytelniom i bibliotekom, a każdy dom szczytujący się swoim własnym stylem i odrębno-

ścią; jak chociażby ten polski z popiersiem Adama Mickiewicza i bogatym księgozbiorem; albo niemiecki stanowiący piękny przykład niemieckiego renesansu w architekturze, pomalowany na czarno, biało i czerwono, z piwniarnią na parterze i wspaniałą salą koncertową, nad którym już w latach trzydziestych powiewała flaga z czarną swastyką; albo ten ukraiński, na którego budowę cesarz Franciszek Józef przeznaczył sześć tysięcy złotych guldenów pochodzących z państwowej loterii, a w którym przygotowywano powstanie niepodległej Ukrainy i redagowano pismo „Bukowina”; albo ten żydowski, w którym język hebrajski walczył z jidisz, w którym organizował się ruch syjonistyczny i pierwsi ochotnicy przygotowywali się do wyjazdu do Palestyny; albo wreszcie ten rumuński dumny ze swego Eminescu, który kształcił się w tutejszym gimnazjum, skupiający inteligencję, która – przesładowana w Siedmiogrodzie – tutaj mogła swobodnie rozwijać swoją działalność narodową.

Oto kolejny krąg tego miasta, przez który przeprowadza nas stary Czernowitzer, krąg narodowy, który w okresie od Wiosny Ludów do wybuchu pierwszej wojny światowej stopniowo zyskiwał na znaczeniu, ale który w stolicy Księstwa Bukowińskiego nigdy nie stał się kręgiem centralnym, docelowym, raczej jednak peryferyjnym, choć bliskim już samego centrum.

Dom ukraiński w Czerniowcach,
1996 rok.



9 Stojąc przy domach polskim i niemieckim znajdujemy się już na krańcu ulicy Pańskiej, słynnej Herrengasse, która dzisiaj nosi imię ukraińskiej pisarki z Bukowiny, Olgi Kobyłańskiej. W Czerniowcach mówiło się „ulicą Pańską do Europy”.

Nasz przewodnik już nie zbacza w żadną horyzontalnie ciągnącą się uliczkę, zatoczyliśmy ostatni łuk, wspięliśmy się na wzgórze, a teraz pozostaje nam tylko prosto zstępować deptakiem ku samemu centrum. Jesteśmy w strefie ambicji i starań miejskiego patrycjatu. Nazywano kiedyś Czerniowce „małym Wiedniem Wschodu”, ale tutejsze

kamienice nie są tak monumentalne i przytłaczające, do rozmaitych europejskich stylów dołączają elementy orientalne, bizantyjskie, czyniąc rzeźbę architektoniczną jeszcze bardziej misterną i kunsztowną, w jeszcze bardziej wybujały sposób ornamentacyjną, jeszcze wyraziściej przywiązaną do drobiazgu. Wszystko jest tu mniejsze, bardziej ażurowe, lżejsze. Nawet tzw. pałac włoski z charakterystycznym patio, który był rezydencją premiera Bukowiny, zdaje się hołdować zasadzie „mniejsze jest piękniejsze”. Każda kamienica stara się być inna od drugiej, trudno dostrzec jakieś elementy standardowe. Przenikają tutaj także rozmaite motywy regionalne, narodowe, są bowiem przydatne w artykulacji odrębności i różnorodności, a są to wartości, które zawsze tu ceniono wysoko. Zachowało się na przykład zarządzanie urzędu cyrkulu (tzw. Kreisamtu) dotyczące porządku balowego dla królewskiego miasta okręgowego w 1803 roku, w którym podaje się precyzyjnie ile z ośmiu godzin balu przeznaczają się na tańce jakiego narodu (w tym akurat roku aż pięć godzin przeznaczono na tańce polskie).

Na ulicy Pańskiej, a także na innych ulicach i placach przylegających do samego serca miasta, wyraźnie wyczuwalna jest niechęć czy wręcz strach przed jakimkolwiek ujednoliceniem. Sprzyja to dostępowi do tej strefy narodowych czy kulturowych specjalistów, acz w formie możliwie wyszukanej i zawoalowanej, by nie narazić się na bolesny zarzut prowincjonalnego wsteczniactwa. Wartością był bowiem postęp, a więc sięganie po to, co nowe. Dlatego tak wyczuwalne jest tutaj również – i to w dużo większym stopniu – pragnienie wydostania się poza horyzont własnego podwórka, otwarcia na szeroki świat, pragnienie obywatelstwa światowego. Wystarczyło wejść do którejś z miejscowych kawiarni i przyjrzeć się tytułom wykładanej tam codziennie prasy (w takiej „Kaiser Café” dla przykładu każdego dnia pojawiała się 160 tytułów), a okazywało się, że czytano w Czerniowcach najważniejsze dzienniki i tygodniki w kilku językach, sprowadzane z Wiednia, Paryża, Pragi i innych metropolii. Nowinki przedostawały się tutaj szybko, również te dotyczące mody, wynalazków techniki czy najświeższych idei.

Droga do Czerniowiec oznaczała wówczas porzucenie rodzinnej wioski czy sztetla, rozstanie się z tradycyjnym wychowaniem i staroświeckim przesądem, oznaczała bunt wobec ojca i wolny wybór obywatelstwa w kosmopolitycznym mieście. Rose Ausländer tak opisała drogę swego ojca, która była podobna do tej, jaką przeszedł Josif Burg i wielu innych młodych ludzi poszukujących swego miejsca w świecie:

*Od Sadagóry do Czerniowiec i
z powrotem do Świętego Dworu wędrowały cuda
zagnieździły się w czułości
Chłopiec uczył się nieba poznawał
wymiały aniołów ich dystanse i liczbe
był biegły w labiryncie kabaty*

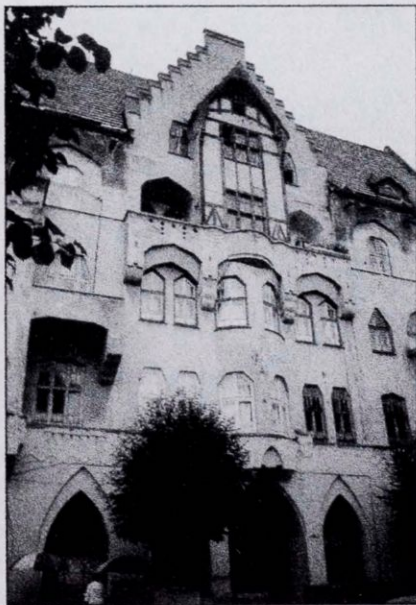
*Kiedyś bcbiał siedemnastoletni
zobaczyć tę drugą stronę
powędrował do świeckiego miasta
zakochał się w nim
pozostając tam na zawsze*



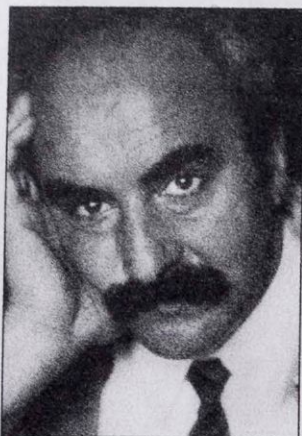
Mojsej Fiszbajn

FORUM

Dom niemiecki w Czerniowcach,
1996 rok.



Fotografie
Krzysztof Czyżewski



MOJSEJ FISZBEJN

Powrót do Południka*

MOJSEJ FISZBEJN urodził się 1 grudnia 1946 roku w Czerniowcach. W drugiej połowie lat 70. wyemigrował ze Związku Radzieckiego. Przez wiele lat pracował w Radio Swoboda w Monachium. Obecnie jest obywatelem Izraela.

Autor dwóch tomów poezji: *Bez tytułu* oraz *Apokryf* (1996). Tłumacz poezji na język ukraiński z języków niemieckiego, jidysz, hebrajskiego, rosyjskiego, francuskiego, rumuńskiego i hiszpańskiego.



Wszędzie deszcz jest taki sam... Wszędzie śnieg jest taki sam... Wszędzie deszcz... Wszędzie śnieg... Wszędzie deszcz... Tak zaczynała się reklama w londyńskim metrze.

Przyśniły mi się topole, złociste topole na najdłuższej ulicy mojego miasta, promienieją, przepływają obok mnie i ta zupełna cisza... Ale skąd na tej ulicy w Czerniowcach topole, przecież rosły na bulwarze w Kijowie? Boże mój, to już ósmy rok... Za oknem zniża się do lądowania samolot „Lufthansy”.

Przy najdłuższej ulicy tej miejsciny była moja szkoła.

W owym czasie mężczyźni chodzili w marynarkach-stalinówkach, bryczesach i oficerkach. W owym czasie na wystawach księgarń stała wspólnie wydana książka – czerwono-złote tomisko pod tytułem: *Słowo do wielkiego Stalina od ukraińskiego ludu*. List był napisany wierszem. Towarzysz Stalin języka ukraińskiego nie znał, nie mógł więc tego listu przeczytać. Ja, w przeciwieństwie do wielkiego wodza, mogłem przeczytać to posłanie, ale zupełnie nie byłem w stanie pojąć, kto, kiedy i w jaki sposób zebrał cały ukraiński naród, aby mógł powstać ten długi wierszowany utwór. Gdzie mógł się odbyć taki ogólnonarodowy wiec? I jak to wszystko pisano? Dyktowano chórem, ktoś zapisywał, a ktoś inny układał do rymu? A któż w takim razie dyktował? I ja, sześciolatek, w tym momencie przypomniałem sobie zasłyszany gdzieś zwrot „dyktatura proletariatu”. Pomyślałem: pewnie „dyktatura proletariatu” oznacza, że dyktował proletariat. Właśnie ten wierszowany list był dla mnie pierwszym jaskrawym przykładem literatury socrealistycznej. Termin „socjalistyczny surrealizm” wymyśliłem dużo później, jakieś dwadzieścia lat później.

Najdłuższa ulica tej miejsciny do połowy nosiła nazwę „ulicy Lenina”, a dalej przechodziła w „prospekt Stalina”. Szpital położniczy, w którym się urodziłem oraz moja szkoła stały obok siebie na prospekcie Stalina.

W owym czasie cywile zamiast teczek nosili oficerskie „raportówki”.

To był twardy czas twardych słów: „Podły slugus burżuazji... dyplomowany lokaj klerkałów... polityczna kurwa...” Ciocia Tania Lisinker, nasza sąsiadka, z dumą powtarzała: „Mój pracuje w organach”. Po mężu nosiła nazwisko Chruszcz. Rodzice chyba połowy moich kolegów z klasy pracowali w „organach”. Rodzice drugiej połowy obawiali się aresztowania albo byli już aresztowani.

* Tytuł oryginału *Powernennia do Merydiana*; esej pochodzi z książki *Apokryf*. Kijów: Wyd. „Dowira” 1996.

Kolejny rok szkolny rozpoczynał się od apelu. Przemawiał dyrektor, ubrany zgodnie z ówczesną modą: marynarka-stalinówka – bryczesy – oficerki. Nauczycielka literatury występowała z nieodłącznymi cytataми z Gorkiego i słowami, że każdy człowiek powinien w ciągu swego życia posadzić chociaż jedno drzewo. Przemawiał któryś ojciec – nie mówił o drzewach, bo sadzał nie drzewa, a ludzi – mówił o tym, że powinniśmy być czujni i nie bać się pójść w walce z różnymi wrogami, i w ogóle, jak wiadomo, „w życiu zawsze jest miejsce na czyn”. Występował któryś pierwszak: dziękował towarzyszowi Stalinowi za nasze szczęśliwe dzieciństwo i wręczał bukiet któremuś uczniowi dziesiątej klasy. Potem dyrektor dawał znak, szkolny palacz Onufry i jego żona, sprzątaczką Kylyna, którzy mieszkali tutaj, przy szkole, dzwonili dzwonkiem i prowadzono nas do sal. Dla mnie zaczynało się najgorsze. Najpierw nauczycielka otwierała dziennik i odczytywała listę. Nauczycielka nowa, więc nasze nazwiska też są dla niej nowe. Gołubiew... Dachis... Lymariew... Nikitenko... Czasem nauczycielka przekreśli jakieś nazwisko: nie Nikitenko, tylko Nikitczenko – wtedy za ostatniej ławki ktoś się zaśmieje. Priadko już wyczytany... nieodwołalnie zbliża się moje nazwisko... kulę się cały... już litera „R”... już „T”... Boże, ileż jest możliwości przekreślenia mojego, nawet bez przekreślenia chropowatego dla nich, mojego szkaradnego nazwiska! Przekreślenia tak, żeby zaśmiała się, zarechotała cała klasa! A kiedy wreszcie nauczycielka wymówi poprawnie to żydowskie „Fiszbejn”, odczyta moje imię i ktoś zachichocze wesolutko, a dwóch chłopaków będzie spoglądać na siebie, wyśmiewać: „Możesz... Mosiek! Mosiek!”. Teraz nauczycielka rozdaje ankietę. Narodowość: ŻYD. Wyrok śmierci. Podpisany własnoręcznie. Miejsce podpisania: męska szkoła średnia im. A. Puszkina, najdłuższa ulica naszej mieciny. A po mieście krążą niepokojące wieści o ludziach, którzy ponoć częstują dzieciaki cukierkami, a te cukierki są zatrute. Albo niepostrzeżenie mogą ukłuć dziecko zatrutą igłą. Sąsiadka K. rozmawia z sąsiadką Marią:

– Ot, patrzę wczoraj: Pawłuszka gryzie karmelka! Mówię do niego: „Wypłuj natychmiast!”. Nie chce. Wyciągam mu karmelka z buzi, a on się drze. „Kto ci to dał?” – pytam. „Wujek Lonia spod szóstki” – mówi.

– Przecie to Lonia Lifszyc, toż on na froncie był, toż on i ranny był, toż on i medale ma, i ordery, przecie z lekarką Rojziną ożeniony! Nie znasz go pani, czy jak? No co też pani?!

– Nie znam, nikogo nie znam, mój bez nogi z frontu wrócił, mówi, że niektórzy to po Taszkientach siedzieli, a potem medale na bazarach kupowali... Nie znam, nikogo nie znam... A dzisiaj rano patrzę, Pawłuszka ma ślad na rączce: może zadrapanie, a może ktoś ukłuł...

– Poszłaś pani do Rojzinej, do Beli Lwowny...

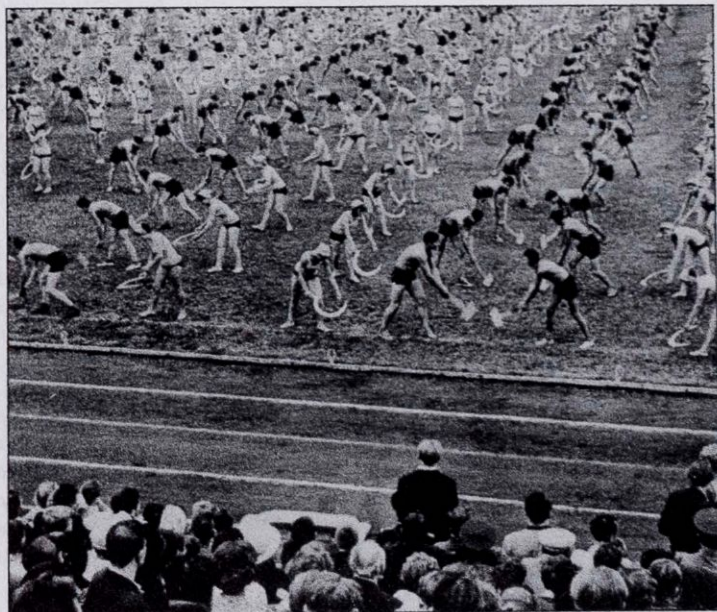
– A kto ich tam wie... Słyszała pani – zabójcy w białych fartuchach?.. Może by do Koli Chruszcza pójść? Niech załatwią gdzie trzeba...



Mojsej Fiszbejn

FORUM

Czerniowiecki stadion w połowie lat sześćdziesiątych





Czerniowce, kinoteatr „Zovtieri” (Październik) w byłej synagodze „Tempel”. Połowa lat sześćdziesiątych.

A u fryzjerów – kolejki. A mężczyźni chodzą ogoleni i ostrzyżeni. Mężczyźni pachną wodą kolońską. A kobiety mają modne fryzury – „loki”. Kobiety noszą modne sukienki z wawatowanymi ramionami. We wspólnych kuchniach, w korytarzach, w pokojach pachnie świętem: studzieniną i octem. Przedsiębiorstwa i instytucje ruszyły na demonstrację. Na swojej kolej czekają czysta i tanie wino. „S nastupajuszczim prazdnikom!”, „S prazdnikom!”. Pierwszy toast wnoszą za tego, który myśli o nas wszystkich, za ojca naszego, za towarzysza Stalina! Piją. Zakażają. Wszyscy: rodzice Lymariewa i Priadka, jednynogi K. z rodziną, Maria ze swoim Stepanskim, Lifszyc i Rojzina spod szóstki, Tania Lisinker z mężem Chruszczem.

Wesele w czasach zarazy.

Ale czy całe życie nie jest weselem w czasach zarazy?

Jakieś dwadzieścia lat później, już w Kijowie, powiedziałem do Don Kichota, który znając prawie piętnaście języków, nie mógł znaleźć wspólnego języka z nomenklaturą związkową:

– Powiadają, że nazwa „Jeruzalem” pochodzi od „Ir szalom” – miasto pokoju.

– Tak, slyszalem. Moze... Ale przypuszczam, że jest inaczej: „Jeruzalajim” pochodzi od „Jerusze Elohim” – „Boza spuścizna”.

To nieduże miasto z jego powojennym głodem, z prymusami i naftowymi piecykami, z wiecznymi kolejkami po chleb, węgiel, bilety kolejowe, naftę, choinki noworoczne, drwa, po wszystko; to nieduże miasto, w którym nie było miejsca ani dla Żydów, ani dla Ukraińców, ani dla Mołdawian i w którym znajdowało się miejsce dla nich wszystkich; to nieduże miasto z zawsze tą samą sztuką „W niedzielę rankiem...” w teatrze muzyczno-dramatycznym, z przedziwnymi murami domów: ile by się nie malowało, i tak przebijają stare napisy w alfabecie łacińskim; kukurydzianymi przedmieściami, z koźmi na ulicach, z twarzami staruszków w oknach suteren; to nieduże miasto niezniszczalnych wspólnych mieszkań, korytarzy, w których na wieki utrwaliły się zapachy wesel i pogrzebów, pieluch i barszczu, w których na wieki utrwaliły się pomieszczone okrzyki „Gorzko!”, „A ty co, może lepsza?!” „Ty ofiaro losu!”, „Żydówka!”, „I co ja teraz bez ciebie pocznę?” – to nieduże miasto – ówczesne – śni mi się – Boża spuścizna mojego dzieciństwa.

„Południk” – tak Paul Celan zatytułował swoje przemówienie z okazji otrzymania nagrody im. Georga Büchnera. Tak więc:

WRACAJĄC DO POŁUDNIKA

Zacznijmy... zacznijmy od cmentarza, przecież to także Czerniowce, tysiące jego mieszkańców. Dokładniej, od cmentarza – są dwa, po obu stronach drogi: żydowski i chrześcijański. Na cmentarzu żydowskim codziennie, z wyjątkiem sobót i niektórych świąt, można spotkać dwóch-trzech starych Żydów. „Może zrobić modlitwę?” – pytają w jidysz – to znaczy: czy nie trzeba pomodlić się na drogich wam grobach? Przeważnie im dziękowano. Ale cóż mogą wiedzieć o modlitwie młodzi Żydzi, którzy nawet na cmentarzu głów nie nakrywają... Cmentarz, „bejsojlem” w jidysz, pochodzi z hebrajskiego Bet-olam, to znaczy „dom wieczności”... Ogromna ciasnota, groby wyciągnięte w równe szeregi, tuż obok siebie, żeby do któregoś podejść, trzeba przejść przez sąsiednie. Pomniki: wryte siedmioramiennie

świeczniki, dłonie – lewa i prawa, znaki kabalistyczne, dla tych, którzy umarli młodo – pomniki w kształcie drzewa z obcięzonymi gałęziami... A na tym pomniku przysiadły gipsowe ptaki i motyle: tu jest pochowany Eliezer Steinberg, żydowski poeta i bajkopisarz¹. Oto grób cadyka (sprawiedliwego). A tutaj, obok, moi wujostwo, wuj Fajwel i ciotka Basia, wujek był szwecem, oboje przeszli przez getto. A tu nazwisko Szaraga, to brat matki Celana. Tutaj leży doktor Brachfeld, niegdyś, po wojnie, leczył chyba połowę czerniowieckich dzieci. A tutaj moja babcia Bejla, mama mojej mamy, kilka lat przed śmiercią zaniewidziała, ale mimo to na oczy położono jej skorupki. Z drugiej strony pomnika wyryto napis: „Fiszbejn Mojżesz. Zginął w obozie niemieckim” – zawsze wzdragam się, czytając tutaj swoje imię, ale to nie o mnie chodzi, to ku pamięci mojego dziadka, bo nie wiem, gdzie znajduje się jego grób. Prawie wszystkie fotografie na pomnikach nie mają oczu, nosów, ust: ktoś bawi się (może ćwiczy?), ktoś strzela z wiatrówki.

Po drugiej stronie ulicy znajduje się cmentarz chrześcijański (ruski). Ukrzyżowanie, wizerunki Matki Boskiej, anioły, krzyże, gwiazdki (to już powojenne). Napisy po niemiecku, rumuńsku, po łacinie, po ukraińsku i rosyjsku. Są nawet i stuletnie groby. Kilka babulek prosi o datek w imię Boże. Tutaj pochowano Jurija Fed'kowycza i Olę Kobylanską. Są tu groby kilku Żydów: żony Botwinowa, niegdyśszego sekretarza obwodowego komitetu Komunistycznej Partii Ukrainy, Borysa Borina, reżysera Teatru Czerniowieckiego – jakoś niezręcznie było organom władzy chować ich na cmentarzu żydowskim.

Kiedy stoi się bliżej drogi, od czasu do czasu ziemia drży pod nogami. To uderza ogromny młot na hali fabrycznej, bowiem koło cmentarzy znajdują się zakłady mechaniczne. Szolem Alejchem powiedział kiedyś, że trzeba się dobrze namęczyć, zanim zostanie się nieboszczykiem. A tutaj nawet w grobie nie ma spokoju... Od wiosny aż do późnej jesieni na ulicach Czerniowiec można zobaczyć starą, niechlujnie ubraną kobietę, popychającą krzywy, odrapany, niegdyś biały wózek dziecienny, pełen przywędłych bukietów. Kobieta sprzedaje te bukiety przechodniom. Niektórzy kupują, nie wiedząc, że kwiaty zostały ukradzione z cmentarza. Ludzie powiadają, że kiedyś stara była bardzo bogata, miała wspaniały dom publiczny.

Obydwa cmentarze są już nieczynne. Gdzieś chyba na początku lat siedemdziesiątych na drugim końcu miasta otwarto nowy, „międzynarodowy” cmentarz. Przemówienie nad trumną wygłasza specjalny pełnomocnik (odpowiedzialny za całą procedurę pochówku), który zbiera od pograżonych w żalu krewnych dane biograficzne zmarłego (starym Żydom, o których nie można powiedzieć, że „przez całe swoje szlachetne życie służyli władzy radzieckiej i sprawie partii” przydziela się frazy o tym, że „wychowali wspaniałe dzieci” itp.). Na takim stanowisku pracowała wdowa po pułkowniku (czy podpułkowniku) KGB Golubience, która sama niegdyś współpracowała z Magadańskim KGB. „Szybciej, towarzysze, szybciej, idziemy normalnym krokiem pogrzebowym!” – krzyczy pełnomocnik od samej bramy cmentarza (bo przecież zaraz przywiozą innych nieboszczyków).



Mojsej Fiszbejn

FORUM

1 Bardzo lubię trawestację jego powieści o niebezpieczeństwie używania porównań. Pewnego razu Żydówka kazała mężowi kupić rybę na sobotni stół. „Dobre macie ryby?” – spytał mąż w sklepie. „Wspaniale, słodkie jak cukier” – odpowiedział sklepikarz. „W takim razie, po co mi ryba, kupię lepszej cukru” – pomyślał mąż i zapytał: „A cukier macie dobry?” „Stodczy niż miód” – padła odpowiedź. „Nie, lepiej już kupię miód” – zdecydował mąż i spytał: „A miód jaki macie?” „Miód jest jak olej”. „Po co mi tedy miód, skoro porównują go do oleju. Spytałem o olej” – pomyślał mąż. O oleju sklepikarz powiedział, że jest przejrzysty jak woda. I tak, zamiast ryby, przyniósł mąż żonie na sobotni stół butelkę wody.

Czernowitz, Israelitischer Tempel (synagoga Tempel). Pocztówka z 1903 roku.





Czerniowieckie handlarzki w polowie lat dziewięćdziesiątych.
Fot. K. Czyżewski.

I już nad grobem: „Niechaj ci nasza święta ziemia radziecka lekka będzie!”. A nieboszczyk Żyd marzył o pochówku w jerozolimskiej ziemi, ona byłaby dlań lekka...

Dość jednak! Precz z domów umarłych! Tutaj, obok starych cmentarzy, jeszcze całkiem niedawno było wesołe miejsce. „Pchli targ”, „barachołka”! Bazar, na którym można było kupić wszystko: zardzewiałe gwoździe, barani kożuszek, stary czajnik miedziany, bluzkę z importu, stare okulary (nikt nie wiedział, ile dioptrii miały ich szkła), kwiecistą chustkę z paczki z Kanady, książkę o roślinach leczniczych, wydaną w Czerniowcach jeszcze za Austro-Węgier, kolorowe narzuty, używaną sukienkę, wojskowy kaszkiet, łapcie, ceratę malowaną w labędzie, części do radia, buty z brezentu, motki angielskiej wełny, części do prymusa... Ludzie zbierali się tutaj co niedziela, wczesnym rankiem. Na targu obowiązywał swoisty rytuał kupna-sprzedazy. Kupujący pytał: „Ile to kosztuje, tak żeby kupić?” – co miało znaczyć: możesz rzucić jakąkolwiek cenę, ale weź pod uwagę, że mam ochotę kupić, więc podaj cenę sensowną. A sprzedawca odpowiadał: „Proszę tyle i tyle” – co miało znaczyć: ja proszę, ale jeśli masz poważne zamiary, to możemy się potargować i oddam za mniej. I nagle miejscowa gazeta „Radziecka Bukowina” obwieściła, że do redakcji oraz do instytucji partyjnych i państwowych zaczęły nadchodzić „listy od ludzi pracy” z prośbami o zamknięcie bazaru, tej „wylegarni spekulacji”. I zamknęli. O, wszechmocne listy nikomu nieznanym „ludzi pracy”! A koniec „pchlego targu” miał znaczenie co najwyżej dla sprzedawców zardzewiałych gwoździ, starych czajników i okularów. Prawdziwi „biznesmeni”

przenieśli się na Plac Centralny (mieszkańcy Czerniowiec mówią na niego „Czerwonny”, a dawna nazwa to „Rynek”). Zbierają się nie co niedzielę, ale codziennie, w określonych godzinach – nazywa się to „gielda”. Towaru ze sobą nie noszą, jedynie umawiają się na spotkanie. Ale też jakie to teraz są towary! Amerykańskie dżinsowe spodnie i kurtki, austriackie kozaczki, francuskie kosmetyki, japońskie zegarki! Cały tak zwany „deficyt”. W Czerniowcach wiele rzeczy stało się przez ten czas „deficytem”. Już około 1979 roku słyszeliśmy z żoną, jak jedna kobieta skarżyła się drugiej: „Ot, mówili, że kur nie ma, bo Żydzi wszystkie zjadają. Żydzi wyjeżdżają i wyjeżdżają, niedługo żadnego nie będzie, a kur tak czy siak nie ma”.

Ale naprzód dalej, po bruku Czerniowiec, jego kamienie stanowią część naszych wspomnień, komuż nie śniły się na obczyźnie... Może tylko to nie zmienia się w moim niedużym mieście: bruk, drzewa, dachy... Były takie same, kiedy patrzył na nie Celan – czy nie słyhać tu jego głosu? Ulica Saksaganskiego, za Rumunii: Wasylko, tutaj, w domu pod piętym, urodził się Celan, tutaj minęło jego dzieciństwo, był wtedy Paulem Anzelem, bystrym chłopcem, synem architekta. Czy nie śniła mu się ta ulica tam, w Paryżu, na rue Longchamp? Oto ulica zaprojektowana przez jego ojca, gdzie minęła młodość poety; teraz jest to ulica Bohomolca (dawniej Masaryka). Tutaj, obok kościoła, stoi jego gimnazjum. Uniwersytet. A tu, gdzie jest ulica Zańkowieckiej, ciągnąca się od dawnej synagogi chóralnej aż do uliczki przy dworcu (dawnej Bahnhofstrasse) – tutaj, niedaleko od dawnego hotelu „Bristol”, opisanego przez Szolem Alejchema, a obecnie zamienionego na akademik – oto tu właśnie mieszkała niegdyś Roza Słobodianiuk, której Celan poświęcił wiersz „Coâgula”.

Nade wszystko ukochał on dwie małe uliczki, w których jeszcze i teraz każdej wiosny kłębi się bez: Karlgasse i Gartengasse (jedna z nich nazywa

się teraz Fed'kowicza). W mieście tym mieszkali jego przyjaciele: Tania Adler, Gustaw Chomed, Erich Einhorn, Marta Bikel, a także mama mojej znajomej, Inny Fischman – Amalia... Przez to miasto przechodził jego południk. Niedługo przed samobójstwem napisał wiersz „List do Paula Celana, rue Longchamp, Paryż, z Czerniowiec pod Sadagorą” (obecnie przedmieście Czerniowiec). W 1962 roku (na osiem lat przed samobójstwem) pisał do Tani Adler: „...Powoli wracam do siebie... Poezja utrzymuje mnie przy życiu, chociaż w duszy ból... Nie mam przyjaciół, prawdziwych przyjaciół, odkąd... Oczywiście, jestem daleko, ale zawsze pozostaję w pobliżu mojego Południka... Ciągle żyję myślami o Wschodzie... Wydałem kilka książek... jakże bym chciał Ci je pokazać... zapłacono mi za nie zatrutymi laurami... Dowiedziałem się, że Erich Einhorn mieszka w Moskwie, bardzo chciałbym spotkać się z nim, tutaj albo tam...” Powiadają, że swojemu synowi nadał imię Erich. Z Einhornem się nie spotkał. Paul utopił się w Sekwanie. Erich umarł w Moskwie. „Tam” okazało się tamtym światem...

O Paulu Celanie po raz pierwszy usłyszałem od Mykoły Bażana w 1971 roku. Bażan nazwał Celana wielkim poetą, dał mi do przeczytania maszynopis swojego przekładu „Fugi śmierci” i poprosił, abym odszukał w Czerniowcach cokolwiek związanego z Celanem. Odnalazłem kilku jego przyjaciół, domy na ul. Saksagazńskiego i Bohomolca, gimnazjum, dom, w którym mieszkała Roza Słobodianiuk, grób jego wuja. Tatiana Szternberg-Adler przesała Bażanowi fotografię Paula Celana i jego list po francusku. Bażan poprosił o przekazanie jej gorących podziękowań i powiedział, że bardzo by chciał spotkać się z nią. Co mogę dla niej zrobić? – zapytał. Powiedziałem, że jej mąż od wielu lat siedzi w więzieniu, ona zaś stara się o jego uwolnienie.

– Jeśli może, niech przyjedzie do Kijowa.

Przekazałem zaproszenie. Pani Tatiana przyjechała do Kijowa na jeden dzień. Z dworca odebrał ją kierowca Bażana, Serhij Ałymow, który odwoził ją również z powrotem. W czasie rozmowy, wiedząc, że Mykoła Bażan uważany jest za radzieckiego klasyka, powiedziała:

– Proszę wybaczyć pytanie, ale czemu pan, radziecki poeta, interesuje się Celanem? Przecież Celan nie przystaje do obecnego, radzieckiego sposobu pojmowania poezji...

– A mówi coś pani nazwisko Rilke? Mnie też – odpowiedział Bażan.

– Teraz rozumiem – i pani Tatiana przeprosiła raz jeszcze.

Mykoła Bażan, jako poseł do Rady Najwyższej USRR, rozpoczął zabiegi wokół zwolnienia Sternberga. Ale nagle dowiedzieliśmy się, że zmarł on w obozie.

Tomik poezji Rilkego w przekładzie Mykoły Bażana wyszedł w wydawnictwie „Dnipro” w 1974 roku. Przygotowany przez niego wybór wierszy Celana został wydrukowany w 1978 roku w czasopiśmie „Wseswit”. Miałem zaszczyt wziąć udział w tej publikacji. W tym samym roku napisałem sonet poświęcony pamięci mojego wybitnego krajana. Oto on:

PAMIĘCI PAULA CELANA

*Gospodarz chrustu, szkła tłuczonego
Wilgotne wspomnienie uschłych korzeni,
Zbłąkany ptaszek, piosnka jesieni,
Wodorost rośnie z gardła jego.*

*A nad nim wody ciężar chłodny,
W tych oczach zielone słońce zmierzchu.
O nie zraniona lśniąca powierzchnia!
O, ptyto bez napisu w dzień pogodny!*



Mojszej Fiszbajn

FORUM



Czerniowce, ul. Wassilko
z kamienicą nr 5, w której urodził się
Paul Celan. Marzec 1996.
Fot. K. Czyżewski

2 Obecnie na kamienicy, w której urodził się Celan, przy ulicy Wassilko znajduje się tablica pamiątkowa (przyp. red.).

*Samotna w nocnym pustkowiu dziecina.
Cichutko głos taflę wody przecina.
I dźwięki cieniem noszą się po wodzie.*

*Cień cichy miasteczko obejmie skrycie
Przez obce, czarne, dalekie nie-bycie
Przebijać się będą oczyma młodzi.*

Dla informacji: w rodzinnym mieście wielkiego poety ani na ulicy, przy której się urodził, ani na ulicy, przy której mieszkał aż do aresztowania i zesłania do „obozu pracy”, ani tam, gdzie się uczył – nigdzie nie ma tablicy pamiątkowej ani żadnej o nim wzmianki...² Czy usłyszy ktoś szepty starych buków na ceżyńskim wzgórzu – o tym, jak na „Rajskiej polanie” Paul Anczel czytał przyjaciółom poezje Rilkego...

Tak więc, od starych cmentarzy – ku centrum. Na ulicy Ruskiej mieszkał jeden z najbardziej interesujących czerniowieckich artystów, Bronisław Tutelman. Lubilem wdrapywać się do niego na strych, siedzieć w pracowni, oglądać jego obrazy, czuć duszę mojego miasta, moich Czerniowiec, naszego Witebska. „Czerniowieckie parasolki”, „W gościnie u Maksa” (był taki handlarz winem w jednej z czerniowieckich piwniczek), „Towarzysz Szpringinbet sprzedaje lody”, „Mur naprzeciw”...

Nieco z prawej strony stoi drewniana cerkiew pod wezwaniem św. Mikołaja. Ma ponad trzysta lat. Ocalała nawet dzwonnica. Mimo, że wisi tabliczka informująca, że cerkiew jest zabytkiem architektury i w związku z tym podlega ochronie prawnej, drzwi są zamknięte; do środka można zajrzeć jedynie przez małe okienko. Drewniane ściany ktoś pomazał kredą. Nie zamieniono jej na spichlerz (jak w Bródku, w zastawnowskim rejonie) – to też szczęście. Bo w Czerniowcach prawosławną katedrę zamienili na „galerię”, kościół na archiwum okręgowe (nie wiadomo, gdzie podziały się organy), synagogę na szkołę zawodową (to tę niedużą, „drugorzędną”, a z głównej, chóralnej zrobili kinoteatr „Październik” – dowcipni mieszkańcy Czerniowiec nazwali go „kinogoga”).

Od „kinogogi” idziemy do dawnej rezydencji metropolity Bukowiny. Teraz mieści się tu uniwersytet. Ale w Czerniowcach dalej nazywają ten budynek rezydencją: „chodźmy do rezydencji”, „koło rezydencji”, „przed rezydencją”. Jest to przedziwna budowla architekta Josypa Hławki, którego popiersie do dziś stoi w uniwersyteckim parku. Tutaj, w dawnych komnatach metropolity mieści się również uniwersyteckie centrum obliczeniowe. Iwan Dracz napisał kiedyś w „Balladzie o cybernetycznym soborze”:

*Ballada zaczęta
Balladą od końca
W metropolitalnych komnatach
W mieście Czerniowce.
[...]
I drżą białe mury
W soborze przelekkym
Fryzy drżą.
Freski drżą.
[...]*

*Tu biel rozstrzelano.
Po brzegi. Do końca.
Ścieżka soboru
moja taśma magnetyczna.
Perfumy. Morfemy.
Zniknął dym kadzidlany.
Zapalę świecę
za duszę starganą.
Zapalę świecę
w soborze gołym
Zapalę świecę
– oto święty Golem.*



Mojsej Fiszbajn

FORUM

Kolory fresków wytarły się i wyblakły: któż może zabronić studentom „podpierania ścian” w czasie sesji, kiedy drżącymi rękami ostatni raz przewracają kartki konspektów, zanim staną oko w oko z egzaminatorem... Ale oto któregoś dnia kierownictwo doszło do wniosku, że na dach uniwersytetu „wstyd spojrzeć”... Może i rzeczywiście mozaika trochę wyblakła... Ale zamiast odrestaurować jej wspaniałe wzory, postanowiono wymienić ją na nową. Nie wiem, kim byli ci dekarze, ale po „remontcie” dach zmienił się w jakąś pstrokatą, laciatą płaszczynę, która błyszczy w słońcu i – jak każde bezguście – wpada w oczy...

A teraz przejdźmy ulicą Olhy Kobylanskiej. Za Rumunii ta ulica nazywała się Jancu Flondor, za Austro-Węgier – Pańska. Samochody tędy nie jeżdżą. Jeszcze chyba w 1978 roku, za dnia, krążyli tutaj chłopcy z zakładu fotograficznego Sieni Szwarzblata. Znali się na rzeczy, „urządzali plan”, nie schowasz się przed nimi, nie ominiesz, twoja twarz tak czy owak znajdzie się w ich obiektywach, a potem wcisną ci bilecik z adresem zakładu: możesz przyjść i, jeśli fotografia ci się spodoba, kupić ją. Sam Sienia z wyglądu i głosem przypominał prosiaka, znany był z zamilowania do wystąpień na rozmaitych zgromadzeniach, wdierał się na trybunę i niezmiennie wykrzykiwał swoje sakramentalne zdanie: „Jeśli wrogi pysk pokaże się w naszym mieście, rozwalimy mu leń!”. Przy czym Sienia nie wyjaśniał, co właściwie miał na myśli, mówiąc o „naszym mieście”. Drugie upodobanie Sieni to sto pięćdziesiąt gramów okowity. Tak, tak, jeśli kiedyś słowo „Żyd” było niemal synonimem słowa „niepijący”, to teraz... Czasy się zmieniają, zmienia się nawet semantyka słów, powstają nowe homonimy... Na przykład, w Czerniowcach nazywa się antysemitami nie tylko tych, którzy występują przeciw Żydom, ale także tych, którzy usiłują kupić w sklepie wódkę „pislia semy”, to znaczy po siódmej wieczór, kiedy nie wolno jej już sprzedawać.

Wieczorem na ulicę Kobylanskiej wychodzą czerniowieccy mieszcianie – „siebie pokazać, na ludzi popatrzeć”. Przechadzają się, zadowoleni z siebie, jednego wieczora po kilkakroć przemierzając ulicę od końca do końca. Spacerują pojedynczo, parami, całymi rodzinami. Co wieczór mijają znajome twarze. Czasem ktoś cię zapyta: „Słuchaj, czemu się nie pokazujesz na mieście?”. Wielu już nie spotkasz na ulicy Kobylanskiej, niektórzy są w Tel-Awivie, inni w Nowym Jorku, inni w Berlinie Zachodnim, jeszcze inni w Nowej Zelandii...

I oto dworzec w Czerniowcach. Jego obraz na wieki utrwalił się pod wieloma powiekami. Stąd, w połowie lat pięćdziesiątych, zaczęto jeździć do Eupatorii, do morza, do słońca, do ciepłych plaż, do słodkiego lenistwa; ludzie wycierczeni wojną i powojennymi latami wracali, żeby pochwalić się, o ile kilogramów przytyli i oni, i ich dzieci; tutaj – jeśli udało się dowiedzieć kiedy i z którego toru – potykając się o oszronione szyny, przedzierając przez zimną poranną mgłę, przez spojrzenia, szukało się wa-



Gruss aus Czernowitz. Gr. or. Erzbischöfliche Residenz (rezydencja metropolity grecko-prawosławnego). Verlag Leon König, Papierhandlung, Czernowitz. No. 379. Adresat: Velecteny Pan Josef Kalouš, polnik, u Křesyne, p. Libochovice, Böhmen. Poczтівка wysłana z Czerniwiec 25 czerwca 1905, dotarła 27 czerwca 1905.

„Zasilam Vam pohled na řecko-orientální arcibiskupskou rezidenci. Uvnitř je ohromná nádhera. Vojna je dobra. Mešto je většinou židovské, ostatek Rumuni. S pozdravem, Rich. Hrzan.”

czoną podróż, na nieskończoną wycieczkę zagraniczną, zostało osiem minut, cztery, jedna – bez słów, gestami: „piszcie!”, bez słów, gestami: „żegnajcie!”, krzyk: „Oleńkę podnieście do okna!.. O-leń-kę!..”, na zawsze, na zawsze, od tych twarzy, od tego miasta, od wesel, od pogrzebów, od połowy życia – aby do końca świata powracać wzrokiem tutaj, do własnego Południka.

„Kiedy to wszystko było? I czy w ogóle było? Teraz, gdy minęło tyle czasu, wydaje się, że jednak nie było. Wydaje się, że nie można na piaskzystym dnie rzeki zapomnienia odnaleźć kolorowych, wygładzonych przez wodę różnokształtnych kamyków, aby, zawierając swej kapryśnej pamięci, ułożyć z nich mozaikowy obraz przeszłości... tak, jakby mógł on tę przeszłość zastąpić!..”

Tak napisał prozaik, który niegdyś dzielił z innym pisarzem dwupokojowe mieszkanie – komunalkę w Kijowie.

Ale Dostojewski uspokaja:

„Wiecie, wyjawię wam tajemnicę: być może to wszystko wcale nie było snem!”

W owym czasie poeci pisali ody. W owym czasie chóry śpiewały kantaty. „Kantata o Staliniel!” – w głosie żelazny rytm imperium, w głosie orgazm wiernopoddania. Oklaski, burzliwe oklaski, owacja. „Muzyka: Wano Muradeli. Pieśń o Berii”. Owacja. Dygoczące zaangażowanie. Nieświadomy rozkurcz mięśnia odbytu. Słodkie poczucie przynależności. Między górskimi szczytami, ponad chmurami, potężne orły latają. Owacja. Imperialna sperma. Siwoskrzydły orzeł mknie. Owacja. Po zapłodnieniu imperialną spermą rodzą się bezmózgowcy. Bezmózgowcy ustawiają się w kolumny. Zachwyty jednością. Kolumny kroczą uroczyście. Święta powszedniości. Powszedniość święt. Owacja. Hutnicy i leśnicy, ludowi artyści i murarze, kolchoźnicy i akademicy, uczniowie i baletnicy, nauczyciele i hodowcy, owczarze i malarze, górnicy i reżyserzy, wielorybnicy i pisarze, lekarze i polarnicy, żołnierze, marynarze, sierżanci, porucznicy, miczmani, oficerowie, generałowie i admirałowie.

*Surowy rycerz honoru wielkiego
Przez naród Beria ukochany
Marszałka swego nieustraszonego
Ojczyzna dumna imię sławi.*

*Spuściźnie wodza oddany jest święcie
Ojczyznę szczęśliwą ochrania.
Żołnierz, co oręż dzierży w ręce
Mieczem i tarczą nas osłania.*

Zielone światło, białe złoto, dobrobyt mas pracujących, zwiększyć wydobycie czarnego złota, sztuka dla mas, na zasłużony spoczynek, głęboka treść i ciekawa forma, naród i partia to jedno, wcielajmy w życie postanowienia zjazdu, szklany ekran, na straży pokoju, parada talentów, błękitne złoto, chwała KPZR, zwierciadło rosyjskiego życia, Burewisnyk, Kameniar, piewczyni światelek przedrannych³, nasze przywidzenia, wewnętrzny emigrant, czyn narodowy, godny odpór, dary pól, gniewnie napiętnujemy, gorąco popieramy...

Derżkomsilhosptehnika. Minbuddormasz. Minelektrotechprom. Minplo-dooowczosp. Minsudprom... (Dla tych, którzy nie odczuwają wszystkich subtelności, należy wyjaśnić: nie jest to Ministerstwo Przemysłu Sądowego – jedna z prawdopodobnych nazw Ministerstwa Sprawiedliwości⁴).

A jakie to były hasła! Jakie wezwania!

„Musimy przede wszystkim podnosić produktywność bydła poprzez poprawianie jakości stada i zdecydowane ulepszenie bazy paszowej!”

Podnosić produktywność poprzez poprawianie jakości i zdecydowane ulepszenie!

I prawie bez wyrazów obcych.

A jakie to były kampanie ogólnokrajowe!

Wykopał gdzieś na przykład Nikita Chruszczow Nadzieję Zaślądę. Pracowała sobie kobiecina w kolchozie, żyła spokojnie, aż tu postanowili zrobić z niej „megafon”. I polecili jej ogłosić nową „inicjatywę”. I wzywała Nadzieja kolchoźników, aby mieli „rolnicze sumienie”. Nie kolchoźnicze, tylko właśnie rolnicze. Zupełnie jakby nasi chłopcy nigdy go nie mieli, jakby zawsze byli jacyś tacy bez sumienia. A dalej to już samo poszło: robotników wzywano, żeby mieli „robotnicze sumienie”, my, uczniowie, przyrzekaliśmy mieć sumienie pionierskie i komsomolskie... Nie wiem, czy nasi wodzowie przysięgali mieć sumienie partyjne, ale na pewno nikt ich publicznie do tego nie wzywał.

A jakich to ludzi odgrzebywano! Prawdziwe złote samородki! W 1962 roku „Komsomolska Prawda” opowiedziała o Rozie Szafigulinej, studentce z Tomska, która wystosowała do jednego z kierowników amerykańskiej partii komunistycznej, Henry’ego Winstona, następujący list: „Proponuję wam moje oczy. Jestem młoda, widzę doskonale. Wy potrzebujecie ich do dalszej walki. Powinniście się zgodzić...” Rozę Szafiguliną zauważono od razu. Pisano o niej. W oczach, których otwarcie się zrzekła, odbijały się fajerwerki wielkiej sławy. Ale niedługo. Oczu, rzecz jasna, nikt jej nie usunął i fajerwerki powoli wygasły. Minęło dwadzieścia lat. I nagle, ni w pięć, ni w dziewięć, „Komsomolska Prawda” znów przypomniała sobie o Rozie Szafigulinej. Okazało się, że przez wszystkie te lata Roza była przyja-

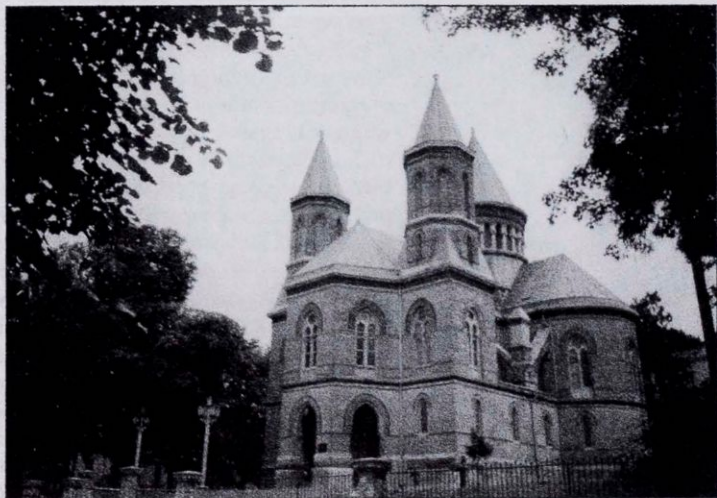


Mojsej Fiszbejn

F ORUM

- 3 Obiegowe, rodem z podręczników określenia Maksyma Gorkiego, Iwana Franki, Lesi Ukranki (przyp. tłum.).
- 4 Są to typowe w ZSRR skróty, szczególnie często używane w nazwach instytucji. Ostatni skrót dotyczy Ministerstwa Przemysłu Stocznioowego, a gra słów opiera się na bliskości brzmienia „sud” (‘sąd’) i „sudno” (‘statek’) (przyp. tłum.).

Czerniowce, kościół ormiański,
1996 rok. Fot. K. Czyżewski





Czernowitz, Ringplatz mit Hotel zum Schwarzen Adler (Rynek z hotelem „Pod czarnym orłem”). Pocztówka wydana tuż po pierwszej wojnie światowej przez Moritz Gottlieb Buchhandlung w Czerniowcach. Pieczęć: Romania Cenzura scrisoriar, Cernăuți.

okazało, myślą pozostawała z tymi, którzy walczyli o to, aby ludzie otrzymywali niezbędną pomoc lekarską. Myśl! Dzielna dziewczyna. Zuch!

A jakie to historie o dywersantach opowiadały nasze gazety! Krew zastygła w żyłach. Nie mieściło się w głowie. Dusze płonęły żądzą zemsty. Fabuła tych kryminalów zawsze była podobna: podli imperialistyczni dywersanci usiłują w naszym kraju załatwić swoje brudne interesy. Początkowo opowiadano przerażające historie o podpalaczach, którzy nocą zakradają się potajemnie do kołchozowych spichrzy, o dywersantach, którzy trzymając lont w swych wilczych zębiskach podkradają się do radzieckich elektrowni, o lekarzach, którzy chcieli otruć czy to jednego nagradzanego pisarza, czy to całe Biuro Polityczne KC. Później głównym bohaterem (czy też antybohaterem) gazetowych opowieści kryminalnych stał się inny dywersant: bardziej finezyjny, chytrzejszy, bardziej podstępny. Nazwano go rock-dywersantem. I zauważono: dywersja teraz nie jest zwyczajna, prymitywna, ale wyznaczona przez współczesne rytmy, za pomocą których ktoś stara się naruszyć rytm pracy w naszym przodującym kraju. Cóż to byli za dywersanci, którzy przy pomocy jakichś współczesnych rytmów mogli naruszyć niewspółczesny rytm pracy? Pozwolę sobie tutaj na małą retrospekcję. W procesie ciągłej walki z „wrogami narodu”, „nacionalistami”, „kosmopolitami”, „odszczępieńcami” i „wewnętrzными emigrantami” nasze gazety jednocześnie walczyły z krawatami, kapeluszami, damskimi kosmetykami, spodniami-cygaretkami, spodniami-dzwonami, butami na „słoninie”, mini- i maxi-spódnicami, dżinsami, zbyt długimi włosami oraz gumą do żucia. Równocześnie prowadzono zacieklą walkę z tangiem, fokstrotem, charlestonem, boogie-woogie, twistem oraz rock and rollem. Tak więc rock-dywersanci okazali się w prostej linii spadkobiercami tango-dywersantów i boogie-woogie-dywersantów. A zachodnia muzyka i zachodnie tańce zawsze były wrogami naszych zapobiegliwych speców od kultury. Jeśli nawet nie wrogiem numer jeden, to co najmniej wrogiem numer trzy albo cztery, to znaczy sytuowały się gdzieś pomiędzy „kosmopolityzmem” a „emigracją wewnętrzną”. Co prawda, trochę szczęścia miał taniec, który przyszedł do nas także z Zachodu, z Finlandii, a nazywał się letka-jenka. Ale jeśli się dobrze przyrzeć, w tym okresie Finlandia to nie był już dla nas taki znowu Zachód – ot, gdzieś pomiędzy Związkiem Radzieckim i Zachodem prawdziwym. Na dodatek taniec też był specyficzny, pokazywała go nawet nasza telewizja: nie tańczyło się parami, tylko wielu obywateli staowało w rzędzie, obejmowało sąsiadów za pas i wszyscy razem: krok w prawo, krok w lewo... Jednym słowem, taniec kolektywny. Co prawda,

ciółka, powierniczka i nauczycielka wielu ludzi ze wszystkich zakątków ZSRR. Czy radziła im, aby oddali swe młode i niemłode oczy amerykańskiemu komunistom? Dokładnie nie wiadomo. Ale z gazety dowiedzieliśmy się, że do Rozy pisano o wszystkim: opowiadano, jak pięknie śpiewa kanarek w szkolnej sali, proszono o radę, jaki dać napis na nagrobku, informowano o urodzeniu syna i o sanatoryjnym odpoczynku chóru weteranów... A Roza wszystkim odpowiadała, jak spowiednik i kaznodzieja. Pisać mogła, chwala Bogu, bo mimo że się opierała, wciąż miała oczy. Czym zajmowała się przez cały ten czas? Jak się

to „krok w prawo, krok w lewo” coś nam przypominało... coś znanego „od Moskwy aż po same krańce”: krok w prawo, krok w lewo uważa się za ucieczkę, konwojent strzela bez uprzedzenia... Ale skojarzenie było zapewne niedorzeczne i wszyscy z upodobaniem tę letkę-jenkę tańczyli. A o roku gazety pisały: jest to muzyka antypatriotyczna i antynarodowa. Nacierały chmury „ogólnonarodowego oburzenia”. Muzykoznawcy w cywilu zaczęli tropić rock-dywersje. Z kolei mój szkolny kolega w tajemnicy opowiedział mi, że jego rodzice mówili w domu, że nasi dzielni przywódcy posiadają kolekcje płyt z antynarodową muzyką i na specdaczach słuchają antynarodowego rocka. I kiedy popijają sobie francuski albo armeński koniak, sprawia im dużą przyjemność tak czuć na sobie tę rock-dywersję. Mój zgryźliwy kolega zaproponował napisać do „organów” taki list: „My, uczniowie szkoły im.

A. Puszkina, jesteście oburzeni rock-dywersjami. Wiemy, że rock to antynarodowe dźwięki i antypatriotyczne ruchy tancerzy. Za patriotyczne uważamy tylko ruchy ręki, która głosuje „za” i nogi, która wyraźnie zaznacza krok defiladowy. Szanowni bohaterscy radzieccy czekać! Według naszych wiadomości, w drugiej połowie grudnia w naszym mieście szykuje się masowa rock-dywersja. Przejdźcie ulicami, zajrzyjcie do szkół i przedszkoli, popatrzcie na sklepowe wystawy – wszędzie zawisną napisy: „Szczęśliwego Nowego Roku!”⁵

Oprócz zjadliwości mój kolega odznaczał się również zdrowym rozsądkiem. Nie wysłaliśmy tego listu.

Jeszcze o moim zgryźliwym koledze.

W naszej szkole odbywali praktyki studenci miejscowego uniwersytetu. Jeden z nich, po przeczytaniu fragmentu poematu Niekrasowa, w którym mężczyzna wszedł na dach płonącego domu, żeby uratować kotka, wnikliwie rzekł:

– A ja tak sobie myślę, że tylko rosyjski człowiek jest zdolny do takiego czynu! Czy Niemiec odważyłby się na coś takiego?..

– A Walter Ulbricht⁶? – nie czekając, rzucił mój zgryźliwy kolega.

W klasie zapadła cisza.

Oni są jak domy na palach: odporni na trzęsienie ziemi.

O wielu pracownikach organów od pewnego czasu zaczęło się mówić: on siedzi na kadrach. (Dla niewtajemniczonych: pracuje jako naczelnik działu kadr).

Od pewnego czasu zaczęło się nam wydawać, że słowoodporna kurtyna, którą przyjęto nazywać żelazną (choć był to chyba zupełnie inny metal), jest zwykłym sreberkiem. Nie można jej było ominąć, ale można było wydłubać małą dziurkę. Powoli powstawały KPM-y, Kluby Przyjaźni Międzynarodowej. Dostawaliśmy adresy czechosłowackich albo rumuńskich uczniów i zaczynała się korespondencja. Na przykład: „Drogi czechosłowacki przyjacielu Jiří Z., my, uczniowie klasy szóstej „b” szkoły im. A. Puszkina, chcielibyśmy z Tobą korespondować. Opowiedz, jak się uczycie i jak walczyć o pokój. Chcemy zebrać podpisy mieszkańców naszego miasta pod apelem przeciwko wojnie. My też jesteśmy przeciwni wojnie. Czekamy na Twoją odpowiedź”. Nie, to nie nieszczęsna Samanta Smith i nie



Mojsej Fiszbejn

FORUM

5 W oryginale gra identycznie wyglądających słów (rok -rock) (przyp. tłum.).

6 Niemiecki działacz komunistyczny, wówczas I sekretarz niemieckiej partii komunistycznej (przyp. tłum.).

Czernowit, Hauptstrasse (ulica Pańska). Pocztówka wydana około 1910 roku przez Leon König, Buch- u. Papierhandlung w Czerniowcach.



międykontynentalna, sympatyczna Katia Liczowa, to my zaczynaliśmy to wszystko. Mój szkolny kolega samodzielnie zdobywał adresy zagranicznych uczniów. Obiektem jego zakusów były dzieci zachodnich komunistów. Miał już adres syna indyjskiego komunisty (zdobyty przez krewnych z miasta Żdanowa, dokąd indyjski komunista przyjechał jako stażysta fabryki „Azowstal”) i polował na dziecko jakiegoś amerykańskiego komunisty. Ale nie gardziiliśmy również korespondencją z uczniami z Gruzji czy Turkmenii. Mój kolega miał na punkcie internacjonalizmu kota, bzikta, zupełnego świra. Zapłacił za to dużo później, na uniwersytecie w Nowosybirsku. A było to tak. Była mocno zakrapiana impreza z przyjezdnymi Gruzinami. Oprócz słów *kaco*, *gamardżoba* i *genacuale* znał mój kolega jeszcze dziarskie zdanie *szenimogetchandedasmusiteli* (odpowiednik znanego wyrażenia o cudzej matce). Wiedząc coś-niecoś o językoznawstwie porównawczym, o korzeniach indoeuropejskich, jak również o tym, że istnieje powszechnie znane niemieckie słowo *Mutter*, bez większego trudu wydzielił z wielocłonowego zdania człon potrzebny do międzynarodowego toastu. Uśmiechnął się zagadkowo, z nieokreśloną aluzją, podniósł się i wygłosił: „Wypijmy za nasze matki. I chociaż u nas na mamę mówi się – mama, a u Gruzinów – muteli, nie przeszkadza nam to...” Błyskawiczny policzek oblał czerwienią i nieco skrzywił jego szczękę. Powtórzył konwulsyjnie: „...nie przeszkadza...” I znowu – plask! Plask-plask! Gruzin bił go po twarzy w milczeniu, nic nie wyjaśniając. Wyjaśnienia były później: mama to po gruzińsku deda (kto by przypuszczał!), a gruzińskie słowo podobne do niemieckiego *Mutter* oznacza (kto by przypuszczał!) coś zupełnie innego. To miejsce, w które od dzieciństwa posyłał go Witia z sąsiedztwa, mówiąc: „Poszedł w...”

Nie pocieszałem niepotrzebnie. Współczułem.

Gdy pierwszego września 1953 roku mamy przyprowadziły nas do pierwszej klasy, moja pierwsza nauczycielka Olena Zobotnikowa wypytywała nas, jak się będziemy uczyć. „Dobrze!” „Bardzo dobrze!” „Na czwórki i piątki!”. Przyszła moja kolej.

– A ty jak będziesz się uczyć?

– Jak Lenin! – odpowiedziałem stanowczo.

„Kiedy Lenin był malutki, kędzierzawą głowę miał...” – ten wierszyk poznałem, kiedy miałem trzy lata.

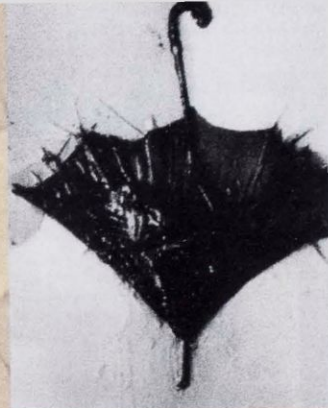
I rzeczywiście byłem w szkole prymusem. Do ósmej klasy. Co prawda, oprócz Lenina miałem i inny wzór, innego Włodzimierza, syna wojskowego lekarza rentgenologa, Stratanowicza. Mówiono o nim: dostanie medal. Szczupły, wysoki, wyprostowany, zawsze dążył do wyznaczonego celu. Chciałem być do niego podobny. Chciałem tak samo pewnie dążyć do medalu, do jakiegoś świetnego celu, który majaczy gdzieś tam, na horyzoncie, gdzieś tam, w świetlanej, niepojętej, bezgranicznej przyszłości, która lśni w nieskończoności mojego życia, chciałem kochać ludzi, podróżować, przelewać krew za ojczyznę, pokochać, znaleźć skarb, coś wynaleźć, uszczęśliwić wszystkich, uratować komuś życie, zdemaskować wroga, przeczytać wszystkie książki, spotkać Marsjan, napisać wstrząsający poemat, nauczyć się wszystkich języków świata, mieć wiernych przyjaciół, zostać sławnym aktorem, dać rodzicom nieśmiertelność, czułem się jak istota niezależna od czasu i przestrzeni, i życie moje nie miało końca, było nieskończone.

Stare szkolne zadanie: „Wędrowiec wyruszył z punktu A do punktu B...” Ale między nimi – nieunikniony, nie do ominięcia! – znajduje się punkt C. Niespodziewany. Niepotrzebny. Podstępny. Zabójczy.

Monachium, 1985 r.

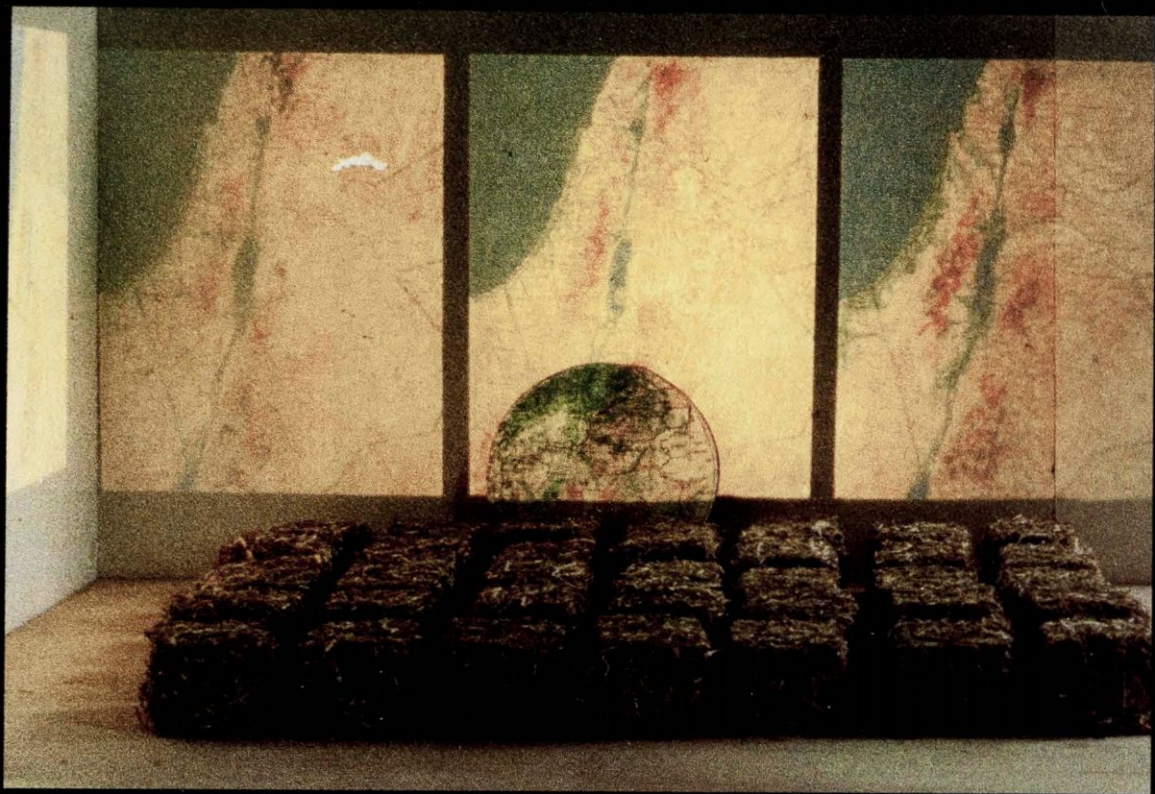
Przełożyły **Ola Hnatiuk** i **Katarzyna Kotyńska**

PRACOWNIA ARTYSTYCZNA
JAROMIRA JEDLIŃSKIEGO



Joshua Neustein: *Light on the Ashes*, 1996.

KANTOR
NEUSTEIN
JEDLIŃSKI



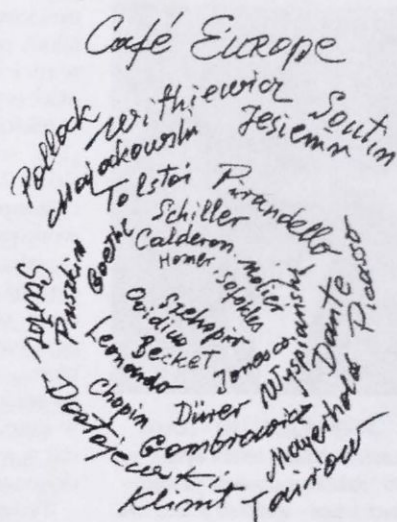
Joshua Neustein: *Fractured Locations*, 1988

Joshua Neustein: *The Blind Patriot of the Sun*, 1989



JAROMIR JEDLIŃSKI

Odysea Kantora



ARTYSTA WĘDROWNY
WIECZNY TUŁACZ
nie mający domu ani miejsca
nadaremnie szukający przystani,
nie rozstający się ze swoim bagażem,
w którym spoczywają
jego wszystkie nadzieje, iluzje,
ich bogactwo
i ich fikcja,
których broni zazdrośnie
aż do końca przed nietolerancją
i obojętnością

Tadeusz Kantor, *Kondycja Aktora*

Tadeusz Kantor był artystą-pielęgniarem przemierzającym czas swojej własnej, a także zbiorowej pamięci oraz wędrującym w przestrzeni i wielości kultur, pracującym na całym świecie, powracającym zawsze jednak do swych korzeni – do Krakowa i do Wielopola, gdzie się urodził. Bardzo znamienne dla tej postawy, którą można przyrównać do reprezentowanej przez Jamesa Joyce'a – innego wielkiego realistę wyobraźni w sztuce dwudziestego wieku, innego Odysa-Ulissesa pamięci-wyobraźni – są słowa, jakie Kantor zapisał w liście do Stanisława Balewicza (współtwórcy i wieloletniego *spiritus-movens* Galerii Krzysztofory w Krakowie) z dnia 3 października 1980 roku; Kantor pisał do przyjaciela z Florencji: „Przyjeżdżamy tu znowu w styczniu. Na razie żegnamy się z miastem tak podobnym do Krakowa, z wieżą Signorii, kopułą Brunelleschiego, Massacciem, Leonardem, Buonarottim, Savonarolą i Machiavellim. Chciałbym przywitać się już szybko ze Stwoszem, Wyspiańskim i Plantami no i z Tobą, Drogi Stasiu.”

Tadeusz Kantor uczynił z podróży i z powrotu, z pokoju (często zwanego przezeń „Biednym pokojem wyobraźni”) i z domu, ze śmierci i z miłości, z pamięci i z wyobraźni, podstawowe składniki materii swego dzieła – dzieła wielowymiarowego, przede wszystkim teatralnego i malarskiego. W swoim tekście *Idea podróży* z 1969 roku, Kantor stwierdzał: „Idea podróży łączy się



JAROMIR JEDLIŃSKI – historyk sztuki, niezależny kurator wystaw, autor i redaktor wydawnictw poświęconych sztuce – urodził się w 1955 roku w Poznaniu.

Ukończył historię sztuki na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu i podyplomowe studia w Courtauld Institute przy Uniwersytecie Londyńskim. Specjalizuje się w sztuce XX wieku, muzealnictwie, muzeologii. Od 1980 roku pracuje w Muzeum Sztuki w Łodzi, w latach 1991-1996 był jego dyrektorem. W latach 1984-1988 wykladał wiedzę o sztuce w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi.

Organizator i kurator 150 wystaw prezentowanych w Europie, Ameryce, Japonii i Izraelu.

Autor książki: *Joseph Beuys. Teksty, komentarze, wywiady.* (1992), redaktor serii wydawniczej Biblioteka Muzeum Sztuki w Łodzi (1991-1996).

Współautor filmów: *Architektura XX-wieczna w Polsce* i *Władysław Strzemiński. Konstruowanie widzenia.* Autor cyklu radiowego *Rozmowy o sztuce.* Przewodniczący Rady Programowej Fundacji im. Tadeusza Kantora w Krakowie.

treściowo z całością mojej twórczości. Jest to idea sztuki jako podróży mentalnej, odkrywanie nowych terenów eksploracji. Od roku 1963 pojawiają się w moich obrazach rekwizyty podróży: paczki, torby, walizki, plecaki, postacie «wiecznych wędrowników»... Urządzam happeningi o tej treści...». A jeszcze w tekście *Podróż* z lat 1966-1968 antycypuje swój „los, przeznaczenie”, notując: „1967 – Cała trupa aktorów (w mojej inscenizacji *Kurka Wodna*, w teatrze Cricot 2) – jest trupą „wiecznych wędrowców”, których kostiumy, szelne i skomplikowane wielowarstwowe „opakowania”, zrosnięte są z masą walizek, worków, plecaków, tobołków. 1968 – w Norymberdze, w happeningu „Spotkanie z nosorożcem”, rozmawiam w kawiarni z człowiekiem dźwigającym na plecach monstrualny plecak”. Kloszardzi frapowali Kantora jako widomy objaw istnienia ludzkiego w rejonach „realności najniższej rangi”, istnienia prawdziwego, istnienia funkcjonalnego, istnienia pozakonwencjonalnego – nawet poza konwencją buntu. Kloszardzi noszący ze sobą, albo też na sobie, swe każdorazowe zadowienie, jak w teatrze wędrownym, jak w losie tułacza, jak w statusie Innego, które to regiony pospołu Kantor podał w swej pracy artystycznej sublimacji. Znowuż podobnie jak Joyce, Kantor dokonał w swym dziele dojmującego objawienia potoczności.

Tadeusz Kantor mówił równocześnie o scenie swojego teatru albo o swym obrazie jako o swoim domu, mówił, że innego nie posiadał. Objawienia potoczności najniższego rzędu, jak mawiał, przepełnione są w sztuce Kantora surową godnością i powagą. W przewodniku do swego spektaklu *Niech szczerą artyści* z 1985 roku, nazwał swoje dzieło „Teatrum Mortis et Gloria”. Ironia współkonstytuowała to dzieło, bowiem Kantor uznawał prawomocność śmieśności jako równie, jak wszystko inne, poważnego elementu rzeczywistości.

A pomiędzy realnością wędrowania a marzeniem o domu znaki tymczasowego postoju albo spoczynku, a pomiędzy których na pierwszym miejscu wymienić należy krzesło – inny wszechobecny rekwizyt wyobraźni i twórczości autora *Umarłej klasy*. W tekście *Miejsce teatralne* z 1980 roku Kantor pisał: „KRZESŁO – przedmiot NAJNIŻSZEJ RANGI... KRZESŁO nasunęło mi refleksję o elementarnej postawie człowieka: s i e d z e n i u. Można by powiedzieć, że stan siedzenia jest następnym etapem rozwojowym po owym «rewolucyjnym» momencie, gdy człowiek przyjął postawę stojącą. Napisałem wówczas (rok 1944) krótki esej «o siedzeniu». A w wiele lat później po kilku moich doświadczeniach z K R Z E S Ł E M rodzaj «resume» pt. «Krzesło»”.

Innym jeszcze miejscem wyobraźni albo tożsamości, w którym myśl Kantora miała swój dom była Europa. W swoim manifestie napisanym z okazji wystawy w rzymskiej Galleria Spicchi dell'Est w 1990 roku, w tekście-poemacie zatytułowanym *Café Europe*, Kantor mówił:

„Europa jest niepodzielna. Europa k u l t u r y.

W moim życiorysie, żarliwe wchłanianie wielkiej wiedzy o Bauhausie nakładało się na bezlitosną hitlerowską eksterminację wielkich Apostołów Abstrakcji.

W roku 1938 wyrosły z Bauhausu mój marionetkowy spektakl «Śmierć Tintagilesa» Maeterlincka brzmiał jak «Requiem».

W 1942, kiedy opracowując w Podziemnym Teatrze spektakl «Balladyna» niemal spowiadałem się z moich grzechów symbolizmu przed imponującym konfesjonatem rosyjskich konstruktywistów – w tym samym czasie Wsiewołod Meyerhold mordowany był bestialsko przez stalinowskich zbirów – a z nim poeci, artyści...

Najwięksi.

Oni wszyscy ginęli za Ducha Kultury Europejskiej.

Europa jest jedna!

Gdzieś na rozstajnych

drogach Czasu

musi istnieć

„Café Europe”...

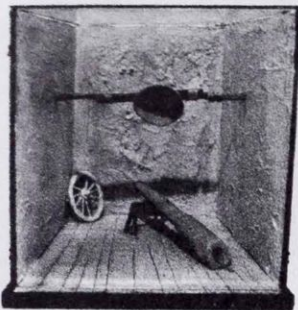
kogo tam nie ma...”

Dzielo Kantora jest tak bogate w znaczenia, bowiem – aczkolwiek zwane przez samego autora „biednym” albo „niskim” – jest ono świadectwem wielkich tragedii historii dwudziestego wieku, a zarazem wypowiada się poprzez własną, odrębną od wszelkich innych, formę wyrazu owych powszechnych doznań. Język wypowiedzi Kantora oscyluje pomiędzy tym, co lokalne, a tym, co uniwersalne, pomiędzy domem a światem, zarówno w sferze doświadczeń, jak i słowników artystycznego wyrazu. Owe bieguny odniesień własnego przesłania – podobnie wyobrażał sobie adresatów własnego dzieła – stały się równie istotne dla samoświadomości artystycznej Kantora, jak i współkonstituujące jego dzieło i spójmotywiąjące jego wybory oraz decyzje. Zakorzeniony we własnej lokalności utrzymywał dialog z uniwersalnością sztuki, tak jemu współczesnej, jak i dawniejszej. Ciekawego dowodu odczytania takich intencji artysty dostarczył Gillo Dorfles, pisząc w katalogu przywołanej tu przed chwilą wystawy Kantora w Rzymie w 1990 roku: „Kiedy po raz pierwszy – było to około roku 1975 – miałem okazję oglądać *Umarłą klasę* w tym ciasnym pomieszczeniu – bardziej refektarzu zakonnym niż teatrze – w napiętej i ponurej atmosferze Krakowa (nadaremnie poddawanego bolszewizacji i jeszcze, mimo wszystko, tak bardzo środkowoeuropejskiego) – obraz surowych ławek szkolnych, woznej, bliźniaków, żołnierza ... miał pozostać na zawsze w mojej pamięci, mimo, że ponowne z nimi spotkanie przy następnych wydanach „piece”, widzianych gdzie indziej, nie podziało na mnie tym absolutnie niepowtarzalnym, jak to miało miejsce za pierwszym razem, czarem.” Kantor odnajdował swój dom w swoim własnym dziele. Równocześnie w swych peregrynacjach, w swej Odysei artystycznej poszukiwał nieustannie domu albo pokoi gościnnych dla swojego dzieła, ciągle myśląc o powrocie do swych korzeni – czasem mówił wręcz o powrocie „syna marnotrawnego”, a jeszcze i o tym, że w Polsce postrzegany był jako artysta „kosmopolityczny”, a w świecie – przeciwnie – jako artysta narodowy. Konkludował nawet, że jest artystą prowincjonalnym, w takim znaczeniu zakorzenienia, w jakim za artystów związanych z prowincjonalną lokalnością uznamy Brunona Schulza czy Stanisława Ignacego Witkiewicza. A przy tym Kantor znalazł przecież światową recepcję, respekt i dowody dotknięcia świadomości, zmysłów, sumień i serc odbiorców w całym świecie – od Peresji po Szkocję, od Japonii po Izrael, od Pragi, Florencji czy Norymburgii po Paryż i Nowy Jork. Dla przykładu jedynie wskazać można, że powstała w 1975 roku *Umarła klasa* pokazywana była ponad dwa tysiące razy na całym świecie przez teatr Cricot 2 Tadeusza Kantora. Jest artystą z Krakowa, z Polski, jest artystą świata. Był artystą teatru, malarzem, twórcą happeningów, autorem różnorodnych interwencji w codzienną rzeczywistość, ale przede wszystkim był człowiekiem sztuki w ogólności. Kantor żył „w trójkącie” – według jego własnych słów - z teatrem i z malarstwem. Najbardziej znaczące grupy jego dzieł można uszeregować w następujący sposób (taki sam układ wyznaczył logikę wystawy *Pokoje Tadeusza Kantora. Fragmenty dzieła*, którą miałem okazję zorganizować w Konsthalle Nürnberg w 1996 roku): 1. wczesne odniesienie do Bauhausu, do Oskara Schlemmera, Maurice'a Maeterlincka, konstruktywizmu ujawnione głównie w Efemerycznym (i Mechanicznym) teatrze Lalek, gdzie w 1938 roku Kantor wystawił *Śmierć Tintagilesa* Maeterlincka; obok *Baletu*



Jaromir Jedliński

P RACOWNIA
ARTYSTYCZNA



Makieta przestrzeni scenicznej do *Powrotu Odysa*, 1944. Kolekcja: Cricoteka, Kraków.

Triadycznego Schlemmera, Kantor interesował się wówczas *Baletem Mechanicznym* Kurta Schmidta, Friedricha W. Boglera i Georga Teltschera, *Mechaniczną Sceną* Kurta Schmidta oraz założeniami Teatru Totalnego Laszlo Moholy-Nagya. Kantor wspominał ów najmniej znany okres swojej twórczości. Ślady którego istnieją jedynie w rysunkach (częściowo rekonstruowanych przez artystę) przedstawiających *Służące* oraz *Tintagileśa*. Przywołując ten czas, Kantor wspominał: „... dyrektor Efemerycznego teatryku jest szarpany wewnętrznymi sprzecznościami... Kiedyś zakupił w antykwariacie małą *Żółtą Książeczkę* Bauhausu. Nawet nie wie w tym momencie, że jej bohaterowie rozproszyli się po całym świecie ścigani przez głupią i zbrodniczą sforę ludzkich bestii. Walter Gropius, Laszlo Moholy-Nagy, Oskar Schlemmer, Paul Klee i tylu innych. Z trudem i uporem tłumaczył ich dziwne i urzekające teksty... metafizyczne abstractum, mechaniczne ekscentryczności, balet triadyczny, człowiek i maszyna, cyrk, trójkątny, koła, walce, kuby, dźwięki, kolory, formy simultaniczne, synoptyczne, synakustyczne, w ekstazie radości, konstrukcji, świata bezprzedmiotowego, czystego, wyzwolonego, abstrakcji. Kantor powrócił do idei stojących u podstaw wczesnego, przedwojennego okresu fascynacji Bauhausem w 1987 roku, kiedy we współpracy z Muzeum Marionetek w Palermo oraz Centro Ricerche Teatrali z Mediolanu wystawił w Palermo (a potem także w czasie *8 Documenta* w Kassel) spektakl *Maszyna miłości i śmierci*, powracał też do idei Bauhausu w rysunkach ilustrujących jego *Lekcje mediolańskie* z 1986 roku. Już w tym wczesnym okresie napięcie pomiędzy lokalnością a powszechnością aspiracji i odniesień artystycznych ujawniło się Kantorowi, o czym mówił tak: „Kiedy robilem *Śmierć Tintagileśa* Maeterlincka pod wpływem Bauhausu, Oskara Schlemmera, Moholy-Nagya – tych wszystkich świętych purystycznej abstrakcji, to jednak gdzieś tam, w głębi nie wiedziałem co zrobić z biedną chałupką bronowicką, z Wawelem pana Wyspiańskiego i ze śmietnikiem Brunona Schulza, i z tym chuliganem Witkacym...”. ; 2. Teatr Niezależny, teatr podziemny stworzony i prowadzony przez Kantora w czasie drugiej wojny światowej w okupowanym Krakowie, w którym zrealizował *Śmierć Orfeusza* Cocteau, potem *Balladynę* według Słowackiego i *Powrót Odysa* według Wyspiańskiego. Kantor mawiał, że przy okazji realizacji wojennego *Powrotu Odysa* wynalazł wiele zasadniczych elementów swej późniejszej twórczości, „wszystko wtedy wymyśliłem”. Wtedy powstała idea i praktyka „realności najniższej rangi” w sztuce, pojęcie „Biednego pokoju”, idea posługiwania się „przedmiotami znalezionymi”, znalezionymi motywami, wtedy – w sposób bardzo dosłowny, ze względu na okupacyjne zagrożenie – powstało wyrażane później przez Kantora przekonanie, że „Do teatru nie wchodzi się bezkarnie”; 3. obrazy i rysunki z lat 40. i 50., uwidaczniające idee Tadeusza Kantora – na temat „wieloprzestrzenności”, „przestrzeni parasolowatej”, „ponadruchów”, a również malarstwo i rysunek – potem także teatr – *informel*, jak i obrazy oraz rysunki z zespołu prac *Meta-morfozy*. W 1947 roku Kantor udał się w pierwszą swą podróż artystyczną do Paryża. Jednym z istotnych i owocnych twórczo doświadczeń było poznanie Palais de la Decouverte, muzeum osobliwości. W jednym z zapisków artysty z tego doświadczenia, czytamy: „Paryż, Palais de la Decouverte, 1947, codziennie od jedenastej do piętnastej (zaprzestać chodzić do muzeów i galerii). Zągęszczenie, nieskończoność, szaleństwo ruchu, MROWISKO, ŚMIETNIK, ta gęstość jest koszmarna, jak we śnie. Drzwi do tego pałacu są dla mnie laika kompletnie zamknięte, muszę jednak pozostać laikiem aby nie utracić stanu imaginacji – znaleźć jakieś inne wejście, drzwi raczej boczne, może nawet śmieszne ... makieta, w której układaliśmy dotychczas modele obrazu zawałiła się raz na zawsze ... istne cmentarzysko rekwizytów ... inna natura wprawiająca mnie w gorączkę ... fantom figury ludzkiej nieustannie jednak istnieje, jak puste miejsce o określonych zagłębieniach, wklęsłościach ...

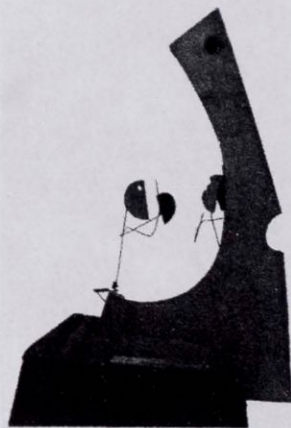
1947". Najciekawszą w tym okresie wydaje się być idea „przestrzeni parasolowatej” Kantora zakładająca kurczenie się i rozwijanie, „rozkładanie” świata wielowymiarowego, w którym istniejemy i działamy, a dalej unaoucznienie tych zjawisk i doznań w bazie stanowiącej w istocie pole wizualne składania i rozkładania przestrzeni, jej współrzędnych na płaszczyźnie, tak jak w potoczności życiowej postępujemy składając i rozkładając parasol, skądinąd obiekt wszechobecny w różnych okresach tworzenia Kantora i spełniające w jego pracy różnorakie role, będąc wszak zawsze rekwizytem wędrowca wyposażonego w kruchą ochronę na czas niepogodny. Kantor mówił: „W tym czasie kolekcjonowałem stare parasole. Parasol „rozpinał” i „zwijal” przestrzeń. Wecisła ją w ostre luki. Właściwie chodziło mi bardziej o sam szkielet drutów. Parasole wybuchały swymi szkieletami, jak fajerwerki. Uzyskiwałem w ten sposób wielką skalę napięć. (...) W przestrzeni parasolowatej pojawiły się s t r u k t u r y k o s t n e, podobne do metalowych szkieletów parasoli: ostre kształty żeber, pogmatwana konstrukcja piszczeli i kości, które rozsypywały się w tym pejzażu bez końca, w różnych napięciach, skupiały się w skomplikowanych układach przypominających figurę ludzką, wyznaczając w niej raczej kierunki e n e r g i i niż powierzchnię zamkniętą. Były to ruchy nie mające żadnych funkcji anatomicznych, które czegoś dosięgały, coś przewiercały. Nazwałem je p o n a d - r u c h a m i.” Malarstwo, rysunek, teatr *informel* to manifestacja życia w procesie wykonywania dzieła sztuki przez Kantora. Automatyzm, przypadek, gest spontaniczny określały w latach 50. procedury postępowania artysty. Najdobitniej obrazują owo nastawienie rysunki zatytułowane *Instalacje przypadku* wyobrażające „malowanie batem”, malowanie poprzez wrzucanie kamienia do pojemnika z farbą, malowanie na obracającym się bębnie; 4. okres Teatru Cricot 2 utworzonego przez Kantora w 1955 roku, począwszy od spektakli opartych jeszcze na dramatach Stanisława Ignacego Witkiewicza, traktowanych jako „rzeczy znalezione”, jako że Kantor nie interesował żaden repertuar, nawet witkiewiczowski; twórczość happeningowa, *Ekspozycja popularna – anty-wystawa* pokazana w Galerii Krzysztofory; a także rysunkowych i fotomontażowych *Projektów pomników niemożliwych*, wśród nich motywu krzesła, – zrealizowanego w 1995 roku w gigantycznej skali w formie betonowej obok Domu Kantora w Hucisku pod Krakowem, a także *Wieszaka-Mostu* czy *Żarówki-Pomnika*. W tekście *Café Europe* Kantor mówił na temat *Ekspozycji popularnej – anty-wystawy*: „Znalazło się w niej wszystko, co otaczało, inicjowało, powodowało dzieła sztuki, z wyjątkiem samych dzieł.”; 5. idea ambalaży (*emballages*) polegająca na opakowaniu przedmiotów, obrazów, ludzi, nawet idei (*Ambalaże konceptualne*), w tym *Emballage humaine* (Ambalaż ludzki), będący happeningiem przeprowadzonym pierwotnie w Norymberdze, a także obraz-ambalaż opatrzony takim samym tytułem i intencją. Prace związane z ideą ambalażu bardzo często wiązały się z przedstawieniami akcesoriów podróży, przesyłki, obładowania, objuczenia, zapakowania – kogoś, czegoś – kto, co znajduje się w ruchu, co się przemieszcza lub jest przemieszczone; 6. *Teatr Śmierci* i główne dzieło tej fazy pracy Kantora – *Umarła Klasa* z 1975 roku, a dalej spektakle pamięci *Wielopole, Wielopole, Niech szczeną artyści, Nigdy tu już nie powrócę*, aż po ostatni spektakl będący „wyznaniem osobistym” autora – *Dziś są moje urodziny* z 1990 roku (pracę nad którym przerwała śmierć Tadeusza Kantora w grudniu 1990 roku), a którego prapremiera odbyła się w Tuluzie w roku 1991; 7. Tadeusza Kantora malarstwo – anty-malarstwo, potem – malarstwo na powrót – czy to cykl metaforyczny, czy to seria *Wszystko wisi na włosku* albo *Multipart* (multiplikacja-partycypacja), albo jeszcze *Portrety zaambalowane*, aż po ostatni cykl obrazowy *Dalej już nic*. Anty-malarskiemu, stworzonemu przez „malarza konspiratora”, jak mawiał sam Kantor, cyklowi obrazów-objektów *Wszystko wisi na włosku*, prezentowanemu w 1973 roku w Galerii



Jaromir Jedliński

P RACOWNIA
ARTYSTYCZNA

Balladyna i Elfy, z *Balladyny*, 1943;
rekonstrukcja autorska Kantora z lat
80. Kolekcja: Cricoteka, Kraków.



Foksal, towarzyszył cykl rysunków: *Obraz i krzesło, Obraz i stół, Obraz i wiązka drewna, Obraz i kółko, Obraz-drzwi*, będący na przewrotny sposób cyklem szkiców do sytuacji przedmiotowych, anty-obrazowych, które stając się obiektami obrazowymi były w istocie spiskowaniem przeciw malarstwu. Pozostawał tu szkic oraz obiekt, malarstwo zniknęło, ulotniło się, sytuacją, w której – według słów jej sprawcy – „... treścią obrazu było to, co z obrazu zostało wyrzucone poza obraz i ledwo się trzymało.”, podczas gdy w powstałym w latach 80. cyklu *Dalej już nic* mamy do czynienia z powrotem do bogatego malarsko oraz ikonograficznie, teatralnego (wraz z dołączanymi manekinami i rekwizytami) malowania Kantora, malowania ciągle wszak samokwestionującego się, autotematycznego, na przykład obraz-asamlaż *Czyszczyć obraz, na którym jestem namalowany gdy czyszczyć obraz* z 1987 roku, czy *Żołnierz niesie obraz, na którym jest namalowany, gdy niesie obraz* z tego samego czasu.

Wiele tematów, motywów, a także artystycznych rozwiązań w sposobie ich wyrażania przenika się pomiędzy wyszczególnionymi powyżej głównymi grupami – okresami, czy też przystankami w podróży twórczej Tadeusza Kantora, bowiem pamięć, która stanowiła substancję jego dzieła, podlegała równocześnie zabiegom artysty posługującego się często autocytatem, autotrawestacją, poczynaniom twórcy dokonującego tasowania kart czasu własnego życia i pracy, bowiem stosunek Kantora do chronologii był jak najdalszy od pedanterii. Rozpoznanie tych składników osobowości i respekt dla takiej postawy artysty stają u podstaw zasad konstruowania niektórych organizowanych po śmierci Tadeusza Kantora wystaw jego dzieła. Tak było w przypadku wspomnianej tu już wystawy w Norymberdze w 1996 roku, gdzie widk zwiędzał ekspozycję w porządku antychronologicznym (a zgodnym z zasadami pamięci), podążając od dzieł stworzonych najpóźniej (dzieł najbardziej syntetycznych) aż docierał do prac z najwcześniejszego okresu biografii ich autora. Potem, ze względu na układ sal wystawowych norymberskiej Kunsthalle (gościnnych pokoi wyobraźni Kantora układających się w amfiladę, wejście do której stanowi zarazem wyjście z niej), widk rewizytował całą wystawę raz jeszcze, tym razem posuwając się przez pokoje-okresy tworzenia w porządku zgodnym z czasowym następstwem powstania zgromadzonych w nich dzieł. Kantor mówił o swym lęku przed utrwalaniem, unieruchomieniem dzieła sztuki, swego własnego utworu. Czasami z tego względu wypowiadał się bardzo krytycznie na temat muzeów, jak uczynił to choćby w czasie sympozjum *Konstruktywizm w teatrze* w 1979 roku w Klubie Stodoła w Warszawie. Równocześnie Kantor respektował żywe, poważne miejsca sztuki (w tym i muzea), takie jednak, które zdolne są do uczestniczenia w ryzyku podróży twórczej artysty. Uważał on jednak, że najwyklesze, „podrzędne” miejsca umożliwiają artyście zachowanie bezkompromisowości, odrzucenie jakiegokolwiek konformizmu, przewyciężenie konwencji odbioru. Takie wybory miały na celu dotknięcie przez sztukę rzeczywistości – również poprzez sposób, w jaki się sztuka uobecnia, co stało się w oczywisty sposób ważne dzięki Kantorowi właśnie – dotarcie do realności w jej elementarnych przejawach, a w efekcie przekazanie jej sublimacji wypracowanej przez artystę – odbiorcy sztuki, widzowi spektaklu czy ekspozycji. Odyseja Kantora była ucieczką przed zniewoleniem sztuki i życia przez konwencję, była poszukiwaniem niezafalszowanego głosu tworzenia i prawdziwego wyrazu egzystencji. Można odnieść wiele elementów postawy Kantora do tej, którą reprezentował Joseph Beuys, artysta wysoce respektowany przezeń. Beuys mówił: „La rivoluzione siamo Noi” – *Rewolucją jesteśmy My*. Kantor zaś deklarował swą wiarę, iż: ... autentyczny **nonkonformizm** istnieje tylko w najważniejszych rejonach kultury (...) on i tylko on nadaje kulturze ludzką godność i właśnie on – ponizany, kamuflowany, falszowany przez mierne opinie, ryzykujące –

Royden Rabinowitch w rozmowie z Tadeuszem Kantorem. Galeria Krzysztofora, Kraków 1987. Fot. M. Chlanda



decyduje o postępie. (...) wolność w sztuce się nieustannie **zdobywa**, pojęcie wolności nie istnieje bez tego, co zmyka, co ogranicza". Pamiętam, jak w początku 1988 roku, w czasie przygotowania wystawy *Miejsca rzeźby* *Joseph Beuys, Marek Chlanda, Royden Rabinowitch* w Muzeum Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie towarzyszyłem Rabinowitchowi w jego spotkaniu z Tadeuszem Kantorem w Cricotece w Krakowie. Kantor spotkał się już wcześniej z tym rzeźbiarzem, w trakcie jego wystawy *Rzeźba-Ciało* w Galerii Krzysztofory, którą miałem okazję zorganizować jesienią 1987 roku. Rabinowitch ofiarował Kantorowi jedną ze swych *Barrel Constructions (Konstrukcji z beczek)*, którą Kantor spontanicznie ułożył w centrum swej eksponowanej w Cricotece wystawy *Katedry barcelońskie*. Powiedział o ofiarowanej mu rzeźbie Rabinowitcha: „To przedmiot niskiego rzędu, podrzędny, który podnosi ludzką godność”. Kantor powiedział także, w *6 Lekcji Mediolańskich*:

„NALEŻY TEN NĘDZNY, MAŁY MATERIALIZM, TĘ ŚMIESZNA OFICJALNOŚĆ, MIZDRZĄCY SIĘ STYL ŻYCIA «HIGH-LIFE» BEZ PRZERWY KOMPROMITOWAĆ I DEMASKOWAĆ SZYDERSTWEM, IRONIA, PROWOKACJĄ, MISTYFIKACJĄ CYRKU NASZEJ EPOKI, APOKALIPTYCZNEGO PAMIĘTAĆ O POSTAWIE KONSTRUKTYWISTÓW I O WIELKIM FRANCOIS VILLON!”

Czasami Tadeusz Kantor podejmował grę z konwencjami, co interesująco podchwycił Gillo Dorfles, pisząc o „niezwykłym elektryzmie” Kantora, będącym innym jeszcze aspektem wieloznacznego, wymykającego się klasyfikacjom i komparatyście postępowania autora *Teatru Śmierci*. Postępowano owo – będące wędrowaniem, podróżą przez czas i miejsca, przystankiem w domach i pokojach gościnnych – było wybieganiem w dal i wiarę, podzielaną z Odysem-Ulisesem, w możliwość powrotu. Podróż dzieła Kantora trwa nadal po śmierci artysty. Wedle zasady podróży mentalnej śladami życia i wyobraźni Tadeusza Kantora uobecniona ma zostać jego twórczość w roku 2000 w Krakowie, zarówno w miejscach artystycznych, jak i nieartystycznych, w miejscach, którym Kantor nadał znaczenie oraz w miejscach, których znaczenie konstituowało dzieła artysty. Swoje *Lekcje Mediolańskie* z 1986 roku zakończył słowami:

„Moja ostatnia rada:
o wszystkim pamiętać
i wszystko zapomnieć...”

„Nie ma rewolucji bez pamięci” – napisał Heiner Müller do Roberta Wilsona, inspirując go do zrealizowania instalacji *MEMORY/LOSS (Pamięć/Utrata)* prezentowanej w czasie *XLV Biennale* w Wenecji w 1993 roku. Wilson nawiązał w swej pracy do Tadeusza Kantora. Realizując swą pracę na temat pamięci nie mógł zapomnieć o dziele Kantora, pod silnym wrażeniem którego pozostawał. Kantor jednak radził również, aby, obok pamiętania, „o wszystkim zapomnieć”. Myślę, że sztuka, że dzieło Tadeusza Kantora jest wiecznie odnawiającą się pamięcią, wiecznym odnawianiem pamięci, odejściem i powrotem. Na sześć lat przed swym ostatecznym odejściem w dniu 8 grudnia 1990 roku, Tadeusz Kantor napisał: „powracający Odyś stał się **precedensem i prototypem** dla wszystkich późniejszych postaci mojego teatru. Było ich bardzo wiele. Cały pochód. Z wielu sztuk i dramatów. Z krainy **Fikcji**. Wszystkie były *umarte*, wszystkie wracały w świat żywych, w nasz świat, w czas teraźniejszy”.



Jaromir Jedliński

P RACOWNIA
ARTYSTYCZNA

Tadeusz Kantor w rozmowie z Roydenem Rabinowitchem. Galeria Krzysztofory, Kraków 1987.

Fot. M. Chlanda



Światło popiołom

JOSHUA NEUSTEIN jest artystą pogranicza kultur. Jego praca, poglądy są wyrazem synkretyzmu doświadczenia. Wynika to z losu artysty, który podziela z milionami innych, podobnych mu jednostek. Wynika to z chłonności jego wrażliwości, która w wędrowaniu nie zatracza nic z własnej wyrazistej tożsamości indywidualnej.

Joshua Neustein urodził się w Gdańsku w 1940 roku, skąd – jako *displaced person*, człowiek wykorzeniony – zesłany był do Rosji, Syberii, Uzbekistanu i Kazachstanu, aby w 1948 roku osiedlić się w Izraelu – wraz z powstaniem państwa. W 1951 roku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Tam też w Nowym Jorku mieszka do dzisiaj.

Jesienią 1997 roku prezentowaliśmy w Galerii Zachęta w Warszawie wystawę prac na papierze Joshui Neusteina, wystawę, która jako idea

Kiedy odwiedziłem pracownię Joshui Neusteina w nowojorskiej SoHo w kwietniu 1996 roku, artysta opisywał mi swój projekt realizacji przestrzennej, przygotowywanej dla galerii Southeastern Center for Contemporary Art. w Winston-Salem w północnej Karolinie. Mówił o idei, o historycznym tle, o powodach wykonania pracy, które wypływały z dziejów Winston-Salem i protestanckiej wspólnoty osiadłych tam Morawian, którzy poprzez Saksonię dotarli do Północnej Karoliny w drugiej połowie XVIII stulecia. A także, w jaki sposób idea, wiedza o faktach ucieleśni się w materiałach i motywach ikonograficznych, w substancjach i znakach, w znaczeniach i pytaniach wobec przeszłości a zarazem teraźniejszości oraz jak przetworzona zostanie w układ obiektów, które zaistnieją w konkretnej przestrzeni, w konkretnym mieście o konkretnej historii. Mówił w sposób pośredni o tym, jak drażące artystę pytania przechodzą „z głowy do rąk” – wedle jego własnego określenia tego procesu, który nazwałbym przełożeniem na język wizualny.

Czym innym jest opis dzieła dokonywany przed jego powstaniem, czymś zupełnie innym natomiast opis pracy po jej wykonaniu i zaistnieniu w kontekstach przestrzeni, odbioru, a dalej dezintegracji (demontażu, praktycznie biorąc) układu, w jaki zostało ono uobecnione, będąc dziełem zorientowanym wobec konkretnego miejsca (*site specific*) w wąskim i szerokim znaczeniu tego pojęcia. Na temat specyficznego odniesienia w realizacji Joshui Neusteina zatytułowanej *Światło na popiołach* (Light on Ashes) do przestrzeni galerii pisał w katalogu wystawy zrealizowanej przez artystę w Potter Gallery SCCA w Winston-Salem, Arthur C. Danto, profesor filozofii Columbia University oraz krytyk pisma „Nation”. Stwierdził on:

„Wewnętrzne relacje wzajemne powodują, że dzieło nie jest umieszczone w przestrzeni tak samo, jak przedmiot znajduje się w pudełku. Dzieło wciela przestrzeń w taki sposób, iż ten, kto wkracza do galerii, nie doświadcza dzieła w oderwaniu od niej – wkracza się w samo dzieło, które uwewnętrznia przestrzeń w tym, czym jest samo w sobie. Przestrzeń, można by powiedzieć, została na nowo przeznaczona temu dziełu i pozostaje teraz – jako że dzieło i przestrzeń są na czas trwania wystawy tak nieodzielne od siebie, jak nierozzerwalne pozostają ciało i dusza. (...) Tutaj dzieło nie znajduje się po prostu w przestrzeni – przestrzeń znajduje się w dziele.”¹

¹ Arthur C. Danto: *Teb Message in the Ashes*. W: *Joshua Neustein, Light on the Ashes* (katalog wystawy), Southeastern Center for Contemporary Art., Winston-Salem, North Carolina 1996.

Kiedy rozmawiałem z Joshuą Neusteinem na pół roku przed zrealizowaniem przez niego pracy *Światło na popiołach* i przedstawił mi ideę tej realizacji, pomyślałem o słowach Waltera Benjamina: „dzieło jest maską pośmiertną pomysłu”.² Doszedłem do wniosku, że po powstaniu dzieła, po jego jednorazowym pełnym zaistnieniu w czasie i przestrzeni, dzieło samo z kolei staje się pomysłem jego odbioru, projektem jego dalszego życia, a problemem odbiorców pozostaje to, co z własnym odbiorem dzieła uczynią, czy je kultywować będą jak ziarno, czy też skatalogują jako skorupę. Archeologia może być niekiedy gromadzeniem śladów przeszłości, może jednak modelować także teraźniejszość albo i przyszłość, szczególnie archeologia konfliktów. Archeologia, która łączy w sobie kwestie historii i geografii, tego co jawne i tego, co skryte, która lokalizuje egzystencję, indywidualne i zbiorowe bywanie, łącząc pytanie o trwanie i odmianę, archeologia postaw, zachowań i konfliktów stanowi materiał takich dzieł, jak przywołana tu realizacja Neusteina. Archeologia bywa w takich dziełach aktualizowana. Przeszość staje się dojmującym problemem współczesności.

Joshua Neustein studiował archiwa Kościoła Morawian w Winston-Salem, gdzie protestancka wspólnota ze wschodniej Europy znalazła schronienie w drugiej połowie XVIII stulecia, uchodząc przesładowaniom religijnym po wojnie trzydziestoletniej i poprzez Saksonię i Pensylwanię docierając do Północnej Karoliny. Winston-Salem stało się miejscem znanym nie tylko z siedziby Kościoła Morawian, ale również ze swej produkcji ceramicznej oraz z upraw tytoniu. Stało się symbolem jednorazowej przystani w wędrowaniu, wygnaniu, a zarazem symbolem miejsca zamkniętego. Salem to zarazem dawna i poetycka nazwa Jerozolimy, nowej ziemi obiecanej, tym razem dla tych, którzy odszczepili się od kościoła rzymskokatolickiego. Realizacja Joshui Neusteina składa się z mapy Salem z 1839 roku ukazującej układ ulic. Mapa zajęła podłogę w Potter Gallery w SCCA, ulice miasta to przejścia dla widzów, reszta wysypana została popiołem, w który porozrzucono ukształtowane w niedużych foremkach litery alfabetu łacińskiego. Do ich wykonania posłużyła glina z regonu, szarozielona w ziemi, ceglasczarna po wypaleniu. Litery częściowo zanurzone są w popiele, jak ziarno. Nad tymi usytuowanymi na podłodze elementami zawieszono bogato zdobiony kandelabr z rżniętego czeskiego szkła, który, nisko opuszczony zdobieniami dotyka niemalże podłogi. Znak dominacji kandelabru, obiektu o bogatej symbolice, a w omawianej realizacji posiadającego barokową, a więc kontreformacyjną formę.

Postąpię analogicznie jak Arthur C. Danto w swym esej *Przestanie popiołów* (The Message in the Ashes) pomieszczonym w katalogu wystawy w SCCA³, który odżegnuje się od czytania jednoznacznej symboliki tej opartej na intuicji pracy. Jeszcze raz za Walterem Benjaminsiem odwołam się raczej do „aury” ewokowanej przez realizację jej odniesienia do wędrownej biografii autora, z jednej strony typowej dla milionów innych jednostek, z drugiej zaś wyjątkowej z tego względu, iż z jej centralnego problemu - wydziedziczenia z miejsca, z pytań o tożsamość - uczynił on zasadniczy problem swej pracy, że znalazł on możliwość wypowiedzenia problemu obcości, zagrożenia tożsamości, że przełożył te jednostkowe doświadczenia na sknetyczny kulturowo język wizualny przemawiający do wszystkich - jakby w erze sprzed pomieszania języków, sprzed powikłania tożsamości i kultur. Artysta w sposób instynktowny, acz oparty na dogłębnych studiach przełożonych następnie na proste działania i decyzje praktyczne, dotknął w opisywanej pracy tego, co zakładał przystępując do jej projektowania. Neustein napisał: „Chcę podjąć poszukiwanie świadectwa, szukać będą świadków, którzy przyjmą moje dzieło. Być może odkryję



Jaromir Jedliński

P RACOWNIA ARTYSTYCZNA

zrodziła się w Jerozolimie, gdzie po raz pierwszy spotkałem artystę, potem w Łodzi, gdzie pierwotnie miała być prezentowana w Muzeum Sztuki, w Nowym Jorku w pracowni artysty w SoHo, w Warszawie wreszcie. Na wystawę w Zachęcie złożyły się trzy cykle prac: „Cykl węglowy – Kalki”, „Rysunki pola magnetycznego” oraz „Polskie lasy”. Były to rysunki czarne na białym, białe na czarnym i wreszcie białe na białym, budując swoistą dla Neusteina semantykę artystyczną, semantykę pamięci, obrazując typową dla całej jego twórczości skłonność artysty ku anarchizowaniu i archiwizowaniu zarazem. Neustein, którego uwaga i wyobraźnia lokuje się w obszarach pomiędzy, często wręcz pomiędzy stronami konfliktu, w swoich rysunkach, które też oscylują pomiędzy skrajnościami – delikatnością i gwałtownością – odsyła nas do pauz, do interwałów, do interlinii w sferze znaczeń. Przychodzą tu na myśl słowa rabina Leviego z Berdyczowa, który mówił: „... puste miejsca, białe przestrzenie w Torze, także wywodzą się z liter, ale nie umiemy czytać ich tak, jak czytamy czerń liter”.

Wystawie Neusteina w Zachęcie towarzyszył katalog² bogato prezentujący twórczość artysty, także jego dzieła.

² Walter Benjamin: *Embabnstrasse*. W: *Gesammelte Schriften*. Suhrkamp Verlag, Frankfurt am Main, s. 107

³ Arthur C. Danto: *op. cit.*, s. 43

lania w oraz wobec przestrzeni. Pragnę tu przybliżyć jedną z takich jego realizacji, prezentowaną w 1996 roku wystawę/intervencję przestrzennie-semantyczną zatytułowaną *Light on the Ashes* (Światło na popiołach), w której typowy dla swojej pracy sposób artysta poszukuje brakujących ogniw historii, własnych historii w historiach przynależnych innym. Cała ta twórczość przeniknięta jest dążeniem do świeżego oglądu historii, a jako jej motto nasuwają się słowa Waltera Benjamina, który w 1940 roku, tuż przed swą śmiercią zapisał: „W każdej epoce trzeba od nowa podejmować próby odebrania tradycji konformizmowi, który chciałby nad nią zapanować”.

* Joshua Neustein: „*Polskie lasy*” i *inne rysunki* (katalog wystawy). Galeria Zachęta, Warszawa 1997 (wersja polska); Joshua Neustein: *Polish Forests and other Drawings*. Zacheta Gallery, Warsaw 1997 (wersja angielska).

część swej własnej, brakującej historii. Coś, co zmodyfikuje poczucie przynależności. Coś, co przynależy mnie samemu”⁴.

Podobne pytania o ziarno zalegające w popiołach przeszłości, tożsamości i doświadczenia przenikają inne realizacje przestrzenne Neusteina, analogiczne kwestie stosunku do przestrzeni, do miejsca, do wizualnego i znaczeniowego kontekstu uobecnienia swej pracy towarzyszą całemu postępowaniu artystycznemu autora *Światła na popiołach*⁵. Pokrewne pytania i kwestie uzmysławiamy sobie także w odniesieniu do jego prac na papierze, które są niejako utworami solowymi w porównaniu z opisanym tu utworem o operowej orkiestracji, napisanymi wszak tą samą ręką w poszukiwaniu tej samej harmonii. Poszukującymi konsonansu pomiędzy samymi sobą w obrębie cyklu (rysunki w cyklach *Polskie lasy*, *Rysunki pola magnetycznego*, *Cykl węglowy*), poszukującymi konsonansu z przestrzenią ich wystawienia, poszukującymi porozumienia z odbiorcą na gruncie analogii doświadczenia.

Joshua Neustein: *Laurels and Ashes*, 1995



⁴ Ibidem

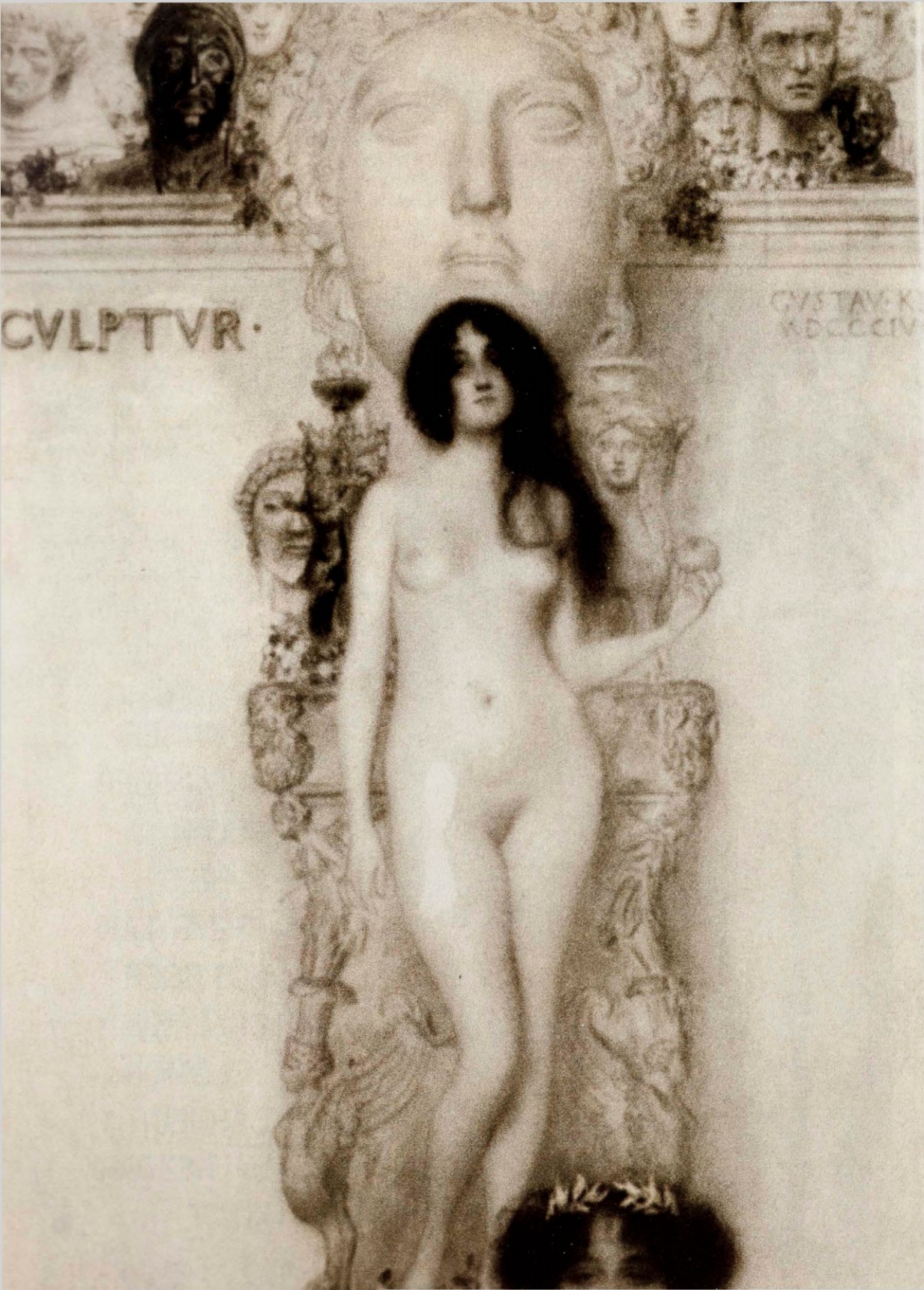
⁵ Podobne do zaprezentowanego w opisaney tu pracy Neusteina spotkanie światła i popiołów zrealizowane zostało przez artystę w roku 1997 w jego instalacji zatytułowanej *Aschenbach*, a prezentowanej na przełomie 1997/98 roku w Martin-Gropius-Bau w Berlinie w ramach wystawy przygotowanej przez Muzeum Żydowskie w Berlinie towarzyszącej ekspozowanej równolegle w Martin-Gropius-Bau wystawie *Deutschlandbilder. Kunst aus einem geteilten Land*.

ZAULEK LITERACKI

TRAGOEDIE



MEERBAUM-
-EISINGER
AUSLÄNDER
CELAN
JORRIS
PRZYBYLAK
BÖTTIGER
CHALFEN
SOLOMON
CARNECI
von REZZORI
KLIMT



CVLPTVR.

GUSTAV K
ADCCCIV

SELMA MEERBAUM-EISINGER

Wiersze

Przełożył
MARTIN RYZYŃSKI



Kołysanka dla siebie samej

Kołyszę się sama, kołyszę do snu
marzeniem przez noce i dni
i spijam szal wina, nabrzmiały do mchu
jak ten, który czuwa, gdy śpi.

I śpiewam, i śpiewam, śpiewam sobie coś,
w czym szczęście nadzieją śni,
jak ten, co odchodząc nie patrzy na wskroś,
by nigdy z powrotem miał iść.

I mówię, i mówię, mówię sobie baśń,
baśń, jak miłosne są sny,
i mówię to sobie nie wierząc, bo w snach –
wiem przecież – koniec jest zły.

I gram sobie melodię, sobie gram,
których już nie ma dni
i prawdy zrzucam zbyteczny kłam,
i udaję, że nie widzę nic.

I śmieję się, śmieję się, śmieję wciąż
z całej tej mojej gry,
i sny mam szalone i kręte jak wąż
gdzie niczym jest sens ich być.

SELMA MEERBAUM-EISINGER urodziła się 15 sierpnia 1924 roku w Czerniowcach, zmarła na tyfus 16 grudnia 1942 r. w niemieckim obozie koncentracyjnym Michailowska Transsinnistria). Pozostawiła po sobie 57 wierszy, które oddała na przechowanie swojemu przyjacielowi i pierwszemu ukochanemu, Lejserowi Fischmannowi. Ten, uciekając do Palestyny, przekazał wiersze na przechowanie przyjaciółce Selmy, Renee Abramovici (dziś: Michaeli). Pierwsze wiersze Selmy wydał w Izraelu jej nauczyciel z liceum żydowskiego w Czerniowcach, Hersch Segal – wiersze te zostały potem przedrukowane w NRD w antologii *Blütenlese*. Obie publikacje przeszły bez echa. Dopiero pełne wydanie jej wierszy przygotowane przez Jürgena Serke i wydane po raz pierwszy w wydawnictwie Hoffman&Campe w Hamburgu w roku 1980, zdobyło sobie pewien rozgłos. Wiersze Selmy ukazały się potem jeszcze dwukrotnie w wydaniach typu „Taschenbuch” (miękką okładka) w wydawnictwie Fischer w 1984 i 1995 roku.

Martin Rzyński

Poemat

Drzewa zalane miękkim światłem,
na wietrze drżący lśni każdy liść,
niebo jak jedwab błękitne i gładkie
jak kropla rosy w rannym wietrze lśni.
W lekkiej czerwieni jodła się zapali
w skłonie przed jego wysokością, wiatrem,
zza topól księżyc na dziecko patrzy,
które pozdrawia go uśmiechem z dali.

Krzewy na wietrze mają w sobie coś...
raz to ze srebra, to znów zieleni, blask,
to jak poświata z włosów światłoblond,
a potem jakby znów ich świeży kwiat.

Chciałabym żyć.
Patrz życie ma tyle barw,
tyle cudownych niespodzianek w nim,
tyle gorących śmieje się w nim warg
i swoją radość zdradza nam.
Patrz, jak ulica, jak wznosi się
szeroka, jasna na mnie czeka
i tęskność płacząc gdzieś z daleka,
zawodząc płynie przez ciebie i mnie.
Wiatr szumi, woła poprzez las,
mówi mi że to życie śpiewa,
powietrza chłód lekko owiewa,
daleka topól woła nas.

Chcę żyć, i chcę...
chcę śmiać się i wyrwać drzewa
i walczyć, miłość, nienawiść z całej siły
i rękami uścisnąć wielki kawał nieba,
chcę oddychać, być wolna i rozkrzyzczyć się.
Nie chcę umierać. Nie!
Nie.
To życia czerwień.
Życie jest moje.
Moje i twoje.
Moje.

Dlaczego ten armat dźwięk?
Dlaczego umiera życie
za monet błyszczący brzęk?

Tam jest księżyc. Tam.
Blisko tak.
Tam.
Muszę czekać.
Na co?
Za stosem stos
umierają,
nigdy nie wstają,
na wieczną noc.
Pragnę żyć
bracie, i ty
oddechu mgły
z moich i twoich warg.

Życie jest pełne barw.
Chcesz mnie zabić?
Dlaczego?
Z tysiąca fletów
płacze las.

Księżyc srebrny błękit w
obłoku
jak szarość topól,
i wiatr szarpie mną
i jasność drogi
to...

Przychodzą więc
i duszą mnie,
ciebie i mnie,
na śmierć.
W życia czerwieni
buzuje śmiech.
W jedną noc
nie ma
mnie.

Jednego cień drzewa
błądzi po księżycu.
Widać go ledwo.
Drzewo.
Jedno
drzewo.
Jedno życie
może stać się
cieniem na księżycu.

Jedno
życie.
Za stosem stos
umierają.
Nigdy nie wstają.
Na
wieczną
noc.

7.07.1941



Meerbaum-Eisinger

Z AULEK LITERACKI

Ja jestem noc

Ja jestem noc, mój całun jest
miększy jeszcze niż biała śmierć
zabieram każdy gorący ból
w moją czarną, chłodną łódź.

Mój kochanek to nieskończoność
dróg,
zaręczeni jesteśmy na zawsze,
kocham go i okrywam do stóp
moich włosów czarnym płaszczem.

Mój pocałunek jest słodki jak zapach
bzu,
wędrowiec wie o tym dobrze,
kiedy zanurzy się w me ramiona do
snu,
zapomni wszelką gorącość kobiet.

Moje ręce tak szczupłe i białe są,
że gorączki każdy żar chłodzią
i każde czoło, gdy ich dotyk mu,
musi śmiać się jak pod przemocą.

Ja jestem noc, mój całun jest
miększy jeszcze niż biała śmierć
zabieram każdy gorący ból
w moją czarną, chłodną łódź.

6.05.1941

Znużona piosenka

Chciałabym zasnąć, tak jestem znużona,
znużone i krwawi me szczęście,
tak jestem sama, strofka ulubiona
zniknęła, nie wraca już więcej.

Gdy zasnę wreszcie, mam też i sny,
a sny są tak wspaniałe –
przynoszą lekkie poranne mgły
na najcięższą losu nawalę.

Zawsze jest zapomnienie we śnie
i mnóstwo mieniących się rajów,
kto wie, może wygnają mnie
na zawsze do ich kraju.

23.12.1941

Selma Meerbaum-Eisinger ze swoją
przyjaciółką Else Schächter-Keren
w Czerniowcach w 1940 roku



Piosenka

Dzisiaj mi zadałeś ból,
wokół nas milczenia noc,
śnieg, milczenie wokół
nieba błękit, nie jak stos
lazurowy – przecież pod gwiazdami...
Wiatru śpiew pobrzmiwał z wielkiej dali.

Dziś mi byłeś jak cierpienie,
Domy były, zaśnieżone,
zimny biały płaszcz.
Akord ciężki jak z kamienia
był, i naszych kroków dźwięk,
i fabrycznych syren jęk.

Dziś był szczęścia ziemski cud
jako w śniegu szczyty gór
zanurzone w zorzy żar o zmierzchu.

Dzisiaj mi zadałeś ból,
dzisiaj rzekłeś, odejdz już
i – odeszłam

25.12.1939

Zwędłe liście

Nagle krok mój niesłyszalny,
tylko szumi cicho, cicho
jak piosenka pełna kiczu,
co ją nuce, pełna tonów łzawych.
Pod moimi zmęczonymi stopami,
gdy je wznoszę, jak we śnie
leżą martwe i ze łzami
liście z wielkich, wielkich drzew.

24.09.1939

Wiesz ty...

Wiesz ty, czy wiesz, jak kracze kruk
i przerażona bladość snu
nie wie już dokąd iść?
Jak zalękniona nie wie jak,
jej jest to świat – nie jej to świat,
czy wiatr ma jej, czy ona jego być
i czy nie wściekły z głodu wilk
już ją rozszarpać ma?

Wiesz ty, czy wiesz, jak wyje wiatr
i z przerażenia błądy las
nie wie już dokąd iść?
Jak zalękniony nie wie jak,
jego to świat – nie jego świat,
czy jego panem noc, czy deszcz
i – czy nie, zęby szczerząc, śmierć –
najwyższym jego władcą jest?

Wiesz ty, czy wiesz, jak płacze deszcz
i z przerażenia błąda w nim
nie wiem już dokąd iść?
Jak zalękniona nie wiem jak,
mój jest to świat – nie mój to świat
czy noc jest moja, czy też ja, ja mam być jej
i moich ust śmiertelna biel
nie tych jest, których płacz?

4.03.1941

Tragizm

To, co najcięższe, sobą obdarować
i wiedząc o tym, niepotrzebną być
oddać się całkiem i być świadoma
że się jak dym rozplywa w nic.

23.12.1941

Dopisane czerwonym ołówkiem.
Nie miałam czasu dokończyć...



Meerbaum-Eisinger

Z AULEK LITERACKI

Strona z antologii poeji Blütenlese,
wydanej w Izraelu w 1975 roku.
Rysunek autorstwa Mosche Krinita.



Original at "Yad Vashem", Jerusalem. Drawing by pencil

Wednesday - December 16, 1942:

Towards evening, Selma breathed her
last*). Her name was actually Meer-
baum, the name of Eisinger is that
of her stepfather. I learn.

*) She died of typhus in her teens.



ROSE AUSLÄNDER

Wiersze

Przełożył
ANDRZEJ PAŃTA

Notatka biograficzna

ROSE AUSLÄNDER urodziła się 11 maja 1901 roku w Czerniowcach, w rodzinie urzędnika pochodzącego z rodziny chasydzkiej, który młodość spędził w Sadagórze na dworze cadyka Friedmana. Lata 1916-1918 spędziła w Wiedniu, uciekając wraz z rodziną przed frontem rosyjskim. Studiowała w Czerniowcach literaturoznawstwo i filozofię. Po nagłej śmierci ojca w 1920 roku, znalazła się w bardzo ciężkiej sytuacji materialnej, wyruszyła za chlebem do Ameryki. W 1923 roku wychodzi za mąż za Ignaza Ausländera. Małżeństwo trwało krótko, zaledwie trzy lata, ale nazwisko zatrzymuje do końca życia. Pracowała w Nowym Jorku jako urzędniczka bankowa. W 1931 roku powróciła ze swym ukochanym Hellosem Hechtem na Bukowinę. Dzięki mecenasowi Alberta Margula-Sperbera, którego poznała w banku w Nowym Jorku, tak jak ona tułacza za chlebem, opublikowała wiersze w pismach „Der Tag”, „Klingsor” oraz w bukowińskich antologiach poetyckich. Na początku wojny utraciła obywatelstwo amerykańskie. Jej przyjaciele z Ameryki podejmują próbę pomocy i zapraszają ją do Nowego Jorku z cyklem odczytów. Na wieść o pogarszającym się zdrowiu matki decyduje się jednak powrócić do Czerniowiec. W październiku 1941 roku wraz z 50 tys. Żydów zostaje zamknięta w tamtejszym getcie. Od marca 1943 roku, gdy zostaje skreślona z listy pracujących, co jest rów-

Ja mówię
o płonącej nocy
ugaszonej przez
Pрут

o wierzbach płaczących
czerwonych bukach
przygaszonym śpiewie
słowika

o żółtej gwiazdzie
na której
umieraliśmy co chwila
w epoce szubienic
,
nie o różach mówię

Lecąc
na huśtawce przez
Europę Amerykę Europę

Ja nie mieszkam
Ja żyję

Ani październik ani listopad

Jesień mówisz
a myślisz o wietrze który ostrzy
swój nóż na twoim czole
myślisz o zardzewiałych liściach
co przesuwają twój krok do przodu
myślisz o igłach mrozu bo kłują
powietrze drzewo skórę

Jesień cierpki dźwięk
brązowy smak
Przyjaciele na froncie
gorzknieją i brązowieją
nie opaleni przez słońce

Ziemia rdzewieje i stacza się
z księżycą
do wąwozu gdzie
historia wznosi zamki
wieże powinności zapadnie

Jesień mówisz
ale ja powiadam ci
ani październik ani listopad
musisz wymyślić jakiś nowy
kalendarz

inny alfabet
co powstrzyma mowę
gdyż czas spada
spada w coś nieobliczalnego
a my spadamy wraz z nim

Wykorzeniony

Pełne jest gniazdo os
iskrzą się igły
palce płaczą się
w trujących zaroślach

Dziecko
cieniotka pajęcza tkanina
na kosmyku włosów
martwej matki

Kolczaste korzenie
przytrzymują Boga
On zaś kwili
wykorzenionym głosem

Przyjdź przyjdź
nawołuje słowik
popłakuje bowiem on
przyjść nie może



Rose Ausländer

Z AULEK LITERACKI

noznaczne z wyrokiem śmierci, ukrywa się z matką w piwnicach, a nieznanzi przyjaciele z Bukaresztu dostarczają jej środków do życia, które przemycą do getta Hanna Kawa, polska Żydówka, krążąca między Bukaresztem i Czerniowcami na aryjskich papierach. Po wojnie osiada w Stanach Zjednoczonych, mieszka i pracuje w Nowym Jorku jako sekretarka, korespondentka i tłumaczka. Próbuje pisać w języku angielskim. Przekłada m.in. poezję Adama Mickiewicza.

W 1965 roku przeniosła się do Düsseldorfu, gdzie mieszkała aż do śmierci. Od 1972 roku była przykuta chorobą do łóżka w domu starców gminy żydowskiej. Zmarła 3 stycznia 1988 roku.

Całe życie do 1961 roku, kiedy przeszła na rentę, wypełnione miała pracą urzędniczką. Pisała tylko w nocy.

Poetka języka niemieckiego. Debiutowała w 1939 roku tomem wierszy *Der Regenbogen* (Tęcza), którego cały nakład wydany w przededniu wojny zaginął; jego jedyne egzemplarze odnaleziono całkiem niedawno w Rumunii, w udostępnionych badaczom dopiero po 1989 roku archiwach. Kolejny tom, *Blinder Sommer* (Ślepe lato), ukazał się po długiej przerwie w 1965 roku w Wiedniu. Od tego czasu pisała dużo, publikując w sumie ponad trzydzieści tomików poezji. Jej utwory zebrane wydane nakładem Fischer Verlag ukazały się w ośmiu okazałych tomach. Tej eksplozji twórczej towarzyszyły przychylnie głosy krytyki, wyróżnienia i nagrody, m.in. Nagroda Literacka Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych.

W Polsce ukazały się dwa wybory jej poezji: 25 wierszy w przekładzie Leszka Szarugi (Szczecin 1994) i *W kotłach czarownic* w przekładzie Andrzeja Pańty (Katowice 1995).

Karuzela

Dzisiaj ta uliczka jest
dziecięcą karuzelą która
krąży

wokół olbrzymów przedwiośnia
i krzykiem nabrzmiałego powietrza
pokazuje domy jak nagie
wychodzą z kąpieli

krąży

wokół marcowego człowieka
który rzuca grubiańskie słowa i
ucieka bowiem jego zielony
surdut jeszcze nie gotowy

krąży

a dzieci się śmieją
wjeżdżają do nieba
wyrzucają niebieski krzyk
w ochryplej angielszczyźnie

krąży

a pieczone kasztany
pękające w misce na rogu ulicy
matki i guwernantki
w hałaśliwej grupie niemal
trzymają się łona olbrzyma

a dziecięca karuzela krąży
ponad nimi wolna od zawrotów głowy
krąży

pełna błękitnego krzyku
wokół owiniętego wiatrem słońca

Wymowne milczenie

Z nocy
wyczołgały się dłonie
ceglaste od krwi
pomordowanych

Był to wymowny spektakl
obraz pogorzelniska
muzyka ognia
Potem zamilkła śmierć
Zamilkła

Było to wymowne milczenie
Między gałęziami
uśmiechały się gwiazdy

Uratowani czekają w porcie
gdzie leżą rozbite okręty
Są podobne do kołysek
bez matki i dziecka

Drzwi

Dla Marianny Moore

Drzwi
nie rzecz z drewna
Drzwi
otwarte na otwarte drzwi
na otwarte ścieżki
do lasu

Las
nie drzewa z drewna
Las z oddychającej zieleni
Braterski uścisk powietrza
Powietrze wdychane
w te otwarte drzwi

Drzwi
nie rzecz z drewna

PAUL CELAN

Wiersze

Przełożył
JACEK BURAS

Ufność

Będzie jeszcze jedno oko,
czyjeś, obok
naszego: nieme
pod kamienną powieką.

Dalej, drążcie waszą sztolnię!

Będzie rżesa,
zwrócona do wewnątrz kamienia,
powleczona stalą Niewypłakanego,
najsztubtelniejsze z wrzecion.

Przed wami dokona dzieła,
jakby jeszcze, skoro jest kamień, istnieli bracia.

(z tomu *Sprachgitter*, 1959)



PAUL CELAN urodził się 23 listopada 1920 roku w Czerniowcach w rodzinie żydowskiego kupca budowlanego Anczela (akronimem Celan zaczął się podpisywać w 1947 roku podczas pobytu w Bukareszcie). W domu mówiono w języku niemieckim. Jidysz przyswajał sobie z zasłyszanych opowieści i legend, a zwłaszcza z bajek Eliasza Steinberga, które deklamował z pamięci. Do nauki hebrajskiego przymuszał go ojciec. Władał językiem rumuńskim, który na przedwojennej Bukowinie był językiem państwowym. Znał język ukraiński, na który przekładał zalecanych pisarzy rumuńskich, gdy Bukowinę po raz drugi zajęli Sowietci w 1943 roku. W czasie wojny uczył się i studiował języki rosyjski, francuski oraz angielski.

W roku 1938 wyjechał na studia medyczne do Tours we Francji. W 1939 roku wrócił do Czerniowiec, by studiować romanistykę. Podczas okupacji niemieckiej powołany został do przymusowych robót przy budowie dróg i uprzątania zburzonego mostu na Prucie. Jego rodzice, jak większość bukowińskich Żydów, deportowani zostali do obozu koncentracyjnego w Transnistrii skąd już nie powrócili. Ich śmierć w 1942 roku, a jego ocalenie, pozostanie dla Paula niezagojoną raną do końca życia. W 1944 roku pracował w szpitalu psychiatrycznym (uni-

knął dzięki temu poboru do wojska), był redaktorem działu kulturalnego w piśmie rumuńskim, a po otwarciu przez Sowietów jesienią 1944 roku uniwersytetu, podjął studia anglistyczne. Tłumaczył Shakespeare'a i Blake'a, czytał Bubera.

W kwietniu 1945 roku wyruszył do Bukaresztu, gdzie utrzymywał się głównie z tłumaczenia literatury rosyjskiej (Lermontow, Czechow). Debiutował w pierwszym i jednocześnie ostatnim numerze pisma „Agora” redagowanym przez Iona Caraiona, które jako jedyne w tym czasie drukowało wiersze w języku niemieckim. Na prośbę swego przyjaciela, Petre Solomona, napisał tom poezji w języku rumuńskim.

W grudniu 1947 roku przedostał się przez granicę węgierską do Wiednia. Dawna stolica monarchii, mityczne miasto, które dotychczas „było w zasięgu, ale wciąż niedosiężne”, mocno poetę rozczarowało. Zgłosił się z listem polecającym od Alfreda Margul-Sperbera, do wydawcy pisma literackiego „Plan”, w którym wiosną 1948 roku ukazały się na pierwszej stronie jego wiersze.

W lipcu 1948 roku na stałe przeniósł się do Paryża. W École Normale Supérieure wykładał język i literaturę niemiecką. Ożenił się z graficzką, Gisèle Lestrangé.

W 1969 udał się w podróż do Palestyny.

W nocy z 30 kwietnia na 1 maja 1970 roku odebrał sobie życie samobójczym skokiem do Sekwany.

Tomy wierszy: *Der Sand aus den Urnen* (1948, Piasek z urn), *Mohn und Gedächtnis* (1952, Mak i pamięć), *Von Schwelle zu Schwelle* (1955, Od progu do progu), *Sprachgitter* (1959, Kraty języka), *Die Niemandrose* (1963, Róża niczyja), *Atemwende* (1967, Zmiana oddechu), *Fadensonnen* (1968, Wici słońc), *Lichtzwang* (1970, Mus światła), *Schneepart* (1971, Włości śnieżne).

W języku polskim ukazały się dwa wybory poezji Celana w przekładzie Feliksa Przybyłaka: *Wybór poezji* (Warszawa 1973) i *Wiersze* (Kraków 1988).

Będzie coś, później,
napelni się tobą
i podniesie
do czyichś ust

Z roztrzaskanego
oblędu
podnoszę się
i przyglądam swojej dłoni,
jak zatacza jedno
jedyne koło

(z tomu *Zeitgeböft*, 1976)

Tyle gwiazd

nam się podtyka. Byłem,
gdy spojrzałem na ciebie – kiedy? –,
daleko, przy
innych światach.

O te drogi galaktyczne,
o ta godzina, która
odważała nam noc
w ciężar naszych imion. Ja
wiem, to nieprawda,
że żyliśmy, to tylko
oddech krążył ślepo między
Tam i Nie-tu i Niekiedy,
oko niczym kometa śmignęło
ku Wygasłemu, w wąwozach,
gdzie się dożarzyło, stała
piersiasta Historia,
po której w górę i w dół,
i w poprzek pięło się już, co
jest albo było albo będzie –,

wiem,
wiem i ty wiesz, wiedzieliśmy,
nie wiedzieliśmy, przecież
byliśmy tu a nie tam,
i niekiedy, gdy
stała między nami tylko nicość,
odnajdywaliśmy
w pełni drogę do siebie.

(z tomu *Die Niemandrose*, 1963)

Przy winie i zagubieniu, przy resztkach obu:

galopowałem po śniegu, słyszysz,
galopowałem na Bogu w dal – bliskość, on śpiewał,
to był
nasz ostatni galop przez
ludzi-przeszkody.

Kulili się, gdy
słyszeli nas nad sobą,
pisali,
przekłamywali
nasze rżenie na
któryś ze swoich ilustrowanych języków.

(z tomu *Die Niemandsrose*, 1963)

Słowo o zstępowaniu do głębi,

któreśmy czytali.
Lata, słowa odtamtąd.
Wciąż jeszcze jesteśmy.

Wiesz, przestrzeń jest nieskończona,
wiesz, nie musisz latać,
wiesz, to co wpisało ci się w oko,
pogłębia nam głębie.

(z tomu *Die Niemandsrose*, 1963)

Obojga odbliźnione ciała,
obojga klepsydry na nagości,
obojga odrzeczywistnione oblicza.

Wyciągnięte na łąd przez
najbielszy korzeń
najbielszego
drzewa

(z tomu *Fadensonnen*, 1968)



Paul Celan

Z AULEK LITERACKI

Feliks Przybylak jest ponadto autorem książki *Paul Celan. Metody i problemy „liryki esencji”* (Wrocław 1992).

Poezję Celana przekładali także m.in. S. Barańczak, J. Buras, J. Ekier, T. Karpowicz, K. Karasek, S. R. Kaszyński, R. Krynicki, S. Lec, S. Lewin, K. Pisarkowa, G. Prokop, M.D. Rogalski, L. Szwed, E. Wachowiak i W. Wirpsza.

Pod skórę wszyte moich dłoni:
twoje dłońmi
pocieszona imię.

Gdy ugniatam bryłę powietrza, tę naszą
strawę,
zakwasza ją
poświata liter z
niedorzecznie otwartych
porów.

(z tomu *Atemwende*, 1967)

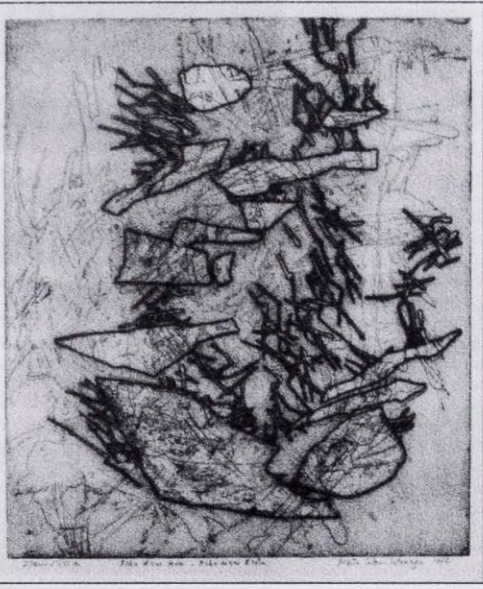
© Suhramp Verlag Frankfurt am Main
© S. Fischer Verlag Frankfurt am Main

Przełożył
JAKUB EKIER

Świat po przejściu
do nas, w pustą godzinę:

Dwa
pnie drzew, czarne,
nierozgałęzione, bez
sęków.
Ślad dysz, ostre krawędzie, a w nich
jeden wolno
stojący przykwiatowy liść.

Nawet my tutaj, w pustce,
stoiemy pod sztandarami.



„Echo d'une terre / Echo einer
Erde”, 1967, Gisèle Celan-Lestrange.

U spodu

Srowadzona z gościny w niepamięć,
do domu, rozmowa naszych
powolnych oczu.

Srowadzona zgłoska po zgłosce, rozłożona
na kostki ślepe dniem, które grająca
dłoń ogromna chwyta
budząc się.

A nadmiar mojej mowy – przyłączony do
kryształka
w pokroju twojego milczenia.

Jak wyżywasz we mnie swoją śmierć:

nawet w ostatnim
zdartym
suple tchu
tkwisz jedną
drzazgą –
życiem.

Przełożył
FELIKS PRZYBYŁAK



Paul Celan

Z AULEK LITERACKI

Pod postacią dzika

Pod postacią dzika
sadzi twój sen przez lasy u kresu wieczoru.
Lśniąc białe
jak lód, przez który się przedarł,
są jego szable.

Jakiś gorzki orzech
wygrzebuje spod liści,
które drzewom wyrwały jego cień,
ten orzech,
czarny jak serce, który i ty toczyłeś przed
sobą,
kiedy sam szedłeś tędy.

Nadziewa go na kiel.
Byt dzika napęlnia zarośla chrząkaniami,
potem coś w dół
gna go ku brzegom,
gdzie rozlewa się morze
wydając jedną z najmroczniejszych uczt
na swych skałach:

czy po to
by owoc, jak ten jego
olśnił biesiadujące oko,
co wyplakało takie oto glazy.

Paul Celan z żoną
Giséle Celan-Lestrangé



Dlaczego w domu to nagłe

pośród, pośród?

Mogę, spójrz, wtopić się w ciebie jak lodowiec,
ty sama gładzisz twych braci:
pierwej od nich
byłem u ciebie, ośnieżona.

Zarzuć twe tropy
do reszty:
ktoś chce wiedzieć,
czemu wobec Boga
nie byłem inny niż wobec ciebie,
ktoś chce
tam się zagłębić, gdzie
w miejscu płuc wstawiono dwie książki,

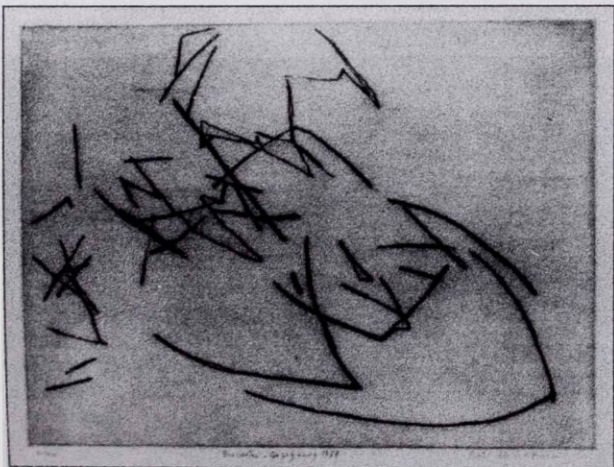
ktoś, kto się przebił
dmucha na pchnięcie,

ktoś, kto był najbliższy,
teraz zdąża ku zgubie,

ktoś przyozdabia twój rodzaj
swoją zdradą,

może ja sam
byłem każdym z tych.

„Rencontre / Begegnung”, 1958, Gisèle Celan-Lestrange



Wciemniona

potęga kluczowa
kiel rządzi
od strony kredowego śladu,
przeciwko światu –
sekundy.

W stertę muszli:

cisnąłem maczugą z kamyków,
pracę za rzekami do –
topniejących lodów –
ojczyzny,
doń, według którego
znaków trzeba krzesać
krzesiwem w
hubę brzoź karłowatych.

Lemingi ryją.

Żadnego później.

Żadnej
misy urny, żadnej
szyby przebicia
ani gwiazdostopej –
klamry.

Nienasycone,
nie powiązane, byle jakie
wzniosło się wszechprzemienne
wolno

i skrobiąc
zdążało za mną.

Kenopath

Złóż tu kwiaty przechodniu, bez obawy je złóż:
ty je w głąb przekazujesz,
ogrodom.

Który leżeć tu miał, leży
nigdzie. Ale świat obok niego legł.
Ten świat, który pojął swym okiem
niejeden kopczyk kwietny.

Jednakże obstawał przy tym, gdyż niejedno
ujrzał
ze ślepcami:
wyruszył i zerwał zbyt wiele:
bo zerwał woń –
a którzy widzieli to, nie wybaczyli mu tego.

Teraz odszedł i spił dziwną kroplę:
morze.
A ryby –
czy te wzbiły się ku niemu?

Dopiero gdy jako
cień dotykam ciebie,
wierzysz w moje
usta,

pną się z późnym
sensem w górę
w obwód czasu
dookoła,

dobijasz do orszaku
wtórnych użytkowników między
anioly

zapiękła złość
rozwieżdza się.



Paul Celan

Z AULEK LITERACKI

W najodleglejszym

mrocznym znaczeniu, u stóp schodów
unieruchomionych na amen:
do cna splądrowana
faza istnienia,

tuż obok, w rynsztoku,
wciąż jeszcze klepią
powiedzionka,

snu kłębkim wzmocniony profil
wybicia się ze snu,
przy jednej skroni
tej od strony pracy serca
ścina się lód,

żadna księga się nie otwiera,

to ponad-Nic, do mnie
przebiło się,
zrzeka się walki
w lodzie,

jesteśmy gotowi
wymienić co w nas najbardziej zabójcze,

cierni, który dał sygnał, że droga wolna,
wznosi się skroś kołysek,

za bolesnym tykaniem kontrolnego zegara
roztrwania się
nieodparcie obłądny czas.

W jedwab spowitym Nigdzie

swe trwanie zawierza promieniom,

mógłbym cię widzieć
tu.

Móc wchodzić do was, wychodzić –

Pod czapą piachu steruje
twój niepodsluchiwalny śpiący
mózg
tym, nie do przestawiania
oceanicznym
dnem,

chodź, rozjaśnię cię,

chodź, daję mi
ciebie, ale i tobie też,
wyhodowany aż nadto
ciężarze.

Wyrzucasz mi tonącemu

złoto:
może jakaś ryba da
się przekupić.

Coś będzie, nastanie później,

to wypełnia się tobą
i podnosi cię
do jakichś ust

z roztrzaskanego
szału
powstaje
i przygląda się własnej ręce
jak to zakreśla
jedyne
koło

Czy ty

ten opisany kamień
kotwicę także wyrzucisz?

Nic mnie już tu nie trzyma,

ani noc tych co żyją,
ani noc tych co nie do opanowania,
ani noc tych co obrotni,

chodź, przysuń kamień przy drzwiach
przed namiotem nieujarzmionym.

Ponad głowy

precz wyrzucany
sygnał twardym snem rozpalony
w miejscu, które nazwał.

Teraz:
miotać płatkami piachu,
że aż niebo
zadymi.

PAUL CELAN

Todesfuge

Przełożyli

Tangoul Mortii

PETRE SOLOMON

Fuga śmierci

PIOTR LACHMANN

Фуга смерти

PETRO RYCHŁO

Todesfuge (w jidisz)

OVID C. JACOB



Schwarze Milch der Fruhe wir trinken sie abends

Laptele negru din zori il bem cind e seara

Czarne mleko świtu pijemy je w wieczór

Чорне молоко світання ми п'ємо його увечорі

שווארצע מילך דער פרייע מיר טרינקן זי בייאכענד

wir trinken sie mittags und morgens wir trinken sie nachts

il bem la amiaz il bem si la noapte

pijemy w południe i rano pijemy je nosą

מי פ'עמו יוֹגוֹ אוֹפּוֹלודני ו זרנניא מי פ'עמו יוֹגוֹ אוֹנאָכי

מיר טרינקן זי נאך מיטאנאָנאָן דער פריטאָרען מיר טרינקן זי ביי נאכט

wir trinken und trinken

il bem si il bem

pijemy pijemy

מי פ'עמו ו פ'עמו

מיר טרינקן און טרינקן

wir schaufeln ein Grab in den Lueften da liegt man nicht eng

sapam o groapa 'n vazduh si nu va fi strimta

kopiemy grób w przestworzach nic w nim nie uwiera

מי קופאָעמו מוֹגילוּ וּ פּוֹבִיטרִי טאָם לעזאָטִי נעטִישוּ

מיר שאַפּלען אַ קבראָן דען אוויר דארט ליגט מען ניט ענג

ein Mann wohnt im Haus der spielt mit dem Schlangen der schreibt

Un om sta in casa se joaca cu serpii si scrie

Mieszka w domu mężczyzna igra z węzami i pisze

В цій хаті живе чоловік він змії приручає він пише

אַ מאַרשױן ווױנטאָן שטוב דער שפּילט מיט דעם שלאַנגן דער שרייבט

der schreibt wenn es dunkelt nach Deutschland dein goldenes Haar Margarete

el scrie 'n amurg in Germania, Aurul parului tau Margareta

pisze o zmierzchu do Niemiec twe włosy złote Margareto
він пише коли сутеніє в Німеччину твоя золотиста коса Маргарито

שרייבט ווען עס זונקלמט נאך דייטשלאנד דין גאלדענעס האר מארגארעטע
דער

er schreibt es und tritt vor das Haus und es blitzen die Sterne er pfeift siene Rueden
herbei

scrie si iese in prag scapara stelele 'n cer el isi fluiera ciini

napisał wychodzi przed dom iskrzą się gwiazdy gwizdząc zwołuje swą sforę

він пише отак і виходить надвір і виблискують зорі він посвистом псів своїх

кличе

מרים וויר די שמוסאן עס בלישמען די שמערנע ער פייפט זייע הונמן ביי
ער שרייבט עסאן

er pfeift seine Juden hervor laesst schaufeln ein Grab in der Erde

evrei-i si-i fluiera el porunca le da ca sa sape o groapa 'n tarina porunca ne da sa

cintam

gwizdząc zwołuje swych Żydów każe im grób kopać w ziemi

свистить і скликає євреїв своїх і велить їм копати могилу в землі

ער פייפט זיינע יידן וויר לאסט שאפלאן קבראין דער ערדע

er befiehlt uns spielt auf nun zum Tanz

pentru dans

rozkaz wydaje nam zagrajcie do tańca

він наказує нам грайте хутко до танцю

ער באפעלט מיר שפילטאויף נון צום טאנץ

Schwarze Milch der Fruehe wir trinken dich nachts

Laptele negru din zori te bem cind e noapte

Czarne mleko świtu pijemy cię nosą

Чорне молоко світання ми п'ємо тебе уночі

שווארצע מילך דער פרייע מיר טרינקן דרך ביי נאכט

wir trinken dich morgens und mittags wir trinken dich abends

la amiaza te bem te sorbim dimineata si seara

pijemy cię rano w południe pijemy cię w wieczór

ми п'ємо тебе зрання й ополудні ми п'ємо тебе увечори

מיר טרינקן דרך דער פרימארגאון נאך מיטאג מיר טרינקן דרך בייאבענד

wir trinken und trinken

te bem si te bem

pijemy pijemy

ми п'ємо і п'ємо

מיר טרינקן און טרינקן

Ein Mann wohnt im Haus der spielt mit den Schlangen der schreibt

Un om sta in casa se joaca cu serpii si scrie

Mieszka w domu mężczyzna igrza z węzami pisze

В цій хаті живе чоловік він змій приручає він пише

א פארשין ווינטאנס שמוב דער שפילט מיט דעם שלאנגן דער שרייבט

der schreibt wenn es dunkelt nach Deutschland dein goldenes Haar Margarete

el serie 'n amurg in Germania Aurul parului tau Margareta

gdy zmierzcha pisze do Niemiec twe włosy złote Margareto

він пише коли сутеніє в Німеччину твоя золотиста коса Маргарито

שרייבט ווען עס מונקלט נאך דייטשלאנד דין גאלדענעם האר מארגארעטע
דער

Dein aschenes Haar Sulamith wir schaufeln ein Grab in den Lueften da liegt man nicht eng

Cenusa parului tau Sulamith o groapa sapat in vazduh si nu va fi strimta

Twe włosy popielne Sulamitho kopiemy grób w przestworzach nic w nim nie uwiera

Твоя попеляста коса Суламит ми копаємо могилу в повітрі там лежати не тісно

האר שולמית מיר שאפלאן קבראין דעסאוויר דארט ליגט מען גיט ענג
דיין אשענעס

Er ruft stecht tiefer ins Erdreich ihr einen ihr andern singt und spielt

El striga sapati mai adinc iar ceilalti cintati

Wola głębiej wbijcie się w glebę hej wy tam a wy tam grajcie śpiewajcie

він гукає ви перші копайте-но глибше ви другі співайте і грайте

ער רופט שמורבט מיפעראין די ערדעאיראיינעןאיראנדערן זינגטאון שפילט

er greift nach dem Eisen im Gurt er schwingt seine Augen sind blau

arma o 'nsfaca, o flutura, albastrii i-s ochii

sięga po żelazo za pasem wywija nim jego oczy niebieskie

він вийма з кобури залізяку він розмахує нею очі його голубі

ער גרייפט נאך דעסאיינקאים גארטל ער שווינגט זיינע אוגן בלא

stecht tiefer die Spaten ihr einen ihr andern spielt weiter zum Tanz auf

sapati mai adinc iar ceilalti cintati pentru dans mai departe

szpadlami wbijcie się głębiej hej wy tam a wy tam grajcie dalej do tańca

глибше вганяйте лопати ви перші ви другі продовжуйте грати до танцю

מיפער די שפארלעןאיראיי נעןאיראנדערן שפילט ווייטער צום טאנצןאון
שמורבט

Schwarze Milch der Fruehe wir trinken dich nachts

Laptele negru din zori te bem cind e noapte

Czarne mleko świtu pijemy cię nocą

Чорне молоко світання ми п'ємо тебе уночі

שווארצע מילך דער פרייע מיר טרינקן דוך ביי נאכט

wir trinken dich mittags und morgens wir trinken dich abends

te bem la amiaza si seara te bem

pijemy cię w południe i rano pijemy cię w wieczór

ми п'ємо тебе ополудні і зрання ми п'ємо тебе увечорі

מיר טרינקן דוך נאך מיטאנאוןאין דער פרימארגן מיר טרינקן דוך בייאבענד



Paul Ceian

Z

AULEK LITERACKI

wir trinken und trinken
te bem si te bem
pijemy pijemy
ми п'ємо і п'ємо

מיר טרינקן און טרינקן

ein Mann wohnt im Haus dein goldenes Haar Margarete
un om sta in casa, aurul parului tau Margareta
Mieszka w domu mężczyzna twe włosy złote Margareto
В цій хаті живе чоловік твоя золотиста коса Маргарито

א פארשוין וויינמאין שטוב דיין גאלדענעם האר מארגארעטע

dein aschenes Haar Sulamith er spielt mit den Schlangen
cenusa parului tau Sulamith el se joaca cu serpii
twe włosy popielne Sulamito igra z węzami
твоя попяляста коса Суламית він змії приручає

דיין אשענעם האר שולמית ער שפילט מיט דען שלאנגן

Er ruft spielt suesser den Tod der Tod ist ein Meister aus Deutschland
El striga cintati mai blajin despre moarte caci moartea-i un mester german
Czulej śmierć swą grą wzywajcie śmierć jest mistrzem z Niemiec
Він гукає смерть потребує ніжнішої гри смерть це з Німеччини майстер

ער רופט שפילט זיסער דען טויט דער טויטאיזא מייסטער און די שטלאנד

er ruft streicht dunkler die Geigen dann steigt ihr als Rauch in die Luft
el striga plimbati un arcus mai cetos pe viori veti creste ca fumul atunci
woła ciemniej ciągnijcie smyczki wzniescie się dymem w powietrze
він гукає жагличвіш водіте смичками тоді ви полинете димом в повітря

ער רופט שטריכט מונקלער די שטרונגען דאן שטייגט איר אלס דיך און די אוויר

dann habt ihr ein Grab in den Wolken da liegt man nicht eng
veti zace 'ntr'o groapa in nori si nu va fi strimta
znajdziecie swój grób w obłokach nic w nim nie uwiera
тоді ви могилиу дістанете в хмарах там лежати не тісно

דאן האבט אירא קבראין דען וואלקנס דארט ליגט מען ניט ענג

Schwarze Milch der Fruehe wir trinken dich nachts
Laptele negru din zori te bem cind e noapte
Czarne mleko świtu pijemy cię nocą
Чорне молоко світання ми п'ємо тебе уночі

שווארצע מילך דער פרייע מיר טרינקן דיך ביי נאכט

wir trinken dich mittags der Tod ist ein Meister aus Deutschland
te bem la amiaz e moartea un mester german
pijemy w południe śmierć jest mistrzem z Niemiec
ми п'ємо тебе ополудні смерть це з Німеччини майстер

מיר טרינקן דיך נאך מיטאגאון דער טויטאיזא מייסטער און די שטלאנד

wir trinken dich abends und morgens wir trinken und trinken
te bem dimineata si seara te bem si te bem
pijemy cię wieczorem i rankiem pijemy pijemy
ми п'ємо тебе увечорі і зрання ми п'ємо і п'ємо

מיר טרינקן דיך בייאבענדאון און דער פרימאדן מיר טרינקאון טרינקן

der Tod ist ein Meister aus Deutschland sein Auge ist blau
e moartea un mester german albastrii i-s ochii
śmierć jest mistrzem z Niemiec jej oko niebieskie
смерть це з Німеччини майстер очі його голубі

דער מויטאיזא מייסטער און דייטשלאנד זיין אויגע איז בלא

er trifft dich mit bleierner Kugel er trifft dich genau
cu plumbul te improasca din plin si adinc te loveste
i trafi cię kulą z ołowiu i trafi cię celnie

він влучає свинцевою кулею прямо в серце тобі

ער טריפט דיך מיט בלייענער קיילן ער טריפט דיך אקט

ein Mann wohnt im Haus dein goldenes Haar Margarete
un om sta in casa aurul parului tau Margareta

Mieszka w domu mężczyzna twe włosy złote Margareto

В цій хаті живе чоловік твоя золотиста коса Маргарито

א פארשוין ווינטאין שטוב זיין גאלדענעס האר מארגארעטע

er hetzt seine Rueden auf uns er schenkt uns ein Grab in der Luft

cinii spre noi si-i asmute ne daruie-o groapa 'n vazduh

i sforę swą na nas szczuje i daje nam grób w przestworzach

він спускає на нас своїх псів він дає нам могилу в повітрі

ער העצט זיין הינטראוף מיר ער שענקט מירא קבראין דעראוויר

er spielt mit den Schlangen und traemet der Tod ist ein Meister aus Deutschland

se joaca cu serpii visind e moartea un mester german

igra z węzami i śni śmierć jest mistrzem z Niemiec

він змій приручає і марить смерть це з Німеччини майстер

ער שפילט מיט דען שלאנגאון און טראומט דער מויטאיזא מייסטער און דייטשלאנד

dein goldenes Haar Margarete

aurul parului tau Margareta

twe włosy złote Margareto

твоя золотиста коса Маргарито

דיין גאלדענעס האר מארגארעטע

dein aschenes Haar Sulamith

cenusa parului tau Sulamith

twe włosy popielne Sulamito

твоя попяляста коса Суламит

דיין גאלדענעס האר שולמית



Paul Celan

Z

AULEK LITERACKI

Zaplot metafor:
od *Tęcz* Rose Ausländer
do *Fugi śmierci* Pula Celana*

Rose Ausländer

KU ŻYCIU

*Tylko ze smutku serca matczynego
dostają pełną przeżyć moich miarę.
Piję w otchłani czasu ponurego
czarnego mleka i piołunu czarę.*

*W jej ciele rosnę, dziecko otulone
przestrzenią cienia oraz śpiewem nocy,
aż męki moje w pełni dostrzeżone
się stają – łono ze snu mnie wyrzuca.*

*I wszystkie drogi na mnie się rzucają,
a każda w inne bierze bytowanie.
Wieczory wielkie w złotej ciszy stają
jak anioł nad mą promienną męczarnią.*

„*Ku życiu*, pierwszy wiersz tomu *Tęcze (Die Regenbogen)*, przynosi szerokie pojęcie obrazu „czarnego mleka”; w trakcie rozmowy z Israellem Chalfenem, Rose Ausländer stwierdziła: „Że Paul wykorzystał metaforę „czarnego mleka”, którą stworzyłam w mym napisanym w 1935, jednak opublikowanym po raz pierwszy w 1939 roku wierszu *Ku życiu*, uświadamia tą oczywistość, iż poeta jako materiału do sztuki pisarskiej użyć może wszystkiego. Jest dla mnie zaszczytem, że wielki poeta znalazł w mych skromnych dokonaniach jakiś impuls. Użyłam tej metafory mimochodem, on natomiast nadał jej najwyższy wyraz poetycki. Po części więc powstała ona w nim samym”.

Rose Ausländer w dniach, które nastąpiły po śmierci Celana, podchwyciła ową mleczną metaforę raz jeszcze w wierszu *In Memoriam Paul Celan* opublikowanym 11 maja 1970 roku we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. W jej spuściznie znajduje się rękopis tego wiersza z adnotacją: „Napisane krótko po jego śmierci i publikowane w F.A.Z”.

W tomie wierszy Alfreda Margula-Sperbera *Tajemnica i rezygnacja*

* Tekst pochodzi z książki: *In der Sprache der Mörder. Eine Literatur aus Czernowitz, Bukowina*. Hrsg. Von Herbert Wiesner, Literaturhaus Berlin, Berlin 1993.

(*Geheimnis und Verzicht*), który został opublikowany w tym samym roku i w tym samym wydawnictwie co zbiór *Ausländer*, pojawia się owa metafora „prefigurowana” (określenie Marliesa Janza) w dwóch dalszych wierszach:

*Niewymownie jej oczy łagodne
patrzą na mnie spojrzeniem gwiazd z dali;
ona szepcze: me dziecię, czyś głodne,
z ciemnym mlekiem czy pragniesz pokoju?*

(*Daleki Gość/ Ferner Gast*)

*Tu nie ma dnia. Wieczorne mleko topi
czarne plemiona, pogrąży je na dno,
w sieć pochwycone, ciszą zasnuwa swą.*

(*Czarny gaj/ Das schwarze Hain*)

28 grudnia 1935 roku Isaac Schreyer wysłał z Wiednia Alfredowi Margulowi-Sperberowi list polecony z wieloma wierszami, między innymi także ze *Skargą* (*Klage*), długim maszynopisem z odręcznymi poprawkami i własną sygnaturą, który to utwór został pod tytułem *Tristia II* opublikowany krótko po jego śmierci w wydany w 1950 roku tomie *Psalm prostego człowieka* (*Psalm eines einfachen Mannes*, New York/Wien).

Trzeci wers tego wiersza mógł dla Alfreda Margula-Sperbera stać się „prefiguracją” mlecznej metafory:

*Melancholią zwała się nasza mamka;
Już w zaraniu karmiła nas
Cierpkim mlekiem naszego dzieciństwa.*

„Z wygnania powrócili (1944) dwaj bukowińscy poeci: Alfred Kittner i Immanuel Weissglas, których Paul spotkał u Rose Ausländer. Śledził opowieści o czasach obozowych, z ich lękami oraz nieludzkimi stosunkami, a że Weissglasowi udało się uratować jego starą matkę, pogłębiało to świadomość winy Paula. Jego dawny kolega szkolny przywiózł ze sobą z najcięższego okresu swego życia wiersze, które starały się uporać z cierpieniem.

Jeszcze w gimnazjum Weissglas starał się zdobyć Paula dla „poetyckiej przyjaźni”, lecz jego wiersze nie dorównywały uczuciu i językowemu wyrazowi utworów kolegi. „Nie było żadnej wspólnoty między Paulem Antschelem i Immanuelem Weissglasem”, stwierdza Rose Ausländer: „Każdy z nich odczytywał mi swoje wiersze. Nigdy nie słyszałam o jakiejś współpracy”.

(Israel Chalfen: *Paul Celan*, s. 138)

Co innego twierdzi Alfred Kittner:

„W tym czasie Weissglas i Celan utrzymywali bliskie stosunki, niemal codziennie trzymali się razem i wiedli „wieczną rozmowę”, która w większości wypadków dotyczyła tych samych utworów poetyckich i doświadczeń, a o której Weissglas, który często zaraz po tych spotkaniach z Paulem przychodził do mnie, długo i szeroko opowiadał. W duchu nazywałem ich Orestesem i Pyladesem. (...) Wspólnie czytali, wspólnie omawiali lektury, ćwiczyli swe zdolności translatorskie na tych samych wierszach, na Jesieninie, Apollinairem, Yeats'ie, (Alfredzie Edwardzie)



Paul Celan

Z AULEK LITERACKI



Orkiestra grająca „Tango śmierci”
w obozie przy ulicy Janowskiej.
Lwów, ok. 1942 rok (z archiwum
Yad Vashem w Jerozolimie).

Kulturaustausch” 1982 nr 3, s. 218)

Na ogół przyjmuje się, że „*Fuga śmierci*” powstała w roku 1945, jednak w innym miejscu Alfred Kittner również podał rok 1944 (Anny Colin: *Paul Celan. Holograms of Darkness*. Indiana University Press 1991, s. 45).

W tym samym roku (1944) Immanuel Weissglas napisał wiersz *ON (ER)*, który istotnie pozwala myśleć o „wymianie i nauce”. Gdy przyjąć, że *ON* powstał wcześniej, wówczas wiersz Weissgłasa odczytuje się jako wstępną wersję *Fugi śmierci*.

Immanuel Weissglas

ON

*Wzniesliśmy groby w powietrzu i zamieszkałiśmy
Z kobietami i dziećmi na miejscu wskazanym.
Inni rżnęli na skrzypkach, a my kopaliśmy,
Grób został postawiony, w dal tańcząc zdążamy.*

*ON żąda by jelita w zuchwałym napięciu
Potrącał smyczek srogi jak jego oblicze:
Lekko zagra o mistrzu niemieckim, o śmierci,
Która po cały kraj niczym mgła się wlecze.*

*Gdy wieczorem musuje krwawa piana zmięczy,
Otwieram me nadpsute i zacięte usta,
By dla wszystkich dom wspólny wykopać w powietrzu:
Niczym czas śmierci wąski, obszerny jak trumna.*

*ON gra w domu z węzami, grozi oraz wieszczy,
W Niemczech zmięczy jeszcze niczym Gretchen włosy świeci.
Ten grób w chmurach każdego z nas w swym wnętrzu zmieści:
Tam w dali mistrz niemiecki nosi imię śmierci.*

1944

Housmanie, Arghezim, sonatach Szekspira. To była stała wymiana i nauka.

(...) Późną wiosną 1944 wróciłem, po wyzwoleniu z obozu, do Czerniowiec zdobytych przez oddziały sowieckie i przypominam sobie dokładne ówczesne spotkanie z Paulem. (...) Musiało to być niedługo później, gdy pewnego przedpołudnia przed kratą czerniowieckiej katedry arcybiskupiej przy ulicy Siedmiogrodzkiej przeczytał krótko przedtem powstałą „Fugę śmierci”, która wydała mi się, przy całym podziwie, który we mnie wzbudziła, całkowicie sztuczna w porównaniu z okropnościami, przed którymi nie zdołałem ująć”.

(„Wspomnienia o młodym Paulu Celanie” [w:] „Zeitschrift für



Paul Celan

Z AULEK LITERACKI

Gdy tom *Kariera am Bug* (Bukarest, Cartea Romanesca, s. 47, broszura), w którym Immanuel Weissglas opublikował swe wiersze z lat deportacji 1941-44, otrzymał imprimatur, *Fuga śmierci* (*Todesfuge*) nie była jeszcze wydana także w rumuńskiej wersji; jednakże i Immanuel Weissglas w swym zbiorze nie zamieścił wiersza *ON* (*ER*).

W swej rozprawie *Staronowe lzy. Rozważania o drugim tomie Immanuela Weissgla* (w: Kulturanschaft Bukovina, red. Andres Corbea i Michael Astner. Iasi 1990) Barbara Wiedemann poddaje ostatecznej krytyce informacje, według których tom *Kariera am Bug* miałby być wstrzymywany do końca 1947. Te właśnie informacje służą za dowód, „że Weissglas po ukazaniu się rumuńskiego przekładu *Fugi śmierci* Celana (...) mógł jeszcze usunąć wiersz *ON* z odbitki korektorskiej, by chronić Celana” (s. 158).

W bibliotece Alfreda Margula-Sperbera znajduje się egzemplarz tego zbioru wierszy z odręczną dedykacją Immanuela Weissgla (podpisana imieniem James), której datowania nie da się chyba inaczej odczytać niż jako „26/1/47”, a tym samym spekulacje o późniejszej publikacji tomu *Kariera am Bug* byłyby bezprzedmiotowe. W tym wypadku oznacza to także, że również w innych przypadkach Immanuel Weissglas opatrywał daty ukośnymi kreskami.

Wiersz *ON* po raz pierwszy publikowany w bukareszteńskim piśmie „Neue Literatur” 1970/nr 2, z dodaniem roku powstania – 1944. (Wspomniany drugi tom Immanuela Weissgla *Der Nobiskrug*, Bukareszt 1972, zawiera głównie wiersze, które można odczytywać jako różne intensywne przeróbki wcześniejszych utworów).

W listopadzie tego samego roku Moses Rasenkrantz opublikował pod pseudonimem Martin Brant tom *Wiersze* (*Gedichte*, Bukareszt (Cartea Romanesca) 1947. Na 79 stronie tej książki znajduje się wiersz *Fuga krwi* (*Die Blutfuge*):

Moses Rosenkrantz

FUGA KRWI

*O krwi potoku! W bursztynu klawiszach
Z otwartych palców płyniesz oniemiała;
Tak serce musi w śmierci się wyciszać
Przez uroczyste organów wybrzmienia.*

*Tak młody żywot winien partytury
Wypełniać żarem swoich fal uderzeń;
Natchnienie śpiewa w zmierzchu blask ponury,
Co głucho w pyłe zbladych książek leżał.*

*Co w ogniu pieśni młodzieńczej się szczęści
I głośno żyje, powoli wygaśnie;
Umierającym gasną wszystkie pieśni:
Zew wiolonczeli i skrzypce ostatnie.*

*Stanęły białe palce oniemiała,
Dusza dygocze oraz w gwizdach drży;
W cichych, grobowych organów wybrzmieniach
Kapie krew Chrystusa, o potoku krwi!*

We wprowadzeniu do opublikowanego w „Contemporanul” z 2 maja 1947 przekładu wiersza Paula Celana *Tango śmierci* (*Todestango*), jak we wcześniejszym rękopisie niemieckim zatytułowana była *Fuga śmierci*, pod tytułem *Tangoul mortii* dokonanego przez Petre Solomona, podane zostało następujące wyjaśnienie: „Wiersz, który publikujemy, odwołuje się do potwierdzonych przysięgą rzeczywistych wydarzeń. W Lublinie, jak w wielu innych „nazistowskich obozach śmierci”, część skazanych zmuszona była do grania ęsknych pieśni, podczas gdy inni kopali groby”.

Fuga śmierci w języku niemieckim została najpierw wydrukowana w 500 numerowanych egzemplarzach, a następnie została przemielona, z wyjątkiem niewielu egzemplarzy, ze względu na liczne i jako takie nie od razu rozpoznawalne błędy składu, które książka zawierała. Prezentowany w czasie wystawy w berlińskim Literaturhaus w 1993 roku („In der Sprache der Mörder. Eine Literatur aus Czernowitz, Bukovina”) egzemplarz tomu Celana *Der Sand aus den Urnen. Gedichte mit 2 Originallitographien von Edgar Jené* (Verlag A. sexl, Wiedeń 1948, s. 64), pochodzący ze zbiorów Austriackiej Biblioteki Narodowej, nosi numer 207 i zawiera na stronach 17 oraz 41 dwie ręczne poprawki, które tym samym dały w tym tomie jedynie dwa sprostowania. Ów zbiór wierszy podzielony został na trzy segmenty: *An der Toren* (*U bram*), *Mohn und Gedächtnis* (*Mak i pamięć*) oraz *Todesfuge* (*Fuga śmierci*) – ta ostatnia na stronach 59-61.

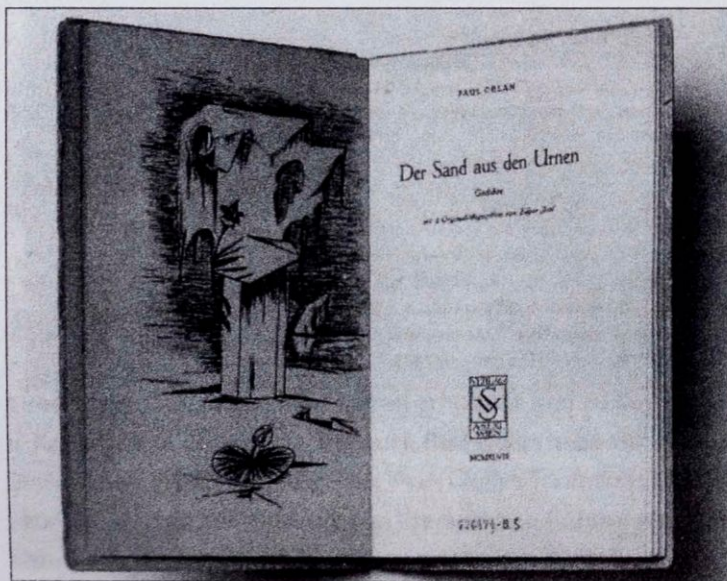
Spośród 48 wierszy z *Sand aus den Urnen* (*Piasek z urn*) jedynie 24 zostały w 1952 roku włączone do zbioru *Mohn und Gedächtnis* (*Mak i pamięć*), między innymi także *Fuga śmierci*, która tym samym wreszcie została opublikowana. Pozostałe 23 wiersze pochodzą z części *Mohn und Gedächtnis* (dotyczy to książki przemielonej), stanowią zatem rozdział tomu *Sand aus den Urnen*.

14 lutego 1947 Otto Basil, redaktor „Planu”, zawiadamiał Alfreda Margula-Sperbera w dwustronicowym liście sporządzonym na papierze korespondencyjnym wydawnictwa Erwin Müller (Wiedeń) pismem maszynowym z odręcznymi wstawkami: „Co się tyczy wierszy Paula Celana, znajduję je – tak samo jak Pan – niezwykle pięknymi i znaczącymi.

O jakimś książkowym wydaniu nie można jednak na razie w Austrii myśleć; tu książek lirycznych się nie kupuje, nawet uznanych poetów. Tym niemniej proszę, by mi Pan tymczasem pozostawił ten manuskrypt. Niektóre wiersze chciałbym zamieścić w „Planie”, o ile to możliwe (i o ile starczy miejsca) już w zeszytce 16.”

„Tak, moja książka. Tak więc moja książka, której druk dzisiaj się rozpoczął, będzie gotowa za pięć lub sześć tygodni”. Paul Celan powiadał o tym Alfreda Margula-Sperbera w dwustronicowym, ręcznie pisanym liście z 11 lutego 1948 opatrzonego adresem nadawcy Wien I, Rathausstrasse 20 (Pension Pohl): „Pieniądze dali mi przyjaciele. Kosztuje to 4600 szylingów, a nakład 500 egzem-

Pierwsze, wiedeńskie wydanie tomu Paula Celana *Der Sand aus den Urnen* (Piasek z urn), 1948 rok.



plarzy, Inianą oprawę piaskowego koloru, litografię E.Jené i ukaże się u Erwina Müllera. Powinno się tam znaleźć około 40 wierszy, jeden jedyny cykl, złożony ze wszystkich wierszy ostatniego cyklu i niektórych wcześniejszych, przy którym to wyborze proszę Pana być mi pomocnym. (...) Że książka ta ukaże się u Müllera, nie jest sprawą Basila, lecz Edgara Jené; Basil oczywiście się zgadza, by to wydać, lecz tak długo nie popierał tego wydania, jak długo Jené nie zdołał sobie z nim poradzić. (...)”.

Erwin Müller był wydawcą „Planu”.

Podniesiony przez Claire Goll w latach 50-tych i w otwartej polemice dyskutowany w latach 60-tych zarzut, iż Paul Celan dokonał, przede wszystkim w zbiorze *Mohn und Gedächtnis* (1952) plagiatu utworów Ivana Golla z tomu *Traumakraut* (1951), należy dziś do chybionych zestawień literackich, tym bardziej, że wiersze Celana były opublikowane już w 1948 roku w przemielonym wprawdzie, lecz w kilku egzemplarzach znanym tomie *Sand aus den Urnen*. W czasie spotkania w Paryżu w roku 1949 Celan podarował choremu Ivanowi Gollowi egzemplarz swej pierwszej książki oraz przygotowane przez siebie przekłady francuskich wierszy Golla na niemiecki, w których oczywiście ujawniły się Celanowskie sformułowania i które pozostały w rękach Claire Goll. Tak oto zarzut plagiatu z Golla został odrzucony. Wydawca i badacz Ivana Golla, Erhard Schwandt, nie ponowił później tych obwinień także w publikowanej w 1967 rozprawie (Rocznik 1966 Deutsche Akademie für Sprache und Dichtung in Darmstadt), lecz próbował, na podstawie nieznanych dotąd datowań i urywków tekstów Golla, rehabilitować Celana poprzez zwrócenie uwagi na zbieżności w dziele obu poetów. W centrum tej analizy znalazł się francuski wiersz Golla *Chant des Invaincus*, który został opublikowany 1 lutego 1942 roku w Nowym Jorku w piśmie „La voix de France”. Znajduje się w nim wers *Nous buvins le lait noir*, który – jeśli datowanie się zgadza – posługuje się słynnym oksymoronem wcześniej niż *Fuga śmierci* Celana, jednakże później niż wiersz *Ku życiu* Rose Ausländer. W dwóch nie publikowanych niemieckich wersjach wiersza Golla („Heute grosses Schlachtfest. Lied der Unbesiegten/Lied der Unbesigtbaren” - „Dziś wielkie świniobicie. Pieśń niezwykniętych/Pieśń niepokonanych”), których datowanie wypada na 14 stycznia 1942, pierwsza strofa brzmi:

*Czarne mleko nędzy
Pijemy cię
W drodze do rzeźni
Mleko ciemności*

Schwandt komentuje rzecz następująco: „Jest rzeczą absolutnie wykluczoną, by Celan znał te teksty z 1942 roku. Ważne wydaje się jedynie wskazanie na pokrewne poetyckie skłonności do „wędrownej metafory”, do jakiejś konieczności strukturalnej nie wykraczającej jednak poza metaforyczne centrum”.

Historię zarzucanego mu plagiatu, który podniosła Claire Goll, wyjaśnił wyczerpująco sam Paul Celan w swym dwustronicowym, pisanym na maszynie 30 lipca 1960 roku liście do Alfreda Margula-Sperbera: „(...) Goll bowiem prosił mnie również, bym przetłumaczył jego francuskie wiersze; obiecałem mu to. Dotrzymałem danego umierającemu przyrzeczenia i przełożyłem kolejno trzy francuskie tomy, aczkolwiek czasami już wówczas czułem się nieswojo. Póki tłumaczyłem, wdowa uważała to za rzecz wspaniałą; miała jednak inne zamiary, czego niestety ja, lekkomyślny i łatwowierny, nie przejrzałem. (...)”.



Paul Celan

Z AULEK LITERACKI

Alfred Gong, który urodził się w Czerniowcach w tym samym (1920) roku co Paul Celan i razem z nim uczęszczał do szkoły, w pisany na maszynie 10 stycznia 1976 roku dwustronicowym liście do germanisty Jerrego Glenna przedstawił własne spojrzenie na ów zespół zarzutów: „W sprawie Paula niełatwo mi dziś, po niemal 20 latach, przywołać w pamięci moją rozmowę z Claire Goll. Jako kolega gimnazjalny Celana, a później jako jego przyjaciel w Wiedniu, z pewnością nie mogłem powiedzieć nic przeciwko niemu. Że między poetami, którzy na niego w jakiś sposób wpłynęli (np. Trakl, Hördelin, J. Paul) wspominałem także rumuńskiego poetę Tudora Arghezi, to prawda, wskazują na te wpływy np. *Lied der Wüste* (*Pieśń pustyni*) lub na stronie 70 tomu *Mohn und Gedächtnis* wiersz *Sie kämmt ihr Haar* (*Ona czesze włosy*). Nie mogłem przewidzieć, że pani Goll, która wówczas opanowana była przez irracjonalną, nawet mityczną mieszaninę nienawiści i miłości w stosunku do Paula Celana, rozedmie te uboczne wpływy do plagiatowej afery. Celan nie potrzebuje zapewne mojej obrony przed jakąś liryczną George Sand trzeciej kategorii, która przez wszelkie swe znajomości i wpływy próbuje ukazać Ivana jako największego poetę stulecia”.

Te powodujące zamęt krzywdzące zarzuty i nieustanna pamięć holocaustu czyniły Paula Celana w latach sześćdziesiątych szczególnie wrażliwym na wzmocnione nawroty radykalnoproprawicowych tendencji w Republice Federalnej. Toteż jego okazywane okazjonalnie w listach krzywdzące sądy o krytykach, badaczach literatury i wydawcach muszą być odczytywane z uwzględnieniem owych biograficznych doświadczeń Celana.

Przełożył Leszek Szaruga

Tangoul mortii Paula Celana
w przekładzie Petre Solomona w piśmie
„Contemporanul” z 2 maja 1947 roku

TANGOUL *Mortii*



de PAUL CELAN

Poemul a cărui traducere e publicată e construit pe eroarea unui fapt real.

La Lublin, ca și în multele „lagăre naziste ale morții”, o parte din condamnații erau puși să cânte muzică de dor în timp ce ceilalți stău grupiți.

Lapte negru din zori îl bem când e seară
 îl bem la amiază dimineața îl bem și la noapte
 îl bem și îl bem
 sapăm o groapă în văzduh și nu va fi strămută
 Un om stă în casă se joacă cu șerpii și scrie
 el scrie în amurg în Germania, Aurul părului tău
 Margareta
 scrie și iese în prag mai sapără stielele în cer și își
 fluieră cântul

PAUL CELAN

Todtnauberg

Przekład
EWA STAPÓR



Arnika, Augentrost, der
Trunk aus dem Brunnen mit dem
Sternwürfel drauf,

in der in the
Hütte,

die in das Buch
- wessen Namen nahmst auf
vor dem meinen?
die in dies Buch
geschriebene Zeile von
einer Hoffnung, heute,
auf eines Denkenden
kommendes
Wort
im Herzen,

Waldwasen, uneingeebnet,
Orchis und Orchis, einzeln,

Krudes, später, im Fahren
deutlich,

der uns fährt, der Mensch,
der's mit anhört,

die halb-
beschrifteten Knüppel-
pfade im Hochmoor,

Feuchtes,
viel.

*Arnika, błysk świetlika
baust ze studni zdobnej
kostką z cyfrą gwiezdna*

*w
Hütte*

*ów w księdze –
– czyje imiona zawarła
przed moim?
– ów w księdze
upisany wers o
nadziei, dziś
na myśliciela
nadchodzące
słowo
w sercu,*

*leśna darń kurbanna
storczyk i storczyk, oddzielnie,*

*szorstkość, później, w czas jazdy,
wyrzycicie,*

*ten, co nas wiezie, ten człowiek,
współszyszy to,*

*te wpót –
przebyte z pali
ślepe torfowiska turni,*

*wilgotność,
wiele.*

PIERRE JORIS

Celan/Heidegger

Tłumaczenie u stóp Góry Śmierci*

W Niemczech Heideggera nie ma miejsca dla Paula Celana.

Edmond Jabes

Tom *Lichtswang* (*Mus światła*), który wyszedł w kilka miesięcy po śmierci Paula Celana na wiosnę 1970 roku, zawiera wiersz pod tytułem *Todtnauberg*. Jest to na pewno jeden z najczęściej ostatnio komentowanych wierszy Celana, szczególnie we Francji, choć nie wyłącznie tam, i zarówno jego liczne tłumaczenia, jak i istota problematyki samego wiersza czynią go idealnym toposem dla kilku uwag dotyczących myśli poetyckiej i przekładu. (...)

Dysponując analizą, której poddany został ten wiersz oraz różnymi – i często sprzecznymi – kontekstami, w jakich bywał używany, wiemy wiele o jego początkach, czy też może raczej o sytuacji dotyczącej jego powstania, o historii jego tłumaczeń. Najlepsze i najbardziej nieodparcie hermetyczne podejście do wiersza znaleźć można w rozdziale *Todtnauberg* książki Otto Pögglera *Spur des Wortes*. W poniższym tekście w znacznym stopniu opierać się będę na wnikliwych spostrzeżeniach jej autora. Gdy ustalę czego głównie dotyczy sam wiersz, przejdę do jego angielskiego przekładu autorstwa Roberta R. Sullivana w wersji, w jakiej pojawia się on w tłumaczonej przez niego książce Hansa-Georga Gadamera pt. *Warsztaty Filozoficzne*. Wszystko to po to, aby wskazać, w jaki sposób kontekst, w którym wiersz tam występuje, wypaczył – *détourné*, powiedzieliby Francuzi – zrozumienie samego wiersza przez tłumacza i zmusił go do dokonania w swym tłumaczeniu wyborów, co do których można mieć co najmniej obiekcje.

Dla Celana, jak dla wielu innych poetów, istotna jest myśl, filozofia. W twórczości jego znajdujemy, jak ujmuje to Pöggler, *Auseinander - setzungen* z mnogością różnorodnych filozofów, z Demokrytem w wierszu *Engführung*; ze Spinozą w wierszach *Pau, nachts* i *Pau, später*; lub z Adorno w swej jedynej pracy prozą, *Gespräch im Gebirg* (Rozmowa w górach). Nie jest więc zaskoczeniem, iż Celan interesował się myślą Martina Heideggera. Zainteresowanie to jest co najmniej ambiwalentne, gdyż składa się nań zarówno przyciąganie, jak i odraza. Pöggler przypomina nam, że w 1957 roku Celan chciał wystać Heideggerowi swój wiersz *Schliere*. Jednak gdy nieco później Heidegger odbył swe słynne spotkanie w Monachium z Martinem Buberem, Celan czuł się bardzo nieswojo i nie miał chęci dać Heideggerowi *Persilschein* (Persilowego paszportu), to jest nie chciał

* Esej pochodzi ze zbioru przygotowywanego do druku przez Rozenzweig Center przy Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie

usprawiedliwiać filozofa skłonnego do kompromisów politycznych. W tym czasie Celan czytał *Nietzschego* Heideggera. Myśl Nietzschego jest również, aczkolwiek tylko w niektórych miejscach, obecna w poezji Celana, na przykład w *Engführung*, gdzie wers *Ein Rad, langsam, rollt aus sich selbst* jest formułą użytą przez Nietzschego w rozdziale *Von den 3 Verwandlungen* w *Jako rzeczce Zaratustra*. Sam Heidegger przejawiał sporadyczne zainteresowanie twórczością Celana niemniej przychodził, gdy tylko było to możliwe, na nieliczne publiczne wieczory autorskie, które Celan miał w Niemczech.

Fakt, że doszło do spotkania niemieckiego filozofa z żydowskim poetą wydaje się w jakimś stopniu nieunikniony, choć zarazem absurdalny. *Todtnauberg* jest kroniką tego spotkania. Tytuł nawiązuje do pewnego miejsca w Schwarzwaldzie, gdzie mieszkał Heidegger. Jego toponimikom nie powinien – nie może? – być tłumaczony. Zastosowanie w tytule niniejszego eseju kalamburu nazwy ma na celu zwrócenie naszej uwagi na dwa pola znaczeniowe słowa w tytule samego wiersza – *Todt* – śmierć i *Berg* – góra – których rezonanse słycać w całej twórczości Celana (że przywołam jego słynną *Todesfuge*, czy wspomnianą już *Gespräch im Gebirg*).

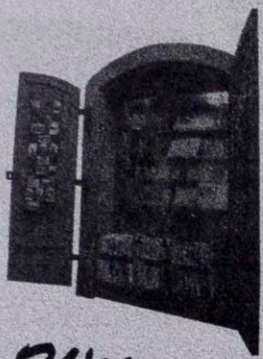
Okoliczności powstania wiersza są następujące: 24 lipca 1966 roku Celan miał wieczór autorski we Freiburgu Bryzgowijskim. Następnego dnia zawieziono go na spotkanie z Heideggerem w Todtnaubergu. Celan wpisał jeden wers do księgi gości, następnie obaj poszli na wspólny spacer na torfowisko. Celana odwieziono z powrotem, po czym pojechał dalej do Frankfurtu, gdzie napisał wiersz w hotelu w dniu 1 sierpnia. Wiersz został po raz pierwszy opublikowany w bibliofilskim nakładzie pięćdziesięciu egzemplarzy w roku 1968, ze wskazaniem miejsca i czasu jego napisania, które to dane, zgodnie ze zwyczajem Celana, zostały usunięte, gdy wiersz był ponownie opublikowany w tomie *Lichtzwang*. Pierwsze tłumaczenie na francuski Jeana Daive ukazało się w 1970 roku. O wiele później André du Bouchet dokonał kolejnego przekładu, który został po raz pierwszy opublikowany w roku 1977 w czasopiśmie *Clivages*, a następnie w formie książkowej. Philippe Lacoue-Labarthe posługuje się własną, wyraźnie autoryzowaną wersją w swym inspirującym esej *La poésie comme expérience*. Co ciekawe, Katherine Washburn i Marget Guillemain zdecydowały, że nie przetłumaczą wiersza w swym tomie późnych utworów wybranych Celana, podczas gdy Michael Hamburger podaje go w swym wyborze. Wszystkie te tłumaczenia mogłyby ostać się przy bliższej analizie i zyskać dogłębną pochwałę dokonującego porównania. Esej ten jednak zogniskuje się jedynie na analizie wspomnianego już wcześniej angielskiego przekładu Roberta R. Sullivana.

Sam wiersz jest jednym zdaniem, podzielonym na osiem strof, z których pięć ma zaledwie dwa wersy, i zasadniczo zbudowany jest z parataktycznie zestawionych obok siebie rzeczowników i członów zdania złożonego, będących komentarzem do obu rzeczowników, oddzielonych od siebie przecinkami do momentu, gdy pojedyncza wypowiedź doprowadza wiersz do końca. Ma się odczucie czegoś pociętego, rozciągniętego, cofającego się, rysującego samego siebie w perspektywnym skrócie; niemalże nie będąc wierszem, zdanie wydaje się pozostałością, resztką przerwanej lub niemożliwej narracji lub relacji; gnomiczne „szybko nagryzłone notatki, nadzieje na wiersz, prywatne *aide-mémoire* zrozumiałe jedynie dla tego, kto je poczynił”. Lacoue-Labarthe nazywa go „un poème exténué, pour tout dire, decu” - „wyczerpanym, nawet rozczarowanym wierszem.



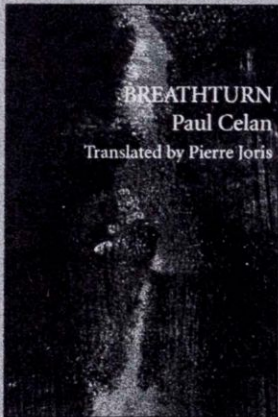
Pierre foris

Z AULEK LITERACKI



Witryna

Paul Celan: *Breathturn*. Translated from the German and with an Introduction by Pierre Joris. Los Angeles 1995.



To dwujęzyczne wydanie tomu wierszy *Atemwende* (Zmiana oddechu, 1967), ze znakomitą wprowadzeniem autora przekładów, przyczyniło się w znacznej mierze do tego, że Paul Celan stał się jedną z centralnych postaci dla współczesnej amerykańskiej poezji i filozofii. Jego twórczość stała się kanoniczną dla dzisiejszych dekonstrukcjonistów w takim samym znaczeniu jak twórczość Donne'a dla amerykańskiej Nowej Krytyki w latach 30. i 40., czy twórczość Wordswortha dla Krytyki z Yale w latach 60. i 70.

Tom *Atemwende*, najobszerniejszy w dorobku Celana, jest świadectwem poetyckiego zwrotu (*Wende*) jaki nastąpił w jego dziele poczynając od początku lat 60.

Wers rozpoczynający wiersz, opis roślinności, którą autor spostrzega przybywszy na miejsce, jest jednak pełen nadziei – arnika jest jasnożółtym kwiatem, którego odmiana górską, A. Montana, używana jest do przygotowywania nalewki pomocnej przy leczeniu zwichnięć i stłuczeń. Świetlik (*Augentrost*) jest małym biało-purpurowym znanym na świecie kwiatem, którego sama nazwa podkreśla jego właściwości lecznicze: używany jest jako środek pomocniczy gdy zawodzi wzrok lub są z nim kłopoty. Jest to jedyne wystąpienie arniki w twórczości Celana, podczas gdy świetlik pojawiał się już wcześniej, w opublikowanych dopiero niedawno tomie *Gedichte 1938-1944*, w wierszu pod tytułem *Herbst*: wers zeń brzmi tak: *Doch Wimper und Lid vermissen den Augentrost* (Lecz rzęsa i powieka tęsknią za świetlikiem). Należy również zauważyć dwa jasne „a”, od których rozpoczynają się słowa: tłumaczenie angielskie, a także różne francuskie gubią drugie „a”, chociaż dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności angielska nazwa rośliny *Eye-bright*, stosunkowo dokładnie odpowiada w tłumaczeniu nazwie niemieckiej.

Dwa następne wersy wskazują, że podróżnik, pije haust wody ze studni. Nadzieję płynącą z otwierającej wiersz flory podtrzymuje ożywcze działanie, jakie płynie z haustu świeżej studzienicznej wody. Sama studnia opisana jest jako mająca *Sternwürfel*, dosłownie – gwiazdzistą kostkę do gry na szczycie. Tak rzeczywiście było: stare zdjęcie Hütte Heideggera ukazują ów drewniany sześcian z namalowanym lub wyrzeźbionym na nim mottem gwiazdy, co prawdopodobnie było jakimś elementem lokalnej sztuki ludowej. Sullivan niefortunnie tłumaczy ten wers na angielski jako: *the well/with the cube of asters on it* = studnia; (z umieszczonym na niej sześcianem astrów); być może to niepożądana próba wprowadzenia do wiersza większej ilości roślin z początkowym dźwiękiem „a”? A sześcian w miejsce słowa *Würfel* zupełnie nie oddaje macierzystych złóż znaczeń, które eksploatuje Celan. *Würfel*, choć rzeczywiście jest to sześcian, to przede wszystkim kostka do gry. W ten sposób włącza się do gry cały kompleks odniesień Celana do Mallarmé'go i jego *Coup de dé* – a w całej twórczości Celana można napotkać to słowo zarówno w wersji rzeczownikowej, jak i czasownikowej. Topos uczyniono oczywiście jeszcze bardziej skomplikowanym przez obecną tu gwiazdę: pomyślny chociażby o sześciu ścianach kostki do gry, która nigdy nie pokaże liczby siedem, pomyślny o słynnej „konstelacji” Mallarmé'go, o *Siebenstern* Celana, czyli o *Plejadach* (siedem sióstr Atlasa zamienionych w gwiazdy, z których tylko sześć jest widzialnych gołym okiem). Gwiazda na kostce nakłada się na żółtą arnikę, dając w efekcie pięcioramienną gwiazdę żydowską: żydowski poeta u drzwi politycznie podejrzanego filozofa etc. *Stern*, gwiazda, jest także ważna dla Heideggera, który, co ciekawe (lub dość dziwne) kazał wyrzeźbić na swoim kamieniu nagrobnym ośmioramienną gwiazdę.

Następnie najkrótsza strofa – trzy słowa rozmieszczone ponad dwoma wersami: *in der/ Hütte* (W chałupie lub chacie). Ja wolałam zachować tu niemieckie słowo „Hütte”, ponieważ w kontekście Heideggerowskim – a tam wszak trzeba lokować wiersz zatytułowany *Todtnauberg* – słowo to ma ogromny ładunek, także emocjonalny: Heidegger czyni odniesienia do swej książki z 1947 roku, *Aus der Erfahrung des Denkes* jako do *Hüttenbüchlein* (książka, która – jak podkreśla Pöggeler – zawiera wers: *Auf einen Stern zugeben*). Sama Hütte, którą Heidegger zbudował w 1922 roku, była nie tylko jego domkiem letniskowym w górach, ale także jego głównym miejscem prac i rozmyślań, i, co być może jeszcze ważniejsze, azyłem, do którego

udawał się w trudnych chwilach. To stamtąd właśnie, porzucając pracę nad filozofią presokratejską, udał się w 1933 roku do Freiburga, aby objąć posadę rektora i walczyć o to, co najlepiej da się opisać jako jego własna, jemu tylko właściwa wersja hitlerowskich Niemiec. Tam właśnie się schronił w latach denazyfikacji. To także tam Heidegger prowadził w 1933 roku nazistowskie sesje indoktrynacyjne – co w tym kontekście jest być może najważniejsze – a Celan prawie na pewno o tym wiedział (z książki Schneebergera albo od przyjaciół).

Wobec tego ani jakaś tam chata czy chałupa, ani górski azyl. Hütte Heideggera. W pozostałej twórczości Celana słowo „Hütte” użyte jest dwukrotnie: w cytacie *Friede den Hütten*, co jest skrótem perspektywicznym rewolucyjnego sloganu „Krieg den Palasten, Friede den Hütten” i w wierszu mówiącym o bambusowej chatce. Oszczędna strofa *in der/Hütte* tłumaczy ostrożne kroki, wahania, które musiały być udziałem Celana, gdy wchodził do Hütte jako gość Heideggera. Dalej następuje najdłuższa, dziesięciowersowa strofa o słowach wpisanych do księgi gości. Zanim Celan się rzeczywiście wpisał poprzedziło tą czynność inne wahanie: Kto przed nim zapisał swe imię w księdze? Co napisać w księdze, która prawdopodobnie zawiera imiona tych nazistów, którzy brali udział w indoktrynacyjnych sesjach 1933 roku?

To, co rzeczywiście wpisał on w księdze, zacytowane jest przez Pöggelera: „Ins Hüttenbuch, mit dem Blick auf den Brunnenstern, mit einer Hoffnung auf ein kommendes Wort im Herzen. Am 25. Juli 1967/Paul Celan. W wierszu, poza niezbędnymi zmianami składniowymi, Celan jedynie bardzo nieznacznie transformuje rzeczywisty wpis. Dodaje dwa ważne słowa: *heute* i *eines Denkenden*. *Heute*, dzisiaj, wskazuje na palącą konieczność potrzeby tego, by słowo przyszło teraz, w tej sytuacji, w powojennych Niemczech. *Denkender* (ten, który myśli) – to wyraźnie Heidegger. W ten oto sposób Celan przybliżył się w wierszu najbardziej do nazwania samego filozofa po imieniu. Istnieje, że pozostaną wciąż przy Pöggelerze, odmienna wersja wiersza, która wprowadza słowo „ungesäumt” (bez wahania, bez zwłoki) przed „kommendes” – kolejna wskazówka, że Celan czuł palącą potrzebę odpowiedzi, słowa ze strony Heideggera.

Wizyta ta wyraźnie nie jest li tylko formalnym i grzecznościowym wydarzeniem. Celan, który przeżył nazistowski obóz pracy, osierocony w czasie wojny przez rodziców, którzy zmarli w obozach pracy, był człowiekiem bardzo nieśmiałym, który wystrzegał się niefrasobliwego angażowania w stosunki towarzyskie, bowiem słowo „Begegnung”, (spotkanie) miało dla niego znaczenie. Celan przybył wyraźnie jedynie po to, by skonfrontować Heideggera z jego przeszłością; by prosić o słowo – wyjaśnienia, jakiegoś rodzaju przeprosin od niemieckiego filozofa, którego cenił wysoko jako myśliciela zajmującego się poezją (Hölderlin i Trakl, dwaj najważniejsi dla Celana poeci), który jednak był także, przynajmniej przez kilka lat, poważnie zaangażowany w ruch nazistowski.

Niemiecka składnia tej strofy, jak wykazał Pöggeler, wiedzie ku dwuznaczności: zwrot „im Herzen” (w sercu) może znaczyć zarówno „nadzieja w sercu na słowo myśliciela”, jak i „nadzieja na słowo w sercu myśliciela”. Pierwsze znaczenie jest dość banalne skoro łączy nadzieję z jej tradycyjnym toposem, z sercem. Druga możliwość – słowo w sercu – wiedzie do wiele bardziej złożonego dyskursu filozoficznego, który Pöggeler obszernie omawia, wprowadzając Augustyna, Mistrza Eckharta, Heraklita, Laotse (którego Heidegger tłumaczył pewnego razu w Hütte), jak również Pindara. Poetyka Celana i rytm jego wierszy dość wyraźnie wskazują na to



Pierre Joris

Z AULEK LITERACKI

i trwał do końca jego życia. Wiersze zostają odarte z „labiryntowej metaforyki” dotychczas im właściwej, składnia staje się zwarta i oszczędna, zwiększa się ilość neologizmów, same słowa istnieją i znaczą w teleskopijnym zbliżeniu.

Niezwykle trudno dokonać przekładu tej poezji. Wielką zasługą Jorisa jest, że w jego tłumaczeniu Celan nie chowa się za hermetyczną gardą, jest przejrzysty i precyzyjny. „Moim pierwszym zamierzeniem nie było stworzenie eleganckiej, łatwo czytelnej i przystępnej amerykańskiej wersji tych niemieckich wierszy. Chodziło mi raczej o oddanie możliwie całościowego i zawierającego w sobie wielość perspektyw dzieła Celana, a jeżeli przy tym mogły zaistnieć momenty elegancji czy przebliski *claritas*, to tym lepiej.”

Książka jest efektem 27 lat pracy translatorskiej i badawczej Pierre Jorisa.

(kris)

odczytanie. Sullivan w swoim przekładzie, w tym miejscu dość ostentacyjnie wybiera banalną pierwszą możliwość. Wrócimy do tego, dlaczego ten wybór był dlań oczywisty.

Pozostała część wiersza składa się z krótkich strof (z których tylko jedna ma trzy wersy) i znowu natychmiast prowadzi nas na zewnątrz: dwaj mężczyźni idą na spacer na torfowisko w górach za Hütte. Celan ponownie wykorzystuje roślinność, aby przedstawić tę scenę.

Orchis und Orchis, einzeln (Dziki storczyk i dziki storczyk, pojedynczo).

Dziki storczyk to naprawdę kwiat bardzo różny od tych dwu w pierwszym wersie. Jest to orchidea z rodzaju *Orchis*, mająca karmazynowe, białe lub karmazynowo nakrapiane kwiaty (karmazyn /ang. *magenta*/, żywa, purpurowa czerwień, został odkryty w roku krwawej bitwy pod Magenta i nazwa to upamiętnia.). Podczas gdy w pierwszym wersie arnika i świetlik, dwa różne kwiaty, są po prostu ustawione obok siebie, oba są częścią tego samego krajobrazu, tak, jak był widziany, tutaj te same kwiaty, dzikie storczyki, reprezentujące dwu mężczyzn, oddzielone są słowem „und”, i jakby to jeszcze nie wystarczyło, aby wskazać, że są oddzielnie, ostatnie słowo linii kładzie na to nacisk: „einzeln”, (oddzielnie/odzielny). W języku niemieckim roślina ta znana jest również jako „Knabenkraut” (chłopięcy chwast) z racji jej korzeni o kształcie jąder (co, jak zauważa Pöggeler, łączy to z innymi Celanowskimi pojęciami i słowami, takimi jak „Mandelhode”, migdałowe jądro, i drugim storczykowym wierszem, który mówi o Fünfgebirg Kindheit, dzieciństwie pięciogórskim. Pöggeler następnie wspomina dziki storczyk jako symbol poety lub myśliciela w nauce buddyjskiej i zen.)

W każdym razie tu intencja jest jasna: dwaj mężczyźni, kładący nacisk na swą pojedynczość, na swą oddzielność, idą obok siebie. Jasne, pełne nadziei „A” z pierwszego wersu zostały zastąpione przez ciemniejsze „O” – czy przeszliśmy od alfy do omegi? („o” storczyka (*orchis*) jest w rzeczywistości omikronem, ale wszak omikron usurpował sobie funkcję greckiej omegi w naszym łacińskim alfabecie.). I dokąd oni spacerują? Idą po „halb-/beschricttenen Knüppel -Pfad...” – w pół-przebytych szlakach z pali”, dosłownie po „ścieżkach zrobionych z drewna” (niemieckie *Holzwege*), co odnosi się do ścieżki w lesie, ale także, w mowie potocznej, do ślepego zaułka, do błędnie obranej trasy, i jest, oczywiście, tytułem dobrze znanej książki Heideggera. Celan jest zbyt subtelny, by użyć słowa Heideggera, a jego „ścieżki z pali” czynią obraz jeszcze bardziej złożonym, gdyż *Knüppel* - słowo niemieckie oznacza zarówno „pnie” /czy „pale”, czego ja użyłabym tłumacząc wiersz, by oddać te dwuznaczność, dotyczącą kaźni – przyp. tłum./, jak i „kije”, które używane są jako broń do bicia ludzi, więźniów etc.

„Wpół-przebyty” zaledwie spacer szybko się kończy. Pöggeler sugeruje deszcz, co jego zdaniem, udowodniałaby końcowa strofa: „Feuchtes, viel”. Ale wiersz Celana tego nie mówi. Spacer jest przerwany, spacerowicze wracają do samochodu, Celan zostaje odwieziony z powrotem. W samochodzie ma miejsce rozmowa, „Krudes”, niezbyt pospolite słowo w niemieckim, „coś szorstkiego” zachodzi pomiędzy Celanem i drugim pasażerem, i poeta odwołuje się do trzeciej obecnej osoby, „on, który nas wiezie, ten mężczyzna”, jako do świadka tej wymiany słów („on, który także to słyszy”). To jasne, że „Krudes” nie może być owym „słowem w sercu”, którego Celan oczekiwał po tej wizycie. To jasne, że Heidegger nie objawił się w taki sposób, na jaki miał nadzieję Celan.

Mówię, że to jasne, choć nie jest to wcale aż tak oczywiste. Na przykład, sam Heidegger na pewno nie odczytał wiersza – myśli poetyckiej w nim zawartej – w ten sposób, w przeciwnym bowiem razie jak mógłby być do tego stopnia



Pierre Joris

Z AULEK LITERACKI

rad, że, zgodnie z licznymi relacjami, uwielbiał chętnie się przed swymi gośćmi swym egzemplarzem małonakładowego bibliofilskiego wydania wiersza?

Mogłoby to być zrozumiałe jako „angle mort”, ślepa plamka w polu widzenia Heideggera. Mniej zrozumiałe jest wyraźnie przewrotne odczytanie podane przez Gadamera w Heideggerowskim rozdziale jego książki *Warsztaty*, które to odczytanie zacytuje tu w przekładzie Sullivana:

Pewnego dnia poeta Paul Celan pojawił się wśród pielgrzymów, którzy udawali się do Todtnauberg i z jego spotkania z myślicielem narodził się wiersz. Pomyślcie tylko o tym: prześladowany Żyd, poeta, który nie mieszkał w Niemczech, lecz w Paryżu, a mimo to jednak niemiecki poeta, przedsięwzię tę niepokojącą wizytę. Na pewno wyszła mu na spotkanie „pocieczka dla oka” w postaci małej wiejskiej posiadłości, z bijącym źródłem „z sześcianem astrów na nim”, jak również drobny wiejski człowiek z promiennymi oczyma. Wpisuje się do księgi chaty wersem nadziei, którą przechowywał w sercu. Spacerował z myślicielem poprzez łagodne łąki, obaj sami, jak pojedynczo rosnące kwiaty – dzikie storczyki i dzikie storczyki. Dopiero w drodze do domu stało się dla Celana jasne, co Heidegger pomrukiwał i co wciąż wydawało się szorstkie. Zrozumiał śmiałość myślenia, które inny – „ten mężczyzna” – mógł także usłyszeć, lecz bez zrozumienia, śmiałość ustąpienia na lotne podłoże jak na bite drogi, po których nie da się iść aż do końca...

Potem następuje wiersz, który Gadamer w swym oryginalnym tekście niemieckim naturalnie cytuje w oryginalnej niemieczyźnie Celana. Ja zaś sądzę, że po dokładnym, choćby nawet pospiesznym i niedokończonym odczytaniu tego wiersza, jakie zaproponowałem powyżej, „interpretacja” Gadamera, czy też może raczej użytek, jaki robi on z tego wiersza dla swych własnych celów, wyłania się wyraźnie jako „hagiografia”, jak nazwał to Philippe Lacoue-Labarthe. Gadamer nie odczytuje, czy też nie umie albo, co gorsze, nie chce odczytać myśli zasugerowanej przez wiersz Celana i wyraźnie w wiersz wpisanej. Ale interesuje mnie tu nie tyle intencja Gadamera – zrozumiała, jako gest przyjaźni czy lojalności wobec swego starego nauczyciela, którego czci w swym Festgeschrift – co wpływ, jaki ma ona na przekład wiersza Celana przez angielskiego tłumacza Gadamera, Sullivana. Oto owa wersja:

*Arnika, świetlik,
baust ze studni z
sześcianem astrów na niej,*

*w
chatce,*

*wers wpisany w księdze
– czyje nazwiska otrzymała
przed moim?*

*wers
o nadziei, dzisiaj,
na myśliciela
nadchodzące słowo,
nadzieja w moim sercu*

*leśna polana, niezniwelowana,
dziki storczyk i dziki storczyk, oddzielone,*

*szorstkie, lecz później, w podróży,
wyraźne,*

*ten, kto nas wiezie, ten mężczyzna,
ten, który także słucha,*

*wpół –
przebyte, przedeptane
ścieżki w wysokim torfowisku,
wilgotne,
bardzo.*

Tłumaczenie to jest nie tylko w wielu miejscach błędne, jak wykazano wyżej w odniesieniu do „gwieździstych kostek do gry” z drugiego wersu, błędne w kategoriach dosłownej zawartości werbalnej tekstu, ale również (i to o wiele poważniej) błędne poprzez całkowite wpisanie w przekład interpretacji Gadamera. Na przykład, Gadamer w tekście poprzedzającym wiersz kategorycznie stwierdza, że wers o nadziei odnosi się do nadziei w sercu poety, a Sullivan posuwa się aż do zmiany linii „im Herzen” tak, by brzmiała „nadzieja w moim sercu”, powtarzając słowo nadzieja tak, by upewnić się, że jej związek z sercem jest wyraźny, i zmienia pogarszając jeszcze sprawę, „serce” na „moje serce”, co w rodzaju banalnego lirycznego sformułowania, którego Celan nigdy by nie użył. Wers *Krudes, später im Fabren / deutlich*, którą próbowałem tak przybliżyć do niemieckiego jak to możliwe, tłumacząc ją jako *Crudeness, later, while driving /clearly* = Szorstkość, później, podczas jazdy / wyraziście, Sullivan podaje jako „crude, but later, in traveling”, /clear = szorstkie, lecz później, w podróży, wyraźne, gdzie wstawione słowo „lecz” – nieobecne w tekście niemieckim – zmienia znaczenie dokładnie w kierunku, jaki sugeruje Gadamer.

Jeszcze dwa źle przetłumaczone słowa w wersji Sullivana, z których drugie przywiedzie nas z powrotem do wiersza. Słowo *Hütte*, które jest terminem o dość znacznym ładunku treściowym w Heideggerowskim kontekście, jak wykazałem to wyżej, staje się w wersji Sullivana „cottage” = „chatka” – wraz ze wszystkimi tymi miłymi, przytulnymi, wakacyjnymi konotacjami, jakie słowo to ma w języku angielskim, aranżując w ten sposób scenerię i umacniając twierdzenie Gadamera, że wiersz opisuje wizytę udręczonego, chociaż wielkiego żydowskiego poety z dalekiego miasta Paryża u dobrodusznego Heideggera w jego przytulnym i spokojnym wiejskim ustroniu, skąd poeta będzie odesłany z powrotem, pocieszony w sercu, wreszcie „zrozumiawszy” słowa wielkiego filozofa.

Jedynę słowo, lub raczej wyraz złożony z wiersza *Todtmauberg*, którego jeszcze nie omawialiśmy, to ten, który podaje Sullivan jako „forest glades” = polany leśne, owe bukoliczne łąki, gdzie poeci i filozofowie mogą uprawiać sport, odpoczywać i gawędzić. Wyraz, którego używa Celan to „Waldwasen”, co nie jest pospolitym słowem, i wobec tego – czymś, co powinno nam uświadomić, iż poeta ma tu na myśli coś szczególnego, skoro w taki sposób posługuje się językiem. Na pierwszy rzut oka można byłoby z pewną dozą prawdopodobieństwa przypuścić, że poeta po prostu wybrał uczone lub „poetyczne” słowo zamiast bardziej oczywistego i stąd banalne „Waldwiesen” – dosłownie leśne łąki lub polany Sullivana. Albo też, że Waldwasen zostało wybrane, ponieważ brzmiało jak echo, ciemno, dzięki dwóm „a” następującym po dwu „w”, echo rymu samogłoskowego „a” w „Arnika, Augentrost” na początku wiersza.

Ale gdy bliżej przyjrzymy się temu słowu, zobaczymy, że wybór jest o wiele głębiej i w sposób bardziej złożony umotywowany, niż li tylko przez „Tonmalerei”, „malowanie słowem”. „Wase”, zgodnie ze *Słownikiem*

języka niemieckiego Grimma, to przede wszystkim kawałek darni wraz z roślinami, które na nim rosną. W botanice, „ist wasen das in der Erde befindliche vielverzweigte Wurzelwerk einer Pflanze”. Tu już odmierność od „polany” jest oczywista: Celan nie mówi o jakiejś trawiastej powierzchni, milej łące, ale ma na myśli coś, co drąży głębiej i zawiera w sobie sieć podziemnych korzeni. Jego myśl jest, jak zwykle, skierowana pod powierzchnię. Poza tym w północnych Niemczech, termin „Wasen” jest używany w pierwszym rzędzie jako homonim słowa „Torf”, darni, torf - słowo i substancja, która, jak podkreśla także Pöggeler, odgrywa rolę w innych wierszach Celana (coś, co może być użyte do zapalenia ogniska i coś, co przechowuje materię, na przykład duńskie bagna torfowe o prehistorycznej sławie). Zamiast być miłą, romantyczną polaną, *Waldwase* stało się czymś z lekką „unheimlich” (niesamowitym), by użyć jednego z ulubionych terminów Heideggera.

To nie wszystko. Grimm dalej interpretuje „Wasen” jako „das Land wo der Abdecker oder Wasenmeister das Vieh ausweidet und verschartt, der Schindanger, in Süddeutschland und am Rhein üblich...”, więc niewielki obszar gruntu, na zwierzęta gospodarskie, znany także w południowych Niemczech i nad Renem jako „Schindanger” – „cmentarz rzeźniczy”, co dałoby się niemalże przetłumaczyć jako „zabójcze pola”.

Celanowski zastąpienie słowem „Wasen” słowa „Wiesen” – łąki, polany – jest, mówiąc najogólniej, pełne znaczenia. Spacerując pojedynczo – „Orchis und Orchis” – po „Wasen”, Celan wręcz musi być blisko tego królestwa, które jest mu najbardziej znane: królestwa umarłych. Ten spacer, to spacer po cmentarzu – przynajmniej w jego (Celana) „myśli poetyckiej” – ale jest to zaiste ów wszechprzenikający topos twórczości Celana. Staje się to nawet bardziej wyraziste dzięki następnemu słowu: „uneigebnet” (nie wyrównany), wobec tego pagórkowaty, wprowadzający obraz porośniętych trawą grobów, wśród których ci dwaj spacerują po „Knüppelpfaden”, ścieżkach wykopanych z pni, kawałków drewna, przynajmniej w swej niemieckiej formie „Knüppel”, przywodzą nam na pamięć śmiertcioną broń. Coś „unheimlich” – pełnego grozy, niesamowitego; lepszym terminem byłoby słowo „prerażającego” – się tu odbywa.

Celan odwiedził Heideggera by prosić o słowo apologii w odniesieniu do wydarzeń drugiej wojny światowej: wyniszczenia, jak bydła, ludności żydowskiej. Nie jest więc zaskakujące, że to, co powinno być spokojnym sielskim spacerkiem poprzez polany, było, lub stało się w umyśle i słowach poety, spacerem poprzez ziemię, w której zmarli „sich hügeln” – „okopują się”, jak gdzieś indziej mówi Celan. (Makabryczna ironią, jak podkreśla Pöggeler, jest oczywiście to, że w obozach zagłady rowy ze zwłami ciał zagazowanych ofiar i ziemia były gorączkowo uklepywane, równane przez drużyny robotników i tak utrzymywane, by potworne okrucieństwa pozostawały jak najbardziej niewidoczne, tak, aby żaden znak nie był widoczny ponad ziemią. Można by tu dodać, że jeśli tak postępowano rzeczywiście w obozach zagłady, niekoniecznie musiało tak być w odniesieniu do większości innych egzekucji, na przykład w mniejszych obozach pracy, gdzie ludzie byli traceni przez Genickschuss, a potem pospiesznie grzebani – a taki właśnie los spotkał rodziców Celana, więc prawdopodobne jest, że był dominujący w jego myślach.)

Gdy czytałem Grimma w odniesieniu do „Wase” i znalazłem „Schindanger”, pomyślałem, że dotarłem do dna i że być może posunąłem się już za daleko w „interpretacji”, to jest w tłumaczeniu. Wtedy zauważyłem jeszcze jedno „Wase”, słowo używane nadal w północnych Niemczech do opisanie wiązki chrustu, którego etymologię Grimm



Pierre Joris

Z AULEK LITERACKI

wywodzi poprzez francuskie „faisceau” od łacińskiego „fascēs”, wiązki różeg kuratora, co zaowocowało słowem „faszyzm” i stało się tegoż symbolem.

Czy jest to wnioskowanie zbyt dowolne? Czy czytelnik lub tłumacz albo egzegeta czy hermeneuta dokopują się zbyt głęboko pod powierzchnię warstwy słownej wiersza? To właśnie dzięki owemu „semantycznemu geologicznemu warstwowaniu”, jeżeli mogą tak powiedzieć, tego jednego słowa „Wasen” użytego zamiast zwyczajniejszego „Wiesen”, to jest owemu zastąpieniu długiego „ie” przez „a”, wiersz ten rozwiera się od wstrzemięźliwej oszczędności struktury, którą można podjąć i da się ją okiełznać (prosta, zwarta sieć tradycyjnych powierzchniowych poetyckich środków stylistycznych, co jest tu egzemplifikowane przez rymy „a”), do ruchu o bardziej ogólnej oszczędności, do mise „-en”, „-ab”, „me”, gdzie „znaczenie”, „odniesienie”, etc., zaczynają przeciekać, „krwawić” łańcuchem, którego nie da się okiełznać. Ten ruch, skoro już o tym mowa, nie jest identyczny, choć powiązany z tym, czego wymaga gra Derridy dwu różniących się „a” /przyp. tłumacza – Joris używa angielskiego przyimka „of”, a po nim francuskiego słowa *différance*. Po angielsku „difference” to „różnica”, więc tłumaczę „różniących się”. Być może znaczy to „stanowiących różnicę”. Ze względu na różnice w systemach gramatycznych nie da się w tej sytuacji pozostawić słowa francuskiego w oryginale. (W wypadku „a” z *Wasen*, zmiana w stosunku do *Weisen* jest słyszalna – nie robi się tu ustępstwa na rzecz ogólnej oszczędności pisania w odniesieniu do zwężeń fonocentrycznych. W wierszu „A” chce być słyszane, słyszy się je w powierzchniowej grze struktury dźwiękowej wiersza, a ponieważ słyszy się je tam, przechodzi prawie niezauważone: skłonni jesteśmy prześlizgnąć się nad nim, uwierzyć, że jego *raison d'être* to „muzyka” wiersza. Dopiero gdy zaczynamy zadawać pytania o różnicę, zastąpienie „ie” przez „a” powoduje, że możemy zacząć dokładnie badać ów „unheimliche” obszar wiersza, owo literalne podziemie, ku któremu kieruje nas „a”. Toteż ruch ten nie prowadzi, co mogłoby nam sugerować powierzchowne odczytanie struktury dźwiękowej wiersza, od „pełnych nadziei” początkowych a od ciemnych, złowieszczych, „omegowych”. O w „Orchis” (przyp. tłum. – Joris sam też posługuje się tu aliteracją, „złowieszczy bowiem to po angielsku „ominous”. Cydzysłów przy słowie „omegowy” pochodzi ode mnie, nie ma bowiem w języku polskim przymiotnika od słowa „omega”, w języku angielskim zaś rzeczownik może pełnić funkcję przymiotnika w określonej konfiguracji.) od pary leczniczych roślin „Arnika, Augentrost” do dwu oddzielonych osobników płci męskiej idących na przerwany spacer, gdzie ciemność ta sugerowałaby głównie problem w porozumieniu między dwoma ludźmi, ustawiając wobec tego ów problem jako jeszcze jedną wersję tradycyjnego toposu „Natur-Lyrik”, *natury versus kultury* (i w tym banalnym przeciwstawieniu strukturalnym otwierając się na możliwość prostego logicznego odwrócenia wartości, dokładnej odwrotności, dokonanej przez odczytanie tekstu przez Gadamera i przetłumaczenie tegoż tekstu przez Sullivana.). Raczej rzec by można, że ciemny, złowieszczy aspekt wiersza widziany/słyszany w o w *Orchis* jest już zapowiedziany we wczesnych „a” i otwiera się w sposób przyprawiający o zawrót głowy w „a” w *Waldwasen* – jeszcze jeden „obraz natury”. Celan nie tylko redukuje pytania, które go nawiedzają, do dobrego lub złego porozumiewania się między istotami ludzkimi, do nieporozumień, które lepsze „rozumienie”, filozoficzne lub inne, mogłoby sugerować kontekst. Dla Celana owa złowroga ciemność nasycy świat, jest dlań nieodłączna. Będąc czymś więcej niż sprzecznym się ze specyficznymi aberracjami Heideggera, wiersz wskazuje na

radykalny pesymizm, który obejmuje ideologie Heideggera czy nazistowską, lecz nie poczyna się z niej. Jakże daleko stąd do odczytania wiersza jako hymnu na cześć pokonywania (ideologicznych) różnic; różnic, nawiasem mówiąc, nigdy nie wspomnianych przez Gadamera – poprzez ludzkie zrozumienie lub „naturalnie” nabytą mądrość, jak odczytuje je ten ostatni, lub nawet, jak czyni to Lacoue-Labarthe, jako zapis rozpaczy Celana z powodu tego, że ów Heidegger odmówił wytłumaczenia się ze swego minionego zaangażowania politycznego, załagodzenia go lub zaferowania za nie przeprosin.

Celan, wysiedlony żydowski poeta z Bukowiny, który spędził całe życie w Paryżu, we Francji, ale pisał po niemiecku, pisał w tym języku z konieczności, tak jakby/ponieważ był to zarazem jego język, mowa ojczyzny, i język obcy, inna mowa. Rozpracowywał zarówno powierzchnię, jak i głębokie pokłady niemieckiego, studiował słowa, dogłębnie znał i studiował słowniki jak mało którzy poeci. Każda próba przetłumaczenia go musi zmierzyć się z tym aspektem jego twórczości i rozpaczać nad tym, czy kiedykolwiek będzie w stanie przeprowadzić to odpowiednio. Jak ukazać w tłumaczeniu różnicę, którą spowodowała zmiana z „ie” na „a”? Nie znalazłem w angielskim słowa, które byłoby w pełni odpowiednie w stosunku do niemieckiego „Waldwasen”, chociaż „sward” = murawa, słowo, którego używam w tym miejscu w nieskończonym planie analizowania, doskonalenia, przerabiania tych tłumaczeń (to samo słowo użyte jest przez Michaela Hamburgera), które mój słownik omawia jako „Grunt pokryty trawiaścą darnią; trawnik lub łąka... od staroangielskiego *sweard*, *suearþ*, skóra ciała, skórka bekonu etc.”, jest już blisko i posiada owo „a”. Lecz z drugiej strony nie zawiera ono owej różnicy, owej zasadniczej różnicy, którą czyni „a” Celana, gdy zastępuje „ie” z Wiesen. To, co w oryginale wiersza jest prawdziwe *mise-en-abîme*, staje się w tłumaczeniu angielskim li tylko „poetyckim” słowem, aczkolwiek mocnym i użytecznym *per se*, skoro jego etymologia poprzez konotacje ze źródłosłowem „skóra”, tworzy membranę, która ewentualnie mogłaby być na tyle porowata, by poprowadzić czytelnika poprzez owo ciemne podziemie i w jego głąb, podziemie, które wskazuje Celan – jednakowoż bez stworzenia owego łańcucha znaczeń, wiodącego do konotacji Wasen w stosunku do „fascas”.

Mógłbym ulec pokusie, choć to nużące, głoszenia poglądu, że, egzegeza, którą stanowi ten esej, jak i wszystkie inne zajmujące się Celanem, jest jedynym możliwym „tłumaczeniem” Celana. Ale to byłoby łatwe wyjście. Tłumaczenie wiersza musi być wierszem. „Myśl poetycka” – posługuje się tym sformułowaniem w znaczeniu „myślenia, którego wiersz dokonuje w swej wierszowości, swym poetyckim *Eingentlichkeit*” – nie przekłada się na, powiedzmy, myśl filozoficzną lub myśl krytyczno-literacką. Stąd niepowodzenie Heideggera nie tylko w zrozumieniu tego konkretnego wiersza Celana, lecz także owa niesamowita pustka, która pozostaje w kimś, kto przeczytał jego esej o poezji Hölderlina. Ale stąd również ów błysk zrozumienia, który czuje się czytając, powiedzmy, wiersz Celan o Haölderlinie. Wiersz może się przełożyć jedynie na inny wiersz – może zupełnie inny wiersz, w zupełnie innym języku, w zupełnie innym stuleciu. O ile jest coś, co jest zupełnie inne. I to jest właśnie to, w co tłumaczenie, aby istnieć, nie może uwierzyć, podczas gdy cały czas stoi twarzą w twarz z tę właśnie myślą jako swym praktycznie rzecz biorąc *raison d'être*, myślą, którą tłumaczenie musi więc spróbować odeprzeć, ryzykując, że w tej samej chwili zaprze się samo siebie.



Pierre Joris

Z AULEK LITERACKI

Przełożyła Ewa Stapór



FELIKS PRZYBYŁAK

Kręgi Celanowskiego świata (Lebensweltu)

FELIKS PRZYBYŁAK urodził się 1 kwietnia 1933 roku w Lesznie. Jest pracownikiem naukowym w Instytucie Germanistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, gdzie zajmuje się teorią literatury i przekładu literackiego. Tłumaczy literaturę niemieckojęzyczną, należy do polskiego Pen-Clubu i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

W 1993 roku otrzymał Śląską Nagrodę Kulturalną Kraju Dolnej Saksonii w Hanowerze za przekłady literackie.

W jego dorobku translatorskim znajdują się m.in. wyборы wierszy Paula Celana, Gottfrieda Benn, Georga Trakla i Friedricha Hölderlina, proza Roberta Musila, Siegfrieda Lenza, Klemensa Brentano, eseistyka i teksty filozoficzne Immanuela Kanta, Eliasa Canetti, Ludwiga Wittgensteina, Friedricha Nietzschego i innych. Tłumaczył również przez wiele lat pieśni różnych epok dla potrzeb Międzynarodowego Festiwalu „Vratislavia Cantans”.

Jest autorem dwu obszernych rozpraw książkowych: *Paul Celan – metody i problemy liryki esencji* (1992) oraz *W stronę poetyki umykających pojęć. Wstępne stadia i fazy* (1996).

W 1998 roku opublikował tom wierszy *Poza szumem*.



Paul Celan uważany jest niemal przez wszystkich znaczących i liczących się krytyków za najważniejszego poetę okresu powojennego i chyba jest istotnie tym „jedynym lirycznym odpowiednikiem dzieła Kafki” (jak określa go inny znawca jego twórczości, Margul Sperber). Tę Kafkowską konstelację życiową Celana podkreślają też późniejsi krytycy, zwłaszcza amerykańscy.

W „Nouvelle Observateur” (23-29 IV 1992), a więc stosunkowo niedawno, można było przeczytać o nim takie zdanie: „Paul Celan, poeta niemieckojęzyczny, największy chyba po wojnie, był synem Żydów z Bukowiny zamordowanych w obozie, który jemu samemu udało się przeżyć. Ocalony. Symbol Europy. Bolesnie skazany na to, co inni uważali za niemożliwe – na pisanie wierszy po Auschwitz”.

Jego życie przypada dokładnie na środek stulecia (1920-1970). W poezji tej, co też oczywiste, przecięły się problemy i zjawiska tego całego okresu.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, jak się przecięły. Ważne w tym kontekście natomiast wydaje się to, że zostały umiejscowione właśnie w takim obszarze i poszerzone o pewne istotne kręgi Celanowskiego świata.

Jednak obszary tego widzenia świata uobecniają się najpierw w trzech jakby rodzajach jego kategorii oglądu rzeczywistości. Jest to widzenie rzeczy i zjawisk w skali przystępnej dla nas, a więc makroskopowej, dalej w skali mikro i wreszcie w skali nieozonej, jakby pozaskończonej, już nie tak oczywistej w odbiorze, którą rozpoznać można odnosząc się do tych pierwszych przez analogię, która funkcjonuje tylko i układa się w poezję.

*W rzeki na północ od przyszłości
(gdzie) wyrzucam cieć, którą
z wahaniem obciążasz
przez kamienie pisanymi
cieniami.**

Porządki ontologiczne wychodzące z tak powstałych obrazów w obiektywnie danej rzeczywistości przenikają się i stapiają potem w zjawisko z a m i e c i m e t a f o r z trzema z kolei kręgami egzystencjalnymi świata już nabytym i w swoich trzech możliwych w okresie życia poety ukształ-

* Wszystkie przytaczane w tekście wiersze w przekładzie własnym autora.

towanych fenotypach. O sile poetyckiego wyrazu decydują w znacznej mierze dopiero wszystkie razem wzięte, gdyż

*BYŁA ZIEMIA W NICH, i
kopali.*

*Kopali i kopali, i tak
przechodził dzień, ich noc. I Boga już nie chwalili,
który, tak słyszeli, tego uszyskiego chciał*

– powiada w wierszu dramatycznie powiązanim głęboko z jego osobistym losem, doznaniem z lat wojny, które to postrzeganie niejako uniwersalizuje się w tym wierszu i nabiera najszerzych wymiarów ludzkiego doświadczenia. W końcowej strofie, która jest lirycznym okrzykiem, wołaniem idącym z najtajniejszych otchłani przeżyć poety, czytamy:

*O, jeden, o żaden, o nikt, o ty:
dokąd szło, jeśli donikąd szło?
O, ty kopiesz i ja kopię, i przekopuję się do ciebie,
a u palca budzi się nam pierścien.*

Tym rodzajem zaklinalnia osiąga tu poeta coś na kształt transcendencji.

Są te wiersze Celana także tym „trudno uchwytnym wyznacznikiem” atmosfery, który bodaj trochę uchyla zasłony i dozwala na zbliżenie się do poety, na analityczne wejście w obręb problemów jego rzeczywistości przedstawionej, lub jeśli kto woli – jego nierzeczywistości.

Można tu nawet chwilami mówić o pozarzeczywistości, bo i takie są często u niego znamiona dystansu lirycznego do zdarzeń. Znalezienie możliwie dogodnej pozycji dla prowadzenia manewru interpretacyjnego jest zatem w wypadku tego poety niesłychanie ważne.

Sam Celan nie ułatwia w tym względzie zadania swoim egzegetom i tłumaczom. Raczej ich zwodzi pod pozorem, że coś takiego (jak rzeczywiste wyjaśnienie) jest niemożliwe. Sugerował, że wydarzenia, którym dawał wyraz, przerastają wszystko co było dotąd. W końcu większość z nich uwierzyła w nieinterpretowalność samego zjawiska, które nosi jego imię. Jakkolwiek by było, w naszej epoce opętanej wprost „głodem interpretacji”, nie sposób przecie tego tak „zostawić”, bo jak mówi Jules Deleuzew l’Antioedipe:

„Interpretowanie jest naszym nowoczesnym rodzajem wiary”, wszyscy chcą budować i ulepszać ten jakiś „tekst tekstów”, „tekst Babel” według własnej metody i z ogólnego poczucia braku, niezadowolenia i niedosytu poznawczego,

bo tu gdzie: *TE PILNE
skarby ziemi, swojskie,*

ta rozpalona synkopa,

*ów nie do rozszyfrowania
rok echa,*

*powleczone szkliwem
pajęczce ołtarze wszystko
przerastającej płaskobudowy,*

*te międzydźwięki
(wciąż jeszcze?),
cieniów rozbowory,*



Feliks Przybylak

Z AULEK LITERACKI

*te lęki, lodowate jak trzeba,
gotowe do odlotu,
ten barokowy wystrój,
połykający mowę przysznic,
semantycznie prześwieتلony,*

*ta nie opisana ściana
cełi na dwie stopy:*

*tu
wżij się
w poprzek, bez zegara.*

I stąd te w życiu niezbywalne ontologicznie usytuowane wymiary celanowskiego postrzegania dające w efekcie jego kategorie oglądu i odbioru świata jeszcze inaczej w wierszu dopełniają się na granicy widzenia tego, co dzisiaj w rzeczywistości można już, czy wciąż jeszcze, zobaczyć.

Właśnie w tego rodzaju płynnym i nieostrym horyzoncie szukają jego wiersze okruczeństwa rzeczywistości „po wielkiej awarii przesilenia dnia z nocą”, jak powiada, i momentów nowego realizmu lirycznego, i próbują nabrać adekwatnej do wydarzeń głębi, wprowadzając kubizujące się, sytuowane na różnych płaszczyznach słowo, w punktach dla niego węzłowych. Tam, gdzie przecinają się strefy odtwarzania i czystego przetwarzania natury lub nawet dokonują się jakiegokolwiek zbliżenia do niej, zderzone z kilkoma planami projekcji kręgów współczesnego piekła na ziemi jako formy totalnej inwersji dawnego wyobrażenia nieba, które jakby tymczasem zniknęło z widnokregu.

Jest to poczucie piekła zrodzone ze zderzenia pierwotnego lęku egzystencjalnego (naszej *Geworfenheit*), owego osławionego bycia rzuconym w świat i wyniku naszego dramatu, wynikającego z wiecznego istnienia świata i naszego istnienia skończonego, a więc w świecie nam odgórnie przyrodzonym, na co nie ma się żadnego wpływu.

Dochodzą do tego nasycone skrajnymi przeżyciami i urazami odbicia holocaustu i Archipelagu Gułag, wraz ze wszystkimi pochodnymi do tych zjawisk implikacjami, zawsze obecne w tle.

Tym, co w ostatnim aspekcie kluczowym w poezji Celana tak mocno uderza, jest obecność syndromu wojennego w postaci zagrożenia w ogóle i związanych z widmowością i koszmarami tego syndromu lęków. Swoista widmowość otaczająca owe zdarzenia potęguje się w kolejnych swoich pomnożeniach i aluzjach różnej natury do wybuchających i pelzających wojen wyzwoleniczych, plemiennych oraz innych konfliktów najprzeróżniejszego typu, jak – wyliczając pokrótce – wszelkie symptomy zimnej wojny lub terroryzmu, prześladowań, nagonek itp., które potęgowały jego lęki zakorzenione w dobie holocaustu, działając na jego okaleczenia psychiczne, brodzące poznawczo po śladach prowadzących częstokroć donikąd.

*Ze ślełą uliczką gadać
o jej vis a vis
o jego
usuniętym znaczeniu: –*

*ten to
chleb trzeba żuć
zębami pisania.*

Nakładają się potem na siebie i wzmagają w tej twórczości coraz bardziej, w miarę upływu lat i zamieniały się w zjawiska o charakterze postępującej, globalnej destrukcji. Stanowiło to w sumie jeden z ważnych powodów wyczulenia poety na pytania zasadnicze epoki, również w innych sferach. Zgodnie z przesłaniem tej poezji, żyjemy więc w obszarze katastrof pojawiających się drogą metasty – jak w wierszu Largo gdzie

*para kosów zawisła
w górze obok nas, (ale jednocześnie jednak) wpadła między

meta-
stazy.*

Wszystko działa zdeformowane w polach przerzutów różnej natury. Przebywamy tam, gdzie „wciąż wpadamy czasowi i wieczności do fałszywej dziurki”, jak powiada w innym wierszu lub jeszcze, jak w *Śnieżnym łożu*:

*głęboko w czasie zakratowani [usidleni], padamy
padamy i leżymy i padamy
I padamy.
Byliśmy. Jesteśmy (...)
W tunelach, w tunelach.*

Słowem – jesteśmy w strefie, z której za wszelką cenę musimy się wyrwać, wydostać, by jakoś przetrwać.

Poeta zatem funkcjonuje jako swego rodzaju sejsmograf zagrożonego wielorako tym wszystkim gatunku, czyli człowieka. Pracuje w obrębie cywilizacji, gdzie dokonywano zbrodniczego aktu wymazywania i poszczególnych ludzi i całych ludzkich grup, całych narodów.

Boryka się ze swym wierszem w jakimś świecie, który jest jeszcze do wyjąkania w tych nieopisanie trudnych warunkach różnych ostatnich i pierwszych, w dobie, kiedy czołowi filozofowie epoki zastanawiali się wraz z twórcami nad pytaniem, czy w ogóle możliwa jest jeszcze jakakolwiek twórczość, a na dodatek pojawiły się także zagrożenia z kręgów biologii i równocześnie przerażenia płynące z niepojętości kosmosu oraz groza egzystencjalna. Wszystkie te czynniki jęły się mieszać ze sobą w istotny sposób w coś trudnego czego nikt do końca nie potrafi opisać i ogarnąć, bo prawdziwą retoryką, tutaj tylko retoryka jąkana.

Kiedy czyta się Celana w takim kontekście, nie wolno nigdy zapomnieć o głębokim podłożu osobistym jego twórczości i o jej zapleczu, na co składają się owe stale przenikające się trzy kręgi zaiste piekielne: krąg holocaustu, Archipelagu Gułag oraz najszerzej rozumiana problematyka towarzysząca wszelkim prześladowaniom, wygnaniom, emigracji czy banicji oraz wszystkim poniżaniom, czystkom etnicznym i poniewierkom.

Te i inne pole znaczeniowe związane z historią jego życia, ściśle powiązane z jego własną biografią i biografią bliskich mu osób rzutują na całość wizji poetyckiej w sposób zasadniczy – niemniej w równym stopniu trzeba też doceniać wszystkie inne, naturalne zazwyczaj, czynniki poezjotwórcze i uwzględniać w odbiorze także tę całą materię twórczą innego rodzaju, składającą się zwykle na poezję i związane z nią procesy (choćby tę złożoną z elementów biologii czy kosmosu, czy niezależnych od nas sił i mocy), które poeta przekształca w strumień sygnałów czy znaków, znaczeń swej nowatorskiej ekspresji lirycznej.



Feliks Przybylak

Z AULEK LITERACKI



Feliks Przybylak. *Paul Celan. Metody i problemy „liryki esencji”*. Wrocław 1992.



Wydana przez Uniwersytet Wrocławski praca Feliksa Przybylaka jest jedyną jak dotychczas porażką na polskim rynku księgarskim poświęconą jednemu z największych poetów XX wieku. Szczęśliwie książka napisana jest z wielką wiedzą i starannością, choć wydana w bardzo niewielkim nakładzie, pozostaje trudno dostępna.

Przybylak ma świadomość, że Celan jest ciągle poetą słabo znanym w Polsce. Zanim skoncentruje się na trudnej, zmierzającej do „coraz większej niepojętości” liryce Celana, zapoznaje czytelnika z podstawowymi wiadomościami o życiu i twórczości poety. Stara się także możliwie szeroko ukazać konteksty i powinowactwa dzieła Celana, zwłaszcza w kręgu kultury niemieckiej. Niezwykle cenny jest

W sytuacji podstawowej typu Celanowskiego, która jest na wskroś nowoczesna w swych zagrożeniach i nadziejach, powstaje siłą rzeczy świat z ageszczonych konstelacji narastający wskutek piętrzących się wokół niesłychanych przeszkód, wynikłych niejako z potworności i byle-ja k o s c i zdarzeń i różnych działań wyrosłych z p o j e c i o w e g o c h a o s u, i przygnębiającej, przyziemnej prozaiczności, a także z kwestionowania poetyki i nauki oraz kolejnych rewizji pojęcia absoulutu w obliczu następujących po sobie z a ł a m a ń a k s j o l o g i c z n y c h. Jest to czas, gdy nie ma w niczym niezakłóconego, jednolitego odniesienia do jakiegokolwiek pola działalności ludzkiej, skazani jesteśmy na b y t o w a n i e t y p u h u b b l e u ' u o w s k i e g o. Według niego ten świat, z którym mamy do czynienia, jest światem, gdzie wszystko w naszym życiu, coraz bardziej odśrodkowo wirując, oddala się od siebie, przyspiesza szaleńczo, nabiera odległości, rozprasza się i rozplywa w zawieruchach lub – mówiąc znów słowami wiersza poety – „w zamieci metafor”, w której ujawnia się prawda, ale z której zarazem ulatuje rzeczywistość.

I tylko idzie stamtąd
*DUDNIENIE: to jest,
że sama prawda
zeszła tu
między ludzi,
w sam środek
zamieci metafor.*

i wzrasta niemal lawinowo NIECZYTELNOŚĆ tego świata. Wszystko robi się dwojakie, wieloznaczne, mimo że na zewnątrz, na powierzchni, wydaje się dziecinnie proste i jasne.

Podjęmowane działania poetyckie pod takim ciśnieniem, w takim natłoku przeważnie negatywnych bodźców, przemieniają się wciąż na różnych piętrach w swoiste metaforyczne paralele podstawowej figury I o s u, jaką stanowiło życie Celana i milionów podobnych mu ludzi, których udziałem stały się hekatombie tego stulecia, a w którym teraz wynurzyło się jeszcze w i d m o g ł o d u i p r z e l u d n i e n i a, a także cicho nadciągająca katastrofa ekologiczna (że wymienię choćby kilka zagrożeń wylaniających się u progu nowej epoki).

Stanowi to niejako dodatkowe nasilenie i wzmożenie problemów i drugą, równie ważną oś i głęboką podstawę, czy też dodatkowe tło jego zabiegów poetyckich w okresie powojennym. W tym zatem planie rodzą się zasadnicze pytania o to, jak wyjść z obezwładniającej sytuacji WIEŻY BABEL p r o b l e m ó w, w których – zdaniem poety – drążymy nasze codzienne labiryntowe dukty i ścieżki pełne przeszkód, zaskoczeń i pułapek.

W prowadzonej tu poetyckiej przepychance ku jakiejś odrobinie pewności chodzi o utrzymanie, pośród stale przepoczwarzających się tematów, przynajmniej najdrobniejszej nadającej się na podstawie przesłanki, choćby miał to być tylko ten impuls, który dawałby ledwo cień nadziei jakiejś równowagi wśród nieopisanych sprzeczności.

I to właśnie chce się jakoś osiągnąć poprzez wiersz, dzięki wierszowi. A trzeba przy tym pamiętać, że tworzy on niejednokrotnie świat na g r a n i c y k o m u n i k a c j i i nic go nie zadowala, stąd obrabia swoje zasadnicze tworzywo, obłożone ową przysłowiową chmarą nących nas bezustannie p r z e k l e t y c h p r o b l e m ó w epoki (by posłużyć się tutaj poręczniejszym sformułowaniem Dostojewskiego). Siłą rzeczy krąży więc w końcu w pewnym momencie wszystko pośrednio wokół zagadnień etycznych niemal w każdym słowie, przede wszystkim zaś maniackalnie – wokół tego jednego pytania: j a k „w y b i ć s i ę” n a c z ł o w i e c z e ń s t w o w oblegającym nas rozgardiaszu wszechświata.

Tak więc z Celanowskiego przecucia

„świata nie ma
muszę cię dźwigać”

(pod „Wielkim sklepieniem żaru”)

powstaje wiersz rozumiany jako część serii różnych stopni dążenia do tego typu doskonałości, okupionej bezgranicznymi formalnymi wyrzeczeniami, którą przenika męcząca świadomość, że nie ma to tej pory wiarygodnego opisu i wyrazu rzeczywistości, i z wiarą, że można się do niego zbliżyć tylko etapami i że wszystko spychane jest do stanu coraz bardziej uskromionego.

Świata nie ma, ulotnił się w „z a m i e c i m e t a f o r”.

SĄ więc tylko jego resztki, strzępy, szczątki, które trzeba sensownie poskładać. Stąd, sugeruje, konieczna jest jakaś rekonstrukcja, choćby miała nawet być niedoskonała. Czegoś trzeba się bowiem uchwycić, żeby nie zginać, bo choć pozornie wszystko wygląda dość niefrasobliwie, w gruncie rzeczy chodzi o być albo nie być. Stąd wierszowi może służyć nawet retoryka jękania, jak mówi o tym wiersz: „Ten świat do powtórnego wyjąkania”.

Za pomocą wiersza poeta stara się osaczyć, ułagodzić łęki współczesne człowieka, gdzie wszystkie tu już wspomniane problemy rosną, wyolbrzymiają się, przechodzą w jakieś hybrydalne, własne karykatury, ale i przecucie ustania grozy oraz poszlaki dalekich sensów

Te resztki słyszenia, resztki widzenia

sala sypialna, tysiąc i jeden

dzień w noc

ta niedźwiedzia polka

przeuczają cię i znowu jesteś:

on

nim wejdiesz w bezmiar uspokojenia i dystansu.

Zrozumiałe w tej sytuacji staje się to, że jedyne oczywiste cząstki rzeczywistości, które nam pozostały, to te jakieś małe moduły, słowa, półsłowa nawet, resztki świata rzeczywistego i na nich to trzeba się oprzeć, bo tworzą teraz kruchy fundament wiersza-próby, wiersza-brulionu, wiersza – jako jeszcze jednej wersji przyszłości, a więc tego wiersza będącego niejako w drodze, który „przeciemnia się”, który jest „pod musem światła”, od „już nie” do „jeszcze nie”, jak wyznaje Celan w zarysie swej poetyki *Meridiane*. Ale, wiemy to i z samych wierszy poety, słyszeliśmy:

*GÓRA, Bezszelestnie, owi
waganci: sęp i gwiazda.*

*Dołem, po wszystkich, my,
dziesięciu według liczby, lud piachów.*

(...)

*(Opowiadaj o studniach, opowiadaj
o wieńcu studni, kole studziennym,
o izbach studziennych - opowiadaj.*

*Licz i opowiadaj, zegar,
on również, przepływa.*

*Wody: jakie
słowo. Życie, rozumiemy cię).*



Feliks Przybylak

ZAWŁEK LITERACKI

aneks zawierający przekłady słynnych tekstów Celana (*Przemówienie z Bremy, Meridian* oraz *List do Hansa Bendera*). Bogatą zawartość książki dopełniają wypisy ważniejszych głosów krytyków i pisarzy o Celanie (m.in. Horsta Bienka, Karla Krolova, Marie Luise Kaschnitz, Hansa Georga Gadamera), kalendarium oraz bogata bibliografia.

(kris)

Czy nie stąd przychodzą więc i dlatego łamane, przelamywane, czy wręcz zamierające rytmy, aluzje, ćwierć i półtony, elipsy, anafory, układy zmontowane, deformacje, metaforyczne kolaże, neologizmy, które – ile ich tam by nie było, wszystkie razem wzięte zdają się wyrwać dla nas jakiś okruczeństwo rzeczywistości, by podbudować

*TEN ŚWIAT DO POWTÓRNEGO wyjąkania,
w którym w gościnie
byłem, więc będę, jakieś imię
wypocone sphywa po murze,
na którym rana liże się wzwyż*

a na razie tylko pewne jest to, że jeżeli świat typu Hölderlina, np. był jeszcze w pewien oczywisty sposób zdrowy, a tylko język chory, jako że:

*Bliski jest, ale trudny do uchwycenia
Bóg*

jednakże, gdy pojawia się groza, nadchodzi też ratunek, jak oznajmia on wszem i wobec właśnie w hymnie *Patmos*.

Jakże odmiennie dzieje się to u Celana w 150 lat potem w *Tenebrae*

*Blisko jesteśmy, Panie
blisko i uchwytynie
(...)
Módl się, Panie,
módl się do nas,
blisko jesteśmy.
(...)
Twój wizerunek rzucisz nam w oczy, Panie.
Oczy i usta stoją tak puste na oścież, Panie.
(...)
Módl się, Panie
Blisko jesteśmy*

zawoła poeta w bluźnierczej rozpacz, w wierszu *Tenebrae* i zapyta przerażony, co znaczą

*te głowy potworne, to miasto,
które budują poza szczęściem
w miejscu –
gdzie poza siebie wystają.*

Widać jak na dłoni, że życie wiersza, które kiedyś było ugruntowane w klasycznej, tak samo jak nieco później w nowoczesnej tradycji, w obliczu naporu rzeczywistości spotworniało.

Życie właściwe stało się już w nim prawie niemożliwe do opisanego w kategoriach pełnej powagi. Tylko ironia, groteska, sarkazm i światoburcze tony, podważające dotychczasowy status wiersza, wychodziły z tego jakoś obronną ręką.

Zaistniała sytuacja, gdzie chory jest nie tylko świat (jak to było jeszcze u Hölderlina), ale i język jest nie tylko chory, lecz także się rozsypuje na różne cząstki i partycule, rozpada się i obumiera. Jest odtąd z tym wszystkim chyba trochę tak lub podobnie, jak mówił Heisenberg w swoim wykładzie nowo-

jorskim z roku 1975, że wyrażać musimy coś, co jest nieklasyczne, w terminach klasycznych, bo tymczasem nie ma innego języka.

Zgodnie z tego typu sugestiami jest prawda, że każdy wiersz Celana w nieco innym rozumieniu istnieje też jakby w tym właśnie p o d w ó j n y m s e n s i e jako pewna całość oraz umieszczona jako część równocześnie w szerszym wielopłaszczyznowym ciągu zjawisk wyrażanych w złożonym z całego szeregu komplementarnych wobec siebie zbiorów poetyckich połączonych w s p ó ł n ą t o n a c j ą p o d s t a w o w ą. Ta z kolei wyznacza ciężenie wszystkich elementów ku wewnętrznej spójności dzieła, które dopełnia się i dokonuje p o d m u s e m ś w i a t ł a, na drogach pośrednich docierania do prawdy (na tysiące sposobów). Każdy wiersz jest dowodem na to i tym samym wyraża horyzont jego możliwości.

Ale w sytuacji lirycznej, obwarowanej tyłoma ograniczeniami, każdy utwór nabiera cech pewnego niedosytu i dopowiada nieustannie coś do zastanego stanu wiersza, do pozycji jego wewnętrznej rzeczywistości, czy jej braku budowanej zawsze „tu i teraz”.

Towarzyszą mu więc „od progu do progu,” gdy walczy „o zmianę oddechu”, roztrzaskane fragmenty, resztki substancji itd., gromadząc w ten sposób to niezbędne minimum jego funkcji życiowej, w obrębie aktualnego układu wszechrzeczy, więc powodują nim jedynie imperatywy nijak już niezbywalne w życiu, bo wszystko inne zawiodło. Same resztki, odpryski, ułamki rzeczywistości stają się tak jego wątpliwą ostoją, choć zdają się składać w jeden obraz złożony ze zróżnicowanych niezwykle stopni i pięter destylatów i fragmentów o postaci zarazem znaczenia i nieznaczenia znaku i nieznaku itd., szczególnie w późniejszej twórczości, jako że wszystko „j e s t p o d w ó j n e” i babcze się w szczątkach ta całość, która jest nią tylko z domysłów w tym czymś, w tym jakimś środowisku liryzmu, w objawianiu się nieustannym i niesynchronicznym, w ramach co najmniej trzech optyk odbioru obrazów świata zdezcelowanego o d s e n s u i d o s e n s u r o z w a h a n e i nieruchome zarazem.

Powstaje teraz, i etapami w wierszu ugniata się poprzez skrót myślenia, zagęszczenia struktury i redukcje słów, coś na kształt kuli śnieżnej (znaczeń? znaków?), bądź narastającej mgławicy metafor, gdzie gromadzą się i zalegać zaczynają i padając, rozkładają się i toną w obszarach bez miary te jego ciżby poziomów, szeregów, liczb, kręgów, obszarów – nim na „Polach” zapadną się w pokładach tych wierszy z wyrazem bezbrzeżnej samotności i pustki z drugiej strony.

*NASYPY kolejowe, pobocza
dróg, puste place, żużel
(...)
ta brama godzin i
jej łoskot –*

napisze w *Nasytach*, a do wiersza *Pola* przywoła bezmiar pustki krajobrazu zarówno zewnętrznego, jak i wewnętrznego, aż będzie tylko:

*Zausze ta jedna topola
na krańcach myśli
zausze ten palec, co sterczy
na miedzy*

w bezbrzeżnej pustce mnogości (by użyć oksymoronu), bo wszystko tu „zapazurzyło się” w porządku sprzeczności.



Feliks Przybylak

Z AULEK LITERACKI

Formy, które pojawiają się w takich okolicznościach poecie, są paradoksalnie obsesyjnie natarczywe i przybierają chwilami nawet charakter wybujałych przerostów i deformacji słowa, także postać słów kalekich, które zdają się zamierać w konających, zakłóconych rytmach (jak choćby w końcówce wiersza: *žadnej sztuki piaskowej więcej*)

*Nie wygrane. Ile
niemych?
siedemnaście. (...)
Lity śnieg
I tyś nie
t-y-e.*

W zasadzie nie ma tu już słowa nośnego, bo zarówno słowa jak i świat pomieszały się. Pada ostatecznie bariera między słowem i światem. Słowo jest na granicy paplaniny a świat – chaosu. I to właśnie stanowi fundamentalną różnicę w stosunku do tradycji. S ł o w o j u ż s a m o z s i e b i e n i e n i e s i e. Trzeba je do tego zmusić, czy zwabić, trzeba na nie czyhać – ale i pielęgnować, jak w *Nocą spowite*, ale co to za pielęgnowanie

*Słowo – no wiesz, takie zwałki.
Daj nam je umyć,
daj nam je czesać,
daj nam ich oko
zurócić ku niebu.*

Dawne świetności i splendor wiersza zniknęły, lub zamieniły się w swoją odwrotność, w potok banałów.

Częstokroć pozostały same kikuty bądź przerzuty i upodobniły się do znaczeń w innych słowach, kontekstach, aksjologiach lub sensach retorycznych, niż dawniej i zredukowane zostało niemal do kształtów nieistnienia, jakby narosłe na obcych sobie strukturach tego, co całkiem inne.

Tu wiersze, zwrotki, nicotki, kręcą się i obracają niczym rozwirowane obiekty w ruchu kolizyjnym, w świecie spiętrzonych sprzeczności różnego rzędu i różnych wymiarów, bo i te stają się niepewne. Jest to obszar, gdzie permanentne zdają się być kolejne ucieczki a t o m u D e m o k r y t a, czyli czegoś dalej już niepodzielnego i pewnego.

Tak spadają następne maski, walą się kolejne fasady tożsamości i jest tak, jakby temu nigdy końca nie było.

*Bo tysiąc, to jeszcze nawet
nie j e d e n*

– jak pamiętamy.

Jak widać, są to wiersze, które wciąż zmagają się z pewnym powikłaniem, k ł ę b o w i s k i e m fundamentalnych splotów trudności, stanowiących niewątpliwie spory segment obecnej epoki. I tu jest chyba to miejsce właśnie, gdzie zabrnęliśmy wszyscy po trosze na drodze (czy bezdrożach raczej) do stadium k o ń c a j a k i e j k o l w i e k p e w n o ś c i (mówiąc terminami Prigogine).

Załamuje się stopniowo mit brania za coś oczywistego jego uniwersalnej nośności i siły wyrazu pod dotychczasową postacią. I to stanowi przełom Celanowski, że teraz trzeba walczyć o niego „w tych szumach co są jak nasz początek”.

Trudności rodzą się paradoksalnie z natłoku nie trzymany już jakby na wodzy wyrazów, których z drugiej strony jednak wciąż brak, które dlatego właśnie – bo gdy bliżej im się przyjrzeć, są to te, w pewnym stopniu niewłaściwe – umieszcza się częstokroć „w skrajnych pozycjach t o s o w n o ś c i” (używając terminu Arystotelesa).

Tego typu epokowa sytuacja liryczna wiedzie w nieunikniony sposób również do gigantycznych kolizji wiersza nowoczesnego z rzeczywistością. Ten wiersz do tej pory posługiwał się pojęciem *absolutu* lub jakimś jego wyobrażeniem, na którym kończy się niechybnie imperializm wczesnej moderny.

Procedura ta zagęszcza nierzadko ilość elementów do granic wytrzymałości i czytelności, a potem znów, w przeciwdziałaniu do gwałtownych erupcji (na r o z w a h a n y c h s k a l a c h wyrazu), w wydmach, zaspach, zatorach, korkach, odpadach, jak to wielorako i niezmordowanie oraz pomysłowo i coraz to inaczej nazywa Celan.

Same słowa wieloznacznieją, i kubizują się ich właściwości, wskutek zablokowanej, zastopowanej na wiele sposobów *katharsis* lirycznej – bo takie właśnie określenie stanu rzeczy (i stanu epoki) ciśnie się tu na usta.

Inaczej jeszcze, są to więc utwory znajdujące się nieustannie w różnych położeniach podmiotu lirycznego, który raz spada, to znów upada, wznosi się, leci, żeby znów po chwili pelzać, zanikać, maleć, przeciemniać się uderzając o „Redewende” (Ściany mowy) – bez końca. Więc ostatecznie wszystko wiruje, mnoży się, mrowi i zarazem tkwi jak zamarłe w oparach bez ruchu, samotne bezbrzeżnie, bez powiązania z czymkolwiek, w tym, co wyraża figura losu poety i milionów innych ludzi w podobnej sytuacji życiowej, epokowej, kosmicznej, gdzie nie sposób wyrazić czegoś w jednym tylko podejściu do rzeczy.

U Celana dopełniają to wszystko poza tym jeszcze „chwilówki”, czyli jakby formacje potencjalne słowa, powołane do życia dla doraźnych celów konkretnego wiersza i podkreślenia tymczasowości tego, co się wyraża, ale i dlatego, że takie słowa są niczym nieskażone. Ale czego się nie robi, by odblokować zakorkowany tok liryczny. Powstaje swoista i szczególna, napięta pod każdym względem, sytuacja liryczna. Bo pamiętamy, tu nie pracuje się już z *absolutem*, lecz z *niepojętością* w środku, gdy mamy więc równocześnie:

„Złoto w zwęglonych dłoniach” (Chymicznie)

i „Ściany mowy”

i „Jamy słów”

i wszystko stoi jakby nie powiązane obok siebie a jednak obok i nie wiadomo od czego zaczynać w położeniu, gdy istotnie wydaje się tu być tylko:

rozpisana trawa

i dłoni, z której możesz czytać

to właśnie jest tu, gdzie w coraz wyższym stopniu wszystko się *rozumi*e s z a ł o z tej całości na części, nierzadko w chwilowe cząstki, partycule i odpryski, okruchy, które synonimicznie stają i świadczą z a d a w n a c a ł o ś ć poezji, za absolut, wprzężony w niepojętość, której nie sposób ogarnąć, nieobliczalną w swej naturze, co weszła tu niejako tylnymi drzwiami.

Więc w tym, co Celan nazywa istnieniem w świecie Hubble'a, trzeba mu czyhać, stać na czatach, by upolować nieco rzeczywistości poprzez wiersz uwikłany w wyobrażeniu samych odwrotnych proporcjonalności w świecie niesamowitych, potwornych, niewyobrażalnych odległości i przyspieszeń zarówno w wielkim, jak i małym, i wśród opisów tych niezmiernych obszarów, wypełnionych całą mnogością niewiarygodnych skrótów myślowych tam,



Feliks Przybylak

Z AULEK LITERACKI

gdzie znaczenia w jakimś szczególnym sensie stały się nieobliczalne (i niepoliczalne), mimo absolutnej precyzji i władzy liczby, bo r o z m i e - s z a n e rozprysły się obowiązujące dotychczas miary rzeczy.

Dopiero na tym piętrze skubizowania przestrzeni i punktów widzenia, „zapazurzonych” w czasie i wieczności, dzieje się naprawdę Celanowska akcja liryczna i przebiega równocześnie na osmotycznym styku progów sfery mentalnej i egzystencjalnej o niezwykle rozwiniętych wyczuleniach na zagrożenie, które w wypadku naszego poety jest mu niejako dane, przypisane jakby z nadania natury obecna w jego wierszu, bo nie powstaje dopiero, jak to zwykle bywa, poprzez czytanie jedynie, zgłębianie kultur czy zwiedzanie zabytków, choćby najpiękniejszych.

Jego akcja jest wielowymiarowo złożona w sposób naturalny i bierze swój początek w skomplikowanym tyglu kultur, jakim była Bukowina dzieciństwa i młodości poety.

Jednym słowem, jego wędrujący, koczujący wiersz w takim porządku rzeczy musi bezustannie balansować na granicy t e g o , c z e g o j u ż n i e m a i t e g o , c z e g o j e s z c z e n i e m a , j a k o w y r a z , w określony sposób hybrydalnej w swym nowym charakterze epoki, jak ją musiał widzieć poeta, uginający się pod jej razami i ciosami.

To zaledwie jednak jedno tylko pasmo Celanowskiego świata lirycznego, cząstka tego, o czym by tu można powiedzieć. Ale w tym oto mniej więcej kierunku, wychodząc z wieży Babel naszego wieku, zmierza poetyckie myślenie Celana. Zawsze poza tym można spojrzeć na zjawisko jego poezji również i z innej, z pewnością szerszej strony. Byłyby to choćby rozważania przede wszystkim z perspektywy religii, filozofii, kultury, historii, kontekstów literatury itp. Można by przeprowadzić też analizę na poziomach stanów świadomości, sferze podświadomości lub mentalności z wielu punktów widzenia.

Pierwotnie jednak wiersze te wyrosły, powtórzmy jeszcze raz, w kręgu holocaustu, Archipelagu Gułag i tym, od którego wszystkie lęki się wywodzą; od lęku, który, idąc za myślą Kierkegarda, rodzi się za każdym razem w tej czeluści między skończonością naszego bytu a nieskończonością świata, co nas stale szokuje, jakby wciąż od nowa, w najbardziej niespodziewanych chwilach.

Nieczytelność płynąca z tych uwikłań stale narasta i całość wciąż umyka, mimo ogromnej wiedzy; w szczegółach na wielu poziomach naraz wszystkie pojęcia i zjawiska, słowa i czyny robią się niejednoznaczne. Zaiste wszystko jawi się w swej podwojonej naturze i pomnożona w tylu ubocznych znaczeniach jest:

*NECZYTELNOŚĆ tego
świata. Wszystko dwojakie.*

*Krzepiące zegary
przyznając rację strzaskanej godzinie
zachbryły.*

*Ty, wciśnięty w to co najgłębsze,
wydostajesz się z siebie
na zawsze.*

Dzieło Paula Celana (zaprzyjaźnionego z Nelly Sachs, Ingeborgą Bachmann i Reneu Charem) znalazło się w centrum uwagi takich myślicieli epoki, jak Heidegger, Gadamer, Adorno, Szondi, Blanchot czy Allemann, żeby na nich bodaj poprzestać. Tłumaczone na wiele języków, z wpływem lat zyskuje na znaczeniu i nabiera coraz szerszego rezonansu.

Miejsca Paula Celana

Trudno o miasto w większym odaleniu niż Czerniowce; graniczący tuż-tuż z imperiami carskim i osmańskim, owiany cyrylicą i trawą podolsko-wołyńskich stepów wschodni przyczółek monarchii habsburskiej. W roku 1849 Bukowina, której stolicą były Czerniowce, stała się odrębnym od Galicji, autonomicznym krajem koronnym podległym cesarzowi. W roku 1867 zaś, wraz z emancypacją Żydów, rozpoczął się „złoty wiek”: w Czerniowcach, zamieszkiwanych przez same mniejszości, sześćdziesiąt procent ludności stanowili Żydzi.

Pośród przeszło stu tysięcy mieszkańców miasta obok Rumunów, Rusinów (Ukraińców), Polaków i Niemców występowały też drobniejsze mniejszości, takie jak Huculowie, Lipowianie, Cyganie. Niemiecki był językiem potocznym nie tyle za sprawą dziesięciu procent Niemców (imigrantów ze Szwabii, mieszkających na rolniczym przedmieściu zwanym Rosch), ile Żydów: to oni byli siłą napędową rozwoju gospodarczego, oni mieszkali w śródmieściu, mieli tam swoje biura i prowadzili sklepy. Ustawowe równouprawnienie w roku 1867 dodatkowo zachęcało Żydów, by asymilować się do istniejących warunków i mówić po niemiecku; tylko prostsze warstwy żydowskie mówiły jeszcze w jidysz.

Ów odległy świat to przede wszystkim świat kultury – świat odrębnej, zanikłej tożsamości. Mieszczanństwo, złożone prawie wyłącznie z Żydów, określało się i legitymowało swój status głównie przez urozmaicone życie kulturalne. W kawiarniach leżały dzienniki wiedeńskie i praskie; najznamienszy lokal przy Ringplatz, „Czarny Orzeł”, reklamował się, że abonuje ich sto osiem. Także i w samych Czerniowcach ukazywało się kilka gazet po niemiecku. Ta swoista kulturowa hegemonia odległego o osiemset kilometrów Wiednia wyłoniła swoistą, odrębną niemieczną: daleką enklawę językową poza obszarem węgierskiego, rumuńskiego i języków słowiańskich.

Nie dochowały się świadectwa żadnych konfliktów narodowościowych, nie było też znane pojęcie „społeczeństwa wielokulturowego”. Biskup pra-



Gruss aus Czernowitz. Café Habsburg und Hotel Belle-Vue. Poczтівка wydana przez Leon König Verlag w Czerniowcach. Wysłana 18 listopada 1901 roku na adres: W. Pan Szymański, Schodnica, Galicya; dotarła 19 listopada 1901 roku.



Gruss aus Czernowitz. Musikverein u. Hormuzakigasse. Poczłowska wydana przez Anna Fischer Verlag w Czerniowcach w 1900 roku.

Wyslana na adres: Wolgeboren Adalbert Frohlik, Musik-Unteroftizier, K.u.K. Infer. Rgmt. 32, Budapest.

imperium habsburskiego, zrodzily wiekszość dzieł niemieckojęzycznej literatury bukowiniskiej, porównywalnej swojå spójnością językową z językiem Żydów praskich. Tak jak tam Franz Kafka, tak tu Paul Celan stanowi postać na miarę stulecia, przyćmiewającą środowisko literackie, z jakiego się wywodzi. Postać taka, która nie mogłaby zaistnieć bez pewnego środowiska, pozwala je dopiero dostrzec wraz z całą jego prowincjonalnością; korzenie poezji Celana zaczęto dostrzegać dopiero kilka lat temu. W roku 1940 brutalnie wkracza historia: najpierw Armia Czerwona, potem naziści niszczący żydowskość miasta; wreszcie w roku 1944 ponownie Armia Czerwona – i przestają już istnieć Czerniowce.

Czerniowce to mały, samoistny kosmos, kultura miejska, fascynacja kawiarniami. Duch miasta miał wpływ na Paula Celana, ale także na Rose Ausländer i Gregora von Rezzori; stamtąd pochodzą rozdrażniony psychicznie Wilhelm Reich oraz Ninon, kobieta, dla której w końcu stracił głowę Hermann Hesse. Katalizatorem życia literackiego zaś, jakim w nieosiągalnej metropolii wiedeńskiej przełomu wieków był Hermann Bahr (który, nie licząc się samemu jako pisarz, we wszystkim maczał palce i organizował wciąż nowe akcje) był w Czerniowcach Alfred Margul-Sperber. W lutym 1929 roku Karl Kraus w swoim piśmie „Die Fackel” napisał, że Sperber w Storożyńcu koło Cernauti „pilnuje spraw kultury sumiennie, niż dzieje się to gdziekolwiek od Berlina po Wiedeń”.

I podobnie jak w Wiedniu przełomu wieków, tak również w Czerniowcach lat trzydziestych, kiedy to monarchia habsburska zdawała się raz jeszcze osiągać wewnętrzną harmonię, wszelkie ciągoty artystyczne skupiały się niemal wyłącznie na najwznioślejszym ze wszystkich gatunków – na poezji. Żadnego długiego oddechu na powieść, zwłaszcza powieść wielkomięską; żadnych pogaduszek dobrych na deski miejskiego teatru. To liryzm wyrażał w stężeniu pewien rodzaj przeżyć, pewną atmosferę kulturową – wyobcowany świat w stanie podrażnienia.

Poezja była też oczywiście prawdziwym światem ekspresji dla młodego Paula Celana. Nad prasą i księgarniami Czerniowiec zdawał się z odległego Wiednia dominować Rilke; we wczesnych wierszach Celana przeszedł można linijka po linijce przyswajanie rilkowskiego tonu, kolorystyki i obrazowania:

wosławny Repta, katolicki prałat Schmidt i nadrabim dr Rosenfeld przyjaźnili się, tworząc głośną w mieście „trójlistną koniczynę”; podczas pierwszej wojny światowej arcybiskup Repta ocalił przed Kozakami zwoje Tory z synagogi. Paul Celan, najsłynniejszy syn Czerniowiec, urodził się w roku 1920 – już w Rumunii, której w roku 1918 przypadła Bukowina. „Cernauti” jednak, mimo wszelkich prób romanizacji, mimo że znalazły się na rumuńskiej prowincji, do 1940 roku pozostały mówiącym po niemiecku miastem żydowskim. Dopiero lata międzywojenne, które w językowej diasporze przyniosły późny wykwit

*Dotyk dryfując nie odwiedzie ręki,
nocą zasiana zaś nostalgia z drżeniem
zanosí biedy modlitw przed czerwieniem
w twarzy twojej, mrocznej i ściągniętej łękiem.*

Formacyjną lekturą jego młodości musiał być *Kornet* Rilkego, którego echa pobrzmiwają jeszcze w tomie *Mohn und Gedächtnis*. Pierwsze poezje Celana cechuje elegijność oraz późnoromantyczne nastroje, pewna oniryczność, zaświatowość, w której odbija się rezygnacja, i w której miłość zawsze oznacza daremność. Rilkowska fraza zdaje się nakładać na wszelkie jego czerniowieckie próby poetyckie. Stale obecny jest u młodego Celana ów sposób słowno-emojonalnej aranżacji barw: porównania z „jak”, przerzutnie, metaforyczne kojarzenie konkretnego z abstrakcją niczym w *Modlitewniku*; i czasem, w rymach końcowych, wers jak u Rilkego wybrzmiewa trybem warunkowym.

Ton zasadniczy, jakim jest miłość połączona z rezygnacją, mógł wynikać także z uczucia do aktorki teatru żydowskiego, Ruth Lackner – jednak nie tak wyłącznie i jednoznacznie, jak sugeruje to Israel Chalfen w szczególnej biografii młodego Celana. Przy wszystkich zasługach tej książki widać miejscami, że pisał ją psychiatra.

Edith Silbermann, przyjaciółka Celana z lat młodości, wskazuje na wpływ, jaki na młodego poetę miała rumuńska *doina*, śpiewka ludowa złożona z zawsze tych samych tekstowych cegiełek. Ojciec Edith, filolog klasyczny i germanista, miał jeden z największych w mieście prywatnych księgozbiorów. To tam Celan natknął się między innymi na opowiadania Kafki z tomu *Lekarz wiejski*; i Kafka, jak Celan wyznał Ruth Lackner, zwłaszcza w późniejszych latach stał się dla niego codzienną lekturą.

To, że dorastająca młodzież z kręgów żydowsko-mieszczarskich prowadząc zbiórki na rzecz „Czerwonej Pomocy” spotykała się nielegalnie w komunistycznej organizacji młodzieżowej, wydawało się przy ówczesnej atmosferze wręcz oczywistością; komunizm był tu przede wszystkim drogowskazem intelektualnym. Sposób, w jaki młodego Celana charakteryzuje Ruth Lackner pozwala się domyślać, na jaki grunt padną późniejsze doświadczenia: „Czasami nie tylko dyskutowano, ale i śpiewano pieśni rewolucyjne albo pieśni lancknechtów. Nieraz też rozbawieni tańczyliśmy hopaka. Paul bywał bardzo wesoły i rozbrykany, ale często potrafił nagle całkiem zmienić nastroj; robił się wtedy zadumany i zamknięty w sobie albo wpadał w ironię i sarkazm. Jak instrument, który łatwo rozstroić, był mimozowato wrażliwy, narcystyczny, próżny; a kiedy coś go raziło albo ktoś mu się nie spodobał – nietolerancyjny i nieskory do jakichkolwiek ustępstw. Często przez to miał opinię zarozumiałego”.

Ruth Lackner zaś w biografii Chalfena opowiada: „Przy całej jego elokwencji często uczucia brały nad nim górę; wtedy nagle milkł, by zaraz się pożegnać, a później samemu dostarczał liścik, w którym dopowiadał resztę”.

*

20 czerwca 1940 roku oddziały radzieckie wkroczyły do Czerniowic i pozostały tam przez rok – do chwili najazdu Hitlera na Związek Radziecki, kiedy nie zdołały już utrzymać północnej Bukowiny. Już pod ich zarządem zesłano na Syberię tysiące mieszkańców miasta. Największa jednak katastrofa nastąpiła dopiero w lipcu roku 1941, kiedy wkroczyły wojska rumuńskie pod dowództwem Niemców. Rozpoczęły się wywózki, zorganizowany mord; powstało getto.

Kluczowe zdarzenie w życiu Celana dokonało się latem 1942 roku, kiedy wywózki do zadniestrzańskich obozów karnych odbywały się z końcem tygodnia. Celan zawczasu wynalazł kryjówkę, nie zdołał jednak namówić rodziców, żeby razem z nim poszli się schronić.



Helmut Bottinger

Z AULEK LITERACKI



Gruss aus Czernowitz. Stadttheater (Teatr Miejski przy Placu Teatralnym). Pocztówka wydana przez Leon König Verlag w Czerniowcach ok. 1914 roku.

albo Lenzkirch. Choćby jeszcze ożywiano wspomnienia, choćby zadzierzgiwano więzi, nie sposób odtworzyć obrazu całości. Ta zagadkowość rzuca nieznamy blask na literacki pejzaż Bukowiny niczym na fantasmagorię, której uwarunkowania historyczne dawno znikły nam z oczu.

To Żydzi stworzyli ową eksterytorialną literaturę w języku niemieckim; i to ich zabijali ludzie, w których języku owi Żydzi pisali. Trudno dzisiaj patrzeć na scenę Czerniowców lat trzydziestych bez wiedzy o zagładzie Żydów; ówczesnym autorom jednak nic takiego nie jawiło się na horyzoncie. W roku 1935, kiedy Moses Rosenkranz pisał: „niemiecka żywość, niemiecka dusza”, w tak zwanej „Rzeszy” dawno zdążyła objawić się nader konkretna strona owej niemieckości. Na zacisznej Bukowinie jednak pracowano nad tą kulturą niemiecką, która wciąż jeszcze zapatrzona była w człowieczeństwo – jaką przejmująca jednoczesność.

To, że pisarze czerniowieccy pisali po niemiecku, jest też przyczyną tego, że poszli w niepamięć, że ich kultura przestała później istnieć. Z myślą o planowanej antologii pod tytułem *Die Buche* (Buk) poszczególni autorzy dostarczyli notki biograficzne, które ukazują problem poczucia tożsamerowości niemiecko-żydowskiej: zasymilowani Żydzi nie chcieli dać się zaszeregować do „literatury żydowskiej”, ludzie mieszkający w Wiedniu albo Bukareszcie dystansowali się od przynależności do Bukowiny, niektórzy nie chcieli tracić możliwości publikowania w Rzeszy Niemieckiej. Nie istniała jednolita tożsamość bukowińska, choć dla emigrantów Czerniowce pozostawały częstokroć magicznym punktem orientacyjnym. Rose Ausländer na przykład, po wyjeździe do Nowego Jorku z pierwszą falą emigracji na początku lat dwudziestych, wróciła do Czerniowców, by znów emigrować do Nowego Jorku w późnych latach trzydziestych; i jeszcze w roku 1939 znalazła się tu ponownie, jak gdyby chcąc stawić czoło losowi.

W odosobnieniu, dzięki posthabsburskim kanałom, w swoistej łączności z pewnymi prądami kulturowymi płynącymi tysiąc kilometrów dalej, Czerniowce lat trzydziestych wykształciły przede wszystkim tradycjonalistyczno-metaforyczną poezję. Na ogół pozostała czymś prowincjonalnym; była jednak pożywką dla Celana. Jego wyjątkowość przejawia się w tym, że na tle otoczenia zyskuje on własny ton poetycki, że wyłamuje się w obszar wiersza wolnego i znajduje drogę do nowoczesności.

Wpływy czerniowieckie u Celana stały się przyczyną zgorznienia i zwykłej dla germanistów ekscytacji – zwłaszcza, gdy idzie o *Fuge śmierci*. Zdołano się w niej bowiem doszukać pogłosu wielu cudzych wierszy. Po tym najlepiej

Wróciwszy w poniedziałek, zastał drzwi zaplombowane.

Rodziców zamordowano w Michajłowce. Paula Celana aż do lutego 1944 roku wcielono do obozu pracy w Tabaresti koło Buzau; później mieszkał jeszcze rok w Czerniowcach pod władzą radziecką, po czym wyjechał.

Życie w Czerniowcach, enklawie habsburskiej na rubieżach, przez jego radykalne przecięcie w roku 1941 stało się snem obroconym w przeszłość. Kulturę czerniowiecką rozwiało na cztery wiatry; etapami emigracji stały się dla jej twórców Bukareszt, Wiedeń, Paryż, Nowy Jork, Tel Awiw, a także Düsseldorf

widać iskrzenie, jakie w niewielkim czerniowieckim świątku powstało między niektórymi autorami. „Czarne mleko”, słynny Celanowski oksymoron, wcześniej użyty już w 1925 roku przez Rose Ausländer, pojawia się też u innych poetów. W tym kontekście mieści się też wiersz Immanuela Weißgla „Er” (On), który zawiera pewnie sformułowanie uderzająco podobne do Celanowskiego („gdy w dali śmierć niemieckim była mistrzem”). Istnieje też wiersz Mosesa Rosenkranza „Blutfuge” (Fuga krwi).

Uprawiana jakże często przez germanistów zabawa w szukanie plagiatów rozmija się w tym przypadku z istotą rzeczy: w ciasnocie Czerniowiec przerosł wymiany literackiej zrodził jedną sieć metafor i jeden świat obrazów. Wiele wnoszą tu słowa Alfreda Kittnera o „ciągłym przyjmowaniu i przekazywaniu”. Kittner pamięta zresztą, jak w 1944 roku Celan pod żelaznym ogrodzeniem czerniowieckiej katedry arcybiskupiej na Siebenbürgstrasse odczytał niedawno powstałą *Fuge śmierci* (jej powstanie zwykło się datować na rok 1945).

Choć *Fuga śmierci* i wiersz Weissgla powstały pod ciśnieniem tej samej rzeczywistości, jednak już pierwszy rzut oka na nie ujawnia całkowitą odmienność formy: u Celana niezwykle poczucie rytmu, a przede wszystkim świadomość problemu, jakim jest nazwanie po raz pierwszy zagłady Żydów; u Weissgla – tradycyjne rozbicie na rymy. Oba wiersze swoją poetyką stanowią wzajemne przeciwieństwo.

Uciekając przez Bukareszt do Wiednia, Paul Celan ostatecznie pozostawił Bukowinę za sobą. List, jaki 21 kwietnia 1948 roku wysłał do Alfreda Margula-Sperbera, rzuca znamienne światło na sytuację literacką w Czerniowcach: „Coraz wyraźniej, coraz częściej mówię sobie, że publikowanie moich wierszy jest mniej ważne niż pisanie nowych. Czy tam, w domu, miałem taką możliwość? Boję się odpowiadać na to pytanie. Ale chyba jednak koniec końców bym zamilkł!”

(...)

W latach sześćdziesiątych Paul Celan nieraz zastanawiał się nad powrotem do Czerniowiec. W liście do Gustawa Chomeda, przyjaciela z lat młodości, który mieszkał przy dolnym krańcu spadzistej Töpfergasse, pisał w 1961 roku tak: „Nie tylko Töpfergasse była ludzka”. Kraj, w którym żyli ludzie i książki, wydawał mu się czymś realnie dostępnym.

Czerniowce to miasto-wizja. Pod błękitnym habsburskim niebem, zanurzone w migotliwym świetle południa, są miastem z roku 1910. Nieco się ono spatynowało, ale jego fasady, żółte, ornamentalne i stiukowe, tchną duchem Austrii Franciszka Józefa i powieści Josepha Rotha. Całe zabytkowe śródmieście Czerniowiec istnieje jak gdyby nigdy nic. Prowadząca od dworca stroma ulica główna, na której czasem tramwajom wysiadają hamulce, centralny Ringplatz z dzwonnica ratusza z 1849 roku, Herrenweg – korso, po którym niegdyś wieczorami przechadzała się mieszczańska socjeta: nic bardziej habsburskiego.

Stając na Placu Teatralnym, dawnym Elisabethplatz, w jednym okamgnieniu przenosimy się w przełom stuleci. Zwiewny i lekki budynek teatru, wzniesiony przez wiedeńską pracownię architektoniczną Hellmer i Fellner, nie przytłacza ogromem, lecz ma w sobie coś nieważkiego. Nie zajął tyle miejsca, by nie mógł przed nim powstać plac i coś na kształt parku z krzewami róż i ławeczkami zdobnymi w zawijasy. Na lewo od teatru, w którym rozpoczynał między innymi karierę tenor Josef Schmidt, wznosi się Dom Żydowski; za czasów autonomicznego kraju koronnego, jakim była Bukowina, każda grupa etniczna miała swój dom, który służył zgromadzeniom oraz imprezom kulturalnym. Dom Żydowski ma pogodną, świetlistobłękitną fasadę z wieloma ornamentami; orzeł na niej oddaje cesarzowi co cesarskie, a na szczycie frontonu widoczny jest rok: 1908.



Helmut Böttiger

Z AULEK LITERACKI

Na prawo zaś od teatru znajduje się sławny budynek redakcji „Czernowitzer Tagblatt”, klasycystyczny, ale jak całe Czerniowce marzący o południowej zwiewności. Obok, w piwnicy Bukowińskiego Stowarzyszenia Handlowego, wielkie okna pozwalają wyobrazić sobie życie w kawiarni „Cesarskiej”; niewiele potrzeba, wystarczyłoby kilka wystawionych stolików i pojawienie się kelnera, by raz jeszcze Gregor von Rezzori zaczął dłużyć w swoich młodzieńczych wspomnieniach, by znowu Ninon Ausländer pisała wielostronicowe entuzjastyczne listy do Hermanna Hesse, które później doprowadzą do małżeństwa; by Wilhelm Reich przygotowywał się do postawienia nauk Freuda z głowy na nogi. Czerniowce pozostały sobą – bardziej niż Heidelberg.

Dookoła sowiecki zaorany ugór. Miasto ma 260 tysięcy mieszkańców i rozpościera się ponad śródmieściem – ponad starówką pnącą się po wzgórzu Cecina. Pośrodku owych blokowisk, wyglądających tak samo jak na całej Ukrainie, znajduje się też hotel „Czeremosz” – jedyne miejsce, w którym wolno się zakwaterować turystom zagranicznym, wciąż jeszcze z możliwością rezerwacji tylko przez moskiewski Intourist, dziesięciopiętrowa budowla z lat osiemdziesiątych o potężnym wejściu z żelbetu i mąconego szkła. Choćby nawet lato było w pełni, w ogromnym foyer ma się zawsze wrażenie, jak gdyby na zewnątrz padał deszcz.

Hotel „Czeremosz” wydaje się stawką na przyszłość, stawką wciąż jeszcze nie wygraną. Jedyne dziesięciu gości je śniadanie. Mimo to hotel tętni życiem. Jest przede wszystkim miejscem spotkań lepszego towarzystwa z samych Czerniowców – przeważnie młodych ludzi, którzy w owych czasach zamętu wypłynęli na wierzch. Wieczorami w restauracji przygrywa do tańca kapela, której melodie oscylują między ukraińską pieśnią ludową i anglojęzycznymi przebojami z lat siedemdziesiątych. Jednak nagłośnienie jest potężne, ogromna sala wypełniona po brzegi, panie zaś, w barwnych ubiorach z tworzyw sztucznych, osiągnęły platynową jasność włosów niemalym nakładem chemii.

Również i w ciągu dnia porusza się po hotelowym foyer wiele osób, które jak gdyby na coś czekały. Kawiarnia w jednym z odgałęzień foyer jest miejscem spotkań młodych kombinatorów w dżinsowych kurtkach i z podniszczonymi neseserami; toczą się tutaj pertraktacje w nieodgadnionych sprawach, pojawiają się też czasem panie odziane w tworzywa sztuczne jeszcze bardziej obcisłe niż to zwykle bywa. Nadeszły czasy aferzystów i mafii; panuje galopująca inflacja i wszyscy są tak zajęci swoimi sprawami, że nikt nie wie, co począć z nielicznymi na razie turystami. W całym hotelu nikt, a już zwłaszcza kelnerki, nie zna żadnego obcego języka. Nie ma też jadłospisu, przez co jest się zdany na gestykulację i mimikę oraz na zaskoczenie tym, czy aby w najładniejszej nazwie spośród tych wyliczonych przez kelnerkę zawiera się najbardziej jadalna potrawa.

To miasto różni się od tamtego habsburskiego na zбочu poniżej. Jednak dla tych, których miastem są Czerniowce, właśnie tutaj znajduje się centrum, hotel „Czeremosz” zaś zdaje się symbolizować ich pragnienia. Trudno delektować się dawnym śródmieściem. Nie istnieje plan miasta, a w księgarniach znaleźć można tylko dwie książki mogące służyć pomocą: album o Bukowinie i współczesny przewodnik po mieście. W obu książkach, drukowanych jeszcze za czasów Związku Radzieckiego, przebiega дума ze zdobyczy nowych czasów: prezentowany jest hotel „Czeremosz”, stadion i baseny kąpielowe, wiele miejsc poświęcono też historii ruchu rewolucyjnego oraz ukraińskim strojom ludowym. W charakterystyce miasta mowa z pewnym zawstydzeniem, że w śródmieściu jest „jeszcze sporo budynków z dziewiętnastego wieku”; nieliczne ilustracje nie dają o tym pojęcia.

*

Na dawnej Landhausgasse, która przejściowo nosiła imię ukraińskiego politkomisarza Szorsa, a teraz swoją nazwą oddaje hołd kardynałowi Szeptyckiemu, mieszka Josef Burg – pisarz języka jidysz. Urodzony w roku 1912, jest ostatnim pisarzem tworzącym w tym języku, autorem bajek, konynuujących tradycję Icyka Mangera albo Elizera Steinbarga. Steinbarg jest też patronem nowo założonego stowarzyszenia żydowskiego, któremu przewodniczy Josef Burg. W dawnym „Domu Żydowskim”, mieszczącym do niedawna dom kultury pracowników przemysłu lekkiego, a obecnie przekształconym w miejski ośrodek kultury, dwa pomieszczenia udostępniono gminie żydowskiej. Kiedy wchodzimy do budynku, odbywa się tam akurat uroczystość rozdania matur. Ilekroć w wielkiej sali na pierwszym piętrze (wykorzystywanej do imprez także przez gminę żydowską) kolejny uczeń wkracza na podium, by odebrać świadectwo, rozlega się efektowna fanfara instrumentów dętych live.

Na klatce schodowej zachowały się jeszcze szyby z roku 1908 zdobione białymi grawiurami. W balustradzie schodów były niegdyś wprawione same małe gwiazdy Dawida; po wojnie, nie szczędząc drobiazgowej pracy, odpilowano od każdej dwa zewnętrzne trójkąty, przez co zostały już tylko anonimowe romby. Oba pomieszczenia gminy żydowskiej są niewielkie. Co sobotę odbywają się tu spotkania, a ponadto prowadzone są kursy językowe: po jednej stronie wiszą na ścianach mapy i widoki Izraela, po drugiej – rysunki przedstawiające obozy koncentracyjne i wywózki na Bukowinie i Zadniestrzu.

Kiedy w dużej sali Josef Burg obchodził osiemdziesiąte urodziny, przyszło 800 osób. Tyłu jest też mniej więcej mieszkańców miasta Czerniowce, którzy mniej czy bardziej aktywnie dają wyraz tożsamości żydowskiej. Jak twierdzi Josef Burg, Żydów jest dziś w Czerniowcach jeszcze 10 do 12 tysięcy, ale mówią już tylko po rosyjsku i przeważnie się nie udzielają.

Żydzi czerniowieccy kochali swoje miasto. Po wtargnięciu Niemców w lecie 1941 roku większość została, zamiast z Armią Czerwoną uciec do Związku Radzieckiego. Josef Burg należał do tej mniejszości, która przyłączyła się do Armii Czerwonej. Dlatego nie zaznał nazistowskiego prześladowania Żydów; poznał jednak „antysyjonizm” Stalina, następujące na zmianę okresy dyskryminacji i względniego liberalizmu. Dopiero w latach sześćdziesiątych po wielu różnych przenosinach w obrębie Związku Radzieckiego Josef Burg wrócił do Czerniowca.

Pochodzi on z rodziny niezasymlowanej: w domu jego ojca, flisaka i drwala w górskiej wiosce karpackiej, mówiono językiem jidysz. Burga dzielił dystans społeczny od popatrujących w stronę Wiednia i cesarza kupców żydowskich ze śródmieścia Czerniowca. Pisarz mówi o „nocach w checherze”, w szkole żydowskiej, które to noce dały mu oparcie. Jego opowieści o życiu w dzisiejszych Czerniowcach oscylują w znamienny sposób między żalem a obojętnością. Coraz większego znaczenia nabierają dla niego listy, a listonosz staje się łącznikiem ze światem: – *Ma humor; to da listy, nie ma humoru, to nie da.*

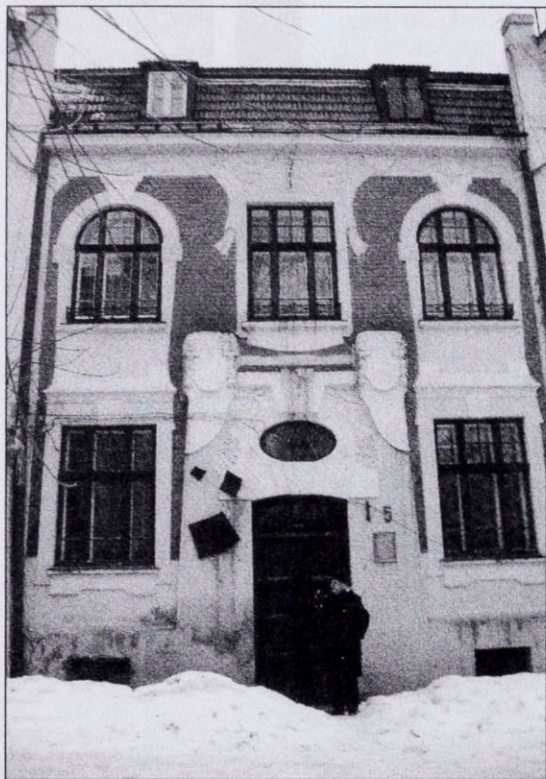


Helmut Böttiger

Z AULEK LITERACKI

Kinoteatr „Czerniowci” (dawna synagoga Tempel) w roku 1996.
Fot. K. Czyżewski





Josef Burg u wrót kamienicy przy Wassilkogasse, w której urodził się Paul Celan. Fot. K. Czyżewski

pod którym gdzieś domyśliły się jakieś resztki ornamentów. Posadzka jest nierówna i zaniesiona ziemią, a w kilku miejscach stoją kałuże smaru.

Burg mówi o swoim dystansie wobec Celana: tym, co wpędziło poetę w rozpacz, była jego zdaniem ucieczka od tożsamości żydowskiej, była asymilacja.

Osiem kilometrów od Czerniowiec, po drugiej stronie Prutu, elegijnej rzeki o szerokim nurcie, leży Sadagóra. Tam właśnie w roku 1841 cadyk Israel Friedmann utworzył główny ośrodek chasydyzmu, będącego ludowym ruchem reformatorskim w obrębie judaizmu. Rezydencja cadyka z Sadagóry stała się centrum świata Żydów wschodnich, centrum, do którego nawiązuje także jeden z wierszy Celana: *Eine Gauner- und Ganovenweise gesungen zu Paris Empres Pontoise von Paul Celan aus Czernowitz bei Sadagora* (Śpiewka grandziarsko-lobuzerska, śpiewana w Paryżu-Empres Pontoise przez Paula Celana z Czerniowiec pod Sadagórą). Sadagóra to raczej nijakie miasteczko, obstawione budowlami przemysłu. Taksówkarz, któremu mówimy o „synagodze” i „judaizmie” wzrusza ramionami. Jednak wiedziony instynktem podjeżdża pod jakiś budynek fabryczny, który po bliższym przyjrzeniu jawi się dość nietypowo: wieżyczki jak w synagodze, okazałe ściany z palonej cegły, w luszczącej się teraz czerwieni. Że jest to zakład obróbki metali świadczy o tym przybudówka, w której terkoczą maszyny. Wszedłszy do głównego budynku stwierdzamy, że w środku jest tylko jedno pomieszczenie o gołych ścianach – a w nim żywej duszy. I wewnątrz ani śladu tej rozpoznawalnej na zewnątrz specyfiki budynku. Ze ścian luszczy się tynk,

Po drodze do Paula Celana, na Josefgasse, na wieku kanału widnieje napis: „Pittel und Brausewetter, Wien”. Tutaj, w górnej dzielnicy miasta, na wschód od Herrengasse z jej kawiarniami, sklepami, towarami galanteryjnymi i biurami handlarzy nieruchomości, mieszkała żydowska klasa średnia. Dorodne domy w stylu siedemdziesiątych lat minionego stulecia, na ulicy niewiele samochodów, za to sporo drzew, nasyconą zielenią dodatkowo podkreślających żółtawość i rudawość fasad. Dzięki starym planowi miasta zyskujemy rozeznanie: oto Töpfergasse, na którą Celan pragnął wrócić w latach sześćdziesiątych, kiedy napisał *Śpiewkę grandziarsko-lobuzerską...* i kiedy odkrywał wzorce w postaciach rosyjskich Żydów, jak na przykład w Mandelsztamie. Oto Wassilkogasse, gdzie w jednym z domów Celan przyszedł na świat; Metzgergasse, gdzie mieszkała jego ciotka, u której często spędzał wakacje.

W jego pierwszym tomie poetyckim *Der Sand aus den Urnen* pierwszy wiersz, napisany wcześniej przez bodaj osiemnastoletniego Celana, opisuje młodzieńcze obserwacje z Wassilkogasse: „Świat jest dopiero za kasztanowcami”. W trzypokojowym mieszkaniu musiało być mu ciasno: surowy w swojej religijności ojciec, który za karę zamykał go często w pokoju od podwórza, mały zamknięty świat i prawie żadnych gości.

Żadne kasztanowce nie rosną już na Wassilkogasse, noszącej teraz nazwę ukraińskiego aktora Saksagańskiego. I żadnych śladów tamtego mroku, cienia, ciasnoty: na skraju jezdni stoją drobne młode akacje, i jest w tej krótkiej uliczce coś wręcz eleganckiego. W północnej Bukowinie odkryto już Celana, do czego

przyczynił się nieco region partnerski, Karyntia. Na ścianie domu, gdzie urodził się Celan, umieszczono tablicę pamiątkową. Kiedy stoimy w sieni domu, z pierwszego piętra schodzi jakaś pani. Stwierdza, że Celan mieszkał niekoniecznie na parterze: niedawno jakiś pan z Wiednia mówił jej, że właśnie w jej mieszkaniu, na pierwszym piętrze...

Ogród w podwórzu, który małemu Celanowi wydawał się więzieniem, jest jasny i zielony. Usunięto stamtąd parkan i szope. Tył domu, którego fasada od ulicy wydaje się aż odświeżnie żółta, przystrojono szarymi, podobnymi do łupkowych płytami, które po bliższym przyjrzeniu okazują się prasowanym kartonem – ingrediencją z czasów radzieckich. Te minione epoki, które sąsiadują z sobą bez powiązania, wydają się czymś jednakowo obcym.

Wizerunek miasta jest taki sam, jaki chłonał Paul Celan. Bez trudu znaleźć można miejsca jego dzieciństwa i młodości, dom na Masarykgasse, dokąd w 1935 roku wprowadziła się jego rodzina: zespół budowli w stylu międzywojennej Nowej Rzeczowości, najnowszy ciąg ulic spośród wszystkich w śródmieściu Czerniowiec. I gimnazjum, gdzie Celan zdał maturę, całe w pracej zieleni, utrzymane w stylu czerniowieckiego pogodnego klasycyzmu; dziś także jest tam szkoła, numer dwadzieścia trzy. Śródmieście Czerniowiec to stare austriackie założenie architektoniczne z dawnymi jeszcze kamieniami w bruku, wiekami kanałów i sklepami. Tylko życie codzienne zamieniono na inne, z cerylicą na domach i ze sklepami, które nimi nie są. Nie ma w Czerniowcach kafejek ani barów, tylko w paru lokalach można się czegoś napić przy kontuarze. W jednym miejscu przy Herrengasse stoi na zewnątrz kilka podniszczonych czerwonych krzeseł z plastyku, i przy odrobinie cierpliwości można tu dostać filiżankę kawy zbożowej, jaką dają także tam wysoko w hotelu „Czeremosz”.

Niewiele można w Czerniowcach kupić: najpotrzebniejsze artykuły zdobywa się pokątnie, na pchlim targu lub na czarnym rynku. Inflacja sprawiła, że nie ma na Ukrainie monet, a „kupony” istnieją już tylko w formie banknotów. Dzięki temu można za darmo korzystać z przytwierdzonych tu i ówdzie na ścianie domu automatów telefonicznych, których większość nie działa.

Rozpoczyna się tu powrót do regionalności, odejście od roli peryferii dawnego Związku Radzieckiego. Na uniwersytecie utworzono Instytut Bukowiny, w którym niemieckojęzyczną literaturą bukowińską zajmuje się Peter Rychlo, Ukrainiec, wykładowca literatury powszechnej. Wcześniej zajmował się literaturą NRD, tłumaczył wielu autorów NRD-owskich i doktoryzował się pracą o Stefanie Hermlinie. W 1993 roku natomiast opublikował Rychlo pierwszą w Czerniowcach książkę Celana: wybór jego wierszy we własnym przekładzie.

Na Hauptstrasse, w niewielkiej zatoczce nieopodal parku (dawny Volksgarten) władze Karyntii ufundowały nawet pomnik Celana. Twórcą jego jest pewien rzeźbiarz ukraiński, który jednak – jak się domyślamy – musiał niegdyś modelować popiersia Lenina.

*

„Nie tylko Töpfergasse była ludzka”. Obecna ulica Naliwajkowa to mały, spadzisty zaułek; przy dolnym końcu Töpfergasse mieszkał Gustav



Helmut Böttiger

Z AULEK LITERACKI

Gimnazjum w Czerniowcach (dzisiaj ukraińska szkoła nr 23), w którym uczył się Paul Celan.



Chomed, syn mistrza krawieckiego, przyjaciel Celana z czasów młodości. W zimie zjeżdżali oni tym zaułkiem na sankach, a Edith Silbermann, która mieszkała w sąsiednim narożnym domu, w swoich wspomnieniach opowiada, jak obrzucała ich wtedy kasztanami.

Po prawej i lewej stronie zbrocza, przed oryginalnymi, bardzo przy swojej skromności charakterystycznymi domami rosną wiśnie. Przy górnym końcu dawnej Töpfergasse mieszka Lydia Harnik. Ma prawie dziewięćdziesiąt lat i obok swojej przyjaciółki Rosel Zuckermann jedyna pamięta dawne Czerniowce: jest mówiącą po niemiecku Żydówką, która przemieszkała tu całe życie. Zmieniała obywatelstwo z c.k. austriackiego na rumuńskie, radzieckie, a obecnie ukraińskie, mimo że mieszkała wciąż w tym samym miejscu i nigdy nie chciała się ruszać z Czerniowiec. Wchodząc do jej wypełnionego książkami dwupokojowego mieszkanka, dostajemy się nagle w świat dawnej Austrii, w sam środek noweli Hofmannsthal'a albo Schnitzlera: habsburski akcent gospodyni, wyczelowana melodia języka, jakaś miękkość i słodycz, która nie ma w sobie nic sztucznego, lecz jest poświadczona życiem. Lydia Harnik powiada: – Proszę się częstować pomadkami! – i ma na myśli oczywiście cukierki. W pudełku cukierki ułożone były dwiema warstwami, z których górna już opustoszała. Lydia Harnik powiada: – Już chciałam wyrzucić kartonik, a tu znajduje jeszcze jedno piętro!

Zawsze dawała prywatne lekcje języków: angielskiego, francuskiego, a potem także niemieckiego, odkąd stał się on językiem obcym. – Intelktualiści zawsze posyłali dzieci do mnie – opowiada. Dostawała już do uczenia wnuczęta swoich niegdysiejszych uczniów. – Dawniej bardzo dużo uczyłam, a dziś już nie tak dużo, tylko osiem godzin dziennie. – I rzeczywiście, po chwili rozlega się dzwonek do drzwi i dwunastoletnia ukraińska dziewczynka mówi: *Guten Tag!*

Lydia Harnik próbuje przywoływać dawne czasy. Pisuje listy do ludzi, których nie widziała od sześćdziesięciu lat. Większość z nich mieszka w Izraelu. Czasem dzwoni telefon, i wtedy Lydia Harnik mówi na zmianę po rosyjsku, angielsku albo francusku.

– Do roku 1940 nie dostrzegaliśmy wcale, że należymy do różnych grup narodowościowych – mówi. – Aż nagle Niemcy przestali mi się kłaniać. – A potem w pamięci Lydii Harnik ożywają dawne Czerniowce: – Wystarczyło, żeby o szóstej wieczór ktoś na Herrengasse powiedział głośno „Dobry wieczór, panie doktorze!”, a już odwracało się pół ulicy.

Dolny koniec Töpfergasse przechodzi w Bräuhausgasse, wracającą w Wassilkogasse; często musiał tędy chodzić Paul Celan. Przeszedłszy kilka kroków, napotykamy na skraju ulicy rozłożyste, wypuszczające bujną zieleń drzewo – morwę o zielonych, ale już dużych owocach. Jazda na sankach, zima w Töpfergasse, morwa:

*Możesz mnie spokojnie
poczęstować śniegiem:
ilekroć szedłem przez lato
ramię w ramię z morwą,
krzyczał jej najmłodszy
liść.***

Jałowym zajęciem jest szukanie osobistych przeżyć, dającego się zasznuflakować tworzywa w poezji nowoczesnej, która skończyła się ze śmiercią Paula Celana. Miejscem poezji jest zawsze coś subiektywnego, coś mającego swój ładunek nastroju; i czasem w wierszu napotykamy motyw, który znaczy coś tylko dla jednej osoby.

Przełożył **Jakub Ekier**

Obca Ojczyzna

Paul Celan w Bukareszcie *



W kwietniu 1945 Paul i jego krewni nareszcie mogli zacząć przygotowania do emigracji do Rumunii. Jak wszyscy inni emigranci zostali zarejestrowani, ale nikt nie otrzymał paszportu - była to rosyjska metoda pozbywania się niepożądanych.

Paul Antschel opuścił swoje rodzinne miasto już na zawsze. Ale w jego przyszłych wędrówkach, nawet w Paryżu, towarzyszył mu "Południk" miejsca jego urodzin. Ciągłe przypominał mu się ten "Południk", nie tylko podczas przemowy przy okazji odbierania Nagrody Büchnera w 1960 roku, ale także przypominał o nim sobie w późniejszych listach do swych rodaków. W 1962 roku napisał do dawnego kolegi ze studiów: „Je suis loin, bien sûr, je suis toujours prés... de mon méridien.”* Nawet jeszcze później, w 1968 roku, miał napisać do swego rodaka o Gustavie Landauerze i Leonie Kellnerze „nawiązując do mego czerniowickiego Południka, łączącego ojczyznę z własnym sercem.”

Podróż do Bukaresztu była koszmarem. Siedzieli stłoczeni na rosyjskiej wojskowej ciężarówce, bo linia kolejowa - przzerwana podczas odwrotu Rumunów - nie została jeszcze naprawiona. Ale co mógł znaczyć ten tłok, kiedy cały świat otwierał przed nim podwoje! W chwili przybycia Paula do rumuńskiej stolicy, dotarły do niego od Ruth dobre wieści. Margul-Sperber, zafascynowany wierszami Paula i oczekujący go z niecierpliwością, obiecał, że zrobi co w jego mocy by znaleźć dla Paula wydawcę.

Paul popędził do Sperbera i został gościnnie przyjęty. W rezultacie zaczął bywać u niego często i zawsze spotykało go miłe przyjęcie. Z tym że rozmowa rzadko dotyczyła poezji Paula - Paul był zadowolony z faktu, że starszy poeta zwrócił na jego wiersze uwagę, co dodało mu pewności siebie, której od tej pory mu brakowało. Ale jak dotąd, nigdy nie interesowały go dyskusje na temat własnych wierszy, teraz też nie miało to ulec zmianie.

Bukareszt, który dla Paula miał być tylko etapem w podróży do Wiednia, zatrzymał go na dwa lata, gdyż władze rumuńskie nie wydały mu dokumentów podróźnych dla uciekinierów z północnej Bukowiny. Granicę można było przekroczyć jedynie nielegalnie, a na to potrzeba było i pieniędzy i odwagi. Paulowi brakowało obu tych rzeczy - był więc zmuszony czekać.

* Fragment książki *Paul Celan: Eine Biographie seiner Jugend*, Insel Verlag 1979. Przekładu dokonano z wydania angielskiego: *Paul Celan. A Biography of His Youth*, New York 1991.

W tych czasach wielkich przemian, problem związku pomiędzy Pauliem i Ruth ciągle czekał na rozwiązanie. Dla Paula przywiązanie do Ruth, która oddalała się od niego coraz bardziej, było emocjonalnym doświadczeniem, którego spełnienie pozostawało w sferze porażki. Teraz, w Bukareszcie, wybuchł między nimi poważny konflikt, który zakończył się ostateczną rezygnacją ze wspólnego życia. Niemniej jednak ich przyjaźń nie ucierpiała, bo łączące ich więzy emocjonalne były tak silne, że żadne z nich nie potrafiłoby ich zerwać zupełnie. Ruth pozostała zresztą pierwszą czytelniczką nowych wierszy Paula.

Paul był w owym czasie bez środków do życia, musiał znaleźć przynajmniej czasowe zajęcie i poszukać niedrogiego mieszkania. Gdy ponownie spotkał swego przyjaciela, Leonida Millera, bez wahania przyjął ofertę dzielenia z nim studenckiej stancji. Przypadkowo również spotykał innych znajomych dokądkolwiek by się w Bukareszcie nie udał, i mimo że nie zamierzał odnawiać starych znajomości, ciągle czuł się w obowiązku reagować na towarzyskie gesty ze strony niemiłych mu znajomych.

W znalezieniu pracy pomogła mu w końcu znajomość rosyjskiego. Nowo założona rumuńsko-rosyjska oficyna wydawnicza „Cartea Rusă” (Rosyjska Książka) poszukiwała zdolnych tłumaczy z rosyjskiego na rumuński. Przedsiębiorstwo to, założone przez Towarzystwo Rumuńsko--Sowieckiego Porozumienia („Asociația română pentru legătură cu Uniunea Sovietică,” w skrócie ARLUS), podjęło się zadania upowszechnienia rosyjskiej literatury w Rumunii. Oznaczało to tłumaczenie i publikowanie nie tylko współczesnej literatury sowieckiej, ale także rosyjskiej klasyki – w stopniu w jakim sowiecki reżim się do niej przyznawał – przecież Rumunia od czasów pierwszej wojny światowej nie autoryzowała żadnego tłumacza z rosyjskiego na rumuński.

Paula zatrudniono na stałe i początkowo do tłumaczenia dostawał jedynie niedługie teksty nieznanymi autorów. Ale szybko poznano się na jego umiejętnościach i powierzono mu tłumaczenie szkiców literackich Antoniego Czechowa *Chłopi* oraz sztuki Konstantina Siemionowa *Rosyjski Problem*. Sztuka miała być wystawiona przez Rumuński Teatr Narodowy, a jej dobry przekład szczególnie pochwalono w teatralnym programie sztuki. Ale jako że antysemityzm był w Rumunii ciągle żywy a nazwisko Paula brzmiało zbyt żydowsko, musiał z obu powodów podpisać się pseudonimem. Przekład szkiców Czechowa podpisany jest nazwiskiem „Paul Aurel” a pod sztuką Siemionowa widnieje nazwisko „A. Pavel”. W tym drugim przypadku imię Paula stało się rumuńskim nazwiskiem, a jego żydowskie nazwisko posłużyło za inicjał imienia. Paul wydawał się nie mieć nie przeciwko tym pseudonimom, traktował swoje zajęcia w Rumunii jako tymczasowe.

Za to wydawca, który nie mógł znać planów Paula, obarczał go coraz trudniejszymi zadaniami. Tak więc Paul tłumaczył nowele Turgieniewa a nawet powieść Michaiła Lermontowa *Bobater naszych czasów*. Praca nad tą powieścią była szczytem jego translatorskiej aktywności w Bukareszcie i tym razem pozwolono mu podpisać się pod przekładem własnym nazwiskiem. Jednakże z konieczności przystosowania jego pisowni do ortografii rumuńskiej „Antschel” zmieniono na „Anchel”. W przedmowie wydawcy przekład Paula chwalono entuzjastycznie jako jeden z najbardziej udanych. Paul cieszył się ze swego osiągnięcia i z dumą pokazywał pięknie wydaną książkę każdemu gościowi. Raz powiedział: „Gdyby tylko moja matka mogła zobaczyć tę książkę! Wydaje mi się, że wątpiła w moje możliwości”.

Na początku 1947 roku rumuński poeta i krytyk, Ion Caraion, planował publikację antologii poezji współczesnej, mającej zawierać oryginalne teksty w językach: angielskim, niemieckim i francuskim. Poeta Petre Solomon, kolega Paula z wydawnictwa, zwrócił uwagę Caraiona na Paula i zarekomendował jego wiersze jako godne zamieszczenia w niemieckiej części antologii. Następnie Paul zaniósł Caraionowi kilka swoich wierszy, z których do antologii wydanej w maju tego samego roku pod tytułem „Agora, nr 1.” wybrano trzy: „Das Gastmahl” (Bankiet), „Ein wasserfarbenes Wild” (Ofiara z Akwareli, później „Ostatnia flaga”) oraz „Das Geheimnis der Farne” (Sekret Paproci). Autor wymienionych wierszy nazywał się Paul Celan.

Nie jest jasne, czy Paul celowo wydał swoje wiersze pod pseudonimem. Wydaje się bardziej prawdopodobne, że ktoś mu to zasugerował. Pewien przyjaciel Paula z lat młodości uważa, że hołdował on wierze, iż nie można stać się sławnym pod pospolitym, rodzinnym nazwiskiem, i że magia nazwiska odgrywa dużą rolę. Podobno jeszcze w Czerniowcach dyskutowali to zagadnienie. Paul stworzył ten pseudonim na bazie anagramu nazwiska „Ancel”. Prawdopodobne jest, że były student języków romańskich i z ich literatury pamiętał trzynastowiecznego włoskiego filozofa – Tomasza z Celano, poetę i biografę Franciszka z Asyżu.

Paul „bardzo blisko” zaprzyjaźnił się z rumuńsko-żydowskim poetą Petre Solomonem, piszącym jedynie po rumuńsku; że była to przyjaźń szczerą okazało się wiele lat później, podczas wyjazdu Solomona do Paryża. Jako że Solomon wiedział, że Celan doskonale włada rumuńskim, starał się namówić Paula do pisania właśnie w tym języku. By spełnić pragnienie przyjaciela, Paul napisał parę wierszy oraz parę utworów prozą i jako prezent wręczył to Solomonowi. Ten zbiór rumuńskich utworów Celana stanowi nie mniejsze osiągnięcie niż jego niemieckie wiersze zawarte w *Mohn und Gedächtnis* i wyróżnia się bogatym słownictwem.

Ale Paul wcale nie chciał zostać rumuńskim poetą. Każdemu kto pytał go o pisanie w języku morderców jego rodziców odpowiadał: „Jedynie w języku ojczystym można wyrazić swoją własną prawdę, w obcym języku poeta potrafi tylko kłamać”. W 1961 roku powiedział jeszcze, że „Poezja jest proroczym i wyjątkowym przejawem języka”; dodał też, że nie wierzy w „dwujęzyczność w poezji”.

Lata spędzone przez Paula w Bukareszcie, pierwsze lata niezależności z dala od domu, zmieniły jego sposób życia. Jego talenty i cechy charakteru zaczęły się rozwijać i zrzucać ograniczenia. Petre Solomon tak o tym pisze:

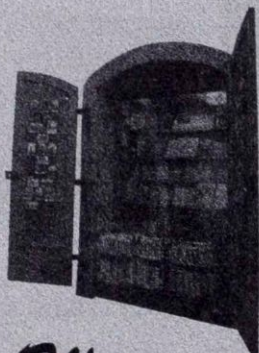
Pamiętam go młodym i upartym, głowę trzymał zawsze wysoko, nawet pod ciężarem niedoli, był pełen joie de vivre. Radość ta była nieco sztuczna, tak jakby chciał - jak to jest w rumuńskim powiedzeniu - „wycisnąć z nieszczęścia trochę uśmiechu”. Uwielbiał gry słowne i nieustannie zasypywał nas swoimi celnymi aforyzmami, których zrobiła się taka ilość, że nie pozostało mi nic innego, jak tylko zebrać je w „Paula Celana wieczornych zapiskach.”... Dwa lata spędzone w Bukareszcie należały do najszczęśliwszych lat jego niespokojnego życia. Co było sekretem tego szczęścia? Po prostu przyjaźnie, które potrafił tu zawrzeć w czasach dramatycznych wydarzeń i wielkich trudności.

Celan zdobył, również dzięki swej pracy w wydawnictwie, bezpośredni dostęp do literackiego świata Bukaresztu, w którym ważną rolę odgrywały żydowsko-rumuńskie postacie. Tylko wyjątkowo zbliżał się z ludźmi z nieżydowskich kręgów. Petre Solomon, na przykład, przed-



Israel Chalfen

Z AULEK LITERACKI



Witryna

John Felstiner: *Paul Celan: Poet, Survivor, Jew.*

Yale University Press.

New Haven and London, 1995.



George Steiner napisał o tej książce, że jest „najznakomitszym przybliżeniem tak trudno dostępnego świata Celana.”

Na tą książkę długo oczekiwano. Minął już czas na drobniagrowe analizy krytycznoliterackie, na obszerne dysertacje poświęcone szczegółowym kwestiom języka czy zaszyfrowanego kodu semantycznego poezji Celana. Przeczutowano, że klucz do pełnego odczytania dzieła jednego z najważniejszych świadków „wieku zagłady”, leży również w odczytaniu tajemnicy jego życia, miejsca, z którego się wywodzi, kontekstu kulturowego, przyjaźni i fascynacji duchowych. Poszedł typ tropem Israel Chalfen, ale jego książka z roku 1979 dotyczy jedynie okresu mło-

stawił go poetce i dramatopisarce Marii Bánus. Fakt, że tłumaczyła Rilkego na rumuński musiał Celana szczególnie zainteresować. Poznał też Iona Caraiona, jednego z najpopularniejszych i najbardziej wpływowych poetów rumuńskich owych czasów, spotkawszy go przy okazji wręczania mu swoich wierszy do magazynu „Agora”. Przyjacielskie stosunki utrzymywał z takimi żydowskimi postaciami, jak młoda poetka Nina Cassian, krytyk Ovid Crohmálniceanu oraz pisarze Gellu Naum i Marcel Aderca. Jego związki z rumuńskimi przedstawicielami literatury pozostawały w nastroju powtarzających się, ale nigdy niespełnionych prośb pod adresem Celana, by zaczął pisać po rumuński. Tak więc jedynie wiersze napisane dla Petre Solomona mogą świadczyć o talencie Paula Celana także i w tym języku.

Pomimo że Celan miał później opuścić ten krąg znajomych po kryjomu i bez pożegnania, nie zerwało to więzów przyjaźni; Petre Solomon, Ovid Crohmálniceanu a także inni odwiedzali Celana w Paryżu lub spotykali się z nim w Niemczech. Po śmierci Celana, Crohmálniceanu na przykład mówił o nim nie inaczej, jak o „Paulu” i opowiadał o „jego poczuciu humoru, dziwnych wahaniach nastroju, o pewnej... atmosferze ich wspólnych spotkań w Paryżu”.

Dzięki tym starym przyjaźniom, podobnie jak i nowo zawartym, Celan zdobył więcej pewności siebie. Z tym, że emocjonalne i towarzyskie związki nie pomogły mu w zdobyciu wewnętrznego poczucia własnej wartości. Najbardziej brakowało mu pewności – niezbędnej dla niego samego – pewności własnej męskości.

To, co dla Celana było niemożliwe w jego miłości do Ruth, pozostającej pod wpływem jego związku z matką, teraz przychodziło mu łatwo w jego związkach z innymi kobietami, przed którymi nie miał zahamowań. Tabu kobiecości, które wykształciło się w dzieciństwie, zaczynało tracić swą siłę, i przestał już opierać się doświadczaniu własnej seksualności. Od czasu do czasu zdarzało mu się skarżyć na prymitywizm łatwych dziewczyn, z którymi się stykał, ale fakt ten nie powstrzymywał go od kontaktów z nimi.

Róża Leibovici, która początkowo nie chciała wyjechać z Czerniowiec, ostatecznie – jedynie dzięki zapewnieniu Celana o jego do niej miłości – pozwoliła się przekonać do wyjazdu do Bukaresztu. I znów widziano ich nieodłącznie razem, a ponieważ Ruth Lackner wyszła w tym czasie za mąż, związek Celana z Różą uważano za szczęśliwy i trwały.

Celan szczyt towarzyskiego powodzenia osiągnął w kontaktach z grupą skupioną wokół bukareszteńskich surrealistów, wśród których byli: Ghérasim Luca, D. Trost oraz Paul Páun. Podczas gdy Luca, który w 1939 roku założył tę grupę artystyczną po swym powrocie z Paryża i utrzymywał kontakty z André Bretonem, wydawał teoretyczne książki w języku francuskim, Páun pisał rumuńskie poezje. Większość członków grupy jednakże stanowili malarze i rzeźbiarze czerpiący ze stylu paryskich surrealistów. W dodatku znajdowało się w niej wielu miłośników sztuki, gorących entuzjastów surrealizmu. Towarzyskie spotkania, w których brały udział również piękne kobiety, bardzo wszystkich łączyły. Spotykali się w kawiarniach i restauracjach i oddawali cześć Bachusowi oraz muzie grupy – Francuzce Nadine. Ta towarzyska aktywność była szczególnie dla Paula zachętą by dołączyć do grupy. Tutaj również Paul okazał się być jedynym niemieckojęzycznym poetą, o jego poezji nie mówiło się tam wcale. Jeśli mu się więc udawało znaleźć w surrealistycznym klubie artystyczne natchnienie, to było to możliwe jedynie dzięki pozaartystycznej działalności klubu – Celan nigdy nie nawiązał głębszych przyjaźni z nikim stamtąd.

W 1946 roku bukareszteńscy surrealiści zorganizowali wystawę obrazów, rzeźb i instalacji, która stała się sensacją. Paul Celan udał się na nią z Ruth i z wielką przyjemnością obejrzał „Exposit Surrealistă”, ale bez zaangażowania.

Związek Paula z Różą Leibovici, który z początku wydawał się być bardzo bliski, rozpadł się w ciągu paru miesięcy – prawdopodobnie z winy Paula, którego „słomiany ogień miłości – zauróczona, namietności a potem zniechęcenia” były później wspomniane przez jego przyjaciół. Róża, której szczerą miłość do Paula była tak podkreślana w jej opisach ich związku, i która wyszła za mąż w latach pięćdziesiątych za wysokiego rangą członka rządu, zmarła na gruźlicę na początku lat sześćdziesiątych. Otrzymała w Paryżu wiadomość o jej śmierci głęboko poruszyła Celana. Dlatego nie jest zupełnie niemożliwe, aby jego wiersz „Coagula”, zaczynający się od słów „Twa rana / również, Rózo”, odnosił się nie tylko do Róży Luksemburg*, ale również do ważnej osoby dla Celana Róży Leibovici, pochodzącej z moldawskiej doliny, krainy „rumuńskich bizonów”, o których wiersz ten także wspomina.

W związku z tym dawny przyjaciel Celana wspomina, że był on zawsze zafascynowany swoją własną śmiercią – i szczególnie – w dziwny sposób poruszony samobójstwami osób, które znał, tak jakby te samobójstwa stanowiły silną zachętę dla niego samego. W 1940 roku w Czerniowcach pewna dziewczyna uwiedziona i porzucona przez żołnierza Armii Czerwonej popełniła samobójstwo. W 1946 roku inna dziewczyna podobnie nie potrafiła znaleźć innego rozwiązania niż śmierć po tym, jak została porzucona. W każdym przypadku Celan, na wieść o śmierci swoich znajomych, reagował głębokim smutkiem.

Intensywna praca tłumacza w wydawnictwie, lektura przeważnie rosyjskich poetów, przyjemne wieczory w wąskim gronie znajomych lub z surrealistami, którzy wydawali się bardziej zafascynowani o swoje życie niż o sztukę i literaturę – wszystko to składało się na „Mohn” (opium) zapomnienia w czasie bukareszteńskiego oczekiwania Celana. Nocą jednakże, w samotni swego wygodnego pokoju, obecnie zajmowanego tylko przez niego, pokoju, który z wielką trudnością potrafił wzbudzić uczucie przynależności i uczucie bycia u siebie, pisał wiersze poświęcone „Gedächtnis” (pamięci). Większość wierszy wydanych w pierwszym tomie jego poezji zebranych *Der Sand aus den Urnen*, z których wiele ponownie znalazło się w *Mohn und Gedächtnis*, powstało właśnie podczas tych bukareszteńskich nocy.

Czas płynął i im pewniejsza stawała się pozycja Celana w Bukareszcie, tym silniej odczuwał on pragnienie podróży do Wiednia. Jako że szanse legalnej emigracji w dalszym ciągu były nikłe, zaczął rozważać możliwości nielegalnego przekroczenia granicy. Razem z trzema przyjaciółmi z grupy surrealistów (Paul Páun, Ghérasim Luca i Dolfi Trost) planował ucieczkę, która nigdy nie doszła do skutku.

Celan próbował uciec w sierpniu 1947 roku. W towarzystwie młodej Rumunki pojawił się w domu swego rodaka Arnolda Daghani, również mieszkającego wówczas w Bukareszcie, i zaproponował ucieczkę we trójkę. Jednakże Daghani musiał odmówić, gdyż brakowało mu potrzebnych pieniędzy.

W grudniu 1947 roku Paul zdecydował się na samodzielną próbę przekroczenia granicy. Była już najwyższa pora, by opuścić ten kraj, gdyż rozwój sytuacji politycznej wskazywał na nieodwołalne przejście całkowitej władzy przez komunistów. Właśnie trwał proces niszczenia opozycyjnej Partii Chłopskiej oraz liberalów, asymilacji Partii



Israel Chalfen

Z AULEK LITERACKI

dości poety (do chwili opuszczenia Bukaresztu) i ze względu na swój pionierski charakter nie wolna jest od błędów i przeinaczeń. Poszła tym tropem również Amy Colin, ale jej książka *Paul Celan: Holograms of Darkness* z roku 1991, choć bardzo ciekawa i w wielu miejscach inspirowana, pozostaje jednak akademicka i nie daje całociśowego wglądu w świat Celana. Taką książką jest dopiero *Poeta, Ocalony*. Żyd Johna Felstina, który tym poprzednim książkom wiele zawdzięcza, niejako je dopełniając.

„Ponieważ Paul Celan żył – a raczej, ocalał – poprzez poezję, którą pisał, ta książka próbuje oddać sens pracy jego życia. Zarówno samo biograficzne jak i samo tekstualne studium nie uchwyci celanowskiego sensu bycia. Każdego dnia odczuwał presję wywieraną przez jego epokę i jego własną historię na wiersze, które pisał i które „muszą przejść” (jak powiedział o samym języku niemieckim) „poprzez tysiąc ciemności śmiercionośnej mowy”.

Tak rozpoczyna swą fascynującą opowieść Felstiner, który towarzysząc celanowskiej wędrówce życia nie występuje w roli krytyka literackiego, biografa czy historyka idei przede wszystkim, lecz człowieka, który chce się dowiedzieć prawdy o swojej epoce, chce zgłębić i zrozumieć dojrzałe świadectwo czasu, w którym przyszło mu żyć. Dzięki temu książka Felstina, w której wyczuwalne jest osobiste zaangażowanie autora, staje się przejmującym i głębokim

świadcstwem tragedii XX wieku, w którym stawiane są i rozważane wszystkie najistotniejsze dla tego wieku dylematy. Czytając Felstina rozumie się dlaczego Celan jest tak nowoczesny, dlaczego im bliżej końca tego wieku, im większa jest potrzeba prawdy o całym mijającym stuleciu, tym bardziej doceniane jest dzieło autora *Maridiana* i tym więcej znajduje ono wyznawców wśród najwybitniejszych umysłów epoki.

Felstiner jest także znakomitym tłumaczem tekstów Celana. Oś konstrukcyjną prawie każdego rozdziału stanowi kilka przetłumaczonych tekstów Celana, wokół których „dzieje się” myślenie.

Ale tłumaczyć Celana to nie tylko tłumaczyć jego wiersz, to także wysiłek przełożenia jego świata, w którym był zanurzony. A do tego Felstiner potrzebował przewodników. Stąd jego przyjaźnie, rozmowy i korespondencje: z żoną poety, Gisèle Celan-Lestrange, zmarłą w 1991 roku i z ich synem Erikiem; z Ilaną Shmueli z Tel Avivu, która „przez 12 lat pomagała mi zrozumieć, co znaczy być wykorzenionym z Czerniowiec i ocaleć jako niemieckojęzyczny Żyd”; z Pearl Fichman z Nowego Jorku, która przybliżyła mu doświadczenie Czerniowiec, wojny i tego, co potem się stało; z Petre Solomonem z Bukaresztu, z którym korespondował od 1983 roku aż do jego śmierci w 1991 roku; i innymi.

(kris)

Socjaldemokratycznej i obalania monarchii. Sowietyzacja Rumunii stała się już w gruncie rzeczy faktem.

Znami z wydawnictwa nic o zamiarach Celana nie wiedzieli, mówili raczej o wspaniałej przyszłości, która go czekała. Właśnie do niej uczynił aluzję, gdy powiedział, odbierając zwolnienie z rąk swego przyjaciela Leonida Millera, „Jestem w wydawnictwie jak książę koronny”, i dodał z uśmiechem: „ale mam zamiar zejść wyżej i dalej!”

Pożegnał się jedynie z garstką swoich zaufanych przyjaciół: z Ruth, z Coriną Marcovici, jedną ze swych bukareszteńskich przyjaciółek, i z Margul-Sperberem – każdej z tych osób zostawiając rękopisy swoich wierszy. Tak więc Ruth zatrzymała oprawną w czarna skórę książeczkę i kilka luźny kartek z wierszami z różnych okresów, powierzył także podobne kartki Margul-Sperberowi i Corinie. W trakcie kompilowania tomu *Der Sand aus den Urnen* był zmuszony polegać na swej doskonałej pamięci, w której zachowały się wszystkie te wiersze. Paul Celan nigdy już nie zobaczył swoich rękopisów.

W 1957 roku, przed wyjazdem z Rumunii, Ruth Lackner miała przygotować maszynową kopię wszystkich wierszy otrzymanych przez Celana – razem z wierszami z czarnego kalendarza. „Maszynopis 1957” w zamyśle przeznaczony był dla Celana i miał być mu doręczony jak tylko Ruth znajdzie się poza Rumunią. Jednakże w owym czasie władze rumuńskie wprowadziły ścisły zakaz wywozu drukowanych materiałów, i tak maszynopis pozostał w Bukareszcie do roku 1970. Wtedy to, dzięki pewnemu rozluźnieniu przepisów, został on z Rumunii zabrany przez przyjaciół Ruth. Powiadomiono o tym Celana, ale ten, zanim maszynopis zdolał do niego dotrzeć, popełnił już samobójstwo.

Rękopis pozostawiony u Margul-Sperbera dostał się w inne ręce po jego śmierci w 1967 roku i został użyty do nieautoryzowanych publikacji, które ukazały się w Rumunii po 1970 roku. Z tego samego źródła pochodziły prawdopodobnie pojedyncze wiersze opublikowane w Niemieckiej Republice Demokratycznej jeszcze za życia Celana.

Najtrudniejszym dla Celana rozstaniem przed wyjazdem z Bukaresztu było pożegnanie z Ruth. Mimo rozluźnienia kontaktów w ciągu ostatnich kilku lat, jego przywiązanie do niej okazywało się przez ten czas być bardzo silne. W Ruth widział on żywy symbol swojej matki i ojczyzny, do której odczuwał przywiązanie przez resztę swego życia. Nawet jeśli powierzchowna obserwacja wskazywała na to, że „studnie” jego ojczyzny zostały zasypane, na większych głębokościach podziemny strumień, płynąc wzdłuż „Południka”, łączył go z Czerniowcami i Bukowiną.

Dwa wiersze z tego okresu: *Das Ganze Leben* (Całe życie) i *Harmonika* (Harmonijka), to prawdopodobnie echa pożegnania z Ruth. Poniższe wersety pojawiają się w pierwszym z wierszy: „Nocnym byłem powiewem na przepuknych kolanach twej siostry. Drzewa zwieszają na nas twoje włosy, ale ciebie już nie ma”. Drugi wiersz kończy się następująco: „Dla mnie twoje włosy ciągle spowijają nóż, dla nas twoje serce to dymiący przylądek”.

Z pomocą węgierskich chłopów w 1947 roku Paul przekroczył rumuńsko-węgierską granicę – przemyt ludzi był dobrze zorganizowany i nic go nie zakłócało. Po drugiej stronie granicy dołączył do grupy żydowskich emigrantów i wyruszył w drogę do Wiednia. Kolej w dalszym ciągu funkcjonowała nieregularnie, często musieli spędzać noc na zrujnowanych stacjach, aby nie uciekło im połączenie. Ale ludzi, z którymi przyszło mu podróżować, uważał za przyjaciół. Byli to Żydzi jak on, i spotkał ich podobny los. W tekście Celana *Rozmowa w górach*

znajduje się o tym fragmencie: „Na kamieniu leżałem, wtedy, wiesz, na kamiennej posadzce; a obok mnie leżeli oni, inni, którzy byli jak ja, inni, którzy inni byli niż ja, a tacy sami, kuzyni moi (...)... nie kochali mnie i ja ich nie kochałem, gdyż ja byłem jeden, a kto chce kochać jednego, a ich było wielu” (Przełożył M. Dariusz Rogalski. „Literatura na Świecie” 1994, nr 6).

Szlakiem przez Budapeszt Paul w końcu dotarł do Wiednia, celu swych tęsknot. Ale miasto gorzko go rozczarowało. Pomimo tego, że Celan wiózł ze sobą list polecający Margul-Sperbera do Otto Basila i w ciągu kilku miesięcy zdołał zawrzeć opartą na wzajemnym zrozumieniu przyjaźń z Edgarem Jené, Ingeborgiem Bachmannem, Milo Dorem, Reinhardem Federmannem i Klausem Demusem, życie tam było trudne. Ludwig von Ficker, opiekun Trakla i miłośnik poezji Celana, zaprosił go na wykład do Innsbrucku, ale jednocześnie nie był w stanie ułatwić mu życia w Wiedniu.

Celan utrzymywał korespondencję z Ruth. Dnia 6 lipca 1948 roku pisał do niej z Innsbrucku:

...Wczoraj byłem w Müblau, na cmentarzu gdzie pochowany jest Trakl. Miałem ze sobą kwiaty... i po drodze przez łąkę, ułamałem małą gałązkę, którą od ciebie złożyłem na jego grobie. Tego wieczora czytałem wiersze w domu Ludwiga von Fickera, przyjaciela Trakla. Możesz chyba sobie wyobrazić moje onieśmienie. Ale później Ludwig von Ficker powiedział, że mam prawo uważać się za spadkobiercę Else Lasker-Schüler. Else Lasker-Schüler jest dla Fickera uosobieniem prawdziwej poezji. Sama Else często bywała w Müblau, i jeden ze swoich cykli poetyckich zadedykowała „Ludwigowi von Ficker, Kasztelanowi z Tyrolu i jego przepięknej Szwedce”. Ta „przepiękna Szwedka”, żona Fickera, to już starsza pani... Przypominam jej Else Lasker-Schüler – powiedziała mi to nawet jeszcze przed moim czytaniem, i tak już pozostanie w jej pamięci... Za jakiś tydzień jadę do Paryża...

Dnia 2 grudnia 1949 roku, cztery dni przed jej urodzinami, napisał do Ruth list z Paryża, w którym tak wspominał mijający rok: „mroczny rok i rok ciemności, który przynajmniej dla mnie nie miał innego imienia niż samotność, wyobcowanie i oddzielenie, i który teraz wpuścił tu tylko trochę światła, ale dość by dwoje nowo narodzonych mogło przekazać sobie najlepsze życzenia... Dziś jest pierwszy dzień wiosny, to wiosna grudniowa...”

I ponownie z okazji urodzin Ruth, Paul Celan pisał 2 grudnia 1951 roku: „Gdziekolwiek by nie pójść – świat kwitnie. A i tak to z rozpaczy rodzi się poezja”.

Przełożył **Tomasz Wyszkowski**



Israel Chalfen

Z AULEK LITERACKI



PETRE SOLOMON

Paul Celan i surrealizm

PETRE SOLOMON – poeta, esei-
sta i tłumacz. Urodził się 15 lutego
1923 roku w Bukareszcie. Ukończył fi-
lologię angielską na Uniwersytecie w
Bukareszcie. Zmarł 15 października
1991 roku w Bukareszcie.

Autor zbiorów wierszy:

Relief (1965)

The necessary shadow (1971)

Color of seasons (1977)

The paper border (1988),

oraz esejów krytycznoliterackich,

m.in. o M. Twainie, A. Rimbaud,

P. Celanie, H. Jamesie.

Tłumaczył dzieła Szekspira, Byro-
na, Celana, Conrada, Melville'a, Gree-
na, Milтона, Shelley'a, Scotta, Twaina.



Wiązki Paula Celana z surrealizmem są wciąż jeszcze
niedostatecznie zbadane. Związki te, wielorakie i złożone,
można prześledzić zarówno w biografii, jak i w dorobku twór-
czym tego wielkiego poety tworzącego w języku niemieckim.

Z nadrealizmem zetknął się już w 1938 roku, kiedy jako student medycyny
w Tours miał okazję czytać utwory Andre Bretona i innych przedstawicieli
tego rozwijającego się wówczas bujnie ruchu. Jednakże do prawdziwego
kontakty z ruchem nadrealistycznym doszło dopiero kilka lat później,
w Bukareszcie, gdzie przybyły z Czerniowiec Paul Anczel – przyszły Celan
– osiedlił się wiosną 1945 roku.

W książce, którą w 1987 roku pod tytułem *Paul Celan. Dimensiunea
românească* (Paul Celan: Wymiar rumuński) opublikowałem
w wydawnictwie „Kriterion”, zajmowałem się również stosunkami
łączącymi młodego Celana z grupą bukareszteriskich nadrealistów. Siłą
rzeczy nie mogłem jednak poruszyć pewnych „delikatnych” spraw, które
doprowadziłyby do wściekłości „aniołów zagłady” z byłej Rady ds.
Edukacji i Kultury Socjalistycznej. Taką sprawą jest chociażby kwestia orien-
tacji politycznej rumuńskich nadrealistów. Trzon grupy bukareszteriskiej
tworzyła piątka: Ghérasim Luca, Gellu Naum, Paul Păun, Virgil Teodorescu
i D. Trost, która uchodziła w owym czasie za grupę skrajnie lewicową. Już
w 1937 roku związany z Żelazną Gwardią dziennikarz Horia Stamate pisał
(w „Buna Vestire”) o nadrealizmie jako o ruchu idącym „ręka w rękę
z polityczną lewicą”. Chociaż po wyzwoleniu bukareszteńscy nadrealiści
(wszyscy byli zdeklarowanymi antyfaszystami i nieprzejednanymi przeciw-
nikami dyktatury Antonescu) mogliby się spodziewać, że ich stanowisko
zostanie sprawiedliwiej ocenione, do niczego podobnego nie doszło. Przeciwi-
nie, w atmosferze względnej wolności, jaka zapanowała po 23 sierpnia
1944 roku, ataki na grupę jako taką, ale również na poszczególne, bardzo
różne przecież, tworzące ją indywidualności, stały się jeszcze bardziej
zjadliwe. Wówczas rumuński surrealizm wydawał się ruchem jednolitym,
jakim w rzeczywistości nie był: mimo, że nadrealistów było w sumie bar-
dzo niewiele, przedstawiciele ruchu byli ze sobą skłócenii w stopniu
o wiele większym niż francuscy surrealiści, których naśladowali. Spory
pomiedzy nimi były natury przede wszystkim ideowej i na tym polu przy-
bierały formy nadzwyczaj gwałtowne, co jednak nie przeszkadzało utrzymy-

waniu przez nich bardzo przyjacielskich osobistych stosunków. Bukareszteńscy nadrealiści, ponieważ byli bardzo młodzi, byli szalenie zadziorni – zwłaszcza Gellu Naum i Ghérasim Luca – okazali się zresztą groźnymi polemistami.

Dzisiaj, kiedy wiemy już, jaki koniec spotkał ideologię komunistyczną – (u nas i gdzie indziej) – trudno w ogóle zrozumieć ich spory, ale właśnie dlatego należałoby je rozpatrywać w ich naturalnym kontekście. Celem rumuńskich, podobnie zresztą jak francuskich, nadrealistów, było całkowite wyzwolenie człowieka. W jednym ze swych pierwszych manifestów programowych ogłoszonych po 23 sierpnia 1944 roku pod tytułem *Critica mizeriei* (Krytyka nędzy) Gellu Naum, Paul Păun i Virgil Teodorescu już na samym początku stwierdzali: „Niezależnie od tego, jaka będzie indywidualna ewolucja nadrealistów, dla każdego, kto abstrahuje od klótni, skandali i zerwań będących czymś naturalnym dla każdej żywej grupy, będzie rozpatrywał surrealizm w jego historycznym rozwoju, jedno jest jasne: NIEUSTAJACYWYSIŁEKNA RZECZYWOLNIENIAWSZELKICH-FORMEKSPRESJILUDZKIEJ, wyzwolenia, które jest nie do pomyślenia bez całkowitego wyzwolenia człowieka...”¹

Doszło do zacieklej polemiki z różnymi przeciwnikami ruchu – jawnymi lub zakamuflowanymi – wśród których ze zdziwieniem odnajdujemy dziś nazwisko Tudora Vianu („udoskonalone narzędzie uniwersyteckiego skretynienia”), ale także nazwiska pisarzy awangardowych, takich jak: Sașa Pană czy Constantin Nisipeanu, nie mówiąc już o nazwiskach „poetów, którzy w sposób widoczny zdradzili” ruch, jak Virgil Carianopol i Constantin Micu. Największe zdziwienie budzi dziś, umieszczony w przypisie, atak na Ghérasima Lukę jako na kogoś, „kto z każdym dniem coraz bardziej oddala się od nadrealizmu na rzecz coraz wyraźniejszego mistycyzmu”. Po przypomnieniu, iż Ghérasim Luca zaczął od tego, że przyłączył się do ruchu i poparł jego credo: „La révolution d'abord”, autor przypisu kontynuuje: „Dzisiaj pan G.L. żyje ze swych rewolucyjnych wspomnień, przygotowując na nadrealistycznej platformie pojawienie się jakiegoś mistycznego Non-Edypa. Odcinając się od surrealizmu, eliminując – po prostu poprzez przymknięcie oczu – walkę klasową, pan G. L. nadal wydaje swoje książki z czasów, gdy był surrealistą. Nie zapomina też dołączyć do nich żalonych przygód Fischera Sorcovei z Fata Morgana, a także równie żalonych perypetii mistycznego Non-Edypa”².

Dla odtworzenia atmosfery tych dawno minionych lat przytoczę fragment innego nadrealistycznego tekstu, podpisanego przez Gellu Nauma i zamieszczonego jako „suplement” do jego tomiku pt. *Teribilul interzis* (Niesamowity oszołom; Seria surrealistyczna, 1945). Tekst jest opatrzony polemicznym tytułem „Wynalazcy banderoi” i jako motto ma słowa Engelsa: „Dialektyka jest tym, czego brak tym wszystkim panom”. Adresatem tych słów znów jest Ghérasim Luca, który – zdaniem autora – reprezentuje coś, co „można by nazwać naszym mistycznym skrzydłem”. A przecież, precyzuje Gellu Naum, “w nadrealizmie uprawianym w Rumunii, podobnie jak wszędzie w nadrealizmie, mieści się tylko to, co jest nadrealistyczne w swojej istocie...”³

Warto tu przypomnieć zastrzeżenia, jakie Gellu Naum wysuwał przeciwko popełnionemu przez jego przyjaciela „non-Edypowemu błędowi”. „Teoretyczne poparcie non-edypizmu od samego początku nakazuje nam demaskować jego pozornie dialektyczny, mętny i reakcyjny charakter. Można powiedzieć, że to non-edypowe stanowisko cechuje teoretyczna próżnia, jakby celowo zachowywana w całej literaturze non-edypowej, mimo obfitości bezpośrednich negacji oraz nie wspartego niczym rewolucyjnego języka...”⁴.



Petre Solomon

Z AULEK LITERACKI

FLORIN FAIFER

Celan / Solomon

Bukareszt, pierwsze lata po wojnie. W „mieście Mateia Caragiale”, które wbrew tyłu ciężkim doświadczeniom nie utraciło ani swojego uroku, ani żywotności, przez jakiś czas przebywa pewien milczący młody człowiek o smutnym spojrzeniu. Jego milczenie wydaje się ukrywać jakieś traumatyzujące przeżycia. Przybyły z Bukowiny Paul Anczel stracił w hitlerowskich obozach oboje rodziców i dyskretnie, jaką zachowuje na temat tej tragedii, która wycisnęła na nim tak głębokie piętno, dowodzi, iż jego duszę nawiedzają widziadła. To właśnie jest tym sztyrem, który odnajdujemy w ciemnościach napiętej do paroksyzmu poezji pozbawionego korzeni Paula Celana. Rozpacz zmieszana z buntem, ponury dreszcz wzrastający enigmatyczną na pozór gestykulacją.

Na razie wąty przybysz z Czerniowiec przyzwyczają się do wartkiego rytmu, jakim żyje mały Paryż. Zieleni parków cieszy oczy, piękność dziewczyn ożywia nawet przytłoczonego melancholią przechodnia. Wszystko skłania do niesforności i nęci rozkoszną przygodą. I oto nas-trojony introspekcyjnie Paul, jakby się wyleczył ze zgorzknienia i wchodzi w atmosferę, która wydaje się mu służyć. Mamy lata 1945-47 i kraju nie ogarnęły jeszcze przymrozki. Teatry, księgarnie, antykwiariaty i kółka literackie jeszcze nie zaczęły się dusić. Przeciwnie. Tętnią życiem. Zwłaszcza stolica tętni intensywnym – na miarę

licznych iluzji – życiem. Vladimir Colin w jednym ze swych listów wspominał nawet o tym jako o rzeczach pewnych! Zapewne, można było powiedzieć, że w mieście, w którym dopiero co kupcom zabroniono sprzedawania kawioru, z punktu widzenia warunków życia nie było poważnych powodów do rozpacz. Niektórym zaś komunistyczne iluzje, nie tak znów odległe od gulagu batiuszki, wydawały się czymś podnoszącym na duchu. Ekskcytującym, czy choćby tylko uspokajającym. Młody Paul z właściwym jego wiekowi entuzjazmem śpiewał rewolucyjne pieśni. Teraz i później będzie z zafaniem patrzeć na Wschód. Wkrótce wyjedzie do Wiednia, nie wyprze się jednak swego wyboru („Mon espoir est a l'Est") wówczas, gdy w listach do Petre Solomona otworzy swe zasmucone serce („mon vieux coeur de communiste").

Z korespondencji opublikowanej w tomie, który komentujemy, przebiega przesłanie człowieka raczej odizolowanego, ciężko przeżywającego stan samotności, w której judejskie uczucie wiecznego potępienia oznacza nie tylko kryzys będący skutkiem metafizycznego zawrotu głowy. Wrażliwość Paula Celana sprawia, że reaguje on bardzo boleśnie na przykrości, które go coraz częściej spotykają i przygniatają. Wokół ma tylko kilku przyjaciół. Jest natomiast nekany oszczerczymi atakami (między innymi oskarżenie o plagiat, insynuacja jakoby nie znał języków, z których tłumaczy), w wyniku czego, mając coraz bardziej nadszarpnięte nerwy, uważa się za kogoś, kto został „unicestwiony". Zrozpaczony z powodu tytu „dwuznaczności", takiej „obłudy", różnych „Ersatz-ów" zryma się ilekroć ma do czynienia z przejawami „sprzedajności", „głupoty", „chytrości". Jednakże spośród „zjawisk germańskich" złowrogi wydaje mu się zwłaszcza odżywianie pewnych odruchów antysemityzmu, odradzanie się – utajone lub nie – ruchu neonazistowskiego. Cynicznie, z chęci mistyfikacji, oskarża

Gellu Naum zarzucał Ghérasimowi Luce także błąd, jakim – według niego – było traktowanie miłości jako fatum niemożności w podzielonym na klasy społeczeństwie. „Jeżeli z punktu widzenia dialektyki można mówić o tym, że w społeczeństwie podzielonym na klasy wolna miłość, na przykład, nie jest możliwa, to wcale nie jest to równoznaczne z uznaniem nawet przejściowej jej niemożności w obliczu jakiejś przeszkody" – pisał Gellu Naum, udzielając jeszcze jednej „lekcji" mniej dogmatycznemu niż on sam Ghérasimowi Luce⁵. Była to lekcja surrealizmu, ale też i marksizmu. Oskarżenia o „reakcyjność", o „pesymizm nie do wyperswadowania", o odrzuceniu dialektyki itd., itp. brzmią dziś zupełnie inaczej niż wówczas, natychmiast po wojnie. Wówczas nie miały one jeszcze tego złowrogiego ładunku, ponieważ nie kojarzyły się z nadużyciami i zbrodniami, jakie nieco później popełniono w imię podobnych pojęć.

A ponadto, inkryminowani – Ghérasim Luca i Trost (również oskarżony we wspomnianym tekście o „oniryczną polityczność" i inne „grzechy" ideologiczne) – mieli możliwość udzielenia odpowiedzi i równie gwałtownego zwalczania swych przeciwników. Interesujące jest to, że wszyscy oni powoływali się na te same zasady i mieli tych samych bożków czy bogów. Ghérasim Luca, bynajmniej nie był wrogiem dialektyki, do tego stopnia był nawet jej adeptem, że marzył o „jakiejś dialektyce dialektyki": pod takim właśnie tytułem razem z Trostem ogłosił – także w roku 1945 (w którym Paul Anczel przybył do Bukaresztu) „Przesłanie do międzynarodowego ruchu surrealistycznego"⁶. „Przesłanie", jak wiele zresztą dzieł „pięciu" napisane w języku francuskim, wyrażało przywiązanie do ruchu dwóch spośród nich, jednak było to przywiązanie znuansowane, podszyte zastrzeżeniami i powiązane z pewnymi oryginalnymi propozycjami. Jak podkreślali obaj autorzy, ich informacje o ruchu nadrealistycznym kończyły się na 1939 roku. Chociaż Gellu Naum ze względu na bezpośrednie kontakty z Andre Bretonem (do momentu wybuchu wojny), był może lepiej niż oni zorientowany, również i on nie posiadał pełnej informacji o sprawie. Naum plasował się raczej na pozycjach przedwojennego nadrealizmu, które można by określić jako klasyczne, bądź ortodoksyjne, niż na znacznie odbiegającym od nich stanowisku, jakie zajął André Breton po swym powrocie ze Stanów Zjednoczonych (1946 r.), a nawet wcześniej.

Więcej, nawet w najbardziej dogmatycznych okresach swej działalności Breton był zagorzałym obrońcą wolności, z wolnością twórczą włącznie. Właśnie ta wiara w wolność spowodowała, że definitywnie zerwał z komunizmem w jego stalinowskiej wersji. Stało to się po tym, jak uswiadomił sobie – co prawda dosyć późno (choć i o wiele wcześniej niż inni) – że w imię marksizmu-leninizmu popełniane są zbrodnie i szerezone jest bezprawie. Zerwanie pomiędzy wiernymi Bretonowi nadrealistami a tymi, którzy przez jakiś jeszcze czas pozostali przy komunizmie typu stalinowskiego (a zaliczają się do nich, niestety, również tacy pisarze, jak Aragon i Eluard), było jednym z najbardziej dramatycznych zakrętów w burzliwej historii współczesnej kultury. Do czegoś takiego doszło także w Rumunii, tyle że na bardziej ograniczoną skalę, chociaż intensywność przeżył była podobna. Wracając do sporu między Gellu Naumem a Ghérasimem Luką, trzeba powiedzieć, że w owym czasie ani jeden ani drugi w ogóle nie wiedzieli o ewolucji ich mentora. Przemawiając do francuskich studentów Uniwersytetu w Yale w grudniu 1942 roku, Breton następująco streścił swoje stanowisko: „Można powiedzieć, że w okresie międzywojnia stała pobudką do działania było dla surrealistów namiętne poszukiwanie wolności. Tym, którzy okresowo pytają, dlaczego w łonie ruchu nadrealistycznego dochodziło do tego rodzaju rozłamów, mogę – jak

sądze – z całą świadomością odpowiedzieć, iż w ten sposób zostali wyeliminowani ci, którzy bardziej lub mniej ewidentnie okazali się wolności niegodni”⁷.

W konkluzji Breton mówił: „Wytrwała wiara w automatyzm jako sondę, wytrwale pokładanie nadziei w dialektyce (dialektyce Heraklita, Eckharta i Hegla), które pozwolą rozwiązać przygniatające człowieka antynomie, uznanie obiektywnego przypadku za oznakę możliwego pogodzenia celów natury z celami człowieka,... wola stałego włączania czarnego humoru do aparatu psychicznego,... przygotowanie praktyczne w celu ingerencji w życie mityczne,... wszystko to są i pozostaną podstawowe hasła surrealizmu”⁸.

W porównaniu z wcześniejszym stanowiskiem wyrażonym w *Pierwszym Manifestie* (1924), czy innych formułujących doktrynę tekstach z okresu przedwojennego, w dyskursie Bretona z 1942 roku oprócz pewnych elementów ciągłości daje się zauważyć określona zmiana tonu i perspektywy. W ciągu 18 lat pierwotny dogmatyzm stawał się w kolejnych manifestach coraz bardziej subtelny aż ustąpił miejsca postawie elastyczności, wyraźnie zwróconej ku życiu duchowemu; nie porzucając całkowicie Marksą, Breton pozostaje wierny przede wszystkim Freudowi, uważanemu przezeń za śmiałego badacza „życia nieświadomego”, w którym rządzi prawo automatyzmu, stawiane przez nadrealistów ponad pozostałe mechanizmy ludzkiego ducha.

Rumuńscy nadrealiści, którzy w okresie drugiej wojny światowej byli oderwani od nadrealistów francuskich, siłą rzeczy do pewnego punktu szli własną drogą. Na płaszczyźnie teoretycznej najbardziej oryginalny wkład wnieśli Ghérasim Luca i D. Trost, pozostali utrzymywali się w granicach bretonowskiej „ortodoksji” z okresu pierwszych manifestów. W swym „Przesłaniu” do międzynarodowego ruchu surrealistycznego obydwoj wymienieni pisarze wykazywali nawet szczególną troskę o to, by nadrealizm nie przekształcił się w „nurt buntu artystycznego”, lecz nadal rozwijał się teoretycznie. Pierwszym warunkiem tego rozwoju było, ich zdaniem, utrzymywanie go w „stanie permanentnej rewolucji” dzięki dialektycznej postawie „permanentnej negacji i negacji negacji”⁹. „Szalone nadzieje, jakie wiązałyśmy z pojawieniem się surrealizmu oraz z pojawieniem się nas samych, wymagają jednocześnie, byśmy wyrazili wszystkie nasze pragnienia, zaś to nasze pragnienie nad pragnieniami znalazłoby się w kolizji z wszelką próbą przekształcenia nadrealizmu w ruch czysto aktualny ... Odrzucamy przeszłość ludzkości w jej całokształcie, podobnie jak odrzucamy jej oparcie pamięciowe, czyli pamięć, zaś przez pragnienia rozumujemy nie tylko zarysowanie kilku fundamentalnych potrzeb, takich jak te kryjące się w nieświadomości, ale też i takich, które dopiero musimy wynaleźć... Głosimy miłość wyzwoloną z jej społecznego i indywidualnego, psychologicznego i teoretycznego, religijnego czy uczuciowego przymusu jako naszą główną metodę poznawczą i metodę działania... Wierzmy, że nawet w jego najbardziej bezpośrednich aspektach bezgraniczne uerotycznienie proletariatu jest najcenniejszą możliwą gwarancją zapewnienia mu rzeczywistego rewolucyjnego rozwoju w tym nędznym czasie, jaki obecnie przeżywamy...”

Ich francuscy współbracia z zainteresowaniem przyjęli do wiadomości zajęcie takiego stanowiska oraz jego praktyczne, to znaczy artystyczne, zastosowania, jakie po tym nastąpiły. Jeśli nawet pomysł Ghérasima Luki przeciwstawiania się samym prawom natury po to, by sprzyjać „totalnej rewolucji”, nie wzbudził entuzjazmu (podobnie zresztą, jak teoria dotycząca przewycięzania – w imię tej samej rewolucji – „ojczystego traumatyzmu” poprzez przyjmowanie „postawy non-edypowej”), inne idee



Petre Solomon

Z AULEK LITERACKI

się go o to, że rzekomo wymyślił Jęgendę” o rodzicach, którzy zginęli w obozie koncentracyjnym.

Jak więc w takiej sytuacji nie mają go nawiedzać widziadła młodości? Jak na tym „pozłacanym Zachodzie”, do którego nie może się przystosować, nie ma tęsknić do dawnych ideałów? Jeden z jego listów kończy się okrzykiem: „Niech żyje Jaures!”. W innym Paul (tak się poufale podpisywał) wymachuje komunistycznym sztandarem. W rzeczywistości, Petre Solomon stara się wyłowić różne oddienie. „Celan był marksistą, któremu sprawiły ból odchylenia, jakich w imię marksizmu dopuszczano się w pewnym okresie, podobnie jak był obolałym Żydem mającym tragiczną świadomość judaizmu”. Wobec tego, że rzeczywistość wydaje mu się wroga, a nawet więcej, bo agresywna, udręczony Celan szuka schronienia w nadziei, „nadziei na solidarność poezji”, owej poezji „solidarnej z prawdą”. Być może także dlatego drażni go – w stopniu, w jakim zapewne by go nie drażnił w jego bukareszteńskim okresie – nadmierny eksperymentalizm. Sam sobie wydaje się „smutnym poetą tworzącym w języku teutońskim”; uważa, że nie jest rozumiany (choć w tym właśnie czasie przyznawane mu są różne ważne nagrody), że wokół niego ktoś knuje zmwowę milczenia. Przyjmuje depresję nerwową, która będzie się pogłębiała aż popchnie go do samobójstwa. Rozwiedziony („Kobięcie trudno jest iść za geniuszem”), Celan pogrąża się w marzeniu: „Często zastanawiałem się, czy nie byłoby lepiej, gdybym pozostał

wśród buków kraju mego urodzenia".
Również w tych elegijnych słowach
wibruje „rumuński wymiar” jego natury.

Jak mógł Milo Dor utrzymywać, że autor utworu *Tangoul morții* (Tango śmierci) „przybywał dosłownie z niebity”? Bukareszt z czasów młodości Paula Celana stwarzał – wystarczy pomyśleć chociażby o wrzeniu ruchu nadrealistycznego (Ghérasim Luca, Gellu Naum, Virgil Teodorescu, Paul Paun, D.Trost) z jego (zbyt) gwałtowną buntowniczością i wszystkimi jej cudactwami – o atmosferze, której głos liryczny mógł się wyrażać do woli, nawet, jeżeli różne złudzenia zaczęły się już rozwiewać. Nasz Bukowińczyk zatrudniony w charakterze redaktora w Wydawnictwie „Cartea rusă” (Rosyjska księżka) – tłumaczył także z rosyjskiego – zawarł tu przyjaźnie, których już nie zapomniał. Wśród nich była Nina Cassian z jej iskrzącą werwą i pobudzającą złośliwością. Wygrawszy pewnego razu z Ovidiu S. Crahmăliceanu zakład o inteligencję, postawiła przytomnego przeciw Mony w takiej sytuacji, że był zmuszony ogłosić, iż to ona jest „najinteligentniejsza, najpiękniejsza i najbardziej utalentowana”. Na wieczorki literackie i inne spotkania przychodzili ponadto Vladimir Colin, Veronica Porumbacu, M. Petroveanu, sam Petre Solomon i wielu innych. Alexandra Philippide i Alfreda Margula Sperbera (to jego żona letty wybrała mu pseudonim, który stał się sławny – Celan) osiadł w Paryżu poeta będzie w swoich listach nazywał „mistrzami”.

Jak wynika ze wspomnień Petre Solomona, była to piękna epoka, pogodnie kipiące życiem dnie, kiedy to wydawało się, że świeżo upieczony bukareszteńczyk chce zapomnieć, chce uwolnić się od koszmaru, jaki nosił w sobie. Ci, którzy będą czytać jego ponure i pełne niepokoju wiersze, z pewnością zdziwiłoby się, widząc, jak udręczony Celan śmieje się i śpiewa, innymi słowy byłiby zdumieni, że bywał też w nastroju jowialnym, że stany podniosłości występowały u niego na przemian z chwilami mniej

Ghérasima Luki i Trosta, zwłaszcza wielokrotnie formułowana przez nich koncepcja „nowych pragnień”¹⁰, zrobiły w Paryżu dobre wrażenie. Powodzeniem cieszyły się również „przedmioty”, jakie grupa bukareszteńska pokazała na Międzynarodowej Wystawie Surrealistycznej w Paryżu w 1947 roku. Tymczasem między członkami grupy doszło do pojednania, stało się to być może dzięki jakiemuś kompromisowi, lub dyktatowi, a być może w związku z powszechną nieomal wrogością rumuńskich intelektualistów wobec wszelkich wystąpień grupy. Jednakże grupa wydawała się dość prężna, jeśli sądzić na podstawie obfitości jej publikacji oraz echa, jakie wywoływały wystawy organizowane przez nią w sali im. Brezoianu i w innych pomieszczeniach. Sądzę, że nawet w Paryżu działalność nadrealistów nie miała aż takiego zasięgu, przynajmniej przed powrotem – po przeszło sześćdziesięciu latach nieobecności – Bretona z USA. Zanim jeszcze Paul Anczel pojawił się w Bukareszcie, w styczniu 1945 roku Ghérasim Luca i D.Trost eksponowali swoje „barwne znaki graficzne, formy geometryczne („kubomanie”) i przedmioty” na pierwszej wystawie zorganizowanej przez grupę. „Znaki graficzne” były dziełem Trosta, natomiast pozostałe eksponaty – Ghérasima Luki. Podpisany przez obu twórców i wydrukowany w języku francuskim katalog zaczynał się następująco: „Zgadźmy się na sen, szaleństwo, miłość i rewolucję...”. Anczel miał jednak obojętne, razem ze swą przyjaciółką z Czerniowiec Ruth Kraft, dopiero drugą z kolei wielką ekspozycję grupy, która odbywała się w od 29 września do 18 października 1946 roku w galerii Cretulescu (sala „Căminul Artei”, tj. Ogniska Sztuki). Katalog, podobnie jak poprzedni również wydany w języku francuskim, nosił tytuł *L'INFRA-NOIR. Préliminaires a une intervention sur-thaumaturgique dans la conquete du désirable*. Podpisała się pod nim cała „piątka”: Ghérasim Luca, Gellu Naum, Paul Păun, Virgil Teodorescu i D. Trost, chociaż wystawiało tylko trzech z nich (Luca, Păun i Trost). Niezależnie od skandalu, do jakiego dążyli (i który w pełni osiągnęli) wystawiający, którzy i pod tym względem byli wierni swym paryskim współbraciom, wystawa w „Căminul Artei” uwidoczniła zarówno charyzmę wszystkich trzech twórców, jak też ich inwencję plastyczną i poetycką. Oto kilka legend opisujących niesamowite przedmioty przedstawione w katalogu: „Otwierają się drzwi. Na drzwiach jest udrapowana bluźniercza i biczująca suknia z wyciętymi plecami, która wyraża totalny protest kilku serc pogrążonych w morzu dymu i – wskutek wdychania sadzy – zmuszonych do stąpania po wszystkich imperiach, do jakich tylko przenika ich trójkątna, wystawna a zarazem metaliczna demonstracja, unosząca w górę rzadkie i nie od pary okna nigdy dotąd nie zbadanego półwyspu, biegnącego wokół początku egzorty...”

„Poruszając powoli uwodzielskim krzesłem, twarze nasze odnajdą szczyf powietrza, zamkniętego i bardziej hermetycznego niż konwulsje między wargami. Wokół nas lewitacje muskają wargami zwariowane fryzury, nie dająca się wprost wyrazić łatwość, z jaką oko stapia się z tym, co widzi, podczas gdy zarozumiałość ucha zaczyna ogarniać spoczywających w objęciu słów głuchego i niemowę, którzy usnęli na wysokiej krawędzi, gdzie powołane usta odpowiadają tylko uśmiechem”¹¹.

Każdy, kto czyta poematy prozą napisane przez Paula Celana po rumuńsku musi zauważyć pokrewieństwo tonu a nawet stylu między tymi utworami, a „opisami” surrealistycznych przedmiotów. Jedne i drugie pozostają pod znakiem automatyzmu, który Breton i jego adepci uważali za fundamentalny w „realnym funkcjonowaniu” myślenia. Nie chodzi tu o bezpośredni wpływ, chociaż takiego wpływu też nie należy wykluczać, lecz raczej o wspólną predyspozycję do myślenia paralogicznego.

Swobodne łączenie słów mających przeciwne znaczenie, umieszczanie ich w pozornie „normalnych” ramach składniowych, stwarza owo wrażenie „dezorientacji” towarzyszącej lekturze tekstów surrealistycznych, podobnie jak towarzyszy ono kontemplowaniu „przedmiotów”, lub płócien i rysunków artystów plastyków, na których wycisnęła piętno nadrealistyczna estetyka. Nie ulega wątpliwości, że Paula Celana przez jakiś czas pociągała ta estetyka, czy też w istocie rzeczy bardzo pojemna etyka, w której dość było miejsca także i na sztukę, chociaż nie było to miejsce pierwszoplanowe. Tak czy inaczej, młody Celan okazał się ogromnie zainteresowany działalnością grupy bukareszterńskiej, nawet jeżeli nie w pełni go zadowalała.

Jeden z przyjaciół Celana z Czerniowiec, Leonid Miller, który osiadł niedawno w Bukareszcie, zamieszkał w domu przy ulicy Nicolae Iorgi, gdzie jedna z jego siostr, imieniem Nata, urządziła zabawy, na których bywał czasami również Paul. Przynajmniej tak to pamięta Edith Silbermann, stara przyjaciółka z Czerniowiec, dziś mieszkająca w Duesseldorfie. Leonid Miller był bratem Iry Hager, żony księgarza, który (według Ruth Kraft) zamieszkał w stolicy jeszcze przed wojną i był właścicielem księgarni mieszczącej się naprzeciw Uniwersytetu, za pomnikiem Michała Walecznego.

Na przyjęciach u Millera młody Celan spotkał kilku spośród czołowych działaczy ruchu surrealistycznego: Ghérasima Luke, Paula Păuna, Trosta, Virgila Teodorescu; nie spotkał tam natomiast Gellu Nauma. Jest też prawdopodobne, że tam właśnie zetknął się z *femme fatale* grupy, Nadiną Krainik, o której wspomina Trost w kilku swoich, wciąż nie opublikowanych utworach, do których należy chociażby *La possedee*. (Portrait d'une femme).

Młody Celan był zapewne zorientowany w działalności grupy, chociaż nie potrafię powiedzieć, które konkretnie utwory jej członków były mu znane. Bibliografia bukareszterńskich nadrealistów wydaje się dziś dosyć bogata, chociaż mogłaby być jeszcze bardziej imponująca, gdyby nie to, że spadł na nią miecz Demoklesa, który w imię marksizmu miał ściąć tyle dzieł i świątych głów! Ghérasim Luca, najbardziej płodny spośród rumuńskich nadrealistów (ur. w 1913 r. w Bukareszcie) miał się stać później w Paryżu bliskim przyjacielem Celana; do utworów, jakie ten ostatni mógłby czytać, należą *Quantitativement aimee* (1944, Editions de l'Oubli, Paris – utwór drukowany jednak w Bukareszcie), *Le vampire passif* (1945, to samo wydawnictwo), *Inventatorul iubirii* (Wynalazca miłości) oraz tuż potem *Parcurg imposibilul* (Przemierzam to co niemożliwe) i *Moartea moartă* (Martwa śmierć) (1945, Wydawnictwo Negația negatiei, Bukareszt), *Un lup văzut printr-o lupă* (Wilk widziany przez lupę), (1945, to samo wydawnictwo), *Les orgies des quanta* (1946, Surréalisme, Bukareszt), *Amphitrite* (1947, Infra-Noir, Bukareszt), *Le secret du vide et du plein* (1947, to samo wydawnictwo, a może raczej seria). Niektóre z tych zbiorów – drukowanych na papierze welinowym – najróżniejszymi rysunkami lub kolażami, które nazywał „kubomaniami” (non-edypowymi), „przedmiotami” itp., zilustrował sam autor, albo jego przyjaciel D. Trost (ogromnie pomysłowy w wynajdywaniu technik graficznych, nazywanych przezeń „waporyzacjami”, „grafomaniami wewnętrznymi” itp. Inny „weteran” grupy, Gellu Naum (ur. w 1915 r. w Bukareszcie) w latach 1945 – 1947 również miał dość bogaty dorobek twórczy. Naum zadebiutował w 1935 roku zbiorkiem *Drumetul incendiar* (Zapałny wędrowiec), który wydał własnym sumptem, jeszcze przed wojną dając się poznać jako konsekwentny poeta surrealistyczny. Opublikowane później tomiki: *Libertatea de a dormi pe o frunte* (Wolność spania na jednym czole, 1937), *Vasco da*



Petre Solomon

Z AULEK LITERACKI

lub bardziej pozoranej lekkomyślności. W sporach z przyjaciółmi (w których nigdy nie zabrakło dowcipnych, albo i zupełnie niedowcipnych „pytań i odpowiedzi”) stawką mógł być również kalambur („cette belle saison des calembours”). Niekiedy gra słów jest tak niskiego lotu, że aż dziwi (Mięsomn – Somn, sau nisetur?” – nie przetłumaczalne, dosłownie: chce mi się spać (somm= sen) – Sum (somm= sum), czy jesiotr? – tłum.), inne kalambury są jak ćwiczenia na jakiejś fantazyjnej klawiaturze, czuć w nich tchnienie poezji („Czym jest powrót? – Prawie niczym, ale mógłby być płatkiem śniegu”). Także w listach przez jakiś czas Paul Celan zachowywał jeszcze tę skłonność do żartów słownych, zrzucając wszelkie gorsety, jakie zwykło się nakładać ekspresji (nieprzetłumaczalne – „lux de maruntaie” na wzór „lux de amărunte = nadmiar szczegółów, według tego wzoru dałoby się to przetłumaczyć: nadmiar flaków (podrobów) – tłum.); „suntem singuri ca vai de Sartre” – ewentualnie: jesteśmy samotni jak ten nieszczęśnik Sartre). Kontakt z rumuńskim nadrealizmem w jego aspekcie ludycznego absurdu nie pozostał, jak widać, bez echa.

Ciekawe, że w okresie, w którym również u nas pod zgiełkową szarżą awangardy w całej masie tekstów, w prozie, ale przede wszystkim w poezji, dochodzi do absolutnej – aż do nonsensu – eksplozji wolności słowa, żarty wynalazcy letryzmu Isidora Isou (według Celana był on „szarlatanem”) w ogóle nie chwytają. Nina Cassian odnotowała z sarkazmem: „Paryż przelknął zatem to, czego Bukareszt

nie chciał nawet wziąć pod uwagę? Przelknął!..." I aby udowodnić każdemu, kto ewentualnie wątpiłby, że uprawianie nieprzewidywalności to nie wielkiego, napisze poemat w wymyślonym przez siebie języku „sparg”. Z kolei Virgil Teodorescu (którego utwory Celan tłumaczył, podobnie zresztą jak wiersze Gellu Nauma) tworzy w „języku lamparcim”. Jak długo poeta, którym się zajmujemy, mieszkał w Bukareszcie nie były mu obce tego rodzaju eksperymenty, zabawy i gry i dziwolągi. Nie przyłączył się jednak do żadnej grupy. Zachowywał się jak „wolny strzelec solidarny z awangardą”.

Opracowany z pietyzmem przez Petre Solomona tom oprócz listów (o których wspomniałem) i krótkich przekładów z Kafki (wymowny wybór) obejmuje kilka poematów (wierszem i prozą) napisanych przez Celana po rumuńsku. Ich lektura jest trudna ze względu na niecodzienne połączenia słów, dziwaczną imażystykę, w której przenika się nawzajem to, co konkretne, z tym, co abstrakcyjne, a to wszystko w lamanej, eliptycznej składni. Daje to w sumie hermetyczny dyskurs, godny „mistrza ciemności”, mający jednak trudną do naśladowania siłę sugestii. Jest to wizja o tragicznej intensywności, wyrażająca się w błyskawicach i ekspresjonistycznych skurczach, skoncentrowany alegoryzm napromienia oszalamiającą atmosferę, w której rozbitcie przeladowanego ponurymi przecuciami samotności statku nie rozwiewa do końca nadziei, że uda się dotrzeć do jakiegoś brzegu.

Jest w tej nerwicy silnego dreszczu egzystencjalnego jakiś Celan sprzed Celana i wszelka egzegeza powinna uwzględnić (posługując się syntagmą Petre Solomona) rumuński wymiar jego twórczości i jego życia.

Przełożyła Halina Mirska-Lasota

PETRE SOLOMON: *Paul Celan. Dimensiunea românească* (Wymiar rumuński). Wyd. Kriterion. Bukareszt 1987 280 s.

Gama (1940), *Culoarul somnului* (1944), *Medium* (1945), *Teribilul interzis* (1945, Seria surrealistyczna z kartą tytułową autorstwa Paula Pauna), *Castelul orbilor* (Zamek ślepców, 1946, ta sama seria), stawały go w czołówce awangardowej literatury.

Paul Păun (ur. 1916 r., w Bukareszcie) debiutował w piśmie „unu” i innych publikacjach awangardowych wierszami raczej „unu-mistycznymi” niż nadrealistycznymi i dopiero w latach wojny nawrócił się na etykę i estetykę Bretona. Od *Plămînul sălbatec* (Dzikie płuco), tomiku wydanego w 1933 roku, do *Marea palidă* (Błede morze) opublikowanego „gościnnie” w „Serii surrealistycznej” w 1945 roku prowadzi długa liryczna droga, którą utworowała również intensywna i ogromnie interesująca działalność poety jako grafika. Paul Păun, zanim w 1962 roku opuścił Bukareszt, wydał jeszcze dwa tomiki surrealistycznej prozy w języku francuskim: *Les esprits animaux* (Infra-Noir, 1947) i *La conspiration du silence* (Infra-Noir, 1947). Jednakże, podobnie jak Trost i Ghérasim Luca, przygotował do druku wiele innych tekstów, niektóre we współpracy z innymi pisarzami; zostały one powierzone na przechowanie Virgilowi Teodorescu (ten zaś mnie je zapisał w testamentie, prawdopodobnie nawet nie przychodziło mu do głowy, że nadejdą czasy, kiedy pisma niepublikowane staną się „aktualne”...)¹².

Virgil Teodorescu (ur. w 1909 roku w Cobadin w Dobrudży) był w latach 1945-1947 trochę mniej znany niż jego pobratymcy; mimo że był od nich starszy, zadebiutował wydawniczo dopiero w 1945 roku tomikiem *Blănurile oceanurilor* (Spienione oceany), po którym bardzo szybko wydał następny *Butelia de Leyda* (Butelka Leydejska); w 1946 r. razem z Gellu Naumem wydał tomik zatytułowany *Spectral longevității. 122 cadaure* (Spektrum długowieczności. 122 trupy; Seria surrealistyczna), w następnym zaś roku dwa tomiki w języku francuskim *Au lobe du sel* i *La provocation* (oba w serii Infra-Noir). Virgil Teodorescu, którego dane było poznać Paulowi Celanowi, był autentycznym poetą, którego nazwiska podówczas jeszcze nie splamił żaden kompromis z totalitarną władzą. Dowodem na to, iż Celan cenił go jako poetę jest to, że przełożył jego wiersze na język niemiecki; do nielicznych rumuńskich poetów, którzy cieszyli się taką jego atencją, obok Argezkiego i Gellu Nauma, znalazł się właśnie Virgil Teodorescu¹³. Nie wynika z tego jednak, że nie cenil również dorobku innych rumuńskich poetów, nawet jeżeli ich utworów nie tłumaczył. Wiem na przykład, że był wielbicielem tomiku Paula Păuna *Marea palidă*; Păuna cenil zresztą również jako człowieka; w każdym bądź razie, gdy Celan zaczął przygotowywać swój wyjazd z kraju, radził się także i jego. Ponieważ proponowany przez Păuna sposób wydostania się z kraju nie wydawał się zbyt pewny, Celan jeszcze jakiś czas przeczekał zanim wyruszył (nielegalnie) na wygnanie. Nieco później (jednak zaopatrzone we wszystkie niezbędne dokumenty), w tę samą drogę udał się sam Paul Păun.

Ostatni z tej „piątki”, D. Trost (ur. w Braili w 1916 roku i zmarły w Chicago w roku 1966) był postacią fascynującą; dzięki swej równie bogatej co głębokiej kulturze służył on grupie bukareszteńskiej znaczącym wsparciem teoretycznym. Jego opublikowany dorobek twórczy nie jest zbyt duży, zaledwie kilka tomików: *Le profil navigable* (1945, Les éditions de l’oubli), *Vision dans le cristal* (1945, w tym samym wydawnictwie), *La connaissance des temps* (1946, seria Surréalisme), *Le meme du meme* (1947, Infra-Noir), *Le plaisir de flotter* (1947, Infra-Noir) - na szczęście uzupełniają go jednak teksty nie publikowane. Nie wiem, jakie znaczenie mogą mieć dzisiaj teorie Trosta dotyczące natury snów (był to jego ulubiony temat, który traktował obsesyjnie, jednakże w jasnym i eleganckim stylu), myślę jed-

nak, że zasługują one na to, by zajęli się nimi badacze. Podobnie warto byłoby rozważyć jego wkład graficzny („wrózenie ze snów”, itd.) w ruch nadrealistyczny.

Kontakt młodego Celana z grupą nadrealistów z Bukaresztu – niezależnie od tego jak był sporadyczny – pozostawił dość głębokie i trwałe ślady w jego świadomości, a nawet w dziele poetyckim. Mimo że do tego kontaktu doszło w stosunkowo późnym momencie ewolucji poety, w każdym bądź razie po przyswojeniu sobie przezeń ekspresjonizmu, symbolizmu i innych ważnych prądów liryki europejskiej, zwłaszcza niemieckiej, był on jednak na swój sposób decydujący, ponieważ pomógł Celanowi znaleźć swoją własną drogę w poezji. Wielu badaczy jego dzieła zauważyło jego surrealistyczną treść, zwłaszcza w pierwszych opublikowanych na Zachodzie tomach. Helmut de Haas charakteryzuje w 1953 roku autora *Mohn und Gedaechtnis* jako „surrealistę, który panuje nad swoją żywiołowością i rezygnuje z automatycznego pisanie” („ein Surrealist, der seine Spontaneität kontrolliert und auf die automatische Textur verzichtet”)¹⁴. Inny niemiecki badacz, Horst Bienek w związku z dwoma pierwszymi tomami Celana zauważa: „Istnieje tu bogactwo metafor niezwykle, śmiałych, wizjonerskich, które po wyeksploatowaniu ich przez nadrealistów mogłyby się już wydawać niemożliwe” („Hier war ein Reichtum an ungewohnlichen, kühnen, visionären Metaphern, den man nach der Ausbeute im Surrealismus nicht mehr fuer möglich gehalten hatte...”)¹⁵.

Nie ulega wątpliwości, że młody Celan znalazł w Bukareszcie, w małej ale bardzo aktywnej i pomysłowej wspólnocie surrealistów przejściowe schronienie, w którym czuł się dobrze i od którego miał czego się uczyć. Przez „wspólnotę nadrealistów” rozumiem, być może jest to z mojej strony pewne nadużycie, także kółko literackie, któremu przewodniczyła Nina Cassian, a do którego należałem zarówno ja, jak i Ovid S.Crohmăniceanu. Tutaj był kultywowany głównie aspekt ludyczny nadrealizmu, bez dogmatów, które w jakimś sensie towarzyszyły działalności właściwej grupy nadrealistów. Paul Celan namiętnie grał w „Question et reponse” oraz w inne surrealistyczne gry spod znaku czarnego humoru – humoru, który stał się absolutnie niezbędny w związku z pogorszeniem się sytuacji politycznej w kraju. Przeciwności losu, jakie odczuwali rumuńscy intelektualści z powodu coraz bardziej demagogicznej i autorytarnej propagandy, były udziałem także młodego Paula Celana. Ponieważ przybył skąd przybył i miał za sobą tak bolesne doświadczenie (deportacja rodziców i ich eksterminacja) w porównaniu z pozostałymi członkami grupy Celan miał ową tragiczną świadomość i bagaż bezpośrednich doznań okropieństw, od czego bukareszteńscy byli w jakimś stopniu wolni. Z drugiej strony jako człowiek młody był on w stanie, a nawet pragnął, bawić się, by jakoś sobie zrekompenzować niedostatki i cierpienia, które znosił w Czerniowcach i w obozie koło Buzău. O ile na płaszczyźnie stosunków osobistych z grupą bukareszteńską sprawy przedstawiają się dosyć klarownie (młody Celan te stosunki podtrzymywał, mimo iż w rzeczywistości do grupy nie należał; jak zauważa Gellu Naum, było to zamknięte grono osób), o tyle sprawy komplikują się z chwilą, gdy próbujemy ocenić estetyczne konsekwencje kontaktów z grupą nadrealistyczną. Takiego poety, jak Paul Celan, nie da się bowiem sprowadzić do żadnego z wpływów, jakim ulegał; byłoby jednak bezcelowe i powierzchowne, gdybyśmy próbowali przeczyć, że takie wpływy na płaszczyźnie etycznej i na płaszczyźnie estetycznej były, z wpływem nadrealizmu włącznie. Spośród poetów surrealistycznych Celan preferował tych, którzy wbrew lansowanej przez Bretona tendencji do bezosobowości pozostawali bardzo



Petre Solomon

Z AULEK LITERACKI

- 1 *Critica mizeriei*. Gellu Naum, Paul Păun, Virgil Teodorescu. Seria surrealistyczna. Bukareszt 1945, s. 3
- 2 *Ibidem*, s.6 – 7
- 3 Gellu Naum: *Teribilul interzis*, Seria surrealistyczna, karta tytułowa Paul Păun. Bukareszt 1945 s.87
- 4 Gellu Naum: op. cit. s.88
- 5 *Ibidem*, s.91
- 6 Gherasim Luca i Trost: *Dialectique de la dialectique. Message adressé au mouvement surréaliste international*. S Surrealisme. Bucarest 1945
- 7 André Breton: *Situation du surréalisme entre les deux guerres*. Paris 1945
- 8 *Ibidem* (strony w tomiku bez paginacji)
- 9 Cytaty z *Dialektyki dialektyki* podaje według wersji rumuńskiej opublikowanej przez Marina Mincu w jego antologii *Avangarda literară românească*. Bukareszt 1983 s.637 i następnie
- 10 Marin Mincu we wstępie do swej *Antologii* cytuje André Bretona, który chwalił (w *Devant le rideau*, tekst pochodzi z 1947 r.) grupę rumuńskich nadrealistów za wyłansowanie hasła „la connaissance par la méconnaissance”. Kiedy jednak czytamy tę pochwałę w jej kontekście, okazuje się, że została ona sformułowana jako potwierdzenie wcześniejszego stanowiska samego Bretona: „Aby posłużyć się szczęśliwym sformułowaniem naszych bukareszteńskich przyjaciół, „rozumienie przez niezrozumienie” nadal pozostaje wielkim hasłem surrealizmu”. Oceny tej Breton dokonał w związku z Międzynarodową Wystawą Surrealistyczną, która odbyła się w Paryżu w 1947 r. Breton był wówczas w jak najlepszych stosunkach z mieszkającymi w tym czasie we Francji Jacques Heroldem oraz z Victorem Braunerem (choć „wykluczony” go w 1948 lub 1949 roku), cenil jednak również nadrealistów z Bukaresztu.

11 Każdemu z podkreślonych słów odpowiadał jakiś przedmiot; w sumie przedstawiono 45 takich niesamowitych przedmiotów (każdy z wystawiających eksponował ich 15). Katalog ukazał się w *Serii Surrealisme*

12 Marian Mincu przedrukował w swojej Antologii niektóre z tych niepublikowanych tekstów oraz część tych, które wprawdzie opublikowano w latach 1945-1947 r., ale które w praktyce nie były czytelnikom znane. Materiał, który rzeczywiście nie był publikowany zasługuje i powinien zostać wydany i to nie wybiórczo, ale w całości!

13 W 5 tomie edycji *Dzieł* Celana ogłoszonym w 1983 r. przez wydawnictwo Suhrkamp (Gesammelte Werke in funf Baenden) umieszczony został wiersz Virgila Teodorescu *Castelana inecatã* (Kasztelanka, która utonęła) (z tomu *Blãnurile oceanelor*, 1945 r.), Gellu Naum jest natomiast obecny wierszami *Imi place ca lupilor* (Podoba mi się jak wilkom) i *Lanterna magicã* (Latarnia magiczna) (oba pochodzą z tomiku *Culoarul somnului*, 1944). Celan opublikował niemieckie wersje wymienionych trzech utworów w 1950 r., w czasopiśmie „Surrealistische Hefte”.

14 cf. *Über Paul Celan*. Herausgegeben von Dietlind Meinecke. Frankfurt nad Menem, 1973 s. 32

15 Ibidem, s. 43

16 Cytat z Gaetana Picony. W: *L'Usage de la lecture*. Mercure de France, MCMLXXIX, s. 261

17 W liście do Alfreda Margul-Sperbera datowanym 11 lutego 1948 r. Celan informuje swego bukareszteńskiego mentora, że Jene jest „człowiekiem wolnym od przesądów”, to znaczy odpornym na antysemityzm, co dla Celana było ogromnie ważne. W kręgu bukareszteńskich nadrealistów, podobnie jak wśród nadrealistów wiedeńskich, młody poeta z Czerniowiec także i z tego punktu widzenia znalazł atmosferę, w której można było oddychać.

osobiści, to znaczy bardzo liryczni. Tym się tłumaczy jego preferencja dla Eluarda – najbardziej spośród francuskich surrealistów lirycznego, a zarazem najmniej skłonного odstąpić automatyzmowi prawo do ekspresji.

Celan mógłby podpisać się pod twierdzeniem innego francuskiego poety kojarzonego z nadrealizmem, Pierre'a Reverdy, a mianowicie, że poezja jest „piecem do palenia tego co realne” („un four a bruler le réel”)¹⁶. To również Reverdy w tomie pt. *En vrac* wyznał: „W sztuce, wszystko co da się zrobić, robi się przy pomocy elementów rzeczywistości... To, co realne, w swym całokształcie, może stać się ogniem i płomieniem”...

Paul Celan wydaje mi się poetą z tej samej rodziny duchowej, rodziny, której surrealistycznej gałęzi ignorować nie można. Już samo to, że po przybyciu do Wiednia nawiązał kontakt przede wszystkim z tamtejszą grupą surrealistyczną wiele mówi o jego orientacji, zarówno pod względem estetycznym, jak i pod względem politycznym. Przyjaźń, jaka go łączyła przez jakiś czas – nawet jeżeli trwało to bardzo krótko – z malarzem Edgarem Jené, którego nazywał „papieżem” wiedeńskiego nadrealizmu, bynajmniej nie była czymś przypadkowym¹⁷.

Pod jakim kątem nie patrzylibyśmy – na każdym z etapów jego biografii i ewolucji poetyckiej – stosunki Paula Celana z ruchem surrealistycznym mają ważne znaczenie. Okoliczność zaś, że stosunki te utrwaliły się w Bukareszcie w latach 1945-1947, ma swoją wymowę, którą podkreślić wypadało.

Przełożyła Halina Mirska-Lasota

Paul Celan i Petre Solomon. Bukareszt 1947 rok (ze zbiorów Yvonne Hasan).



Paul Celan i poezja lat osiemdziesiątych



Kiedy pod koniec lat 70. po raz pierwszy zetknęłam się z poezją Paula Celana w antologii przetłumaczonej na rumuński przez Petre Solomona i Ninę Cassian, wywołała ona we mnie sprzeczne reakcje. Teraz wiem, że nie bez przyczyny. Mroczna wspaniałość świata Celana pociągała mnie i odpychała jednocześnie. Czułam podziw dla doskonałości tych bolesnych hieroglifów, krzyczących o przygniatającym i nieuniknionym dramacie. Z drugiej strony, coś oddalało mnie od poezji będącej estetycznym wysiłkiem językowym, niełatwym procesem sublimacji doświadczenia rzeczywistości w fascynujące, choć enigmatyczne, a nawet nieuchwytnie kryształy słów.

Wiersze Celana robiły na mnie wrażenie dziwnie zagęszczonych struktur sonarnych, które zatopiły bolesną treść w oceanie umysłowej przestrzeni zdominowanej przez potworność pamięci, przez to, co niezniszczalne. W odświeżającym podmuchu najgłębszych wewnętrznych zmagani, oczyszczonych filtrem nieuleczalności, jakiś głos bez oblicza wzywał nieznaną wcześniej Grację, błagał pustkę o litość. Zakłęte w tajemnicze piękno wersety poezji wydawały się wyrastać z marnych skorup pozostałych po rzeczywistości, zdruzgotanej najazdem potworności, abstrakcją świata słów, świata „nierealności”, choć niełatwego, gęstego, aluzyjnego, przywodzącego mi na myśl ten „straszliwy i nieludzki recytatyw”, o którym mówił Barthes w związku z całością przygody o nazwie poezja współczesna.

Moje wrażenia od tamtej pory, czyli zaszuchanie i niechęć, były w gruncie rzeczy związane z pewnego rodzaju intelektualnym podejściem do powojennej poezji jako takiej. Pod koniec lat 70. w Rumunii zaczęto z wyraźną nieufnością traktować wysiłek samodoskonalenia się.

Charakteryzował się on samowystarczalnością, sięgającą niebezpiecznego pułapu sztywnego manieryzmu, w porównaniu z przykładami typowych poetyckich prac – owoców poprzednich trzech dekad. Obok Celana także Robert Lowell i René Char zaczęli sprawiać wrażenie świętych monstrów zamkniętych we własnych światach, zawieszonych nad niskimi wodami naszej rzeczywistości jak jakieś wodoszczelne wyspy.

Kręgi studentów literatury, zajmujące się na co dzień studiami nad poezją, odnosiły się w owym czasie przychylnie do rumuńskich awangardystów lat 30 i rumuńskich surrealistów lat 40. (Ilarei Voronca, M. Blecher, Gellu Naum, Ghérasim Luca, Geo Dumitrescu), nie zapominano



MAGDA CARNECI – poetka (m.in. *Hypermatière* 1980, *Un silence assourdissant* 1984, *Chaosmos* 1992), eseistka i tłumaczka z języków francuskiego, angielskiego i włoskiego – urodziła się w 1956 roku w Girieleni (Rumunia). Jest profesorką historii sztuki Uniwersytetu Bukareszteńskiego i autorką kilku książek z tej dziedziny (m.in. *Sztuka rumuńska lat 80-ych. Teksty o postmodernizmie oraz Dyskurs sily i wyobraźni: rumuńska sztuka w czasach reżimu komunistycznego*). Autorka antologii poetyckich i kurator wielu wystaw sztuki współczesnej. Opracowała kilka antologii poetyckich i komisarzowała wiele wystawom sztuki współczesnej.

też wcale o amerykańskich poetach pokolenia bitników lat 50. (Allen Ginsberg, L. Ferlinghetti, John Ashberry i inni). Pojawiła się jednak zmiana upodobań wyrażająca zmianę poetyckiej estetyki. Młodzi poeci tamtych dni podjęli programowe eksperymenty z różnorodnymi lirycznymi formułami tworzonymi z „przyziemnego” języka skierowanego wprost i bez ozdób do słuchacza z „krwi i kości”. Ich poezja stała się prozą, narracją, niezakłóconym potokiem słów: jej słownictwo zapełniło się słownictwem technicznym, neologizmami, wyrażeniami żargonowymi i różnorodnymi kulturowymi aluzjami. Poezja taka mówiła o trywialnej, swojskiej rzeczywistości, o miłości i gotowaniu, o codziennym dojeżdżaniu do pracy i o egzystencji często zredukowanej do nieomal biologicznego poziomu prostego przetrwania.

Poetycki modernizm był przez tych młodych poetów postrzegany jako swego rodzaju droga ucieczki od rzeczywistości. Współczesny wiersz bowiem, ukryty w swym niezniszczalnym kokonie jedwabnika, obłędnie skupiony na metafizycznych rozterkach związanych z zależnościami między tożsamością a językiem – wydawał się abstrahować od rzeczywistości społecznej, fizycznej i ludzkiej jaka tętniła w jego otoczeniu. Wydaje się więc, że poezja współczesna może powstawać także w kraju rozwijającym się lub nawet w kraju zniewolonym. To zamknięcie, ta „elitarna” izolacja w aseptycznym, odrębnym „klinicznie czystym” kosmosie zdaje się tłumaczyć fakt zaakceptowania modernizmu przez autorytarne i dyktatorskie reżimy polityczne. Wreszcie, poezja współczesna nie „atakuję” samej rzeczywistości, raczej jej wyrafinowany, wysublimowany obraz.

Pojawiwszy się w pod koniec lat 80. ta „post-metafizyczna” poezja, zwana w Rumunii poezją lat osiemdziesiątych, wpisała się w naturalny sposób, programowo w nurt postmodernizmu. Z tym, że postmodernizm, w swym radykalnym wyrazie, zwalcza ten „uwznioślony” model poezji, odnajdywany między innymi właśnie u Celana. Tak jakby przekształcając dane założenia w ich własne przeciwieństwa, poezja postmodernistyczna odwróciła się od poezji „znaku”, czasami nawet jego dyktatu, dążąc ku poezji, którą moglibyśmy nazwać „poezją istnienia”. Jak w regularnym ruchu wahadła, w układzie odniesienia narastającego sprzeciwu wobec współczesnej estetycznej wrażliwości, poezja metafizycznie upragnionych doświadczeń umysłu w medium języka zostaje zastąpiona przez raczej fizyczne, jeśli nie zupełnie fizyczne doświadczenie istnienia w świecie.

Teraz rozumiem, patrząc bardziej wyrafinowanym okiem, że poezja Paula Celana mieści się pomiędzy tymi właśnie dwoma poetykami. Powyższe przeciwieństwa, pozornie nie do pogodzenia, znajdowane w prawie każdym jego wierszu, wyrażają zawartą w nich sprzeczność, źródło ich charakterystycznego napięcia, ponieważ poezja Celana dąży (i udaje się jej to) do przekształcenia granicy doświadczenia przeżywanego w rzeczywistym świecie (hitlerowski holocaust i jego długoterminowe psychologiczne i duchowe konsekwencje) w granice doświadczenia języka. Musi to przynieść skutek w postaci jednoczesnego doświadczania, przekraczania i poetyckiej „sublimacji” w sposób nacechowany sprzecznością i paradoksem – w postaci tego typu natrętnej zmyry.

W tych trudnych, prawie niemożliwych warunkach, poezja Paula Celana objawia mi swój imponujący ofiarny charakter. Próbuje ona wypracować czysto werbalną metodę stwarzania współczesnej alternatywy dla Zła Absolutnego, bez jednoczesnego zarażania się nim: wypracować model z jednej strony zawierający różnorakie doświadczenia historyczne, napiętnowane zniszczeniem i winą, z drugiej strony próbujący pozbyć się ich potwornego, niepojętego bezsensu. Jak powiedziano wcześniej, wysiłki Celana stają się jedną z poważniejszych prób oczyszczenia słów ze „zła

Auschwitz”: prowadzi je to w pobliże nieistnienia i w pobliżu ciszy, po to, by można ich było użyć powtórnie. Jak krzyk nowego Jakuba, co jest już poza własnym buntem, lecz nie może o nim zapomnieć, w poezji Celana zawarte jest doświadczenie różnorodnych jego ofiar i doświadczenie języka. Gestem ofiarnym zatem jest umieszczanie poczucia psychoanalizy, cznego id, języka oraz świata w otchłani prawości: oferta na pozostałościach, której znów można zbudować nową, bardziej światłą, posttraumatyczną epokę poezji.

Właśnie z punktu widzenia takich „epok” wyraźnie widać, że już w latach 80. indywidualne i zbiorowe poczucie historii znacznie się zmieniło. Trzydzieści lat po ostatniej wojnie światowej, historii nie dało się już odczuwać, identyfikowano ją jedynie z czasem absurdu, epoką zniszczenia. Oddzielona dystansem co najmniej jednego pokolenia, zaliczanego do najświeższego z jej rozdziałów wynaturzenia, historia i cały świat mogą być postrzegane jako odmienne i postrzegane w odmienny sposób: chodzi o odmienność, co nie zapomina, lecz idzie dalej. Po fazie bolesnej i często dramatycznej świadomości, tej odmienności lat 50. i 60., nastąpił w czasie kolejnych dekad, w kontekście spektakularnie zmienionej rzeczywistości, inny etap; etap pobłażliwości, wielokulturowości, integracji. Można niemalże powiedzieć, że postmodernistyczna świadomość cechująca te właśnie dwie dekady musi łączyć w sobie o wiele więcej niż konkretne historyczne zło: raczej „zła” wszystkich poszczególnych historii, do jakich ma się obecnie dostęp. Musi ona opisać je estetycznie i zaakceptować w racjonalny sposób, bez bezładnego ich pomieszania, nawet jeśli weźmie się pod uwagę istnienie wspólnego mianownika czy różnorodnych stałych (jeśli już nie uniwersalnych, to po prostu ludzkich). Taka bowiem poetycka świadomość, wyczulona na pojęcie „różnorodności”, otwarta na pojęcie wielopostaciowej i nieugiętej odrębności, czyli poezja Celana karmiona odmiennością tragicznych doświadczeń historycznych oraz kulturalną odrębnością „przytłaczającego, beznadziejnego judaizmu” (jak wskazują komentatorzy) – oferuje sobą wielkie, choć niezmiernie bolesne, bogactwo.

Poprzez swe niezwykle subtelne związki z historią oraz trud marginalności narzuconej przez swą przynależność do zbiorowości, jednocześnie i „wybranej” i „odrzuconej”, poezja Celana unaocznia całą serię problemów istniejących w obrębie środowiska kultury zniekształconego ideologią komunizmu. Jak możliwa jest poezja w warunkach komunizmu? – można pytać parafrazując słynne pytanie postawione przez Adorna, „jak możliwa jest poezja po Auschwitz?” Jak można utrzymać związki z językiem i ze światem w uścisku politycznego reżymu, w którym fałszywe „państwo prawa” narzucane jest bez możliwości sprzeciwu na zniszczone „państwo prawdy”, i w którym brutalne wynaturzenie zasad moralnych już dawno wzięło górę? Jak można zachować nie tknięty język i dać się usłyszeć w świecie zdominowanym przez dwulicowość i wszechobecną cenzurę? I jaką wartość przedstawia sobą poezja „dürftiger Zeit” w czasach deprawacji, terroru i strachu, zamroczonych instytucjonalizowaną przemocą skierowana przeciwko zbiorowej pamięci i indywidualnej tożsamości?

A mimo to, na Auschwitz pisano poezję, tak jak pisano ją pod uciskiem komunistycznym w Europie Wschodniej. Jak Celan pisał po koszmarnie krwawym doświadczeniu nazistowskiego holocaustu, tak i poeci wschodnioeuropejscy pisali, mimo koszmarnie deprawującego terroru reżymu komunistycznego. Pozostawiając na boku wyjaśnienia politologiczne (jak to, że poezji pozwalano cieszyć się jako taką wolnością, nie była bowiem w oczach ideologów komunizmu wcale taka szkodliwa); wyjaśnienia socjologiczne (jak to, że poezja stanowiła rodzaj ucieczki dla



Magda Carneci

Z AULEK LITERACKI

wielu intelektualistów, którzy w normalnych warunkach wybraliby inne formy publicznej wypowiedzi); oraz wyjaśnienia kulturologiczne (poezja pozostaje ważnym prądem podrzędnej, prowincjonalnej kultury w strumieniu postępu, innymi słowy – w nie wyspecjalizowanych kulturach naśladowujących model zachodni), musimy bardziej subtelnych przyczyn takiego poetyckiego urodzaju poszukiwać w innych rejonach.

Poszukiwać go z pewnością należy w tym samym miejscu, gdzie znaleźć można także korzenie wewnętrznego przymusu poetyckiego, jaki wypełniał Paula Celana. Innymi słowy, w tej potrzebie zachowywania ścisłego kontaktu pomiędzy istnieniem a działaniem, żywotnego kontaktu, który utrzymuje i chroni każda społeczność wydając poetów (czasami także filozofów). Pomimo wszelkiego rodzaju historycznych przeinaczeń, rumuńscy poeci pozostają, mniej lub bardziej świadomie, kapłanami kultu utajonego odzwierciedlania wewnętrznego strumienia dialektyki życia, obecnego zarówno w przestrzeni jego podstawowego, jak i potencjalnego istnienia. Tylko przy takim założeniu, powtarzając za Heideggerem, można stwierdzić, że język poezji jest kosmosem „zarówno tajemniczej, jak i pierwotnej prawdy”. I właśnie z tej perspektywy poeci pełnią zawsze tę samą rolę w obrębie cywilizacji, dla przykładu we współczesności, niezależnie od wyrodzonych poszczególnych form, jakie mogłyby w praktyce wystąpić. Poezja, z samej swej natury, byłaby więc przestrzenią, w której „państwo prawa” oraz „dawniany język” nie znajdują nawet i minimum przyjaznego miejsca by działać i trwać.

Postawmy jednak pytanie, czy można by Paula Celana, żyjącego w reżimie komunistycznym, porównywać (czy może nawet utożsamiać) z tym, żyjącym w Wiedniu czy Paryżu? Pomijając fakt, że taką „ponurą” poezję publikowałoby się z wielkim trudem, publikowałoby się okrojona, lub wcale by nie można było jej publikować, czy totalna ekspiacja pamięci Zła, na którą zdecydował się Celan, uległaby deformacji, zafalszowaniu przez wszechogarniającą „dwulicowość”, potrzebę stosowania „ezopowego języka”, przez ograniczenia „autocenzury”? I czy w takim przypadku rezultatem nie byłby język „oswojony”, poezja eufemistycznie zmiękczona lub o wiele bardziej eliptyczna, trudniejsza, o wiele bardziej „niejasna”, lecz jakimś innym rodzajem „niejasności”?

Być może nie. Pomimo tego, że otoczenie często kreuje i formuje poetów, Celan mógłby przecież pozostać sobą. Przecież i pod rządami komunizmu rodzi się poeci tragiczni. Prawdopodobnie prawdą jest, że zerwawszy z otoczeniem w którym funkcjonują, poeci „zbuntowani” z punktu widzenia wartości, różnią się od siebie nawzajem „negatywną” lub „pozytywną” tożsamością z jaką żyją, i którą uzewnętrzniają w kontekście rzeczywistości. Widać wyraźnie, że pod jarzmem komunizmu, liczba poetów prezentujących „tożsamość negatywną” jest o wiele mniejsza od liczby ich odpowiedników w społeczeństwie wolnym. Pomiedzy zachodnim Celanem a wschodnim Celanem wydaje się jednak istnieć inna niezatarta różnica. Istnieje przecież różnica pomiędzy poezją określaną jako „niewysłowiona” powstałą na Zachodzie a tą powstałą na Wschodzie – różnica przejawiająca się w określonym kontekście. Na Zachodzie, w sytuacji powojennej, w której neguje się do granic niemożliwości wszelkiego rodzaju bezpośrednie odniesienia do okropności niedawnej przeszłości, Celan cieszy się wolnością dotarcia do „niemożliwego” i stworzenia poetyckiego języka nadmiaru, sublimacji ograniczeń, w jego przypadku zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych. Na Wschodzie natomiast w gąszczu sytuacji politycznej, w której istnieje zakaz jakiegokolwiek bezpośredniego odniesienia do teraźniejszości poza ściśle określonym narzuconym zakresem ideologicznym, Celan nie miałby nawet tej „swobody” by choćby tę sytuację przekuć

w dramat. Podwójna niepewność, związana z samym językiem i z rzeczywistością, z której wypływa „niewysłowienie” poezji, wręcz potraja się na Wschodzie wobec wątpliwości wolności: „niewysłowienie” jest zafalszowane przez istnienie cenzury. Innymi słowy, poetyckie doświadczenie Zła i historycznego i metafizycznego jest na Wschodzie upośledzone, bądź to bezpośrednio, bądź pośrednio przez możliwość doświadczenia otaczającego ze wszystkich stron zła politycznego. I nawet jeśli, za pomocą jakiejś straszliwej alchemii, takie doświadczenie byłoby zwielokrotnione przez obecną tu podwójność niepewności, poezja Celana w warunkach komunizmu zyskałaby jedynie na hermetyczności zarówno w zakresie tworzenia, jak i jej odbioru, i nie łatwo byłoby ją poznać. Mówiąc wprost – możliwości są dwie, albo Paul Celan w komunizmie szybko umilkłby na zawsze, albo by go szybko uciszono.

Zadaje sobie teraz pytanie, co wyróżnia Paula Celana spośród wielu zachodnich poetów, abstrahując od zewnętrznych różnic stylistycznych, modernizmu oraz postmodernizmu. Być może jedynie fakt, że nic w tej poezji nie może być uznane za trudne, tajemnicze czy niejasne; w końcu nic nie wydaje się przypadkowe, czy wymuszone. Sądzę, że ta wyjątkowa „estetyczna surowość” płynie z samego źródła Celanowskiego wyrazu w stronę głębokiego przeżycia śmierci: podstawowy warunek poetyckiej prawdy znajduje się w głębokim cieniu potwornych targów ze śmiercią. Pomimo tego faktu, warunek ten jest najtrudniejszym do spełnienia i niewielu poetów decyduje się na taki straceńczy dialog z pustką. Na Zachodzie poeci mieli i w dalszym ciągu mają swobodę wyboru takiego „pobliża pustki”. Na byłym komunistycznym Wschodzie śmierć nie mogła nawet być, jak u Celana, „mistrzem z Niemiec”: śmierć była tematem tabu, słowem zakazanym, eliminowanym lub zastępowanym przez cenzurę różnymi eufemizmami. Nawet to podstawowe i nieuniknione doświadczenie, to „niezbylwalne prawo” poety i poezji, zostało na Wschodzie wynaturzone przez wewnętrzny zakaz, pozbawione narzędziem reżimowego eufemizmu powolności konania i zbiorowej zagłady, lub nagłośnione przez państwową biurokrację.

Możemy sobie w końcu zadać pytanie na nadchodzące długie lata, czy aby ten „zakaz umierania” w jakiś sposób nie wyrządził wielkiej szkody prawdziwie poetyckemu wyrazu, o której mówiliśmy wcześniej. Poetom Wschodu pozostaje więc retrospektywnie przyjąć zło historyczne, z którego się właśnie wyzwolili jako co najmniej ofiarę, jak zrobił to Celan ze złem, które dotknęło go bezpośrednio – i osobiście i jako część zbiorowości, po to by mogli być w stanie odnaleźć i odbudować prawdziwy fundament słowa. By sparafrazować słynne stwierdzenie Maryny Cwietajewej („wszyscy poeci są Żydami”): poeci Wschodu po prostu muszą być prawdziwymi „Żydami” wobec własnej niedawnej, ciągle żywej, chorobliwej przeszłości. Jeśli mamy tu do czynienia z jakąś uniwersalną lekcją etyki zawartą we wszystkim co działo się wewnątrz poezji Celana, wewnątrz jego życia i co działo się z poezją Celana po jego odejściu, to jest to chyba dziwna uniwersalność wobec jednostek i społeczności, z której ta poezja wyrosła, uniwersalność zdolności przewidzenia tego, czego nie da się znieść, akceptacji tego, czego zaakceptować się nie da, i czerpania z tego wszystkiego silnej i czującej trzeźwości, wyrosłej bezpośrednio z nieustannego stawiania pytań – któremu nie przeszkadza ani słaba pamięć, ani lenistwo – pod adresem ciągle świeżych wspomnień potworności, wszystko jedno czy zachodnich czy wschodnich, czy czarnych czy czerwonych, czy nazistowskich czy komunistycznych.



Magda Carneci

Z AULEK LITERACKI

Przełożyli **Krzysztof Czyżewski** i **Tomasz Wyszkowski**



GREGOR VON REZZORI

Wierność *

Dla Niccolò Tucci

Coś nieokreślonego przemknęło za oknem i glucho uderzyło o nierówny chodnik zaspanej uliczki trzeciego Bezirku podrywając do góry chmurę gołębi („Wszystkie mają gruźlicę”), które klaszcząc skrzydłami uniosły się nad dachami w letnie wiedeńskie niebo. Zartretyzowane szpony mojej babki, których polerowane paznokcie błyszcząły równie mocno jak diamenty ostatnich (dzięki wrośnięciu w nasady palców) zachowanych pierścionków, wyciągnęły się nad kwietnym polem pasjansowych kart w kierunku dzwonka i mocno nim potrząsnęły. Dziesiątki lat niecierpliwości uczyniły ruchy babki niezręcznymi. Cichy szmer srebrnych dźwięków niczym chichot krasnoludków wydawał się drwić z zamiaru dotarcia do głuchych uszu „Marii”. Mimo to w drzwiach, które jak w wodewilu natychmiast się otwarły, ukazała się Maria i trzęsąc się na szeroko rozstawionych nogach poczłapała do babki (...).

– Proszę?

– Coś wypadło z drugiego piętra na ulicę. Niech no Maria zobaczy, co to było. Pewnie to ci Żydzi z góry wietrzą pierzyny na oknach, albo coś w tym guście. To dla tych ludzi typowe.

Maria protestująco wypuściła powietrze nosem, jak gdyby zamierzała powiedzieć coś, czego wolałaby nie mówić. Potem gwałtownym szarpnięciem wyrwała się ze swej drżącej sztywności, miarowymi ruchami marionetki ruszyła do okna, otworzyła je i popatrzyła na ulicę.

– No proszę – powtórzyła wskazując na ulicę ruchem ręki, który miał oznaczać, że od początku wiedziała, że to jakaś pomyłka. – To wcale nie pierzyna. To ta młoda Raubitschek.

Minka Raubitschek, zwana młodą Raubitschek, należała do młodszej generacji Żydów w wiedeńskiej kamienicy, w której wśród starych ludzi, starych rzeczy i niegdysiejszych przesądów spędziłem pod skrzydłami mojej babki część młodości. Spotykając rodziców Minki na schodach, pozdrowiałem ich z tą samą uprzejmością, z którą oni pozdrawiali moją babkę, aby w zamian uzyskać odpowiedź, w której w starannie wyważonych proporcjach mieszały się uprzejmość i wyraźna rezerwa. Byli to bądź co bądź ludzie wykształceni, ojciec był profesorem uniwersytetu, bywały u nich często różne znakomitości, a w każdy środowy wieczór z ich piętra przenikały przez sufit do naszego mieszkania ciężkie opary wytwornej muzyki kameeralnej. Za każdym razem skłaniało to moją bardzo wyczuloną na wszelkie

* Rozdział czwarty książki *Denkwürdigkeiten eines Antisemiten* (Pamiętniki antysemity).

dźwięki babkę do rozdrażnionej uwagi: „Znowu grają „Allergique-Beethovena!”. Odkąd tyłu Żydów zaczęło odnosić sukcesy w muzyce, moja babka przestała zaliczać ją do dziedzin sztuki.

Nie potrafię powiedzieć, czy koncerty kameralne rodziców drażniły także nerwy Minki. W każdym jednak razie była ona dziewczyną bardzo upartą i pełną temperamentu, która po którejś kłótni z matką wychyliła się przez okno i wyskoczyła na ulicę. „Przesada typowa dla tych przeintelektualizowanych żydowskich dzieci” brzmiał komentarz mojej babki. Mince na szczęście prawie nic się nie stało. Złamała sobie tylko kość biodrowa, przez co trochę kulala. Wiele lat później, kiedy dziesięcioletnia różnica między nami już się zatarła i kiedy należałem do grona jej przyjaciół, za pomocą górskiej liny zabezpieczaliśmy jej zejście po stromych schodach prowadzących do toalety „American Bar” w Kärntnerpassage, co zresztą było konieczne nie tylko z powodu jej chorego biodra, ale także zmęczonego nadmiarem whisky zmysłu równowagi. Odwdzięczyła się nam lekcją z zakresu historii kultury:

– Czy wy, pijane prosiaki, w ogóle wiecie, gdzie jesteście? To jedno z wczesnych mistrzowskich dokonań współczesnej architektury. Ten bar projektował Adolf Loos, uczeń Franka Lloyda Wrighta.

Nie było to zupełnie zgodne z prawdą, ale któż chciałby się sprzeciwiać Mince?

– I to tylko po to, żeby pół setki schlanych ignorantów wchodziło do pomieszczenia, w którym normalnie nie pomieściłoby się nawet tuzina. I to ma być postęp!

Jako wnuk architekta, którego publiczne budowle w niemałym stopniu przyczyniły się do przystosowania wyglądu Wiednia do wymagań gustu lat rozkwitu [*Gründerjahre* – lata prosperity gospodarczej po roku 1870 – przyp. tłum.], powinienem był nadstawiać uszu. Ale dużo bardziej interesował mnie w takich wypowiedziach Minki lekceważący ton, który przypominał niektóre komentarze mojej babki. Ta mawiała na przykład:

– To obrzydliwe, jak coraz bardziej zaczynasz przypominać swojego ojca. Przecież on już nie potrafi myśleć o niczym innym poza swoim polowaniem. Kompletny barbarzyńca. Ty prawdopodobnie zabierzesz się za konie. Ale jeśli wziąć pod uwagę, że kiedyś po to dawałam swoim córkom do czytania Renana, żeby dziś zajmowały się spirytyzmem ...

Słowa te nie były wyrazem pesymizmu kulturowego, lecz bardzo osobistej niedoli. Odnosiły się bowiem do dwóch newralgicznych punktów w życiu mojej babki: małżeństwa jej najstarszej córki, mojej matki, z moim ojcem oraz „niedorzecznych idei” moich niezamężnych ciotek.

Na szczęście babka nie widywała już ojca, gdyż ten mieszkał i polował na Bukowinie. Także od swych staropanieńskich córek, właścicielek władycznych lodenowych kostiumów, posiadaczek spasionych spanieli i zwolenniczek wszelkich nauk tajemnych, babka całkowicie się odizolowała. Nigdy nie wchodziła do tylnych, wychodzących na podwórko pokoi, które po śmierci dziadka odstąpiła swoim córkom, emancypantkom w domowym wydaniu. Odbywały się tam bowiem, również w środowe wieczory, przy akompaniamencie przytłumionych dźwięków muzyki kameralnej od Raubitschków, „seanse” ezoterycznej wspólnoty skupionej wokół pana Malika.

Pan Malik był inżynierem, dysponował jednak siłami magicznymi, z których pomocą był w stanie z osób o inklinacjach medialnych wymasować duszę, co sprawiało, że puste naczynie ciała mogło napełnić się chwilowo wolną duszą jakiegoś zmarłego, który jeszcze nie narodził się na nowo. Zaś dusza medium spacerowała w tym czasie nie bez przeszkód przez cieniastą krainę zmarłych, którzy jeszcze nie zmartwychwstali (...).



Gregor von Rezzori

Z AULEK LITERACKI

Pamiętniki antysemity Gregora von Rezzoriego

Trudno w języku polskim dokładnie oddać tytuł książki, z której pochodzi przedstawione opowiadanie. Pierwsze wydanie tomu w roku 1979 ukazało się pod tytułem *Pamiętniki antysemity* (Memoiren eines Antisemiten), lecz w drugim wydaniu „Memoiren” zastąpione zostały przez „Denkwürdigkeiten”. Niemieckie „Denkwürdigkeiten” oznaczają dziś „osobliwości”, „zapiski”, co sugeruje raczej przypadkowy i chaotyczny charakter tekstu. Archaiczne znaczenie tego słowa obejmuje także spójne w swej strukturze pamiętniki, chciałyby się rzec staropolskie „pamiętki” – jak w *Pamiętkach Soplicy*. Ale czy znajdzie się dziś wielu czytelników, którzy przypominają sobie dawne znaczenie polskiego słowa? Zostańmy więc przy tytule *Pamiętniki antysemity*, i tak dostatecznie mocno bulwersującym poprzez odniesienie się do tematu tabu – antysemickiego wychowania i będącego jego kontynuacją antysemityzmu jako wizji świata. Niewielu jest chyba autorów, którzy w czasach gorąco deklarowanej – po doświadczeniach historycznych XX wieku – tolerancji i otwartości na „obcego” (której rzeczywisty wymiar najdobitniej widać na przykładzie byłej Jugosławii) gotowi byłiby tak zatytułować swoje wspomnienia. Książka Rezzoriego ma bowiem ambicje opisu fenomenu w perspektywie relacji indywidualnego wspomnienia, sygnowanego przez tytułowego antysemity, którego koleje losu, postawy i wybory życiowe niezwykle wiernie pokrywają się z losami samego autora. Nie przez przekorę Rezzori zalicza *Pamiętniki...*, obok powieści *Gronostaj w Czernopolu* (1958) oraz szkiców *Kwiaty na śniegu* (1989), do książek „najwierniej” auto-

– Malik! – zwykł mawiać mój ojciec, któremu oczywiście opowiadałem o tym, co się działo w domu mojej babki. – Malik? – rozkoszował się smakiem tego nazwiska, usiłując ustalić na ile jest ono podejrzane. – Inżynier Malik. Ten człowiek to z pewnością hochsztapler, a już na pewno nie inżynier. Prawdopodobnie to Żydłak, który naprawdę nazywa się zupełnie inaczej.

Tym samym guru moich ciotek wydawał się ostatecznie zdemaskowany jako oszust, i to tani, gdyż takimi byli Żydzi według opinii mego ojca, jedynej zresztą, którą dzieliła z nim moja babka. Już samo podejrzenie, że ktoś mógł zmienić nazwisko, piętnowało go jako Żyda, o ile oczywiście nie był to Anglik, jak na przykład ten czarujący Mr. Wood, który zmienił się w Lorda Halifaxa. Ale to było oczywiście co innego. Żydzi natomiast zmieniali swe nazwiska, aby się ukryć, gdyż nie chcieli być uważani za Żydów.

Było to zupełnie zrozumiałe, prawdopodobnie na ich miejscu zachowywalibyśmy się tak samo. Nawet kulturalni ludzie dawali im to jednak odczuć, jeśli nawet nie przez pewne zakłopotanie w ich obecności, to przez niezamierzoną rezerwę. Albo też, jak w przypadku zachowania mojej babki przy spotkaniach ze starymi Raubitschkami, przez perfidną, roztargnioną jowialność, która po chwili roztapiała się, jak gdyby nigdy nic, jak gdyby przedmiot, którym się właśnie zajmowaliśmy ze względu na wrodzone dobre manieri oraz fakt jego przypadkowego wejścia w orbitę naszej uwagi, rozpywał się w powietrzu. A któż chciałby zmuszać bliźnich do tak skomplikowanych zachowań? Nie, to musiało być okropne, kiedy człowiek czuł się jak Żyd. Ale my na szczęście nimi nie byliśmy, a kiedy Żydzi zmieniali nazwiska, żeby upodobnić je do naszych, była to z ich strony bezczelność, do której popychał ten ich obrzydliwy zmysł handlowy i odpychająca woła awansu społecznego.

Wiedziałem o tym odkąd przyszedłem na świat, gdyż urodziłem się na Bukowinie. Tam też spędziłem część mojego dzieciństwa i dojrzewania, niedaleko Galicji, skąd przybywało najwięcej Żydów, tzw. „Żydów polskich” otoczonych szczególnie złą sławą i mających najwięcej powodów, aby się ukrywać. Bukowina należała, podobnie jak Galicja, do dawnej c.k. monarchii, a po jej upadku została częścią Rumunii – podobnie jak Galicja została częścią Polski. Lecz kiedy mowa była o „polskich Żydach”, wcieleniu żydowskiej nachalności i ambicji, dotyczyło to zarówno Żydów z Galicji, jak i Bukowiny.

Od Żydów wręcz się u nas roiło, to oni decydowali o wyglądzie krajo-
brazu miast i wsi. Starsi i ci całkiem starzy, szczególnie ci bardzo biedni, byli tym, czy po prostu byli – Żydami z obrazka. Ubraniymi w długie czarne kaftany, pokornymi postaciami z pejsami i z tym szczególnym, rozplywającym się spojrzeniem, w którym tysiuletnia melancholia zbierała się w ciemne jeziora. Wielu z nich strapienie, że byli właśnie tym, czym byli, uczyniło pięknymi w ich dojrzałym oddaniu Bogu. Mieli oplecione srebrem głowy proroków, z którymi rzeźnicze oblicze pana inżyniera Malika nieprzyjemnie by kontrastowało. Ale młodzi, przede wszystkim ci na drodze awansu społecznego, a zwłaszcza ci dopiero co wzbożaceni, ci, którym się powiodło, zachowywali się z drażniącą pewnością siebie, prowokując bezczelnie, jak gdyby byli kimś z nas. Nawet jeśli nie byli zasadniczo bezwstydni, ich sposób zachowania był skandaliczny. Mówiąc wymachiwali rękami, co może by jeszcze i uchodziło, było orientalne, mieli do tego prawo – także Włosi wymachiwali, nawet jeśli nie byli tak natarczywi. Ale młodzi Żydzi byli zarozumiali, wiedzieli wszystko lepiej, pysznili się swym bogactwem, ubierali się dandysowo, ich dziewczyny pachniały perfumami i nosiły biżuterię, a niektóre chodziły nawet z psami na smyczy. Odnosiło się wrażenie, że chcą nas parodiować.

Także mój ojciec nienawidził Żydów, i to bez wyjątku, nawet tych starych-pokornych. Była to nienawiść dawna i zjadła, która nie musi już szukać powodów, i dla której każdy, najabsurdalniejszy nawet motyw stanowi potwierdzenie jej słuszności. W to, że Żydzi zmierzali zgodnie z przepowiedniami swych proroków do panowania nad światem, nikt oczywiście już nie wierzył. Chociaż rzeczywistość wciąż coraz bardziej rośli w bogactwo i siłę, jak się o tym mówiło, a już szczególnie w Ameryce. Ale już historia o potwornym spisku, rzekomo spisana w „Protokołach mędrców Syjonu” była oczywiście bzdurą, podobną do tych o rabunku hostii oraz rytualnych mordach dokonywanych na niewinnych dzieciach (mimo to zniknięcie małej Ester Solymossian wciąż jeszcze pozostawało niewyjaśnione). Te bajki opowiadało się służącym, kiedy mówiły, że już dłużej u nas nie wytrzymają i chętnie pójdą do jakiegoś żydowskiej rodziny, gdzie będą lepiej opłacane i traktowane. Przypominano im wtedy jakby mimochodem, że ostatecznie to właśnie Żydzi ukrzyżowali naszego Zbawiciela. Tymczasem, na nasz, to znaczy ludzi wykształconych, użytek, niepotrzebne były argumenty tej wagi, by uznać Żydów za ludzi drugiego gatunku. Po prostu ich nie lubiliśmy, a w każdym razie mniej niż innych bliźnich. Było to również oczywiste, jak to, że koty lubiło się mniej od psów, pluskwy mniej od pszczoł, a wynajdowanie najabsurdalniejszych ku temu powodów stanowiło wręcz jedną z naszych rozrywek.

Tak, na przykład, wiadomą rzeczą było, że spotkanie Żyda w drodze na polowanie przynosi pecha. Tymczasem mój ojciec nie robił prawie nic innego poza chodzeniem na polowania, a ponieważ przy tej ilości Żydów, co na Bukowinie, prawie nie dawało się uniknąć takich spotkań i to od razu z wieloma naraż, ojciec złościł się więc niemal codziennie, bolejąc nad tym, jak nad wrośniętym paznokciem u nogi. Pomiędzy nim a matką dochodziło do straszliwych scen, kiedy matka darowała handlującym szmatami domokrażcom, oczywiście Żydom, tzw. handelesom, jakieś zużyte ubrania, zwabiając tym samym całe ich chmary przed nasz dom.

Nie można przecież było sprzedawać im tych ubrań, to ojciec rozumiał doskonale; ale lepiej było wyrzucić te lachy, niż wspierać nimi Żydów w ich brudnych interesach przyspieszając najprawdopodobniej ich godny pogardy awans społeczny.

Żydzi mianowicie handlowali starymi szmatami po to, aby wywędrować do Ameryki. Przyjeżdżał tam taki Jossel Tuttmann czy Mojsze Wasserstrom i już wkrótce zarabiał dość dolarów, żeby zmienić nazwisko. Z Wasserstroma robił się oczywiście Wondraschek, a z czasem von Draschek, który w końcu jako baron von Draschek przyjeżdżał do Europy i wynajmował rewiry łowieckie w Tyrolu czy Styrii. Dla mojego ojca oznaczało to osobistą obrazę, jako że jego na polowanie w Styrii stać nie było; uważał więc, że Żydzi uzurpują sobie ogół jego przywilejów. Przede wszystkim winni jednak byli oni według niego temu, że on – niegdysiejszy Austriak – musiał zostać na Bukowinie stając się Rumunem, a tym samym człowiekiem drugiej kategorii.

Pozostając na Bukowinie czuł się jak na zesłaniu – jak pionier raczej – zdradzony i pozostawiony swemu losowi. Zaliczał się do szeregów c.k. kolonizatorskich urzędników dawnego cesarstwa, c.k. monarchii, której zadaniem była obrona Europy przed ciągłymi napadami dzikich hord z Wschodu. Z gorzką drwiną mówił, że funkcja jego i jemu podobnych sprowadza się do „nawozu kulturalnego”: mają osiąść na terenach przygranicznych i w roli bastionu zachodniej cywilizacji stawiać czoła wschodniemu chaosowi. Jako młody, wyrosły w Grazu człowiek przybył na Bukowinę w najchwalebniejszej epoce c.k. monarchii, a wszystko, co po jej upadku beznadziejne, smutne i małe uosabiał w jego oczach kraj, do którego zgnał go los.



Gregor von Rezzori

Z AULEK LITERACKI

biograficznych. Ambicja pisarska autora wykracza jednak poza wymiar rozliczania się z własnym życiem: w jednym z wywiadów powiedział on, że zajmowanie się tematyką antysemityzmu w aspekcie moralnym i historycznym (holocaust) przy równoczesnym pominięciu świadectwa bycia z Innym na co dzień prowadzi jedynie do abstrakcji i tworzenia nowych, niebezpiecznych schematów.

Bukowina – kraj dzieciństwa pisarza – zapisała się w historii literatury niemieckiej głównie dzięki świadectwu piszących w tym języku bukowiniskich pisarzy pochodzenia żydowskiego, którzy stworzyli w Czerniowcach swoiste centrum niemieckiej kultury. Losy wielu z nich przypiętowało nadejście faszystów. Przedstawiciele społeczności żydowskiej trafiili do obozów koncentracyjnych w Transnistrii, zaś ci, co uszli, wynieśli syndrom holocaustu (konstytutywny wręcz dla twórczości najsławniejszego spośród nich Paula Celana) oraz wygnania. W literackich profilach Bukowiny kształtowanych przez Rezzoriego siłą rzeczy (los dla potomka zdeklasowanej szlachty austriackiej był nieporównanie łaskawszy) mniej jest tragizmu. W swych obsesyjnych literackich powrotach do krainy dzieciństwa lat dwudziestych i trzydziestych, urodzony w 1914 roku Rezzori opisywać będzie jej charakter z perspektywy przedstawiciela warstwy we własnym poczuciu cywilizacyjnie górującej nad słowiańsko-rumuńsko-żydowskim otoczeniem, warstwy, którą słowami ojca autoironicznie określa „nawozem kulturalnym” tej ziemi. Bukowina w jego oczach jest więc

jedną z wielu, daleką kolonią wielkiego imperium – monarchii habsburskiej. Tych kresów rodzice Rezzoriego, którzy nie potrafili utożsamić się ze skarłatą po pierwszej wojnie światowej Austrią, z powodu wewnętrznego bezwładu opuścić nie są w stanie. Ich syn Arnulf-Gregor, wieczny outsider, którego przypadki i rozterki wypełniają niezliczone karty książek pisarza, skazany będzie na rozdarcie pomiędzy moralnym obowiązkiem przejęcia dziedzictwa rodziców, przedstawicieli cesarskiej Austrii, wraz z ich abnegacją po klęsce monarchii, a naturalnym przywiązaniem do niezwyklej krainy dzieciństwa, tym mocniejszym, im bardziej staje się ona daleka. Kiedy brutalnie ujednolicono etnicznie, przemieniona i zszarzała odejście w przeszłość, dręczony kompleksem wygnança Rezzori będzie wracał do niej w swoich tekstach, czyniąc z niedogdyśszej konieczności codziennego zmagania się z Innym swój życiowy punkt odniesienia. W jego części świata antysemityzm wydaje się endemiczny, dyktują go przyjęte przekonania, wyznacza codzienny rytm spotkań z przedstawicielami społeczności żydowskiej, zarówno ortodoksyjnymi, jak i zasymilowanymi.

Akcja pięciu opowiadań, uporządkowanych według schematu fabularnego „od lat dziecięcych przez wiek męski po starość” głównego bohatera *Pamiętników...*, rozgrywa się kolejno na Bukowinie lat dwudziestych (*Skuczno*), w Bukareszcie roku 1933 (*Młodość*) i 1937 (*Pensjonat Löwinger*), w Wiedniu roku 1938 z retrospektywą na wczesne lata trzydzieste (*Wierność*) oraz w Rzymie lat sześćdziesiątych (*Prawda*). Osią każdego opowiadania-wspomnienia staje się próba ukazania kluczowego znaczenia, jakie dla losów autora-bohatera miały spotkania z Żydami – przedstawicielami narodu, którym już od dzieciństwa nauczono go pogardzać.

Wymienione opowiadania przynoszą kolejno: historie trudnej, młodzieńczej przyjaźni z utalentowanym, przedwcześnie dojrzałym

Bukowina jest bez wątpienia jednym z najpiękniejszych krajów kuli ziemskiej. Dla mojego ojca była ona jednak, z wyjątkiem skrawka lasów karpaczkich, w którym polował, krajobrazem pozbawionym jakiegokolwiek charakteru. Posuwał się nawet tak daleko, że jakiegokolwiek charakteru odmawiał także i mnie, bo Bukowinę kochałem wręcz namiętnie.

– Nic dziwnego – mawiał z nieukrywana pogardą, - ty po prostu wrodziłeś się w tę korupcję, mam oczywiście na myśli korupcję charakterologiczną. Gdyby tereny przygraniczne nie kryły w sobie niebezpieczeństwa rozkładu charakteru, taki „nawóz kulturalny” jak my nie byłby potrzebny.

Kiedy nad tym wówczas medytowałem, mojej dziecinnej duszy niezwykle trudno przychodziło ustalić, co to właściwie jest charakter. Dla mojego ojca – a powtarzał to dość często – wyraźny charakter miała Styria. Musiałem oczywiście przyjąć, że miało to związek z jej „górzystym charakterem”, o którym była mowa w austriackich podręcznikach wiedzy o kraju ojczystym. Zamiast o „charakterze” lub jego braku, mówiło się także czasami o „kręgosłupie”. „Ten chłopak po prostu nie ma kręgosłupa” usłyszałem, kiedy nie chciałem przyznać się do jakiegoś kawału. Styria miała więc charakter ze względu na swój górzysty kręgosłup. Bukowina wprawdzie także taki posiadała, nawet jeśli nie był on równie spektakularny jak Wysokie Taury. Ale z zielonych stożków leśnych Karpat tu i ówdzie także wystawały skalne wierzchołki, a poetyczna łagodność pokrytych kwiatami stoków złudnie kryła w sobie dzikość głębokich, otaczających te stoki lasów. Jeśli słowo charakter oznaczało to, co odpowiadało mojemu o nim pojęciu, to te potężnie targane wiatrem czarne lasy miały co najmniej równie tyle charakteru, co styryjskie masywy w koronie lodowców.

Nawet mój ojciec musiał przyznać, że polowanie na Bukowinie było lepsze, miało w sobie więcej pierwotności i niesło ze sobą więcej przygód. Mimo to marzył wciąż o rewirze w Styrii i wrzasał ramionami, kiedy przekonywano go, że posiadacze rewirów w Styrii marzą o Bukowinie. Kiedy w końcu zapytałem go, czym właściwie jest charakter, odpowiedział bez wahania:

– Przede wszystkim wierność.

Wydawało mi się, że go rozumiem. Wierność była o wiele wyraźniejszym fetyszem niż drapiący w gardło termin „charakter”. To było oczywiste: mój ojciec nie mógł kochać Bukowiny, ponieważ przez jej oderwanie się od c.k. monarchii stał się obywatelem Rumunii. Został więc zmuszony do sprzeniewierzenia się, jak inżynier Malik, który zmienił swoje nazwisko. Tylko, że konflikt ten w przypadku mojego ojca był konfliktem tragicznym: poprzez swą wierność dla polowania ojciec musiał sprzeniewierzyć się swemu sztandarowi.

W owych latach pierwsza wielka wojna wciąż jeszcze była bardzo bliska. W całym kraju widać było jej ślady i świadectwa: postrzelane zagrody, zasieki, rowy i schrony w głębi lasów, opustoszałe miejscowości, przez które przetoczyła się rosyjska ofensywa. Kiedy na to patrzyłem, ogarniało mnie szczerólnie wzruszenie, mieszanka strachu i pożądania, której odzwierciedlenie – projekcję moich wewnętrznych przeżyć w świat, który mnie wówczas otaczał – odnajdywałem w nastrojach niektórych wieczorów. W dokuźliwie beznadziejnej, gołębiej szarości zmierzchów jak i w dramatycznie krwisto-czerwonych i siarczyście złotych zachodach słońca doświadczałem wstrząsów, które w życiu moich rodziców spowodowała wojna. Pod takim niebem, w bitewnym zgietku i wśród skrzeczenia kruków nad pobojwiskiem padł sztandar, na który przysięgaliśmy: złoty sztandar z czarnym dwugłowym orłem Świętego Cesarstwa Rzymskiego, który w spadku dzierżyła cesarska Austria. A kto nie padł w boju o ten sztandar, popełnił przენiewierstwo i żył dalej jako człowiek bez charakteru.

Z duszą dziecka, wciąż otwartą na grozę i wzniosłość, nieustannie budziłem w sobie poczucie katastrofy tego upadku i niechcianego przezwyciężenia. Tylko one stanowiły dla mnie wyłumaczenie owej szczególnej załoby mojego najbliższego otoczenia. Była to pełna rezygnacji, ironią jedynie łagodzona postawa, która dopuszczała już tylko szara codzienną egzystencję otoczoną nostalgicznym blaskiem złotych wspomnień, egzystencję, na której nikomu nie zdawało już się zależeć. Ojciec i matka byli równie starzy i równie przypisani do minionej epoki, co moja babka i staropanieńsko zdziwaczała ciotki w Wiedniu. Ich psy miały siwe głowy i idąc trzęsły się jak służąca Maria. Ożywiali tylko wtedy, kiedy mogli mówić o przeszłości. Złoty blask ich wspomnień był dalekim odbiciem opuszczonego złotego sztandaru.

Opuszczenie sztandaru tłumaczyło mi nawet i melancholię krajobrazu, w którym wyrastałem. Ten pięknie zadaszony jedwabnym błękitem swego zazwyczaj pogodnego nieba lesisty kraj był dotknięty melancholią. Była to melancholia wschodnich dali, która wkraadała się wszędzie w gołębią szarość mroku, jak i w letni pałac upał nad płodną ziemią, w pobożność chłopów i Żydów, i w łagodne brzmienie pasterskich fletów z karpackich hal. Flety milkły, kiedy znad nagle bliskich stepów i pustyni Azji zaczynały gwizdać zimowe wiatry. Żydzi i chłopci kulili jeszcze pokorniej głowy w ramionach, ziemia kamieniała pod mrozem, a zmierzch był już nie tylko lekliwym wstępem rozgrywających się niemo na niebie małowicznych dramatów, lecz przynosił do głębi przenikające zimno i ciemność nad białoszarym szkieletem ziemi. Oto krajobraz katastrof, sceneria godna upadku wyrosłego z mitycznie dawnego sporu. Kiedy padał złoty sztandar, zginęło bowiem więcej niż jedno cesarstwo. Nie tylko my lub, jak mówiliśmy, „nasi” niesli przecież sztandar, mieli go także nasi przeciwnicy, carscy Rosjanie.

(...)

Mit, który stanął u początku tej tragedii, wbito mi do głowy jak litanie. Był to mit Świętego Rzymskiego Państwa Cesarzy. Cesarstwa, które się podzieliło. Czarnemu orłowi na złotym polu opuszczonego sztandaru wyrastały w monstrialnej symetrii dwie koronowane głowy, gdyż dwie głowy i dwie stolice miało cesarstwo: Rzym oraz Bizancjum – Konstantynopol cesarza Konstantyna. U kolebki tego mitu stanęła niewierność: odpadnięcie części od całości. Dwa państwa wyłoniły się z jednego i od początku były sobie wrogie. Każde bowiem uważało się za prawowitego następcę niegdysiejszego wielkiego imperium. Każde symbolu swych roszczeń dopatrywało się w tym samym sztandarze. Pod nim właśnie Cesarstwo Wschodnie i Cesarstwo Zachodnie dzieliły ze sobą w niezgodzie świat, aż ze Wschodu przyszła jedna z tych burz, które od dawna wciąż stanowiły zagrożenie dla Zachodu, i Bizancjum upadło, by w końcu wpaść w ręce pogan.

Także i Zachodni Rzym przechodził ciemne i chaotyczne czasy, które określano przypieszczającym kłatkę filmu historii terminem „mroczne średniowiecze” i skromnie przyozdobione postaciami władców, takich jak Alaryk czy Odoaker niejako wymazywano z kart historii. Przeskakiwano stulecia, aby tym efektywniej zatrzymać się nagle na świetlanej postaci Karola Wielkiego, wskrzesiciela świętej idei cesarstwa i właściwego założyciela Rzymskiego Cesarstwa Narodu Niemieckiego.

Nie potrafię przywołać moich chłopięcych lat bez jego obrazu. Na biurku mojego ojca stał brązowy odlew postaci Karola na koniu, nad którą często medytowałem. Myśl, że po ponad tysiącu lat nawet jego pantofle i rękawice należały do klejnotów państwowych napelniała mnie respektem. Niemniej jednak wraz z postacią Karola fakty historyczne nie stawały się jaśniejsze, lecz - w każdym razie w moim rozumieniu - bardziej skomplikowane i osza-



Gregor von Rezzori

Z AULEK LITERACKI

chłopcem żydowskim, erotycznej inicjacji, młodzieńczych miłości, wreszcie małżeństwa z Żydówką. Te kontakty, które przekonany o własnej wyższości bohater opowiadań podejmuje pełen uprzedzeń, wyznaczają punkty zwrotne w jego życiu. Jego żydowscy przyjaciele są od niego dojrzałsi pod względem intelektualnym, emocjonalnym i moralnym. Lecz wszelkie próby zbliżenia nieodmiennie kończą się będą w ten sam tragiczny sposób: poprzez grzech zdrady i przemocy ze strony bohatera, po którym nastąpi upadek raju porozumienia i wygnanie w nieprzyjazny świat. Okaleczając swego żydowskiego przyjaciela w *Skuczno* główny bohater stanie się przyczyną społecznej degrengolady swoich krewnych, uderzając w twarz swoją żydowską kochankę z *Młodości* zostanie wykluczony ze społeczności przedmieść Bukaresztu, zdradzając przyjacielowi tajemnicę pięknej panny Alvaro zniszczy mikrokosmos Pensjonatu Löwinger i wiarę młodej dziewczyny w ludzi. Przemoc dokonana na Innym, uwolnienie skrywanej i nie do końca uświadomianej agresji przynosi koniec wieku niewinności. Mityczny schemat ma jednak także swoje odniesienia historyczne: na płaszczyźnie doświadczeń bardzo osobistych rozegra się u Rezzoriego dokonane w historii zniszczenie ludzi i wspólnot, w którym jako apolityczny obywatel Rumunii mógł nie brać udziału i którego rzeczywisty wymiar jest w *Pamiętnikach* ... jedynie dalece sugerowany poprzez obrazy Wiednia czasu Anschlussu.

Nawet najzjadlejsi krytycy Rezzoriego doceniają sprawność nar-

racyjną, bogactwo języka, umiejętność oszczędnego, lecz wyrazistego portretowania postaci, niezwykle wycucie komiki sytuacyjnej i paradoksalności ludzkich postaw. Przewrotne uporządkowanie dialogu wykazuje absurdalność antysemityzmu, lecz równocześnie pokazuje jego psychologiczną autentyczność i wiarygodność. Ironista Flezzori gra z czytelnikiem w przewrotną grę: tytułowy antysemita (? , tak, antysemita) odkryje więcej związków pomiędzy sobą a Żydami niż pomiędzy ludźmi bliskimi mu pochodzeniem. Nauczony pogardzać handlującymi szmatami, handełesami, stanie na końcu prezentowanego tu opowiadania z walizkami pełnymi używanych ubrań, podarowanych mu przez żydowskich przyjaciół, by marzyć o wyjeździe do nowej Ziemi Obiecanej, Ameryki – potomek dawnej zaginionej Bukowiny, współczesny Wieczny Tulacz – Inny.

lamiająco sprzeczne. Scena wydarzeń przesuwiała się z śródziemno-morsko słonecznych wybrzeży coraz bardziej na północny zachód (lub też może tym, co się przesuwało było jedynie pole widzenia historyków). Dla mitu, który mi przekazano i który z wiarą w cuda przyjąłem za swój, nie miało to decydującego znaczenia. Cesarstwo rozkwitło na nowo, to było najważniejsze. Oderwana od niego, niewierna druga część, która miała ten sam sztandar i te same roszczenia, popadała na razie w zapomnienie. Były inne, ważniejsze sprawy. Mnie w każdym razie bardzo zajmowała zagadka, w jaki sposób Karol Wielki, który był przecież Frankiem, czyli dokładnie rzecz biorąc Francuzem (i, jak wręcz z wściekłością zapewniała mnie francuska gubernantka, dalej był przez Francuzów za takiego uważany) mógł być twórcą Cesarstwa Narodu Niemieckiego. Oczywiście mój ojciec miał na to gotowe wytłumaczenie, które co prawda nie rozpraszało całkowicie moich zastrzeżeń, ale odwracało od nich moją uwagę. W wyższym rozumieniu, twierdził, można widzieć w Karolu Wielkim cesarza niemieckiego, gdyż jego następcy byli bez wyjątku Niemcami. To Niemcy, a przede wszystkim chwalebni Szaufowie, nosili jego koronę i na zawsze odcisnęli Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu swą niemiecką pieczęć. Zresztą – jak dodawał mój ojciec w niezbyt logicznej konkluzji – w średniowieczu, którego mrok ustępował z czasem rozkwitowi wieków średnich z jego katedrami i wielowieżowymi miastami, rycerzami i damami, trubadurami, przez Boga obdarzonymi rzeźbiarzami i malarzami ołtarzy, takie rozróżnienia nie miały wielkiego znaczenia. Szło się za swoim sztandarem, ot i wszystko. I albo człowiek był nisko urodzony, niewolny i należał do swojego pana (za którym szedł ślepo, gdziekolwiek ten się obrócił) i myślą nie sięgał dalej niż do granic swojej parafii, albo było się rycerskiego rodu, służyło się grafowi czy księciu jako wierny lennik – co, co prawda, rozszerzało horyzont o parę skrawków kraju, ale było w gruncie rzeczy tym samym. Dość obojętną rzeczą było, do którego z wielu narodów imperium należeli ci panowie wraz z chorągwiemi swych lenników i poddanyimi, jakim mówili językiem i jaki nosili strój, ponieważ wszyscy byli wasalami i poddanyimi cesarza i Cesarstwa.

Było to dla mnie zrozumiałe, bo składało się w pewien obraz. Świat wydawał mi się tym samym uporządkowany. Cesarstwo było wcieleniem porządku. Od stojącego na szczycie cesarza, poprzez wyższych wasali i ich lenników wraz z ich poplecznikami i poddanyimi wszystko składało się na hierarchiczną piramidę. Można to było przedstawić obrazowo. Na przykład w paradach moich ołowianych żołnierzyków. Dawano się to też pojąć abstrakcyjnie. Mechanizm był prosty: jeden chronił drugiego, zawsze wyższy niższego i każdy komuś służył, zawsze niższy temu, który stał nad nim – i tak w dół i w górę tej drabiny, podobnie do hierarchii aniołów stojących u Niebieskiego Tronu Wszemocnego. I dlatego, mówił mój ojciec, cesarstwo było święte. Było to państwo Boga na ziemi: nie była to tylko wyłączna konstrukcja polityczna, twór państwowy, potężny, zaludniony wieloma ludami i zagrożony wieloma niebezpieczeństwami stojący pod jednolitym przywództwem, ochroną i administracją, lecz raczej pewna idea i ideał – obraz porządku świata, porządku ludzkiego społeczeństwa, które starało się urzeczywistnić zamysł Boży. Posłannictwo Boże cesarzy nie było samowolną uzurpacją pijanych władzą, podobnych dzisiejszym politykom, autokratów, wspartych o kręactwa profitantów świeckiej władzy, lecz ustanowieniem tego państwa przez Boga. Państwa tego nie spajały wyłącznie interesy materialne, lecz etyczna zasada wierności. Wierności wasali, bezwzględnego posłuszeństwa, które swemu panu i jego sztandarowi przysięgali lennicy, tak jak i my, jako bezpośredni lennicy Habsburgów, przysięgaliśmy austriackiemu domowi cesarskiemu i sztandarowi cesarstwa z dwugłowym orłem na złotym polu.

W tym miejscu wywodów ojca matka na ogół opuszczała pokój. Zbyt dobrze wiedziała, co ma nastąpić. Z biegiem lat wiedziałem to i ja. Ale śledzenie tych wywodów, rozważanie luk i sprzeczności jego rozumowania wymagało takiego wysiłku intelektualnego, że temat ten fascynował mnie wciąż na nowo. Zresztą wiązał się on z naszym rodzinnym, a przede wszystkim moim własnym, mitem.

Mit ten głosił, że nie byliśmy nisko urodzonymi poddanymi, lecz już od średniowiecza rodu rycerskiego. Tym dawało się na razie wytłumaczyć, dlaczego nasza z początku włoska rodzina uważała się za Austriaków. Co prawda nie przybyliśmy do Austrii w średniowieczu, ani w tym „mrocznym”, ani w jego rozkwicie, lecz dopiero w połowie osiemnastego wieku, kiedy obok poddanych i rycerzy było już wielu wielkich i małych mieszczan i w ogóle dużo ludzi, którym wolno było wędrować z jednego kraju do drugiego, jeśli dawał on lepsze możliwości kariery. W każdym razie dla mojego ojca pewne było, że już od czasu Obojga Sycylii byliśmy habsburskimi poddanymi, a w każdym razie obywatelami cesarstwa. I że nasz stary herb był dostatecznym dowodem naszej przynależności do stanu szlacheckiego, nawet jeśli przyznali go nam raczej dopiero ostatni, a nie pierwsi członkowie Domu Cesarskiego.

Prawdopodobnie moja matka unikała historycznych wywodów mojego ojca, gdyż wietrzyła w nich materiał wybuchowy. Przyczyna nieznośnych napięć pomiędzy ojcem i matką, które doprowadziły w końcu do powstania przepaści, której nigdy już potem nie udało się zasklepić (choć pod prawie każdym innym względem oboje reprezentowali zgodne poglądy, opinie i przekonania oraz pozostawali pod wpływem tych samych ideałów, idei i przesądów) tkwiła w ostentacyjnym, żeby nie powiedzieć wrogim, milczeniu mojej babki na temat pochodzenia mojego ojca. Ona sama spoglądać mogła na długi szereg przodków, którzy nie potrzebowali już niczego udowadniać, gdyż wszystko było ewidentne i oczywiste; i choć mój ojciec stan ten uznawał, ratował się przed nim argumentem, że owi łaskawi przodkowie nie byli wielkimi cesarskimi panami, lecz właściwie przeciwnikami z drugiej połowy cesarstwa, a mianowicie bizantyjskimi, a potem tureckimi lub rosyjskimi wasalami.

Nie bez pewnego poczucia winy czułem, że ta rysa przebiega także i we mnie. Choć brzmi to może śmiesznie, mimo wysokiego rodu moich przodków ze strony matki czułem się trochę jak bastard urodzony do zdrady. Już to, że Bukowina mnie pociągała, powodowało wyrzuty sumienia. Wstydziłem się, że potrafiłem kochać ten krajobraz, który był sceną wygnania mojego ojca. Z pewnością nigdy nie mógłby tak polować, gdyby powrócił do Styrii. Ale pozostając na Bukowinie musiał popełnić przestępstwo wobec Domu Habsburgów. Czułem, co stanowiło pożywienie jego coraz bardziej monomańskiej pasji myśliwskiej. Była to udręka z powodu opuszczonego sztandaru i dalszej egzystencji jako zdrajcy.

Nie dało się tego pojąć racjonalnie. To można było tylko odczuć, jeśli miało się to we krwi. Jeśli przychodziło do myślenia natychmiast pojawiał się absurd. Przede wszystkim ojciec mój nie zdradził Domu Habsburskiego, lecz w pewnym sensie sam został przez niego zdradzony. Przez to mianowicie, że ostatni cesarz z Najjaśniejszego Domu abdykował i podobnych ojcu niezliczonych pionierów dawnego cesarstwa jako niepotrzebny już nawóz zostawił na lodzie pod wszelkimi możliwymi nowymi sztandarami o jaskrawych barwach. Dla mojego ojca było przy tym szczęściem, że został obywatelem rumuńskim. Bardziej odpowiadało to jego przekonaniom, niż gdyby wrócił do Styrii. Rumunia została przynajmniej królestwem, podczas gdy Styria znalazła się w skurczonej Austrii, która po 1918 roku była republiką. W królu Rumunii mógł ojciec widzieć swojego najwyższego



Gregor von Rezzori

Z AULEK LITERACKI

seniora, którego stracił w cesarzu Austro-Węgier. Pozostawał więc niejako na służbie, co pozwalało mu w dalszym ciągu myśleć o sobie jako o szlachcicu. Ale bardzo mu to było nie po myśli, że jako były Austriak był w Rumunii zaliczany do tzw. mniejszości niemieckiej, do której nie czyniąc większych różnic zaliczano także Żydów. Podczas gdy Żydów, którzy kupowali sobie rewiry w Styrii nie zaliczano tam do mniejszości, poza oczywiście żydowska.

Poza tym król rumuński pochodził z domu Hohenzollern, a słysząc to nazwisko z pewnych specyficznych względów ojciec dostawał białej gorączki, choć doskonale potrafił odróżnić południowoniemiecki dom Hohenzollern-Sigmaringen od Hohenzollernów pruskich, „domu cesarskiego z łaski Bismarcka”. „Ci Sigmaringen zostali nawet katolikami, już to samo sprawia, że od tych drugih dzielą ich całe światy. Ale – wyznał mi w godzinie prawdy – jak przyjdzie co do czego, wszyscy razem to tacy sami Pieffkes”.

Nie potrafię powiedzieć, czy ojciec wiedział, jak bardzo i w tym punkcie zgadzał się z babką. Dla niej Niemcy, z drugiej, bismarckowskiej Rzeszy, zwani w Austrii „Pieffkes”, byli prawie równie obrzydliwi jak Żydzi. Jeśli u tych drugih denerwowały ją ich psie spojrzenia i krzywe nosy (a były to cechy wyłącznie przypisane, gdyż u naszych psów kochaliśmy to spojrzenie jako wierne, a krzywe nosy były w zasadzie znakiem szczególnym moich przodków ze strony matki), tak u tych pierwszych złościły wąsko osadzone oczy i wystające z drobnych ust „pruskie siekacze”, a już ich charczący sposób mówienia dużo bardziej szarpał jej nerwy niż, w porównaniu z nim prawie swojski, szwargot Żydów. Oczywiście mój ojciec, który prawdopodobnie wiele godzin swej myśliwskiej samotności musiał poświęcać na łączenie zjawisk w najdziwniejsze związki przyczynowe, sprowadzał swoją niechęć do „Pieffkes” do przyczyn historycznie udokumentowanych. Byli oni dla niego grabarzami Cesarstwa, arcywrogami arcydomu Habsburgów, narodem zdrajców jako takich.

Pierwsza Rzesza, jak tłumaczył mi ojciec, jako próba urzeczywistnienia boskiego porządku w ludzkim społeczeństwie, była właściwie katolicka. Musiała mieć zasięg światowy, rozciągać się na wszystkie kraje. Jak każdy jednak porządek była z początku tworem duchowym, odpowiednio delikatnym i kruchym. Już jego pierwszy podział na Rzym Wschodni i Zachodni pociągnął za sobą podział chrześcijaństwa na dwa kościoły. Jako zwolennicy Kościoła Wschodniego Rosjanie uważali się za następców Bizancjum i mieli taki sam złoty sztandar z dwugłowym czarnym orłem jak my. Prawdziwa wiara została jednak w Rzymie, a król Franków Karol, pozwalając koronować się papieżowi na cesarza, przejął tym samym nie tylko zobowiązanie obrony tej wiary przed poganami, ale także obowiązek szerzenia jej, a tym samym szerzenia cywilizacji cesarstwa coraz to dalej. Tym samym rosło także niebezpieczeństwo odstępstwa i zdrady.

Cesarstwo było kruchym tworem, szczególnie przez fakt posiadania kolonii na tym samym kontynencie. Kolonie musiały dopiero uczyć się wierności. Na przykład Bukowina była taką kolonią, choć późnego pochodzenia. Dopiero w 1775 roku została – jako dar za pokojowe pośrednictwo – nabyta od Turków, a więc właściwie od pogan, których należało zwalczać i częściowo zaludniona przez Niemców. Siedmiogrodzcy Sasi, którzy po 1919 roku także należeli do Rumunii, osiedli w tym pięknym kraju już około roku 1240, byli więc o wiele bardziej godni zaufania. Bałtyckie prowincje, tzw. Balticum, tworzyły dawne, utworzone jeszcze przez Krzyżaków, kolonie, co prawda stosunkowo wcześniej włączone do cesarskiej Rosji. Podobnie kraj Prusów i Wenedów, z którego później miały powstać Prusy, nie był początkowo niczym innym jak kolonią cesarstwa.

Mój ojciec podkreślał to z takim naciskiem, że ranil sobie palce o krawędź stołu. Owe Prusy, które pod kierunkiem Hohenzollernów utworzyły państwo w państwie, i to tak prężne i militarnie zdyscyplinowane, że każdy jego obywatel w razie tak zwanej „potrzeby” (czyli kiedy chodziło o zabranie sąsiadom kawałka kraju, czy też o napadnięcie go bez jakiegokolwiek widocznego powodu, a już szczególnie jeśli miało to zezłościć biednego cesarza w Wiedniu) był gotów bez najmniejszego wahania ponieść wszelką ofiarę z krwi i życia. A więc owe Prusy, perorował dalej mój ojciec, i ich wymusztrowani, marionetkowi poddani, ci wszyscy skrzeczacy, wiedzący wszystko lepiej zarozumialcy i ważniacy, którzy za pomocą przedziałków ostro przeciągniętych przez środek krótko ostrzyżonych włosów chcieli nadać sobie pozór poczciwców i, rzecz oczywista, byli protestantami, przyniosły cesarstwu więcej szkody niż sam Marcin Luther swoją reformacją i wynikłą z niej wojną trzydziestoletnią. A wszystko to – wykrzykiwał mój ojciec z czerwoną twarzą – z powodu obrzydliwych ambicji tych brandenburskich Hohenzollernów. „Ci dorobkiewiczze robili wszystko, żeby osłabić Dom Habsburski, cesarski dom, który przez pół tysiąclecia nosił koronę Karola Wielkiego, cesarz po cesarzu wszystko dziedziczeni następcy Świętego Rzymskiego Cesarstwa Narodu Niemieckiego. Niczego nie szczydziły te kolonialne urzędniczyny, żadnej zdrady, buntu, zatrucia studni, żeby otrzymać godność księżat elekcyjnych, a potem pod berłem tego brakoroba, którego nazywają swoim «wielkim» Frycem, ostatecznie wstrząsnąć potęgą niemieckiego domu cesarskiego! Zdradzieccy wasale, niewierni zdrajcy! (...)”.

Taka wizja historii nie była już w czasach mojej młodości powszechnie akceptowana. (...)

Samotność jest, jak się wydaje, nieodłączną częścią każdego świadomie przeżywanego dzieciństwa. Mnie przypadła ona w nadmiarze, który wypełniłem najdziwniejszymi pomysłami, wyobrażeniami i fantazjami. Umieściłem w niej także duży zapas obserwacji. Z pewnością nie służyło to rozwijaniu przyjaźni z rówieśnikami. W szkołach, które w wyniku rosnących trudności z planem lekcji, nauczycielami i kolegami często zmieniałem, pozostawałem samotny: byłem obcym, który przybywał z dalekich Bałkanów i miał w dziwaczne pomysły. Kiedy przyjeżdżałem do domu na wakacje, byłem tam (i tak od najwcześniejszego dzieciństwa trzymany pod kłosem bez jakichkolwiek prawie kontaktów ze światem zewnętrznym) osamotniony jako rozpuszczony, wychowywany za granicą łobuz, który zarozumiałe unikał kontaktów z obcymi. Nie muszę chyba mówić, że moje zamiary były wręcz przeciwne. Nie potrafiłem jednak przekroczyć granic, w które zamknęły mnie dziwaczność mojego ojca i nie mniej krepująca miłość mojej matki. Także i matka odczuwała swój pobyt na Bukowinie jako wygnanie. Wprawdzie nie nosiła żaloby po cesarskim sztandarze i dawnym cesarstwie, niemniej jednak jego upadek odciał ją od tych, których kochała: matki i sióstr. Żyła teraz już w innym świecie niż one, dzieliło je od niej sześć granic nowych państw, już wkrótce mówiła innym językiem, śledząc ich coraz bardziej oddalające się życie jedynie poprzez abstrakcję listownych informacji, w najlepszym razie ilustrowaną nadsyłanymi zdjęciami i zaczerpniętym z ilustrowanych gazet ogólnym wyobrażeniem o przemianach, które zaszły. Tymczasem u boku niekochanego mężczyzny wymykały się jej kolejne lata życia pogłębiając poczucie winy, że poślubiła go wbrew woli swoich rodziców i do tego z oplakany skutkiem. Podczas gdy rozrastająca się do rozmiarów manii namiętność łowiecka mojego ojca oddalała go coraz bardziej od szczątkowych chociażby form życia rodzinnego, obawy i niespełnione tęsknoty matki szukały ujścia w nie mniej obłąkańczej trosce o jej późne dziecko, czyli o mnie.



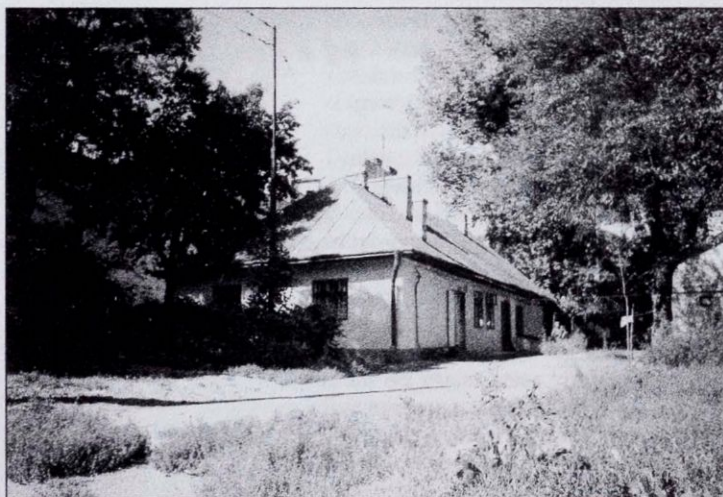
Gregor von Rezzori

Z AULEK LITERACKI

Strzegła każdego z moich kroków, sprawdzała każdy mój oddech, chroniła mnie przed każdym powiewem powietrza, kontrolowała każdy kęs mojego jedzenia. Pośród gróźb ostrego zapalenia płuc po kilku krokach zbyt szybkiego biegu, tym pewniejszego, jeśli po biegu wypilem szklankę wody, cholery od nie umytych owoców, utopienia w stawie, na który odważyłem się wypłynąć łodzią, pośród podejrzeń, że od zabaw z dziećmi ogrodnika dostanę wszy, od nich zaś tyfusu, a od kontaktu z sympatycznym rumuńskim oficerem, który posadził mnie na swoim koniu, syfilisu, nie wyrastałem na dziecko, które dałoby się określić jako towarzyskie. W zimie, kiedy wolno mi było chodzić na wielkie lodowisko miejskie w pół tuzina razy wokół szyi owiniętym długim, grubym, wełnianym szalu, wywijalem moje pętle i koła w dalekim kącie tafli, w należytym odległości od dźwięczącego tłumu. Strachliwe, dobrze strzeżone, zirytowane i krnąbrne dziecko pośród radosnego życia barwnie i hałaśliwie wypełniającego lśniący zimowy dzień.

Zdecydowana większość łyżwiarzy składała się z młodzieży w moim wieku. Niestety byli to przeważnie Żydzi. Ku mojemu zmartwieniu były wśród nich niezwykle piękne dziewczyny, w których po kolei, choć wbrew mojej woli, bywałem straszliwie zakochany. Po pierwsze, emocje te sprawiały, że szczególnie boleśnie odczuwałem upokorzenia, na które codziennie narażała mnie troskliwość mojej matki. Jeśli nawet sama nie przychodziła po mnie na długo przed zachodem słońca, wysyłała służącą bądź guwernantkę, aby przed zapadnięciem zmierzchu zamknąć mnie pod swą pieczę. Mimo moich gwałtownych protestów i prób ucieczki byłem regularnie chwytny oraz owijany w futra i koce, co miało chronić moje rzekomo niezwykle zagrożone zdrowie przed przeziębieniami, które czały się w zimnych wycieczkach zimowych wieczorów. Cierpiałem męki bezsilnej wściekłości, hańby i rozczarowania. Życzenie, aby choć raz móc zostać do czasu, gdy zimny świat dookoła zamieni się w przestrzeń koloru indygo, z której z sykiem wyrosną lukowe lampy, przybrał cechy obsesji. Mój opór wobec zbyt wczesnego zabierania mnie do domu zaowocował czynem. Wkrótce powtarzający się spektakl stał się publiczną rozrywką innych łyżwiarzy i żadnemu z nich nie mogłem już bez skrępowania patrzeć w oczy. Przede wszystkim stało się dla mnie jednak jasne, że dziewczyny, do których potajemnie wzdychałem, śmiałyby mi się w twarz, gdybym odważył się je zaczepić.

Dom matki Gregora von Rezzoriego w Czerniowcach przy obecnej ulicy Iwana Franko. 1996 rok.
Fot. K. Czyżewski



Ale nie to cierpienie było najgorsze. Bardziej dręczące były wyrzuty sumienia. Zachwyt mój wzbudzały bowiem piękne oczy i białozębny śmiech żydowskich dziewcząt, a te przejawy mojego libido oznaczały zdradę wszystkiego, co mi dotąd wpajano. Zdolność wyobrażenia sobie, jak w ramionach małej Żydówki odczuwam wszelkie miłosne rozkosze – a fantazje takie nawiedzały mnie wielorako, za każdym razem z równą gwałtownością – wskazywała niewątpliwie, że brak mi było jakiegokolwiek charakteru, czyli kregosłupa moralnego. W mojej moralnej geografii na próżno byłoby

szukać Karpat, nie mówiąc już o wysokich Taurach. Najwidoczniej nie byłem godnym synem swego ojca.

Oczywiście byli i tacy, którzy z dwuznacznym uśmiechem mawiali, że Żydówka to przecież nie Żyd. Ale to były niegodne dranie. Zgodnie z czystym sposobem myślenia, a przede wszystkim odczuwania, zakochanie się w Żydówce było niemożliwe. Oznaczało przenieństwo wobec sztanbaru. Zdradę jako taką. Krew, czysty instynkt powinny przecież ostrzegać: miłość budzi tęsknotę za intymnością, prowadzi do najbliższego ze wszystkich ludzkich związków. Takim jak my nie wolno było nawet wyobrazić sobie wejścia z Żydami w tak bezpośrednie ludzkie związki. Z pewnością, Żydzi to także ludzie, naturalnie, oczywiście, nikt nie posuwał się tak daleko, aby im tego odmawiać. Ale nie wchodziliśmy w bliższe związki międzyludzkie także z innymi ludźmi, z tego tylko powodu, że nimi byli. Mój ojciec nie utrzymywał bliskich stosunków ani z Rumunami, którzy jak wiadomo zaliczali go do tej samej mniejszości, co Żydów, ani też z bukowińskim i Polakami, którzy nienawidzili wszystkich Austriaków. Nie spoufalali się ani z Ukraińcami-słowianofilami, którzy wraz z Rosjanami należeli do odłączonej bizantyjskiej części Cesarstwa, ani z bukowińskim Niemcami, którzy pozostali na Bukowinie dla materialnych zysków, a nie jak on dla wyższych celów, czyli polowania. Nie oznaczało to jednak, że nie traktowaliśmy ich wszystkich jak ludzi i że przy spotykaniu nie zachowywaliśmy się wobec nich kulturalnie. Odpowiadaliśmy na każde pozdrowienie z dokładną wyważoną uprzejmością, a kiedy nie dawało się już tego uniknąć ściskaliśmy nawet ich wyciągnięte w naszym kierunku ręce; i oczywiście, gdyby sytuacja tego wymagała i gdyby naprawdę nie udało już się tego uniknąć – postępowalibyśmy tak samo i wobec Żydów. Niemniej jednak do bliższych ludzkich związków droga była jeszcze daleka.

Zresztą, kiedy mówiliśmy, że nienawidzimy Żydów, nie było to całkowicie zgodne z prawdą. Był to raczej wyuczony zwrot, jedna pośród nieprzemysłanych wypowiedzi, jeden z wielu wyłącznie werbalnych gejezów, którymi próbowaliśmy się nawzajem zatopić. Tego rodzaju powiedzenia zyskiwały oczywiście po latach powtarzania pewną realną konsystencję. Nienawiść oznacza jednak także bliskie ludzkie odniesienie. Tak daleko na razie się nie posuwaliśmy. Jeśli mielibyśmy nienawidzić Żydów, to chyba tylko dla ich typowo żydowskiej bezczelności, ich chciwości społecznego uznania. Tylko to zmuszało nas od czasu do czasu do odczuć tak bezpośrednich jak nienawiść.

Nie, Żydzi byli po prostu ludźmi spod innej gwiazdy, gwiazdy Dawida i Syjonu. Może i była to promienna gwiazda, niech i tak będzie. My umiściliśmy ją jednak niestety z dołu horyzontu. Zakochanie się w żydowskiej dziewczynie nie mogło więc uchodzić za wybacalne zbroczenie, jak na przykład sodomia czy fetyszizm. Oznaczało atak elementów irracjonalnych, nagłą rysę w rozumowaniu, przez którą wdzierala się jakaś ciemna metafizyka, bardziej fatalna niż otwarta zdrada, spektakularne przenieństwo.

Już wkrótce miałem ku temu wszelkie powody. Podczas nauki w Austrii wziąłem kilka lekcji jazdy na łyżwach; moje koła i pętle stały się o wiele dokładniejsze. Nauczyłem się także kilku skoków. Po powrocie na Bukowinę ćwiczyłem je w moim kącie. Wzbudziłem tym zainteresowanie hordy młodzieży, oczywiście Żydów, którzy utworzyli nieformalną drużynę hokejową. Kiedy otoczyli mnie pewnego pięknego popołudnia, zrobiło się trochę nieprzyjemnie, wyglądali bowiem na agresywnych i silnych i nie wiedziałem, czego ode mnie chcą. Udawałem więc, że ich nie widzę i ćwiczyłem dalej ósemkę z Rittbergerem. Patrzyli na mnie dobrą chwilę, wreszcie największy z nich powiedział:



Gregor von Rezzori

Z AULEK LITERACKI

– Całkiem nieźle ci to idzie. Chciałbyś grać z nami? No wiesz, w hokeja.
 – Dziękuję bardzo – odparłem. – Raczej nie.
 – Dlaczego? Nie grasz z Żydami?
 Wolalem na to nie odpowiadać. Podeszli bliżej.
 – A ty kto? – zapytał drugi. – Rumun czy Polak?
 – Ani to ani to – powiedziałem nie przerywając jazdy.
 – No to kto? Niemiec? Gadasz po niemiecku. No to kim do diabła jesteś?
 Może sam jesteś Żyd?
 – No mów – powiedział jeden z nich i podjechał tak blisko, że nasze nosy prawie się dotknęły. – Jesteś Żydem, czy nie? (...)
 Stałem. Milczałem jeszcze, patrzyliśmy sobie w oczy, aż wreszcie pierwszy z nich powiedział:
 – Dajcie mu spokój, to tylko mały, zarozumiały, zasrany goj.
 Rzucił na lodowisko krążek, za którym wszyscy ruszyli hurmem i zostałem w moim kącie sam razem z moimi ślicznymi ósemkami oraz grubym sześciokrotnie wokół szyi owiniętym szalem i czekałem na matkę, która miała po mnie przyjść(...)

Ferie na ogół spędzałem w domu wdzięczny za samotność, która tam na mnie czekała. Byłem szczęśliwy, że mogę spędzić kilka tygodni z dala od stada moich szkolnych kolegów i nazbyt bliskich związków z wyrostkami, w których mózgach i mięśniach już pieńiła się ciężka męskość, która w przyszłości miała uczynić z nich stałych bywalców lokali i burdeli. Przez ten czas pozostawałem także z dala od zbyt obowiązkowych nauczycieli, których zawód kształtowania ludzi za pomocą dyscypliny przekształcił w barokowe monstra. Większą część czasu spędzałem z ojcem w Karpatach, żyjąc i polując z nim w prawie bezgłośnym porozumieniu, każdy w swojej samotności. W mieście, w Czerniowcach czy też pięknej Suczawie, potrafiłem godzinami chodzić na spacerzy patrząc i wsłuchując się w dziwnie obco-znany świat dawnej kolonii, w którym Rumuni, Polacy, Niemcy i Ukraińcy żyli w zgodzie z Żydami. Ten pełen napięć kolorowy świat był moją właściwą szkołą. (...)

Moi rodzice nie byli specjalnie zamożni. Łowiecka pasja mojego ojca okazała się z czasem kosztowna i pochłonęła wkrótce wszystko, co po niedysyjszym dobrobycie zostawiła wojna. Niemniej jednak wyobrażenia o finansowych potrzebach młodego człowieka pozostały niezmienione. Mój miesięczny weksel wystarczyłby prawdopodobnie na dość przyzwoite wyżywienie siedmioosobowej żydowskiej rodziny na Bukowinie. Nie byłem więc zmuszony do rozpoczynania studiów pod presją niedostatku. (...) Mimo to moja egzystencja znalazła się w ślepej uliczce. Jako godny wnuk swojego dziadka chciałem studiować architekturę. Ale sam już widok Wyższej Szkoły Technicznej nudził mnie do lez. Zamiast szkolić mój zmysł harmonii, (...) drczono mnie obliczeniami z teorii wytrzymałości, choć zawsze byłem marny z matematyki. Bardzo szybko zacząłem wagarować, a w końcu w ogóle przestałem chodzić na ćwiczenia. Nie wychowano mnie na bywalca koncertów czy teatru – jak wiadomo muzy były dziwkami polskich Żydów najgorszego sortu. Z wyjątkiem kilku operetek Massary'ego niewiele miałem do czynienia z doskonałym teatrem, który uczynił w tym czasie Wiedeń metropolią sztuki aktorskiej. Babka miała co prawda z dawnych, dobrych czasów łożę w operze, ale sama tam nie chodziła. Przedzręmałem więc *Złoto Renu* i *Traviatę* dziwiąc się, dlaczego ludzie wydają z siebie jęki zachwytu, bądź wiją się jak ranne zwierzęta. Mnie śpiew wydawał się dość głośny, ale za to gra na skrzypcach i trąbkach wirtuozerska. Tak jak ojciec lubilem dźwięk łowieckiego rogu. (...)

Wracając kiedyś mocno po północy w moim światowym wydaniu – fraku z białym goździkiem w butonierce, jedwabnym szaliku a la Fred Astaire na szyi – spotkałem pod domem Minke, która grzebała w torebce w poszukiwaniu klucza.

– Albo go zgubiłam, albo zapomniałam – mruzczała.

Ale nie była z tego powodu szczególnie nieszczęśliwa, wydawało się nawet, że ją to bawi.

– To typowe dla mojego szczęścia – powiedziała, – że spotykam tu pana o tak późnej godzinie, żeby otworzył mi pan drzwi.

Najwidoczniej trochę wypila, jej ciemne oczy lśniły, a jej zęby błyszczały w prowokująco pomalowanych ustach. (...) Czyżbym zakochując się w pięknych Żydówkach z lodowiska już od najwcześniejszych bukowińskich lat nie dawał dowodu niegodnego braku charakteru? Dla mojej babki i ciotek Minka, mimo wszystkich koncertów kameralnych za życia swoich rodziców w ostatecznym rozrachunku była z pleblejusów, którym moja matka darowywała stare ubrania. Gdyby starzy Raubitschkowie opłacali sobie rewir łowiecki w Styrii, byłiby odpowiedzialni za to, że mój ojciec musiał żyć na emigracji.

Pomyślałem, że to ironia losu. Stojące naprzeciw z wabiącym uśmiechem stworzenie nie wyglądało na wcielenie odwiecznego wroga. Niemniej jednak było to stworzenie spod innej gwiazdy. Mimo to zachowywałem się jak dobrze wychowany młody człowiek. Otworzyłem i przytrzymałem drzwi z tą szczególną uprzejmością i dystansem, który podpatrzyłem u mojej babki, a Minka Raubitschek uśmiechnęła się jeszcze bardziej prowokująco i lustrując mnie od stóp do głów powiedziała, że wyglądam wspaniale i gdzież to byłem w tym eleganckim wydaniu. Opowiedziałem mgliście, że u przyjaciół i że ich nie zna.

– Ach tak? – powiedziała Minka – Jak się nazywają?

Było to typowo żydowskie nietaktowne pytanie, na które odpowiedziałem, że to Rumuni „de passage” w Wiedniu, w drodze do Paryża.

Minka powiedziała, że zna w Paryżu wielu bardzo zabawnych Rumunów i chciała wiedzieć, czy ostatnio tam byłem.

Ostatnio nie, odparłem i ruszyłem schodami do góry. (...) Kiedy dotarliśmy do pierwszego, zwanego mezzaninem, półpiętra, na którym znajdowało się mieszkanie mojej babki, zatrzymałem się. Minka puściła moje ramię i uśmiechnęła się.

– Dziękuję. Jest pan uroczy.

– Czy mam panią zaprowadzić wyżej? – zapytałem i ugryzłem się w język, bo natychmiast uświadomiłem sobie, jak niezręcznie to zabrzmiało.

– Tak bardzo po mnie widać, że jestem pijana? Ja sama zauważam to dopiero wtedy gdy muszę wdrapywać się po tych schodach na czworakach. Chodź mój młody Beau, podaj mi ramię. (...)

Złamałam sobie kiedyś biodro - powiedziała Minka wspierając się na mnie całym ciężarem. – Z powodu historii miłosnej, może pan to sobie wyobrazić? Gdybym kontynuowała w tym stylu, nie miałabym dzisiaj ani jednej całej kości. Ale niech mi pan raczej opowie o sobie. Jak tam pana historie z dziewczynami? Kiedy ktoś wygląda tak jak pan, nic go przed nimi chyba nie uratuje?

– Jakoś się to udaje – powiedziałem dostatecznie skromnie, aby zrozumiała, że jestem zbyt zakłopotany, aby zdradzić prawdę.

– Hm. Rozumiem – zaśmiała się jasno i melodyjnie. Nic już nie dodałem. Nie byłem pewien, czy nie domyślała się i śmiała się ze mnie. Wspinaliśmy się więc po schodach i dotarliśmy do jej drzwi w milczeniu.

– Czy chce pan wejść i napić się czegoś? – zapytała.

– Dziękuję bardzo.



Gregor von Rezzori

Z AULEK LITERACKI

– Dziękuję tak, czy dziękuję nie – popatrzyła mi w oczy.

– Tak – kiwnąłem głową i poczułem, jak robię się czerwony. Podała mi swój klucz i dodała wesoło:

– Tego na szczęście nie zgubiłam.

Otworzyłem zamek i przytrzymałem drzwi.(...)

Później często pytałem się, czy właściwie miałem romans z Minką. Z pewnością trudno by było nasz związek nazwać tym lub podobnym określeniem. Cokolwiek to było, nie zakłóciło to w najmniejszym stopniu jej prywatnego życia. Natomiast, choć moje życie zmieniło całkowicie, ani przez chwilę nie miałem poczucia, że nie mogę robić tego, na co mam ochotę. Od pierwszego poranka, kiedy obudziłem się w tym samym czułym uścisku, w którym zasnęliśmy i patrzyłem na jej całkowicie wypoczętą, świeżą twarz, kiedy otworzyła swoje ciemne oczy i ze zdumionym uśmiechem zapytała: „Człowieku, kim ty jesteś? To przecież chyba nie ten chłopak z pierwszego piętra, wnuk tej starej zwariowanej zmory?”, spędzaliśmy ze sobą noce i dni. (...)

Istnieje ogólnie przyjęty przesąd, według którego całkowita zmiana życia wiąże się w sposób konieczny ze zmianą poglądów. Nie musi tak jednak być. Można zmienić własne życie tak, by stało się całkowitym przeciwieństwem poglądów, zachowując te ostatnie bez zmiany: wysyłając je jakby na czasowy urlop.

Moje życie uległo całkowitej zmianie, mimo to tak jak dotąd nie lubiłem Żydów. Ale od tej pory wśród nich żyłem, gdyż większość przyjaciół Minki była Żydami. Jeden z nich, monstrualnie tusty, lecz niezwykle mądry i wesoły dziennikarz z Pragi, Poldi Singer, który regularnie przyjeżdżał do Wiednia, żeby pisać recenzje teatralne, uświadomił mi pewną ważną zależność. Spotkaliśmy kiedyś bardzo znanego aktora – nie-Żyda – który traktował Singera z wyszukaną grzecznością. Poldi odwrócił się do mnie i powiedział z obrzydzeniem:

– Moja matka zawsze mi mówiła: Bardziej niż antysemitów strzeż się gojów, którzy udają, że kochają Żydów.(...)

Dzięki Mince miałem szczęście w wieku lat dziewiętnastu usłyszeć Karla Kraussa i obserwować jego twarz, zniekształconą płomieniem fanatycznej miłości do cudu języka niemieckiego a zarazem świętej nienawiści wobec wszystkich, którzy się nim źle posługiwali. Siedziałem z Minką i Poldi Singerem, z Otto Tresslerem i Elsą Wohlgemuth przy stoliku, piliśmy kawę u Thiemigów i patrzyliśmy jak Hollitzer maluje. Przyjaciele Minki wchodzili i wychodzili z jej mieszkania traktując je tak, jak ptaki traktują koronę wielkiego drzewa. Był wśród nich niezwykle muzykalny chłopak, nie Żyd, którego często prosiliśmy: „Chodź, Herbert. Zagraj nam coś na fortepianie!”. Po wielu latach przypominałem sobie, że nazywał się Herbert von Karajan.

Tym, co dawało mi prawo nie tylko przypadkowego i jednorazowego pobytu wśród tych znanych i zasłużonych ludzi, był mój pewien odkryty przez Minkę talent. Nie na darmo spędziłem dzieciństwo na Bukowinie, w pobliżu Galicji. Kiedy przechadzałem się po ulicach Czerniowiec, Suczawy, czy też Lwowa i Przemyśla, miałem oczy i uszy otwarte. Teraz okazało się, że mówiłem lepszym jidysz i że więcej wiedziałem o zwyczajach i sposobach zachowania tzw. „polskich” Żydów, niż większość kulturalnych Żydów Wiednia czy nawet Pragi. Byłem ekspertem do spraw wszelkich niuansów żydowskiego dialektu oraz języka Żydów Wschodnich, kiedy ci starali się mówić wyszukaną niemczyzną. A ktoś opowiadał jakąś żydowską anegdotę – a w tamtych czasach, szczególnie wśród żydowskich intelektualistów, kultywowano to jako pewien rodzaj sztuki – i opowiadał ją źle fałszując choć najmniejszy ton, Minka przerywała mu niecierpliwie

„Dość tych nudów. Opowiedz tę historię po cichu Brommy'emu, a on opowie ją na głos szybciej, lepiej i tak jak należy. (...)”.

Ten wspaniały okres nie trwał jednak wiecznie. Wkrótce miałem skończyć dwadzieścia lat i musiałem odbyć w Rumunii służbę wojskową. Moje wiedeńskie dni nagle dobiegły końca i stały się przeszłością. A w wieku dwudziestu lat teraźniejszość jest silniejsza. Byłem szczęśliwy, że znowu jestem na Bukowinie.

Zawsze myślałem o Bukowinie jako o byłej prowincji monarchii habsburskiej. Nagle stało się oczywiste, że prawie nic nie wiedziałem ani o kraju, w którym się urodziłem, ani o narodzie, do którego przez obywatelstwo należałem. Aby uzupełnić tę lukę w moim wykształceniu zaangażowano rumuńskiego studenta, który dawał mi lekcje języka rumuńskiego oraz literatury i historii Rumunii. Oczywiście od razu się zaprzyjaźniliśmy, co dało początek przyjaźni z kilkoma innymi młodymi Rumunami, która trwa do dziś. Dzięki niej odkryłem Rumunię – nowy barwny świat. Zakochałem się w historii rumuńskich księstw – Mołdawii (do której należała Bukowina) i Wołoszczyzny – namiętnie śledziłem ich historyczną wielowiekową walkę z turecką i rosyjską okupacją, ich rozkwit pod rządami książąt mołdawskich oraz dążenia do zjednoczenia się w jedno królestwo Rumunii. Drzewo genealogiczne mojej babki usprawiedliwiało moją nowo odkrytą miłość do tego kraju oraz moje prawo przynależenia do niego nie tylko jako członek mniejszości niemieckiej. Moje pierwsze imię Arnulf ustąpiło miejsca trzeciemu – Gregor, które nosił pół-grecki, pół-rumuński przodek z Bessarabii zasobnie wyposażony w turecką matkę i rumuńską żonę.

Ojciec obserwował moje rumuńskie przyjaźnie oraz poszukiwania genealogicznych związków z tym krajem z niechęcią równą tej, z jaką stara Maria wyrażała zastrzeżenia co do mojej przyjaźni z „tą młodą Raubitschek”. Ale w tym czasie osiągnąłem, właśnie dzięki „tej młodej Raubitschek”, wyrażną chęć do niezależności. Tak więc kiedy ojciec wytłumaczył mi, że nie znosi Bukowiny i już dawno by ją opuścił, gdyby nie możliwość polowania w Karpatach, odparłem mężnie, że moim upodobaniom bardziej odpowiada możliwość otwartego spoglądania w piękny krajobraz i jego dalekie horyzonty niż tkwienie z nosem przyklepionym do murów. A już zwłaszcza nie w smak była mi kraina taka jak Styria, w której wiele niemowlaków nie mogąc odróżnić wola matki od jej piersi umierało z głodu. Na co mój ojciec odwrócił się do mnie plecami i nie odzywał się do mnie przez kilka tygodni. (...)

Kiedy w lutym 1938 wróciłem do Wiednia, zastałem tam chaos. Minka, która wyszła po mnie na dworzec powiedziała:

– Biedactwo, przyjeżdżasz w fatalnym momencie.

– Już wkrótce światem będą rządzić Weingrubowie, Schicklgruberowie i Schweingrubowie.

Dowiedziałem się, że większość jej przyjaciół, także Bobby, jej wierny kochanek, uciekli już do Szwajcarii, Anglii czy Francji. Bądź przynajmniej mieli zamiar opuścić Austrię, choć w wielu przypadkach kosztem materialnej egzystencji.



Gregor von Rezzori

Z AULEK LITERACKI

Ulica Jurija Fedkowicza (dawna Gardengasse) w Czerniowcach, na której mieszkał Gregor von Rezzori. Dom jego ojca, grafa von Rezzori, nie zachował się. Fot. K. Czyzewski



– Daj spokój. Nie przesadzaj – powiedziałem. W lecie widziałem tych biednych emigrantów w Salzburgu. Wy, Żydzi, do wszystkiego podchodzicie tak egzaltowanie. O co tu w ogóle chodzi?

– Poldi wszystko ci wytłumaczy. Jestem z nim umówiona na kolację. Jeśli pójdziesz ze mną, dowiesz się wszystkiego. Wystarczy, że go posłuchasz.

Poldi Singer, tłusty dziennikarz z Pragi, jeździł regularnie jako recenzent teatralny nie tylko do Wiednia, ale i do Berlina. Zdziwiająco schudł i nie był nawet w połowie tak dowcipny i zabawny jak dawniej. Denerwowało mnie zwłaszcza to, że traktował mnie teraz ze złośliwością, której nie potrafiłem stawić czoła, gdyż konsekwentnie celował nią w luki mojego wykształcenia.

– Jak słyszę, wyrzekliśmy się karolińskich przodków – powitał mnie, – choć wąsy jak najbardziej merowińskie.

A kiedy wsty nie rozumiejąc potrząsnąłem głową, dodał:

– Mam na myśli zmianę imienia. Już nie Arnulf, ale Gregor. To dobrze, bardzo dobrze. Grzegorz Wielki był, jak wiadomo, protektorem Żydów.

Odparłem sucho, że z pewnością nie był to powód, dla którego nadano mi to imię. Poldi zgodził się:

– Proszę bardzo. Zostańmy przy Karolingach. Stąd niedaleko do biskupa Agobarda. Możemy więc oczekiwać nowego *De insolentia Judaerum* lub gorzej jeszcze: *De Judaici superstitionibus* z krwawymi oskarżeniami. Dziś nie ma w tej kwestii zgodności. Istnieją mianowicie dwa obozy, choć zbieżność nazw jest tu niezamierzona: jeden na zewnątrz, a drugi wewnątrz obozu koncentracyjnego; i choć ten ostatni może wydać się niewygodny, pozostaje jedynym dla przyzwoitych ludzi.

– Wolę sama tam skończyć, niż patrzeć jak zabierają tam Brommy'ego – powiedziała Minka. – Ale, Poldi, jemu trzeba wszystko wytłumaczyć. Musisz wiedzieć, że on przybył do nas ze średniowiecza. Jego ojciec mieszka tam, w Karpatach.

Teraz dopiero zdałem sobie sprawę z tego, że Poldi przybierał ironiczną pozę, aby ukryć potworny strach. Większości z tego, co nam opowiadał – szeptem i rozglądając się strachliwie na wszystkie strony – nie bardzo rozumiałem. Uświadomiłem sobie jedynie, że na mapie świata, który nosiłem w sobie, polityka była białą plamą. Jeśli o mnie chodzi, nie miałem z tym nic wspólnego. Byłem Rumunem, poddanym Najjaśniejszego Króla Karola II, a wszystko, co wiedziałem, czy też raczej musiałem wiedzieć o polityce sprowadzało się do tego, że byłem obywatelem monarchii konstytucyjnej oraz że parlament rumuński, który reprezentował moje obywatelskie interesy, miał swą siedzibę w Bukareszcie. Tam posłowie partii chłopów, liberałów i czego tam jeszcze gadali jeden przez drugiego, banda drani i oszustów, ciągnących z państwa jak z dojnej krowy. (...)

Polityka wydawała mi się dotąd bardzo prosta, podczas kiedy to, co opowiadał Poldi było pogmatwane i nie bardzo przekonujące. Jeśli pominąć kwestię żydowską, co do której był oczywiście stronnicy, faszyci mieli tę zaletę, że byli przeciwnikami „czerwonych”. A „czerwoni” to były podle robole, którzy chcieli zniszczyć takich jak my. Na przykładzie Rosji widać to było dostatecznie wyraźnie. Żydzi mieli fatalną skłonność do „czerwonych”. Poldi Singer oczywiście też. I gdyby nie było z nami Minki, której nie chciałem sprawić przykrości, powiedziałbym mu otwarcie, że uważam za słuszne, żeby trzymać Żydów trochę w strachu, żeby się nie nadymali i nie robili propagandy dla roboli. Zgoda, faszyci też byli robotami, ale mieli zdrowe idee, poza tym budowali świetne szosy i wydali wzorowe ustawy o lowiectwie. Nie było więc rzeczą niezrozumiałą, dlaczego wielu darzyło ich sympatią, ja sam wołałbym ich od innych. (...) Jeśli, jak mówił Poldi, Niemcy rzeczywiście postanowili zdobyć Austrię, to nawet lepiej: narody

niemieckie byłyby wówczas zjednoczone tak samo jak w Świętym Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego. Postanowiłem od czasu do czasu mówić Poldiemu, co myślę. Skoro Żydzi się bali, dobrze im tak, być może w przyszłości nie tylko przestaną być szpiegami i propagandystami komunizmu, ale także zaczną się lepiej zachowywać podczas Salzburger Festspiele. A jeśli chodzi o reakcję Francuzów i Anglików i innych zawistnych narodów, to lepiej żeby troszczyły się o własne sprawy. Moim zdaniem, nie istniał najmniejszy nawet powód do wszczynania wojny tylko dlatego, że Niemcy, podobnie jak przed nimi Czesi, Polacy czy Rumuni, dążyli do odzyskania jedności narodowej. Poldi typowo po żydowsku wszystko wyolbrzymiał. Mając na uwadze Minkę nie powiedziałem mu tego. Minka bardzo go lubiła i to by ją zraniło. Poszliśmy więc do Kärtnerbar.

Kiedy Minka przychodziła do Kärtnerbar oznaczało to zawsze szczególne święto. Wielokrotnie musieliśmy przewiązywać się liną, także Poldi stał się znów równie zabawny jak niegdyś. O trzeciej rano odnaleźliśmy się na małej przekąsce w Paulanerbräu. Jakiś pijak przy naszym stoliku oznajmił głośno, że jest byłym oficerem kawalerii, odznaczonym medalem za odwagę.

– Nie muszę mówić, jak się nazywam – krzyczał twarzą wstrząsaną drgawkami, jak gdyby nieustannie biegały po niej muchy. – Każde dziecko w szkole wie, kim jest bohater spod Zaleszczyk!

Mała nieśmiała kurewka, którą znałem z moich nocnych spacerów po Kartnerstrasse, usiadła koło niego, a on traktował ją z wielką galanterią. Ledwie zdążyliśmy przelknąć pierwszą łyżkę zupy gulaszowej i pierwszy łyk piwa, kiedy nagle pojawił się przed nami wielki, nieogolony facet i ryknął:

– Żydy wynocha!

Zanim ktoś z nas zdążył zareagować, bohater spod Zaleszczyk powstał ze szywną godnością i oznajmił, że czuje się obrażony określeniem go jako Żyda i że pan, który to zrobił, zechce natychmiast pofatygować się z nim do męskiej toalety, aby omówić miejsce, czas i warunki nieuniknionego pojedynku. Kiedy Poldi pociągnął go za dolny brzeg marynarki na krzesło, bohater mruzczał jeszcze, że i tak pojedynkowanie się z robotami byłoby poniżej jego godności, a następnie rycersko zwrócił się do małej kurewki:

– Przepraszam, łaskawa pani, ale mam wrażenie, że gdzieś już panią widziałem.

Poldi dopytywał się uprzejmie, gdzież to się stało i wysunął przypuszczenie, że pewnie pod którąś z latarni. Natomiast potężny awanturnik stał kołysząc się z nic nie widzącym wzrokiem jeszcze chwilę przed nami, zanim opadł na fotel obok kurewki i zaczął tępo gapić się w drewniany stół.

– Gdzież to mogło być, łaskawa pani – pytał uparcie bohater spod Zaleszczyk, na co kurewka poprosiła nieśmiało:

- Proszę nie mówić do mnie łaskawa pani, nie jestem zameżna.
- A więc panna – poprawił rycersko bohater spod Zaleszczyk.
- Jestem skorpionem – poinformowała ledwie słyszalnym szeptem.

Jakby to właśnie było hasło, siedzący gbur podniósł nagłym szarpnięciem głowę i popatrzył na mnie tępo:

– Patrzcie na tego sukinsyna! Już mnie nie pamiętasz, ty świnió! – ryknął. – Arnulf! To ja Oskar. Oskar Koloman!

Teraz go poznałem. I myślałem, że nie uwierzę własnym oczom. Był to jeden z moich kolegów ze styryjskiego internatu, dużo jednak ode mnie starszy, z rocznika, który wkrótce po moim przyjeździe kończył szkołę. Nigdy bym nie przypuszczał, że będzie w stanie mnie zapamiętać.

– Skąd się tu wziąłeś? – zapytałem niezbyt błyskotliwie.

Stanął wyprostowany.



Gregor von Rezzori

Z AULEK LITERACKI

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – próbując chwycić mnie za ramię prawie przewrócił się na stół. – Chodź ze mną do toalety. Tam się dowiesz, skąd się tu wziąłem.

– Myślę, że lepiej by było, gdybyś poszedł – wyszeptala do mnie Minka. – Poldi i ja będziemy mogli tymczasem zniknąć.

Poszedłem za moim szkolnym kolegą do piwnicy. (...) Właśnie wypuszczono go z kamieniolomów, z Kaisersteinbruch – obozu koncentracyjnego dla nielegalnych faszystów w Austrii kanclerza Schuschnigga. Jako członek nielegalnej grupy faszystowskiej w Grazu, mój przyjaciel wysadził w powietrze budkę telefoniczną i został złapany na gorącym uczynku. Spędził w obozie trzy lata.

– Za taki malutki pet – płakał mi w twarz i próbował pokazać, na ile to było możliwe przy pomocy jego grubych palców, o jak mały niedopałek papierosa chodziło – za taki malusieńki pecik musiałem tygodniami szorować latrynę. Czy ty w ogóle wiesz, co to jest? Czy ktoś w ogóle wie, co to jest obóz koncentracyjny?

Próbowałem mu odpowiedzieć, że Żydzi w Niemczech wiedzieli, ale przezornie się powstrzymałem. Zaczął walić pięściami w pokrytą smołą ścianę:

– Zostawili nas na lodzie, ci nasi bracia z Rzeszy. Zostawili nas tkwiących po uszy w gównie, a sami rosną w potęgę i siłę. Dziś nas wypuścili, po trzech latach, które złamały nam kręgosłup i zabrały odwagę. A teraz przychodzą i przejmują władzę, te psy! Oparł czoło o smołowaną ścianę i zapłakał. Koloman przy ścianie płaczu. Zostawiłem go stojącego i poszedłem do domu.

A więc to była Austria. Byłem rozczarowany. Inaczej wyobrażałem sobie mój powrót. Minka, ogarnięta panującą wśród Żydów paniką, także nieznośnie się zmieniła. Czulem, że pozbawili mnie całego efektu powrotu jako dorosłego mężczyzny. W końcu miałem już wkrótce naprawdę skończyć dwadzieścia cztery lata. Chyba jednakhm, co? Chyba jednak wiązałem z moim powrotem zupełnie inne oczekiwania. Czas mi jednak nie sprzyjały. (...)

Kiedy opuszczaliśmy mieszkanie mojej babki kwadrans przed dziesiątą, ulice były dziwnie ciemne i puste. Idąc z Florianigasse w stronę Burgtheater, a następnie na Ballhausplatz mijając arkady ratusza, jedno z nie rzucających się w oczy dzieł mojego dziadka. Przed ratuszem znalazłem się w samym środku niesamowitej procesji. W odlanych ze stali blokach marszowych spojonych żelazną dyscypliną maszerowały tysiące – sami mężczyźni w całkowitym milczeniu. Słysząc było tylko głuche rytmiczne tupanie stóp. (...). Miało to przerażający charakter ostateczności, przeznaczenia. Próbowałem przedrzeć się przez szeregi na drugą stronę ulicy, ale mi się to nie udało. Zapytałem dwóch czy trzech mężczyzn, co tu się właściwie dzieje. Przeciwno czemu tym marszem protestują. Ale nie otrzymałem odpowiedzi. Zdenerwowałem się. Obawiałem się, że spóźnię się na spotkanie, które było dla mnie o wiele ważniejsze i bardziej decydujące o moim losie niż austriacka polityka. Tak więc przyczepiłem się do ostatniego szeregu bloku marszowego i tupałem chwilę razem z innymi, ale wkrótce zostałem sam. Próbowałem szczęścia przy następnym bloku. Stalowe profile. Nikt nie spojrział na mnie nawet kątem oka.

– Po co tu, do diabła, maszerujemy? – napałem na jednego z boku.

– Anschluss – odszczeknął jego profil. – Przyłączamy się!

Tak więc byłem we właściwym miejscu. Ja także chciałem się do kogoś przyłączyć. (...) Ale mi nie dali, blok za blokiem wyrzucał mnie ze swoich szeregów już po kilku marszowych krokach. W każdym bądź razie dostałem się na tyle daleko, żeby móc widzieć wieżę ratuszową na całą jej wysokość.

Wiedziałem, że jej szczyt koronowała postać rycerza w pełnej zbroi, który dawno temu mieszkał w moim dziecięcym sercu jako odzwierciedlenie ideału. Spojrzałem na niego oczekująco. Spod jego stóp spływał w dół potężny czerwony sztandar. Na jego białym polu widniała czarna swastyka.

A więc stało się: Austria przyłączyła się do Rzeszy Niemieckiej. Nie przyszło to nagle, od tygodni nie mówiono o niczym innym. Ale skąd ciemni mężowie w blokach marszowych wiedzieli, że stanie się to dziś wieczorem? Skąd na miłość Boską każdy z nich znał swoje miejsce w szeregach tych bloków? Musieli ćwiczyć to od miesięcy, od lat. Gdzie to się działo? Najwidoczniej w piwnicach: do czasu uwolnienia Oskara Kolomana z kamieniołomów w podziemiu. Oczywiście każdy o tym wiedział, przeważająca większość – naturalnie z wyjątkiem Żydów i Czerwonych – patrzyła na to ze skrywaną bądź jawną sympatią. Każdy dobry Austriak był za Anschlusssem. To jednak, że aprobata społeczeństwa była posunięta tak daleko, że dopuściła do parady na cześć ich wyjścia z podziemia na powierzchnię było dla mnie wielką niespodzianką. Ale tak właśnie niewątpliwie było. Byli tak bajecznie zdyscyplinowani, że nawet na samym końcu tej milczącej parady nie mógłbym się przyłączyć. A końca nie było widać. Cała ludność Wiednia, przynajmniej męska, maszerowała wzdłuż Ringu w tęym milczeniu ze sztywno na wprost skierowanymi profilami.

Nagle poczułem się wykluczony. Co to miało znaczyć? Przecież tak jak i oni byłem Austriakiem z urodzenia, urodzonym pod sztandarem dwugłowego orła. Nawet jeśli potem zostałem obywatelem Rumunii, odmówienie mi miejsca w ich szeregach, jak gdybym był Czerwonym albo Żydem, wydawało mi się niesprawiedliwe. (...) Rzecz szczególna, mimo ciemności i milczenia w powietrzu było coś na kształt objawienia, zwirowanej obietnicy, niesamowitości: każda nadzieja wydawała się mieć perspektywę spełnienia. Nie, nie, tu działo się coś ważnego. Ten marsz nie był wyłącznie protestem z powodu zmniejszenia wiedeńskich rogalików o centymetr czy coś w tym rodzaju. Rytmicznie wytupana nad Wiedniem cisza oznaczała przełom epok (...).

Mogłem wracać do Rumunii, czy gdziekolwiek. Ale ogarnął mnie szczególny paraliż. Codziennie powtarzałem sobie, że muszę wreszcie wziąć się do czegoś rozsądnego. Strwoniłem już zbyt wiele czasu, nie skończyłem studiów – o ile w ogóle kiedykolwiek na poważnie je zacząłem. Lata spędzone później na Bukowinie i w Bukareszcie także trudno było określić mianem kamienia węgielnego przyszłej uporządkowanej egzystencji.

Ale to wszystko wydawało się wtedy dziwnie dalekie, wydawało się cudzą przeszłością. Czasy zupełnie się zmieniły, jakby także i one zostały dotknięte paraliżem. Powietrze było pełne obietnic, lecz wszystkie zdawały się celować w pustkę, nawet entuzjazm najwierniejszych, najczystszych, najbardziej oddanych. Nawet przybycie do Wiednia wielkiego führera tej po tak długim czasie ponownie zjednoczonej Rzeszy stał się dziwnie pustym aktem poświęcenia. Ponad głowami słoczonych w twardą masę na Heldenplatz milionów jego głos brzęczał wprawdzie z megafonów jak odgłos grzmotu, ale to, co chciał powiedzieć tonęło w bez tchu wykrzyczanym „Sieg Heil! Sieg Heil! Sieg Heil”. Mógł więc tylko jękać: „Jes .. jess... Jessem bardzo szczęśliwy” – co stanowiło prywatną informację o drugorzędnej wartości, jak określiłby to mój ojciec. Lecz mimo to zaczęła się nowa rzeczywistość: jaśniejsza, bardziej otwarta, energiczna i dynamiczna – z pewnością tak. Lecz, jakby to powiedzieć, wyjąłowiona, abstrakcyjna, bez wypełniającego ją życia. Świeże powietrze Styrii przenikało do Wiednia, powietrze lodowców, alpejskie powietrze Salzburga, Tyrolu, Vorarlbergu – to wszystko prawda. Ale przybyli też i Niemcy, najpierw w marszowych kolumnach, które wykute były z jeszcze lepszej stali, jeszcze bardziej



Gregor von Rezzori

Z AULEK LITERACKI

milczące i o wiele rytmiczniej wybijały marszowy krok. Profile spod żelaznych hełmów jeszcze karniej patrzyły „na wprost” niż profile Ciemnych w noc Anschlussu. A po nich przyszli cywile w charczących głosami i ostrymi przedziałkami w krótko przyciętych, na mokro uczesanych włosach. Świeże górskie powietrze zostało zaksięgowane, a następnie było racjonowane i przydzielane. (...)

Przywróceniu Rzeszy Austriacy – zwani obecnie braćmi z Marchii Wschodniej – musieli odnosić wrażenie, że przypadło im jedynie zadanie okazywania entuzjazmu. I przez kilka tygodni całkiem dziarsko im to szło, szczególnie moim ciotkom, które na parę tygodni zaniedbały swoje związki ze światem zmarłych a jeszcze nienarodzonych, aby całkowicie poświęcić się sprawom NS Frauenschaft. Na swoich lodenowych kostiumach nosiły odznaki partyjne jak gdyby były to wysokie odznaczenia, a w ich spojrzeniach błyszczały gwiazdy, kiedy mowa była o panu Maliku. Guru Malik został bowiem nie tylko prezesem Styryjskiej Spółki Motorowej (która połączyła się wkrótce z bratnią spółką niemiecką i tym samym zniknęła), lecz także sturmbannführerem SS, co oznaczało niezwykle wpływową pozycję, jak podkreślały moje ciotki (...). Stara Maria, w której starczych oczach zwycięskie runy SS przybierały postać 44, w związku z czym uważała Malika za oficera 44-tego regimentu piechoty, do którego żołnierzy wdychała jako młoda dziewczyna, pojednała się z Malikiem. Jedynie moja babka wycofała się ostatecznie do swych komnat i nie przyjmowała już nikogo.

Było to dziwne, gdyż Wiedeń stał się przecież – co prawda przez Pieffkes, ale cóż było robić – rasowo czysty. Mimo to kilku młodych awanturników ordynarnie ją zaczepiło, kiedy wracając pewnego niedzielnego ranka z niedzielnej mszy zobaczyła, jak grupa kilku nie uszłych z Wiednia Żydów zmuszona została do zmywania hasel bojowych Schuschnigga z murów domów. Wśród nich znajdował się także lekarz, który przed czterema laty bardzo złagodził (a następnie zlikwidował) cierpienia moich ciotek wywołane bardzo bolesnym zapaleniem ucha środkowego. Moja babka próbowała przekonać wartowników, którzy strzegli upokorzonych, że to wszystko posuwa się za daleko. Wobec kulturalnych Żydów należy zachowywać się w sposób kulturalny. A kiedy młodzieńcy z SA zaśmiali jej się w twarz, zainterweniowała przy pomocy parasolki. Uderzenie w pierś rozciągnęło ją na ulicy, potem jeden z wartowników odprowadził ją w policyjnie bezpieczne miejsce. Tylko interwencja sturmbannführera Malika uratowała ją przed poważnymi trudnościami.

Jeśli chodzi o Minke, była zrozpaczona. (...) Wspólnie przeżywaliśmy wielkie wydarzenia, jak przybycie Niemców i führera do Wiednia. Spędzaliśmy wspólnie także i ten wieczór, kiedy dokonany Anschluss celebrowany był uroczyście w radiu. Kiedy po raz pierwszy usłyszeliśmy „Deutschland, Deutschland über alles”, Minka wybuchnęła płaczem.

– Posłuchaj mała – powiedziałem – nie będzie przecież z wami tak źle. W końcu jest przecież dość rozsądnych ludzi, którzy nie dopuszczą do najgorszego. Doszło co prawda teraz do erupcji zadawnionej nienawiści, ale nie musisz się bać, oni się uspokoją. Myślę, że chodzi im faktycznie tylko o porządek i dyscyplinę.

Minka wykrzyczała z wściekłością:

– Czy ty nie słyszysz idioto, co oni grają? To nasze „Boże chroń”, hymn dawnej, cesarskiej Austrii, skomponowany przez naszego Haydna, który oni sprzeniewierzyli teraz jako marsz manii wielkości ich brudnych, wielkich Niemiec.

Powiedziała „sprzeniewierzyli” prawdopodobnie nieświadomie, nie zastanawiając się, jaka otchłań kryła się w tym słowie. Dało mi ono na kilka dni do myślenia. Było właściwie: wokół nas dokonywał się przerażający akt

przeniewierstwa – ale czemu właściwie się sprzeniewierzano? Już wówczas odnosiło się wrażenie, że chodzi tu o wiarę, czysty entuzjazm, z którym oczekiwano tych zmian i z którym powitano je, gdy nadeszły. To wierność została sprzeniewierzona, myślałem. Na przykład wierność wobec dawnej Rzeszy. Ta, która nadeszła miała z nią równie niewiele wspólnego, jak z monarchią habsburską. Ale wkrótce zmęczyły mnie te rozmyślania. Ostatecznie byłem Rumunem, a nawet gdybym był Austriakiem nie mógłbym zapobiec rozwojowi tego rozgardiaszu, tak burzliwie witanego przez pozostałych Austriaków. W pewnym sensie naprawdę żał mi było Minki i wszystkich naszych przyjaciół, w ogóle wszystkich Żydów, ale stało się to, co się stało, każdym pokutował za jakieś winy, które najprawdopodobniej nie były jego. A jedynie, co mogłem dla tych biednych ludzi zrobić, to odwołać się do moich kontaktów z SS, jeśli moi znajomi wpadliby w poważne kłopoty.

Gdyż sturmbahnführer Malik nie był jedynym ogniwem łączącym mnie z czarnymi korpusami Hitlera. Pewnego pięknego dnia znów natknąłem się na mojego starego przyjaciela, Oskara Kolomana. Tym razem siedział przystojny i znaczący w swoim ozdobionym srebrnymi bestiami mundurze. O ile znałem się na dystynkcjach, był kimś więcej niż sturmbannführerem.

– Heil Arnulf – powiedział. – Jak to się stało, że widzę cię w cywilu? Czyżbyś nie był z nami?

– Wiesz przecież, że jestem Rumunem.

– To nie ma przecież znaczenia. Urodziłeś się w Marchii Wschodniej. Wcześniej czy później wszyscy mówiący po niemiecku wrócą do Rzeszy. Mogę bez trudu zrobić z ciebie Niemca.

– Dziękuję, pomyślę o tym.

– Jeździłeś przecież całkiem dobrze na łyżwach i nieźle konno, jeśli dobrze pamiętam. Mamy kilka fantastycznych koni w naszej konnej SS. Jeśli chcesz, możesz od czasu do czasu na nich pojeździć. A co w ogóle porabiasz?

– Nic szczególnego. Próbuję na nowo zaprzyjaźnić się z architekturą, ale potwornie mnie nudzi.

– No sam widzisz. Moje studia nudziły mnie tak samo. Dla rozrywki wysadziłem w powietrze budkę telefoniczną. No cóż, kosztowało mnie to trzy lata. Ale popatrz na mnie teraz. Nieźle, co? Też mógłbyś tak mieć, gdybyś chciał. Powiedz tylko – popatrzył na mnie nieufnie, – czy ty przypadkiem nie masz kontaktu z Żydami? Wtedy, kiedy widzieliśmy się ostatnio była z tobą taka czarnowłosa dziewczyna: zbyt aryjsko mi nie wyglądała.

– Oh, jest Turczynką – powiedziałem i zaśmiałem się

– Aha, Turczynką, rozumiem – także się roześmiał. – Oczywiście co Żydówka, to nie Żyd, a co dopiero Turczynka. Rozumiem, stara świnię. Ale nie bądź głupi i przyjdź do nas pojeździć konno, reszta da się załatwić.

Poszedłem. Rzeczywiście mieli kilka fantastycznych koni, szczególnie piękny był pewien ogier pełnej krwi, niegdysiejsza własność Rotszyldów. SS miała także dobrych jeźdźców, choć straszni z nich byli Pieffkes. Na mój widok ścigali z trzaskiem obcasy, wyrzucali do przodu tuż pod moją brodę ramię i ryczeli: Heil Hitler. Było to tak śmieszne, że czasami budziło się we mnie podejrzenie, że próbując nadać pozory powagi temu co robili, sami nie biorą tego zbyt poważnie. Przy bliższym poznaniu okazali się potem dość nieszkodliwi, szczęśliwi ze swoich mundurów i poczucia własnej ważności.

Aby uniknąć niewygodnych pytań, ale chyba także żeby się mną trochę popisać, Oskar powiedział im, że jestem tajnym agentem ze specjalnym zleceniem na Rumunię. Nie czyniłem nic, aby rozwiać tę legendę, traktowano mnie więc z mistycznym wręcz uwielbieniem, jak kogoś, kto



Gregor von Rezzori

Z AULEK LITERACKI

w najbliższym czasie umożliwi führerowi połączenie Siedmiogrodu ze Styrią. Mogłem być pewny dyskrecji Oskara co do tej sprawy. W godzinie słabości wyznał mi, że jego grupa austriackich faszystów została oszukana przez ludzi z Rzeszy, i że on i jego przyjaciele absolutnie nie chcieli Anschlussu, lecz osobnej faszystowskiej Austrii rządzonej przez ich führera, doktora Rinteleina, i że z tego planu jeszcze całkowicie nie zrezygnowali. Kiedy następnego dnia uświadomił sobie, jaką władzę nad sobą oddał w moje ręce, zaklinał mnie, abym go nie zdradził przed nikim. Wziąłem go za ramię i głębokim tonem niezłomnej męskiej przyjaźni powiedziałem:

– Oskar, myślę że dość już wspólnie przeżyliśmy dobrych i złych chwil, aby zastanawiać się nad wzajemnym zaufaniem.

– Arnulf – odpowiedział równie niskim głosem – zawsze wiedziałem, że porządny z ciebie facet, chociaż – zaśmiał się głośno – zbyt często widuję cię w towarzystwie Turków. Zresztą chętnie poznałbym kiedyś twoją turecką przyjaciółkę, odpowiada mi ten rozmiar. Oczywiście, jeżeli nie będziesz miał nic przeciw temu, ty stara świniu.

Opowiedziałem o tym Mince. Wystarczy, że łaskawie na niego spojrzy, żeby natychmiast ogłosił ją honorową aryjką.

– Mam w dupie wszystkich aryjczyków – zaatakowała mnie ponuro. – Nie mogę na nich patrzeć. Im wcześniej dostanę moją wizę angielską, tym lepiej. Muszę stąd wyjechać. Wiem, że złamie mi to serce, ale po prostu muszę.

Podobnie jak wielu naszych przyjaciół, także i Minka czekała na angielską wizę. (...)

Owego lata i jesieni roku 1938 większość Żydów, których znałem wyjeżdżała jeden po drugim za granicę lub też znikła w jakiś inny sposób (kilku zostało aresztowanych, a kiedy prędzej czy później wracali, opowiadali dość potworne historie o przesłuchaniach na Rossauerlande); inni po prostu znikali i nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy znaleźli się w więzieniu, w jednym z wielu obozów koncentracyjnych, czy też udało im się w ostatniej chwili uciec. Czasami próbowałem zdać sobie sprawę z tego, co naprawdę się działo: dookoła mnie i we mnie samym. Pogoda zaś była prawie nieprzerwanie nadzwyczaj piękna, świat wydawał się polakierowany, ale równocześnie dziwnie abstrakcyjny, bez punktów odniesienia, jak gdyby życie toczyło się w przestrzeni pozbawionej powietrza lub też było ciągłym snem na jawie: wciąż powracała do mnie myśl o pośredniej krainie dusz, w której przebywały dusze zmarłych, które nie narodziły się jeszcze na nowo, z którymi kontaktował się guru Malik. Wydawało się, że coś z zapowiadanej dematerializacji świata dokonało się, lecz wyższy stopień uduchowienia i harmonii z Bogiem nie został niestety osiągnięty. Czasami myślałem o domu i o ojcu, ale mój dom także wydawał mi się dziwnie daleki, jakby nieprawdziwy. Bukowina zdawała się leżeć na Księżycu, jeśli w ogóle istniała. Kiedy wyobrażałem sobie, że mój ojciec zobaczyłby mnie pośród wszystkich tych pstrych żydowskich postaci w spiskowym prawie z nimi porozumieniu, w prawie podziemnej wspólnoty, tak szybko wyklinającego na wszystko, co kiedyś, w jaśniejszych czasach, należało do moich najświętszych ideałów, jako zdrajcę niezmiennego wiary, w której tkwiły korzenie wierności, łapałem się na tej samej dowcipnej arogancji, którą uważałem za cyniczną i typowo żydowską. Wiedziałem, że mój ojciec nie pogardziłby mną z tego powodu. Byłem pewny, że nawet jego nienawiść wobec Żydów zatrzymałaby się przed tym, co tu się działo: w punkcie, w którym rzecz stawała się nieestetyczna.

Niemniej jednak to, co czyniłem, było w pewnym sensie prawdziwym grzechem śmiertelnym, a mianowicie grzechem wobec ducha. Kiedy Poldi Singer zaczął kiedyś poważnie i z głęboką znajomością rzeczy opowiadać o mistycznym jądrze ruchu faszystowskiego, czyli

o niezniszczalnym śnie o Rzeszy, świętym Cesarstwie, ku własnemu zdumieniu usłyszałem, jak mówię:

– A w gruncie rzeczy nie chodzi tu o nic innego, jak o wyobrażenie pierwotnie żydowskie – mianowicie o ideę mesjanistyczną.

Przeszła mi przy tych słowach owa ciemna zakazana rozkosz, którą jako dziecko odczuwałem myśląc o zdradzie. Wydawało mi się, że rozumiem, co dokonywało się w demonicznych katach ubranych w czarne mundury SS, kiedy wyżywali swój zimny, z pewnością nieerotyczny sadizm: to była rozkosz odstępstwa od Boga. Musieli czuć się jak upadłe anioły. Czasami ogarniała mnie pokusa, aby uczynić coś potwornego i wydać prawie tajne spotkanie Żydów w mieszkaniu Minki, wydać ich wszystkich pod nóż.

Ale w gruncie rzeczy jeszcze straszliwsze było to, że tego nie uczyniłem, że nie uczyniłem nic w ogóle, ani dla nich, ani przeciw nim; że przyginałem fatalistycznie to, co się działo, jak gdyby musiało się to dziać. Z pewnością, musiałem przyznać, że było to dość obrzydliwe. Ale taki już jest ten świat. Nie wszyscy ludzie są dobrzy, niektórzy są brutalni, inni zawistni, inni znów są cholerykami czy mizoginami, a ogólnie rzecz biorąc ofiary też nie zawsze były czystymi barankami. Kiedyś w katakumbianej przytułności u Minki zaprezentował się były adwokat, który opowiadał mrożące krew w żyłach historie o traktowaniu go przez SS. Kiedy zapytano go, czy miało to miejsce na osławionej Rossauerlande, odkraknął dumnie: Ależ proszę państwa, przecież nie aresztowano mnie jako Żyda. Byłem więźniem kryminalnym!

Właśnie dlatego, że świat nie składał się ze świetlanych postaci, czego nie mogło zmienić nawet obiecanie przez sturbannführera Malika-Weingrubera spotęgowanie naszej planety, należało utrzymywać go w surowym porządku – tak w każdym razie argumentowali faszyci, a jedno im trzeba było przyznać: potrafili utrzymać porządek. Każdego lata jeździłem na kilka dni do Salzburga, który był jak wymieciony do czysta, puste ulice, pusta Café Mozart. Także Wiedeń był jak wymieciony, wypolerowany i opuszczony. Nawet Oskar Koloman uskarżał się, że młode wiedeńskie wino – Heuriger – nie smakuje mu już jak kiedyś. Urządzaliśmy sobie teraz wspólnie regularne konne przejażdżki przez pusty Prater. W napadzie refleksji zapytał mnie któregoś dnia:

– Pamiętasz naszą szkolną bibliotekę? Była tam taka książka: „Miasto bez Żydów”. Czywiście nigdy jej nie przeczytałem, a ty? W każdym razie Wiedeń taki mi się teraz wydaje. Zrobił się taki – jakby to powiedzieć – bez smaku. Nie ma już nikogo, kogo można by było nienawidzić.

W tym czasie, w mieszkaniu Minki zatrzymał się młody, niezwykle uzdolniony muzycznie człowiek, nie Herbert von Karajan co prawda, tylko mały Żyd nazwiskiem Walter Heilbronner, który poczuł do mnie szczególną sympatię. Był inteligentny, wesoły i bardzo ocytany (zresztą taka była większość przyjaciół Minki). Przy całym swym błyskotliwym dowcipie Walter nosił w sobie pewną żalobę, która czyniła z nas pokrewne dusze. (...) Jako że miał krewnych w Ameryce stosunkowo szybko otrzymał amerykańską wizę do Stanów i szykował się do wyjazdu. Postanowiliśmy wydać na jego część pożegnalne przyjęcie.

Wybraliśmy gospodę daleko od typowych tras, małą winiarnię za Kobenzl, znaną jedynie kilku wtajemniczonym. (...) Powiadomiliśmy tylko najbliższych przyjaciół, w sumie niewiele więcej ponad dwanaście osób, wśród nich kilka bardzo pociągających dziewczyn. Autem, które wolno było jeszcze posiadać któremuś z nas, pojechaliśmy tam na dwie raty. Czuliśmy się swobodnie i byliśmy w doskonałych humorach, jak za dobrych, starych czasów. (...) U naszych stóp, po drugiej stronie górzystych winnic i stoków



Gregor von Rezzori

Z AULEK LITERACKI

z łąkami, które pachniały świeżo skoszonym sianem, żarzyły się światła Wiednia. Przeszył mnie dreszcz, kiedy w tę idyllę wdarł się dobrze mi znajomy głos:

– No, wreszcie przyłapałem cię in flagranti, draniu!

W drzwiach, które gwałtownie się otworzyły, stał Oskar na czele grupy potężnych mężczyzn. Chociaż byli w cywilu, nie zachodziła najmniejsza wątpliwość, do jakiej formacji należeli. Moi biedni żydowscy przyjaciele skamienieli tak jak siedzieli i stali. Oskar w asyście swoich niemych towarzyszy podszedł do mnie. Idąc jeszcze wyrzucił w górę ramię i szczełnął:

– Dlaczego przerywacie wasze święto, przyjaciele! Jestem starym przyjacielem Arnulfa z czasów szkolnych i chciałem pokazać moim przyjaciółom z Rzeszy, co to jest dobry, prawdziwy wiedeński Heuriger.

Było to prawie niewiarygodne, ale prawdziwe. Nie przyszedł tam, aby aresztować mnie, czy kogokolwiek innego. Kiedy zapytałem go, jak mnie tam znalazł, powiedział ze znaczącym uśmiechem – Najdroższy łabądku, wiesz przecież sam: my wiemy wszystko.

– Daj spokój, nie wyglupiaj się. Kto ci powiedział?

– Twoja babka.

– Moja babka?

– No, ta stara jedza z trzęsącym się głosem, która odbierała telefon.

Stara Maria. Coś mi świtało. Byłem głupcem. Od tygodni zostawiałem

u Marii moją codzienną marszrutę (...). Byłem więcej niż idiota. Byłem beznadziejnym przy-padkiem człowieka, który przez większość czasu nie zdawał sobie sprawy, co się dookoła niego dzieje. Bolesnie uświadomiłem to sobie, kiedy Oskar wepchnął mi łokieć pod żebra rzucając swoim przyjaciółom wiele mówiące spojrzenie i ryknął:

– Czy mógłbyś mnie wreszcie przedstawić swojej pięknej tureckiej przyjaciółce.

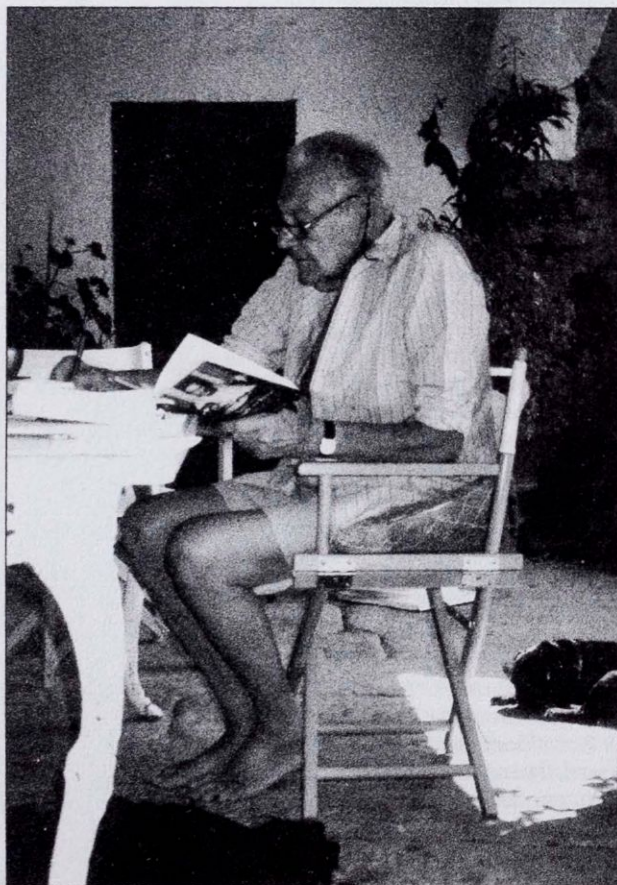
– To moja żona – odpowiedziałem. – Właśnie mamy wesele.

Panowie z Rzeszy bardzo się z tego powodu ucieszyli, strzelili obcasami, gratulowali nam po kolei, o mało nie wyrwijając nam przy tym rak. Jeden z nich miał kuzyna w Istambule. Usiadł obok Minki, aby móc jej więcej o nim opowiedzieć, a Oskar klepnął mnie po ramieniu i mrugając poufale zauważył:

– Nie rób w portki, Arnulf. Powiedz temu małemu Żydowi przy pianinie, żeby nam zagrał kilka starych, dobrych, wiedeńskich kawalków. Tak naprawdę mamy w dupie tych przeklętych bonzów z Rzeszy, ich ustawy rasowe i tak dalej. Tylko my tu decydujemy, kogo pieprzyć, a kogo powiesić.

Dalem Walterowi znak, żeby grał dalej. Początkowo wyglądało to tak, jak gdyby przy fortepianie siedziała stara Maria, tak bardzo się trząsał. Ale po chwili przyszedł do siebie i grał z większym ogniem niż kiedykolwiek. Panowie z Rzeszy już wkrótce byli bardzo pijani, ten od kuzyna w Istambule flirtował

Gregor von Rezzori w swoim domu
we Włoszech. 1994 rok.
Fot. Jacek Jaśtał



z Minką na zawody z Oskarem Kolomanem, inni tańczyli z pięknymi żydowskimi dziewczynami. W końcu jeden z nich wykonał bardzo śmiały skok przez murowane ogrodzenie ogrodu, upadł i złamał sobie nogę, jak gdyby to była wykalaczka. Musieli bezzwłocznie odwieźć go do najbliższego szpitala, podali nam ręce, strzelili obcasami, wyrzucili w górę rękę, znowu podali nam ręce krzycząc „Heil Hitler” oraz „Niech żyje Kemal Pascha Atatürk”, po czym zniknęli równie szybko jak się pojawili. Stojąc w otwartym mercedesie Oskar jeszcze długo machał nam na pożegnanie wciąż krzycząc „Do widzenia!”.

– Ty gnojku – powiedziała do mnie Minka. – Nie wytrzymam z tobą ani chwili dłużej.

Zeszła do ogrodu gospody i usiadła na kamieniu. Poszedłem za nią.

– Przykro mi Minka. Wiem, jestem bezwzględny osłem.

– Nie przejmuj się tak bardzo. W końcu było całkiem zabawnie. Widziałeś małego Waltera? Grał jakby diabeł siedział mu na karku – zaśmiała się swoim melodyjnym porywającym śmiechem.

– Cokolwiek miałyby to znaczyć – powiedziała i rzuciła się w tył.

Z mgieł doliny wylaniał się Wiedeń, najpierw wierzchołki wież, potem ogromne koło Prateru, kościoły, pomniki, dachy i ulice. Skulony obok Minki, objąwszy ją ramieniem patrzyłem razem z nią w dół. Z jej gardła wydobył się dziwny dźwięk. Bałem się, że to szloch, ale ona zaczęła trząść się ze śmiechu.

– Wiesz co się przydarzyło Friedel Susmann? Opowiadałam ci, że w ambasadzie angielskiej poślubiła brytyjskiego marynarza, którego nigdy przedtem nie widziała, tylko po to żeby dostać wizę. A kiedy przyjechała potem do Anglii przyjęło ją kilku godnych panów w czerni oznajmiając, że niestety, jej mąż spadł z masztu i złamał sobie kark. No i Friedel dostaje teraz wdowią rentę wysokości jednego funta.

– Słuchaj, Minka – powiedziałem. – Ostatecznie jestem Rumunem. Nie muszę ci chyba mówić, co by to oznaczało dla moich rodziców, i wiesz sama, że kocham inną, ale jeśli mogłoby ci to pomóc ... to znaczy w otrzymaniu paszportu, który pozwoli ci stąd wyjechać, no i potem musielibyśmy się zaraz rozwieść ... no więc jeśli chcesz, moglibyśmy się pobrać. Tylko, jeśli złamię sobie kark, nie będziesz dostawać renty.

Minka powoli się wyprostowała, patrzyła teraz na mnie wielkimi oczami, potem wzięła moją twarz w obie ręce, tak jak zrobiła to, kiedy po raz pierwszy przyszedłem do jej mieszkania, i czule mnie pocałowała.

– Brommy, kochanie, wiesz że znaczysz dla mnie więcej niż ktokolwiek na świecie. Kocham cię jak brata. Gnojek z ciebie, to pewne, ale bardzo cię lubię. Pocałuj mnie, pocałuj mnie czule.

Jej usta były piękne jak zawsze. Całowałem je. Czulem do niej więcej niż do siostry, już od zawsze. W tamtej chwili wiedziałem, że gdyby nie była Żydówką potrafiłbym ją kochać równie mocno, jeśli nawet nie żarliwiej, niż kobietę, która ode mnie odeszła. I przenikała mnie przy tym rozkosz nieczystego sumienia, bo była to zdrada mojego sztandaru.

– No dobrze – powiedziała rzeczowo Minka. – To by było na tyle. Mimo to nie obawiaj się, że przyjmę twoją laskawą ofertę. Nigdy nie mogłabym zostać twoją żoną. Nie mówię teraz o tym, że mogłoby to zranić twój rodziców i że kochasz inną. Jestem od ciebie o dziesięć lat starsza i z pewnością nie jestem stworzona do małżeństwa. Ale to też nie to. Po prostu nie chcę wyjść za ciebie, o ile wiesz, o co mi chodzi. Ty po prostu, niestety, jesteś gojem. Ale pomimo to lubię cię, nawet bardzo.

– Minka, jes jes... jestem.

– Nie mów nic – przerwała mi. – Zbyt mi to przypomina historyczne przemówienie waszego führera: „Jess.. Jess.. Jeestem.” Chodź, zobaczymy lepiej, co robią inni.



Gregor von Rezzori

Z

AULEK LITERACKI

Kilka dni później otrzymała wizę, w ciągu dwóch tygodni wszystkie jej rzeczy zostały sprzedane, łącznie z rzeźbioną szafą profesora Raubitschka oraz gramofonem, na którym po raz pierwszy usłyszałem Stardust. Minka wyjechała do Londynu.

Tam ją zobaczyłem ponownie, był rok 1947. Bóg raczy wiedzieć, jak mnie wtedy pod Hamburgiem odnalazła. W każdym razie dostałem od niej list. U niej wszystko dobrze, pisała. Jest żoną człowieka, który ją nosi na rękach, jest profesorem filologii i wielbicielem Karla Krausa. Planowali wyjazd do Ameryki i byłoby dobrze, gdyby mogła mnie przedtem jeszcze raz zobaczyć. Do listu załączony był bilet do Londynu i wszystkie papiery, które mnie – bylemu Rumunowi, obecnie bez przynależności państwowej i paszportu – umożliwiały otrzymanie angielskiej wizy,

Jej mąż, który przyszedł po mnie na dworzec, przypatrywał mi się z dyskretną uwagą zanim zaproponował:

– Chodźmy najpierw coś zjeść. Ona nie wie, że pan dziś przyjeżdża. Nie mówię jej, żeby jej zbyt nie denerwować.

– Dlaczego? Jest chora?

– No tak. Zawsze miała problemy z tym swoim biodrem. Teraz przeszło to chyba na kręgosłup, jakaś artroza, o ile nie coś gorszego. Ma silne bóle, biedaczka, będzie pan musiał mieć dla niej dużo cierpliwości.

Mieszkali w wąskim, trzypiętrowym domu przy Cadogan Square. Jej mąż wpuścił mnie do środka, zaproponował drinka i krzyknął w stronę schodów:

– Minka, mogłabyś zejść! Przyszedł twój przyjaciel.

Schodziła na dół krok po kroku, pochylona potwornymi bólami raka kości siwowłosa kobieta.

– Kto to jest? – zapytała niecierpliwie. – Brommy! – krzyknęła i zakryła twarz rękami. Jej biedne, umęczone ciało trzęsło się, pomiędzy palców, którymi zakryła oczy wypływały łzy.

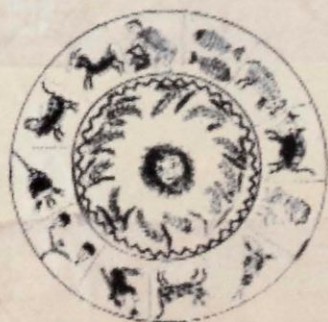
W wieczór przed ich wyjazdem do Ameryki wszyscy nasi pozostali przyjaciele zebrali się, aby pożegnać Minke. Dziwili się mojej osobie, jak gdybym był stworzeniem spod innej gwiazdy. Nie mogli dość nasłuchać się o Wiedniu, o tym, jak teraz wygląda. Pamiętali o rzeczach, o których ja już dawno zapomniałem. Czy Oskar przeżył? Co, powiesili go w Polsce? Biedny chłopak. A guru Malik, o którym opowiadałem wszystkie te wesołe historie? To niesamowite, naprawdę zdematerializowany przez bombę? Cóż to musiało być dla niego za szczęście! Każdy z nich przyniósł mi prezent. Były to rzeczy, których wówczas bardzo potrzebowałem, przede wszystkim używane ubrania. A kiedy już miałem za sobą pożegnalny pocałunek z Minką, jak oboje wiedzieliśmy, ostatni, wracałem do mojego nędznego hotelu jak handeles, wlokąc dwie ogromne torby pełne starych ubrań, w nadziei korzystnego ich sprzedania, aby pojechać za Minką do Ameryki.

Umarła tam w parę miesięcy później.

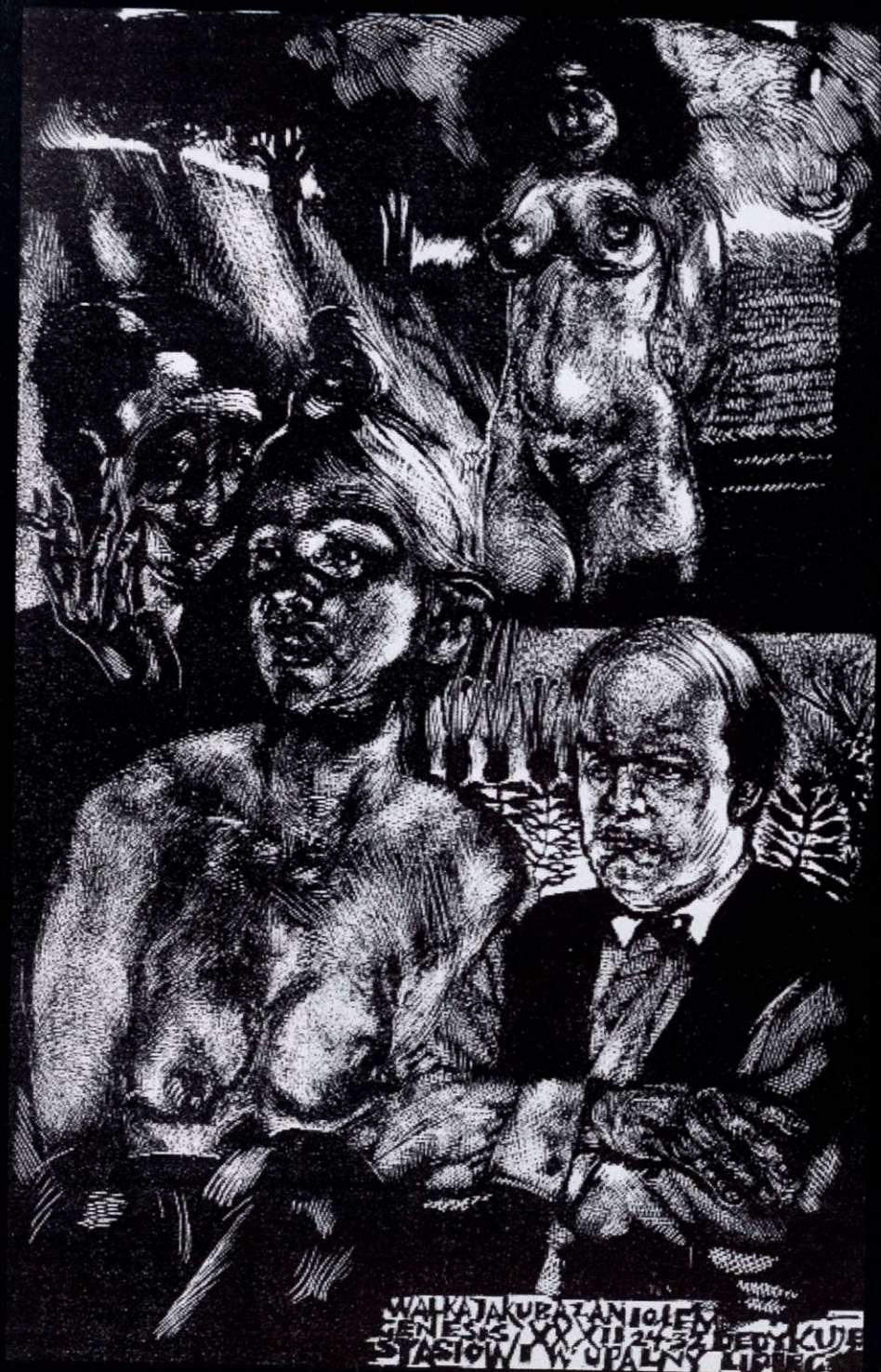
Przełożyła **Katarzyna Jaśtał**

KAWIARNIA LITERACKA

Machejowe Pole



JĘDRUSIK
KRONHOLD
MACHEJ
SMYKOWSKA



Jadwiga Smykowska: *Walka Jakuba z Aniołem*, 1996

Na poprzedniej stronie Jadwiga Smykowska: *Polskie Pieśni Pasyjne*, 1988

JERZY KRONHOLD

Wiersze



Pożałowania godne wybryki natury
czymże jesteście, czymże? Ohydne mutanty!
Generacje poronne, upiorne grawiury,
wy znaki zapytania postawione żartem,
drobnoustroje, wirusy, alfonsy i kurwy,
starsze od latimerii ośmiornice miasta,
smutne efemerydy, ochryple lemury
w samotności bez ulgi, w otchłani bez krańca.

1990

Wieje wiatr
i roznosi śmieci po ulicach
i otwiera gazety wrzucone do kosza
i szturmuję do okien, lufcików, ogrodzeń
i przez włosy przechodzi z łatwością
na przestrzal
i przez dziurkę od klucza
przenika do wnętrza.
Wieje wiatr-
biada bezdomnemu.

1990

O czym mówią stare puszczyki
pod klasztorem Bonifratrów?
O tym samym co młode,
że księżna Sydonia
(la belle dame)
była okrutną panią,
że na szubienicy
za miastem
herszt zbójców
przemienił się
w salamandrę
i że pod nagrobkiem
przeora są najsmaczniejsze
glisty

1990



JERZY KRONHOLD urodził się 24 stycznia 1946 roku w Cieszynie. Absolwent filologii polskiej UJ (1968) i Wydziału Reżyserii Dramatu warszawskiej PWST (1977). Poeta, dramaturg, reżyser teatralny. Współzałożyciel grupy poetyckiej „Teraz”. Działacz Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Współtwórca festiwalu teatralnego „Na granicy” w Cieszynie i Czeskim Cieszynie. Pracował m.in. jako antykwariusz, a po 1989 roku jako dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Bielsku-Białej oraz jako Konsul Generalny RP w Ostrawie (Republika Czeska). Obecnie mieszka i pracuje w Cieszynie.

Jako poeta debiutował w 1966 roku na łamach „Życia Literackiego”.

Opublikował następujące tomy wierszy: *Samopalenie* (Kraków 1972), *Baranek lawiny* (Kraków 1980), *Oda do ognia* (Bielsko-Biała 1982), *Niż* (Cieszyn 1990).

Prezentowane wiersze pochodzą z przygotowywanego do druku zbioru *Gwizdanie na palcach*.

Chodzi trumna
po świecie.
Żebrze: do domu
mnie weźcie.

Chodzi starzec,
kostucha
słabi oboje
jak mucha.

Chodzi Chrystus
naguśki.
Owińcie go
w pieluszki.

Chodzi nędza
i bieda
z oczami
starego Żyda.

A tu życie
się nieci
jak karuzela
świeci.

A tu gwiazda,
meduza,
ogień, woda
i róża.

Polityczne meandry,
mahonie palisandry
bynajmniej.

Runo z anemonami
wiersze z asonansami
przynajmniej.

Ciemny staw, asfodele,
fugi w wiejskim kościele
coś dla mnie.

1991

Żadnych włości,
żadnego tytułu.
Być wiórem przesuwany
przez wiatr
na koniec ulicy,
niezauważalnym nawet
dla miotły.

1994

Strzała, którą wypuściłem z łuku
przed wieloma laty spoczywa wciąż
w tym samym miejscu
wysoko nad dworcem kolejowym
w gnieździe powietrza
w dziupli wieczności
Tylko ja nieroztropnie
wskoczyłem do pociągu.

Słońce w listopadzie

Doskonałe światło, niespodziewane
budzące wdzięczność i podziw,
doskonałe uformowany dzień,
bez skazy, przezroczysty, jasny,
doskonała widoczność szczegółów,
żyłkowania na opadłych listkach,
niewzruszona potęga mijania,
taniec wiatru, musowanie ciszy.
1996



Jerzy Kronbold

KAWIARNIA LITERACKA

Jadwiga Smykowska: *Księga
Salomona*, 1990

Świadek Amen
stał blisko
zabitego
szalikowca
ale nie mógł
nic zrobić
włożył tylko
do trumny
nieskończenie długi
nieprzyzwoicie czerwony
szalik

Przyjdź słodki Jezu.



Jadzi Smykowskiej

Na podobieństwo Boga jesteśmy poczęci.
Wiedzieć będziemy twarzą w twarz po śmierci.

1996



Jadwiga Smykowska: *Autoportret*,
1992

Po tej samej stronie lustra (o grafice Jadwigi Smykowskiej)



Na początku była grusza. Rosła na południowym przedmieściu Cieszyna, w starych sadach na wzgórzu nieopodal gospody „Pod Dębem”, tam, gdzie teraz są ogródki działkowe i jesienią urządziła się wesela. To miejsce nazywało się kiedyś „Na Pocztorzu”, bo stała tam poczta książęca, skąd konno i punktualnie ekspediowano listy do Wiednia w czasach zanim zbudowano kolej żelazną. Kiedy stare sady wycinano, ową gruszę ściał Stanisław Cieśla. Ściał gruszę, drewno pociął na forszy, a forszy na kostki o wymiarach cztery i pół centymetra na cztery i pół centymetra, kostki skleił na sztorc, tak żeby było widać nie „słoje” drewna, lecz jego włókna, czyli lata. W ten sposób wykonał matryce dla swojej żony Jadwigi Smykowskiej.

Thomas Bewick, który w osiemnastowiecznej Anglii wynalazł technikę drzeworytu sztorcowego, używał do wykonywania matryc bardzo kosztownego drewna bukszpanowego. Nie mniej twarde i zwarte drewno cytrynowe, klonowe albo grusza są niemal tak samo cenione przez drzeworytników jak drewno bukszpanowe. Matryca sztorcowa sporządzona jest zgodnie z naturą pojedynczego drzewa, które posłużyło do jej wykonania, z szacunkiem dla jego indywidualnego, niepowtarzalnego życia. Tak potraktowane drzewo i jego drewno odwdzięczają się grafikowi, pozwalając na rozwinięcie całej maestrii jego sztuki, osiągnięcie pełni graficznych możliwości. Jadwiga Smykowska jest wirtuozem drzeworytu sztorcowego.

Matryca, na której widać lata drzewa, tworzy czasoprzestrzeń grafiki sztorcowej. Geometria delikatnych linii – subtelny szafirunek – wydobywa głębie i wypukłości. Widzialna przestrzeń budowana jest przez światło i cień. Wycięcia w matrycy objawiają się bielą w odbicie drzeworytu. Ta biel – na zasadzie negatywu – formuje czerni.

Stosując tę trudną, pracochłonną prerafaelską technikę Smykowska osiąga zupełnie współczesne efekty: niemal op-artowskie mżenia, wręcz złudzenie ruchu. Artystka stwarza iluzję faktury niemal namacalnej. Dotkliwość, konkretność, rzeczowość, zmysłowość to cechy, które w grafikach Jadwigi Smykowskiej odnoszą się zarówno do jej własnego losu, śląskiej tradycji lokalnej, jak i znaków transcendentnej. Obrazki rodzajowe, kadry jakby żywcem wyjęte z filmów wczesnego Formana, nacechowane są luteraniskim pietyzmem w podejściu do szczegółu. Jednak „mały realizm” Smykowskiej ma często sens symboliczny, duchowy, nawiązujący do *Pisma*

JADWIGA MARIA SMYKOWSKA, urodziła się 1 marca 1945 roku w Cieszynie. Absolwentka ASP w Krakowie (pracownia drzeworytu i grafiki książki). Członk Młodzieżowego Stowarzyszenia Drzeworytników „XYLON” w Szwajcarii. W latach 1973-1997 miała 23 wystawy indywidualne w kraju i za granicą m.in.: 1974 Bad Segeberg (Niemcy), 1976 Hamburg (Niemcy), 1977 Mannheim (Niemcy), 1978 Adelaide (Australia), 1979 Heidelberg (Niemcy), 1980 Kristianstad (Szwecja), 1989 Tübingen (Niemcy), 1993 Čadca (Słowacja), 1994 Praha (Czechy) 1995 Zassen (Niemcy), 1997 Czeski Cieszyn.

Laureatka wielu nagród i wyróżnień, m.in.: II nagroda „Jesień Lombarcka” Mediolan 1975, I i III nagroda „Człowiek” Warszawa 1975, I i III nagroda Katowice 1973, I i III nagroda Katowice 1972, I nagroda międzynarodowego „XYLON 8” Fribourgh 1979, nagroda II stopnia MKIS 1984, wyróżnienie w V Międzynarodowym Biennale Bańska Bystrzyca 1978, Grand Prix w IX Międzynarodowym Biennale Bańska Bystrzyca 1986, I nagroda ex aequo I Międzynarodowe Triennale Lublin 1985, wyróżnienie w VI Quadriennale Drzeworytu Olsztyn 1995. Prace w zbiorach muzeów w kraju i za granicą.

Świętego. Cała rzeczywistość, nawet jej najdrobniejsze szczegóły, traktowana jest apokryficznie. Artystka, zresztą, sama nazywa swe prace *biblia pauperum*. Jej drzeworytnicze metafory zaskakują dosłownością zbliżoną do romańskiej płaskorzeźby lub śląskiej, haftowanej makatki, która zwykle zawiera pouczenie moralne. Przy czym „śląskość”, a właściwie „cieszyńskość”, do tego stopnia nasyca te grafiki, że często mylnie podejrzewa się je o pokrewieństwo ze sztuką ludową. Smykowska pokazuje zdarzenia w „dookolnej” perspektywie zjawisk, pojęć, postaw, symboli. Jest to zarazem perspektywa – jak powiedziałby Strzebiński – intencjonalna, uwzględniająca różne punkty widzenia i odniesienia, ustalająca proporcje bardziej emocjonalne niż realne. Temat przedstawiany jest z różnych stron, nieraz także ironicznie, a nawet przewrotnie. To, co powinno być umieszczone centralnie, odkrywamy na peryferiach. I na odwrót. Grafiki Smykowskiej, mimo iż zawsze figuralne, sprawiają wrażenie martwych natur, jednak nie w znaczeniu „nature morte”, lecz w znaczeniu „still-life”, czyli życia zatrzymanego, uwiecznionego momentu. Elementy tych kompozycji, przedmioty-postacie, figury jak z Breughela, zajmują się swoją codziennością, podczas gdy to, co najważniejsze, dzieje się obok ich pracowitej krzątany. Natomiast pejzaże, pełne mżen i wibracji powietrza, odznaczają się wprost impresjonistyczną lekkością. Pojawia się niemal zmysłowe wrażenie koloru. Smykowska posługuje się delikatnym, leonardowskim *sfumato*. Zresztą, kunsztownie rzeźbione matryce z zapisem w lustrzanym odbiciu przywodzą na myśl szkice Leonarda. Istnieje bliskie pokrewieństwo między matrycą grafiki i lustrem. „Lustrzana” też musi być świadomość artysty grafika. W lustrze grafik Jadwigi Smykowskiej odbija się jej świat – zarówno jej ziemski „mała ojczyzna”, Śląsk Cieszyński, jak i świat wartości duchowych, nadprzyrodzonych. Odzwierciedlając życie tego świata, Jadwiga Smykowska stoi po tej samej stronie lustra, co jego mieszkańcy, rośliny, zwierzęta, ludzie i niewidzialny Bóg.

Jadwiga Smykowska: *Australia 1978 – Aborigines, 1992*



„Elsa-Fluid”



Dobry znak

Dobry znak nieskazitelnego zdrowia jest chęć do pracy, ruchliwość i apetyt. Jeżeli jesteśmy osłabieni i zmęczeni, nie mamy chęci do pracy lub czujemy bóle, to udziela nam Feller odświeżający, leczący, przeciw zapaleniom działający, nerwy i mięśnie wzmacniający fluid z esencji roślin z marką „Elsa-Fluid”. O dobroczynnym działaniu tegoż sami się przekonaliśmy, więc polecamy go przy bólach reumatycznych i podagrycznych, przy

bólach głowy, uszu, szyi, zębów, postrzale, przy zaziębieniach, które łatwo katar, kaszel, chrypkę i zaflegmienie sprowadzają, przy braku snu, osłabieniu oczu, kolkach, darciu i innych bólach. Należy obstać dwanaście małych albo sześć podwójnych lub dwie specjalne flaszki opłacenie za dziesięć koron, sześćdziesiąt halerów i czterdzieści osiem małych albo dwadzieścia cztery podwójnych lub osiem specjalnych flaszek za dwadzieścia koron opłacenie.

Tę szczerą poradę ogłaszamy tutaj dla zysku i pożytku czytelników, nie ażeby robić reklamę,

ale aby ogółowi być pożytecznym. Tysiące pism dziękczynnych chwalą dobre działanie Feller „Elsa” preparatów. Dlatego należy uważać zawsze na oznakę „Elsa-Fluid” i „Elsa-Pigułki” i nie dawać się przez podobnie brzmiące nazwiska złudzać.

Przy bólach żołądka

Przy bólach żołądka, przeszkodach trawienia, ociężałości kiszek i zatwardzeniu skutkują Feller

przeczyszczające pigułki rabarbarowe z marką „Elsa Pigułki” pewnie, prędko i wysmienicie wzbudzają apetyt, uśmierzają kurcze, ułatwiają stolec i ulepszą krew i nie mają żadnych nieprzyjemnych następstw. Sześć pudełek posyła za cztery korony czterdzieści halerów opłacenie E.V. Feller, Stubica Nr 5. (Kroacja).

Ulubiona piękność

Ulubiona jest piękność twarzy u wszystkich pań, gdyż piękna twarz jest

najwięcej wartającym środkiem mocarstwa u kobiet. Dotyczy to nie tylko młode dziewczęta, ale również zamężnych kobiet. Piękna kobieta może lżej swego męża przykuć do domu, może łatwiej wypełnienie swoich życzeń osiągnąć i swoje życie przyjemnić. Kobiety, które chcą być i zostać pięknymi, używają do pielęgnacji ich twarzy, do ochrony przeciw pasożytom, wyrzutom, piegom, plamom wątrobianym, liszajom, zmarszczkom, przeciw nieczystościom skóry i przeciw szkodliwym wpływom gorąca, zimna, wiatru, niepogody, jako też do nabycia i utrzymania piękności twarzy, szyi, ramion i rąk tylko Fellera „Elsa” pomady twarzowej i chroniącej skórę, gdyż ona czyni skórę białą, miękką, czystą i zdrową. Przytem jest zupełnie nieszkodliwą, ponieważ są maści i pomady, które zawierają szkodliwe środki składowe. Dlatego należy

uważać na markę „Elsa”. Jeden słoik kosztuje dwie korony (jako przypakunek), dwa słoiki opłacenie nadesłane pięć koron. Równocześnie wyborne w skutku Fellera mydło borakosowe (osiemdziesiąt halerów), Fellera mydło liliowe (jedna korona) i Fellera toaletowe pastyle do mycia z marką „Elesa” (pastyle baraksowe) jedna korona, jedynie prawdziwe od aptekarza E. V. Fellera, Stubica Nr 5. (Kroacja)

Wypad włosów

Strasznym jest wypad włosów u mężczyzn jako też i u kobiet, gdyż rzadki porost lub golizna głowy robi ludzi starymi. Wypadanie włosów jest znakiem słabości, braku siły lub niedostatecznej czystości i czyni nawet piękną twarz niepokazną i brzydka. Za to wygląda nawet brzydka w ozdobie bogatego, bujnego zarostu szla-

chetnie, pełna siły i zdrowia. Dlatego z uciechą się przyjmuje, że dziś już wiele tysięcy kobiet i mężczyzn dla osiągnięcia bujnego, pięknego porostu włosów, przeciw wypadaniu i osiwieniu włosów, aby zapobiec ogoleniu głowy, łysinie i rzadkiemu porostowi włosów, przeciw łuskom we włosach i przeciw kruchości włosów Fellera Tannochina pomady „Elsa” na porost włosów używają. Doświadczeni ludzie zachwalają jej skutek przeciw łuskom włosnym, wypadowi włosów, przedwczesnemu osiwieniu i potwierdzają, że ona bujny, bogaty, nowy porost miękkimi, giętkimi i szlachetnie połyskującymi robi. Należy obstałować jeden słoik Nr I za jedną koronę sześćdziesiąt halerów, Nr II (rodzaj silniejszy) za trzy korony. Do pielęgnacji włosów poleca się Fellera pomadę na wąsy, jeden słoik pięćdziesiąt halerów. Jedynie prawdziwe

do nabycia tylko od aptekarza E. V. Fellera, Stubica Nr 5 (Kroacja).

Robactwo

Szkodliwie działa robactwo w kuchni, piwnicy, ogrodzie, winnicy, domu i stajni. Dlatego musimy pluskwy, pchły, wszy, muchy, karaluchy, russy, mole i inne robactwo gruntownie zniszczyć, gdyż muchy rozszerzają przez łożenie wszędzie po nieczystościach a potem po potrawach choroby, mole, russy, karaluchy, wszy naprzykrzają się ludziom i zwierzętom. Wszystko to robactwo w mieszkaniu, kuchni, stajni i ogrodzie niszczy natychmiast pewnie Fellera prawdziwy proszek na robactwo „Elsa”, który wszystkie inne środki na robactwo przewyższa. Pięć olbrzymich puszek koron pięć, jedna puszka jako przypakunek jeden, wysyła jedynie prawdziwy aptekarz E. V. Feller, Stubica Nr 5. (Kroacja).

Odgniotki

Bolesne są odgniotki i ich oddalenie jest prawdziwym dobrodziejstwem. Nigdy nie powinno się jednak odgniotki nożem wyżynać. Można łatwo za głęboko zaciąć i z powodu tego zakażenie krwi spowodować. Aby jednak lekkomyślnie noża nie używać polecamy czytelnikom wielokrotnie wypróbowany, radykalnie działający środek. Odgniotki będą przez tenże daleko pewniejszy, a również bez niebezpieczeństwa, zupełnie bezbolesnie przez Fellera plaster na odgniotki usunięte. Tysiące turystów, żandarmerów, listonoszy, żołnierzy i wszyscy, którzy jeden raz użyli, polecają Fellera plaster na odgniotki. Jest to najprędzej i najpewniej działający środek do bezpiecznego oddalenia odgniotków i kosztuje tylko jedną koronę a w pudełkach po dwie korony. Również Fellera tynktura turystyczna

z marką „Elsa” (tynktura na odgniotki) po dwie korony. Kto wiele chodzi to jako prawdziwe dobrodziejstwo czuje jeżeli nieznośnych odgniotków się pozbędzie. Wielokrotnie i z najlepszym skutkiem bywa używanym Fellera proszek do posypania na poty ciała i nóg z marką „Elsa” jedno pudełko z sitkiem jedna korona.

Do usunięcia bóleści głowy i migreny polecamy z własnego przekonania chłodzący, ból uśmierający, niedowierzająco dobrze czyniący Fellera szyft migrenowy, który tylko jedną koronę kosztuje.

Do zapobieżenia bóleściom oczu, słabościom oczu itp., używamy wzmacniającej, uśmierającej bóleści, usuwającej zapalenia wodę na oczy, która jako przypakunek obstalowana tylko jedną koronę kosztuje. Te ulubione preparaty tysiącrotnie się odznaczyły i te możemy jak najlepiej polecić.



Można je obstałować prawdziwe od aptekarza E. V. Fellera, Stubica Nr 5. (Kroacja). My zamawiamy w ogóle wszystkie dobre preparaty u aptekarza Fellera.

Bogaty zysk

Bogaty zysk przynosi chów bydła jeżeli się na odżywianie jego większą zwraca uwagę. Doświadczeni gospodarze wiedzą, że do utrzymania zdrowych koni, do osiągnięcia prędko cięższej wagi u zwierząt tu czonych, do pomnożenia niesienia jej u kur

i do polepszenia podaju mleka u krów dodawka Fellera proszku do odżywiania bydła z marką „Elsa” jest konieczną. Tysiące gospodarzy używają go, gdyż podwyższa żarłoczność, przyspiesza trawienie, umożliwia najlepsze wykorzystanie paszy, działa przeciw zarazom i wzmacnia kości, żołądek i mięśnie. Pięć puszek kosztuje pięć koron, jedna puszka jako przypakunek jedną koronę. Prawdziwy tylko u aptekarza E.V. Fellera, Stubica Nr 5 (Kroacja).

„Elsa-Fluid” jest wszędzie

Fellera fluid z esencji roślin z marką „Elsa Fluid” jest wszędzie jako bołeci uśmierający, flegmę rozrzedzający, łagodzący kaszel, przeciwkataralny środek domowy znany i ulubiony. W tysiącach pism dziękczynnych i przez wielu lekarzy jest chwalonym i polecanym. Dlatego poświęćmy nasz czas

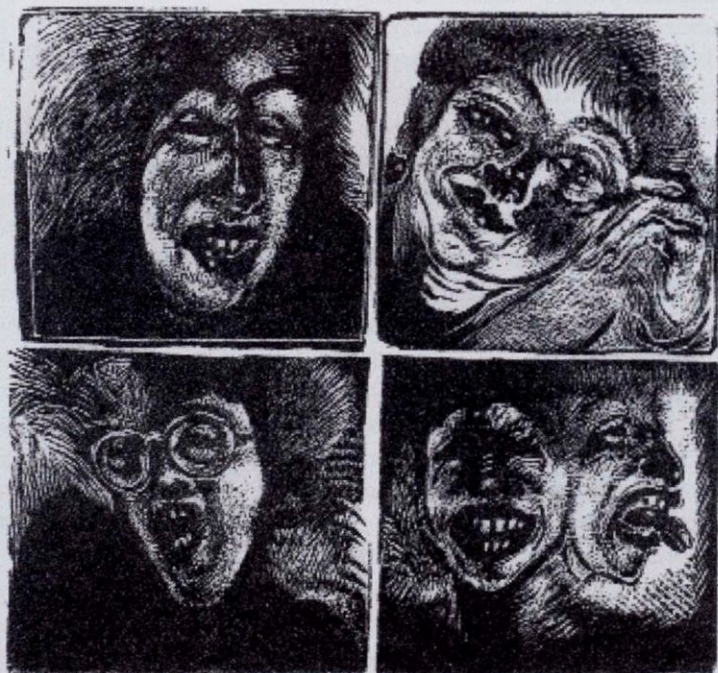
i nasze pieniądze nie na próby z nieznanymi preparatami, ale obróćmy przy reumatycznych, pedagogicznych, neuralgicznych, nerwowych bołeciach i innych fabrycznych stanach, przy bołeciach twarzy, głowy, uszu, zębów i szyi, kluciu w ramiona, bołeciach piersi, darciu członków, postrzale, przy słabościach ocz, katarze, zaflegmieniu, drażliwym kaszlu i trudnościami polykania zawsze Fellera prawdziwemu fluidowi z esencji roślin z marką „Elsa-Fluid” Zamawiamy tenże

znakomity środek domowy u aptekarza E.V. Fellerera w Stubicy Nr 5. (Kroacja) dwanaście małych flaszek, sześć podwójnych lub dwie specjalne flaszki za sześć koron opłacenie, dwadzieścia cztery małe albo dwanaście podwójnych lub cztery specjalne flaszki za dziesięć koron sześćdziesiąt halerów opłacenie, sześćdziesiąt małych albo trzydzieści podwójnych lub dziesięć specjalnych flaszek za dwadzieścia pięć koron opłacenie.

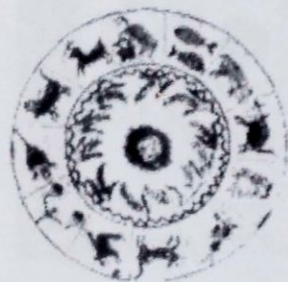
Kochany Czytelniku!

Na końcu powtarzamy jeszcze raz, iż aptekę Fellerera z czystym sumieniem polecamy. Aby wszyscy mieli z tego korzyść i szczęście w roku 1916.

1988



Jadwiga Smykowska: 24 godziny
z życia kobiety, 1991



Sztandar przekłętej chwały

(fragment porzuconej powieści)

Nie jestem Niemcem! Nie jestem Niemcem! – krzychałem po rosyjsku – jestem Polakiem! Jestem Polakiem! Weźcie mnie do niewoli. Chcę do niewoli!

Natychmiast przyskoczyło do mnie dwóch młodych krasnoarmiejców. Zrewidowali mnie i odebrali mi wszystko, co miało dla nich jakąś wartość. Zegarek, obrączkę, papierosy. A potem pchnęli mnie pod ścianę tej chałupy, z której właśnie wyszedłem. Chcieli mnie rozstrzelać, psubraty.

– Jestem Polakiem! Poddaję się dobrowolnie: Weźcie mnie do niewoli! – krzychałem histerycznie.

– Stawaj, stawaj! – oni mi na to – Job twoju mać! Polak, Germaniec, wsio rawno!

Strach sparaliżował mnie zupełnie. Krasnoarmiejcy przymierzali się do strzału. Ezy popłynęły mi spod powiek. Słowa uwięzły w gardle. Jakaś mgła zasnuła oczy. Ogarnęła mnie ciemność. Nie słyszałem huku wystrzału, ale czy to się słyszy w takich razach? Zamiast tego rozległ się mocny, chropawy głos. Jednak żyłem. Otworzyłem oczy i zobaczyłem młodych krasnoarmiejców z opuszczonymi karabinami. I jeszcze kogoś za nimi. Jakiegoś starszynę. Droga szli rosyjscy żołnierze wzbijając tumany kurzu. Starszyna przywołał mnie do siebie. To właśnie on powstrzymał egzekucję. Ocalił mi życie. Podszedłem do niego chwiejąc się na zdrewniałych nogach.

– Jestem Polakiem. Jestem Polakiem – zacząłem bełkotać na nowo – dobrowolnie oddałem się do niewoli...

Dość szybko jednak dochodziłem do siebie. Starszyna był, zdaje się, porucznikiem. Próbowałem mu wytłumaczyć, co i jak.

– Ci dwaj chcieli mnie zastrzelić, a przecież poddałem się im bez broni. Dobrowolnie...

Porucznik zawołał jednego z młodych.

– Jak to było – zapytał patrząc żołnierzowi prosto w oczy – Miał broń?

– Nie, nie miał – odrzekł tamten – Ale ciepień wsie oni Polaki. Czemu się wcześniej nie poddał?

Rosyjski oficer wydał mi się wtedy człowiekiem porządnym i wrażliwym. Zastanawiałem się potem wiele razy, jak ktoś taki jak on mógł być komunistą.

– Skoro jesteś Polakiem – powiedział – możesz zostać w Czerwonej Armii.

– Może jako woźnica? – podchwyciłem skwapliwie. Teraz już byłem gotów zrobić wszystko byle tylko ocalić życie.

W połowie lat osiemdziesiątych wydawało mi się, że powinienem zostać pisarzem. Prawdziwe pisarstwo, myślałem, to powieściopisarstwo. Zanim zasiadłem do pisania, miesiącami wczytywałem się w wielkie narracje, poznawałem arcydzieła epiki, przetrząsałem powieści. Jako przyszłego pisarza nie interesowało mnie jednak projektowanie labiryntu fikcji. Trafiła mi się bowiem niezwykle osnowa – napisany odręcznie przez mojego stryja pamiętnik z lat drugiej wojny światowej. Wojenne koleje losu mojego stryja. Śiązaka spod Cieszyna, wydały mi się rewelacyjnym materiałem na wielką powieść. Mój stryj, małomiasteczkowy sklepikarz, jesienią 1941 roku wcielony został do Wehrmachtu nad Atlantykem, później bez mała dwa lata udało mu się przeżyć na Froncie Wschodnim, a następnie – na terytorium Rumunii wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną – wywieziony został do łagru położonego w okolicy Karagandy, skąd szczęśliwie udało mu się wydostać w 1946 roku. Śięczałem nad tą powieścią dwa lata. Pod koniec 1988 roku poddałem się i porzuciłem to pisanie. Od tamtego czasu już mi się nie wydaje, że powinienem zostać pisarzem. O tym, że jednak mimo wszystko próbowałem, niech zaświadczy niniejszy fragment.

Z.M.

– No, zobaczymy, zobaczymy – mruknął porucznik, po czym rozkazał jednemu z moich niedoszłych zabójców odprowadzić mnie do dowództwa pułku. Mój wybawca miał tam później przybyć i zdecydować, co dalej.

*

Młody krasnoarmiejec poprowadził mnie drogą na przeciwległy kraniec wsi. W przydrożnych rowach poniewierały się zwłoki moich kamratów z kompanii. Gdzieśgdzie jęczał jakiś ciężko ranny nieborak, aż się człowiekowi serce kroilo. Soldat, który mnie prowadził, nie przechodził jednak obok walających się trupów zupełnie obojętnie. Interesowały go buty. Raz po raz musiałem przystawać i ściągać je z nóg zabitych żołnierzy niemieckich. Najlepsze dwie pary obuwia młody krasnoarmiejec zarzucił sobie na ramię, a chyba z tuzin innych, bardziej sfatygowanych par butów, tasczyłem za nim na plecach.

W dowództwie pułku wszystkie buty po moich kamratkach zostały natychmiast rozchwywane. Kamasze rosyjskich oficerów były bowiem zdarte, dziurawe i nadgniłe. Mój niedoszły zabójca poinformował kogo trzeba, że należy mi zapewnić bezpieczeństwo, bo jestem oddany do dyspozycji tego to a tego porucznika. Siedziałem więc na ławie w oczekiwaniu na mojego wybawcę i dalszy bieg wypadków.

Wnet dosiedli się do mnie dwaj oficerowie, którzy zaczęli mnie częstować zdobyczym chlebem i masłem, takim masłem, które każdy z żołnierzy Wehrmachtu nosił w plastikowym pudełku z pomarańczową pokrywką. Najpierw podziękowałem im bardzo grzecznie, bo choć nic od dwóch dni nie jadłem, nie czułem wyraźnego głodu. Potem przyszło mi jednak do głowy, że w mojej sytuacji nie powinienem odmawiać. Wziąłem więc pajkę chleba i posmarowałem ją masłem.

– Widzisz, jacy jesteśmy – mówili do mnie ojcowskim tonem rosyjscy oficerowie – Dzielimy się z tobą chlebem i masłem, z tobą, naszym jeńcem, niemieckim żołnierzem. Czy byłoby to możliwe u was, żeby niemiecki oficer dzielił się jadłem z ruskim jeńcem? Nie, to nie do pomyslenia, bo wasz oficer to wielki pan, a u nas wsio rawno, wszystko człowiek.

Tak do mnie przemawiali rosyjscy oficerowie, a ja skwapliwie przyznałem im rację. Mieli ją, zresztą, rzeczywiście, bo oficer to była w armii niemieckiej nie byle jaka figura. A w Armii Czerwonej oficer nie odróżniał się od zwykłego żołdaka nawet mundurem. W rozmowach nie służbowych szeregowiec zwracał się do starszyny bez ceregieli: major, daj zakuryc. Czekałem więc na swojego wybawcę, a w tym czasie przez izbę przewijało się sporo ruskich. Przyszło na przykład trzech takich, którzy przynieśli prosię, na oko trzymiesięczne, żywcem upieczone w jakimś spalonym chlewie. Zaczęli kroić to pieczone i zagryzając chlebem jeść z wielkim apetytem.

– Biery, biery, chorosze – zachęcali mnie do wspólnej biesiady. Tym razem jednak nie dałem się skusić, bo wyobraziłem sobie chlew i poczułem smród świńskiego gówna. Zażerając się prosięciem rosyjscy oficerowie uświadamiali mnie politycznie i objaśniali mi obecną sytuację wojenną.

– Rumunia dopiero co skapitulowała – mlaskali w moją stronę. Włochy już dawno są po naszej stronie, Mussolini powieszony. Francja też jest już wolna. Nasza armia dotarła do Wisły, pod Warszawę, gdzie wybuchło powstanie, a ty dopiero teraz oddałeś się do niewoli. Dawniej trzeba było...

– Och – wzdychałem cierpiętniczo i tłumaczyłem im ostrożnie – Mnie, jako Polaka, Niemiec trzymali z dala od frontu. Właściwie przez cały czas byłem woźnicą. Dopiero kiedy nie było już ludzi zdolnych do walki i likwidowano tabory, Niemcy przypomnieli sobie o mnie i musiałem iść na front...

Tak to sobie gwarzyłem z rosyjskimi oficerami, ale nie znaczy to wcale, że traktowano mnie po przyjacielsku. Wręcz przeciwnie. Wszyscy żołdaci, którzy

się przewijali przez izbę, patrzyli na mnie krzywo i czynili nienawistne uwagi proponując, żeby mnie natychmiast rozwalić.

– Co tu robi ten Germaniec! – wykrzykiwali z ogniem w oczach – Zastrzelić go i basta!

Na szczęście, pełniący służbę podoficer powściągał te złowrogie zapędy wyjaśniając cierpliwie, że ten Germaniec oddany jest do dyspozycji tego to a tego porucznika. Bez nienawiści odnosił się do mnie tylko pewien młody Ukrainiec, który pełnił funkcję zwiadowcy przy sztabie pułku. Kiedy zostałem samymi, doradził mi, żebym raczej starał się o obóz jeniecki.

– Tam przynajmniej dostaniesz sześćset gramów chleba dziennie – przekonywał mnie – A na froncie, wiadomo, wszędzie padają pociski. Nawet jako woźnica nie będziesz bezpieczny. Nawet na tyłach można zginąć.

Wziąłem sobie te rady do serca tym chętniej, że wojenna poniewierka już bardzo mi zbrzydła.

– Tak – zgodziłem się – W obozie nie będzie przynajmniej nalotów i strzelaniny.

Mój nieznamy wybawca pojawił się dopiero po południu, koło godziny trzeciej. Poskarżyłem mu się od razu, że wszyscy w sztabie pułku są do mnie wrogo nastawieni i mają wielką ochotę wpakować mi kulę w łeb. Poprosiłem go, żeby mnie skierował do obozu jenieckiego.

– Jak chcesz, tak będzie – powiedział porucznik – Chcesz do obozu, pójdziesz do obozu. Jest tu właśnie pewien major z dowództwa dywizji, który może cię zabrać ze sobą i potem skierować gdzie trzeba.

I tak się też stało. Słowa wdzięczności pożegnałem porucznika i poszedłem z majorem. Dowództwo dywizji znajdowało się o kilka kilometrów dalej na wschód. Szliśmy przez pola, na których dojrzewały pomidory i arbuzy. Parę razy zatrzymaliśmy się, żeby ugasić pragnienie ich soczystym, czerwonym mięszem. Również i major okazał się człowiekiem życzliwym. Podarowałem mu srebrną papierośnicę, której żołdaci przedtem nie znaleźli, ponieważ nosiłem ją zawieszoną na szyi. Przechowywałem w niej znakomite papierosy przeznaczone na specjalne okazje. Poprosiłem majora, żeby w zamian za mój podarunek zostawił mi swoje pisemne zaświadczenie o tym, że oddałem się do niewoli dobrowolnie. Zgodził się na to chętnie. Wydobył z kieszeni skrawek papieru – a w tamtych warunkach nawet najmniejszy świstek był bezcenny, bo wszyscy krasnoarmiejscy ćmili skręty – więc on wydobył z kieszeni jakiś świstek i podłożywszy pod spód papierośnicę napisał, że taki a taki, Polak, żołnierz armii niemieckiej, w dniu tym i tym oddał się do niewoli dobrowolnie, poniżej numer jednostki, nazwisko oficera i podpis. To zaświadczenie, rzecz jasna, na nic mi się później nie przydało.

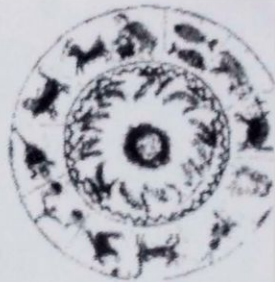
Wyszliśmy wreszcie spośród arbuzów i pomidorów na równy trakt. Pylistą drogą, pieszo i na ciężarówkach, nieprzerwanie ciągnęły rosyjskie oddziały. I znów zaczęły się wrogie, napastliwe okrzyki w moją stronę oraz lekceważące docinki pod adresem majora.

– Ty durny, po co go prowadzisz? Rozstrieliaj jęwo!

– On nie Germaniec – cierpliwie wyjaśniał major – On Polak. Ma być żywy doprowadzony do dowództwa dywizji.

Soldaci wściekli się na mój widok. Pluli mi w twarz, rzucali we mnie zgniłymi pomidorami, ogórkami, czym popadło. Gdyby prowadził mnie jakiś niższy rangą oficer, na pewno zastrzeliliby mnie jak wściekłego psa, rozszarpali na strzępy i wdeptali w koleiny pylistej drogi.

W dowództwie dywizji major przekazał mnie dyżurnemu sztabu. Wprowadzono mnie do jakiegoś niby biura, gdzie urzędował krostowaty podoficer. Na wstępie zrewidowano mnie ponownie, tym razem bardzo skrupulatnie. Nie miałem jednak przy sobie już nic wartościowego, co mogłoby krasnoarmiejców zainteresować. Książeczkę do nabożeństwa, różaniec i medalik



Zbigniew Machef

K

AWIARNIA LITERACKA

zwrócili mi po dokładnych oględzinach. Potem zaczęło się przesłuchanie. Moje zeznanie zostało dokładnie zaprotokolowane. Przede mną badano jakiegoś Rosjanina, który przez pewien czas był w niemieckiej niewoli. Czekal go marny los, bo zdrajców – a do nich zaliczono również byłych jeńców – zazwyczaj rozstrzeliwano.

Po przesłuchaniu dyżurny sztabu odprowadził mnie do dużej stajni, w której przetrzymywano jeńców. Był już wieczór. Niemieccy żołnierze leżeli pokotem na ziemi. Jeden obok drugiego, stłoczeni ciasno jak sardynki w puszcze Zresztą, bardziej wyczuwałem obecność ludzi niż ich widziałem. W ciemnym zaduchu majaczyły czekokształtne cienie. Jeńcy sapali ciężko, chrapali, jęczeli, niektórzy rozmawiali półgłosem. Śmierdziało moczem i koński łajnem. Położyłem się na skraju tego żalosego, ludzkiego skupiska, tuż przy wielkich, zaryglowanych wrotach. Usiłowałem zasnąć. Od czasu do czasu gdzieś niedaleko rozległy się strzały. To Rosjanie rozstrzeliwali zdrajców. Boża, myślałem, co ze mną będzie? Co ze mną będzie? Co oni z nami zrobią? Wreszcie sen mnie jednak ogarnął, bo byłem nieludzko zmęczony.

Jadwiga Smykowska: *Anno Domini*,
1988

*



Nie wiem, jak długo spałem tej nocy, ale świt nie był jeszcze bliski, kiedy żołdaci zbudzili nas wściekłymi okrzykami, otworzyli wrota stajni i wypędzili nas na podwórze. Sformowaliśmy czwórki i bez dodatkowych ceregieli ruszyliśmy w ciemność. Szliśmy tak i szliśmy. Posuwaliśmy się wolno, choć żołdaci wciąż popędzali nas kolbami karabinów. Słabsi i ranni, którzy padli po drodze, byli natychmiast rozstrzeliwani. Pierwszy postój zarządzono dopiero koło południa. Zatrzymaliśmy się w pewnej rozległej wiosce, pośród kolchozowych stodół i szop. Było nas mniej więcej czterystu. Odpoczywaliśmy na zszarzałym, wyjedzonym przez krowy pastwisku. Od upału i pyłu drogi gardło wyschło mi jak papier. Podczas postoju krasnoarmiejcy rozdali nam suchy prowiant. Porcja suchego chleba dla jednego mieściła się w furazerce, a jednokilogramowa konserwa mięsna miała starczyć na dziesięciu. Mogliśmy też napić się wody. Mniej więcej po godzinie ruszyliśmy dalej. I szliśmy tak aż do wieczora. Bez przerwy. Bez odpoczynku. Bez posiłku. Brnęliśmy w pyle, który wżerał się do oczu, dławiał gardła, zatykał nosy i wciskał się we wszystkie zakamarki ciała. Wlekliśmy się ostatkiem sił. Przechodząc przez wieś napotykalismy leżące na ziemi jabłka, gruszki i sliw-

ki. Ale ten, kto schylił się, żeby podnieść owoc, dostawał kolbą w plecy, upadał na twarz, a krasnoarmiejec dobijał go strzałem w głowę lub pierś. Taki sam los spotykał tego, kto chciał dłonią podnieść do ust trochę wody przepływającej jakimś ścięciem przez drogę.

Byłem jednak bardzo wytrzymały. Nie schylałem się ani po wodę, ani po owoce. Miałem jeszcze w plecaku parę plasterów suszonego, żytniego chleba, którego Rosjanie mi nie odebrali, i właśnie te żytnie suchary z żelaznej porcji, tak lekceważono przez wielu niemieckich żołnierzy, wtedy, w czarnej godzinie, pomogły mi przeżyć. Żując je oszukiwałem głód i pragnienie.

Nocowaliśmy na gołej ziemi, leżąc pokotem jeden obok drugiego. Nieludzko zmęczeni spaliśmy ciężkim, kamiennym snem. Konwojenci zbudzili nas o wschodzie słońca. Czulem się wzmocniony i orzeźwiony rosą, która opadła w nocy. Po zbiórce przyniesiono wodę. Mogliśmy się napić i obmyć nieco twarze. A potem dalej w drogę.

Szliśmy tak trzy dni aż trzeciego dnia wieczorem dotarliśmy nad Dniestr. Nocowaliśmy nad jego brzegami, a przed snem pozwolono nam napić się jego mętnej wody. Noc była zimna. Lgnęliśmy więc do siebie, żeby ogrzać się trochę nawzajem, a szumiący w dole Dniestr kołysał nas do snu.

*

Następnego dnia przed południem dotarliśmy wreszcie do celu tej morderczej marszruty. Był nim obóz przejściowy. Taką bowiem funkcję pełniła część zabudowań pewnego kolchozu. Wyczerpani, obrosnięci kurzem trzydniowego marszu, spaleni przez niemiłosiernie słońce, z poczuciem ulgi wchodziliśmy pod dach kolchozowych baraków. Po powierzchniowych oględzinach chorzy zostali oddzieleni od zdrowych. Najważniejsze, że tego dnia pozostawiono nas już w spokoju. Mogliśmy wypoczywać leżąc na słomie. Dostaliśmy po sześćset gram chleba i ciepłą kawę, bo była tam kuchnia polowa.

Pierwsza noc w obozie przejściowym też przeszła spokojnie. Dzień zaś następny upłynął pod znakiem kobiet. Wcześniej rano wypędzono nas na plac, gdzie rozlokowały się punkty higieniczne i medyczne. Najpierw wykopaliliśmy się pod prymitywnym prysznicem, gdy tymczasem nasze lachy zabrane zostały do odwszenia. Odwszanie odbywało się w małej łaźni parowej. Nasze zeszmaczone mundury włożono po prostu do gorącej pary, a my prawie przez cały dzień paradowaliśmy nago. Dzień nie był chłodny i nasza nagość nie byłaby szczególnie upokarzająca gdyby nie to, że zajmowały się nami wyłącznie kobiety. Kobiety w mundurach Armii Czerwonej wykonywały wszystkie czynności i badania. Strzygły nam włosy, goliły nie tylko głowy, ale i podbrzusza oraz badały, czy nie chorujemy wenerycznie. To był osobliwy widok. Kilkuset nagich mężczyzn, którzy jeszcze kilka dni przedtem byli żołnierzami Wehrmachtu lub SS, a wśród nich Rosjanki w mundurach Armii Czerwonej, młode, przeważnie ładne, dobrze zbudowane, energiczne i pełne pogardy dla ich żalostnej męskości. Niektóre uzbrojone były w pistolety lub krótkie, drewniane pałki. Staliśmy wyczerpani, upodleni, bezwolni. My, żołnierze Wielkiej Rzeszy Niemieckiej, staliśmy nadzy i potulni jak owce. My, bywalcy francuskich burdeli, którym za chleb i sól oddawały się Ukrainki, staliśmy jak stado wołów przed bramą rzeźni. Jak gromada marnotrawnych synów na Sądzie Ostatecznym.

*

Rosjanie przypędzali wciąż nowe oddziały jeńców niemieckich. Po paru dniach zaprowadzono nas na stację kolejową i załadowano do bydłych wagonów. Zanim jeszcze wyruszyliśmy w drogę, zgłosiłem się do dowódcy



Zbigniew Machaj

KAWIARNIA LITERACKA

transportu ze swoją znajomością języka rosyjskiego. Dobrze zrobiłem, bo ruski oficer wyznaczył mnie od razu na zaopatrzeniowca transportu. Moja praca polegała na pobieraniu sucharów i rozdzielaniu ich między jeńców. Miałem do tego kilku pomocników. Zdobyłem więc od razu pozycję uprzywilejowaną. Mogłem się tymi sucharami napchać do syta.

Jechaliśmy na południowy wschód. Trwało to tydzień. W czasie jazdy nic szczególnego się nie zdarzyło. Warunki transportu znosiliśmy dobrze. Żywiono nas tylko sucharami i wodą. Nie cierpieliśmy też zimna. Wylądowano nas gdzieś za Wołgą, na południu, w pobliżu jakiegoś większego miasta, którego nazwy nigdy się nie dowiedziałem. Przeszliśmy potem jeszcze kilkanaście kilometrów i znaleźliśmy się pośrodku rozległego, sosnowego lasu.

Rosjanie przywieźli nas tutaj, żeby naszymi rękami wybudować łagier. Na miejscu stały tylko dwa małe baranki. Gnetliśmy się w nich jak sardynki w puszcze. Spać można było tylko na jednym boku. O świcie człowiek wstawał z desek zupełnie zdrętwiały. A jednak Opatrzność czuwała nade mną. W nadwożańskim lesie spotkałem kolegę z moich rodzinnych stron, który z zawodu był piekarzem i w łagrze także trudnił się wypiekaniem chleba. Miałem więc znowu chleba pod dostatkiem, podczas gdy inni otrzymali sześćsetgramowe porcje na dzień. Piekarnię wybudowano dopiero co przed naszym przybyciem. W piecu palono drewnem i chleb był źle wypieczony. Najważniejsze jednak, że nie cierpiałem głodu.

Budowaliśmy baraki. Jedna brygada ścinała drzewa, druga odzierała je z gałęzi i kory, trzecia transportowała na miejsce budowy, czwarta przycinała je na belki, kłody i deski. Pracowaliśmy bez elektryki i tartaku. Z narzędzi mieliśmy tylko siekiery i ręczne piły. Wyrzynanie desek z dwumetrowych kłód było żmudnym struganiem i wyciąganiem szczap tak, jak pozwalała na to układ słoików w drewnie. Takimi szczapami objęła się ściany baraków i zakładało dach. Robota trwała osiem godzin na dobę i nie mogę powiedzieć żebym się wtedy przemęczał. Bo też nie robota była najbardziej uciążliwa, ale warunki w których się żyło. Sypiało się na surowych deskach, w ubraniu, w którym się za dnia chodziło i pracowało i którego nie można było zmienić. Poza tym zima zbliżała się nieubłaganie i chłód dawał się już dobrze we znaki. Ponieważ nie mieliśmy żadnych przykryć, w noc ogrzewaliśmy się nawzajem własnymi ciałami. Jeść zaś dostawaliśmy trzy razy na dzień. Sześćset gramów chleba na dwa razy i porcję zupy – mętnej wody z kaszą. To wszystko.

Po dwóch tygodniach część jeńców przeniesiono w inną okolicę, gdzieś dalej w głąb lasów. Byli to przeważnie młodzi Niemcy. Wrócili do nas dopiero w połowie listopada. Straszliwie wychudzeni i wyczerpani. Okazało się, że pracowali przy spławianiu drewna. To była mordercza robota. A przy tym żywiono ich tylko sucharami i wodą. Sypiali na gołej ziemi, w ziemiankach przykrytych gałęziami i darnią. Po ich powrocie komendant obozu ogłosił, że wkrótce wywiezieni będziemy jeszcze dalej, ale nie powiedział dokąd, więc przypuszczaliśmy, że na Syberię. Wydano nam zimową odzież. Watowane spodnie, czapki i płaszcze. Nic więcej. Ani butów, ani skarpet, ani swetrów. Doskonale wiedzieliśmy, jak sroga jest rosyjska zima i chcieliśmy się przed nią jak najlepiej obronić. Nie mieliśmy jednak najprostszyc narzędzi, na przykład igły czy noża. Trafił mi się, na szczęście, długi płaszcz. Obciąłem go więc i z tak wygospodarowanego materiału uszyłem sobie coś w rodzaju kamizelki. Iglę zrobiłem z kawałka znalezionej drutu. Nici wysnułem z płaszcza.

*

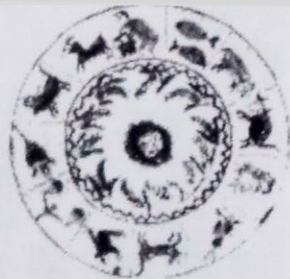
Gdy Rosjanie uznali, że już dostatecznie jesteśmy przygotowani do drogi, popędzili nas na stację kolejową i wpakowali do pociągu towarowego. Po stu do każdego wagonu. Trafiłem do wagonu wypełnionego w połowie przez

Niemców i Austriaków, w połowie przez Węgrów, Rumunów i kilku Polaków. Konwojenci polecieli nam wybrać dwóch starszych, których zadaniem miało być pilnowanie porządku oraz rozdzielanie chleba i wody. Starszym połowy niemieckiej został niejaki Hans, dentysta z Wiednia, chłopisko wielkie jak góra. Mnie natomiast wybrano na starszego drugiej połowy, głównie z tego powodu, że znałem jako tako język rosyjski. Zbite z desek stelaże umocowane z obu stron wagonu umożliwiały stłoczenie większej ilości ludzi. Ścisk był potworny, tym większy, że na środku wagonu stał żelazny piecyk i parę kłoców drewna. Nie mieliśmy jednak siekiery, zapalek ani czegokolwiek na podpałkę.

Wieziono nas na wschód. Po paru dniach nastąpiły piekielne mrozy i rozpalenie ognia w piecyku stało się najbardziej pilną potrzebą. Podczas któregoś z postojów jeden z moich pomocników do rozdzielania chleba, młody chłopak z Siemianowic, wykorzystał nieuwagę konwojenta, wyrwał spod lodowych szyn wielki, wykrzywiony gwóźdź, podniósł parę kamieni i wskoczył do wagonu. Od razu, gdy pociąg ruszył dalej, zabraliśmy się do rozłupywania pierwszego kłoca drewna. Wbijano się kamieniem tępy gwóźdź w drewno i odrywało szczypiąc kawałek po kawałku. Długo to trwało, ale w końcu parę szczap znalazło się w piecyku i można było przystąpić do krzesania ognia. Jak ludzie pierwotni tarliśmy kamieniami o kamień aż wreszcie iskra zapaliła kawałek szmaty wyrwanej z czyjśgo płaszcza. Szmata tliła się ledwo ledwo i trzeba było cierpliwie dmuchać w ten nikły ogienek dopóki nie zapaliły się najcieńsze wióry i drzazgi. Na szczęście drewno było suche i kiedy pojawił się płomień, zakrzyknęliśmy z radości. Zdobyliśmy ogień! Wykrzesaliśmy go kamieniami z piekielnego mrozu! Wszystkim od razu poprawiły się humory. W wagonie zapanował odświeżony nastrój. Ogień obudził w nas braterskie uczucie. Zaczęliśmy ścisnąć sobie ręce i życzyć sobie nawzajem pomyślności i szczęścia. Padaliśmy sobie w objęcia.

Wkrótce jednak diabli wzięli braterstwo. Piecyk dawał miłe ciepło, ale nie rozchodziło się ono po całym wagonie i większość jeńców nadal dygotała na mrozie. Burdę wszczęli Rumuni, a złość skupiła się na Niemcach. Argumenty były prostackie: to właśnie Niemcy rozpętali wojnę, to właśnie oni są winni nieszczęścia wszystkich narodów. Rumuni podnieśli ohydny wrzask. Węgry też nie chcieli być gorsi. Niemcy odpowiedzieli im ostro. Zaczęły się szturchańce i wzajemne popychanie. Nas ze Śląska było czterech i wszyscy, rzecz jasna, siedzieliśmy bardzo blisko pieca. Nie wdawaliśmy się więc wcale w tę rumuńsko-niemiecką awanturę, tym bardziej, że nikt nie miał do nas żadnych pretensji. Bardzo blisko pieca usadowił się również olbrzymi Hans, dentysta z Wiednia, nie kłopotząc się wcale o swoich chorych, zmarzniętych i na dobitkę jeszcze rozwścieczonych kolegów. W ciężkim stanie byli zwłaszcza ci, którzy w ostatnich tygodniach harowali przy spalwaniu drzew. Transport nie miał, oczywiście, lekarza czy choćby sanitariusza. Codziennie umierało dwóch, trzech jeńców. Nieraz nawet więcej. Nikt nie wiedział, jak się nazywali. Na postojach wyrzucało się ich zmarznięte zwłoki w śnieg za torami. I było po wszystkim.

Wieziono nas wciąż dalej i dalej na wschód. Wszystkich paliło okropne pragnienie, a wodę dostawaliśmy tylko raz na dzień. Jakieś trzydzieści litrów w drewnianej balii. Dla jednego miał starczyć ledwie kubek, ale czasem nie dostawało się nawet tyle. Wszyscy bowiem na łeb na szyję cisnęli się do balii walcząc łokciami o choćby jeden łyk wody więcej. Nie raz nie dwa taka bitwa o wodę kończyła się kłęką wszystkich. Drewniana balia wywracała się i upragniona woda wylewała się na podłogę wagonu. Chleb, który nam dawano, był zmarznięty na kość. Aby uczynić go jadalnym należało bochenki rozbić i rozmrozić na piecyku. Ponieważ tylko nieliczni mieli do piecyka bezpośredni dostęp, przeważnie gryzło się zmarznięty chleb. Nigdy przedtem nie przeżyłem takiego zimna. Mróz ścinał płwocinę w locie. Wewnętrzne



Zbigniew Machaj

KAWIARNIA LITERACKA

ściany wagonu pokrywała gruba na palec warstwa szronu. Najbardziej spragnieni zeskrobywali go i jedli z ręki. Z powodu tego morderczego mrozu prawie nikt nie korzystał z małego otworu klozetowego wyciętego w drzwiach na wysokości kolan. Wszyscy wypróżniali się na podłogę, po kątach i pod ścianami. Poza tą dziurą o rozmiarach nie większych niż męska dłoń nie było w wagonie żadnego innego otworu. Nawet najmniejszego, zadrutowanego okienka. Śmierdziało więc jak cholera i przez większą część doby panowała ciemność. I tak to właśnie Rosjanie transportowali ludzi.

Pociąg nie zatrzymywał się na dłuższe postoje. Koszmar potęgował się z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Kiedy skończyło się drewno na opał, zaczęliśmy wyrwać deski ze stelaży do spania i rozdzierać je na mniejsze szczapy. Starczyło ich na kilka dni. Kiedy zaś spaliliśmy deski ze stelaży, nie mieliśmy już nic do podtrzymania ognia. Nic oprócz samego wagonu, w którym nas wieziono. Żeby nie zamrznąć w nocy i przetrwać każdy następny dzień, musieliśmy palić w piecu. Zgrabiałymi od mrozu rękami i tym jedynym jedynym gwoździem wyjętym spod szyn poczęliśmy odrywać grube listwy, które wzmacniały od wewnątrz ściany wagonu. Powoli, z nieludzkim mozolem, kawałek po kawałku, rozbieraliśmy wagon. Po paru dniach nie można już było opierać się o ściany, a wszystko chwiało się i trzeszczało przy każdym silniejszym podmuchu wiatru. Każdą następną listwę wydzielaliśmy ze strachem, że zaraz sufit wagonu zawali się nam na głowy i całe to rozchwane, piekielnie pudło niechybnie szlag trafi, a nas razem z nim.

Byliśmy wszyscy u kresu ludzkiej wytrzymałości. Na szczęście mróz nieco zelżał. A tego samego dnia, kiedy mróz zelżał, niespodziewanie podczas postoju drzwi wagonu otworzyły się na oścież.

I to był koniec jazdy. Dojechaliśmy do celu, chociaż nie wiedzieliśmy dokąd. Przypuszczaliśmy tylko, że jesteśmy gdzieś w Azji, gdzieś na Syberii lub na Dalekim Wschodzie. Było nam właściwie wszystko jedno, gdzie jesteśmy. Tu czy tam, wszędzie czekał nas ten sam okropny los. Tylko raz w czasie jazdy udało mi się przez szparę w ścianie wagonu odczytać nazwę stacji. Astrachań. Astrachań, Astrachań, zastanowiłem się, gdzie to właściwie jest? Nikt z jeńców nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Przez dwadzieścia trzy dni i noc tkwiliśmy zamknięci w wagonie coraz gorzej rozpoznając siebie nawzajem i nie oglądając nikogo z zewnątrz poza jednym żołdaczem, który otwierał i zamykał wagon podczas postojów. Przez dwadzieścia trzy dni i noc nikt inny z konwoju czy dowództwa transportu do nas nie zajrzał.

Kiedy otworzyły się na oścież drzwi wagonu, było wczesne popołudnie. Pociąg stał w szczerym polu. Wyskoczyliśmy na śnieg zdumiewająco żwawo. Żeby czym prędzej być jak najdalej od tego drewnianego, oszronionego szamba na kołach, które ledwo ledwo trzymało się kupy. Krasnoarmiejcy zarządzili zbiórkę. Czyste, ostre powietrze paliło wnętrze jak stuprocentowy spirytus. Ustawiliśmy się w kolumnę marszową i wyruszyliśmy pieszo przez bezkresną, śnieżną pustynię. Skamieniali z zimna brnęliśmy tak chyba ze dwie godziny. Aż wreszcie stanęliśmy u celu. Jak stado żałosnych, złodowaciałych upiórów. Przed nami wznosiło się ogrodzenie z drutu kolczastego z szeregiem wieńców strażniczych po jednej i po drugiej stronie, który ginął gdzieś hen daleko w mroźnej, ciemniejszej bieli. Zatrzymaliśmy się żeby poczekać na maruderów, bo podczas tego potępięczego marszu raz po raz ktoś osuwał się w śniegu. Dopiero kiedy ostatniego, najbardziej wyczerpanego jeńca dowleczono pod ogrodzenie, krasnoarmiejcy zarządzili zbiórkę. Jeszcze raz ustawiliśmy się czwórkami, po czym żołdacy zaczęli nas przeliczać. Popychali nas przy tym i wrzeszczeli. A potem wrota łagru otworzyły się.

Za tymi wrotami przeżyłem następne trzy lata mojego życia.

Wiersze

Fazy

1) księżyc się toczył nad polem
nad polem lasem nad rzeką
przez nocy pół i pół dnia
pole spało bez nieba
las się palił bez wiatru
daleko blisko daleko
rzeka płynęła bez dna

2) księżyc się boczył nad polem
nad polem lasem nad rzeką
przez nocy pół i pół dnia
pole spało bez nieba
las się palił bez wiatru
daleko blisko daleko
rzeka płynęła bez dna

3) księżyc się moczył nad polem
i – jak mawiał Chlebnikow –
tak dalej



ZBIGNIEW MACHEJ urodził się 17 sierpnia 1958 roku w Cieszynie. Poeta, tłumacz poezji czeskiej. Ukończył filologię polską oraz religioznawstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Podczas studiów związany był ze Studenckim Komitetem Solidarności i niezależnym ruchem wydawniczym, później był także działaczem Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Pracował jako niezależny dziennikarz i nauczyciel. W latach 1991–1996 mieszkał w Pradze, gdzie pracował jako dyplomata i dyrektor programowy Instytutu Polskiego. Obecnie pracuje nad projektem Kraków 2000.

Jako poeta debiutował w 1980 roku na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Opublikował następujące książki poetyckie: *Smakosze, kochankowie i płatni mordery* (Warszawa 1984), *Śpiąca muza* (Kraków 1988), *Wiersze dla moich przyjaciół* (Kraków 1988), *Dwa zbiory wierszy* (Londyn 1990), *Trzeci brzeg* (Kraków 1992), *Legenda praskiego metra* (Poznań 1996), *Kraina wiecznych zer* (Wrocław 1997).

Jest stałym współpracownikiem miesięcznika „Literatura na świecie”.

Zachęta

No, śmiało, śmiało! Podejmijmy w końcu nowocześnie, a przy tym poważnie, problematykę przemijania, umierania i przesiąkania w niepamięć... Zainstalujmy ukrytą kamerę w ubikacji dla personelu w warszawskiej galerii „Zachęta”, na dzień, parę dni, może nawet na tydzień. I kręćmy, kręćmy bez wytchnienia... A potem pokazujemy zarejestrowany materiał na czterdziestu i czterech monitorach w warszawskiej galerii „Zachęta”. Przez parę dni, tydzień, może nawet przez miesiąc.



ciemny grudzień
jasne święta
szarzy ludzie
stary cmentarz

mądra całość
głupia ćwierć
trudne życie
łatwa śmierć

jasne święta
złote krzyże
tamte świąty
coraz bliżej

czysty szpital
brudna biel
a Ty Śmierci
rządź i dziel

stary cmentarz
nowy grób
a ty wrono
zamknij dziób

a Ty Śmierci
dziel i rządź
a Ty Dobry
Boże bądź

Jadwiga Smykowska: *Anno Domini*, 1988

Rady

Spróbuj fotografować
wierszem dwadzieścia pięć godzin
na dobę jak Annie Leibovitz
podczas tournée Rolling Stones'ów.
Mick Jagger twierdzi,
że zdjęcia publiczności
(wykrzywione twarze
za drucianą siatką)
wyszły jej lepiej
niż zdjęcia kapeli.
Weź jeszcze jeden haust,
jeszcze jeden łyk
i ... pstryk...
Sfotografuj
(wierszem) jak ona
powrót Johna Lennona
do matczynego łona
w wigilię jego śmierci.
Biorąc sobie za wzór
okładkę „Vanity Fair”
z ciężarną Demi Moore
zrób wreszcie coś wielkiego,
na miarę swoich marzeń,
na kształt obrotów ciał,
na modłę muzyki sfer,
na znak
oka w trójkącie.
W nagrodę będziesz ślęczał
bez końca, bez końca
wypisując czeki
w jakimś niebieskim kącie
krainy wiecznych zer.



Versace zamordowany?

Czy śmierć przychodzi z miejsca
jego urodzenia? Stamtąd? Czy raczej
z tamtej chwili? Z ponadczasowych
wczasów, ale służbowe, z polecenia
jakiejsz szacownej mafii, z ponad-
dźwiękowych sonat. Spod czy raczej
spoza? Poza. Śmierć – Poza
przychodzi do woza. Do woza?
Jaki model? I bez względu na to,
czy stare jest, czy młode ciało
kierowcy i czy pasażera czasem
za bardzo dusza nie uwiera?
W nagrodę, przepraszam, czy za karę?
Nic nie szkodzi, raczej dla wyrównania
ratunku i spłycenia długu.
Poza tym odgórnie i zaocznie.
A wargi modelek? No cóż,
muskają brokat sukni, jej rąbek
według jego projektu. Taki pocałunek
cudnie zmienia klienta
w manekina, w mało seksowny eksponat.
Takie przelotne cmoknięcie
ma nagle siłę trąbek
ostatecznego sądu. Co? Pocałunek
w usta? Czy aby nie myślę
objawów z przyczynami?
No tak, nie w usta, lecz w czoło,
bo idąc kocha inaczej, jak powódź,
choć tak samo jak pożar
wali proste z mostu. Tak samo
przelotnie i czule... Jak strzał
w głowę z bliska. Jeden, potem
drugi... Choć inaczej ... Jak grom
z jasnego nieba... Uderzający
w dom. Z bliska? Po prostu
z miejsca swojego urodzenia.
Przychodzi ... Zostaje na zawsze,
na chwilę ... I nie płacze...

BRACTWA NARODOWE I RELIGIJNE



Zabludów, Ukraina. 1998 rok.

BARTOSZ
CHASYDZI

ZA RAS TA NIE

Fotografie
Krzysztof
Czyżewski



1. Cmentarz w Sadagórze.
2. Grobowiec cadyka w Sadagórze.
3. Zabludów. Ukraina.



Bobowski sztetl na Brooklynie



Droga z Grybowa do Tarnowa wiedzie wzdłuż rzeki Białej, na niektórych odcinkach ocierając się o strome, skaliste stoki. O każdej porze roku jest tu inaczej. Woda przybiera, mętnieje i płynie wartko, nieraz równo z drogą, grożąc jej zalaniem – to w czasie wiosennych roztopów lub jesiennych ulew. Potem Biała z wolna odsłania swe koryto, jak brzuch ogromnej ryby, a z dna jej wylaniają się krągłe kamienie i ostre progi uformowane z karpackiego fliszu. Na nich srebrzyście załamuje się, jak cienka folia, warstwa niespiesznie spływającej, górskiej wody. Zwążająca się z każdym tygodniem struga wilgoci odbija coraz mniejszą powierzchnią iskry słońca, a na jej obrzeżach wysychają przedmioty doniesione tu z oddali, gdy jeszcze rzeka miała siłę nieść cokolwiek. Od ponad 120 lat Białej towarzyszy nitka torów kolejowych. Żelazna droga Tarnów – Krynica wielokrotnie odąd krzyżuje się ze starą drogą kołową, obie zaś kilka razy muszą w ciasnej dolinie rzekę przekraczać po mostach.

Zbliżając się do Bobowej, staram się jak najwcześniej wypatrzeć na wyniosłym wzgórzu, leżącym po prawej stronie drogi, a pojawiającym się najpierw na wprost twarzy, kępę modrzewi, wśród których biejele w oddali ściana małej budowli. Modrzewie zasadzono na bobowskim kirkucie nie tak dawno i już za mojej pamięci stały się wielkimi drzewami, biały ohel zdaje się więc maleć z każdym lat dziesiątkiem.

Pierwszy raz wdrapałem się na bobowski kirkut w czasie jakiegoś szkolnego rajdu, kiedy poznawać zacząłem górzyste okolice na południe od Tarnowa, kiedy nie rozumiejąc jeszcze historii i kultury tej ziemi, zlepiłem z zasłyszanych opowieści, strzępów mijanych widoków i wyczytanych w przewodnikach informacji to, co z latami złożyło się na rozumienie, a nawet odczuwanie ciągłości historii już tylko na podstawie woni śladów zaprzeszłych.

Już nie pamiętam, czy tego pierwszego razu stojąc na bobowskim cmentarzu żydowskim widziałem biały ohel okrywający mogiłę cadyka Salomona ben Natana, czy jego amerykańscy chasydzi ufundowali go nieco później. Jego nowość świadczy, że nie jest budowlą zbyt wiekową, na pewno zaś nie są to te same ściany, które postawiono na mogile cadyka, gdy jeszcze Bobowa pełna była ludu Izraela.

Za każdym razem, kiedy tu jestem, siadam oparty plecami o mur ohelu, i spoglądam na otaczający mnie krajobraz. W dole widać trzy szlaki –

ADAM BARTOSZ – etnograf i muzeolog. Zajmuje się mniejszościami etnicznymi oraz kulturą Karpat.

Pisze głównie na temat Cyganów i Żydów. Opublikował cykle reportaży m.in. z Indii (1983), Albanii (1987) i Izraela (1988). Utworzył w Tarnowie pierwszą na świecie stałą ekspozycję historii i kultury Cyganów. Jest członkiem Komisji Informacji Światowego Związku Cyganów – Romani Unia.

wedle starszeństwa: Biała, potem szosa do Grybowa i dalej do Krynicy, w końcu linia kolejowa, tamże prowadząca. Po drugiej stronie doliny, łagodnie się do nieba wznoszące połacie pól i zagajników, co roku gęściej domami zabudowane, i drogi – dawniej błotnisto-piaszczyste, dziś niektóre błyszczące asfaltem. Niezmiennie jednak kuszące – chodź, pójdz, zmiierz tę drogę własnymi krokami, zobacz, że nie kończy się na szczycie, że opada w dolinę sąsiednią, i dalej prowadzi dokądś.

Nieme początkowo obrazki na powykrzywianych nagrobkach z miejscowego piaskowca, zwanego ciężkowickim, z czasem zaczęły do mnie przemawiać, a imię cadyka zacząłem dopasowywać do innych imion, miast, dat i zdarzeń. Ułamki wiedzy zdarzało się przekazywać kolejnym osobom, z którymi od czasu do czasu przedzierałem się na górę na skróty przez zarośla, trawy lub śnieg. Kiedyś odkryłem wreszcie, że na kirkut prowadzi polna droga, którą od strony miasta można wygodnie dojść, że w miasteczku stoi budynek, będący dawną synagogą, nareszcie ujrzałem jej wnętrze, z bajecznym ołtarzem rzeźbionym i malowanym i przez mądrego użytkownika zasłoniętym wielkimi szybami.

Opuszczony cmentarz bobowski, choć już zmarłych tu nie przybywa, okazuje się jednak – odmiennie niż stara synagoga – być zjawiskiem żyjącym. Oto któregoś roku ktoś postawił symboliczny nagrobek – pomnik ofiar Zagłady, kiedy indziej stanął następny pomnik z żydowskim napisem. Nareszcie ścieżkę do zajmowanego przez kirkut gruntu zagrodziła żelazna brama, a ziemię cmentarza okolił plot. Aby tam wejść, trzeba dziś udać się do odległego domu, gdzie od obecnych dozorców kirkutu wypożyczyć można doń klucz. Świat żydowskich umarłych odgrodził się, ochronił przed dewastacją, zamknął dla pasących się obok krów, ale też i dla ciekawych, którzy tu docierają, by dotknąć historii, czy odmówić kadisz. Dobrze, że grunt tu nierówny i przemknąć się pod ogrodzeniem nie trudno. Wybaczą zmarli tym, którzy wzołgują się poprzez coraz bardziej pogłębiające się wgłębienie w ziemi, bo docierają tu tylko ludzie sprawni, nie godzący w świętość miejsca, a nie mający cierpliwości ugania się za żelaznym kluczem.

Kiedy zamknęła się brama bobowskiego cmentarza, moja wiedza o dawnych mieszkańcach tych wiosek i miasteczek stała się w moim przekonaniu tak dojrzała, iż odważyłem się zawrzeć ją w formie książki o dzie-

Kirkut w Bobowej.
Fot. K. Czyżewski



jach i zabytkach Żydów z regionu tarnowskiego. Jest to książka o zmarłych i o cmentarzach, na które nie wszyscy mieli szczęście trafić. Pisząc w niej o łańcuchu cadyków z linii sądeckiej, którą zapoczątkował Chaim Ben Arie Leibusz, nazywający się Halbersztamem, przekonany byłem, że odkopuję daty, ludzi, fakty, które bezpowrotnie stały się historią, czasem zaprzyszłym, zapomnianym, odległym tak niemal, jak dzieje egipskich dynastii, w których istnienie nie wątpią tylko uczeni. W czasy faraonów nie da się wrócić. W czasy pobożnych chasydów z pogórza Karpat – także. I ten i tamten świat – odeszły, wymarły.

Uczone teorie powiadają jednak, że czas można pokonać. Wystarczy jedynie podróżować szybciej niż biegnie światło, by zacząć wracać do dnia wczorajszego. Ja na początek spróbowałem samolotu Boeing 767. Do szybkości światła daleko mu wprawdzie, ale okazało się, że dla powrotu do bobowskiego sztetl – wystarczy. Należy odbyć nim podróż na sąsiednią półkulę i trafić dokładnie tam, gdzie rzeka Hudson uchodzi do Oceanu. Tu już łatwo znaleźć Brooklyn, a na nim kilka ulic wokół Boro Park. Na 13 alei, róg 46 ulicy znajduje się spory sklep „Electronics & Computers”. Jego właścicielem jest Dawid Singer – chasyd bobowski. Kiedy go ujrzałem po raz pierwszy – a było to w Dukli, gdzie telefonicznie wyznaczaliśmy sobie pierwsze spotkanie – otoczonego pejsatymi młodzianami, w towarzystwie ojca, także pejsatego chasyda, odzianego w długi, czarny płaszcz i kapelusz, zastanawiałem się, jaki odłam żydostwa reprezentuje ten elegancki, zawsze pogodnie uśmiechnięty pięćdziesięcioletek, ze szpakowatą brodą, wyglądający w okularach raczej na intelektualistę, niż sklepikarza (*excuse me!* – biznesmena).

Dokąd nie poznałem Dawida, książkowy świat chasydów jawił mi się, jako coś zamkniętego dla otoczenia, zastygłego w mistycznej ekstazie, w oczekiwaniu Mesjasza, odległego od cywilizacji, spraw doczesnych. Świadomość faktu, że przecież żyli oni pośród innych, handlowali, wędrowali, prowadzili rozmaite interesy, sprzeczekali się, rywalizowali – to wszystko jakoś zdawało się być drugorzędne. To, co z chasydami zdawało się nieodmiennie kojarzyć, to dziwaczność i hermetyczność obyczaju, oderwanie się od realiów życia codziennego, modlitwa, ekstaza, mistycyzm. Poznając dzień po dniu Dawida poznawać zaczęłam chasydów bobowskich. Napisałem: chasydów bobowskich? Przecież nie ma chasydów bobowskich! W Bobowej jest tylko samotny kirkut i pusta bóżnica. I opowieści o cadyku cudotwórcy. Nie ma chasydzkiego świata w Bobowej! Ale mądrzy chasydzi nie mogą unieść z sobą całej Bobowej w miejsce bezpieczne, przeniesli się sami. Opuścili to miejsce, uciekli stąd ci, co ocaleli. Chroniąc się przed Zagładą zabrali też z sobą ducha chasydzkiego, pamięć, obrzędy, język. Uciekli w inną przestrzeń geograficzną, zostawiając groby, unosząc z sobą zranioną pamięć. Istnieje więc nadal świat chasydów bobowskich. Jest bobowska synagoga, bobowska mykwa, są bobowskie chedery, bobowskie rodziny, bobowskie interesy, jest też bobowe rebe – wnuk Salomona ben Natana, także Salomon. To co w Bobowej jest dziś legendą, na Brooklynie istnieje materialnie! Jest cała chasydzka Bobowa. Przerzucona przez Ocean. Przybyło jej jedynie nowoczesnego sztafażu: auta, telefony, elektronika, inne budynki, inne otoczenie. Nie ma tu górskich ścieżek, szumu Białej, turkotu wozów jarmarcznych, głosu dzwonów kościelnych, porykiwań krów, zapachów ognisk jesiennych i wielu innych rzeczy, powoli zapominanych. Zmieniła się wszakże i sama Bobowa. Ta druga – w Boro Park, zmieniła się bardziej. Pozostał jednak cadyk cudotwórca i jego dwór. Pozostali wierni chasydzi i ich myśli, ich modlitwy. Pozostali – w oczekiwaniu, iż skoro Mesjasz nie zstąpił na przepiękną bobowską ziemię, gdzie mógł przechadzać się po kobiercach traw i ziół, to zapewne zstąpi na bruk brooklyński.

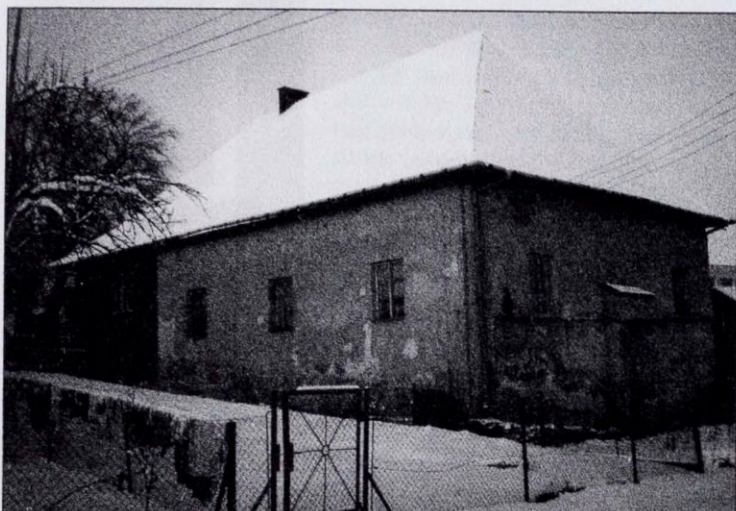
Pytam Dawida zdziwiony: jakimże chasydem jesteś, bez pejsów, z krótką brodą, w garniturze, bez białych skarpetek? Pytam o te zewnętrzne oznaki, bo nie wiem, w jaki sposób Dawid przestrzega Prawa, jak wewnątrz zachowuje chasydzką tożsamość.

Okazuje się, że pejsy, zgodnie z zasadami zachowuje, ale skręcone ciasno zakłada je poza uszy, a koniec brody również zawinięty, zgrabnie podwija pod spód, w efekcie, choć nigdy brody nie obcinał, ma ją nie więk-



Adam Bartosz

B RACTWA NARODOWE
I RELIGIJNE



Bóżnica w Bobowej.
Fot. M. Sporek-Czyżewska

szą od mojej. A ubiór? – Nasz rebe pozwala nam się ubierać tak, by było wygodniej w interesach. On też dał zgodę na takie noszenie pejsów, na ubieranie długich spodni i krótkiej marynarki. Nie zwalnia mnie to od noszenia talit, ale cyces noszę schowane. Inaczej jednak ubieram się w dzień świąteczny, zobaczysz.

Zatrudnieni w jego sklepie sprzedawcy noszą się rozmaicie, choć tutejsza klientela składa się głównie z pejsatych gości i ich żon w perukach. Subiekci sklepowi to mieszanka ludzi pochodzących (lub zrodzonych z rodziców) z całego świata. Jeden ma matkę

z Cieżkowic koło Tarnowa, rodzice innego pochodzą z Krakowa, pozbawiony zarostu, wielki Żyd pochodzi z Gruzji, inny ma korzenie litewskie.

Dawid chce mi pokazać jak najwięcej. Wie, że ten świat, w którym on żyje, dla innych jest zamknięty, obcy. Jestem pierwszym gojem, którego spotkał, a który chce wiedzieć jak najwięcej, ponadto sam wie już sporo. Jest zaskoczony, gdy potrafię wymienić imiona cadyków z Leżajska, Ropczyc, Rymanowa... Chce mi tę wiedzę teoretyczną uzupełnić, pokazując jak żywa jest kultura tutejszych chasydów.

Odwiedzamy synagogę bobowską (róg 15 alei i 48 ulicy). Ogromny budynek mieści zespół sal do modlitw i studiów. Największa sala pomieścić może kilkaset osób. Nawykły do widoków ruin synagog, czy do wnętrz starych lub bardzo nawet wiekowych, czuję się tu jak w nowoczesnym halowym kościele, gdzie – zdaje się – Bóg zamieszka dopiero po kilku setkach lat, gdzie modlić się nie potrafię żadnym sposobem.

W wielkiej sali odprawia się modły świąteczne, bocznych kilka sal służy do modlitw codziennych, a o ich porze informują duże tablice. Teraz, w południe, cicho tu, zaledwie kilku chasydów studiuje po kątach księgi.

Niedaleko stąd mieści się bobowska jeszywa dla dziewcząt. Do niedawna jeszcze dziewczęta pochodzące z różnych chasydzkich środowisk uczyły się wspólnie, ale że dzieci rodzą się tu częściej niż gdzie indziej, przed kilku laty Bobowianie urządzili osobną szkołę dla swoich dziewcząt. Znaczny odcinek 46 ulicy zajmują chedery dla chłopców. W ciasnej zabudowie Boro Park nie ma miejsca na podwórza szkolne, tym bardziej na boiska (zresztą chłopcy i tak nie uprawiają żadnych sportów – rozbieranie się publicznie jest zabronione) – więc w czasie przerw szkolnych zamyka się ruchomymi płotami ulicę, na którą wylegają gromady dzieciaków. Biegają w chałatach, z rozwianymi pejsami, swawolą jak każde dzieci, tworząc jednak widok żywcem wyjęty z podwórka jeszywy w Bobowej. Mówią wyłącznie w jidisz, w szkole uczą się angielskiego i hebrajskiego, ten ostatni język służy zaś głównie do studiów i modłów.

Odwiedzamy kilka klas bobowskiego chederu, gdzie uczą się dwaj wnukowie Dawida. Najmłodszy, trzylatkowie, pod opieką nauczycielek (przedszkolank?) bawią się na podłodze. Wszyscy w jarmułkach na krótko strzyżonych główkach, z rzadkimi, bo dziecięcymi pejsami. Wszyscy ubrani w podobne, ciemne ubranka. W innej klasie, więksi chłopcy siedzą w ławkach i pochyleni nad podręcznikami recytują głośno,

chórem słowa hebrajskie. Między lawkami przechadza się gruby chasyd w koszuli, z frędzlami talit na wierzchu. Rytmicznie, w takt recytacji uczniów, kiwa swą postacią. Widok, jak z opisów Strykowskiego czy Singera.

Kiedy skończą się zajęcia, ulicę zamyka się znowu, a po jej obu stronach zatrzymują się szkolne autobusy, typowe dla całej Ameryki, tyle że z hebrajskimi napisami. Rozwiozą dzieci dalej mieszkające do ich domów.

Przechodzące ulicami kobiety i dziewczęta ubrane są charakterystycznie – w ciemne sukienki i płaszcze. Suknie z długim rękawem, zapięte pod szyją, na nogach pończochy. Widoczne mogą być tylko dłonie i twarz. Tak samo ubrane są małe dziewczynki. W szabas chłopcy jednakowo odziani w długie, ciemne płaszczyki, kroczą poważnie w myckach obok nieco większych braci w kapeluszach i ojców odzianych w wielgaśne, futrzane sztrajmle. Zameżne kobiety wydają się nosić jednakowe proste, uczesanie. To peruki wykonane z własnych włosów obciętych w dniu ślubu.

Kiedy pytam o powód noszenia peruk przez mężatki, słyszę wyjaśnienie:

– Po pogromach Chmielnickiego na Ukrainie, kiedy to gwałcono żydowskie kobiety, rabini orzekli, iż mają one ścinać włosy, by się oszpecać, by swą kobiecością, swą urodę uczynić mniej ponętną dla hord napadających Żydów. Ścięte włosy przykrywały chustkami, a z czasem zaczęły nosić peruki. Zwyczaj ten kultywują niektórzy Żydzi ze wschodniej Europy do dziś.

Idąc ulicą mijamy jesywy: Lelowską, Radomską, Szczucińską, Bojanowską, a także należące do bardziej odległych geograficznie, tradycyjnych skupisk chasydzkich – z Satu Mare, Sátoraljauhely, Czortkowa, Lubawicz. Ale bobowska synagoga zdaje się być sercem tej dzielnicy. Na pewno jest nim dla Dawida – dla mnie także. Tu bowiem osiadł i mieszka Szlomo Halbersztam – dla mnie do tej chwili jeszcze – legenda.

Wstępujemy do kolejnej synagogi, tu możemy zwiedzić mykwę.

Nowoczesna, czyściutka łaźnia, wyposażona w dwa baseny do kąpieli rytualnych, poprzedzona jest większą salą z wieszakami na ubiór i natryskami. Napisy w trzech językach (angielski, jidisz, hebrajski) ostrzegają: „Nie wolno wchodzić do mykwy bez należytego umycia się”.

Mężczyźni rozbiegają się tu we wspólnej sali, wspólnie biorą natrysk. Później żona Dawida wyjaśni mi, że kobiety mają zorganizowane kąpiele w mykwie w bardziej intymnych warunkach, w odosobnieniu. Kąpiel w mykwie to jeden z podstawowych nakazów religijnych, toteż ścisłości rytuału przestrzega w każdej mykwie wykształcony w tym zakresie rabin.

Ojciec Dawida jest rabinem do spraw koszerności mykwy w gminie chasydów z Brzeżan. Opowiada, jak skomplikowane interpretacje towarzyszą utrzymaniu zasad koszerności w przypadku, gdy nie ma możliwości korzystania z wody źródlanej. Brzeżańska mykwa znajduje się na Dolnym Manhattanie, to tam pierwotnie istniało główne środowisko chasydów, którzy z początkiem wieku przenieśli się do Brooklynu, na drugi brzeg East River. Dostojny rabin pochodzi z Pilzna, niedaleko Tarnowa. Uciekł stamtąd przed Niemcami, jako młody chłopak. Niedawno zapragnął, by ślad pilźnieńskiego cmentarza ogrodzić, by ta święta ziemia przestała być nadal bezczeszczona. Jakims sposobem znalazł mój adres, umówił się na pierwsze spotkanie w Polsce, odbyliśmy wspólną drogę z Dukli przez Dynów, Leżajsk do Pilzna. I tu zobowiązałem się do nadzorowania prac przy ogrodzeniu, do zamówienia pamiątkowej steli. Rabin Josef ma 73 lata i wie, że musi się spieszyć, by zdążyć pomodlić się przy kamieniu, który ufundował na pilźnieńskim kirkucie.

To od niego dowiaduję się, że wielu chasydów korzysta z mykwy codziennie, nie tylko w piątki. On sam nie wyobraża sobie dnia bez porannego zanurzenia się w wodzie.



Adam Bartosz

B RACTWA NARODOWE I RELIGIJNE

Dawid zaprasza mnie na obiad szabasowy. Wyjaśnia, dlaczego jemy w kuchni, a nie w jadalni.

- Tam już jest posprzątane, tam nie ma chumec, możesz tam jeść jedynie owoce. Tu jest jeszcze chumec (nieuprzątnięte) możemy jeść wszystko, bez obawy, że gdzieś okrucz zostanie na święta.

Trwają właśnie przygotowania do święta Pesach, które polegają m.in. na dokładnym sprząnięciu domu, by nie pozostała w nim nawet okruszyna chleba, czy innej potrawy na drożdżach (chumec). W nadchodzącym, ośmiodniowym okresie Paschy spożywać się będzie chleb wyłącznie w postaci macy.

Wypiek mac również będę mógł zobaczyć. Piekarnia mac mieści się w niezwykle ciasnych pomieszczeniach, tym ciaśniejszych, że tłok tu niesamowity. Roi się tu od brodatych, młodych chasydów i kobiet w chustkach na głowach.

- Teraz mace piecze się w mechanicznych piekarniach, ale my zachowujemy tradycję, przygotowujemy mace tak, jak za naszych przodków robiło się to w Galicji. Mamy tu ostatnią chyba taką piekarnię, wszystko robi się ręcznie – zachęca Dawid, choć wie, że zachęcać mnie nie trzeba.

- Tu przychodzi bardzo wielu ludzi do pracy, bo wypiek mac to mycwa – dodaje.

Wszyscy się bardzo spieszą, gdyż zgodnie z przepisem Prawa gotowy placek musi znaleźć się w piecu przed upływem kwadransa od momentu zmieszania mąki z wodą. Później ciasto staje się niekoszerne, można bowiem podejrzewać, iż zaczął się proces fermentacji. Maca zaś to chleb prząsny, bez zakwasu, tylko czysta mąka i woda. Wypiek odbywa się więc w szybkich, krótkich cyklach – między kolejnymi wsadami do pieca następuje chwila przerwy. Wokół długiego stołu skupiają się ciasno kobiety. Oczekując na rozpoczęcie cyklu wypieku, okrywają stół papierem. Jeden z chłopców zaczyna roznosić kawałki ciasta, które kobiety błyskawicznie wałkują na okrągłe placuszki. Następni chłopcy nabierają po trzy placki na około metrowe drewniane drążki i biegną z nimi do drugiego, mniejszego stołu, gdzie dwaj chasydzy trzymając w rękach metalowe stemple wyciskają na powierzchni placka dziurkowany wzorek (by w cieście nie robiły się pęcherze i by równo się piekło).

Wnętrze bóżnicy w Bobowej.
Fot. M. Sporek-Czyżewska



Stąd znowu placki na drewnianych wałkach niesione są do pieca. Wszystko to robi się w radosnym pośpiechu.

Kobiety przy stole błyskają złotymi zębami. Pytanie o pochodzenie potwierdza moje przypuszczenie. Są z Rosji, to nowa emigracja. Obok pieca siedzi stary rabin, chasyd z Brzeska. Wygląda, jakby nadzorował wypiek. Mówi nieco po polsku.

Piekarnia pracuje tylko od stycznia, a więc około trzy miesiące w roku, nie wypieka się tu nic więcej. Przez resztę roku stoi bezczynna.

Okazuje się, iż właścicielem piekarni jest Horowitz, oczywiście także galicyjskiego pochodzenia. Kiedy się dowiaduje, że mieszkam w Galicji, woła rozpromieniony:

– Mój ojciec jest z Sędziszowa. Muszę cię przedstawić. – Puka do pokoju ojca. Ten jednak śpi. Nie będziemy go budzić.

Przy ścianach leżą stosy mac. Pakuje się je do kartonowych pudeł i roznosi do sklepów, lub wprost do domów chasydów, którzy je zamówili. Nierówno przypalone krążki mac są jakże różne od tych, które kupuje się w sklepach, prostokątnych (bo tak bardziej ekonomicznie), równo wypieczonych, może i smaczniejszych. Ale te pieczone w sędziszowskiej piekarni noszą na sobie woń i smak galicyjskich piekarni żydowskich. Są wspomnieniem kraju ojców, przypomnieniem o źródłach chasydyzmu.

Galicja, to kraina legendarna tak niemal, jak Ziemia Obiecana. Wszystko się odnosi w przeszłości do Galicji, lub jej sąsiedztwa. Nawet jeśli ktoś wychował się na Węgrzech, czy w Rumunii, to przecież jego ojcowie trafili tam z Galicji. W Galicji jest początek chasydyzmu, i stamtąd się wszystko, co chasydzkie wywodzi.

Pytał mnie szef „Algemeine Journal”, największej w Ameryce gazety żydowskiej: jakie miasto jest dziś stolicą Galicji? Zdziwił się, kiedy mu powiedziałem, że nie istnieje dziś żadna jednostka administracyjna tak nazwana. On wie, że Galicję podzielono, wie o zmianach politycznych, nie mieści mu się jednak w głowie, że Galicja jako region przestała istnieć.

– To znaczy, że ludzie nie mówią: jestem z Galicji? Czy to znaczy, że nie wiedzą, gdzie jest Galicja? To jak się teraz nazywa Galicja? – pyta uporczywie.

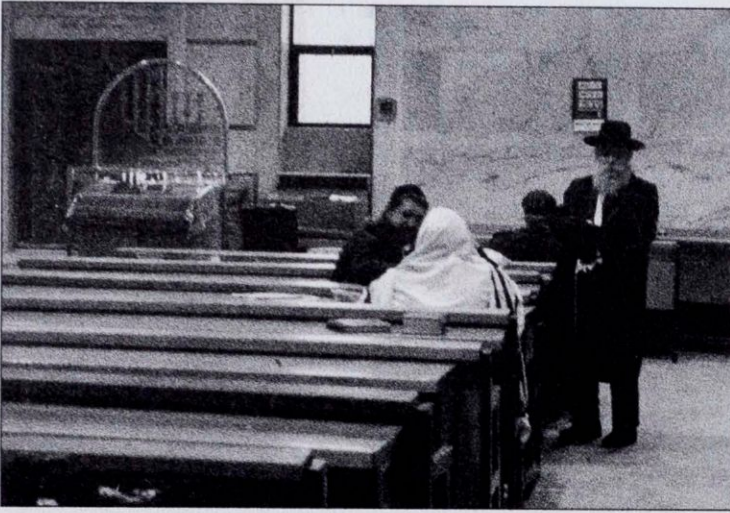
Każdy ze spotkanych chasydów stara się pochwalić znajomością realiów galicyjskich, koneksjami, czy wręcz bytnością tam. Odmienne niż wcześniej spotykani Żydzi, którzy odwiedzają przede wszystkim Oświęcim, Kraków, Warszawę, Majdanek... ci nigdy o Oświęcimiu nie wspominają. Jeśli byli w Polsce, to tylko po to, by pomodlić się na grobach bliskich, a przede wszystkim na grobach cadyków w Bobowej, Nowym Sączu, Leżajsku, Dynowie, Rymanowie, Sieniawie... Jeśli wspominają, to są to wspomnienia mgliste, wyidealizowane, wszak nie byli w Polsce od pięćdziesięciu czy więcej lat. Dla młodych zaś, to kraj ojców, sławnych cadyków, czasu szczęśliwości, ale też i Zagłady.

Pochodzący z różnych miast, a nawet krajów, bliscy są sobie poprzez fakt związania się z dworem cadyków pochodzących z tego samego dynastycznego łańcucha. Prawie wszyscy przeze mnie spotkani za przyczyną Dawida, związani są w jakiś sposób z dynastią Halbersztamów. Wspomniany już na wstępie Chaim, który przybrał nazwisko od miasta pochodzenia swej matki – Halbersztadt, osiadł w Nowym Sączu w 1830 roku. Pośród swych wyznawców znany jest też jako Dywrej Chaim (Słowa Chaima) – tak zatytułowane jest jego główne, opublikowane dzieło. Zanim dotarł do Sącza, uczył się u Jakuba Icchaka Horowitza, znanego jako Wizjoner z Lublina i u Naftalego Cwi Horowitza, zwanego Naftalim Ropczycerem czyli Naftalim z Ropczyc. Groby tych sławnych rabinów



Adam Bartosz

B RACTWA NARODOWE
I RELIGIJNE



Wnętrze synagogi bobowskiej w Nowym Jorku. Fot. A. Bartosz

licznej walki ze zwolennikami cadyka sadagórskiego. Walka ta przybierała niekiedy formę daleko wykraczającą poza sprawy religijne. Cadycy obrzucali się kłótniami, a w rozgrywkach religijnych brali udział ich zwolennicy, czasem aparat policyjny.

W 1869 roku jeden z sadagórskich rabinów zamieszkały w Tarnowie skarżył się staroście tarnowskiemu w związku z planem Chaima sądeckiego, który miał wygłosić 21 sierpnia kazanie w tarnowskiej synagodze. Otóż autor listu błagał, by zapobiec tej wizycie, albowiem pod wpływem kaznodziei „sadagórscy chasydzi, którzy będąc w mniejszości, są już i tak uciskani, tracą możliwość handlu i ucierpią majątkowo”. Píše dalej: „To może zrobić się rewolucja. Dlatego uważam za słuszne prosić uprzejmie wysoce szanownego cesarsko-królewskiego starostę, aby wydał zakaz przybycia do Tarnowa panu Ch. Halbersztamowi, głównemu rabinowi z Nowego Sącza”. Starosta wydał polecenie by „w porozumieniu z miejskim rabinem przeciwdziałać tendencjom Chaima Halbersztama i unikać sporów w gminie”. Jak więc widać, wrzenie galicyjskiej ulicy żydowskiej nie mniejszą miała temperaturę od ówczesnych potyczek politycznych.

Sława sądeckiego cadyka jednak rosła, a potężniała wraz z dorastaniem jego synów, których miał siedmiu, a którzy sławę ojca roznosili poza granice Galicji. Ich synowie, a wnukowie Chaima rozstawiali świątobliwość dziadka poza granice monarchii. A oto synowie Chaima wedle starszeństwa: Jecheskiel Szraga z Sieniawy (jego synowie zostali rabinami m.in. w Tarnowie i Bochni, a jeden z wnuków, Jecheskiel, zwany Klausenburgiem, osiadł w Antwerpii); następnym jest Dawid z Chrzanowa, potem idzie Baruch z Gorlic, za nim Salomon Eliezer, który założył węgierską dynastię Halbersztamów, kolejny to Aaron z Sącza, którego potomkowie osiedli w Grybowie, wreszcie Meir Natan, którego syn Salomon założył dynastię Bobowską i najmłodszy – Izaak Izajasz, który był rabinem w Czchowie. Każdy z synów świątobliwego Chaima stał się założycielem dalszych gałęzi rodowego łańcucha Chaima.

Jednym z najgłośniejszych rodów stał się ród Natana z Bobowej, którego syn Salomon założył tu jesywę i zasłynął jako wielki cadyk, cudotwórca i mędrzec. Jeszcze większą sławę uzyskał jego syn, Ben Cion. Słynął z pięknych melodii, które sam komponował, był wielce poważany przez władze świeckie Rzeczypospolitej, jego mądrość i świątobliwość były uznane szeroko. Kiedy w 1931 roku wydawał swą

znajdują się w Leżajsku. Chaim studiował też u Cwi Hirscha z Rymanowa i u Izraela Friedmana, czyli Izraela z Różyna na Podolu, założyciela słynnej dynastii cadyków z Sadagóry (dziś przedmieście Czerniowiec).

Sądecki cadyk prowadził życie skromne, głosił zasadę miłości bliźniego jako naczelną, żył ubogo, a wszelkie dochody rozdawał biednym. Wrogo odnosił się do bogaczy i zwalczał wszelki ceremonial, który nie był związany bezpośrednio z czcią religijną, oddawaną wprost Bogu. Poznawszy wystawność dworu Izraela z Różyna otwarcie potępił w 1868 roku taki styl życia, stając do pub-

córkę Hanę za tarnowskiego talmudystę, Mojżesza Stempla, do Bobowej przybyły specjalnie wynajęte trzy pociągi z gośćmi weselnymi.

Kiedy Niemcy wkroczyli do Polski, stary cadyk uciekł z całą rodziną do Łwowa. Hitlerowcy dopadli ich, kiedy w 1941 roku zajęli to miasto. Zginął rabin Ben Cion, oraz część jego rodziny. Zginęła także żona jego syna Salomona i ich najstarszy syn, Mordechaj Dawid. Ocalał natomiast młodszy syn Salomona, Naftali Cwi, który miał wtedy 10 lat. Rabin Salomon, który miał wtedy 35 lat, nie posłuchał ojca, przebywał poza gettem i to go uratowało. Miał wygląd mało żydowski, i kiedy za poradą rodziny matki, która przysłała z Węgier fałszywe dokumenty, ogolił brodę, udało mu się wraz z kilkoma siostrami i matką przedostać na Węgry. Przeżył tam wywózkę Żydów do Oświęcimia w 1944 roku i po odstąpieniu Niemców i zakończeniu wojny znalazł się w Niemczech. Stamtąd wyjechał do Włoch i rozpoczął poszukiwania galicyjskich pobratymców. W 1947 roku dotarł do Ameryki. Tu założył dla garstki ocalałych szkołę handlową, by im umożliwić rozpoczęcie nowego życia. Pomogli mu chasydzi, którzy już tu wcześniej dotarli. Nowe życie zaczęli od nauki szlifowania diamentów i zegarmistrzostwa.

Osiadłszy w Nowym Jorku Salomon Halbersztam skupił wokół siebie wiernych mu chasydów, założył jeszywę kształcąca młodzież i kontynuował nauki swego ojca i dziadka. Pośród skupisk chasydzkich, jakie rozrosły się na terenie tego wielkiego miasta, bobowe rebe jest uznany jako jeden z większych autorytetów religijnych i moralnych. Przez swoich zwolenników uważany jest za cadyka, a więc łącznika z Bogiem, przez którego ich modlitwy trafiają bezpośrednio do Stwórcy. Jest więc osobą mającą moc ponadludzką, niemal boską. Wielu ludzi było świadkami cudów jakich on dokonywał, i o cudach tych się opowiada. Do jego domu pielgrzymują chasydzi z całego świata, by mieć okazję wspólnie się pomodlić, zasiąść do stołu, gdy dzieli chleb w dzień szabasowy, posłuchać jego słów, rad, dotknąć jego szat. Otacza go sława własnych dokonań, a towarzyszy mądrość dziadka Salomona i jego dziadka, Chaima. Na ich groby pielgrzymują Żydzi z bobowskich i sądeckich gmin chasydzkich z Izraela, Toronto, Londynu i innych drobniejszych skupisk. Dla wielu ludzi interesujących się dziejami Żydów, myślą religijną chasydów, Salomon Halbersztam to postać wręcz mityczna. Jego dwór brooklyński kontynuuje historię, którą na ziemi polskiej zgładzono, zdawałoby się, na zawsze.

Kiedy więc Dawid zadzwonił mi przed kolejnym szabasem, iż gabaj cadyka zgodził się na moje spotkanie z cudotwórcą poczułem się wielce wyróżniony i wzruszony. Ponieważ umawianie się z gabajem trwało kilka dni, a nie byłem pewien efektu, telefon Dawida dopadł mnie poza Nowym Jorkiem. Nie mogłem więc zdążyć na piątkowy, szabasowy wieczór do synagogi. Umawiamy się więc na południową, sobotnią modlitwę. Będę tam musiał dotrzeć sam.

– Nie mogę po ciebie przyjechać w sobotę, bo świętuję szabas, ale ty możesz przyjechać metrem. Czekał na ciebie w czasie południowej modlitwy. Musisz mnie znaleźć w synagodze.

W sobotnie przedpołudnie przemykam się ulicami, którymi śpieszą do synagog chasydzi w ogromnych czapach. Niektórzy kroczą w białych skarpetach, wszyscy natomiast noszą czarne płaszcze, niektórzy śpieszą okryci tałasami. Wielki gmach bobowskiej synagogi znajduje łatwo, znam go z poprzedniej wizyty.

Zdawało mi się bywać w sytuacjach, kiedy moja odmienność była dla mnie żenującą, wstydliwą, że wprost czułem obawę z tego powodu, że jestem tak widoczny, tak całkowicie odmienny, obcy. Tak czułem się



Adam Bartosz

B RACTWA NARODOWE
I RELIGIJNE

i teraz, wchodząc do przedsionka wielkiej bobowskiej synagogi. Wiesząc swoją jasną kurtkę pośród czarnych płaszczy wcześniej przybyłych na modlitwę, tym wyraźniej tę różnicę widziałem. Moja jasna marynarka – kiedy wreszcie wszedłem do sali modłów – z daleka była rozpoznawalna, pomiędzy czarno ubranymi chasydami, lub postaciami zawiniętymi w szale modlitewne. Kipe – jarmulka – na głowie oraz broda, którą ozdabiam swą twarz, czynią mnie, z grubsza przynajmniej, mniej obcym. Nikt jednak nie zwraca tu na mnie żadnej uwagi. Jedni modlą się, inni rozmawiają, stojąc po kilku w grupach. Mali chłopcy biegają między ławkami, powiewając pejsami zwisającymi po bokach krótko strzyżonych głów. Nastrój w bóżnicy, jak już i wcześniej widywałem, wydaje się dość swobodny, i choć niektórzy zatopieni są głęboko w modlitwie, to inni w tym czasie wydają się absolutnie niezainteresowani tym, co dzieje się obok.

Sala główna bobowskiej synagogi jest ogromna, do gminy tutejszej należy około tysiąc rodzin, jest to więc kilka tysięcy mężczyzn i chłopców. Dwa poziomy balkonów obiegających salę z trzech stron przeznaczone są dla kobiet, których z dołu wcale nie widać.

Nowoczesne wnętrze mieści na wschodniej ścianie szafę ołtarzową z rodalami, obok stoi pulpit do czytania Pisma i fotel cadyka. Pośrodku podwyższenie, bima, na którym tłoczy się gromada chasydów, widzę tam głównie młodych chłopców, otaczających innych, starszych zapewne. Jak tu odnaleźć Dawida? Wszyscy są ubrani podobnie, brodaci, w talesach na głowach lub w lisiurach – sztrajmle. Ale zapytani o niego, rozprawiający na boku chasydzi wskazują mi, gdzie jest jego stałe miejsce, tam powinien być. Za chwilę witamy się serdecznie i wnet zaczyna się przedstawianie mnie kolejnym Żydom o twarzach proroków z historycznych malowideł.

– To pan jesteś z Polski? Gdzie to Tarnów? Aaa! – Turne, to wiem, to ładne miasto było. Ja wiesz pan jestem z Brigl – to się mówiło Brzesko, to parę mil od Tarnowa.

– Ja jestem z Tarnobrzega, a właściwie z Dzikowa, to hrabia Tarnowski tam był księciem. Nazywam się Dębicer. Tak, mój dziadek był z Dębicy. Znasz pan Dębicę?

Jest staruszek z Krakowa. – Mieliśmy dom na Miodowej 4. Nie wie pan, kto tam teraz mieszka?

Dawid Halbersztam gra na rogu
w trakcie resakralizacji cmentarza
w Piłźnie. Fot. J. Pięciak



Podchodzi niewysoki Żyd w lisiurze. To Naftali, najstarszy syn cadyka. Być może to on odziedziczył po ojcu moc cudotwórczą. Ma 65 lat. Wyjechał z Polski mając lat dwanaście. Mówi niezłe po polsku. Z ciekawością wypytuje:

– Zna pan synagogę w Bobowej? Ona ma ze 400 lat. – Kiedy delikatnie wyrażam wątpliwość, obrusza się:

– Kościół w Bobowej ma ponad tysiąc lat. A w synagodze był kamień, na którym było napisane, że remont robili 200 lat temu. To ona musi mieć ze 400 lat. Niechaj więc będzie.

Są chasydzi pochodzący z Sącza, Bochni, Chrzanowa, Sędziszowa,

Mielca, przypominają sobie polskie słowa, cieszą się ze spotkania. Ten z Mielca przeprosza po angielsku, on rozumie, ale po polsku nigdy nie mówił dobrze, całe młode życie spędził w środowisku chasydów mówiących w jidis.

Dawid wskazuje mi bimę. – Zobacz, tam stoi bobowe rebe, tłoczą się koło niego chasydzi, chcą być jak najbliżej. – Pośród tłumu dostrzegam siwowłosego, szczupłego starca pochylonego nad księgą. Głowę okrywa mu biały tałes ze srebrnymi brzegami, haftowanymi w bogate wzory.

Co jakiś czas Dawid daje znak ręką, cichniemy, bo przychodzi moment modlitwy, w której wszyscy chórem odpowiadają zawodzącemu przy pulpicie kantorowi.

Za chwilę przechodzimy do bocznej sali, a bobowska jeszywa ma ich chyba ze cztery, tu też modlą się chasydzi. Dawid wyjaśnia:

– Na porannej modlitwie o godzinie dziewiątej wszyscy modlą się w dużej sali, teraz jak widzisz, jest tam wiele pustych miejsc, cześć Żydów wyszła, bo cadyk znany jest z tego, że modły prowadzi bardzo długo, więc na południowej modlitwie niektórzy przechodzą stopniowo do innej sali, tu rychlej kończąc modły.

Kiedy wracamy, cadyk modli się przy bocznym pulpicie, przy arce. Modły się niebawem skończą. Teraz wszyscy zdejmują sztrejml i nakładają tałesy, zasłaniając twarze. Kantor śpiewa mocnym głosem, tłum mu wtóruje, kiwając się głęboko w pokłonach, niektórzy wykonują zwroty całym tułowiem, inni wznoszą oczy do nieba, cały tłum faluje, porusza się, melodia wibruje w powietrzu, modlący się zawodzą radośnie, twarze mają rozpromienione. Po chwili śpiew wiernych ustaje i rozlega się cicha modlitwa cadyka. Śpiewa ładnym, ale słabym głosem, modlitwa jest krótka i za chwilę robi się zamieszanie, chasydzi tłoczą się wokół cadyka, który już ubrał lisiurę i zmierza do bocznego wyjścia. Idzie powoli, uśmiechając się radośnie na boki, błogosławiąc: *gut szabes. Gut szabes* – odpowiadają rozpromienieni chasydzi, stojący ciasnym szpalerem.

Cadyk idzie do bocznej sali, tu odprawi kidusz – błogosławieństwo wina. Kiedy wraz z Dawidem udaje się nam dopchać do wielkiego stołu, za którym siedzi rozpromieniony cadyk, on już modli się nad słodkim ciastem, ułożonym w wielkim pudle kartonowym. Chasydzi tłoczą się ciasno, wyciągają ręce, najwięcej jest wśród tych otaczających mistrza, młodych ludzi. Jeden ze starszych podaje cadykowi stos pokrojonego ciasta, a ten bierze po kawałku i wkłada w wyciągnięte dłonie, a dalej stojącym rzuca poprzez stół. Wygląda to na radosną zabawę, cadyk cały czas uśmiecha się promieniście, raduje go wyraźnie to rozdawanie chleba. Nikt nie weźmie kawałka z pudła, zanim ciasta nie dotkną dłonie cadyka. Każdy natychmiast zjada swój kawałek, lub dzieli się z najbliższymi. Dostaję i ja kęs z kawałka, który pochwycił Dawid. Niedługo pudło opustoszało, nie wiem, czy dla wszystkich starczyło słodkości.

Przy sąsiednim stole grono starszych chasydów zasiada do butelki wódki, a my podążamy za cadykiem.

– Teraz on przejdzie ulicą do domu – wyjaśniają mi chasydzi. – Chodź, zobaczysz jak idzie.

Towarzyszy mu tylko mała gromadka Żydów w lisiurach; młodzi chłopcy w kapeluszkach, w białych skarpetkach na chudych nogach wyglądają jak postacie z rysunków satyrycznych, kiedy wyciągają szyje, nasłuchując, czy, i co powie cadyk. Aż usta otwierają, starając się stąpać jak najbliżej mistrza, którego pod ręce prowadzą dwaj starsi. Kilku idzie przed nim, cofając się, by nie zawadzać, ale by także móc słyszeć każde słowo. Tłoczą się, popychają, ale czynią to jakoś radośnie, choć nerwowo. Do drzwi domu cadyka jest kilkadziesiąt metrów, więc przejście trwa chwilę tylko. Ale choć cadyk



Adam Bartosz

B RACTWA NARODOWE
I RELIGIJNE



Fragment 13 alei w Boro Park.
Fot. A. Bartosz

zniknął za drzwiami, tłumek okupuje ciasno wejście.

Najmłodszy syn cadyka, poznany już w synagodze Ben Cion łapie mnie pod rękę i wskazuje boczne drzwi. Wślizgujemy się za nim z Dawidem, wychodzimy na piętro. Jesteśmy w gabinecie cadyka. Ben Cion pokazuje na drewniane drzwiczki w ścianie. – To domowy aron hakodesz, tu się mieści miniatura Tory, tu się modli cadyk. A te szafy są pełne starych ksiąg, on je zamyka, bo są bardzo cenne. – Nowsze księgi leżą na regałach, w oszklonej szafie widnieją srebrne naczynia religijne, lichtarze, tace.

W sąsiednim pokoju ruch, słychać rozmowy. To Naftali, najstarszy syn cadyka, anonsuje

mnie, slysze: Polin, goj – to o mnie. Przez chwilę myślę, może nie zechce się ze mną zobaczyć? Czy gabaj mu o mnie wcześniej mówił? Ale niepotrzebne obawy. Cadyk podchodzi rozradowany, jakby czekał na gościa, witamy się, on pierwszy odzywa się piękną polszczyzną:

– Pan z Polski? Jak się ciesze! Co pan robi w Polsce, co pan robi w Ameryce, jak to ładnie, że pan do nas przyszedł.

Jestem zaskoczony, wręcz nie wiem, co powiedzieć. Oczekiwałem starca, który odezwie się galicyjską gwara, z trudnością budując zdania, jak wcześniej spotkani, leciwi chasydzi, tymczasem rebe mówi językiem, którego nie powstydziliby się nauczyciel. Zdania brzmią troszeczkę z cudzoziemskim akcentem, ale jest to żywa, dobra polszczyzna.

Cały czas stary cadyk wygląda na rozpromienionego, rozradowanego, mówi wesoło, ciepło, a ja nie bardzo wiem, czy mogę go o coś zapytać. Korci mnie, by wyjąć dyktafon, nagrać choć kilka zdań, dobrze, że tego nie uczyniłem, bo obrazilbym szabas, święty czas, kiedy nie należy nic robić, włączać urządzeń, zaświecać światła, zapalać ognia, to czas modlitwy, radości, spotkań.

– Zna pan Bobową? No tak, do Tarnowa to pół godziny drogi. Pamiętam Tarnów. Mieliliśmy tam bobowską synagogę. Była piękna. Tam się modliło dużo Żydów. Tarnów, to było pobożne miasto. Oczywiście nie pamiętam, gdzie to było, ale jakbym był w Tarnowie, to pewnie bym trafił na to miejsce. Ale przecież tam nic nie ma, może jest plac, może stoją domy? Nie ma nic w Tarnowie, nie ma w Bobowej. Teraz tu jesteśmy.

Otoczający nas chasydzi nie spuszczaają oczu z jego twarzy, widać że bliskość mistrza jest dla nich wspaniałym przeżyciem, nic nie mówią, słuchają, choć w sam raz w tym gronie nie ma starszków rozumiejących polski. Potem Dawid powie mi: – Wszyscy wtedy zamarli. Cadyk rozmawiał z tobą, a nikt nie wiedział o czym mówicie. To było dla nas też wielkie zaskoczenie.

Chasydzi się niecierpliwia, Dawid jest uradowany, że doprowadził do tego spotkania, ale inni lekko napierają, dają znaki, że dość, że czas cadyka święty, że obiad szabasowy czeka.

88-letni cudotwórca, cadyk Salomon Halbersztam, praprawnuk Chaima Halbersztama, zwanego Diwrej Chaim, założyciela dynastii sądecko-bobowskiej, żegna się ze mną, ściskając mi rękę:

- Wszystkiego dobrego panu życzę, szczęśliwego pobytu w Ameryce i szczęśliwego powrotu do domu. *Gut szabes. Szalom.*

Wychodząc żałuję, że nie mogę zrobić zdjęcia cadyka. Dostaję je później od Dawida. Żałuję, że rozmowa tak była krótka, że nie byłem przygotowany na zadanie więcej pytań, że chasydzi tak zazdrośnie ochraniają swego mistrza przed zbyt długą rozmową. Ale przecież o co pytać cudotwórcę? Czy nie wystarczy te kilkanaście zdań, błogosławieństwo, okazana ze spotkania radość? I dowód, że bobowe rebe, to nie legenda, a żywy, jasniejący mądrością człowiek, wokół którego odrodził się dwór bobowski, że bobowscy chasydzi istnieją naprawdę, choć w Bobowej pozostała po nich pustka?

*

Moja pielgrzymka z galicyjskiej Bobowej do Bobowej amerykańskiej dobiegła końca. Wracając do domu nie przeczuwałem, że spotkanie z cadykiem, które wywarło na mnie tak ogromne wrażenie, również dla jego chasydów było zdarzeniem ważnym. Że moja krótka rozmowa z bobowe rebe stanie się wątkiem żyjącym samodzielnie, a waga tego spotkania rosnąć będzie z upływającym czasem.

Kilka miesięcy po powrocie z Brooklynu witałem Dawida ponownie w Tarnowie. Przedstawiając mnie nie znanym mi jeszcze członkom swej licznej rodziny, Dawid dodał: - Mister Bartosz będąc w Nowym Jorku rozmawiał z bobowe rebe. Rozmawiali bardzo długo i nikt ich nie rozumiał, bo rozmawiali po polsku.

Przed wyprawą do Galicji Dawid przez kilka miesięcy kompletował listę pielgrzymów. Nielatwo podróżować pobożnemu chasydowi. W instrukcji rozesłanej kilka tygodni przed odlotem, pielgrzymi mogli przeczytać: „Zabierzcie z sobą własną żywność. Zabierzcie niepsującą się żywność, jaką lubicie. Podaję na przykład...[...] Także papierowe tacki, kubki, serwetki. Weźcie ekspresy do kawy, pamiętając, że w Europie jest prąd na 220V. Nie bierzcie więcej, niż to niezbędne. Podróż z nadmiernym bagażem jest uciążliwa. Ogranicza mobilność przy wysiadaniu i kwaterowaniu się. Zabierzcie potrzebne medykamenty, w Europie nawet mając receptę trudno będzie je dostać. Pakując - myślcie. Tam nie da się stanąć i kupić tego co brakuje. Nie liczcie na innych. Zabierzcie świece, zapalki, nie zapomnijcie przepisać kwitach, które złożymy na grobach cadyków...”

Z lotniska Kennedy w Nowym Jorku polecą do Warszawy („proszę być na trzy godziny przed odlotem i nie zapomnieć ważnego paszportu”). Stąd, wynajętym autobusem, przez Lublin, Majdanek, Leżajsk, Sieniawę, Łańcut - do Tarnowa. Tarnów i okolice, to pierwszy, główny cel pielgrzymów. „Jak wszyscy wiecie, wzniosłym celem naszej pielgrzymki jest odsłonięcie ogrodzenia cmentarza w Pilźnie, które dzięki niestrudżonym wysiłkom naszych rodziców zostało ukończone, stojąc w pełnej chwale i będąc świadectwem pamięci dla wszystkich pokoleń” - pisał Dawid we wstępie do zaproszenia-instrukcji. Następne cele znajdują się na Słowacji, Węgrzech i w Siedmiogrodzie. W tym to kierunku rozwijał się, emanował ruch chasydzki, zrodzony w Galicji, na tych obszarach niegdysiejszej monarchii ułożyły się losy przodków Dawida i jego żony.

W środowy ranek, po noclegu w hotelu, ruszamy z Tarnowa na południe, do Bobowej. Po drodze, w autobusie Dawid opowiada o chasydach z Galicji, o cadykach, o przodkach bobowe rebe, o tym, co łączy dzisiejszych pielgrzymów z celem ich pielgrzymowania - Bobową. Od porannej modlitwy w starej, pustej synagodze pielgrzymi chcą zacząć dzień. Przez kilkadziesiąt powojennych lat, w modlitewnym wnętrzu kolejne roczniki okolicznej młodzieży uczyły się taktwa na rozłożonych tu szkolnych warsztatach. Od kilku lat szkoła się stąd



Adam Bartosz

B RACTWA NARODOWE
I RELIGIJNE

wyprowadziła, zostało puste, zaniedbane wnętrze. A w nim – to cud niemal – mało co uszkodzona dekoracja na ścianie wschodniej, gdzie wbudowana w ścianę szafa, aron hakodesz skrywała święte zwoje. Kolorowa, barokowo-ludowa ornamentyka obudowy arki pyszni się girlandami roślin, gron, pilastrami, zwieńczeniami. I nawet czarna dziura po wyrwanej ze ściany świętej szafie nie odbiera blasku ozdobnej płaszczyźnie. A wokół zimne, cuchnące ściany, wybulona posadzka, śmierdzący przedśionek.

Gromada młodzieży po wejściu do pustej sali rozgląda się z ciekawością, fotografują się na tle zdobnej ruiny, rozpytują o historię obiektu, pytają czy ktoś ma zamiar remontować, kto się synagogą opiekuje? Początkowo bez troski, a nawet swobodny nastrój powoli przemienia się w skupienie. Bo już mężczyźni gotują się do modlitwy. Z czcią nakładają na czoło filakterie, obwiązują rzemieniem lewe ramię, na którym mocują drugą puszkę filakterii. Głowy nakrywają tałesami. W pustej przestrzeni rozlega się głos modlitwy. Szlomo, syn Dawida intonuje modlitewną pieśń. Stoi tuż przy wschodniej ścianie, modlitewnik położył na kaloryferze, modląc kiwa się głęboko, podobnie jak pozostali. Inni wtórują mu, lub przechadzają się, zatopieni w indywidualnej modlitwie. Pod tylną ścianą skupiły się kobiety. Modlą się osobno. Te starsze, w perukach – nakryły głowy chustkami, a twarze skrywają w stronicach modlitewników. Dziewczeta także co czas jakiś zakrywają twarze rozłożoną książką, modląc się w skupieniu, z zamkniętymi oczami. Modlitwa, przerywana śpiewami, trwa blisko godzinę.

Kiedy potem idziemy drogą pośród pól, na odległy od centrum cmentarz, Dawid opowiada:

– Dla naszych dzieci to bardzo ważna pielgrzymka. One wiedzą, że nasze korzenie, początek naszej religii chasydskiej, znajduje się w Galicji, tu są groby słynnych cadyków, tu są groby naszych dziadków. Ta pielgrzymka pozwala im lepiej zrozumieć historię i religię. -

Wchodząc do ohelu, w którym ustawiono tablice nagrobne informujące, iż tu leżą Salomon i Natan – cadycy, przodkowie bobowe rebe, ich przywódcy duchowego na Brooklynie, uczestnicy pielgrzymki okazują wielkie wzruszenie. Stary rabin Josef Singer długo stoi oparty o macewę z imieniem Salomona syna Natana. Szepecie modlitwy. Kuzyn

Dawida, Steve Garrin – prawnik, z którym byłem tu po raz pierwszy przed 5 laty – pogrążył się w głębokiej modlitwie, schowany z tyłu kamiennej tablicy. Modlitwy w ohelu się przedłużają, młodzi błędzą więc między nagrobkami. Pochylają się, by odczytać zatarte litery, rozmawiają półgłosem, komentując odczytane teksty. Dawid zapala kolejną świeczkę i wyjmując kartki papieru zapisane ręcznie pismem hebrajskim:

– Przed odlotem odwiedziliśmy cadyka. Bobowe rebe dał nam kwitele – kartki z intencjami, abyśmy je złożyli na grobie jego dziadka i pradziadka. Jego żona ostatnio niedomaga, mam więc specjalne kartki w jej intencji.

Autor z Josefem Singerem, rabinem w gminie Brzeżańskiej na Manhattanie. Fot. D. Singer



Mam też prośby od innych ludzi z naszej rodziny, którzy nie mogli osobiście tu przybyć.

Jeszcze kilka minut modlitwy, przyłożenie czoła do kamiennej tablicy, parę pokłonów, zdjęcie i duchowo pokrzepieni pielgrzymi zwołując młodzież rozproszoną pośród macew ruszają w dół zbocza.

Popołudniem docieramy do Nowego Sącza, na grób Chaima Halbersztama. Kolejne wzruszenie, modły, świeczki, kwitele. I krótki wykład Dawida dla pielgrzymów. Opowiada o Chaimie, o jego synach, wreszcie dochodzi do współczesności, do bobowe rebe z Brooklynu. I dodaje „A Mister Bartosz będąc w Nowym Jorku rozmawiał z bobowe rebe bardzo długo. Rozmawiali po polsku i nikt ich nie rozumiał. Kiedy później pytaliśmy rebego, o czym rozmawiali, ten uśmiechnął się i odrzekł: to nasz sekret! To było bardzo intrygujące!”.

Myszę sobie: czyżby to moje spotkanie z bobowskim rebem zaczęło funkcjonować w środowisku jego chasydów jako kolejna opowieść z życia cadyka? Opowieść, która została włączona do jakże licznych historii, zdarzeń, wątków, z których zbudowana jest atmosfera cudowności otaczająca Świątobliwego? Następne zdarzenia fakt ten zdają się potwierdzać.

Kolejny dzień przeznaczamy na Pilzno. Kiedy docieramy na odległy od miasteczka kirkut, stary rabin jest wyraźnie wzruszony i zachwycony. Widać ogrodzony teren cmentarza, piękną bramę między białymi słupami i nową macewą z marmuru z imionami osób, które zostały zamordowane przez Niemców.

Rabi Singer przygląda się zamkniętej jeszcze bramie, kiwa głową z uznaniem. Na jednym ze słupów bramnych leży mosiężna tablica z tekstem hebrajskim, który sam ułożył i przesał mi faksem. Obok miała być druga, z polskim tłumaczeniem. Nie zamocowałem jej jednak, w ogóle nie dałem jej wykonać. Nie mogłem bowiem zgodzić się z fragmentem przysłanego z Ameryki tekstu, który mnie dotyczył. Rabi Singer wymienił mnie bowiem w tekście jako „Sprawiedliwego wśród narodów świata” (*chasidej umot ha-olam*) – do czego absolutnie się nie poczuwałem. Próbowałem źródła swoich oporów wyjaśnić rabinowi telefonicznie. Na nic się to zdało. Teraz stojąc przed furtką do cmentarza rabin powtarza: – zrób tak, jak napisałem, nie sprzeczasz się, to zostało uzgodnione z cadykiem, ja to dobrze przemyślałem. – Obiecuję więc zamówić tę drugą tablicę, choć nadal czuję zażenowanie na myśl, iż przy moim nazwisku umieszczony zostanie tak honorowy tytuł, na który – jestem o tym głęboko przekonany – zasługują tylko najbardziej szlachetni i mężni ludzie.

Rok temu, w skwarne południe, kółkami wytaczaliśmy pośród pola granice cmentarza, zatarte przez lata. Dziś dokona się tu aktu rekonsekracji. Rabin prosi sąsiadów, państwa Kaczków, o czosnek. Obrane ząbki czosnku są jednym z rekwizytów dzisiejszej ceremonii. Całą grupą ruszamy wzdłuż ogrodzenia. Na czele Dawid z modlitewnikiem. Jego ojciec prowadzony przez zięcia i wnuka co kilka kroków rzuca przez siatkę kawałek czosnku. Objaśnia mi:

– To święta ziemia. Ale przez te lata mogły tu zamieszkać złe duchy, ziemia została zbezczeszczona. Modlitwą i czosnkiem, obchodząc cmentarz siedem razy, odgonimy złe moce, przywrócimy tej ziemi świętość.

Z trudem udaje się nam obejść cmentarz wokół, bo utrudnia to obsiane sąsiednie pole, po części też bliskie zabudowania i gęste krzaki. Następny raz obchodzimy więc po wewnętrznej stronie ogrodzenia. Niespodziewany deszcz utrudnia i tę formę ceremonii. Ostatecznie więc kolejnie obejścia dopełni jeden z wybranych, brodząc pod parasolem po mokrej trawie. Pozostali skupią się wokół nowo wzniesionej macewy, by odprawić odpowiednie modły.



Adam Bartosz

B RACTWA NARODOWE
I RELIGIJNE

Podaje Dawidowi róg barani, który dał mi wcześniej na przechowanie. Po krótkiej modlitwie ujmuję on róg i gra na cztery strony świata. Poznaje, że to ten sam motyw, który odgrywa się w synagodze w Śądny Dzień. Teraz jednoręki inwalida, Zvi, intonuje wzruszającą pieśń – *el malea rachamim*; niektórzy płaczą, on sam po chwili przerywa, bo płacz nie pozwala mu kontynuować. Śpiewają Dawid i Steven, na koniec – słabym, starym głosem – śpiewa rabin Józef, którego rodzice zostali zamordowani na tej ziemi, a których pamięć utrwalić kazał w symbolicznym kamieniu-nagrobku.

Teraz na cmentarz mogą wejść także kobiety, które dotąd stały poza ogrodzeniem. Modlą się stojąc z tyłu, za mężczyznami, jak w synagodze. Niebawem kończą się modlitwy, a Dawid rozlewa wszystkim po kieliszku wódki („Kup tylko leżającą koszerną” – prosił przez telefon). Pijemy za pomyślność – *lechaim!*

Nadchodzi wieczór, więc czas na wieczorną modlitwę – Mincha. Trwa krótko, modlący zwracają się w stronę Jeruzolimy. Kolejny dzień pielgrzymki dobiega końca.

Stary rabin jest zmęczony, niedawno dopiero ustąpił mu paraliż jednej strony ciała, jego żona zaledwie kilka dni temu zdjęła gips ze złamanej ręki. Mimo to są szczęśliwi, iż nie ulegli namowom, by zrezygnować z podróży, radują się, iż ujrzeli cmentarz w stanie zadbanym. Spełnili jedno z ważnych przykazań, jakie im nakazuje religia. Dziękują sąsiadom cmentarza i wszystkim, którzy w dziele jego uporządkowania dopomogli.

Kiedy się rozstajemy, rabin Singer przypomina – nie zapomnij o tablicy na bramie cmentarza. To moja wola, to dla nas ważne.

Dawid rozdaje przygotowane przeze mnie klucze od kłódki tym, którzy finansowali remont cmentarza. Zawieszają przy nich przywieszone z Ameryki tabliczki z nazwą Pilzno. Zabiorą te klucze z sobą do amerykańskiej Bobowej. To będą ich znaki własności, łączności ze skrawkiem ziemi, o który zadbali po pięćdziesiątych latach.

*

W kilka tygodni po tym rozstaniu witam na warszawskim lotnisku córkę Magdę, która wróciła po trzech miesiącach z Nowego Jorku. Zaraz na wstępie opowiada: – Tato, byłam na weselu Rywki, córki Dawida. Widziałam cadyka. A każdy spotkany w Boro Park chasyd, jak tylko usłyszał, że jestem z Tarnowa, to opowiadał: twój ojciec rozmawiał z bobowe rebe. To była długa rozmowa. I nikt nie wie do dziś o czym rozmawiali. Bobowe rebe mówi, że to tajemnica! – I dodaje: Dawid i rabin Singer prosili, by ci przekazać, iż byli u cadyka jeszcze raz radzić się w sprawie napisu na bramie, do którego miałeś zastrzeżenia. Powoływali się na twoją długą rozmowę z bobowe rebe i jego decyzję, iż treść napisu powinna pozostać taką, jak to rabin Singer przekazał. Prosilibyś potraktował to, jako wolę rebeego z Bobowej.

Dawid zapewne odwiedzi Galicję ponownie, pojedziemy znowu na cmentarz pilzneński. Powinienem więc spełnić wolę bobowskiego cadyka.

Opowieść starego rabina Halbersztama



– Ilu jest teraz Żydów w Tarnowie? – pyta mnie rabin Chaim Halbersztam, który przyjechał z Nowego Jorku by załatwić sprawy związane z przejęciem spadku po zamordowanych krewniakach.

– Dziś właściwie nie ma tu już Żydów – odpowiadam. – Wymarli. Ostatni, Abraham Ladner, zmarł przed kilkoma miesiącami.

– No, ale może są tacy, co to się nie chcą przyznać, że są Żydami.

– Proszę pana, znam oczywiście takich ludzi, którzy są pochodzenia żydowskiego, ale ani się z tym nie eksponują, ani tego nie ukrywają. Mają pochodzenie żydowskie i tyle. Miara ich żydostwa jest pewnie fakt, że nie będą pochowani na żydowskim cmentarzu. Pod tym względem cmentarz żydowski w Tarnowie to zamknięty rozdział.

– Jak pan tak mówisz, to ja panu opowiem jeden story. Nie mów pan tak, że ten cmentarz, to jest już rozdział zamknięty. Nie mów pan, że tam już żaden Żyd nie będzie zawieszony. Posłuchaj pan ten story.

Rabin Halbersztam ma nieco ponad sześćdziesiątkę, siwa, długą brodę, nosi czarny kaszkiet i ciemny płaszcz. Choć pejsy założone poza uszy, mam przed sobą niewątpliwie pobożnego chasyda, spokrewnionego nawet z samym Chaimem Halbersztamem z Nowego Sącza. Na wszelki wypadek nie proponuję mu więc herbaty, by nie musiał odmawiać, obawiając się niekoszernego napoju. Przywykłem do wizyt pobożnych, którzy wolą nie tykać nie znanego im pożywienia.

– Posłuchaj pan – mówi rabin z tym akcentem, który tak egzotycznie brzmi, a w którym jest nieco z wiejskiej, galicyjskiej gwary, także z zaśpiewu amerykańskiego, jest trud wyszukiwania zapomnianych słów polskich, chęć wyrażania wszystkiego obrazowo. – Jak pan widzisz, jestem rabinem. Moja rodzina jest z Rzeszowa, tam też byli Halbersztamy. Znałeś pan Halbersztamów? Tak, wiem, nie znałeś pan. Aleś pan pisał w książce o Halbersztam Chaim i Szraga. Pan to wiesz. No to moja rodzina mieszkała w Rzeszowie. Teraz to ja przyjeżdżam

Od lewej: Salomon Halbersztam, rabin bobowski z Nowego Jorku, jego ojciec Ben Cion zamordowany w 1941 r. Fotografia z lat trzydziestych.



do Polski i do różnych miejsc. Często przyjeżdżam do Miasta. Tam raz przyszła do mnie jedna pani. Ona się mnie zapytała, żebym ja jej odpowiedział.

I opowiedziała mi swój story. Ona była młoda dziewczyna, jak była wojna. Ona chciała żyć. Nie była podobna na Żydówkę, to poszła do jednej farmy. Ona pracowała i jeden, może więcej chłopcy. I potem, może po wojnie, ona się ożeniła z jednym chłopakiem z farmy. I teraz ona się mnie pyta:

– Ja jestem już stara, może umrę niedługo. I co ja mam zrobić? Ja mam męża katolik, moje dzieci katolicy. Co ja mam powiedzieć dla moje dzieci? Jak ja umrę, ja chcę iść na żydowski cmentarz. Ale jak ja to powiem? Co powie mojego prist? Co powie mojego męża? Oni throw me out! To co ja mam zrobić?

– Ja jej mówię – Ty masz jakieś friends, ty napisz testament i daj takiej friend i powiedz, żeby ona to dała dla twojego męża, jak ty już nie będziesz żywa. Tak jej powiedziałem. Niech oni zrobią, co zechcą. Ty napiszesz, żeby cię zawieźli na żydowski cmentarz, oni to może zrobią, a może nie. To już nie będzie twoje rzecz. Ty możesz chcieć być położona po żydowsku, i ty masz prawo.

Rabin przystaje, myślę, że skończył, ale za chwilę opowieść jest kontynuowana.

– Pan wiesz, ja tu przyjeżdżam do Polski często. To ja biorę taxi, bo mam dużo sprawy do zrobienia. Ja nie biorę taxi na każdy raz. Ja biorę taxi na dwa dni, na cztery dni, to ten driver jest zadowolony. Ja potem znów przyjechałem do Miasta. Na station wziąłem taxi. Ja pamiętam dobrze nazwiska. A ten driver miał zapisane nazwisko. Takie nie całkiem zwykłe. To łatwo zapamiętać. To było samo nazwisko co ta pani. Ale ja nic nie mówię. My jedziemy jeden dzień. W drugi dzień on mówi: ja to jestem troszkę Żyd.

– Co to znaczy, że pan jesteś troszkę Żyd? – ja się pytam, ale wiem, co on mi powie. Ta pani już pewnie nie żyje. Tak pomyślałem.

To on mi mówi, że on chce mi opowiedzieć swój story. A ja wiem co on mi powie. I nic nie mówię. A on mi mówi: jak matka zmarła, to ojciec się zamknął w pokoju i płakał. Jak on, ten syn wszedł do pokoju, to ojciec mu pokazał ten testament. – Ja nie wiedziałem, że ona jest Żydówka – mówił i płakał. – To co oni zrobili? Oni zrobili w domu ten ceremonię, zawołali tego prist, sąsiadów, a potem powiedzieli, że matkę zabierają do innego miasta. I zawieźli ją do Miasteczka na żydowski cmentarz, żeby nikt nie wiedział.

Potem byłem znowu w Mieście i spotkałem ten driver i mówiłem do niego, że chciałbym dać pieniądze na ten cmentarz w Miasteczku. To on się bardzo ucieszył, mówił, że on też by chciał ten cmentarz ogrodzić, zrobić porządek. I on mi powiedział, że za dwa lata za matką ten jego ojciec też zmarł. Z żalu. A jak miał umrzeć, to powiedział synom, że on też jest Żyd. On nie chciał tego całe życie mówić, bo nie wiedział, że matka była Żydówka. A teraz, przed śmiercią, powiedział. I oni znowu zrobili ten ceremonię, zawołali prist, a potem go zawieźli do Miasteczka, na żydowski cmentarz.

– Pan myśli, że to nieprawda. Ja też tak myślałem, że on opowiada fantazje. Tak myślałem, że on tak mi mówi, bo ja jestem Żyd.

Ale teraz mieliśmy jechać na ten cmentarz. I pojechaliśmy tam, a ja byłem ciekawy, czy tam są te dwa groby. Ten cmentarz jest bardzo zniszczony, kamienie połamane, drzewa rosną. I proszę pana, tam były dwa groby, całkiem nowe! A ja się pytam, dlaczego nie ma na grobie kamienia i nazwiska. To on mi mówi – przecież ja nie wiem, jak mama się nazywała, ja nie wiem jak się ojciec nazywał. Ja ich nigdy nie spytałem, a może oni sami nie wiedzieli?

– Panie Bartosz, to nie była jego fantazja, on mówił prawdę. Nie mów pan, że na tarnowskim cmentarzu już nigdy nikogo nie położą do ziemi. Tego nikt nie wie.

P RACOWNIA MUZYKI
MACIEJA RYCHŁEGO



RYCHŁY
GARDZIENICE



MACIEJ RYCHŁY

– psycholog,
muzyk,

badacz archaicznych form
w kulturach tradycyjnych,

urodził się
27 sierpnia 1957 roku.

Współpracował
z Teatrem Gardzienice
oraz

z Teatrem Witkacego
w Zakopanem,

Teatrem Kana

w Szczecinie,

Teatrem „Lalka”

w Warszawie,

Teatrem Wierszalin

w Supraślu.

Lider

i współzałożyciel

zespołu

„Kwartet Jorgi”.

1. Maciej Rychły z macedońskim gajdarem Bożimem Filoczim
i jego żoną przed domem. Albania, wieś Klefçe.

2. Niedźwiednik, Bułgaria.

Gardzienickie metamorfozy

Moja praca i tęsknoty



Pracowałem z teatrem Włodzimierza Staniewskiego. Pracowałem nad muzyką do Apulejuszowych *Metamorfoz*. Pomnażałem szczerp muzyki Arche.

W Gardzienicach karmiłem go pasją aktorów.

Pławiłem w dreszczach olśnienia Staniewskiego.

Dobry był to czas.

Marianka, trudny orzech do zgryzienia

Jest w Gardzienicach Marianna Sadowska, aktorka piastująca w teatrze sztukę chóralnego śpiewu. Przyjechałem kiedyś do wioski Gardzienice w czas przedświąteczny. Prezenty, Boże Narodzenie, Święty Mikołaj. Przyjechałem z orzechami. Włoskimi. Bywają takie pod choinką.

Ach, przywozłeś greckie orzechy, stwierdziła Marianka. Nie! Tak! – powiedziałem. Włoskie orzechy przywozłem. U nas nazywają je greckimi.

Zatopieni w Słowiańszczyźnie lupaliśmy nasze egzotyczne orzechy. Orzechy, przybysze z dalekiego rozgrzanego południa. Chronione przed mrozem. Hodowane z powodzeniem. Łączył nas ich smak, dzie-

liło mniemanie o ich pochodzeniu. Włoskie? Greckie? Dzielilo nas też liczenie czasu, alfabet. Dla Marianki świętowanie miało się zacząć trochę później. Marianka jest Ukrainką.

Pomysł Włodzimierza Staniewskiego

Apulejuszowymi *Metamorfozami* Staniewski pasjonował się zawsze. Przed pracą nad spektaklem pojechał ze swoimi aktorami na wielotygodniową artystyczną łazęgę.

Bezarabia, Połtawszczyzna, Huculszczyzna, Polesie. Wlekła się wesoła ciżba, karmiąc tęsknotę bezkresu, łaknąc zapachu ziemi, pragnąc spotkań z ludźmi. Budowała się materia doświadczenia. Nieprzekazywalna poprzez pismo. Niepowtarzalna. Wypełniająca biografie wędrowców. Rodziła się opowieść.

Z tej materii, po transformacji, z tej tkanki żywej, bo pełnej przestrzeni i oddechu, tworzyć miał Staniewski Apulejuszowe opowieści.

Hymny Delfickie

Delfy. Centrum świata. Pępek ziemi. Tam po wieszczbę pytyjską, jak do miodu, garną się najświatlejsze umysły. By poznać przyszłość.

Na kamieniach wryli hymny. Zapis muzyki sprawdzał się od setek lat. Utrwalał doświadczenie

pokoleń. Był zdobyczą Grecji. I oto dziś siedzimy nad tymi kamieniami, przybyszami z dalekiego południa. Próbujemy je rozgryźć. Greckołacińskie słoneczne dziedzictwo zatopione w gardzienickich błotach Słowiańszczyzny. Jak przywołać helleńską jasność, ton, stopę, rytm? Jak oddychać napowietrznie, muzycznie? Ile w tych zapisach-okruchach słońca Helady?

Poszukiwanie utraczonego

Kiedy posąg Wenus ma utraczone ręce i ani krzty pstrokatej polichromii na sobie, możemy być spokojni. Czas zerwał szminkowaną pozłotkę, odrzucił pretensjonalny gest, odstające członki. Czas uczestniczył w budowaniu naszej wizji Geniuszu antyku. Kiedy w tak okaleczonej rzeźbie ktoś szuka piękna, to ma to szukanie ręce i nogi! Ta rzeźba ma bowiem logikę kształtu. Uszkodzenia wszak nie do końca są przypadkowe.

A jak jest z muzyką? Muzyką zapisaną na kamieniach, papirusach? Kamienie też są obtłuczone, papirusy podziurawione. Bezrozumne i bezkształtne to uszkodzenia. „Nie wiedzą” nic o formie muzycznej. Naskórkowy, nie rzeźbiarski jest zapis muzyki.

Jak uzupełnić śmiało rozpoczęty gest muzyczny, przebiec przez ocalony ślad linii muzycznej w środku i zanurzyć się w szczęśliwie ocalałym, końcowym fragmencie pieśni?

Czy zapisy utrwaliły praktykę wykonawczą, czy też są esencją muzyki, realizowaną zawsze inaczej, ogrywaną, prześpiewywaną na wiele znanych wykonawcom sposobów?

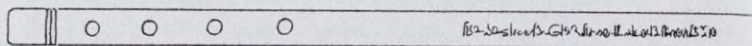
Czy przetworzone przez czas żyją wciąż takie pieśni po współczesność, gdzieś na ziemi zapomnianej przez Boga i ludzi?

Tęsknoty

Tomasza Rodowicza

Zacząła się praca. Praca nad tekstem.

Stratford. Międzynarodowa ekipa królewskiego teatru. *Metamorfozy* wewnątrz *Złotego Osta* i Howard Brenton tworzący współczesną angielską wersję apulejusowego tekstu. „Inne miejsce”, w którym możliwe jest badanie gramatyki ciała, rytmu. Synestezja. W codziennej, wielogodzinnej pracy na scenie alternatywnej tworzyła się angielska śpiewogra. *You did, I didn't, you did. I didn't.*



You did – mówiły bębny. Budziły ciało.

Był styczeń 1995 roku. Staniewski wprowadził archaiczne instrumenty. Grecką jarzmową lirę, celtyckie harfy, afrykańskie ksylofony, monochord Baulów, brzękadła, dzwony. Woziliśmy wyobraźnię Bretona styliczną rytmiką antyku. Dzień w dzień pulsował rytm, paliły się kadzidła i świece. Howard Breton pisał, ssąc archaiczne światło i sycąc się antycznym pulsem... Pisał i czytał na głos, pisał i pragnął pieśni.

W tych dniach, po wyczerpujących próbach, siadaliśmy z Tomkiem Rodowiczem marząc o ciszy, mimo to usiłując przesłuchać zrekonstruowaną muzykę antycznej Gracji, którą przywiozłem do Anglii. Nigdy nam się to nie udało. Zасыпалиśmy. Przyznaję... Rekonstrukcje te udościąpił mi Jan Stęszewski, szef Zakładu Muzykologii w Poznaniu. Służyły tam do prezentacji tekstów Sycylijczyka, Paola Emilia Carapezzy i Curta Sachs'a.

Wyrowadzeni z głębokiej drzemki zawstyżeniem, przyrzekliśmy sobie, że jutro zbadamy, przesłuchamy, rozważymy. Tak w kółko. A jednak próba muzycznego wywiedzenia meta-

morfoz ze strzępów ocalałych papirusów, okruchów kamieni nie dawała spokoju. Jeśli znalazła swą ostateczną, gardzienicką formę, to właśnie dzięki pierwotnemu wsparciu i entuzjazmowi Tomka Rodowicza. Po powrocie do Polski dosłownie przeczesywałem biblioteki. Książka Martina Westa *Ancient Greek Music* (Oxford 1992) zjawiała się jak znak. Była dla nas światłem antyku, biblią neofity. West zmienił tok pracy teatru Gardzienice.

Flet z epoki ptolemejskiej

Londyn.

Pobiegłem do Muzeum Brytyjskiego. Dział Starożytnego Egiptu.

Flety! Nieszkodzone. Z epoki Ptolemeusza.

Jak poznać system dźwiękowy, z którego budowano muzykę w przeszłości? Jak poznać realne wysokości, wibracje dźwięku?

Myszę, że poprzez wykopaliskowe flety.

Wykonane z trwałego materiału, nieszkodzone, zachowują wszystkie parametry potrzebne do wyartykułowania dźwięku. Skala muzyczna w flecie zyskuje ekwiwalent geometrii, jest wpisana w konstrukcję instrumentu, jest cechą jego budowy. To powietrze drga we flecie kształtowane ręką odległego konstruktora.

Niewiarygodne. W British Museum są instrumenty, poprzez które będę mógł smakować realne brzmienie antyku!

Przywiozłem dokładną dokumentację.

W Polsce zbudowałem grające repliki.

Słuchałem ćwiercotonowych „odstojeń”.

Zastanawiałem się, czy

brzmienie to określi rozpoczętą pracę z Gardzienicami.

Pod koniec lata 1995 roku zdecydowałem się jeszcze na „mały wyskok”: Bułgaria, Macedonia, Albania. Tam na krańcach ziemi zaginionego antycznego świata chciałem szukać antyku żywego, w wędrowaniu wypełnić intuicję Limanowskiego, który w 1937 roku pisał: „W górach bułgarskich znajdziesz szczytki, kawaleczki, okruchy dionizyjskich procesji, które dzięki temu, że mają formę, jak kwiaty przetrwały. (...) Cieszyć się będziesz, gdy rozpoznasz tę florę i w wyobraźni swojej wskrzesisz świat tracki i grecki. Rozsypany się wielkie procesje, zostały kwiatuszki. (...) Ten jakiś kwiateczek pozostał w Bułgarii, taniec w długich, kroczących rzędach, z przodownikiem, który grupy prowadzi i na przedtopowych instrumentach podaje, jak dyrygent w śpiewie, parę tonów, które mają demoniczną własność zbudzenia w człowieku z powrotem życia, które było parę tysięcy lat temu. Ten flet, ta piszczałka, ta kobza, głos ptaków, świat węża, satyrowa zaczepka kozła, te dzierlatki, ta cała wieś męska, krocząca z tyłu, aby się babom nic nie stało, w formie strofek długi pochód, coż to za obraz niezapomniany? Może tam kiedy boga Dionizosa wzywano, nakładając sierść kozła?

Poklonić się możemy formom”.

W sierpniu, wrześniu 1995 wędrowka po Albanii była już możliwa, bezpieczna. Już i jeszcze. Zmieściłem się w szczelinie czasu, który pozwalał obcemu wejść w doliny, przekroczyć bronione niegdyś niedostępne przełęcz. Byłem w wioskach, w których najstarsi mieszkańcy nie pamiętali przyjazdu nieznanego przybysza. Strblewo, Klenie, Ostern i Vogel w paśmie Golobordia. Wyklęci w Albanii. Macedończycy. Twarze śpiewających, chmary rozradowanej dzieciarni, gajdar Bożim Filoczi, człowiek, który własnymi rękami podźwignął z ruin bizantyjską świątynię. Radujemy się

ze spotkania. A potem Cyganie z niedźwiedziami, barwni sztukmi-strze gościńca z pięknymi kobietami i dzikim zwierzem na usługach, cygańskie wesele, na którym trzeba tańczyć, śpiewać i płacić, ale tylko pannie młodej, bo przez jej ród jesteśmy zaproszeni. Dalsze wędrowanie.

Trudna sztuka przeżycia. Gawiedź szmuglująca na granicach, skorumpowani pogranicznicy, Serbia i ponury obszar wojny, naloty nad niedalekim Goražde i setki kilometrów pustki na autostradach. Układa się to wędrowanie w samoorganizującą się formę, ale czy zasiła nasze poszukiwanie antyku? Co zostaje z wędrowki? Czy tylko to, co w międzyczasie? Wysoki brzeg świętego Jeziora Ochrydzkiego, kryształiczna woda i powietrze, odgarnianie wodnego żwiru w poszukiwaniu zatopionej mozaiki rodem z antyku? Po czym stąpamy? Co ukryte tuż pod powierzchnią? Co tuż pod stopą?

Z Albanii, Macedonii, Bułgarii, oprócz wspomnienia, spotkań z muzykami, rebeliantami, śpiewakami, przemytnikami przywożem też poczucie, że oto obchodzi mnie bardzo ten świat. Świat ognia, skwierczącej oliwy, zwierzęcych rozmów, zwierzeń.

Egipt

„Tylko tam w Egipcie widać coś, co matką było wszystkiego, gdy uczestnicy pochodu na siebie brali kształty zwierzęce. Chodziło o to, aby zmusić Boga rozrodczości, przegonić suszę, z nią choroby, które padały na bydło i doprowadzić przez zbiorowe zaklęcie, aby wróciła zielen, świeża woda i to, co jest w człowieku zdrowym szczytem: śmiech. (...)”.

Niez mordowany i uparty jak ten, którego rolę miał zagrać w *Metamorfozach* był Tomasz Rodowicz w dążeniu, aby Gardzienice znalazły się w Egipcie.

Tomek znalazł sponsorów, wykazując rzadko spotykaną u artysty rzetelność w operowaniu naziami-



Maciej Rychby

P RACOWNIA MUZYCZNA

Na flecie nieznaną ręką wyryla inskrypcję:

„The (divine) Nubian one and the gods of the resting place of the ibis give life to Thoteus son of Nekh-tomonth.”

A więc gram na replice fletu Thoteusa, syna Nekhmontha? Czy takie jest brzmienie świętego instrumentu czcicieli Ibsa? Kto komu daje życie?

Drga powietrze. Kształcone ręką odległego twórcy.

1992-2005 | Kłopoty z... | 13.10.2013 | 15.10.2013

nymi konkretami. Myślę, że chroniła go dobra muza.

Dziękujemy Tobie Muzo!

Kiedy aktorom gardzienickich łęgów majaczyły pustynne mirażę, Staniewski gorączkowo pracował nad *Metamorfozami*. Temat pulsował rozwichrzoną metryką dytyrambu, ożywał melos, smak antycznej skali. Włodek czuły był na zawołania. *Eoi Bakchai! Ije Pan!* O! To! To! To! mieszały się tryby. Stopy szukały podziemnego rytmu i rytu antycznej mozaiki. Tuż pod powierzchnią.

Piasek pustyni i nieujarzmione emocje egipskie.

Egipt witał nas klaksonami Kairu, pulsującym życiem arterii od Tahriru poprzez Khan el Khalili aż po wzgórze Mukkatanu. Wsadzaliśmy nos w nie swoje sprawy.

Odwiedzaliśmy getta koptyjskich garnarzy, w asyście dobrych przewodników, potomków Ormian, płynęliśmy łodziami na kairskie wyspy Nilu, koczowaliśmy na pustyni, bywaliśmy tam, gdzie mulek, zykr, zar, gdzie efrity wypędza Szejk Ahmed. Wirujący derwisz i muzyca rewolucyjnej orkiestry Sulimana Gamila odsłaniali nam szczytę tajemnicy na zaaranżowanej sesji. Tam budził się rytm dionizyjski aż do utraty apollońskich cugli europejskiego rozsądku. A potem, perlił się do lez, spazm dobyt, nieujarzmiony śmiech.

Nierozumni i zachwyceni przemierzaliśmy pustynię w asyście uzbrojonych żołnierzy po to, by widzieć na horyzoncie cudne tafle nieistniejących jezior.

Droga do oazy Fajum. Jękośpiwy wielkich, drewnianych kół, realną już wodę, wodę Nilu toczące na pustynię, by tchnąć tam życie. Z wirującymi, śpiewającymi kołami śpiewała Katrin Forsmo, płowa szamanka północy, pieśń ducha wody.

Woda ważniejsza niż miłość. To miłość pragniesz. Pragnienie, nie głód, jest pierwsze. Wody pragniesz. Woda to życie – mówił mi Mohamed Abdel Fatah, egipski duch opiekuńczy, człowiek pracujący z teatrem w Kairze, pomagający w egipskich eskapadach Gardzienic.

Gliniane, klepsydrowe bębny pulsowały styczyną rytmiką a my z ich pulsem śpiewaliśmy pieśni północnoafrykańskiej, apulejuszowej opowieści. Wpisywały się w pustynię, gonili mirażę, plusk wody na tafli nieistniejącego jeziora. Pragnienie.

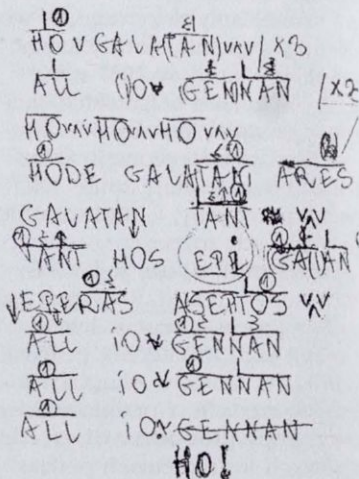
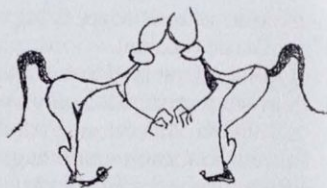
Wzburzona była egipska widownia. Wzburzona temperatura niebezpieczna dla zdrowia. Nieprzewidywalne są dla nas reakcje Egipcjan.

Opuszczaliśmy Kair z mocną chęcią rychłego powrotu. Ożywia ona po dziś, drażni i rozrusza tęsknotę. W tej temperaturze, podczas mroźnej zimy 1997 roku Staniewski z aktorami komponował dalej metamorficzną opowieść. Twórcza, znojna praca w srogi czas, śmieją się dzisiaj na wspomnienie zespołowego bólu.

Enharmonia, ćwierćtony i niepokoje Staniewskiego

Zakłada się, że grecka enharmonia polegała na wpisaniu wielkiej tercji oraz dwóch ćwierćtonów w tetrachord, a więc w odległość kwarty. Żeby wypełnić dźwiękami przestrzeń oktawy należało połączyć dwa tetrachordy. Tak powstawały siedmiostopniowe skale muzyczne. W systemie dźwięków enharmonicznych znajdowały się ćwierćtony – wysokości, których nie znajdziesz na klawiaturze współczesnych instrumentów.

Enharmonia i jej możliwości brzmieniowe niepokoiły Staniewskiego. Włodek miał przeżycie, że interferencje między ćwierćtonami mogą mieć magi-



czny wpływ na ciało, że poprzez enharmonię dosięgniemy prawdy utrwalonej w papirusach, wyrytej na kamieniach.

Z uważnego, subtelnego słyszenia barwy jednego tylko dźwięku powstała myśl pitagorejska. Uważne słuchanie barwy doprowadzi do odkrycia przedustanowionego porządku.

„Tylko” teoretyczne osiągnięcia filozofów miały z pewnością wpływ na realne brzmienie muzyki antyku.

Jak wykonywać tę muzykę dziś, w świecie ztyranizowanym sztucznym porządkiem temperowanej gamy fortepianowej? Dla jakiego słuchacza śpiewać? Jakiego odkryć w sobie? Jakimi sztucznymi znakami porozumieć można się z odbiorcami? Czy za wszelką cenę starać się uzyskać subtelności antycznego słyszenia? Jak to zrobić? Czy wtedy, już po usłyszeniu przedustanowionego, subtelnego porządku, temperowane dźwięki współczesności nie wydadzą się fałszem?

A przecież do percepcji słuchacza apeluje muzyk, kiedy gra. Czyż nie na wiedzy o standardowym słyszeniu, o słyszeniu obowiązującym, buduje się formę muzyczną? Jak daleko można posunąć się w eksperymentowaniu na sobie studiując historię?

Ile lat można czekać praktykując odzyskanie wartości: czekać na ostateczny cel – dźwięczną, żywą pieśń?

Pytania, pytania, więcej tu pytań niż odpowiedzi.

A przecież odpowiedź jest jedna – są nią pieśni w gardzienickich *Metamorfozach*. Zinterpretowane chromatycznie i diachtonicznie, zapisane są w „gardzienickich manuskryptach” stworzonych przez aktorów. Odkrycie tego indywidualnego świata notacji muzycznej sprawiło mi wiele radości. Jakże różne znaki graficzne przyjęła ta sama, dobrze mi znana brzmiąca forma. Sypią się dziś te aktorskie zeszyty umęczone troskliwymi dłońmi. Spełniły swoje zadanie. Kto wie, czy nie przyszpilonę moją uwagę, związaną z chęcią napisania Krzysztofowi Czyżewskiemu tego krótkiego, wspominarskiego tekstu, żyłyby jeszcze?

Każdy z aktorów zapisywał muzykę tak, jak potrzebował, każdy jednak powinien odczytać ją tak samo.

Grafika wynika z wrażliwości, podpira pamięć. Jest przekleństwem, kiedy staje się niezbędna.

Na żywioł wrażliwości puściłem sprawę notacji.

Kiedy przyjeżdżałem do wioski „na pracę” z kolejnymi muzycznymi pomysłami, zawsze zaczynałem od rytmu. Pomysły były ulepione z ociałych strzępów muzyki przeszłości, lecz nigdy nikogo nie straszylem strzępem papirusu, okruczem kamienia, swoją pracą. Przekazywałem brzmienie. O tak! Wyśpiewałem aktorom całe *Metamorfozy* tak, jak umialem, a musiałem umieć to, co będą musieli umieć aktorzy/śpiewacy. W samotności eksperymentowałem. Muzycznie. Na sobie. Pa-

trzyłem, jak pracuje ta muzyka, jak ożywia ciało, podpatrywałem, jak daje się złapać i jaki gest sprzyja jej zapamiętaniu?

Miałem dylematy.

Jak nie użyć harmonii? To zawsze jest kuszący pomysł, bo muzykę natychmiast czyni soczystą.

Jak wprowadzić drugą linię melodyczną nie będącą kontrapunktem, nie układającą się w coś, co sugerowałoby ciąg akordowy, linię nie będącą też prostym burdonem?

Jak pracować z rytmem? Czy da się pracować bez napowietrznych, roztańczonych gestów? Jak umuzycznić ciszę?

W rytmiczacji ciszy, w bezgłośnych uderzeniach zbiorowej pulsacji, w anektowaniu międzyczasu, szukałem harmonicznym brzmień. Rozpulsowanie bezgłośnego uniesienia pozwalało zaczynać i kończyć zdania melosu wywiedzione z wiersza z organiczną łatwością. Wirowały harmonie. Przywoływały energię. Forma nabierała życia. System irygacyjny zaczął działać w kołowrocie pracy.

Wypełniała się przestrzeń wzajemności i zespalał zespół w gorącej pulsacji Arche.

Międzczas

Pomiędzy epokami, pomiędzy porami roku i dniem, i nocą, w przedstawieniach między pieśniami, kryje się międzczas. Coś, co już nie jest „tym”, a jeszcze nie jest „tamtym”. Linia brzegu, na której ścierają się żywioły.

To właśnie w tej szczelinie międzyczasu, kiedy słuchacze odprężają uwagę, muzycy przegrywają na instrumentach rzeczy, o których nigdy nie śniło się przytomnym.

Międzczas to minidionizja, nawet w skonwencjonalizowanej, filharmonicznej rzeczywistości. Ach! Te przegrywki, ta cudowna kakaofonia indywidualnych popisów utkana z właściwej muzykom pasji upajania się dźwiękiem. Nieobliczalnym. Owe minidionizja profesjonalistów stały się dla mnie znakiem,



Maciej Rychły

P RACOWNIA MUZYCZNA

że oto jestem w filharmonii.
Lecz stop. Za chwilę zaczniesz się opus.

Do dzieła!

OPUS

XXX

Lecz ty, co świeżo stworzoną

Mużę,

*władczynię liry ze złota, wynosisz,
Przybądź mym hymnom pomocny,
Ié-je Paian!*

*Bo szlachetny, długowieczny
Wielki Sparty przywódca
– Lud pełen młodości kwiatów–
Rozpala mnie i przeraża,
I będzie gnębił palącą naganą
Za to, że w nowych mych hymnach
Dawniejszą znieważam melodię.
Ja zaś nikogo – młodzieńca ni*

starca

*ni rówieśnika – nie trzymam
Z dala od tych oto hymnów,
lecz skazicieli dawnych melodii
– O tak! – wykluczam, tym
bronię dostępu,
Znieważycielom śpiewanych*

pieśni,

*Co głos naprężają w donośnych
okrzykach
Godnych publicznych heroldów.
Orfeusz pieruszą lirę stworzył,
mistrz tonów różnorodnych
Syn muzy Kaliope,
co z Pietrii się wywodzi.*

Timotheus: *Persowie*,
wersy 185-207

Przełożył Jerzy Danielewicz

Melos Antyku

pojawił się w Gardzienicach wraz z czwartym fragmentem *Drugiego Hymnu delfickiego*, zaczynającym się od słów: „melipnoon de Libys audan cheon”. Wraz z muzyką wkroczyliśmy w świat pentagramu. Hymny pochodzące ze 127 roku „przed naszą erą”, czy raczej przed Chrystusem, skomponowane zostały przez Ateneusza i Limeniusza. Wyrzyto je na kamiennych ścianach skarbcza ateńskiego w Del-

fach. W przytulku muzealnym w Eleuzis czarne figury Amazonek malowane na wazach grają na trąbach.

Do instrumentów wypowiada ją magiczną formułę pentagramu TOTE TOTOTE.

Hymny Delfickie również na niej bazują.

Gardzienice

Ręce aktorów odkrywają pięciopalczość i organiczność budowy muzyki sprzed dwóch tysięcy lat.

Dłonie łapią puls pięciomiaru bębniąc w ciężki blat stołu, przy którym przywoływana jest pieśń.

Chropawo i megalitycznie jest! Do dzisiaj słyszą w tej muzyce gardłowy śpiew, wbrew tekstowi wychwalającemu miodową słodycz śpiewającej piszczałki rodem z Libii.

„Melipnoon de Libys audan cheon”. (Limeniusz, fr. 4)

Gardzieniccy aktorzy.

Pamiętam ich, jak siedzą przy wielkim stole. Antycznie przemienieni. Wplątani w muzyczną intrygę.

Spolegliwy Mariusz Gołaj, wrażliwy na pulsowanie słowa; Ela Rojek ze swym genialnym, tajemnym głosem, sublimującym stany nieokreślonego, zdałoby się, lotu; rzetelna Joanna Holgreber, układająca mozaikę rytmu w przestrzeniach wyobraźni; pracowita Britta Forslund, namiętna w niuansach, dociekliwa do bólu; Katrin Forsmo – żywa symfonia metafizycznego dźwięku, Katrin Martin, galernik rytmu eksplodująca nieprzewidywalną energią, entuzjasta stanów ekstazy; Marcin Mrowca wylawiający pieśni z zimnej studni, łapiący pieśni do swego kajetu-kolekcji przy pomocy barwnych grafik.

A przy tym wszystkim Tomek Rodowicz, scalający grupę, rozu-

miejący od początku muzyczny cel, ku jakiemu akurat dążymy. Jak scalić taką różnorodność w jedną harmonię? Ależ to niemożliwe.

Jest wreszcie Marianna Sadowska, Marianna od greckich orzechów, której teraz mogę zdradzić, że odczuwałem ogromną ulgę, kiedy mogłem jej powierzyć pieśni, kiedy przejmowała odpowiedzialność za ich dalsze życie, kiedy piastowała tę grecką gałąź pełną dziwnych owoców.

Zaczęła się praca. Na całego. Tekst po tekście. Fragment po fragmencie. Czytanie *Hymnów Delfickich*.

„Febusie, chroń boskość Pallas Artemido, przybądź w nastroju łaski dla usłużnych muzyków Bachusa”. (Limeniusz, fr.10)

– Czulem dzisiaj dziwne ciarki.

– Dobrze.

– Dobrze? Cha! A co ty w zasadzie rekonstruujesz? – przekomarzał się któregoś razu Włodek.

Wpisuję brakujące fragmenty tekstu muzycznego – jakoś tak odpowiedziałem.

– No tak. A ile nut na przykład w dziesiątym fragmencie Limeniusza? Na jakiej zasadzie to robisz? Czytasz uważnie opracowania? Jakiej używasz skali muzycznej?

Włodek był dociekliwy aż do bólu. Ja spokojny.

– Ile nut? To trzeba policzyć.

Nuty liczyła Marianka, podczas gdy my rozmawialiśmy.

– Czterdzieści dziewięć zrekonstruowanych, sześćdziesiąt dwie ocalone z Limeniusza, ogłasza.

– Tak? To zaśpiewaj te ocalone

– prosi Włodek Mariankę.

– Jak zaśpiewać?

– Jak to „jaaak”? Limeniusza śpiewasz, a kiedy brakuje nut, rytmicznie czytasz tekst bez melodii.

Słuchamy. To, co się dzieje,

jest dość niezwykle. Marianka czyta w pięciomarze, potem zniemacka łapie strzęp melodii, potem znów recytuje, potem gdzieś wysoko uderza głosem kilka dźwięków, trochę śpiewa, trochę mówi, sama się tym bawi, trochę zaśmiewa robiąc miny, karcąc samą siebie, gdy przychodzi jej realizować niemuzyczne, trudne zadanie. Wreszcie łapie przedostatni dźwięk kadencji, ostatni z „ocalonych od Limeniusza” i kończy. Nowoczesność! Eksperyment! Pęknięte naczynie muzyki. Wszystko to budzi podziw dla sztuki Marianny Sadowskiej i refleksję nad losem kultury pisanej. W odbiorcy dzieje się dużo, ale na pewno nie tego chciał przed laty melopoios Limeniusz.

– To cudowne! Może by to wprowadzić! Pouczające to, prawda?

Zaraz, zaraz, a czy w tych bezdźwięcznych fragmentach słychać już jakąś melodię, którą proponuje Maciej?

I tak dalej, i tak dalej trwa spotkanie, a na nim nieustająca dociekliwość Staniewskiego, której można by życzyć innym muzykom współpracującym w teatrze z reżyserami.

'Εμοί γὰρ ἤρξε τῶν κακῶν Μελανπιπίδης
ἐν τοίοις πρώτοις, ὅς λαβὼν ἀνήκε με
χαλαρωτέρην τ' ἐποίησε χορδαῖς δώδεκα·
ἀλλ' οὖν ὁμως οὗτος μὲν ἦν ἀποχρῶν ἀνήρ
ἐμοίγε — — — πρὸς τὰ νῦν κακά.

Κινησίας δέ (μ') ὁ κατάρτατος Ἀτικὸς
ἐξαρμοσιῶν καμπὰς ποιῶν ἐν ταῖς στροφαῖς
ἀπολόλεχ' οὕτως, ὥστε τῆς ποιήσεως
τῶν διθυράμβων, καθάπερ ἐν ταῖς ἀσπίσιν,
ἀριστέρι' αὐτῷ φαίνεται τὰ δεξιᾶ'

Ἄλλ' οὖν ἂν εἰποις· οὗτος ἦν (ἀποχρῶν) ὁμως.
Φρῶνις δ' ἴδιον στρόβιλον ἐμβαλὼν τινα
καμπῶν με καὶ στρέφων διην διέφθορεν,
ἐν πενταχόρδοις δώδεξ ἄρμονίαις ἔχων·
ἀλλ' οὖν ἐμοίγε χούτος ἦν ἀποχρῶν ἀνήρ·
εἰ γὰρ τι καὶ ἤμαρτεν, αἴθις ἀνέλαβεν.
'Ο δὲ Τιμόθεος μ', ὡφιλτάτη, κατασφῶρυχε
καὶ διακέκταναι· αἰσίστα.

Ποῖος οὐτοσί

(δ) Τιμόθεος;

Μιλήσιός τις πωρεῖας·
κακά μοι παρέσθεν οὗτος· ἀπαντας οὓς λέγω
παρελήλυθεν ἄγων ἐκτραπέλους μωρημηκίας
κἂν ἐντύχη πού μοι βαδίζουση μόνη,
ἀπέλυσε κἀνέλυσε χορδαῖς δώδεκα.

MUZYKA

Był bowiem początkiem moich
niedoli Melanippides
ten z pierwszych, co zaczępiwszy
mnie, rozchełstał
i rozmięknął dwunastu swymi struny;
ale przecież był on człkiem
mającym wzgląd
na mnie w porównaniu
z nieszczęściami obecnymi.
Kinezjasz przekłety,
nieharmonijne i nagłe zmiany
w strofach robiąc,
tak mnie poharbił, że w koncepcji
melodii
melodramatów, niby wewnątrz
tarcz, lewe zda się prawym;
ale, rzekłbyś, iż nie mniej był ogledny.
Frynides własne wiry rozpętując,
gnąc mnie i skręcając, popsuł mnie
ze szczeniem,
używając w oktawach siedmiu
wszystkich dźwięków dwunastu;
ale także i ten miał na mnie wzgląd,
a jeśli nawet w czym pobłądził, to
i potem błąd naprawił.
Ale Tymoteusz, o najdroższa, rozorał
mnie
i zmaltretował najpodlej.

(fragment Chirona Ferekratesa, komediopisarza
attyckiego z V-IV w p.n.e., przełożył Antoni
Buchner)

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Kto to jest ten
Tymoteusz?

MUZYKA

Zmija!

a nieszczęścia, których mnie nabawił! Wszystkie, com je tu
opowiedziała,
przewyższyl, niewyznaczajnymi, wąskimi ścieżkami wędrując
i natrafiając na mnie, która szłam samotna,
rozpieścił mnie i unicestwił swymi dwunastu struny.

(Przełożył Antoni Buchner w: P.E. Carapezza: *Nouva Muzyka...*)

To wszystko przytrafiło się muzyce w antycznej Grecji po wojnach peloponeskich. Dwa i pół tysiąca lat temu! Zamachowcami okazali się dytyrambiści: Melanippides, Kinezjasz, Frynides, Tymoteusz z Miletu.



Maciej Rychby

P RACOWNIA MUZYCZNA

Dytyramby i Peany

Staniewski poszukiwał dytyrambu. Dytyrambu będącego owocem dionizyjskiego uniesienia.

Dytyrambiści byli szaleni, nieobliczalni, mieszały tryby, nie dbali o zapis, o jasne zasady. Upojnie czcili Dionizosa. Pisali dytyramby.

Inaczej postępowali czciciele Apollina – Boga Świata Słonecznego. Wprowadzili logikę, klarowną konstrukcję, jasność. Liczyli i wiedzieli jak ujawnić melos z naturalnej melodii wypowiedzanego wiersza.

Pisali peany.

Peany

Pisze Curt Sachs: „Wszelakiego rodzaju uroczystościom oficjalnym, procesjom, składaniu ofiar, misjom, które udawały się do wyroczni, towarzyszyły chóry (...) Przy jednej z takich uroczystości wystąpiło aż sześciuset śpiewaków. Takie właśnie chóry mogły wykonywać (...) *Hymny Delfickie*. (...) Śpiew chórally wniknął do życia prywatnego. Athenaios wspomina o chórze weselnym składającym się ze stu śpiewaków. (...) Jedną z form chórów weselnych był pean. Słowo „pean” oznacza „środek leczniczy”. Pierwotnie był to taniec, później stał się tańcem ku czci Apollina. (...) Jedyny zachowany przykład peanu pochodzi z II wieku naszej ery, jest to pierwszy fragment z Papirusu Berlińskiego, *Paian o paian*”.

Chciałoby się śpiewać taki jedyny zachowany pean – mocny, dla setek osób!

Niestety, zabytek jest niemiłosiernie uszkodzony. Żeby go dobrze uzupełnić trzeba go mocno związać, a brakujące miejsca dopełnić materią słów i dźwięków tak, żeby słuchacz nie dostrzegł bolesnego sztukowania. Żebyś wreszcie ty sam mógł o tym zapomnieć!

Pean nie jest wołaniem samotniczym w otwartej przestrzeni, z nasłuchiowaniem echa, które otwiera formę. W peanie wszystko jest zwarte, parzyste, równe. Pean to królestwo daktyli. Powiązałem linie melodyczne. Uzupełniłem zagubione fragmenty. Melodie uwzględniały rytmikę nieistniejących jeszcze słów. Słów nie było, ale dzięki logice apollińskiej, dzięki jasności konstrukcji peanu wiadomo było, ilu ich brakuje. Symetria rządzi tym klarownym światem. Grecy nazywali ten stan rytmicznej równowagi *Isa*.

Chciałoby się śpiewać taki jedyny zachowany pean.

Damian przysłał propozycję uzupełnień brakujących słów. Damian Kierek pomagał w pracy nad tekstami. Damian to pasjonat, znawca antycznej greki, człowiek związany z teatrami.

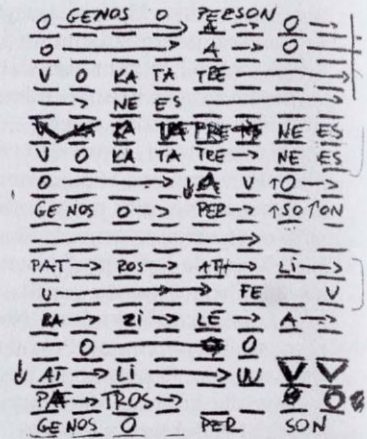
Podzieliłem pean na trzy części. Pierwsza ma rodzić się z masy dźwiękowej owej ciżby śpiewającej, o której pisze Sachs. Pierwsza, to setki śpiewających gardeł. Druga jest solistyczna. Ma być niewinna, plemienna, jasna i naga. Trzecia to „przewoływanie się” grup, ot takie:

– Zabiles strzałami Pytona
– Dla Ciebie Zeus zapala światło dnia
– Dla Ciebie Ziemia rodzi plony.
A na otwarcie ciżba śpiewa:
Peanie o Peanie
Bądź pozdrowiony władco prowadzący chóry.

Ty, który radujesz się nad sławnym Delos
I nad nurtami Ksantosu.

Rodzi się Pean. Teraz już „niewinni i nadzy” plemienni soliści mogą śpiewać:
Ty nad źródłem Helikonu
dobywasz najpiękniejszy dźwięk
prowadzisz hymny
ogniem wieńczysz
błyszczące kędziory długich
wtosów.

(Papirus Berliński 6870, 1-12)



Dytyramb

Ocalał sześciuwie Papirus Kairski (59533).

Zanotowano w nim nowoczesną muzykę sprzed dwóch i pół tysiąca lat. Jest ona dziełem dytyrambistów.

Fragment „koi tad’hetaron hiketin au...” przypisywany jest Kinezjaszowi.

Przypomnijmy, że to o Kinezjaszu pisze Ferekrates w *Chironie* iż poharbił on koncepcję melodii „nagle i nieharmonijne zmiany w strofach robiąc”.

Oto źródło. Okruch dionizyjskiego melosu. Urósł on w pracy Gardzienia poprzez przestrzeń *Persów* Tymoteusza z Miletu. To o Tymoteuszu z kolei pisze Ferekrates iż „wędrując niezwykle wąskimi ścieżkami” natrafił na muzykę i „rozpieścił dwunastoma struny”.

Tymoteusz wielkodusznie nie broni nam dostępu do swej rozpieszczonej muzyki. Orfeusz, syn Kaliope, też był „mistrzem tonów różnorodnych” oświadcza. Chętnie skorzystalibyśmy z zaproszenia Tymoteusza, jednak jego twórczość dotarła do nas odarta z owych różnorodnych tonów, z których był tak dumny. Melodia nowoczesnej muzyki zapisana na papirusie z Kairu złączona jest ze słowami. Wyrwane z kontekstu znaczą akurat

tyłe, by budzić żal i tęsknotę za utraconą bezpowrotnie całością. Jak zrekonstruować sensowną całość w tym świecie nieokiełznanej fantazji dytyrambu? Nieharmonijny Kinezjasz i mistrz rozpusty muzycznej. Tymoteusz wiedzieliby zapewne, co zrobić?

Dziś przytoczony fragment *Persów* Tymoteusza śpiewają w Gardzienicach na melodię wyrosłą z ducha kinezjańskiego okrucu. Śpiewają, ale tego nie usłyszysz w *Metamorfozach*. Nie cała wyśpiewana muzyka buduje dramaturgię spektaklu. Tak jest zawsze.

Mimo to „okolo spektaklowe” doświadczenia budują świat *Metamorfóz*. O ważniejszych będą jeszcze wspominał w tym tekście.

Dalsze poszukiwanie bakchiczności

Euoi Bakchai!

O instrumentalistach i ich pasji upajania się dźwiękami i własną sprawnością już pisałem. O! Cudowne przegrzywki, wprawki, ćwiczenia grane z upodobaniem przed i pomiędzy opusami. Tworzą one bakchiczną zaiste kakofonię. Z antycznego międzyczasu dotarły do nas właśnie takie ćwiczenia, przegrzywki, palcówki, przebiegi, pisane na kitarę/lirę. Dotarła więc do nas zapisana „jeszcze nie muzyka”. Międzyczas to minidionizja.

Czy to nie dziwne, że w tych ćwiczeniach usłyszałem wołanie

Euoi Bakchai?

Że z nich rozwijałem dytyrambiczny, pieśniarski zwiół gardzienickich *Metamorfóz*?

(Instrumental exercises, Anon. Bellerm. 97-104)

Muzyka instrumentalna

A przecież z antycznej sztuki gry na instrumentach muzycznych nie tylko ćwiczenia ocalały. Znalaziono też całe fragmenty utworów muzycznych. Znajdują się one w *Papirusie Berlińskim* (PB 13-15, 20-22)

Muzyka, która tu została zapisana uwiedzioną jest z równomiernego

pulsu daktyli. *Anapaistos*, *spondeios* organizują tu symetrię. Taki stan symetrycznego rytmu Grecy nazywali *Isa*. Fragment innego, dłuższego utworu zorganizowany jest inaczej – zawiera stopy peoniczne. *Paion diagyros*, *paion epibatatos* organizują ruch. Uwzględnienie tego jest niezbędne w próbach rekonstrukcji całości. Tę muzykę na instrumenty organizuje rytmika stycticzna. Słowo, choć nieobecne, nadaje kształty muzyce.

Także w *Papirusie z Oksyrynchos* (POxy 3705) zapisano muzykę bez słów.

Te motywy są wyraziste. Ta muzyka otwiera, pobudza, nie daje spokoju, „chodzi po głowie”, „wpada w ucho”. Co z tym zrobić, kiedy nie ma się autentycznych instrumentów muzycznych?

Przywołaliśmy melodię idiolektem. Jest to technika często stosowana przez Staniewskiego w pracy z aktorami. Z rysunkiem melodii łączyłem bezsensowne sylaby, które zjawiały się jak organiczna oczywistość. Umożliwiała to pierwsze impulsy muzycznego sensu. Z czasem te emocjonalne zawołania zostały zamienione na słowa rodem z Antyku. Pracował nad tym Damian Kierek.

Dziś słyszę, że słowa antyku bliskie są pierwotnym brzmieniem idiolektu. Z czasem wyparły go emocjonalne zawołania, słowa bliskie tamym bezsensownym brzmieniom, do których muzyczności zdążyliśmy się przyzwyczaić.

Tekst, który apeluje do sensów antycznej greki brzmi teraz tak:

Oj moi tou kokon

Ma tes theus ne Dije

Ajaj o moi emon noston ma Dija

Feu! O moj tjo tlemon nefon Dija,

co można przetłumaczyć jakoś tak:

O! Biada mi co za nieszczęście!

Na bogów, na Zeusa

W jakiej jestem rozpaczy (na Zeusa)

Biada! O ja nieszczęsny, w rozpaczy (na Zeusa).

Dalej jednak do dzisiaj pozostał idiolekt



Maciej Rychły

P RACOWNIA MUZYCZNA

„Tarra tantarra o po poj tarra,
Ijo o to to, to to toj”
Za co Zeusa – My późni wnu-
kowie Antyku – przepraszamy”.
(PB 20-22, muzyka peoniczna)
Oczywiście ta muzyka nie jest
w spektaklu. Śpiewamy ją sobie
a Muzom.

Przez krótki czas bawił nas
fragment „oślej muzyki zagubie-
nia”: „Tou de topou ti mne...
(POxy3705).

Też Sobie a Muzom śpiewany.
„Z jakiego regionu, z jakiej
pamię...? – pyta papirus.

Zachował się tylko ten urwa-
ny początek.

Czego? Skąd?

Dziwne.

Podobnie zachowywało się,
lecz nie bawiło, zjawisko muzy-
czne zapisane na papirusie prze-
chowywanym w Michigan.

„Haima kata chthonos apo...”,
„Krew a ziemi rozbr...”.

Kto tak stwierdza? Chór? Czy
to jest ostateczna kadencja?

Właśnie to „kadencyjne zjawis-
ko”, zapętlone dla potrzeb mu-
zycznej pracy, nabierało cech
minimal-artu.

Krew na ziemi.

Minimalart.

(Michigan papyrus 2958, l.23)

Orestes Eurypidesa

otworzył nową przestrzeń rytmu
i melodii.

Mrówcze korytarze chroma-
tyzmów, kontrapunkty, stukot
kciuków i lomotanie pięt,
a wszystko to łączyło się z rytmic-
nym kumkaniem wiosennym
gardzienickich żab.

Śpiew przez wyszczerzone
w uśmiechu zęby rodził tęsknoty
stepowe, tęsknoty nie na miej-
scu. W kontrapunkcie.

Pędziliśmy poza linię hory-
zontu.

Po światło.

A była to muzyka nierucho-
mego chóru.

Pierwszy stasimon z *Orestesa*.

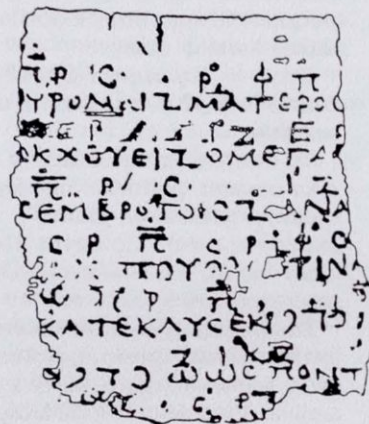
Stasimon. Niezwykle zjawisko
w antyku, kiedy normą były
chóry tańczące.

A tu?

Śpiewające głowy osadzone
na nieruchomym ciele.

Jakże tu nie tęsknić za stepo-
wym bezkresem.

(papirus Arcyksiążę Ranieri
338,44)



Zagrały żywioły

Przyszło zмагаć się z erynia-
mi. Nawoływać je z kamieni sy-
cylijskich jaskiń, z wirów wod-
nych i grzmotów z trąb powie-
trznych.

A ja zmagalem się z salatką
słowno-muzyczną papirusu
z Oksyrhynchos (POxy 3704).

Ten fragment jest niemilosier-
nie poszatowany przez czas.

Wybierałem słowa, przy któ-
rych zachowane dźwięki układa-
ły się w gesty muzyczne. Woła-
nia:

Erynie, erynie, przybywajcie.
Erynieeeee z sycylijskich jas-
kiń!!!

Tak też było z lamentami:

„FEu!

O to to! To to!

Ijo! Oj! Mo moj!”

(POxy 3161, fr. 3/verso)

Lamentacje, Nereidy, Nereus
(3161 recto).

Zimny i pełen wody jest Papi-
rus z Oksyrhynchos. To z nim

zagrał tekst Sofoklesa według
Ajasa, ułożony przez Damiana:
„wcześniej, gdy nawiedzały mnie
nocne lęki Ajas był moją osłoną
i tarczą przed pociskami (...) a
ten przebiegły człowiek o czar-
nym sercu śmieje się, a wraz
z nim obaj władcy Atrydzi (...) do
straszliwego boga idzie teraz
Ajas, kto mi będzie pociechą,
gdy nie żyje Ajas?”

Zimną mistyką powiało (POxy
1786)

– Rozgrzej to! – szeptał demo-
nicznie Staniewski.

Do dzisiaj nie potrafię tego
zrobić.

Będę próbował. Zimny jest
Papirus z Oksyrhynchos.

– Rytm, rytm rozgrzewa, tro-
chę piasku pustyni, pulsu!

Ta muzyka to stalowa tafla
zimnej, krystalicznej wody.

Rzeki do źródeł powrócą, kie-
dy spełni się jej przekaz:

„niech będzie cisza

Niech zgasną wszystkie
gwiazdy.

Niechaj zamrą wszystkie watry.

I wszystkie hałaśliwe rzeki...”

Sigato!

Niech się stanie Cisza.

Dźwięki tworzą strukturę bez
napieć, bez ognisk.

Jest to muzyka jednego centum
tonalnego.

Grecy o ethosie

Ethos rodzi się w muzyce
dwuogniskowej. Jest cechą dwu-
ogniskowych melodii.

Śpiewaliśmy Mesomedesa
Hymn do Słońca i dokonał on
życiową w płomieniach gardzie-
nickiego kominka. Jeżeli czegoś
na pewno nie żałuję w tej muzy-
cznej pracy, to właśnie tamtego
nakarmienia ognia hymnem sło-
necznym. Żywy ogień w Gar-
dzienicach to niemal zaratu-
striańskie źródło mocy. Wieczny
żar i trzask żagwi podczas śpie-
wu! A iluż ludzi patrzy w ogień
w międzyczasie. Ludzie i zwie-

rzęta patrzeć w ogień w Gardzienicach, gdy dzieje się coś ważnego.

Grecy o ethosie:

„Ethos jest cechą gorących melodii dwuogniskowych”.

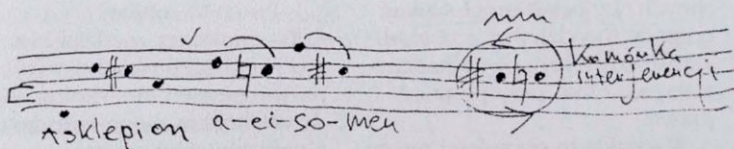
Dysonanse i fale mózgu

– Mam tutaj dowód na moją teorię: dysonanse leczą – mówi pewnego dnia Włodek i pokazuje mi doniesienia z jakiejś sesji naukowej poświęconej leczniczemu działaniu interferujących za sobą dźwięków.

Fale mózgu, podczas ataku migreny, kiedy transponujemy je na dźwięki muzyczne, interferują ze sobą pozostając w muzycznym dysonansie. Kiedy cierpiącego na migrenę pacjenta poddać terapii polegającej na słuchaniu własnych, dysonujących współbrzmień uzyskanych poprzez rejestrowanie pracy jego mózgu, migrena mija. Ważna jest tutaj równoczesność. Mózg cierpiącego sam indukuje i odbiera indukowane przez siebie wibracje.

– Muzyka lecznicza musiała być dysonansowa – stwierdza Staniewski. Antyk znalazł ciało!

Wieczorem czytamy inkantacje zapisane w *Epidauros (Hymn to Asclepius, SEG 30,390)*.



Przywoływanie Asklepiusza odbywa się poprzez tarcie małosekundowe: d. c. f. cis, powodującej interferencyjne dudnienie.

„Opiewajmy Asklepiosa, syna Koronis, potomka Apolla.

Opiewajmy zbawcę i uzdrowiciela dzierzącego węża”.

Asklēpión, Asklēpión äeisōmen.

Gardzienice były świadkiem Wtargnięcia Barbarzyńców, „Hode Galatan Ares”.

Pojawily się dyszące, gardłowe głosy, o których pisze nieoceniony Curt Sachs: „Przekazy rzymskie nie doceniają osiągnięć muzycznych krajów barbarzyńskich. Nie docenia ich nawet Tacyt (...) W swojej księdze *Germania* daje charakterystykę śpiewu bojowego, w którym – jak mówi – na skutek śpiewania przed tarczą narastało ochryple brzmienie, a harmonia walecznych serc odgrywała większą rolę niż harmonia głosów. (...)

Jeszcze w czasach Karola Wielkiego rzymscy śpiewacy kościelni protestowali przeciwko „zewierzconemu śpiewowi Franków, którzy niewykształconym, barbarzyńskim głosem dusili melodię w swych gardłach (*naturali voce barbarica frangentes in gutture voces*)”.

Czy wyobrażacie sobie jak śpiewają w Gardzienicach o wtargnięciu Gallów? Dyszą, charczą, grzmia!

Orfeusz ukrył się w lesistych ostępach Rodopów. W krainie bakhicznej słodczy.

Staniewski broni tej muzyce wstępu do spektaklu do dzisiaj.

O! Bakchou!

A jest w *Metamorfozach* pieśń ciżby – czeready bakhicznej:

„Attycka zgraja artystów

Sławi syna potężnego Zeusa

– O! Bakchusie!



Maciej Rychbý

P RACOWNIA MUZYCZNA

Dziękując za skały śniegiem pokryte
Mają one siłę
Z nich jawią się wyrocznie nieśmiertelności”.

(Limeniusz fr V, Ateneusz fr 4)

Attyka przywoływana jest megalicznie w kamiennym hymnie Ateneusza *Attis megalopolis Attis*:

O! słynna Attyko!

Wielkie miasto pogrążone

w modłach.

Na twych świętych ołtarzach

Hefajstos pali udźce młodych byków

*I dymy arabskich kadzidel
unoszą się w niebiosa.
Falując słodko smugi melodii
unoszą w niebiosa arabskie
kadzidło
W świat węża, gdzie migotliwe
tony aulosu.
O! Arabowie, którzy piastujecie
antyczne zdobycze.
O! Wy, którzy nie zapomnieliście,
czym jest melodia.
Dymem kadzidła przywołany
arabski świat
rozsadził apollinijską formę
zakletą w kamieniu.
Dymy otwierają przestrzenie
międzyczasu.
(Atheneaus: Pean, fr 2,3)
„O! Araps O! Araps”*

Pisze Curt Sachs:
„Wpływ teorii greckiej na muzykę muzułmańską bardziej przykuwa naszą uwagę niż jakikolwiek wpływ, który wywarli Grecy, ponieważ w przeciwieństwie do mieszkańców Zachodu, arabowie rozumieci i stosowali teorię klasyczną nie popełniając błędów, jakie popełniono na Zachodzie. Toteż wszelkie próby badania muzyki greckiej bez spojrzenia na praktykę i teorię muzyki muzułmańskiej są niepełne”.

Wyobraźnia historyczna

Zdominowany łacińską wizją Historii oddychałem pełną piersią przy gorącej, przestrzennej pracy z Gardzienicami. Dlaczego wspominać o przestrzeni, o powietrzu? Bo byłem jednym z tych, którym się wmawia, że muzyka europejska zaczyna się w mroku i to w mroku dziejów, mroku umysłu. Ja w to uwierzyłem: że z tego stanu zerowego mroku bierze początek muzyka, że taka jest jej historia w Europie: wyznaczana tekstami źródłowymi łacińskiej kultury. W tej wizji wszystko zaczyna się od monodii, od chóru gregoriańskiego. Tak mi wmawiano, ucząc mnie w szkołach.

Ktoś tak urobiony jak ja, trochę z niedowierzaniem słucha o antyku, w którym wypracowano precyzyjną notację muzyczną w oparciu o system dźwiękowy kitary/liry. Pamięta, co prawda o tym, że antyczną koncepcję rytmu do dzisiaj stosuje się w opisie budowy wiersza, ale trudem kojarzy rytmiczne brzmienie słów z rytmem muzycznym. W nauczaniu oddzielono w nim wszystko od wszystkiego, zatajono duchowociesne źródło kultury. W szkole dano szkołę. Nauczkę na całe życie. Do dziś znajdziesz tam zakonserwowane formy rodem z jezuickiej szkółki. Chłodem wieje. Dawnym wiekiem.

Podstawą jest tutaj wyparcie się ciała, unieruchomienie go. Najlepiej w rzędach niewygodnych ławek-boksów. Kiedyś dochodziła do tego dyscyplina. Tak nazywał się bat, którym chłostano nieokrzesanych. Często wisiał nad drzwiami. Na widoku. Dopiero moja generacja przestała być formatowana tym bitem dyscypliny, choć niejedni z nauczycieli zapominał się jeszcze. Lecz to echo grało, wprowadzono bowiem zakaz bicia w szkołach powszechnych. Dzieciak mógł szukać pomocy u rodziców, a ci mieli szansę zdyscyplinować nauczyciela, ale tylko przy pomocy prawa.

Wszystkie te opowieści mrozą krew w żyłach. Cóż. Wszystkie te zdarzenia mroziły ciała młodych ludzi. Sztwyne są dzisiaj. Już za życia. Na ziemi. Zimny i okrutny jest wychów zdyscyplinowanych sztywniaków z cenzurkami.

Kiedy zadziwi nas, że z antyku tak trudno zrozumieć to, co organiczne – choreję, roztańczołą śpiewogrę nie podzielonego ciała, któremu kultura daje formę, pamiętajmy o tych ponurych rzędach szkolnych ławek,

o unieruchomionych dzieciakach. Nieruchoma w swej istocie jest sama esencja łacińskiej kultury – a muzyka jest dla mnie esencją kultury – sekwencje chóru gregoriańskiego. Tu źródło jest nieruchome! O! Paradoksie! Muzyka zanurzona w przestrzeniach pogłosu, pozbawiona działającego na ciało rytmu, daje krystaliczną wizję struktury modalnej z jednym centrum, daje widzę przejrzystej, bezcielesnej idei. Tu ciało staje się majakiem.

Zimne źródła niczym zasłona, niczym krainy zniechęceń, zakrywają przed nami urok antyku, nie pozwalając przebić się przez rok zerowy w kierunku słońca Hellady.

Lubimy się czegoś trzymać. Trzymamy się raz zdobytej wiedzy. Uznajemy nieuchronność rozwoju. Przeważnie uznajemy, że kultura rozwija się od formy prostej do skomplikowanej. Dawna kultura była – to logiczne – prosta, a ponieważ jest odległa, dlatego musi być zimna, monochromatyczna. Nasza współczesna kultura jest wielobarwna, kolorowa, ciepła. Jest żywa. Lubimy się czegoś trzymać.

Jakie jest znaczenie wysiłków powrotu do/poza źródła?

– Po co to robicie?

To zamknięty rozdział historii – powiedział mi kiedyś w rozmowie pewien muzykolog, kiedy nie kryłem mego entuzjazmu z gardzienickiej pracy.

– Robimy teatr – spuściliśmy zasłonę.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, a teraz już wiem, że im coś starsze, tym bardziej martwe, „zamknięty rozdział”, a im bliższe, tym bardziej rozgrzewa, tym bardziej żywe. Ludzie traktują kulturę jak żyjącego wciąż potwora. Im starszy, tym więcej w nim śmierci. No tak, ale w czasach naszych praszczurów potwór był pełen wigoru, tworzył nowe formy.

A może ludzie myślą, że formy kultury się doskonalą?

Jest antyk z grubo ciosany, nie-rozumny jeszcze, nie-na miarę Człowieka? Wolne żarty. Idę dalej, będą tacy, którzy powiedzą, że brzmiąca, żywa muzyka antyku to tylko hipotezy, bo „tak naprawdę”, to ona brzmiała inaczej.

Ależ tak, to wszystko są hipotezy. Nawet wczorajszy dzień jest tylko hipotezą. Historią.

Tak oto otworzyła się przestrzeń rozmyślań o wyobraźni. Czymże ona jest? Poczuciem? A wyobraźnia historyczna? Poczuciem, że ja oto wiem, jak to było naprawdę, jakoś tam, niewiadomym zmysłem to czuję?

Wyobraźnia historyczna musi bazować na źródłach. Źródła wyznaczają punkty, (po których) pomiędzy którymi trzeba poprowadzić jakis ruch po to, by wyobraźnia historyczna nabrała biegu. W wyobraźni przemierzasz przestrzeń czasu które, gdy nie zagubisz ludzkiej perspektywy, nie powinny cię przerazić. Och tak! By myśleć historycznie, trzeba mieć wyobraźnię. Dokument, źródło, to ukłucie chwili, przyszpilenie motyla, promyk światła, okruczeństwo przeszłości, strzęp melodii Kinezasza zapisany dwa i pół tysiąca lat temu.

Wyobraźnia ma moc przywoływania życia dawnym zdarzeniom, tworzy przestrzeń, w której formy zyskują na czasie. Żyją.

Kod chromosomów

Z pracy Gardzienic z Królewskim Teatrem w Stratfordzie, z pieśniopisania Brentona, został dziś w spektaklu jeden ślad – *Ghost's song*. Howard zanotował przy tytule, w nawiasie: *To Arabic singing*. Dziś jest to jedyna muzyka w *Metamorfozach*, której nie wywiodłem z antyku.

GHOST'S SONG

(*To Arabic singing*)

*The long line of my life
that was tangled within
chromosome code of being
you are BROKEN*

*At last breath of my life
from the chrysalis corpse
spread the wings of a moth
death has WOKEN*

Ghost's Song

Handwritten musical score for "Ghost's Song". The score is written on a single staff with a key signature of one flat (Bb) and a common time signature (C). It includes various musical notations such as notes, rests, and dynamic markings. The lyrics are written below the staff, with some words in all caps. Performance markings include "Crescendo" (Cresc.), "Allegretto", "pauza!", and "V". The lyrics are: "You are Broken broken death has wo-ken", "the long line of my life that was tangled within", "chromosome code of be-ing", "you are broken", "At last breath of my life from the chrysalis corpse spread the wings", "of the moth", "death has wo-ken".



Maciej Rychby

P RACOWNIA MUZYCZNA

Muzyka – żywa forma antyku.

Nie dam się oszukać.

Antyk nie jest rozbitym naczyniem, piękniętym kodem niezdolnym wydać na świat formy żywej.

Rodzi życie wraz ze związaniem linii chromosomów.

Czyż muzyka nie jest pulsem życia?

Ile jeszcze zabytków kryje ziemia?

Piszę te słowa w 1998 roku i wiem, że to teraz opublikowano pięćdziesiąt jeden fragmentów różnych pieśni.

Podobno w Dionizopolis, czyli dzisiejszym Balczik w Bułgarii, odkry-

to trzy marmurowe tablice z wyrytymi słowami wraz z melodią. Są fragmentem nieznanego dramatu. Czekamy na opublikowanie tego źródła.

Czego jeszcze nie znamy?

Czego nie słyszeliśmy?

Co nowego w antyku?

Jak daleko tam, jak blisko?

Co nas jeszcze czeka?

Może czeka nas kolejna podróż

po bakchiczną muzykę?

Dionizopolis? Może czas znów

wyruszyć na południe?

Coda

„Chrysea phorminks Apollo-nos...”

Złota Liro Apollońska

Tobie posłuszna

Stopa, Rytm

Tobą wiedziony zaśpiew

dzwonny

Liro.

„Antykwarez Athanasius Kircher wielbił wszystko co egipskie. Zasadniczą rolę w jego filozofii odgrywała muzyka. Encyklopedię *Musurgia universalis* wydał w 1650 roku. Dociekając pierwszych przyczyn rzeczy, poświęca sporo miejsca spekulacjom na temat muzyki greckiej. Zamieszcza nawet coś, co – jak utrzymuje – jest transkrypcją melodii do jednej z ód Pindara, której oryginał odnalazł podobno w jakimś sycylijskim klasztorze. Jednak nikomu z późniejszych badaczy nie udało się nigdy dotrzeć do rękopisu melodii”.

(Jamie James, *Muzyka Sfer*)

„Utwór ten napisany w wyraźnie późniejszym stylu niż z czasów Pindara, jest prawdopodobnie nieautentyczny”.

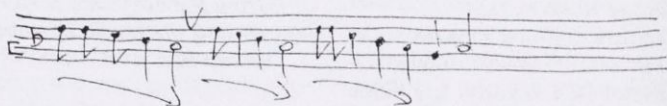
(Curt Sachs)

„Chrysea phorminks Apollo-nos”!!!

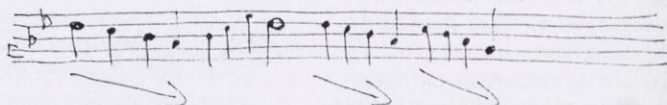
Archetyp zstępowania

Powiedziałby muzykolog, że we wszystkich tych melodiach występuje faworyzowanie okre-

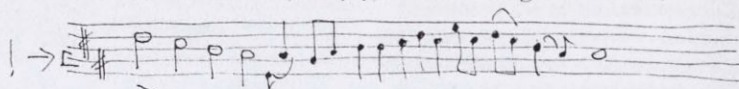
Muzyka do Pierwszej Ody Pytyjskiej Pindara (według Kirchera)



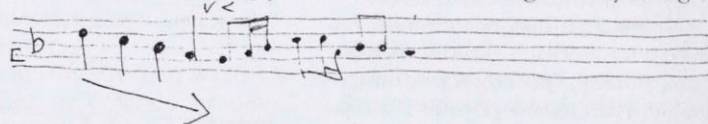
Dobry Jezu, a nasz Panie, daj mi wieczne spoczywanie



Incypit hymnu chrześcijan syryjskich (według Indelsohna)



Huculowie. Zwrot kończący dawne huculki (według Mierczyńskiego)



lonej, tetrachordalnej struktury i opartej na niej melodii wzorcowej o inicjalnym charakterze. BRRRRRR! Pomyślcie, że mogłem się starać tak pisać o całej naszej muzycznej pracy z Gardzienicami. Stop!

Staniewski poszukiwał hymnów metamorficznych. Eleuzyjskiej, misteryjnej, procesyjnej muzyki.

Moja współpraca polegała na proponowaniu jak najszerszego wachlarza możliwości muzycznego materiału do budowania dramaturgii spektaklu. Nie zdziwiłem się, że *Metamorfozy* otwiera i zamyka muzyka „nowoczesna”, że nią Staniewski otwiera i zamyka spektakl. Początek to chrześcijański hymn z drugiego wieku, zapisany jeszcze notacją starogrecką, a koniec to oda Pindara śpiewana na melodię, która najprawdopodobniej zjawiała się ekscentrykowi Athanasiusowi Kircherowi, członkowi Towarzystwa Jezusowego, który lubił dociekać „pierwszych przyczyn rzeczy”.

Athanasius uchwycił archetyp. Stałem się to pokazać, przywołu-

jąc kilka melodii z różnych tradycji.

Czy spektakl można było zakończyć polską melodią: „Dobry Jezu a nasz Panie”?

Czy melodią chrześcijan syryjskich?

A może formułą kończącą od wieków huculki?

Wszędzie tu znajdujemy ten sam zwrot, taką samą retorykę muzyczną.

Zimą 97 Włodek z Marianką „dokarmili” hymny.

Dobrze się teraz mają.

Nabrały ciała.

Dodane paralelizmy kwart i kwint pogrubily linię melodii. Czuje się tu troskliwe piastowanie. Niektóre z nichabrały miękkości. Łączą się oswojone jak wierne, domowe zwierzaki. Harmonizują nazbyt miękko jak na moje ucho.

Ja jednak nie przebywałem z nimi na co dzień.

Aktorzy z pewnością dziś więcej wiedzą o zachowaniu się tych pieśni niż ja, który je leczyłem z ponad dwutysiącletniej zapści.

Ije Pajan.

WITRYNY

In der Sprache
der Mörder
Eine Literatur
aus Czernowitz,
Bukowina



Literaturhaus Berlin



PATOČKA
RÓŻANOWSKI
NOICA
LIFSCHITZ
GRODZISKI
KŁOSKOWSKA
MIEROSZEWSKI
MENCWEL
ZASZTOWT
RAKOWSKI
FAŁTYNOWICZ
MOTYKAWNUK
MUSICA GALICIANA
CARPATI
CHICAGO KLEZMER

In der Sprache der Mörder. Eine Literatur aus Czernowitz, Bukowina.
Konzeption und Realisation: Ernest Wichner und Herbert Wiesner.
Literaturhaus, Berlin 1995.

Książka jest niezwykle, świetnie zakomponowanym i opracowanym katalogiem słynnej wystawy „W mowie morderców. Literatura z Czernowiec na Bukowinie”. Wystawa przygotowana przez berliński Literaturhaus w 1993 roku, pokazywana była później w Wiedniu, Salzburgu, Frankfurcie n/Meinem i Düsseldorfie.

Autorzy wystawy oraz katalogu, Ernest Wichner i Herbert Wiesner, zgromadzili imponujący materiał archiwalny w postaci korespondencji, dokumentów, fotografii, grafik, starych pocztówek i map.

Bezczenny zapis życia duchowego „kraju ludzi i książek”. Wśród postaci bukowińskiej rodziny pisarzy znaleźli się m.in. Rose Ausländer, Selma Meerbaum-Eisinger, Paul Celan, Karl Emil Franzos, Itzik Manger, Alfred Margul-Sperber, Immanuel Weissglas, Alfred Kittner, Moses Rosenkranz oraz Gregor von Rezzori.



Jan Patočka: *Kim są Czesi?* Przekład i wstęp Jacek Baluch. Kraków 1997.

Posłuchajmy Patočki: „Szerokie rzesze czeskich obywateli rozumiały wynik wojny [pierwszej światowej] i powstanie niezawisłej jako spełnienie swoich narodowych pragnień, jako realizację programu, które wytyczyło już „odrodzenie narodowe” w XIX wieku, a także jako osiągnięcie równouprawnienia wobec pozostałych partnerów w Europie. To nacjonalistyczne rozumienie (i to w sensie nacjonalizmu językowego) stało się dla państwa jego przeznaczeniem. Gwałciło zarówno krajowych Niemców, jak i Słowaków w imię zasady, która z ich punktu widzenia skazywała ich na służebność wobec obcych interesów. Słowacy stworzyli przecież własny język literacki już w ubiegłym wieku i nie uważali go w żadnym wypadku za czeski dialekt; z punktu widzenia nacjonalizmu językowego ich opozycja była konsekwentna. Państwo liczyło ponad 13 milionów obywateli, w tym ponad trzy miliony Niemców i ponad dwa miliony Słowaków, o Polakach na Śląsku Cieszyńskim i o silnej mniejszości węgierskiej nie mówiąc. (...)”

Tylko jeden człowiek u nas wiedział, że ten nowy kierunek stwarza nowemu państwu i jego obywatelom (przede wszystkim rudymmentarnie demokratycznemu elementowi czeskiemu) wspaniałą szansę, a nie tylko trudności i niebezpieczeństwa; niestety człowiek ten był tylko filozofem, a nie politykiem *sensu stricto*. Emanuel Rádl widział jasno, że ta pozycja państwowa oferowała mu historyczną rolę i historyczne zadanie, jednak przy założeniu, że bylibyśmy zdolni poświęcić tradycyjny nacjonalizm językowy na rzecz postawy de-

mokratycznej. Nie żadna »druga Szwajcaria«, tylko państwo środkowoeuropejskie, stojące na własnych nogach i zapewniające ochronę demokratycznemu duchowi i demokratycznie nastawionym ludziom, nie państwo neutralne, lecz przeciwnie – zaangażowany organizm państwowy, w ówczesnych walkach o urządzenie świata stojący zdecydowanie po stronie społecznie rozbudowanej demokracji. Popieranie takiego państwa opłaciłoby się wszystkim obywatelom.”

To tylko próbka jakże jasnego, odważnego i zadziwiająco aktualnego eseju, w którym Patočka poszukuje dla Czechów tożsamości, roli wśród innych narodów i wizji na przyszłość. Polecam wszystkim środowiskom intelektualnym w Europie Środkowej „wśród których ze świecą szukać drugiego Patočki.”

A tym, którzy więcej się chcą dowiedzieć o samym autorze i czeskim kontekście jego eseju polecam świetne wprowadzenie Jacka Balucha.

Wydanie książki w ładnej szacie graficznej z Krakowa Międzynarodowemu Centrum Kultury w Krakowie. (kris)

Jan Patočka



Eseje heretyckie
z filozofii dziejów

JAN PATOČKA: *Eseje heretyckie z filozofii dziejów*. Warszawa 1998.

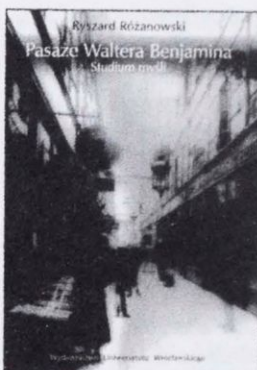
Za sprawą Fundacji Aletheia ukazują się długo oczekiwane *Eseje heretyckie*, druga (po *Kim są Czesi*) książka Jana Patočki w Polsce. Powoli nadrabiamy swoje zapóźnienie w popularyzacji myśli filozoficznej i eseistycznej wybitnych twórców Europy Środkowo-Wschodniej. Najlepszym tego przykładem jest właśnie Patočka, czeski filozof i humanista, uczeń Husserla, tłumaczony na wiele języków świata. W Polsce jego eseje ukazywały się dotychczas jedynie w czasopiśmie, zwłaszcza w „Znaku”, a także „Res Publice”, „Tygodniku Powszechnym”, „Krasnogrudzie” i in.

Pierwszy tom esejów Patočki opublikowany w Pradze w 1979 roku nosił tytuł *Platon a Europa* i był spisany z taśmy magnetofonowej cyklem wykładów.

Najgłośniejszą jego książką był jednak zbiór esejów z lat 1974-1976, opublikowanych po raz pierwszy we Francji w 1981 roku pt. *Essais herétiques sur la philosophie de l'histoire*. Te właśnie eseje, uzupełnione o tekst będący zapisem magnetofonowym wykładu pt. „Człowiek duchowy a intelektualista”, otrzymujemy w wersji polskiej

w przekładach Andrzeja Czobora-Piotrowskiego, Elżbiety Szczepańskiej i Juliusza Zychowicza.

Patočka, obok dyskusji, którą prowadził z Husserlowską fenomenologią i Heideggerem, obok wieloletnich badań nad Platonem i Arystotelesem, był uważnym obserwatorem i uczestnikiem wydarzeń politycznych rozgrywających się wokół niego. Był jednym z pierwszych trzech sygnatariuszy Karty 77 (obok Vaclava Havla i Jiřího Hájka). Przesłuchiwany przez wiele godzin na policji zasłabł, a opóźnienie hospitalizacji spowodowało wylew do mózgu. Zmarł 13 marca 1977 roku. Krzysztof Michalski w swoim *in memoriam* wygłoszonym w Wiedniu w dziesiątą rocznicę śmierci Patočki, pytał: „Co powodowało, że ten pozornie hermetyczny czeski filozof tak nas, intelektualistów wschodnioeuropejskich, fascynował?” Szukając odpowiedzi konstatował: „...był on przede wszystkim pośrednikiem, kimś, kto w naszym wschodnioeuropejskim doświadczeniu historycznym ożywił tradycję filozoficzną Europy; był on kimś, kto z jednej strony potrafił demaskować argumenty filozoficzne, które zatrują nasze życie, tu i teraz, w Pradze czy w Warszawie, a z drugiej – ze szczególną umiejętnością rozjaśniał to, co w tym życiu istotne. Z tradycji filozoficznej wyluskał dla nas doniosłą życiową naukę o użyteczności wysiłku intelektualnego, uwiłoczniał wyraźnie fundamentalną odpowiedzialność człowieka, od której nie może być ucieczki, ponieważ ma ona korzenie ontologiczne”. (kris)



RYSZARD RÓŻANOWSKI:
Pasaże Waltera Benjamin. Studium myśli. Wrocław: Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego 1997.

Od jakiegoś czasu obecności myśli Waltera Benjamin w Polsce zaczyna przyświecać szczęśliwa gwiazda. Najwyższa to pora, aby temu „garbatemu człowieczkowi” – jak go niegdyś nazwała Hanah Arendt, przywołując życie pełne nieszczęść i niepowodzeń – oddane zostało należne miejsce również w naszym kraju, w którym przez długi czas forsowane było jedynie jego „marksistowskie nachylenie”. A ponieważ myśli Benjamin na żaden sposób nie dało się połączyć z obowiązującymi wśród marksistów koncepcjami Lukácsa (nie wspominając o Żdanowie) jego dzieło konsekwentnie marginalizowano, na co zwracali uwagę już dużo wcześniej Adam Zagajewski i Urszula Czarotorska. Przełom polityczny w dużej mierze zbiegł się z przełomem w recepcji spuścizny autora *Paryskich pasażów* w Polsce. Duża w tym zasługa Krzysztofa Rutkowskiego, autora *Paryskich pasażów* lat 90-ych, kunsztownie pisanych felietonów, którym patronuje postać Benjamin, prezentująca się zadziwiająco nowocześnie w epo-

ce postmodernizmu. Ale Benjamin Rutkowskiego, przywoływany także w jego *Raptularzu końca wieku*, to Agésilaus Santander, mistyk, historyk pojawiający się „jako guślarz, obrzędowy przewodnik misterii, potrafiący zatrzymać czas, odsłonić „moment wieczny”, nawiązać kontakt ze zmarłymi i ujrzeć”.

Jednocześnie w 1993 roku polskie środowisko filozoficzne przygotowuje bardzo ciekawy tom pod redakcją Anny Zeidler-Janiszewskiej pt. *Drobne rysy w ciągłej katastrofie... Obecność Waltera Benjamin w kulturze współczesnej*, zawierający m.in. teksty Zygmunta Baumana czy Huberta Orłowskiego, i stanowiący prawdziwy przełom w recepcji dzieła Benjamin w Polsce. W ślad za tym ukazują się książki Waltera Benjamin: *Aniol historii. Eseje, szkice, fragmenty* w wyborze i opracowaniu H. Orłowskiego (1996) oraz *Ulica jednokierunkowa* w tłumaczeniu A. Kopańskiego (1997).

Zwieńczeniem wszystkich dotychczasowych usiłowań sprzymierzeńców, propagatorów i kontynuatorów „garbatego człowieczka” jest znakomite studium myśli zatytułowane *Pasaże Waltera Benjamin* autorstwa Ryszarda Różanowskiego. Książka bardzo starannie opracowana i wydana ukazała się w serii Acta Universitatis Wratislaviensis, co nie jest przypadkiem, bowiem autor kieruje Zakładem Estetyki w Instytucie Filozofii tegoż uniwersytetu.

(kris)



CONSTANTIN NOICA: Sześć chorób ducha współczesnego. Przełożył i wstępem opatrzył Ireneusz Kania. Kraków 1997.

„Życie, o ile nie jest jakimś crescendo, pozostaje kwestią wyłącznie biologiczną” – to zdanie zapisane przez Constantina Noicę mogłoby posłużyć za motto do opisanego niezwykłych osobowości, które pojawiły się w rumuńskim życiu duchowym w latach dwudziestych naszego stulecia. Ireneusz Kania, który wiele z dorobku twórczego tego pokolenia przełożył już na język polski, nazywa ich „Potężną Gromadką”. Wśród najznakomitszych jej przedstawicieli są: Eugene Ionesco, Mircea Eliade, Emil Cioran oraz właśnie Constantin Noica (1909-1987).

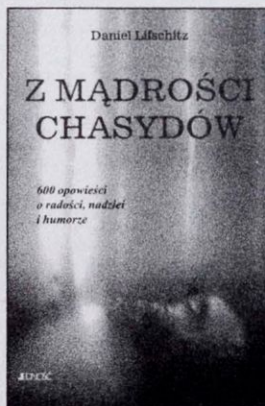
Kim był Noica, postać najmniej z nich znana w świecie? W odróżnieniu od swych przyjaciół nie wyjeżdżał z Rumunii, nie został emigrantem i nie zaczął tworzyć w innym języku. Eliade wspomina, jak na jego prelekcji o Rabindranacie Tagore, wygłaszanej w Bukareszcie po powrocie z Indii, pojawił się Noica w towarzystwie Ciorana: „Był wówczas (...) takim sobie „światowcem”. Lubił tańczyć, nie opuszczał żadnego wieczorku. Pod koniec pierwszego roku studenckiego żywota, latem, uświadomił sobie, że niczego nie dokonał ani się nie nauczył. Postanowił więc zorganizować swe życie i studia w sposób bardziej

inteligentny. „Poznać można tylko to, czego się człowiek pierwiej nauczył” – mawiał. Ustalił sobie własny program studiów i stosował się do niego, aż do czasu doktoratu. (...) Postanowił nauczyć się greki i spędzał kilka godzin dziennie na lekturze jakiegoś klasyka filozofii”.

Noica już do końca życia chodził własnymi ścieżkami, wypracowując własny odrębny etos życia-filozofowania. O tym jak to było możliwe w powojennej, komunistycznej rzeczywistości Rumunii, pisze Ireneusz Kania we wstępie: „Otóż, podobnie jak kiedy Diogenes chodził w biały dzień po agorze ateńskiej z zapaloną latarnią, szukając prawdziwego człowieka, Noica jął systematycznie odwiedzać rumuńskie większe miasta, żeby »dokonać przeglądu obiecujących młodych ludzi między dwudziestym piątym i dwudziestym ósmym rokiem życia. Dla każdego miasta sporządzał dossier, w którym na fiszkach opisana była sytuacja każdego z młodych intelektualistów, ujęta w dwie rubryki: «Co potrafi» i «Czego mu trzeba». Potem stukał do drzwi władz lokalnych żądając, by owych młodych ludzi fikcyjnie zatrudniono na jakiś czas, na wóz sportowców, tak by mogli oddawać się wycieczkom w dziedzinie kultury“.(...) Noica zdołał skupić wokół siebie kilkunastu, „w porywach” może nawet kilkudziesięciu młodych ludzi, z którymi przez wiele lat indywidualnie pracował. (...) Przez ostatnie kilkanaście lat życia tego niezwykłego człowieka owa „szkoła mądrości” funkcjonowała w słynnej dziś willi nr 23 w Paltinis, ustronnej miejscowości wypoczynkowej w górach, niedaleko Sibiu i Rasinari, rodzinnej wsi E. Ciorana (gdzie do dziś mieszka jego młodszy brat Relu). Przez pokój numer 13, kiltkę o wymiarach bodajże dwa na trzy metry, gdzie stało tylko łóżko, piec i wiadro z wodą, przewinęły się w ciągu tych lat ta-

buny najzdolniejszej rumuńskiej młodzieży”.

Owa wypracowana na wzorcu starożytnej *paidei* pedagogika mądrości stanowi integralną całość z książkami Noiki, których napisał niewiele i pośród których istotne miejsce zajmuje „Sześć chorób ducha współczesnego”, rozprawa wydana w 1978 roku. Zdaniem mędrca z Paltinis, obok schorzeń somatycznych i psychicznych, istnieją również choroby ducha, które są w istocie chorobami bytu i należą do konstytucji człowieka. Wyodrębniając a potem szczegółowo analizując sześć chorób ducha Noica przywołuje bardzo ciekawe i czytelne przykłady z dziedziny literatury m.in. *Don Juana* Moliere’a, *Tolstoja*, *Godota* Becketta, *Zaratustrę* Nietzschego, Goethego czy *Moby Dicka* Melville’a. (Kris)



DANIEL LIFSCHITZ: *Z mądrości chasydów. Ponad 600 niepublikowanych wcześniej opowieści o radości, nadziei, humorze z dawnych historii Izraela, aby odnaleźć Boga i siebie samego.* Kielce 1998.

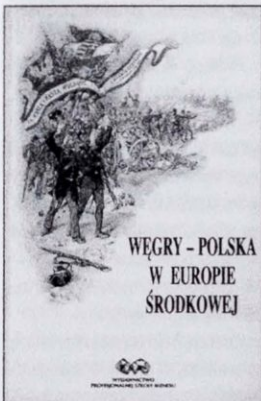
Przekład tych chasydzkich opowieści autorstwa Magdaleny Dutkiewicz-Litwiniuk dokonany został z języka... włoskiego. Powodem tego są niezwykle koleje losu

autora książki. Daniel Lifschitz, urodzony w Bernie w 1937 roku w rodzinie żydowskiej, archeolog, w 1960 roku wyemigrował do Izraela, gdzie założył Muzeum Archeologii Śródziemnomorskiej. Doświadczony kryzysem wiary, wyruszył w podróż do Indii i na Patmos, by osiąść na dłużej we Włoszech. Tam, zetknąwszy się ze wspólnotą zakonną don Dossettiego, wstąpił na drogę neokatechumenatu. Staje się wędrownym katechistą w Stanach Zjednoczonych, a od 1986 roku zajmuje się studiami biblijnymi, starając się łączyć tradycję hebrajską i chrześcijańską.

Wybrane przez niego mądrości chasydzkie – w odróżnieniu od tych, które znamy z książek Bubera (w przekładach Zygmunta Herza, Edwarda Zwolskiego i Gwido Zlatkesa), Jriego Langerera (w przekładzie Anny Golewskiej) czy Eli Wiesela (jego „Célébration hassidique” nie było wydane w Polsce) – wyłącznie dotyczą praktyki życia codziennego, zwykłej życiowej mądrości. „Wybierałem te, które uważałem za najbardziej przydatne, które mogłyby dopomóc w naszej codziennej egzystencji” – zaznacza autor we wstępie. W tej roli raczy podpręcznie gromadzącego rady i pocieszenia, przepowiadawki chasydzkie sprawdzają się znakomicie. Warto sięgnąć właśnie po tę lekturę w miejsce tak obficie teraz zapełniających księgarnie rozmaitych poradników traktujących o tym, „jak być sobą?”, „jak być bogatym?”, „jak znaleźć przyjaciela?”, „jak zbudować dobre małżeństwo?”, „jak wierzyć?” itp. W sytuacji, kiedy „nowoczesny człowiek stał się dorosły na własną rękę”, Lifschitz proponuje powrót do tradycji, do opowieści słowami, które zajmują czas i uczą słuchać. Oto dla przykładu, opowieść o cadyku z Sadagóry, która – wbrew temu, co zapowiada podtytuł książki – nie jest wcale opowieścią nie publikowaną, wręcz

przeciwnie – często przytaczaną: „Spytano kiedyś rabiego Abrahama z Sadagóry: „Nasi mędracy mówią: „Nie istnieje żadna rzecz, która nie miałaby swojego miejsca. » Tak więc każdy człowiek też ma swoje własne miejsce. Dlaczego więc ludzie czują się tak niezadowoleni i zniewoleni? ” „Bo każdy chce zająć miejsce tego drugiego” – odrzekł na to”.

Do książki dołączony został obszerny esej Daniela Leoni opisujący społeczno-historyczne uwarunkowania powstania i rozwoju chasydyzmu aż po czasy współczesne, po krótki opis czterech dynastii chasydzkich w Stanach Zjednoczonych: z Belza, Góry Kalwarii, Satmaru i Lubawicza. Osobne części eseju poświęcone są literaturze chasydzkiej i życiu religijnemu chasydów.



Węgry – Polska w Europie Środkowej. Historia – Literatura. Księga pamiątkowa ku czci Profesora Waclawa Felczaka. Red. A. Cetnarowicz, Cs. G. Kiss, I. Kovács. Kraków 1997.

Wacław Felczak już za życia otoczony był legendą człowieka niezwykle prawego i skromnego, tajemniczego kuriera o pseudonimie „Lech”, przedzierającego się przez „zielone granice” Europy Środkowej i przez komunistów skazanego na dożywotnie więzie-

nie, znakomitego hungarysty i pedagoga. Pierwsi ofiarowali mu swoją księgę Węgrzy – wydane w 1986 roku *Hungaro-Polonica. Studia z dziejów węgiersko-polskich kontaktów historycznych i literackich* w 70 rocznicę urodzin Wacława Felczaka zawierały prace m.in. tak wybitnych postaci kultury i polityki węgierskiej jak Árpád Göncz, György Gömöri, Károly Horváth, Sándor Csoóri czy Zoltán Biró. Wydana obecnie przez Instytut Historii UJ księga pamięci zawiera tłumaczenia tych prac na język polski oraz prace historyków polskich, przyjaciół i uczniów Profesora. Tematyka tych prac ogniskuje się wokół problematyki środkowoeuropejskiej, której wagę Wacław Felczak podkreślał całym swym życiem i dorobkiem naukowym. Wojciech Frazik, który jako pierwszy tak szczegółowo i wiernie zrekonstruował biografię Felczaka, pisze o nim następująco: „Wielokrotnie wskazywał, że przyszłością Europy Środkowej jest federacja, która byłaby zdolna przeciwstawić się zarówno Niemcom, jak i Rosji. Warunkami do jej powstania musiałyby być jednak rezygnacja Czechów z chęci zdominowania Słowacji, porzucenie przez nich polityki prorosyjskiej i zarazem antypolskiej, a przede wszystkim zmiana przez Węgrów nastawienia do narodów słowiańskich”. Natomiast sam profesor powołując się na dawne koncepcje, w których madziarofilstwo i słowianofilstwo leżały na jednej linii polskiej polityki środkowoeuropejskiej, wspomina symptomatyczny fakt z okresu II wojny światowej, gdy rząd Sikorskiego „podpisując akt konfederacji polsko-czechosłowackiej zostawiał otwarte miejsce w tej przyszłej konfederacji środkowoeuropejskiej Węgom i Rumunii”.

Sylwetkę Wacława Felczaka jako badacza spraw narodowościowych w basenie Karpat oraz Sło-

wiańszczyzny południowej kreślą w pierwszej części książki artykuły Csaby G. Kissa i Antoniego Cetnarowicza. Kolejne części są zatytuowane: „Z dawnych wieków” (m.in. Jerzy Wyrozumski o *Rusii Halickiej i Podolu w stosunkach polsko-węgierskich wczesnej epoki jagiellońskiej* oraz Gábor Barta o tolerancji religijnej w szesnastowiecznym Siedmiogrodzie), „XIX stulecie” (m.in. Jerzy Skowronek o Europie Środkowo-Wschodniej w projektach A.J. Czartoryskiego oraz I. Kovacs o nieznanym wspomnieniu Fredry dotyczących narodzin Legionu Polskiego na Węgrzech), „Problematyka tożsamości narodowej” (m.in. Mihály Szegedy-Maszák o pojęciu charakteru narodowego oraz Csanád Bálint o zależności pomiędzy węgierską archeologią a nacjonalizmem). Całość zamyka rozdział „Zjawiska literackie i paralele”, w którym autorzy węgierscy analizują twórczość pisarzy polskich: Krasieńskiego, Gombrowicza, Herberta, Nowaka i Kapuścińskiego.

Redakcji księgi pamiątkowej podjęli się Antoni Cetnarowicz, Csaba G. Kiss i István Kovács, niestrudzeni – jak na uczniów Profesora przystało – „kuriery” na linii współpracy pomiędzy Budapesztem, Krakowem i Warszawą. (kris)



STANISŁAW GRODZISKI:
Habsburgowie. Dzieje dynastii.
Kraków 1998.

„(...) odpersonifikowanie historii odbiera dziejom ich koloryt, zawarty w indywidualnych dziejach jednostek”. Tej zasadzie, sformułowanej we wstępie, pozostaje wierny autor książki o jednej z najpotężniejszych europejskich dynastii. A ponieważ przekazów historycznych i mitycznych, narosłych wokół wywodzących się z dziesięciowiecznego rodu rycerskiego Habsburgów nie brakuje, autor miał się do czego odwołać i co zinterpretować.

Habsburgowie „zawierali traktaty międzynarodowe, prowadzili wojny, które wygrywali bądź przegrywali, wzrastali w potęgę lub słabli, a przecież trwali. Przeżyli polskich Piastów, węgierskich Arpadów, czeskich Przemyslidów, ruskich Rurykowiczów. Przemienili obok nich Wależjusze, Burbonowie i Orleanowie we Francji, Tudorowie i Stuartowie w Anglii. Przetrawili okres wzrostu potęgi Jagiellonów, z którymi konkurowali o główną rolę w Europie Środkowej. Wyszli ze średniowiecza, stali się monarchami renesansu i baroku, kontrreformacji, absolutyzmu i konstytucjonalizmu. Byli Niemcami i Austriakami, Burgundami i Hiszpanami. Z czasem niektórzy z nich stali się Węgrami, a byli też i tacy, którzy stali się Polakami”.

Za główny cel publikacji autor uznał obiektywne przedstawienie dziejów i roli dynastii, choć równocześnie przyznaje, że „Badaczowi polskiemu, znacznie łatwiej niż austriackiemu, przyjdzie postawić niemiłą tezę, że początek władców habsburskich, poza Rudolfem I, Maksymilianem I i – do pewnego stopnia – Leopoldem II, nie zawiera indywidualności prawdziwie wielkich”.

Ułomni i potężni, popularni i niepopularni – galeria postaci mocno zróżnicowana, ale z pewnością barwna. Do ich świata zapraszamy razem z autorem.

SZA

Wien als Magnet?

Schriftsteller
aus Ost-, Ostmittel
und Südoesteuropa
über die Stadt

Verlag der Österreichischen
Akademie der Wissenschaften
Wien 1996



ANTONINA KŁOSKOWSKA:
Kultury narodowe u korzeni.
Warszawa 1996.

Jednym z paradoksów mijającego stulecia jest to, że tendencjom zmiernym do zjednoczenia i ujednoczenia świata towarzyszą równie silne tendencje – nowe lub odradzające się – do narodowego wyodrębnienia, do obrony źródnicowania, także pod względem narodowym. Tendencje te są często sobie przeciwstawiane, co prowadzi do chorej sytuacji wyborów w rodzaju: zjednoczenie europejskie albo obrona tożsamości narodowej, bycie Europejczykiem albo narodowcem, uniwersalizm albo partykularyzm. Przewyciężenie tego stanu rzeczy nie jest zadaniem łatwym, wymaga śmiałości i nowoczesnej refleksji, wyzwolonej od utrwalań przez lata wyobrażeń. Książka profesor Antoniny Kłoskowskiej podejmuje wyzwanie sprowadzenia temu zadaniu. W rezultacie otrzymaliśmy niezwykle ciekawą, wiarygodną i głęboką propozycję oświecenia tożsamości narodowej jako wartości żywej, nowoczesnej i sprzyjającej jednostce w odnalezieniu swego miejsca we współczesności. „Problem narodu u schyłku XX w. polega na tym, jak wyzolicz jednostki i zbiorowości społeczne od groźby tyranii narodowej, a zarazem zachować dla nich walory tkwiące w narodowym poczuciu

wspólnoty i zakorzenienia w kulturze. Ta kultura nie musi zamykać się w sobie i ograniczać nikomu szerszych, nawet globalnych, perspektyw”. Niewątpliwie strach przed „tyranią narodową” przyczynił się do powstania koncepcji społeczeństwa liberalnego, dla którego charakterystyczna jest „zgoda na zapomnienie” własnych, odrębnych korzeni w imię uniwersalizmu. Jednakże owo wtlaczanie ludzi w „homogeniczną formę”, ta „maskarada uniwersalizmu” (określenie przywoływane przez autorkę za Charlesem Taylorem), wcale nie musi prowadzić do zapewnienia ludziom równości w sferze uniwersum, może prowadzić do tyranii, do dominacji jednego wzorca kultury narzuconego przez silniejszych. Przeciwnym biegunem wskazywanym przez autorkę tak rozumianemu uniwersalizmowi jest wielokulturowość, koncepcja „uznania różnic”, a w planie indywidualnym tzw. biwalencja (dwukulturowość) czy poliwalencja. Zjawisko przynależności do dwóch albo nawet kilku kultur (wiązać się to może, ale nie musi, z podwójną identyfikacją narodową czy z bilingwizmem) występuje najczęściej w regionach pogranicza, stąd tak wiele miejsca w swej książce profesor Kłoskowska poświęca zjawisku pogranicza związanemu z wielokulturowością, konwersją narodową czy mniejszościami narodowymi. Dociekania autorki dowodzą wagi i aktualności problemu pogranicza nie ze względu na specyfikę regionalną lecz ze względu na pytanie o pewien współczesny wzór postawy człowieka. „Biwalencja może być uznana za odpowiedź na wyzwania końca XX w. – korzystną społecznie i indywidualnie. Wyzwała z partykularyzmu niezgodnego z tendencjami epoki. Stanowi krok w kierunku uniwersalizacji, ale nie pełnego, utopijnego, abstrakcyjnego uniwersalizmu; rozwiązuje wiele indywidualnych ludzkich proble-

mów. Nie jest ona porzuceniem związku ze wspólnotą narodu, lecz – przeciwnie – możliwością rozszerzenia tego typu związków”.

Do tych wniosków prowadzą profesor Kłoskowską dociekania zarówno teoretyczne jak i empiryczne. Pierwsza, teoretyczna część książki poświęcona jest sporom wokół pojęcia narodu, różnym koncepcjom narodu oraz takim kwestiom jak stereotypy narodowe, tożsamość jednostki czy kultura narodowa. Druga, znacznie obszerniejsza część książki, poświęcona jest „analizie zjawisk narodowych w świetle przeżyć i doświadczeń jednostek”, czyli kilkudziesięciu Białorusinów, Polaków, Ślązaków – polskich i niemieckich – i Ukraińców. Osobno analizowane są postawy polskich emigrantów: negacja polskości Gombrowicza, obsesja polskości Lechonia oraz polskości i kulturowa poliwalencja Czapskiego.

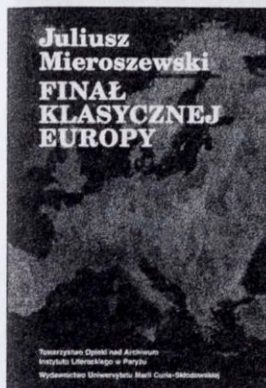
Profesor Kłoskowska przejawia kultur narodowych bada „u korzeni”, a więc w doświadczeniu indywidualnym, co dodaje jeszcze jednego waloru tej cennej książce – unika powierzchowności nagminnie w tego rodzaju badaniach empirycznych stosowanych ankiet lub „monograficznych zapisów obserwacji terenowych”.

Andrzej Bobkowski już w latach czterdziestych przepowiadał długie trwanie przynależności narodowej jako podstawowej identyfikacji człowieka: „Mit narodowości to jeden z wielkich mitów, który nie ma zamiaru rozlecieć się w pył. Panu Bogu już dali radę, religiom dali radę, ale narodowości, nacjonalizmowi nie poradzili. Wprost przeciwnie. Ten mit ma jeszcze wielką przyszłość przed sobą”.

O ile jednak autor „Szkiełców piórkiem” dopatrywał się w tym zjawisku zniewolenia jednostki („życie w zakorkowanej butelce – czyżny zupełnie mi nie odpowiada”), o tyle autorka „Kultur narodowych u korzeni” ucłowiecza

Alois Woldan

pożucie tożsamości narodowej, pokazuje, że pod koniec XX w. człowiek wolny znaczy również ten, który posiada własne korzenie, zwłaszcza te rozgalone ku dwóm lub więcej kulturom narodowym. (kris)



JULIUSZ MIEROSZEWSKI:
Finał klasycznej Europy.
Wybór, opracowanie i wstęp
Rafał Habielski. Lublin 1997.

Dzięki Towarzystwu Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu i Wydawnictwu Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (wspieranych przez Fundację Batorego) otrzymaliśmy wreszcie długo oczekiwany wybór tekstów Juliusza Mieroszewskiego, wydany po raz pierwszy w kraju (jeśli nie liczyć broszurowych wydań ukazujących się w podziemiu podczas stanu wojennego). Dotychczas jego książki (*Ewolucjonizm*, 1964; *Polityczne neurozy*, 1967; *Modele i praktyka*, 1970; *Materiały do refleksji i zadumy*, 1976) ukazywały się w Paryżu nakładem Instytutu Literackiego. Twórczość Mieroszewskiego to jednak przede wszystkim publicystyka polityczna na łamach „Kultury”. „Moje książki są tylko dodatkiem do moich artykułów” - pisał w liście do Jerzego Giedroycia.

Andrzej Mencwel następująco obliczył pojemność jego dzieła: „Jeśli przyjąć, że pisał średnio do

każdego numeru, przez dwadzieścia lat, około 15 stron maszynopisu (a potem około 10) i przemnożyć je przez 250 numerów miesięcznika, daje to 4000 stron, czyli około 170 arkuszy wydawniczych, 12 solidnych tomów możliwych *Dzieł zebranych*, podobnych dziełom Witolda Gombrowicza albo Czesława Miłosza (jak dotąd). Dzieła prozaika i poety już wydano, a ... jak długo na Wawelu... wydawać się będzie, dzieł publicysty natomiast nie ma i nie będzie, nikt się o nie nie upomniał i upominać też nie będzie”. Zatem w odrodzonej Polsce, integrującej się z Europą i podpisującej traktaty o współpracy ze wschodnimi sąsiadami, Mieroszewski pozostanie tak samo obcy i samotny jak w emigracyjnym Londynie?

„Pogrzeb [Mieroszewskiego] odbył się przy kompletnej obojętności polskiego Londynu. Poza rodziną Inki Mieroszewskiej był nasz prenumeratorem z Kanady, będący przejazdem w Londynie, p. Stypińska ze Stow. Pisarzy oraz ja” - pisał Jerzy Giedroyc w liście do Konstantego Jeleńskiego w 1976 roku.

Ale w przypisie do swojej książki *Przedwiośnie czy potop*, w której znajdujemy wszechstronnie i niepowierzchniwnie nakreślony portret autora koncepcji ULB, Mencwel zaznaczył, że o Londyńczyka upomniał się już Leszek Szaruga. Takim upomnieniem się o niego jest także poprzedzony solidnym wstępem Rafała Habielskiego i przez niego opracowany wybór tekstów Mieroszewskiego.

Pytanie o Mieroszewskiego dzisiaj, o aktualność jego myśli, jest bardzo ważnym pytaniem dla Polaków na nowo określających swoje miejsce wobec najbliższych sąsiadów, wobec Europy i świata. Chciałoby się, aby myśli tego romantyka i realisty zarazem, stały się dzisiaj myślami nowoczesnego Polaka. „Polskość trzeba praktykować” - pisał w 1975 roku - trze-

ba nie tylko być zaangażowanym, lecz trzeba przemyśleć polską problematykę i trzeba budować w swej duszy wizję Polski w oparciu o zasady chrześcijańskie, bacząc uważnie, by w naszej wizyjnej Polsce obrona interesu narodowego nie oznaczała krzywdy pobratymczego narodu. Na dalszą metę bowiem realne jest tylko to, co jest słuszne. Cele niesłuszne bywają osiągalne, lecz niesłuszne rozwiązania czy układy sytuacyjne nigdy nie są trwałe”.



ANDRZEJ MENCWEL: *Przedwiośnie czy potop. Studium postaw polskich w XX wieku.*
Warszawa 1997.

Andrzej Mencwel rozpoczyna swoją książkę od opisu miejsca życia współczesnych Polaków, w którym „błoto stanowi główny składnik pejzażu”. Cierni na obsję błota, podobnie jak jego bohaterowie, Żeromski i Dąbrowska. Szczęśliwie książka stanowi uporczywą, gruntownie przemyślaną próbę wydostania nas, Polaków, z tego błota, do którego niebezpiecznie przywykliśmy. Patronuje jej Max Weber, którego nowego wcielenia tak bardzo dzisiaj potrzebujemy, bo nasz posocjalistyczny kapitalizm dziko, bez etyki się pieni. W jeszcze jednym Weber patronuje Mencwelowi - chodzi o nadanie odpowiedniej rangi

kulturze wśród czynników, które decydują o nowoczesnym rozwoju społeczeństwa. Warto to dzisiaj podkreślić w kraju, w którym reformatorzy i decydenci zapchnęli kulturę do roli zupełnie podrzędnej, całkowicie nie rozumiejąc jej znaczenia w procesie transformacji cywilizacyjnej. Tymczasem - jak pisze Mencwel - to właśnie postawy kulturowe są łącznikiem, przekładnią, rotorem sprzęgającym wrażliwość polityczną z pomyślnością ekonomiczną i wprawiającym je obie w ruch przyspieszony, właściwy nowoczesnej cywilizacji.

Czytając rozdziały o inteligencji polskiej na progu XX wieku, o dylematach Stefana Żeromskiego (*przedwiośnie czy potop*), o postaci Marii Dąbrowskiej, o świadectwie *Płomieni* Jana Strzeleckiego, o paryskiej „Kulturze”, o Leszku Kołakowskim, Bronisławie Baczko, Stefanie Żółkiewskim i Wiesławie Myśliwskim, ani na moment nie oddalamy się w idealne raje artystów i intelektualistów: wręcz przeciwnie, towarzysząc postawom ludzi kultury uczestniczymy w życiu społecznym, politycznym i gospodarczym Polski w XX wieku, troszczymy się o wybory dróg transformacji, o rozwój cywilizacyjny, o naszych sąsiadów, o rację stanu, o państwo, o etos wspólnoty... To wielka zasługa autora. Tak o kulturze w Polsce pisze i rozmawia się rzadko. Stąd może jej drugorzędna rola w naszym kraju. Mencwel daje nam nie tylko znakomity wgląd w postawy polskie w XX wieku, daje nam także wielki kapitał wiedzy, którym możemy rozporządzać już dzisiaj, inwestując i podejmując decyzje wybiegające w przyszłość. Akcje tego kapitału są wiarygodne, wypracowane przez postawę kulturową „osiągającą niebo przez ziemskie zdobycze”. (kris)



U progu wielokulturowości.

Red. Marian Kempny, Alina Kapciak i Sławomir Łodziński. Warszawa 1997.

Książka jest zbiorem szkiców. Autorami są antropolodzy, socjologodzy, teoretycy kultury, wybitni znawcy problematyki wielokulturowości. Główną intencją redagujących zbiór była chęć „ukazania społeczeństwa polskiego jako stonkunkowo gwałtownie różnicującej się i rozwarstwiającej pod względem kulturowym zbiorowości, składającej się w coraz większym stopniu z grup społecznych, które są świadome swoich aspiracji i dążeń”.

We wstępie czytamy też: „Sytuacja wielokulturowości, zdaniem autorów i redaktorów tego tomu, stała się więc dla społeczeństwa polskiego „naszym”, a nie „cudzym” problemem. Innymi słowy, wielokulturowość społeczeństwa polskiego stała się już „wielokulturowością ujawnioną”, dostrzegalnym faktem społecznym”.

Materiał badawczy przedstawiony w książce zorganizowany jest wokół kilku głównych kategorii-pytań:

- o konotację terminu „wielokulturowość”
- o charakter kultury narodowej, w tym pojęcie kanonu kulturowego,
- o cechy kultury mniejszości. Pierwszy problem w próbie

analizy wielokulturowości pojawia się już na etapie przywołania jednoznacznej definicji zjawiska. Okazuje się ono nieuprawnione i niewyczerpujące. Wielość aspektów i dynamika procesów zachodzących w obrębie przestrzeni społecznej i semantycznej (kto dziś jest w stanie podać uniwersalną definicję kultury?) wyklucza kategoryczność stwierdzeń i narzuca mnogość interpretacji.

„Dzisiejszy świat – z tego punktu widzenia (relatywizmu wielokulturowego - dop.) to wielki konstrukt wybranych elementów rzeczywistego dziedzictwa kulturowego, wartościujących zabiegów i subiektywno-społecznie tworzonej hierarchii wartości: „kulturą” staje się to, czego ludzie pragną, żeby nią było. Jest to świat wielokulturowości, ale jakże odmienny od ładu projektowanego niegdyś choćby przez antropologię”.

Dlatego próba opisu zjawiska wielokulturowości wymaga wielo-poziomowej analizy – pod względem etnicznym, historycznym, geopolitycznym, demokratyzacji życia społecznego i wielu innych, ze szczególnym uwzględnieniem zmienności tych elementów w czasie. Dynamizacja procesów związanych z wielokulturowością wymaga także, na co zwraca uwagę w swym szkicu Leszek Korporowicz. „nowego typu kompetencji komunikacyjnych” (otwartych, elastycznych, akceptujących, zorientowanych ku przyszłości).

Osobną grupę rozważań stanowią refleksje na temat kanonu kulturowego. Rozumianego najczęściej jako „zbiór elementów kultury - wytworów kulturowych (dzieł, mitów, legend) zdarzeń i osób, o których członkowie pewnych zbiorowości wiedzieć coś powinni”. Kanon – jak pisze Andrzej Szpociński – reprezentuje samą grupę oraz idee, wartości i zbiory zachowań uznawane przez nią za szczególnie ważne. Współcześnie za najbardziej representa-

tywną koncepcję kultury i społeczeństwa uchodzi postmodernizm.

Antropologiczna koncepcja postrzegania świata zakłada istnienie kilku podstawowych kategorii. W społeczeństwach pluralistycznych, do których zalicza się także Polska, jedną z takich centralnych kategorii struktur postrzegania rzeczywistości nadal pozostaje opozycja swój-obcy.

Robert Wyszyński, analizując na podstawie badań wśród studentów białoruśistyki Uniwersytetu Warszawskiego wartości, idee, symbole kultury białoruskiej, skłonny jest raczej zaklasyfikować je do przestrzeni uniwersum symboli niż objąć je wspólnym mianownikiem kanonu kultury białoruskiej.

Podstawowymi kategoriami antropologicznymi (sacrum, profanum, communitas) próbując natomiast opisać zjawisko ruchu Międzynarodowego Towarzystwa Świadomości Kryszny Elżbieta Hałas i Anna Kubiak. Autorki wskazują ruchy religijne jako ważną oznakę pluralizacji życia społecznego.

Centralną kategorią trzeciej części rozważań jest koncepcja mniejszości społecznej, zwłaszcza etnicznej i jej charakterystyka.

Hanna Bojar wśród elementów cechujących mniejszości wyróżnia:

- procesy instytucjonalizacji mniejszości stanowiące podstawę do przekształcania się kategorii niższego statusu w grupy mniejszościowe,
- charakter artykułowanych przez mniejszości interesów grupowych,
- elementy strategii działań mniejszości, zmierzające do integracji mniejszości w obrębie całości społecznej.

Mniejszości społeczne są według autorki, podgrupami społeczeństwa funkcjonującego w obrębie państwa demokratycznego, podporządkowanymi rządom pra-

wa i zasadzie równości obywateli. Przy czym w przypadku mniejszości etnicznych interes grupowy nie musi być tożsamy z interesem całości społecznej.

Ta część tomu przynosi też interesujące rozważania na temat fenomenu wielokulturowego Śląska (relacje między tożsamością regionalną Ślązaków a mniejszością narodową niemiecką oraz między poczuciem tożsamości regionalnej Ślązaków a formułą tożsamości narodowej polskiej), poczucia wyraźnej odrębności Kaszubów (jej źródła i przejawy), aspiracji narodowych Łemków (wyjaśnienie problematyki dwóch lemńskich orientacji: pro-rusińskiej i pro-ukraińskiej i relacji między nimi), Tatarów polskich (zwrócenie uwagi na trzy elementy samookreślenia pojawiające się w nazwach grupy: muzułmaństwo, tatarskość i polskość), osiadłych w Polsce Romów (problemy polityki oświatowej).

Suplementem nie do przecenienia dla rozważań nad wielokulturowością jest praca Sławomira Łodzińskiego o istocie obywatelstwa, z jego prawnymi i socjologicznymi konotacjami. Treść obywatelstwa stanowi, według autora, więc prawa łącząca jednostkę z państwem, który wyraża się w posiadaniu przez nią dowodu tożsamości, stwierdzającego posiadanie obywatelstwa tego państwa. Obywatelstwo jest przy tym niezależne od etnicznej tożsamości jednostki.

W podsumowaniu Marian Kempny zauważa, że „W badaniach nad współczesnym społeczeństwem polskim wielokulturowość stała się rodzajem nowego uniwersalnego narzędzia, swoistego klucza umożliwiającego zrozumienie gwałtowności wybuchu zjawisk kulturowego różnicowania się, fascynacji kulturową odrębnością grup uwolnionych od biernego od-twarzania wzorców kultury dominującej, a zwłaszcza polityki bu-

dowania tożsamości etnicznych obok (czy w miejsce) tożsamości narodowej", a „kontrowersje, których terenem był pierwotnie dyskurs akademicki oraz obszar tzw. kultury wyższej, stały się dziś elementem kultury popularnej właśnie w postaci sporów o wielokulturowość”.

Spierajmy się więc bogatsi o lekturę.

SZA



O dialogu kultur wspólnot kresowych. Red. Stanisław Uliasz. Rzeszów 1998.

Pojęcie „kresy” niesie w sobie dzisiaj różne, często wykluczające się wzajemnie, konotacje. Dla naszych wschodnich sąsiadów, a także dla Litwinów, Białorusinów i Ukraińców żyjących w Polsce, ta konotacja jest najczęściej ujemna, kojarzy się z polską dominacją na obszarach dawnej Rzeczypospolitej, której musiały się przeciwstawić narody dążące do emancypacji i suwerenności. Ta ujemna konotacja wspierana jest postawą niektórych polskich środowisk „kresowiaków” wyrażaną w poglądach bliskich endeckiemu rewizjonizmowi i w manifestowaniu swojej „pariskiej” wyższości wobec pobratymców ze Wschodu.

Z tego względu starano się raczej unikać tego wyrażenia, zastępując je zaczerpniętym od Miroszewskiego skrótem ULB (Ukrai-

na, Litwa, Białoruś), albo WXL (Wielkie Xięstwo Litewskie), czy wreszcie pojęciem „pogranicze”.

Istnieje także pozytywna, całkowicie przeciwna tej powyższej, konotacja pojęcia „kresy”. W tym przypadku chodzi o „jasną” legendę Kresów, obszaru, w którym spotykają się i wzajemnie oddziałują na siebie rozmaite religie i narody. Książka *O dialogu kultur wspólnot kresowych* przynosi bardzo ciekawy materiał skoncentrowany właśnie na takim rozumieniu pojęcia „kresy”.

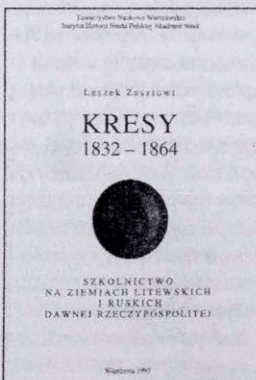
Jak zaznacza we wstępie jej redaktor, Stanisław Uliasz (autor książki *Literatura Kresów – kresy literatury. Fenomen Kresów Wschodnich w literaturze polskiej dwudziestolecia międzywojennego*), „Kresy fascynują obecnie nie jako nazwa postimperialnych odruchów, lecz jako idea jednocząca pełne różnorodnego wdzięku kultury”.

Teksty różnych autorów z Polski, a także Ukrainy, Niemiec i Szwajcarii, są pokłosiem konferencji zorganizowanej w Rzeszowie w 1996 roku przez Pracownię Literatury i Kultury Pogranicza z Instytutu Filologii Polskiej tamtejszej WSP.

Konferencję zorganizowano w 25. rocznicę śmierci Stanisława Vincenza oraz w 60-lecie ukazania się *Prawdy starowieku*. Vincenz też, razem z Jerzym Stempowskim, patronuje problematyce większości tekstów zajmujących się literaturą pogranicza, której „przypadła rola odbudowywania przestrzeni tradycji oraz pogłębiania koncepcji swojskości domowych ojczyzn”. Ulewicz dość optymistycznie stwierdza przy tej okazji, że dzisiaj zanikną już „duch rewanżyzmu i postrzegania kontaktów między wspólnotami narodowymi jako obszaru niegasnących konfliktów i płonących granic”. Ten optymizm jest uprawniony, gdy się obcuje z dziełami Stanisława Vincenza, Jerzego Stem-

powskiego, Czesława Miłosa, Iwana Franki, Andrzeja Kuśniewicza, Zygmunta Haupta, Leopolda Buczkowskiego, Adolfa Rudnickiego, Włodzimierza Odojewskiego, Józefa Łobodowskiego, Tadeusza Konwickiego czy Włodzimierza Paźniewskiego. Dzięki tej literaturze rzeczywiście „na zasadzie przypowieści poczynał funkcjonować świat pogranicza, widziany jako świat wzajemnie wzbogacających się odmienności grupowych i kulturowych”. Inną rzeczą jest natomiast zrealizowanie tej przypowieści w dzisiejszej rzeczywistości pogranicza.

Silną stroną książki jest jej interdyscyplinarność – o wątkach huculskim, żydowskim, tatarskim, ukraińskim czy litewskim piszą literaturoznawcy, etnografowie i kulturoznawcy. Brakuje natomiast not o autorach i indeksu. (kris)

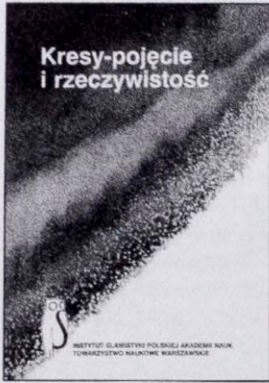


LESZEK ZASZTOWT: Kresy 1832 - 1864. Szkolnictwo na ziemiach litewskich i ruskich dawnej Rzeczypospolitej. Warszawa 1997.

Rozpoczynając swoją obszerną pracę rozdziałem o „Kresach w tradycji kulturowej i historycznej” Leszek Zasztowt stara się „uniknąć błędu polonocentryzmu w dalszych rozważaniach” o sytuacji oświaty na ziemiach litewskich i ruskich. Tym samym książka dobrze wpisuje się w tradycję badań problema-

tyki oświatowej na obszarach kresowych, prowadzonych wcześniej m.in. przez Daniela Beauvois (*Szkolnictwo na ziemiach litewsko-ruskich 1803-1832*).

Książka Zasztowta, będąc pośrednio także opisem dziejów ekspansji kultury rosyjskiej na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej w XIX wieku, pozwala zrozumieć wiele pokutujących do dziś uprzedzeń Polaków zwłaszcza do Rosjan, a także źródła uprzedzeń Litwinów, Białorusinów i Ukraińców wobec Polaków. Warto czytać tę książkę, szczegółowo ukazującą życie codzienne i dorobek uczelni kresowych, szkół średnich w poszczególnych guberniach oraz szkolnictwa parafialnego, w szerszym kontekście historycznym i cywilizacyjnym, pomocnym dla lepszego zrozumienia naszej sytuacji we współczesnej Europie Środkowo-Wschodniej. Jak we wstępie zaznacza autor: „Prezentowana monografia opowiada o schyłku pewnej cywilizacji. Choć dzieje szkół stanowią swego rodzaju kręgosłup całej pracy, to jednak wykracza ona niejednokrotnie poza zagadnienia dziejów edukacji. Dotyka problemów historii Kościoła, historii kultury intelektualnej i materialnej, a także dziejów wielonarodowego społeczeństwa ziem litewskich i ruskich w XIX stuleciu. Intencją autora było zachowanie dystansu do opisywanych i analizowanych zagadnień. Niemniej przedstawiony na kartach tej książki obraz ziem litewskich i ruskich dawnej Rzeczypospolitej może wywołać smutną zadumę nad jej losami. Warto jednak pamiętać, że dla narodzin nowego życia często konieczne jest czyjeś odejście, zaś doraźne, nawet czasem tragiczne wydarzenia mogą w przyszłości zaowocować nową jakością, której nikt nie był w stanie do końca przewidzieć”. (kris)



Kresy – pojęcie i rzeczywistość.
Red. Kwiryna Handke. Warszawa 1997.

Nieco później od konferencji rzeszowskiej (książka „O dialogu kultur wspólnot kresowych”), w listopadzie 1996 roku odbyła się w Warszawie konferencja „Kresy – pojęcie i rzeczywistość”, zorganizowana przez Instytut Slawistyki PAN. W jej efekcie wydany został zbiór studiów pod redakcją Kwiryny Handke.

Coraz częstsze konferencje i publikacje dotyczące problematyki kresów, dowodzą starania polskich środowisk naukowych, aby przełamać swoiste tabu związane z tym pojęciem, tabu obowiązujące wśród Polaków opowiadających się za szeroką współpracą z naszymi wschodnimi sąsiadami, kontynuujących linię paryskiej „Kultury” i tradycję tolerancji dawnej Rzeczypospolitej. Przelomowym wydarzeniem w tym względzie była z pewnością książka Jacka Kolbuszewskiego pt. *Kresy* wydana w 1995 roku, która w formie popularyzatorskiej umieszcza „kresy” w kontekście dialogowym, współistnienia kulturowego, a nie konfrontacyjnym i jednostronnie polskim.

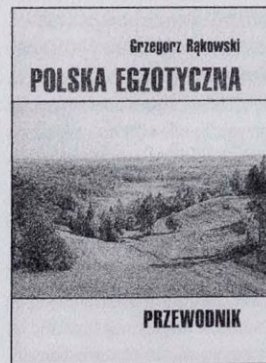
Warszawski tom studiów jest daleko idącą i rzetelną próbą spojrzenia na „kresy” jako na zjawisko uniwersalne, jako na szczególny fenomen cywilizacyjno-kulturowy obecny nie tylko na rubie-

żach dawnej Rzeczypospolitej. W otwierającym książkę tekście Marek Koter proponuje nawet wprowadzenie polskiego terminu „kresy” do międzynarodowego słownika pojęć polityczno-geograficznych. Po przeglądzie obecności kresów państwowych w różnych częściach świata proponuje zestawienie ich cech charakterystycznych, spośród których wyróżnia odmienności geograficzną, peryferyjność, słabą dostępność, izolację, słabe zaludnienie, rzadką sieć miast, niedorozwój i upośledzenie, zależność i podporządkowanie (polityczne, gospodarcze), wielokulturowość, zapóźnienie cywilizacyjne, odmiennosci zachowań, niestabilność polityczną i społeczną, odmiennosci prawną oraz etos kresowy. Już samo to zestawienie demitologizuje arkadyjską idylliczność legendy kresowej, obecną także w etosie kresowym, wskazując na inne, również negatywne czynniki obecne w rzeczywistości kresowej. Tą wieloznaczność akcentuje również Krzysztof Kwaśniewski w swojej bardzo ciekawej charakterystyce kresów, wyróżniając następujące ich cechy: strefowość (rozumiana bardziej jako kierunek niż jako obszar); akcent bardziej na peryferyjność niż na centrum, zwłaszcza ściśle etniczne; ofensywność i rozszerzenie państwowego stanu posiadania (przewaga myślenia państwowego nad narodowym, państwowej asymilacji nad narodową kontrakulturacją); jednostronność i poczucie siły, przewagi, automatyzm przynależności do etnoklasy wyższej, uprawnionej nawet do arogancji; satysfakcja ze zdobyczy; pierwotny związek z młodością i męskością, z przysgodą; satysfakcja z pozyskiwania obcych a wiernych realizatorów własnych dążeń. Ponadto Kwaśniewski wprowadza ważne rozróżnienie pomiędzy kresami a pograniczem: „W przeciwieństwie do pogranicza, kresy nie są uznane

z obu stron za kresy, a do terytorium etnicznego nawet nie muszą bezpośrednio przylegać. (...) Kresy nie są regionem, lecz nazwą nadawaną zwykle części regionu albo kilku regionom pogranicznym i to zwykle dla uniknięcia używania ich bardziej rdzennych i obcych zdobywcom nazw...”

O innych środkowoeuropejskich regionach kresowych traktują teksty Teresy Dąbek-Wirgowej (kresy bułgarsko-macedońskie z perspektywy bułgarskiej) oraz Joanny Rapackiej (kresy chorwackie i serbskie).

Kresom w tradycji polskiej poświęcone są rozprawy Romana Wapińskiego (*Kresy w polskiej myśli politycznej w XIX i XX wieku*), Ryszarda Kiernowskiego (*Kresy przez male i wielkie „K” – kryteria tożsamości*), Jacka Kolbuszewskiego (*Kresy jako kategoria aksjologiczna*), Stanisława Uliasa (*Kresy jako przestrzeń kulturowa*), Irydy Grek-Pabisowej (*Językowa rzeczywistość na dawnych Kresach północno-wschodnich*), Ireny Maryniakowej (*Polskie gwarowe obszary północno-wschodnie wobec pojęcia „kresy”*), Janusza Regiera (*Polska rzeczywistość językowa na Ukrainie*), Zbigniewa Rykiela (*Kresy zachodnie w Polsce*) oraz Antoniny Kłoskowskiej (*Kresy – od pojęcia zamkniętego do otwartego sąsiedztwa*). (kris)



GRZEGORZ RĄKOWSKI: Polska egzotyczna. Przewodnik.
Pruszków 1994.

„Polska B”, „Kresy”, „ściana wschodnia” – wiele nazw wymyślono dla wschodniego pogranicza. *Polska egzotyczna* zaproponowana przez Grzegorza Rąkowskiego dopełnia tę rzeczywistość językową, wskazując na element zaskoczenia, zauroczenia różnorodnością i obowiązkiem refleksji nad tym, co inne, a tutaj, na terenie przenikania się kultur i tradycji, tworzące wspólną wartość.

Niewątpliwie obecność na tych ziemiach wyznawców różnych religii i wielu narodowości stanowi o ich bogactwie kulturowym. Samo przywołanie haseł: meczety tatarskie, molenna staroobrzedowców, „stolica polskich Litwinów” i skrócone opisy wymienionych miejsc mogłyby zadziałać jak turystyczny magnes. Autor na tym jednak nie poprzestaje. Z jego opisów wylania się szersza perspektywa. „Egzotyka” to nie tylko inność kulturowa. W końcu XX wieku „egzotyczne” stają się także tereny, których „cywilizacja” nie zdążyła jeszcze ulepszyć, a przemysł turystyczny wyekspluatawać (choć, o paradoksie, w przewodniku też tkwi pewne niebezpieczeństwo!).

Dlatego, jeśli wierzyć sugestywnym opisom, równie atrakcyjne, jak odwiedzić w cerkwiach, meczetach czy wioskach staroobrzedowców, mogą okazać się wędrowni zapomnianymi polnymi drogami, wzdłuż których coraz niżej kłaniają się strzechy i krzyże. Z dwoma ramionami, czterema, półkłębiącym i te spróchniałe – ziemi już tylko przynależne. „Żywy skansen”? ... Zaniedbanie historyczne, gospodarcze... Choć w wędrownie po kresach co chwila dotykamy przeszłości, to jednak przystanki wyznacza tutaj nie tylko historia, ale także spotkania ze współczesnością, konkretnymi ludźmi, którzy świadomie wybrali, odkryli dla siebie pogranicze.

Czasem zrozumienie miejsca, do którego właśnie dotarliśmy, wymaga obszerniejszego komenta-

rza: etnograficznego, politycznego, socjologicznego itp. I choć *Polska egzotyczna* figuruje jako przewodnik turystyczny, kategoria ta wydaje się dla niej za mało pojemna. Bo miejscami narracja przechodzi w gawędę, opis czy wywiad etnograficzny. Forma niejednoznaczna, tak jak i problemy, których dotyczy.

P.S. Dotychczas przewodnicy po *Polsce egzotycznej* dotarli w okolice Medyki k. Przemysła. Zapowiada się jednak dalsza wędrówka – po kresach południowo-wschodnich. SZA



ZBIGNIEW FAŁTYNOWICZ:
Gdzie jeziora syte przestrzenia obłoków. Suwalszczyzna w poezji. Antologia. Suwałki 1998.

Dzisiaj, w okresie regionalizmu i odradzania się małych ojczyzn, ważną stała się kwestia przedstawienia własnego regionu, jego odrębności i atrakcyjności.

W księgarniach coraz więcej jest wydawnictw regionalnych, coraz częściej sponsorowanych przez samorządy lokalne. Nie jest już rzadkością dobra jakość papieru, kosztowna i efektowna oprawa oraz kolorowe fotografie. Niestety, ta wola promocji samych siebie rzadko idzie w parze z treścią tego, co ma się do zaproponowania. Najczęściej owe publikacje są bardziej powierzchowne, niż odkrywające niepowtarzal-

ność, raczej ugruntowujące stereotypowe wyobrażenie o regionie niż je przełamujące. Okazuje się, że powiedzieć o sobie i swoim miejscu na ziemi nie jest tak łatwo. A mówić warto, nie tylko dlatego, by siebie promować, ale także by siebie odkryć, by mieć na czym ufundować własną tożsamość.

Zbigniew Fałtynowicz opowiedział o swej ziemi, o Suwalszczyźnie, wierszami zebranymi w antologię i własnym do nich komentarzem. Jest to jedna z najciekawszych księzek poświęconych regionom w Polsce, które ukazały się w naszym kraju w ostatnich latach. Okazuje się, że wiersz może stać się znacznie ciekawszym przewodnikiem po ziemi i ludziach niż efektowne, barwne, na błyszczącym papierze prezentowane widoki. A tak dotychczas najczęściej była ukazywana Suwalszczyzna – stale te same, kiczowato-piękne krajobrazy, na których nie ma ludzi i ich twarzy, nie ma życia, historii i dramatu. A przecież Suwalszczyzna to też: *Widok rozlany szklany dwie lodzie ciągną linkę.*

Pyka motorek. Wtedy też w pełnym słońcu poszli siecią od lasu wylawiając chłopaków trzepoczących z zagajników ze stogów chlewików kopców na kartofle trzciny w jeziorze. Jak on znika skurwiel ani dźwięku żaden bady! nie zaszcpecze gdzie. Noc będzie zimna księżyc w czarnych liściach

Tak Konstanty Puzyra w wierszu *Leszek Z. przysiadł na plecaku w pobliżu Sejnu* inicjuje czytelnika w „widok” gdzieś na skraj Puszczy Augustowskiej, przetkany historią oblawy NKWD w lipcu 1945 roku na członków antykomunistycznego podziemia.

W książce Z. Fałtynowicza wszystko wylamuje się z utartego

szablonu. Czytelnik antologii podąża w głąb pejzażu, historii, własnych korzeni, w sferę metafizyki i naturalistycznego dramatu. Co chwila odkrywa ciekawe wiersze mało znanych autorów (na przykład cykl Stefana Kamińskiego ...i nad tarasem wschodzi czysta gwiazda, będąca interesującą próbą spojrzenia z odległej, małomiasteczkowej perspektywy Sejnu na przelomie wydarzenia historycznego z lata 1981 roku) albo wiersze poetów, których nie podejrzewał o powinowactwa z Suwalszczyzną (choćbyż Józefa Łobodowskiego, Agnieszki Osiecką czy wspomnianego już Konstantego Puzyrę), albo poetów sławnych, w jakiś sposób z tą krainą związanych (np. Czesława Miłosza, czy Leszka Aleksandra Moczulskiego).

Poszczególne rozdziały antologii opowiadają o wybranych tematach (np. „trop jaćwieski”, „ciśnie historii”, „pejzaże i powroty”, „przyczynki do życiorysów”), o wybranych miejscach i żywiołach natury (Suwałki, jezioro Wigry, rzeka Czarna Hańcza), bądź też są prezentacją cyklu wierszy wybranych poetów (Stefan Kamiński, Leszek A. Moczulski, Krystyna Konecka).

Książka jest w pełni tego słowa znaczeniu antologią autorską, momentami bardzo osobistą. Suwalszczyzna zawsze była ziemią „odwitań”; wielu wspaniałych ludzi stąd wyruszyło w świat, albo zatrzymało się tutaj na czas jakiś w swej życiowej wędrówce. Ich świadectwo poetyckie jest wkładem bezcennym w odkrywaniu jej pełnego wizerunku Suwalszczyzny i jak każdej małej ojczyźnie, potrzeba jednak osób, które pozostawałyby tutaj przez całe swoje życie, gramadząc całą energię duchową w tym właśnie miejscu, dając opór wiatrom, które dmą tutaj bezustannie i wszystko wystawiają na pastwę otwartych przestrzeni, osób, które by łączyły rozmaite

wątki, perspektywy, od rozmaitych przechodniów odzyskiwałyby coś, co pozostanie na miejscu.

Kim jest autor antologii? Uważnym mieszkańcem, już nie przechodniem, uwiedzionym miłośnikiem i krytycznym estetą, muzealnikiem-pedantem, przywiązującym wagę do każdego drobiazgu, prowincjuszem bez kompleksów, erudyta wybiegającym daleko poza horyzont własnego podwórka, literaturoznawcą, świetnym redaktorem...

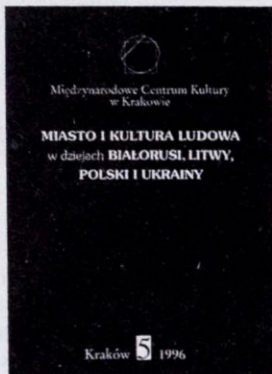
Taka też jest jego antologia, której niepowtarzalny charakter nadaje bogaty odautorski komentarz. Wszystko w niej jest starannie przemyślane, pieczołowicie skrojone i przejrzyste skonstruowane. Tak pracują jeszcze ludzie, którym czas płynie inaczej, miłośnicy i prowincjusze pozostający w orbicie miejsca-centrum, zdolni obronić się przed pośpiechem, bylejąkością i całą tą powierzchowną światowością, która ostrym powiewem wyrzadca swe ofiary w obszary bezimiennych peryferii.

Całości obrazu tej antologii dopełniają oryginalne, pełne metafizyki fotografie Stanisława Wosia, korespondujące z nimi opracowania graficzne Wiesława Osiewskiego i staranna redakcja Marianny Rant-Tanajewskiej. Edytorska książka jest obiecującą kontynuacją „Biblioteki Suwalskiej” pod redakcją Janusza Kopciała, wydaną przez wydawnictwo „Hańcza”.

W końcowym komentarzu Z. Fałtynowicz przywołuje zdanie z powieści *Rozmowy polskie latem roku 1981* Jarosława Marka Krymkiwicza: „... gdybyś wtedy, przed trzydziestoma laty, kiedy pierwszy raz tu [na Suwalszczyźnie] przyjechałeś, wiedział, że jesteś stąd [...] to może byś lepiej przyjrzał się tej ziemi, może byś coś więcej zapamiętał, może byś już wtedy zawiązał ten węzeł, który ja teraz, z takim trudem i po latach wiąże”. Kolejny węzeł został

zawiązany przez autora antologii *Gdzie jeziora syte przestrzenią obłoków*. I kolejni ludzie mają szansę przyjrzeć się tej ziemi i coś z niej więcej zapamiętać. A w pamięci jest ocalenie...

(kris)



Miasto i kultura ludowa w dziejach Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy. Red. Jerzy Wyrozumski. Kraków 1996.

Wybór referatów z sesji zorganizowanej przez Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie.

Twórcom zbioru zależało na uchwyceniu specyfiki relacji miasto-wieś na terenie Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy oraz określeniu proporcji udziału rozmaitych czynników kultury ludowej w formowaniu się kultury miejskiej. Stąd w centrum uwagi znalazły się problemy roli tradycji w życiu miasta i wsi, relacji grup autochtonicznych z napływowymi, roli języka jako nośnika treści kulturowych, manifestowania się tożsamości kultury w ubiorze, zwyczajach, w literaturze, pieśni i życiu codziennym, przenikania wzorców miejskich do kultury tradycyjnej i odwrotnie.

Wybór do analizy zjawiska oddziaływania miasto-wieś kręgu kulturowego, tworzonego przez Polskę, Litwę, Białoruś i Ukrainę Antoni Podraza uzasadnia „pewnymi wspólnymi właściwościami, o własnej strukturze różniącej go

(krąg kulturowy - dop.) od innych sąsiednich obszarów w dłuższym ciągu czasowym”.

Obszar Wielkiego Księstwa Litewskiego był na przestrzeni wieków terenem ścierania się kultur wschodniosłowiańskiej i zachodnioeuropejskiej. Te kulturowe, gospodarcze, prawne i etniczne uwarunkowania znalazły swoje odbicie również w specyfice miast tego regionu.

Ważnym determinatem tej specyfiki było oddziaływanie: kultura tradycyjna-kultura elitarna. Różnie na przestrzeni dziejów kształtowały się proporcje tych wpływów. Największy awans kultury tradycyjnej do poziomu kultury „wysokiej” przyniósł ze sobą ukraiński romantyzm. Przypisywał on dużą wagę folklorowi ukraińskiemu nie tylko ze względu na jego etniczną odrębność, ale także ze względu na walory przysługujące każdemu folklorowi, niezależnie od specyfiki etnicznej. Włodzimierz Mokry uważa, że aromanizmy ukraiński stworzył oryginalny, inny od polskiego, litewskiego i rosyjskiego wzorzec naturalnej syntezy kultury ludowej i elitarnej”. Najbardziej inspirującym dla tej syntezy okazały się dumy ukraińskie i pieśni historyczne Kozaków.

„Podróż do miasta” jako motyw tematyczny w ludowych kulturach słowiańskich proponuje Nikołaj Pańków. Tekst zawiera interesującą analizę wykorzystania motywu wędrowni do wsi do miasta w folklorze słowno-muzycznym. Zjawisko podróży do miasta, według autora, generuje w sobie wzajemne przenikanie się i zarazem odpychanie dwóch tak różnych światów, jakimi są miasto i wieś.

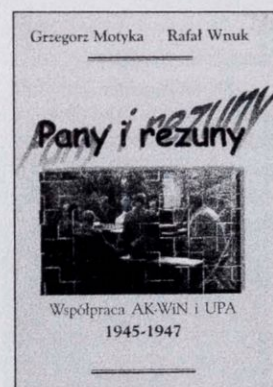
Nie tylko w kręgu historii pozostają jednak autorzy prac. Spórą grupę stanowią opracowania współczesnych badań socjologicznych. O zmieniającym się systemie wartości młodego pokolenia na Białorusi pisze Władimir Kokluchin, a Uładzimir Lukiewicz

analizuje świadomość narodową i poczucie europejskości wśród młodych mieszkańców miast Polski i Białorusi.

Interesujące spostrzeżenia zawiera szkic Piotra Huda dotyczący zjawiska odrodzenia białoruskich świąt ludowych, obrzędów i tradycji. Animacja kulturowa z wykorzystaniem tradycyjnych form jest na Białorusi przedmiotem działalności naukowej. Centralnym ośrodkiem ruchu jest Katedra Reżyserii Świąt Białoruskiego Uniwersytetu Kultury. Święta ludowe są powszechnie obecne, przy czym ważniejsze od strony rodzinno-obrzędowej okazuje się obecnie ich dziedzictwo historyczne. Święta, jak uważa autor, przybierają charakter społeczny z charakterystycznym dla miast wielonarodowościowym składem uczestników. Tracą swój pierwotny, religijny sens i treść na rzecz zawartych w nich komponentów estetycznych.

Przedstawiony wybór jest bogatym źródłem informacji i inspiracji dla wszystkich zainteresowanych bardzo ostatnio dynamicznie rozwijającym się nurtem antropologii poświęconym strukturze miasta.

SZA



GRZEGORZ MOTYKA, Rafał Wnuk: Pany i rezuny. Współpraca AK-WiN i UPA 1945-1947. Oficyna Wydawnicza VOLUMEN. Warszawa 1997.

Pod koniec drugiej wojny światowej i w pierwszych latach powojennych w obliczu wspólnego wroga – wojsk sowieckich i komunistów – dochodziło do współpracy antykomunistycznego podziemia polskiego z ukraińskim czy litewskim. Dochodziło do tej współpracy pomimo bardzo głębokich urazów i ran zadanych sobie wzajemnie w ciągu minionych lat. Zwłaszcza na pograniczu polsko-ukraińskim porozumienie pomiędzy Armią Krajową a Ukraińską Powstańczą Armią musiało budzić cały szereg oporów i wątpliwości. Tym bardziej cenne jest jego faktyczne zaistnienie. Nasza wiedza na ten temat jest ciągle niewielka. Dlatego można mówić o pionierskim charakterze książki dwóch młodych historyków z Instytutu Studiów Politycznych PAN pt. *Pany i rezuny*, poświęconej współpracy AK-WiN i UPA w latach 1945-1947. Wcześniej temat ten poruszał A.B. Szczepaniak i W.Z. Szota w książce *Droga donikąd* oraz J. Sztendera w paryskich „Zeszytach Historycznych” (nr 71).

Porozumienie pomiędzy polskim i ukraińskim podziemiem niepodległościowym nie miało szerokiego zasięgu, obejmowało raczej sporadyczne akcje i to raczej na szczeblu lokalnym, często wbrew zakazom ze strony wyższego dowództwa. Bohdan Skaradziński, autor wprowadzenia do książki, pisze, iż autorzy wyakcentowali w książce te fragmenty „relacji AK-UPA, które akurat były współdziałaniem przeciw NKWD-LWP-UB. Fragmentów niestety raczej wyjątkowych, aniżeli stanowiących regułę...” Porozumienie zawierano z powodów pragmatycznych, aby uniknąć walki na dwa fronty – z komunistami i UPA. „Wybierało się jednego wroga zamiast dwóch”. Niemniej przeprowadzono kilka wspólnych udanych akcji (autorzy m.in. szczegółowo opisują atak na Hrubieszów, dzięki któremu udało się uwolnić więźniów politycznych i przejąć akta UB i PPR), a rzędy wszystkim przezwano wzajemne walki, ogranicza-

jąc w ten sposób znacznie ilość ofiar po obu stronach.

Książka zaopatrzona jest w noty biograficzne żołnierzy z obu stron, bogatą bibliografię, unikatowe zdjęcia archiwalne (wstrząsające wrażenie robią fotografie Polaków wymordowanych przez UPA w wyniku akcji na pociąg relacji Rawa Ruska - Bełżec w 1944 roku oraz fotografie wymordowanej przez oddziały NSZ w 1945 roku ludności ukraińskiej ze wsi Wierzchowiny) oraz mapę i wykresy struktur organizacyjnych obu armii. (kris)



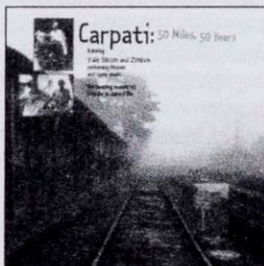
Musica Galiciana. Kultura muzyczna Galicji w kontekście stosunków polsko-ukraińskich (od doby piastowsko-książęcej do roku 1945). Tom I. Red. L. Mazepa. Rzeszów 1997.

Zbiór referatów z pierwszej polsko-ukraińskiej Międzynarodowej Sesji Naukowej pt. „Musica Galiciana”, która odbyła się w kwietniu 1995 roku w Rzeszowie. Konferencja poświęcona była historii muzyki niegdyśjszej Galicji, gdzie kulturę wspólnie tworzyli Polacy, Rusini-Ukraińcy, Ormianie, Żydzi, Austriacy, Niemcy, Czesi.

W kręgu zainteresowań autorów referatów znalazły się m.in.: życie muzyczne Lwowa i Przemyśla, historia muzyki kościelnej (w kościołach rzeszowskich i w Kościele Katedralnym na Wawelu), szkolnictwo muzyczne Lwowa i lwowskie zbiory muzyczne.

Wybór zawiera też referaty poświęcone obecności problematyki muzycznej na łamach prasy przełomu XIX i XX w.; m.in. polskiego „Ludu” i pism ukraińskich- „Artystyczny Wisnyk” oraz „Dilo”.

Na uwagę zasługuje też artykuł dotyczący solowej pieśni ukraińskiej, autorstwa Olgi Popowicz. Wzbogaca on królujący powszechnie obraz wielogłosowej pieśni ukraińskiej o wiedzę na temat pieśni solowej, rozwijającej się na Ukrainie Zachodniej w XIX w. Solowa pieśń ukraińska jest dziełem autorskim, bazującym jednak na elementach ludowych, dlatego też jej rozwój był ważnym etapem procesu kształtowania się grupy kompozytorów profesjonalistów. Wspólny dla pieśni solowej i jej następców pozostaje natomiast narodowy charakter. SZA



Carpati: 50 Miles, 50 Years. Film dokumentalny. Scenariusz i reżyseria Yale Storm. Produkcja Yale Storm i David Notowitz. 80 minut.

Carpati: 50 Miles, 50 Years. Yale Storm i zespół „Zmiros” grają muzykę klezmerską i cygańską. Global Village Music, New York 1996, CD 173.

„Jestem Zew, syn Szymona, żydowskiej wspólnoty opiekun, szames i grabarz z Winogradowa. Każdego Żyd potrzebuję Tory w synagodze. Bez niej jest bezdomny”. Tak w finałowej scenie filmu mówi o sobie Zew Godinger. Gdy Yale Storm i David Notowitz po raz pierwszy pojawili się w synagodze w Winogradowie, tamtejszy Żyd Simcha powiedział im, że mają *minyana* (kworum

niezbędne do odmówienia modlitwy) ale nie mają *Tory*. Po powrocie do Ameryki rozesłali setki faksów i ogłoszeń w poszukiwaniu zwojów świętej Księgi, aż w końcu któraś ze wspólnot żydowskich podarowała im ten skarb. Następnego roku wyruszyli ponownie w podróż. Ponieważ *Tora* powinna być traktowana tak jak każde ludzkie istnienie, linie lotnicze Delta ufundowały osobne dla niej siedzenie, na którym przypięta była pasem bezpieczeństwa. Z Budapesztu do granicy ukraińskiej dojechał pociągami. Był w kwietniu 1995 roku. Do Beregow, w którym żył zaprzyjaźniony z nimi Zew Godinger, dotarli w czas święta Pesach. „Ulice czarne były od chasydów” – powiedział Zew, wspominając czas, kiedy Żydzi prowadzeni byli do bydłych wagonów. Dla niego Pesach już na zawsze kojarzyć się będzie nie z radością opuszczenia Egiptu i wolnością, lecz z zagładą całego świata, po którym pozostanie jedynie ciemna otchłań.

Beregowo jest miastem leżącym w sercu Rusi Karpackiej, wielokulturowego regionu, który zamieszkały był przez Rusinów, Ukraińców, Węgrów, Słowaków, Czechów, Polaków, Niemców, Rumunów, Cyganów i Żydów. W tym oddalonym i ukrytym spośród gór zakątku świata w ostatnim stuleciu Historia zamieszła okrutnie, niczym wiedźma w swym złowrożnym saganie. Film rozpoczyna historia opowiedziana przez narratora, Leonarda Nimoya, o Cyganie, który spytał znajomego Żyda skąd on zna tyle języków. „Obrzezany zostałem w monarchii austro-węgierskiej, bar-miwę miałem w Czechosłowacji, rozwiodłem się w Związku Radzieckim, a pochowany zostanę na Ukrainie, choć nigdy nie opuściłem swego rodzinnego miasta” – padła odpowiedź.

W 1936 roku żyło tu około czterć miliona Żydów. Po 60 latach zostało ich niewiele ponad 1200. Storm i Notowitz wiedzieli, że swój film muszą zrobić teraz albo nigdy. Za

chwile już nie będzie minyanu i nie będzie komu przekazać *Tory*.

Przejmująca jest scena, w której Zew Godinger o zmierzchu ściga z siebie ubranie na brzegu błotnistej stawu, brodzi w kąpielisku, którym radował się 50 lat temu, przed Zagładą – „Za dziesięć, piętnaście lat w całych Karpatach Żyda będziesz musiał ze świecą szukać”.

W czas pesach „wujek Zew” szykuje się w podróż z Torą do Winogradowa. 50 mil dzieli Beregowo od jego rodzinnego miasta, 50 lat upłynęło kiedy opuścił Winogradowo. W 1944 roku został deportowany do Oświęcimia. Pamięta jak z okna wagonu zobaczył polskich chłopów ostrzegających pasażerów pociągu o czekającej ich śmierci przez przeciągnięcie palcem po gardle. Pamięta, budynek w Oświęcimiu, o którym myślał, że jest piekarnią, okazał się być krematorium. Pamięta jak podczas fizycznej weryfikacji doktora Mengele starał się sprawić wrażenie możliwie dużego i żywego, by znaleźć się wśród ocalałych.

Po wojnie powrócił na Ukrainę wegetując na ulicach „jak zawszony pies”, aż do momentu, gdy nie uruchomił swego małego interesu sprzedawcy lodów. Takim go odnalazł twórca filmu – był lubianym przez wszystkich lodziarzem, który sprzedawał nawet podczas deszczu, przypasowując sobie parasolkę, a dzieciom rozdawał lody pod warunkiem, że następnego dnia przyniosą pieniądze. Pozostał sobą, pozostał Żydem walczącym o zachowanie tradycji, człowiekiem, który w obozie zagłady utracił rodzinę i najbliższych. W oczach miał smutek, tęsknotę i lzy. „Placze jak deszcz” – mówił o sobie. Kamera towarzyszy jego pielgrzymce z Torą do Winogradowa, do miasta urodzenia, do synagogi, w której od 50 lat nie było aliyah (przywołania do modlitwy w obliczu *Tory*). Powraca do odzyskanego domu, by wypowiedzieć swoje: „Jestem Zew, syn Szymona, ży-

dowskiej wspólnoty opiekun, szames i grabarz z Winogradowa..."

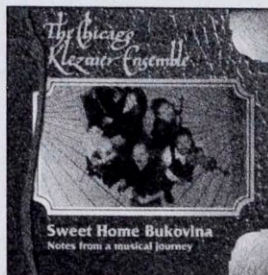
Ten film ma jeszcze jeden wątek, z którym związana jest wydana osobno płyta. Chodzi o muzykę, czyli żydowsko-cygańską wspólnotę duszy i losu; albo chodzi o spotkanie Żydów z Cyganami, czyli o muzykę.

Yale Strom jest nie tylko reżyserem filmowym i scenarzystą. Jest fotografem, kompozytorem i pisarzem, autorem m.in. *Uncertain Roads: Searching for the Gypsies* (Niepewne drogi: W poszukiwaniu Cyganów). Jest także muzykantom, skrzypkiem, klezmerem. W Stanach Zjednoczonych na wschodnim wybrzeżu ma zespół „Hot Pstromi”, a na wybrzeżu zachodnim zespoły „Zmiros” (grają muzykę do „Carpati”) i „Klazji”. Do środkowoeuropejskich rubieży, w Karpaty, zaczął podróżować w poszukiwaniu korzeni muzyki klezmerskiej. Pierwszym świadectwem tych podróży był film „Leopold Kozłowski: ostatni klezmer”, stworzony także wspólnie z Dawidem Notowitzem. Po nim postanowili szukać dalej, pójść głębiej w Karpaty i bliżej starego źródła. I tak znaleźli się na Rusi Karpackiej. Odkryli wtedy, że jedynymi spadkobiercami tradycji klezmerskiej są tu Cyganie, że jedynie dzięki nim ta muzyka jeszcze żyje. „Graliśmy na żydowskich weselach i z takiego wesela nasze rodziny mogły żyć przez cały tydzień. Odkąd Żydów nie ma, nasza muzyka nie jest potrzebna. Ukraińcy zupełnie jej nie przyjmują” – mówi Jozef Fatyol. Dawniej bywało i tak, że kapele klezmerskie mały cygańskich muzyków, a w zespołach cygańskich grali Żydzi. Inny muzykant, Jozef Lakatos, wspomina: „Żydzi i Cyganie zawsze byli razem. Kiedykolwiek podróżowałem po Związku Radzieckim w naszym zespole cygańskim grał co najmniej jeden Żyd”. Byli nawet wśród Żydów i Cyganów tacy, którzy znali nawzajem swoje języki. Wśród klezmerów na pieniądze mówiło się po cygańsku *lova*, natomiast wśród muzy-

ków cygańskich używało się słowa z jidisz i hebrajskiego *khaver* na określenie człowieka, któremu można ufać, który jest „swój”. Najbardziej jednak wzajemne wpływy kultury żydowskiej i cygańskiej widoczne są w muzyce, czego najlepszym świadectwem jest płyta nagrana przez „Zmiros”. Jakże różni się popularna dziś „Hava Nagilla”, od tej będącej w stałym repertuarze muzyków cygańskich w Karpatach, którzy radują się w niej przez łzy, poprawiają ją smakiem otwartej przestrzeni i nostalgii oraz mistrzowską instrumentalną wirtuozerią.

Żydów z Cyganami połączył również los, zwłaszcza podczas drugiej wojny światowej, kiedy naziści właśnie ich razem skazali na zagładę. Zew Godinger był świadkiem holocaustu Cyganów w Oświęcimiu. „Byłem w cygańskim obozie, obozie »C«. Po jednej stronie stały żydowskie baraki, po drugiej – cygańskie. Pamiętam jak pewnego dnia przyszli Niemcy. Dzień był upalny. Po obiedzie zebraли młodych Cyganów i deportowali ich. Pozostali tylko starcy i dzieci. Nadeszła noc i wszystkich ich zabrano do krematorium. Wstałem wcześniej następnego dnia i zobaczyłem ich baraki zupełnie opustoszałe”. Wspólny, tragiczny los czasu ostatniej wojny, przydaje dodatkowego sensu powiedzeniu, którym zwykli się dzielić Cyganie w tamtych stronach (na płycie powtarza je w języku jidisz „wujek Zew”): „Żydzi i Cyganie byli jak jedno. Pomiędzy nimi sprawy zawsze stały dobrze”.

(kris)



The Chicago Klezmer Ensemble: *Sweet Home Bukovina. Notes from a musical journey.* ORIENTE Music 1998. RIEN CD 13. LC 3592.

Powstały w 1984 roku Chicago Klezmer Ensemble to jeden z tych zespołów, które dały początek renesansowi muzyki klezmerskiej w Stanach Zjednoczonych. Po okresie rozkwitu tej muzyki na przełomie wieków, kiedy do Ameryki emigrowali kolejni znakomici klezmerzy z Europy Środkowo-Wschodniej, już przed wybuchem drugiej wojny światowej nastąpił okres jej zmięczenia. Dopiero w latach 80. młodzi muzycy amerykańscy, często nawet nie posiadający korzeni żydowskich (w zespole z Chicago dotyczy to większości jego muzyków), zafascynowali się na nowo tą muzyką i zaczęli ją odgrzebywać ze starych nagrań i zapisów nutowych. Do pionierów tego prądu należał Kurt Bjorling, lider Chicago Klezmer Ensemble, a dzisiaj także klawecista i akeordonista słynnego zespołu klezmerskiego The Brave Old World, znanego w Polsce z występów na festiwalu kultury żydowskiej w Krakowie.

Muzyka CKE z jednej strony jest niezwykle tradycyjna, z wielkim pietyzmem przywołująca styl klezmerów z okresu jeszcze przedemigracyjnego, z drugiej strony natomiast awangardowa, tworząca nowe kompozycje i aranżacje.

Otwierająca płytę „Doina i Sirba Populara” jest suitą składającą się z trzech części:

1/ forshpil – preludium prowadzone przez skrzypce; 2/ doina – grana przez klawet, skomponowana przez Bjorlinga na wzorcu tradycyjnej melodii z innowacją polegającą na zespolowej odpowiedzi całego instrumentarium głosowi solo; 3/ sirba – melodia taneczna z długą historią: jedna jej część to muzyka dworu otomańskiego z pierwszej połowy XIX wieku, której tony pojawiły się później w nagraniach kapel żydowskich w Europie (ok. 1912 r.) i Ameryce (ok. 1923 r.), a także w nagraniach greckich śpiewaków (np. zespół „Wlacha”) oraz cygańskich orkiestr na Węgrzech, aby pojawić się potem jako bulgarska w transkrypcji z 1947 roku, a wreszcie zostać opublikowaną w zbiorze „500 Moldawskich Melodii Tanecznych” z 1972 roku.

Nazywając swoją płytę „Sweet Home Bukovina” muzycy nawiązują do znakomitej tradycji muzycznej, która narodziła się wśród klezmerów na Bukowinie. Utwór tytułowy jest kompilacją trzech motywów melodycznych: pierwsze dwa zostały nagrane w 1912 roku przez rumuńską orkiestrę Belfsa, trzeci pojawił się w transkrypcji Moshe Beregovskiego i został nagany przez tak słynne orkiestry jak Abe Schwartza (1917) czy Maxa Leibowitza (1917), albo „Al Glazer’s Bukovinaer Kapelle” (1939). Utwór ten był także popiosowym „kawalkiem” słynnego skrzypka Leona Schwartza, który urodził się na Bukowinie i uczył się muzyki od tamtejszych Cyganów i Żydów. (kris)

Contents

FORUM

EMIL BRIX: The Apology of the Central Europe Cities „Chernyovtse, Lvov, Cracow, Bratislava, Trieste – these are only few cities, which, if they want to take their chance, must radiate with influence beyond the borders of their own countries” - claims the author of the essay, trying to describe the common sphere of culture of the Central-Eastern Europe.

KRZYSZTOF CZYŻEWSKI: Czerniowce (Chernyovtse) - a Forgotten Metropolis on the Frontier of the Habsburg Monarchy.

This time the wanderer through the Central-Eastern Europe got to Chernyovtse - the capital of Bucovina, which was once called „half Asia” by a certain nineteenth century Bucovinan writer. The guide to the city of Paul Celan, Rose Auslander and the Jewish Zaddik Friedman of Sadagóra, the author made an old inhabitant of the old medieval city on Prut, the mythical Czernowitz who spoke several languages of the Central-Eastern Europe, the experienced connoisseur of the secret code of the city on the outskirts of the Habsburgian Monarchy. Together with him we wander about his temples, streets, squares, Turkish and Jewish districts and five national houses (Polish, Ukrainian, German, Romanian and Jewish).

MOJSEJ FISZBEJN: Return to the Meridian.

Not only Paul Celan was connected with Chernyovtse by „the meridian of the heart”. Also Mojsej Fiszbejn, a poet and an interpreter, at present living in exile in Germany, in his memoirs comes back to the city of his youth.

JAROMIR JEDLIŃSKI'S ARTISTIC STUDIO.

The author, an historian of art, an independent guardian of many exhibitions of modern art, in his author's gallery proposes a meeting with the theatre of Tadeusz Kantor and Joshua Neustein, „an artist from the crossroads of cultures”, who „seeks the missing link of his own history in the history belonging to others”.

THE LITERARY CORNER

SELMA MEERBAUM - EISINGER: Poems.

She was a poet from Chernyovtse who died at the age of 18; as her literary output she left 57 poems.

ROSE AUSLANDER: Poems.

Born in Chernyovtse, Rose emigrated to the United States in 1920. She lived the war in the Chernyovtse ghetto. Her poems were written in German.

PAUL CELAN: Poems.

Poems of a distinguished Bucovinan artist of Jewish origins in the translation of Jacek St. Buras, Jakub Ekier and Feliks Przybylak.

PAUL CELAN: „The Fugue of Death”.

It is one of the poet's most outstanding work in the language of Bucovina: German, Romanian, Ukrainian, Yiddish and Polish.

ERNEST WICHNER, HERBERT WIESNER: The Plait of Metaphors: From: „Rainbows” by Rose Auslander to „The Fugue of Death” by Paul Celan.

An essay about a „poetic relationship” among Paul Celan, Rose Auslander, Immanuel Weissglass and Moses Rosenkrantz.

PAUL CELAN: Todtnauberg.

The poem was created under the influence of the meeting with Martin Heidegger, a German philosopher.

PIERRE JORIS: Celan / Heidegger. The translation was made at the foot of the Death Mountain.

The essay, being a literary and historical analysis of the poem titled „Todtnauberg” inclines towards cogitation about the nature of the translation. „A poem can be translated only into another poem - it may be done in another language, in another century” - claims the author. However, first and foremost Joris very deeply analyses on the event symbolic for the whole XX century - a meeting with a philosopher bearing the burden of the Nazi past and a poet escaping Holocaust, writing in the language of the murderers.”

FELIKS PRZYBYLAK: The Circles of Celan's World (Lebenswelt).

„The art of the poet crossed the vision of the epoch” but they were enriched with „the circles of Celan's world”. They were collected and introduced by an outstanding expert on Celan's literary production, the author of a book on the genius of Bucovina, also an interpreter of Celan's poetry.

HELMUT BÖTTIGER: Paul Celan's Places.

Wandering about the places connected with the poet, the author brings to mind the Golden Age of Chernyovtse (from the second half of the nineteenth century), as well as the history of the decline of the city as the result of the Second World War, when „the Chernyovtse culture was turned adrift.” The phenomenon of the city spirit which created a kindly atmosphere for „people and writing” may be found only by a careful wanderer.

ISRAEL CHALFEN: A New Homeland. P. Celan in Bucharest.

An excerpt of Celan's biography including the Bucharest period (1945 - 47) written by a Bucovinan doctor who collected impressive records of the poet's youth.

PETRE SOLOMON: Paul Celan and Surrealism.

An outstanding Romanian essayist and interpreter writes about the poet's connections with the Romanian surrealists.

MAGDA CARNECI: Paul Celan and the Poetry of the 1980's.

The essay analyses the reception of Celan's work in Romania and the source of similarities and differences of the post-war poetry of Eastern and Western Europe.

GREGOR VON REZZORI: Faith.

A fragment of the book „The Memoirs of an Anti-Semite” - the autobiographical novel by a writer of Bucovinian origins „undoubtedly one of the most beautiful countries in the world”. „The Memoirs” is the literary record of the evolution which undergoes that absolute anti - Semite under the influence of his contact with the Jews who were making the majority of the Bucovinian population. The artist shows the absurdity of anti-Semitism, which is, however, more dangerous because it exists in the author himself.

THE MACHEJ'S FIELD.

Zbigniew Machej, a poet from Cieszyn and the master of the „Machej's Field”, invites to a meeting with his friends: Jerzy Kronhold, a poet and a writer and Jadwiga Smykowska, a sculptress and the author of presented wood engravings.

NATIONAL AND RELIGIOUS CONFRATERNITIES

ADAM BARTOSZ: Bobover „sztetl” on Brooklyn.

On the route from Grybów to Krynica there is Bobowa, where, on the hilly cemetery lies the Zaddik Salomon ben Natan. On the abandoned Jewish cemetery there have not been any new graves, still the orthodox Bobowa is vibrant with life ... on the New York Brooklyn. In his report, the manager of the Tarnów Museum, an ethnographer (an expert in the culture of the Gypsies and the Jewish) invites to visit a traditional, though somewhat modern world of the Orthodox from New York.

ADAM BARTOSZ: A Story of and Old Rabbi Halbersztram.

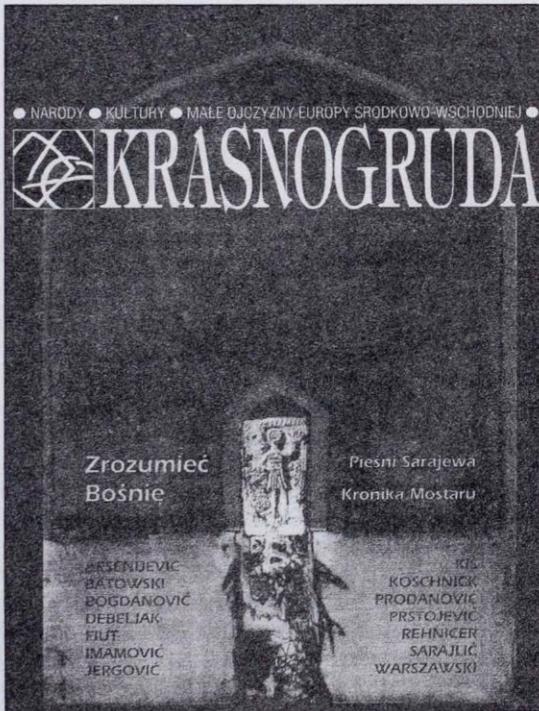
Is it enough to be buried on the Jewish cemetery to be considered a Jew? Listen to a moving story of an old Rabbi.

MACIEJ RYCHŁY'S MUSIC STUDIO.

„I worked with the theatre of Włodzimierz Staniewski. I composed the music for the Apulejus's *Metamorphosis*. I multiplied the tribe of Arche's music ... These were good times” - this is how Maciej Rychly, a musician, an investigator of archaic forms and the leader of the group „Quartet Jorgi” begins his story about his work in the theatre in Gardzienice.

THE DISPLAY - PUBLICATIONS

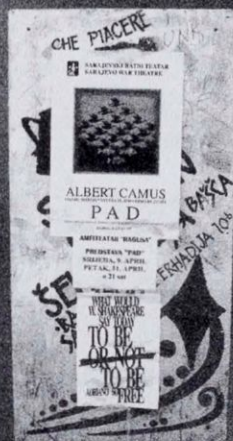
This is the presentation of books, publishing series and CDs concerning the culture and problems of the Bucovinian culture. There are the discussions of recent publications: albums, books, periodical and musical recordings published in Poland and abroad, devoted to the problems of the Bucovinian and Central-Eastern Europe culture.



6 Forum DANILO KIŠ: O nacjonalizmie; ALEKSANDER FIUT: Być (albo nie być) Środkowoeuropejczykiem; BOGDAN BOGDANOVIĆ: Rytuałne zabijanie miasta; W błędnym kole narodowych egoizmów. Rozmowa z prof. Henrykiem Batowskim o źródłach konfliktu jugosłowiańskiego; Pisarze w czasie wojny. Zapis polemiki pisarzy i intelektualistów wywołanej przez Aleśa Debeljaka na łamach belgradzkiego tygodnika „Vreme”; **Zrozumieć Bośnię** Wybór tekstów z seminarium zorganizowanego przez „Pogranicze” w Sejnach jesienią 1995 r.; MARINA TRUMIĆ: Zrozumieć Bośnię; RAYMOND REHNICER: Definitywne zakończenie średniowiecza; ALEKSANDRA STANKOWICZ: Rola Austrii w kształtowaniu kultury i życia literackiego w Bośni i Hercegowinie; MARIA BOBROWNICKA: W świecie zdominowanym przez strach. Systemy wartości i taktyki obronne; MILETA PRODANOVIĆ: Mosty i nienawiść; **Sarajewo** BOGDAN BOGDANOVIĆ: Człowiek-Sarajewo. List do sarajewskich przyjaciół; DAWID WARSZAWSKI: Sarajewo; RAYMOND REHNICER: Moje wspomnienia z Sarajewa; MIROSLAV PRSTOJEVIĆ (tekst), ŻELJKO PUJLIĆ (zdjęcia): „Przewodnik przetrwania”; NIKOLA KOVAČ: Kultura przeciw barbarzyństwu; FLORY JAGODA: Pieśni Sarajewa; **Mostar** JENS SCHNEIDER: Most; HANS KOSCHNICK: Dziennik z Mostaru; TADEUSZ MAZOWIECKI: Mostar; CHRISTOPER MERILL: Stary Most; KRZYSZTOF CZYŻEWSKI: Mostar; DARIA SITO SUCIĆ: Poróżnione kolory Mostaru; GRADIMIR GOJER: Zapiski teatralne; Mostar - Kronika pewnego miasta; **Zaułek Literacki** IZET SARJILIĆ, ALEŠ DEBELJAK, ANDREJ BRVAR, BORIS NOVAK, ZEHRA ĆIRAK, MILJENKO JERGOVIĆ, JOVICA AĆIN, ZDRAVKO MALIĆ, JASMIN IMAMOVIĆ, VLADIMIR ARSENJEVIĆ, LESZEK A. MOCZULSKI

• NARODY • KULTURY • MAŁE OJCZYZNY EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ •

KRASNOGRUDA



Kościół Bośniacki
Bośnia Andrića
Sarajewska Hagada

JANČAR
KIŠ
KORNHAUSER
MALCOLM
OKUKA
OSTI
WIERZBICKI

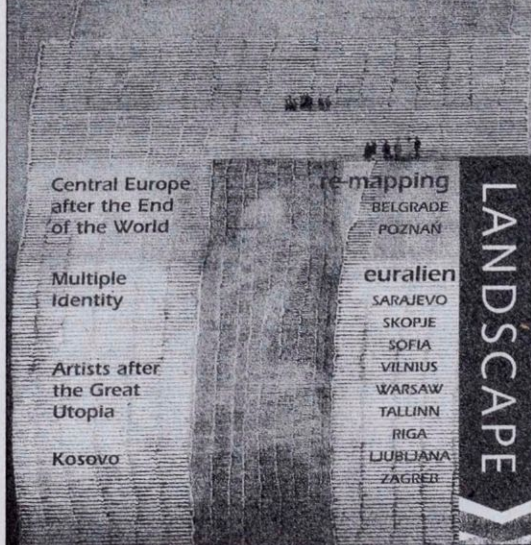
7 **BRACTWA NARODOWE I RELIGIJNE** NOEL MALCOLM: Rasy, mity, początki. Bośnia do roku 1180; NOEL MALCOLM: Kościół Bośniacki; Dwugłos o książce: Srećko Džaja, Krsto Cvičić; RAJKO DJURIĆ: Modlitwa ojca bezbożnika i płacz matki cygańskiej; JOSIP OSTI: Żydzi w Bośni i Hercegowinie; **ANTYKARNIA** ALEKSANDER SAPIEHA: Podróże w krajach słowiańskich odbywane; STANISŁAW ROSPOND: Jugosławia. Z teki podróżnika i obserwatora; HALINA SIENNICKA: Poprzedź Bośnię i Hercegowinę; **PERYFERIA** JULIAN KORNHAUSER: Konflikt kultur; MIŁOŠ OKUKA: Żegnaj serbsko-chorwacki! (Stare i nowe wiatry, czyli czy Bośnia jest trójjęzyczna?); STANKO CERVIĆ: Polityczny testament Andrića; **KRĘGI WTajemniczenia** JASMINKO ARNAUTOVIĆ: Droga Dobroci; **ŚRODOWISKA** DANUTA CIRLIĆ-STRASZYŃSKA: Po stronie życia - Sarajewskie Studio i Krag 99; Sarajewska Grupa Artystyczna SAGA; PETAR JANJATOVIĆ, RUEDIGER ROS-SIG: Rola rock and rolla w wojnie i pokoju, „Transition” nr 14/1996; ZINKA BARDIĆ, SILVIJA ŠEPAROVIĆ: Radio 101; DANUTA CIRLIĆ-STRASZYŃSKA: O zagrzebskim „Erasmusie”; SLAVKO GOLDSTEIN: List otwarty do prezydenta Tudjmana; DANUTA CIRLIĆ-STRASZYŃSKA: „Feral Tribune”, czyli satyra i humor; MAGDALENA PETRYŃSKA: Bez „Republiki” byłoby mniej nadziei; ALEŠ DEBELJAK: „Nova revija” i słowierskie forum intelektualne; **DROBIAZGI** DANILO KIŠ: Cenzura - Autocenzura; DRAGO JANČAR: Plemiona czy Europa; DRAGO JANČAR: O książkach i innych demonach; DRAGO JANČAR: Telewizja, czyli oglądanie o pluralizmie kulturowym; ALEŠ DEBELJAK: Intelektualny raj w Budapeszcie; KATARINA ŠALAMUN-BIEDRZYCKA: Słowierskie epifanie, czyli od Prešerna do Zupana; UROŠ ZUPAN: Lublana i poeta; **WITRYNA-PUBLIKACJE**; **ŚWIECE NA WIETRZE** ČEDO KISIĆ: Poeta eseju; JAN WIERZBICKI: Bośnia Ivo Andrića; **GODZINA MYŚLI** JOSIP OSTI: Podróż z Peterem Handke do Sarajewa; RAFAL MRÓWCZYŃSKI: Krucjata przeciw „consensusowi mediów”. Peter Handke szuka sprawiedliwości nad rzekami Serbii

W POPRZEDNICH NUMERACH

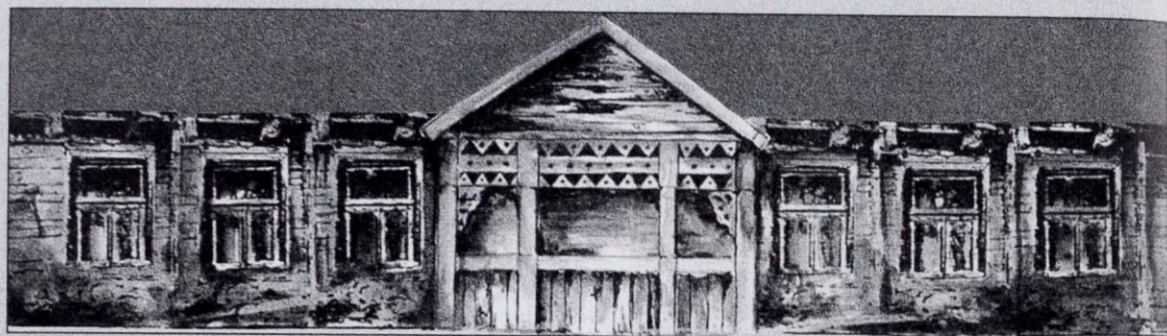
• NATIONS • CULTURES • SMALL HOMELANDS OF CENTRAL EASTERN EUROPE •

KRASNOGRUDA

• BELNY • STOCKHOLM 1998 • No 3 •



8 **FORUM** R. REHNICER: Multiple Identity and Borders within Human Mind; K. CZYŻEWSKI: The Atlantis Complex, or Central Europe after the End of the World; A. DEBELJAK: After the Great Utopia; P. PIOTROWSKI: Post-War Central Europe: Art, History and Geography; T. VEN-CLOVA: Native Realm Revisited: Mickiewicz's Lithuania and Mickiewicz in Lithuania; **re-mapping**: BELGRADE B. PAVICEVIĆ: The Center for Cultural Decontamination; M. DRAGICEVIĆ-SESIĆ: Arts as Provocation; I. SUBOTIĆ: My Lucky Star; Skart; Protest Aesthetisation and Protest Culture; **re-mapping**: POZNAŃ There is a passion in us to snap at...; M. Blimel's Conversation with the Creators of TEATR ÓSMEGO DNIA; J. JEDLIŃSKI: Visual Investigations of J. Kozłowski; **euralien**: STOCKHOLM Theatre critic H. Tiselius in the Middle of a Dialogue between CH. TORCH and G. STFANO-VSKI; **SKOPJE** T. OSMANLI: The Boiling Pot Called Skopje; S. MILEVSKA: One Story, Many Narrators; S. ABADŽIĆ: Angels of Simon Šemov; D. DIMITROVSKI: Anastasia; **SOFIA** I. GENOVA: The Crossing of Modern Trends in the Balkan Countries between the Two World Wars; I. PANTELEEV: Chekhov Review; Young Poets of a New Bulgaria; **VILNIUS** E. BAJORNIENE: Theatre in Twilight; T. VEN-CLOVA: Poems; **WARSAW** A Question about Soul. K. Czyżewski's Conversation with P. CIEPLAK about Theatre, Life and Europe of the End of the XXth Century; **TALLINN** K. PAULUS: Estonian Dramaturgy: a Moment on Stage; A. JUSKE: Estonian Art in Times of Transition; J. KAPLIŃSKI: Poems; J. KAPLIŃSKI: From Harem to Brothel. Artists in the Post-Communist World; **RIGA** S. VONDA: Riga Is on the Start; G. ZELTINA: Young Directors: an Alternative Tension to Latvian Theatre; What Do We Have in Common? A Discussion with Latvian Artists; **LJUBLJANA** U. GETIŃSKI: Others. The New Theatre in Slovenia; Democracy Calls for Responsibility. Mojca Kumerdej's Conversation with M. FARIĆ; E. ČUFER: Nothing New in the East?; M. ROTOVNIK: Cankarjev Dom. Cultural and Congress Centre; **ZAGREB** M. BLAŽEVIĆ: Croatian Theatre at the End of the 1990s; **KOSOVO** S. MALIĆ: Beyond. The New Art of Kosovo; CH. MERRILL: Kosovo; **Café Europa** Poems: M. CARNECI, CH. MERRILL, A. DEBELJAK, Z. MACHEJ, M. B. KIELAR, K. CZYŻEWSKI: The Temptation of a Poet.



<http://free.ngo.pl/pogranic/>

Zapraszamy na stronę internetową Fundacji "Pogranicze" i Ośrodka "Pogranicze — sztuk, kultur, narodów".

Znajdziecie tam informacje o:

- projektach Ośrodka i Fundacji, m.in. Ośrodek regionalny Europy Środkowo-Wschodniej, Camera Pro Minoritate
- Centrum Dokumentacji Kultur Pogranicza,
- Krasnogrudzie (piśmie kulturalnym, wydawnictwie, dworze)
- Klasie Dziedzictwa Kulturowego
- Teatrze Sejneńskim i Kapeli Klezmerskiej
- Café Europa
- kalendarium działalności.

OTWARTE REGIONY EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ

BUKOWINA po stronie dialogu



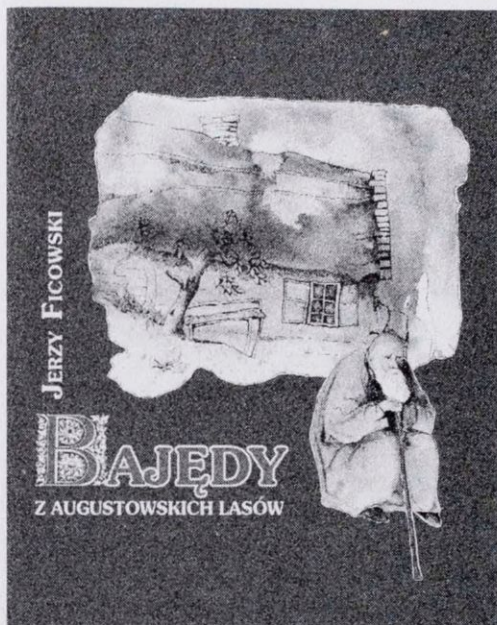
Pogranicze

Nigdy dotychczas informacje o Bukowinie nie ukazały się po polsku w tak rozległej perspektywie historycznej, ukazującej skomplikowaną międzynarodową grę polityczną wiążącą zabór Bukowiny z rozbiorami Polski, ani w tak oryginalnym ujęciu, jakie nam zaprezentowali autorzy tomu, czołowi znawcy różnych aspektów życia Bukowiny w swoich krajach.

Kazimierz Feleszko

Zbiór tekstów będących owocem seminarium zorganizowanego w Sejnach przez "Pogranicze" w ramach projektu "Otwarte Regiony Europy Środkowo-Wschodniej". Na treść książki składają się następujące rozdziały: "Dzieje i etos wielokulturowej Bukowiny", "Bukowina narodów i religii", "Bukowina - kraj ludzi i książek", "Bukowina roku 1997 - powrót do korzeni".

Wśród autorów z Austrii, Niemiec, Ukrainy, Rumunii i Polski znaleźli się kulturoznawcy, historycy, literaturoznawcy, etnografowie i językoznawcy.



"Bajędy" są zbiorem opowieści zasłyszanych przez autora od starej mieszkanki Puszczy Augustowskiej. Napisane pięknym, soczystym językiem, mówią o dziejach, wierzeniach i mitach dotyczących Suwalszczyzny, a zwłaszcza takich miejsc jak Klasztor Wigierski, Sejny, Augustów, Maćkowa Ruda. Opowiadają o współzyciu różnych, współlistniejących ze sobą narodów i religii.

Książka może być czytana zarówno przez dzieci, jak i dorosłych. Stanowi ważny wkład w poszerzenie wiedzy o dziedzictwie kulturowym Suwalszczyzny.

Dopelnieniem mistycznych opowieści, z pogranicza baśni i legend, są piękne, kolorowe ilustracje, autorstwa artysty Wiesława Szumińskiego.

Jerzy Ficowski: Bajędy z augustowskich lasów.
Sejny: Ośrodek "Pogranicze - sztuk, kultur, narodów" 1998.
ISBN 83-904749-1-3, 6 ilustr., s.108, cena 12 zł

KRASNOGRUDA	
<p>Odcinek dla pocztu/banku</p> <p>zł 60,- PLN</p> <p>Słownie złotych <i>sześćdziesiąt złotych</i></p> <p>wplacający</p> <p>Dokładny adres</p>	<p>Odcinek dla posiadacza rachunku</p> <p>zł 60,- PLN</p> <p>Słownie złotych <i>sześćdziesiąt złotych</i></p> <p>wplacający</p> <p>Dokładny adres</p>
<p>Odcinek dla wplacającego</p> <p>zł 60,- PLN</p> <p>Słownie złotych <i>sześćdziesiąt złotych</i></p> <p>wplacający</p> <p>Dokładny adres</p>	<p>Odcinek „Pogranicze - sztuk, kultur, narodów”</p> <p>16-500 Sejny, ul. Piłsudskiego 37</p> <p>nazwa banku Bank Spółdzielczy, Sejny</p> <p>Nr r-ku 93540007-622-27016-11/0</p> <p>Stempel <input type="text"/> Pobrano opłatę zł..... podpis przyjmującego</p>
<p>Ośrodek „Pogranicze - sztuk, kultur, narodów”</p> <p>16-500 Sejny, ul. Piłsudskiego 37</p> <p>nazwa banku Bank Spółdzielczy, Sejny</p> <p>Nr r-ku 93540007-622-27016-11/0</p> <p>Stempel <input type="text"/> Pobrano opłatę zł..... podpis przyjmującego</p>	<p>Ośrodek „Pogranicze - sztuk, kultur, narodów”</p> <p>16-500 Sejny, ul. Piłsudskiego 37</p> <p>nazwa banku Bank Spółdzielczy, Sejny</p> <p>Nr r-ku 93540007-622-27016-11/0</p> <p>Stempel <input type="text"/> Pobrano opłatę zł..... podpis przyjmującego</p>



Kultura Spisza jest o wiele starsza niż myślenie o niej kategoriami narodowymi. W ciągu stuleci wątki słowackie, niemieckie, węgierskie, polskie, rusińskie, żydowskie i inne spletały się w całość, dopełniały się wzajemnie, mieszały z sobą. Tylko nieliczne wytwory kultury można dzisiaj przypisać bez zastrzeżeń do tego czy innego narodu; znacznie częściej niepodobna stwierdzić, kto co od kogo zapożyczył. (...) Każdy naród dawał, każdy brał; księgowych przy tym nie zatrudniano.

Antoni Kroh

Katalog wystawy prezentującej wielokulturowe dziedzictwo Spisza na przestrzeni dziejów. Obok bogatej szaty graficznej autorstwa Barbary Magierowej, zawiera teksty Antoniego Kroha, Ákoša Engelmayera, Krzysztofa Czyżewskiego i Jacka Purchli, kalendarium ważniejszych dat z dziejów Spisza, bogatą bibliografię oraz mapę z nazwami miejscowości spiskich w różnych językach regionu. Całość przygotowana została w językach: polskim, słowackim, węgierskim i niemieckim.

Spisz, Spiś, Zips, Szepes - katalog wystawy, red. Antoni Kroh. Wydanie czterojęzyczne. Sejny: Ośrodek "Pogranicze - sztuk, kultur, narodów", Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie, 1998. ISBN 83-901303-5-1, 84 fot. barwnych, s.164, cena 20 zł

PRENUMERATA /OD Nr. 9/

4 KOLEJNYCH NUMERÓW

po 1 egz.

KĄZDEGO NUMERU

POCZĄSZY OD NR

PRENUMERATA /OD Nr. 9/

4 KOLEJNYCH NUMERÓW

po 1 egz.

KĄZDEGO NUMERU

POCZĄSZY OD NR

PRENUMERATA /OD Nr. 9/

4 KOLEJNYCH NUMERÓW

po 1 egz.

KĄZDEGO NUMERU

POCZĄSZY OD NR

PRENUMERATA ZAGRANICZNA - 80\$ USA
CENA PRENUMERATY OBIEMUJE
KOSZTY PRZESYŁKI

CENA POJEDYNCZEGO EGZEMPLARZA - 15 zł

WPLAT MOŻNA DOKONAĆ NA POCZCIE
LUB W ODDZIAŁACH PKO

ZAMAWIAM NASTĘPUJĄCE NUMERY
ARCHIWALNE:

..... w liczbie egz.
..... w liczbie egz.

*Tylko prenumerata zapewni
Państwu stałe otrzymywanie
„KRASNOGRUDY”*



W CZERNIOWCACH NA RYNKU. Obraz K. Młodnickiego z Wystawy Obrazów we Lwowie.

ISSN 1230-76-45